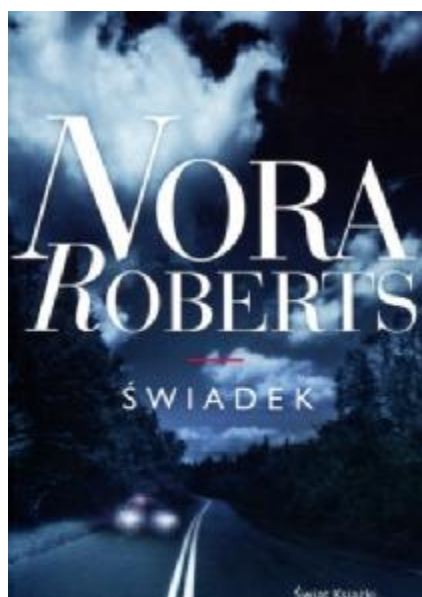




***Nora Roberts***



***ŚWIADEK***

*Tytuł oryginału THE WITNESS*

TTLR

*Dla Laury Reeth*  
*Mistrzynie szczegółu*

# ***ELIZABETH***

*Oto najdotkliwsza zadra  
pośród cierpień dzieciństwa:  
dojmująca samotność,  
dojmująca niewiedza.*

Olive Schreiner

# 1

*Czerwiec 2000*

Krótkotrwały okres młodzieńczego buntu Elizabeth Fitch rozpoczął się od czarnej farby do włosów firmy L'Oreal, pary nożyczek i fałszywego dokumentu tożsamości. Zakończył się rozlewem krwi.

Przez prawie szesnaście lat, osiem miesięcy i dwadzieścia jeden dni posłusznie stosowała się do wskazówek matki. Doktor Susan L. Fitch nie wydawała rozkazów, były to właśnie wskazówki. Elizabeth przestrzegała ustalonych przez matkę zasad, jadła posiłki skomponowane przez jej dietetyczkę i przygotowane przez jej kucharkę, nosiła ubrania wybrane przez jej osobistą stylistkę.

Doktor Susan L. Fitch ubierała się konserwatywnie, jak – jej zdaniem – przystało ordynatorowi chirurgii w Silva Memorial Hospital w Chicago, i spodziewała się po swej córce tego samego.

Elizabeth sumiennie i bez sprzeciwu realizowała program nauki wytyczony przez matkę. Na jesieni miała wrócić na Harvard w pogoni za dyplomem medycyny. Zostanie lekarzem – chirurgiem, jak jej matka.

Elizabeth – nigdy Liz ani Lizzie, ani Beth – mówiła płynnie po hiszpańsku, francusku, włosku, potrafiła porozumieć się po rosyjsku i знаła podstawy japońskiego. Grała na pianinie i na skrzypcach. Podróżowała do Europy i Afryki. Umiała nazwać wszystkie kości, nerwy i mięśnie w ludzkim ciele oraz zagrać koncerty fortepianowe Chopina – obydwaj: nr 1 i 2, z pamięci.

Nigdy nie była na randce ani nie całowała się z chłopakiem. Nigdy nie włóczyła się po sklepach z koleżankami, nie uczestniczyła w imprezie pizamowej ani nie chichotała z kumplami nad pizzą lub lodami.

Przez szesnaście lat, osiem miesięcy i dwadzieścia jeden dni realizowała punkt po punkcie precyzyjny i konsekwentny plan matki.

To właśnie miało się zmienić.

Patrzyła, jak matka się pakuje. Susan, która gęste brązowe włosy miała jak zwykle upięte we francuski kok, starannie umieściła kolejny kostium w specjalnym pokrowcu na ubrania, a potem zerknęła na wydruk ze szczegółowym programem tygodniowej konferencji medycznej, podzielonym na podpunkty. Wyszczególniono tu wszystkie wydarzenia, każde spotkanie, zebranie oraz posiłek z wykazem wybranego na daną okoliczność stroju, butów, torebki i dodatków.

Markowe kostiumy, pantofle oczywiście włoskie, skonstatowała Elizabeth. Należy nosić dobrze skrojone ubrania z materiału dobrego gatunku. Ale wśród czerni, szarości i burych brązów nie pojawiał się żaden żywszy czy choćby jasny kolor. Zachodziła w głowę, dlaczego jej matka, kobieta piękna, celowo ubiera się tak ponuro.

Po dwóch semestrach college'u w przyspieszonym trybie nauki Elizabeth miała nadzieję, że wreszcie rozwinie własny styl. Kupiła w Cambridge dzinsy, bluzę z kapturem i masywne botki na grubej podeszwie.

Zapłaciła gotówką, żeby potwierdzenie transakcji na wyciągu z karty kredytowej nie wpadło przypadkiem w oko matce lub ich księgowemu, co mogłoby się skończyć zakwestionowaniem zakupów, ukrytych teraz w jej pokoju.

W nowym stroju poczuła się jak zupełnie inna osoba, tak odmieniona, że od razu wstąpiła do McDonalda i zamówiła pierwszego w swym życiu big maca z dużymi frytkami oraz czekoladowy shake.

Sprawiło jej to tak wielką frajdę, że musiała pobiec do łazienki, gdzie popłakała się w zaciszu kabiny.

Uważała, że właśnie tamtego dnia zostały zasiane w niej ziarna buntu albo może zawsze tkwiły w niej uspięne, a tłuszcz i sól pobudziły je do życia.

Czuła je, naprawdę odczuwała, jak kielkują jej w brzuchu.

– Twoje plany uległy zmianie, mamó. Ale to jeszcze nie oznacza, że moje muszą się zmienić.

Susan skoncentrowała się, by swymi pięknymi i zręcznymi dłońmi chirurga o idealnie wypielęgnowanych paznokciach – jak zwykle francuski manikiur, lakier oczywiście bezbarwny – umieścić precyzyjnie torbę z butami w walizce.

– Elizabeth. – Jej głos był równie dystyngowany i stonowany jak jej garderoba. – Zmiana harmonogramu i dostanie się w tym semestrze na letni kurs wymagało sporego wysiłku. Dzięki temu spełnisz warunki przyjęcia do Harvard Medical School o cały semestr przed terminem.

Już sama myśl o tym przyprawiała Elizabeth o ból żołądka.

– Miałam obiecaną trzytygodniową przerwę, w tym najbliższy tydzień w Nowym Jorku.

– Czasami nie można dotrzymać obietnic. Gdybym miała ten tydzień zajęty, nie mogłabym zastąpić doktor Dusecki na konferencji.

– Mogłaś odmówić.

– Zachowałabym się samolubnie i krótkowzrocznie. – Susan musnęła ręką zakiet, który właśnie odwiesiła, i sięgnęła po swoją listę, żeby coś sprawdzić. – Jesteś już na tyle dorosła, aby rozumieć, że przyjemność i wypoczynek muszą zawsze ustępować miejsca pracy.

– Skoro jestem dość dorosła, żeby to zrozumieć, dlaczego nie mogę podejmować własnych decyzji? Chcę mieć tę przerwę. Potrzebuję jej.

Susan ledwie spojrzała na córkę.

– Dziewczyna w twoim wieku, w twojej kondycji fizycznej i

psychicznej nie potrzebuje przerw w nauce i zajęciach. A poza tym nie mogę prosić pani Laine o przełożenie urlopu, ponieważ wypłynęła już w dwutygodniowy rejs. Nie ma komu zająć się domem oraz przygotowywaniem dla ciebie posiłków.

– Mogę sama przygotowywać posiłki i zajmować się domem.

– Elizabeth... – W głosie Susan pobrzmiwało lekkie zniecierpliwienie.

– To już ustalone.

– A więc ja nie mam nic do powiedzenia? A co z rozwojem mojej niezależności, odpowiedzialności?

– Niezależność rodzi się stopniowo, podobnie jak odpowiedzialność i wolność wyboru. Nadal potrzebujesz kontroli i wskazówek. Ale do rzeczy: wysłałam ci maila z harmonogramem na najbliższy tydzień, a pakiet z informacjami dotyczącymi programu kursu leży na twoim biurku. Nie zapomnij osobiście podziękować doktorowi Frisco, że przyjął cię w letnim terminie.

To mówiąc, Susan zamknęła wielką walizkę, a potem mniejszą podręczną. Podeszła do toaletki, aby poprawić fryzurę i makijaż.

– Ale ty mnie w ogóle nie słuchasz.

Susan skierowała w lustrze wzrok na córkę. Elizabeth pomyślała, że odkąd weszła do sypialni, jej matka po raz pierwszy raczyła naprawdę na nią spojrzeć.

– Ależ oczywiście, że tak. Słyszałam wszystko, co powiedziałaś, bardzo wyraźnie.

– Słyszeć to co innego niż słuchać.

– Być może, Elizabeth, ale już skończyliśmy tę dyskusję.

– To nie jest dyskusja, tylko rozporządzenie.

Susan zacisnęła na chwilę usta, co było jedyną oznaką jej

zniecierpliwienia. Gdy odwróciła się, jej oczy były chłodne, nie – zmaćnienie niebieskie.

– Przykro mi, że tak to odbierasz. Jako twoja matka robię to, co moim zdaniem jest dla ciebie najlepsze.

– A to według ciebie oznacza, że powinnam postępować, mówić, myśleć, działać i chcieć tak jak ty, żeby w końcu stać się twoją kopia, o czym zdecydowałaś za mnie, zanim zapłodniłaś się starannie wybraną spermą!

Usłyszała, że podnosi głos, ale nie potrafiła się kontrolować, napływały jej do oczu palące łzy, których nie mogła powstrzymać.

– Mam już dość bycia obiektem twojego eksperymentu. Mierzi mnie życie, którego każda minuta jest odgórnie zorganizowana, zaaranżowana i wyreżyserowana. Chcę dokonywać własnych wyborów, sama kupować sobie ubrania, czytać książki, na które mam ochotę. Chcę żyć własnym życiem, a nie twoim!

Susan uniosła brwi w wyrazie umiarkowanego zainteresowania.

– No cóż. Taka postawa, zważywszy na twój wiek, nie jest zaskakująca, niemniej jednak wybrałaś bardzo niedogodny moment na kłótnię i prowokacyjne zachowanie.

– Przepraszam. Tego nie było w harmonogramie.

– Sarkazm jest również typowy, ale niestosowny. – Susan otworzyła teczkę i sprawdziła jej zawartość. – Porozmawiamy o tym po moim powrocie. Umówię cię do doktor Bristoe.

– Nie potrzebuję terapii! Potrzebuję matki, która mnie słucha, a nie takiej, którą gównem obchodzą moje odczucia.

– Twój język świadczy jedynie o braku dojrzałości oraz intelektu.

Rozzłoszczona Elizabeth wyrzuciła ręce do góry i zaczęła się kręcić w kółko. Jeśli nie może być tak opanowana i racjonalna jak jej matka, zachowa



się jak dzikuska.

– Gówno! Gówno! Gówno!

– Przeklinanie na nic się nie zda. Do końca weekendu masz czas na zastanowienie się nad swoim zachowaniem. Przygotowane dla ciebie posiłki są w lodówce albo w zamrażarce, każdy z odpowiednią nalepką. Listę rzeczy do spakowania masz na biurku. Zamelduj się na uczelni u pani Vee w poniedziałek o ósmej rano. Uczestnictwo w tym kursie zapewni ci miejsce w Harvard Medical School na jesieni. A teraz, proszę, znieś moją walizkę na dół. Taksówka przyjedzie za chwilę.

Och, te ziarna kiełkowały, pokonując ugór, mozolnie przedzierały się na powierzchnię. Po raz pierwszy w życiu Elizabeth popatrzyła matce prosto w oczy i powiedziała:

– Nie.

Odwróciła się na pięcie i wyszła, a potem zatrzasnęła za sobą drzwi sypialni. Rzuciła się na łóżko i zamglonymi od łez oczami wpatrywała w sufit. Czekwała.

Zaraz, już za chwilę, powtarzała sobie w duchu. Jej matka wejdzie, domagając się przeprosin, żądając posłuszeństwa. Ale Elizabeth nie zrobi ani jednego, ani drugiego.

Pokłóć się, naprawdę się pokłóć, będą prośby i groźby konsekwencji. Może nawet nakrzczą na siebie. Pewnie gdyby się darła, jej matka w końcu by ją wysłuchała.

Może podczas kłótni wyrzuciłaby z siebie to wszystko, co leżało jej na sercu w ostatnim roku. Uczucia, które – teraz wiedziała – żyły w niej od zawsze.

Nie chciała zostać lekarzem. Nie chciała spędzać każdej minuty dnia według ścisłego, z góry ustalonego porządku ani ukrywać głupich dzinsów,

ponieważ nie pasowały do stylu jej matki.

Chciała spędzać czas z przyjaciółmi, a nie tylko spotykać się z rówieśnikami na oficjalnych szkolnych uroczystościach. Chciała słuchać takiej samej muzyki jak dziewczyny w jej wieku, wiedzieć, o czym szepczą, plotkują albo z czego się zaśmiewają za jej plecami.

Nie chciała być ani geniuszem, ani żadnym wyjątkowym talentem.

Chciała być normalna. Taka jak inni.

Otarła łzy, usiadła skulona na łóżku i wpatrywała się w drzwi.

Już za sekundę, pomyślała znów. Lada chwila. Jej matka musi być zła. Przyjdzie, żeby potwierdzić swój autorytet. Na pewno.

– Proszę – wymamrotała Elizabeth, gdy sekundy przeciągnęły się w minuty. – Nie zmuszaj mnie, żebym znów się poddała. Proszę, proszę, nie zmuszaj mnie, żebym się poddała.

Okaż mi swoją miłość. Choć ten jeden raz.

Ale minuty mijały i w końcu Elizabeth zerwała się z łóżka. Wiedziała, że cierpliwość jest najpotężniejszą bronią matki. Dzięki niej oraz niezłomnemu przeświadczeniu o własnej racji miażdżyła wszystkie przeciwności. A kto jak kto, ale córka na pewno nie była dla niej godnym przeciwnikiem.

Z poczuciem klęski wyszła ze swego pokoju i skierowała się do sypialni matki.

Duża walizka, teczka oraz podręczna walizeczka na kółkach zniknęły. Gdy Elizabeth zeszła na dół, zrozumiała, że matka odjechała.

– Zostawiła mnie. Po prostu mnie zostawiła.

Rozejrzała się po ładnym uporządkowanym salonie. Wszystko tu było doskonałe – obicia, kolory, dzieła sztuki, aranżacja. Antyki, które dziedziczyły kolejne pokolenia Fitchów – kwintesencja elegancji.

I pustka.

Zdała sobie sprawę, że nic się nie zmieniło. I nic się nie zmieni.

– A więc ja się zmienię.

Nie pozwoliła sobie na zastanawianie się, wątpliwości ani rozterki. Pomaszerowała z powrotem na górę i chwyciła z biurka nożyczki.

W łazience przyjrzała się swojej twarzy w lustrze – karnacji, którą odziedziczyła po rodzicach – rudawym włosom, gęstym jak u matki, ale bez miękkich, ładnych fal. Wysokie, ostre kości policzkowe miała po matce, a głęboko osadzone zielone oczy, jasną skórę i szerokie usta po biologicznym ojcu – kimkolwiek był.

Pomyślała, że fizycznie jest nawet atrakcyjna; w końcu zależało to od DNA, a jej matka nie zdecydowałaby się na jakiś pośledni materiał. Ale nie była tak urzekająco piękna jak Susan, co to, to nie. Tego, jak się okazało, nawet jej matka nie mogła załatwić.

– Dziwoląg. – Elizabeth przycisnęła dłoń do lustra, nienawidząc swego wyglądu. – Jesteś dziwolągiem. Ale teraz przynajmniej nie jesteś tchórzem.

Nabierając w płuca powietrze, podniosła pasmo długich do ramion włosów i ucięła je.

Z każdym ciachnięciem nożyczek czuła przypływ siły. Jej włosy, jej wybór. Obcięte kosmyki spadały na podłogę. Gdy tak przycinała i strzygła, w jej umyśle zrodził się pewien obraz. Mrużąc oczy i przechylając głowę na bok, przyjrzała się sobie. W gruncie rzeczy – doszła do wniosku – prosta geometria i fizyka. Akcja i reakcja.

Pomyślała, że właśnie uwolniła się od ciężaru – i w sensie fizycznym, i w przenośni. Dziewczyna w lustrze wyglądała delikatniej. Oczy wydawały się większe, twarz nieco pełniejsza, mniej spięta.

Elizabeth uznała, że wygląda... jak nowa.

Ostrożnie odłożyła nożyczki i zdając sobie sprawę, jak szybko unosi się i opada jej klatka piersiowa, zrobiła świadomy wysiłek, aby uspokoić oddech.

Ale krótkie! Dotknęła ręką obnażonej szyi, uszu, a potem przeczesła palcami grzywkę. Zbyt równa, zdecydowała. Odszukała nożyczki do manikiuru i spróbowała swoich sił w cieniowaniu.

Nieźle. Nie rewelacyjnie, przyznała, ale inaczej. O to chodziło. Wyglądała i czuła się inaczej.

Ale to jeszcze nie koniec.

Pozostawiwszy ścięte włosy na podłodze, poszła do sypialni, gdzie przebrała się w swój schowany zestaw ubrań. Potrzebowała produktów do stylizacji – tak nazywały to dziewczyny. Kosmetyków do włosów. Zestawu do makijażu. I więcej ubrań.

Musiała odwiedzić galerię handlową.

Podekscytowana wślizgnęła się do gabinetu matki i wzięła zapasowe kluczyki. Gdy pędziła do garażu, serce waliło jej z podniecenia. Usiadła za kierownicą i na moment przymknęła oczy.

– No to jazda – szepnęła do siebie, po czym pilotem otworzyła drzwi garażu i wyjechała tyłem.

Przekłuła sobie uszy. To było śmiałe, aczkolwiek odrobinę bolesne posunięcie, a potem – dokładnie się sobie przypatrzwszy i po starannym namyśle – dobrała farbę do włosów. Kupiła też wosk, taki jaki widziała u jednej z dziewczyn w college’u, i pomyślała, że może naśladować jej wygląd. Mniej więcej.

Wydała dwieście dolarów na kosmetyki do makijażu, bo nie była pewna, które jej będą pasować.

Przysiadła na chwilę, ponieważ trzęsły jej się kolana. Ale obserwując przechodzące stada nastolatków, grupki kobiet oraz całe rodziny, Elizabeth

uświadomiła sobie, że jest dopiero w połowie drogi. Musiała dokończyć swoją metamorfozę.

Potrzebowała ubrań, nie miała jednak planu, listy ani programu zakupów. Impuls kupowania był ekscytujący, ale i wyczerpujący. Gniew, który zawiódł ją tak daleko, wywołał jednocześnie tępy ból głowy, a uszy jej lekko pulsowały.

Racjonalnie byłoby teraz wrócić do domu i na chwilę się położyć. A potem wszystko metodycznie zaplanować, sporządzając listę zakupów.

Ale taka była dawna Elizabeth. Tej nowej wystarczy złapać oddech.

Problem, przed którym teraz stała, polegał na tym, że nie wiedziała, do jakiego sklepu lub sklepów powinna się udać. Było ich całe mnóstwo, na wszystkich wystawach góry rzeczy. No cóż, pospaceruje, obserwując dziewczyny w jej wieku. Pójdzie ich śladem.

Zebrała torby, wstała – i zderzyła się z kimś.

– Przepraszam... – zaczęła, ale w tej chwili rozpoznała dziewczynę. – Och, to ty, Julie.

– Taak. – Blondynka o gładkich, doskonale ostrzyżonych włosach i oczach koloru czekolady obrzuciła Elizabeth zdziwionym spojrzeniem. – Czy my się znamy?

– Prawdopodobnie nie. Chociaż chodziłyśmy razem do szkoły. Zastępowałam nauczycielkę hiszpańskiego w twojej klasie. Elizabeth Fitch.

– Elizabeth, oczywiście. Nasz mózgowiec. – Julie zmrużyła w zamyśleniu pochmurne oczy. – Wyglądasz jakoś inaczej.

– Och, ja... – Elizabeth z pewnym zażenowaniem dotknęła głowy. – Obcięłam włosy.

– Fajnie. Myślałam, że się wyprowadziłaś albo co.

– Wyjechałam do college'u. Jestem teraz w domu na lato.

- No tak, wcześniej zrobiłaś maturę. Niespotykane.
- Chyba tak. A ty wybierasz się jesienią do college’u?
- Mam w planach Brown.
- Wspaniała szkoła.
- Okej. No to...
- Robisz zakupy?

– Jestem splukana. – Julie wzruszyła ramionami, a Elizabeth przyglądała się jej ubraniu – obcisłe dzinsy opadające bardzo nisko na biodra, opięta, odsłaniająca brzuch koszulka, ogromna torba na ramię i sandały na koturnach. – Przyszłam tu spotkać się z moim chłopakiem, a właściwie byłym chłopakiem, ponieważ właśnie z nim zerwałam.

– Przykro mi.

– Pieprzyć go. On pracuje w Gapie. Mieliśmy dziś wieczorem razem wyjść, a teraz on mi mówi, że musi pracować do dziesiątej, a potem chce wyskoczyć gdzieś ze swoimi braćmi. Mam tego dość, więc go rzuciłam.

Elizabeth miała na końcu języka, że nie można kogoś karać za dotrzymywanie zobowiązań, ale Julie nie dała jej dojść do głosu, a Elizabeth przemknęło nagle przez głowę, że odkąd się poznały w szkole, nie zamieniły ze sobą więcej niż tuzin słów.

– Lecę teraz do Tiffany, może ona ze mną gdzieś wyskoczy, ponieważ nie mam już chłopaka na lato. No i dupa. A ty pewnie kręcisz z koleśami z college’u. – Julie spojrzała na nią znacząco. – Rozbierane imprezy albo piwne popijawy i temu podobne, co nie?

– Ja... Na Harvardzie jest wielu chłopaków.

– Daj spokój z Harvardem. – Julie przewróciła oczami. – Spędza któryś lato w Chicago?

– Nie potrafię powiedzieć.

– Facet z college’u, oto, kogo mi trzeba. Co mi tam po jakimś przegranym koleśiu pracującym w sklepie. Potrzebuję faceta, który umie się zabawić, zabierze mnie w fajne miejsca, postawi alkohol. No ale nici z tego, jeśli nie dostaniesz się do klubu. Bo oni tam właśnie przesiadują. Trzeba zdobyć fałszywy dowód.

– Mogę ci go podrobić. – Już w chwili, gdy wypowiadała te słowa, zastanowiła się, co jej strzeliło do głowy. Ale Julie natychmiast chwyciła ją za ramię i uśmiechnęła się, jakby były prawdziwymi przyjaciółkami.

– Nie ściemniasz?

– Nie. Zrobienie fałszywego dokumentu tożsamości wcale nie jest takie trudne, oczywiście gdy ma się odpowiednie narzędzia. Szablon, fotografie, laminat i komputer z Photoshopem.

– Prawdziwy z ciebie mózgowiec. Co to kosztuje takie fałszywe prawko?

– Tak jak wspomniałam, szablon...

– Nie, Jezu. Pytam, ile ty za to chcesz?

– Ja... – Elizabeth zrozumiała, że to transakcja. Handel wymienny. – Muszę sobie kupić ciuchy, ale nie wiem jakie. Potrzebuję kogoś do pomocy.

– Kumpelę do zakupów?

– Tak. Kogoś, kto się na tym zna. Rozumiesz.

Oczy Julie już nie były ponure, w jej głosie zabrzmiało ożywienie. Rozpromieniła się.

– Moja w tym głowa. Pomogę ci wybrać rzeczy, a ty podrobisz dla mnie papiery, tak?

– Tak. Ale ja też chcę pójść do klubu. I na tę okazję potrzebuję ubrań.

– Ty? Clubbing? Zmieniłaś nie tylko włosy, Liz.

Liz. Była teraz Liz.

– Będzie mi potrzebne zdjęcie, no i zrobienie tych dokumentów zabierze trochę czasu. Może zdążę na jutro. Do którego klubu pójdziemy?

– Możemy spróbować do najbardziej szpanerskiego w mieście. Warehouse 12. Brad Pitt go odwiedził, gdy był w Chicago.

– Znasz go?

– Chciałabym. Okej, ruszajmy na zakupy.

Doznała zawrotu głowy, ale nie z powodu sposobu, w jaki Julie prowadziła ją do sklepu, a potem, ledwie rzuciwszy okiem, chwyciła gorączkowo odpowiednie sztuki ubrania. Chodziło o samą ideę. Kumpelka do zakupów. Nie jakaś tam stylistka, która dokonywała wstępnej selekcji tego, co uznała za stosowne, i czekała na akceptację z jej strony, tylko ktoś, kto żywiołowo łapał rzeczy, kazał je przymierzać, a potem mówił, że wyglądasz atrakcyjnie, odjazdowo, a nawet seksownie.

Dotąd nikt nawet nie wspomniał Elizabeth, że może wyglądać seksownie.

Gdy zamknęła się w przymierzalni z całą tą masą kolorów, błyszczącymi cekinami i mieniącym się metalikiem, musiała się najpierw uspokoić.

Wszystko działo się za szybko. Jakby porwało ją tsunami. Spiętrzona fala wprost ścięła ją z nóg.

Drżącymi palcami rozebrała się, a potem starannie złożyła swoje rzeczy i przyglądała się ubraniom powieszonym w maleńkim pomieszczeniu.

Co włożyć? Co do czego pasuje? Skąd ma to wiedzieć?

– Znalazłam obłędną kieckę! – Julie bez pukania wpakowała się do środka.

Elizabeth instynktownie skrzyżowała ramiona na piersiach.

– Jeszcze niczego nie przymierzyłaś?



Nie wiem, od czego zacząć.

– Zaczynij od tego cuda. – Julie podała jej sukienkę.

Sądząc po długości, to raczej tunika, pomyślała Elizabeth, do tego w krzykliwej czerwieni i zbluzowana po bokach. Cieniutkie ramiączka błyszczały srebrem.

– Co mam do tego włożyć?

– Zabójcze szpilki. Nie, najpierw zdejmij stanik. Nie możesz nosić stanika do tej sukienki. Masz naprawdę niezłe ciało – zauważyła Julie.

– Mam dobre geny, a poza tym dzięki regularnym codziennym ćwiczeniom utrzymuję się w formie i zdrowiu.

– Co ty powiesz?

Nagie – lub prawie nagie – ludzkie ciało jest przecież naturalne, przypomniała sobie Elizabeth na pocieszenie. Po prostu skóra, mięśnie, kości i nerwy.

Zdjęła stanik, a potem, cała dygocząc, narzuciła na siebie sukienkę.

– Jest bardzo krótka – zaczęła z wahaniem.

– Musisz pozbyć się tych przedpotopowych majtek i kupić sobie stringi. Klub jest tego wart.

Elizabeth odetchnęła i odwróciła się do potrójnego lustra.

– Och.

Kto to jest? Kim jest ta dziewczyna w krótkiej czerwonej sukience?

– Wyglądam...

– Oblędnie – skostatowała Julie, a Elizabeth przyglądała się, jak uśmiech rozkwita na jej twarzy.

– Oblędnie.

Kupiła tę sukienkę oraz dwie inne. I spódnice. Kupiła bluzki odsłaniające pępek i spodnie biodrówki. Dała się namówić również na stringi.

Niesiona falą tsunami sprawiła sobie zabójcze szpilki ze srebrnymi obcasami, w których będzie musiała nauczyć się chodzić.

I śmiała się jak zwykła dziewczyna, która robi z koleżanką zakupy w centrum handlowym.

Kupiła aparat cyfrowy, a potem obserwowała, jak Julie maluje się w łazience. Zrobiła jej zdjęcie oraz kilka dodatkowych ujęć na tle jasnoszarego przepierzenia.

– Uda się?

– Postaram się. Ile chcesz mieć lat? Myślę, że najlepiej trzymać się możliwie blisko naszego prawdziwego wieku. Mogę posłużyć się twoim ważnym prawem jazdy i tylko zmienić datę urodzenia.

– Robiłaś to już przedtem?

– Eksperymentowałam. Dużo czytałam na temat kradzieży tożsamości i o przestępstwach w sieci. To interesujące. Chciałabym...

– Chciałabyś co?

– Chciałabym na serio poświęcić się studiom nad przestępstwami komputerowymi i ich zapobieganiem, nad prowadzeniem śledztw. Chciałabym pracować potem w FBI.

– Żartujesz? Jak Dana Scully?

– Nie znam jej.

– Z *Archiwum X*, Liz. Czy ty nie oglądasz telewizji?

– Wolno mi najwyżej godzinę tygodniowo.

Julie przewróciła dużymi czekoladowymi oczami.

– Ile ty masz lat, sześć? Jezu Chryste!

– Moja matka jest bardzo zasadnicza.

– Na litość boską, jesteś w college'u. Możesz oglądać, co chcesz. W każdym razie przyjadę do ciebie jutro wieczorem. Powiedzmy o dziewiątej?

Weźmiemy taksówkę. Ale zadzwoń do mnie, gdy skończysz robotę, okej?

– Dobrze.

– I powiem ci coś, zerwanie z Darrylem było najlepszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłam. Inaczej to wszystko by mnie ominęło. Wybierzemy się na imprezkę, Liz. – Śmiejąc się, Julie wykonała w łazience krótki taniec, kołysząc biodrami. – Będzie super. No, to leczę. O dziewiątej. Tylko mnie nie wystaw.

– Nie. Nie zawiodę.

Zarumieniona po emocjach całego dnia Elizabeth zaniósła torby do samochodu. Teraz już wiedziała, o czym rozmawiają dziewczyny w centrach handlowych.

O chłopakach. O robieniu tego. Julie i Darryl to robili. O ciuchach. Muzyce. Miała w pamięci listę muzyków, którą musi zgłębić. O aktorach telewizyjnych i filmowych. O innych dziewczynach. O tym, w co inne dziewczyny były ubrane. Która z nich zrobiła to, i z kim. I znowu o chłopakach.

Rozumiała, że te rozmowy oraz ich tematy były społecznym i pokoleniowym środkiem wyrazu. Ale aż do dziś była z tego wykluczona.

Pomyślała, że Julie ją lubi, a przynajmniej trochę. Może zaczną spędzać razem czas. Może pozna również Tiffany, przyjaciółkę Julie – która zrobiła to z Mikiem Daubrem, gdy przyjechał do domu na wiosenną przerwę.

Znała Mike'a Daubera albo raczej chodziła z nim na zajęcia. Raz dał jej liścik. A właściwie podał jej liścik, żeby przekazała go dalej, ale to było już coś. Jakiś kontakt.

W domu położyła torby na łóżku.

Tym razem nieodwołalnie z wszystkim się rozstanie. Usunie, co jej się nie podoba – czyli prawie wszystko – i przekaże organizacji dobroczynnej. I

jeśli zechce, będzie oglądać *Z Archiwum X* oraz słuchać Cristiny Aguilery i 'N Sync, i Destiny's Child.

I zmieni kierunek studiów.

Na myśl o tym serce podskoczyło jej do gardła. Będzie studiować to, co chce. A gdy uzyska dyplomy z kryminologii i informatyki, złoży podanie o pracę w FBI.

Wszystko się zmieniło. Dzisiaj.

Zdeterminowana, wyciągnęła farbę do włosów. Przygotowała akcesoria w łazience i zrobiła zalecany test antyalergiczny. Czekając, posprzątała obcięte włosy, następnie przeprowadziła czystkę w szafie oraz na toalecie i starannie powiesiła i ułożyła nowe ubrania.

Była głodna, zeszła więc na dół, podgrzała sobie jeden z przygotowanych posiłków i posilając się, czytała na ekranie laptopa artykuł o podrabianiu dokumentów tożsamości.

Pozmywała i wróciła na górę. Z obawą, a jednocześnie z podnieceniem nałożyła farbę na włosy, stosując się do instrukcji na opakowaniu, i nastawiła minutnik. Gdy minutnik tykał, zdążyła przygotować wszystko, co było potrzebne do podrobienia dokumentów. Rozpakowała płytę CD Britney Spears, poleconą przez Julie, i wsunęła ją w stację dysków laptopa.

Podkreśliła głośność, żeby słyszeć, gdy będzie zmywać farbę pod prysznicem.

Spływała taka czarna woda!

Splukiwała i splukiwała, i splukiwała, aż w końcu oparła dłonie o ścianę kabiny, czując mdłości z podniecenia, ale ani odrobiny strachu. Gdy wreszcie leciała czysta woda, wytarła się ręcznikiem, a drugim owinęła głowę.

Kobiety od wieków zmieniały kolor włosów, przypomniawszy sobie Elizabeth. Używały jagód, ziół, korzeni. To był... rytuał przejścia, uznała.

Osobisty wybór.

W szlafroku stanęła przed lustrem.

– Mój wybór – powiedziała i zerwała ręcznik z włosów.

Wpatrywała się w dziewczynę o jasnej skórze i szeroko rozstawionych zielonych oczach, dziewczynę z krótkimi, nastroszonymi czarnymi włosami, okalającymi szczupłą twarz o wyrazistych rysach. Uniosła rękę i przesunęła palcami po włosach, wyczuwając ich strukturę i obserwując, jak się poruszają.

Wyprostowała się i uśmiechnęła.

– Cześć, jestem Liz.

## 2

Elizabeth uznała, że zważywszy na okazaną jej przez Julie pomoc, najpierw zajmie się jej prawem jazdy. We wszystkich materiałach na ten temat, z którymi się zapoznała, twierdzono, że wygląd dokumentu tożsamości zależy głównie od jakości papieru i laminatu.

Z tym nie było najmniejszego problemu, ponieważ jej matka nie oszczędzała na sprzęcie.

Za pomocą skanera i komputera wyprodukowała wystarczająco przyzwoitą replikę, a posługując się Photoshopem, dodała cyfrową fotografię i dopracowała ją.

Rezultat był dobry, ale niewystarczająco dobry.

Dopiero po kilku godzinach i trzech kolejnych próbach uznała, że wreszcie stworzyła coś, co ma szansę przekonać bramkarzy w nocnym klubie, a nawet z powodzeniem przejść bardziej rygorystyczną kontrolę policyjną. Miała jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Odłożyła na bok gotowy dokument Julie.

Było już zbyt późno na telefon. Gdy sprawdziła godzinę, okazało się, że dochodzi pierwsza w nocy.

Pomyślała, że zadzwoni do Julie rano, i zajęła się własnym dokumentem.

Najpierw zdjęcie, zdecydowała. Prawie godzinę poświęciła nowemu makijażowi, starannie kopiując poszczególne kroki Julie, którą obserwowała w łazience w centrum handlowym. Przyciemniła oczy, rozjaśniła usta, położyła na policzki róż.

Nie spodziewała się, że zabawa z tymi wszystkimi kolorami, pędzelkami i kredkami dostarczy jej tyle uciechy i będzie tak pracochłonna.

Liz wygląda na starszą, pomyślała, przyglądając się rezultatowi. Co więcej, wygląda na ładną, pewną siebie – i normalną.

Zarumieniona z emocji, sięgnęła po kosmetyki do włosów.

Układanie fryzury wymagało większej wprawy, ale przy odpowiedniej praktyce zdobędzie tę umiejętność. Spodobały jej się bezładne, nieco nastroszone kosmyki. Krótka, stercząca fryzurka w błyszczącej czerni w niczym nie przypominała jej rudawych, długich i prostych, potwornie banalnych włosów.

Liz była jak nowa. Liz mogła – i będzie – robić rzeczy, o których Elizabeth się nie śniło. Liz słuchała Britney Spears i nosiła džinsy poniżej pępka. Liz chodziła do nocnych klubów z przyjaciółką, tańczyła, śmiała się i... flirtowała z chłopakami.

– A chłopcy flirtowali z Liz – mruknęła pod nosem – ponieważ Liz jest ładna, zabawna i niczego się nie boi.

Obliczywszy i ustawiwszy kąty i tło, użyła swojego nowego aparatu z samowyzwalaczem do zrobienia kilku zdjęć.

Mimo że praca z drugim dokumentem okazała się prostsza, skończyła dopiero po trzeciej. Zanim pochowała wszystkie przyrządy, wyłączyła sprzęt oraz starannie zmyła makijaż, dochodziła czwarta. Była pewna, że w ogóle nie zaśnie – jej umysł pękał od wirujących myśli.

Zasnęła, ledwie zamknęła oczy.

Po raz pierwszy, nie licząc przypadków, gdy chorowała, spała mocno aż do południa. Po obudzeniu natychmiast podbiegła do lustra, żeby sprawdzić, czy to nie był sen.

Od razu zadzwoniła do Julie.

– Gotowe? – spytała tamta, odbierając w połowie sygnału.

– Tak. Mam wszystko.

– W porządku? Nadadzą się?

– To znakomite falsyfikaty. Nie przewiduję problemów.

– Super! O dziewiątej. Wezmę taksówkę, zaczeka na nas, więc bądź gotowa. I popracuj nad swoim wyglądem, Liz.

– Zeszłej nocy próbowałam się umalować. Dziś po południu poeksperymentuję z makijażem i włosami. I poćwiczę chodzenie na obcasach.

– Koniecznie. Do zobaczenia. Czas na imprezkę!

– Tak, ja... – Ale Julie już się rozłączyła.

Spędziła cały dzień nad czymś, co nazwała Projektem Liz. Ubrała się w przykrótkie spodnie i top, umalowała twarz, popracowała nad włosami. Chodziła w nowych butach, a kiedy poczuła, że opanowała tę sztukę, zaczęła tańczyć.

Znalazła stację radiową nadającą muzykę pop i ćwiczyła przed lustrem. Tańczyła już tak przedtem, sama przed lustrem, ucząc się ruchów

podpatrzonych podczas potańcówek w szkole, na których smętnie podpierała ścianę, zbyt młoda i pospolita, żeby jakikolwiek chłopak zatrzymał na niej wzrok.

Na obcasach jej ruchy i obroty były trochę niepewne, ale podobało jej się, jak lekko tracąc równowagę, rozluźnia biodra i kolana.

O szóstej wyjęła z lodówki kolejny pojemnik opatrzony nalepką i jedząc, sprawdziła pocztę. Ale nic nie przyszło, ani słowa od matki. A była pewna, że coś wyszło – jakąś reprimendę, instrukcje, cokolwiek.

Cierpliwość Susan była bezgraniczna, a dramatyzm jej milczenia mistrzowski.

Ale tym razem to się nie uda, postanowiła Elizabeth. Tym razem Susan czeka szok.

Zostawiła w domu Elizabeth, po powrocie zastanie Liz. A Liz nie rozpocznie letniego kursu na uniwersytecie. Co więcej, w następnym semestrze dokona zmian w swoim planie studiów oraz innych zajęciach.

Liz ani myśli zostać chirurgiem. Liz będzie pracować w FBI nad cyberprzestępczością.

Poświęciła pół godziny na przegląd najwyżej notowanych uniwersytetów, w których prowadzono kierunki, jakie chciała studiować. Niewykluczone, że będzie musiała się przenieść, co może stworzyć pewien problem. Bądź co bądź jej środki finansowe na studia pochodzą z funduszu powierniczego założonego przez jej dziadków, ci zaś mogą go zablokować, ulegając radom i opinii swojej córki.

Jeśli tak, wystąpi o stypendium. Osiągnięcia w nauce ją do tego upoważniają. Straci semestr, ale dostanie pracę. Będzie musiała pracować. Zarobi na swoją drogę do celu.

Wyłączyła laptop, przypomniawszy sobie, że dzisiejszy wieczór to czas



zabawy, nowych wrażeń. Nie pora na zmartwienia ani snucie planów na przyszłość.

Poszła na górę, żeby się ubrać na swoje pierwsze w życiu wielkie wyjście. Na pierwszy wieczór prawdziwej wolności.

Wyszykowana zbyt wcześnie Elizabeth zostawiła sobie za dużo czasu na myślenie, wątpliwości i rozterki. Doszła do wniosku, że nadmiernie się wystroiła, za słabo umalowała i ma fatalną fryzurę. Nikt nie zaprosi jej do tańca, tak jak to dotąd bywało.

Julie ma osiemnaście lat, jest starsza, bardziej doświadczona, wie, jak się ubrać, jak zachować w towarzystwie, jak rozmawiać z chłopakami. A ona na pewno zrobi lub powie coś nieodpowiedniego. Julie naje się przez nią wstydu i już nigdy się do niej nie odezwie. Wątpiła, czy przyjaźni zostanie na zawsze zerwana.

Doprowadziła się do stanu takiego nerwowego podniecenia, że czuła się wyczerpana, jakby trawiła ją gorączka. Walcząc z atakami paniki, dwukrotnie usiadła i włożyła głowę między kolana. Niewiele pomogło. Usłyszawszy dzwonek, otworzyła Julie drzwi ze spoconymi dłońmi i walącym sercem.

– O rany!

– Coś nie tak? Źle wyglądam. – Potwierdziły się jej wszystkie wątpliwości i obawy; czuła wstręt do siebie i upokorzenie, gdy Julie taksowała ją wzrokiem. – Przepraszam. Możesz wziąć swój dokument.

– Twoje włosy...

– Nie wiem, co wpadło mi do głowy. Chciałam tylko spróbować...

– Są obłędne! Wyglądasz fantastycznie. Nie poznałabym cię. Och, mój Boże, Liz, wyglądasz na dwadzieścia jeden lat i jesteś sexy!

– Naprawdę?

Julie oparła rękę na biodrze.

– Ukrywałaś się.

Puls w jej gardle tętnił jak w otwartej ranie.

– A więc w porządku? Dobrze wyglądam?

– Wyglądasz rewelacyjnie. – Julie z ciełym spojrzeniem zakreśliła palcem kółko w powietrzu.

– Obróć się, Liz. Zobaczmy całość.

Elizabeth, zarumieniona i bliska łez, okręciła się na palcach.

– Och, tak. Dokonamy dziś podboju.

– Ty też wyglądasz fantastycznie. Jak zawsze.

– Jesteś naprawdę miła.

– Podoba mi się twoja sukienka.

– To mojej siostry. – Julie zrobiła obrót i upozowała się w czarnej mini z odkrytymi plecami. – Zabije mnie, jeśli się dowie, że ją wzięłam.

– Czy to fajnie? Mieć siostrę?

– Nie jest źle mieć starszą siostrę, która nosi taki sam rozmiar, nawet jeśli przeważnie zachowuje się jak jędra. Pokaż mi prawko. Licznik bije, Liz.

– Och, tak. – Liz otworzyła wieczorową torebkę, którą wybrała z kolekcji matki, i wyjęła fałszywe prawo jazdy Julie.

– Wygląda jak prawdziwe – powiedziała Julie po wnikliwym obejrzeniu, po czym popatrzyła na Elizabeth szeroko otwartymi ciemnymi oczami. – To znaczy, no wiesz, autentyczne.

– Wyszły bardzo dobrze. Chociaż gdybym miała lepszy sprzęt, zrobiłabym je jeszcze lepiej. Ale na dziś wystarczą.

– Nawet w dotyku jest jak prawdziwe – wymamrotała Julie. – Masz zdolności, dziewczyno. Mogłabyś zbić na tym kasę. Znam dzieciaki, które dużo by dały za takie papiery.

Znów ogarnął ją popłoch.

– Nikomu o tym nie mów! To tylko na dzisiejszy wieczór. Wiesz, że to nielegalne, i jeśli ktoś się dowie...

Julie przytknęła palec do serca, a potem do ust.

– Nie dowiedzą się tego ode mnie. – No może oprócz Tiffany i Amber, pomyślała. Posłała Elizabeth szybki uśmiech, pewna, że potrafi przekonać swoją Najlepszą Dozgonną Przyjaciółkę do sfabrykowania jeszcze dwóch takich dokumentów.

– No to jazda.

Elizabeth zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na klucz, a Julie wzięła ją za rękę i pociągnęła do czekającej taksówki. Wsiadła, podała kierowcy nazwę klubu, a potem odwróciła się do Elizabeth.

– A teraz plan akcji. Po pierwsze: chłód.

– Powinam zabrać sweter?

Julie wybuchnęła śmiechem, a potem, widząc, że Elizabeth mówi poważnie, przewróciła oczami.

– Mam na myśli, że musimy być spokojne i zachowywać się swobodnie, jakbyśmy stale chodziły do klubów. Jakby to nie było dla nas wielkie halo, tylko kolejny sobotni wypad.

– Chodzi ci o to, żeby zachować spokój i wtopić się w tłum?

– Dokładnie. A gdy już będziemy w środku, zajmujemy stół i zamawiamy koktajle cosmo.

– Co to jest?

– No wiesz, drinki, jakie piją dziewczyny w *Seksie w wielkim mieście*.

– Nie znam ich.

– Nieważne. To jest na topie. Mamy po dwadzieścia jeden lat, Liz, jesteśmy w modnym klubie, zamawiamy modne drinki.

– Aha. – Elizabeth pochyliła się i ściszyła głos. – A twoi rodzice nie

zorientują się, że piłaś?

– Rozstali się zeszłej zimy.

– Och, przykro mi.

Julie wzruszyła ramionami i przez chwilę patrzyła w okno.

– To się zdarza. W każdym razie nie zobaczę ojca aż do środy, a mama wyjechała na weekend ze swoimi nudnymi przyjaciółmi. Emma wyszła na randkę, a poza tym i tak ją nie obchodzę. Mogę robić, co chcę.

Elizabeth skinęła głową. Obydwie były w pewnym sensie w podobnej sytuacji. W domu nie było nikogo, kto by się nimi interesował.

– A więc pijemy cosmo – podjęła.

– Rozmawiamy. I rozglądamy się. Dlatego na początku tańczymy tylko ze sobą; to nam da czas, żeby wyczaić facetów, a im pozwoli nam się przyjrzeć.

– To dlatego dziewczyny tańczą razem? Zastanawiałam się nad tym.

– Poza tym to jest zabawne, zresztą wielu chłopaków nie tańczy. Masz komórkę?

– Tak.

– Jeśli nas rozdziela, dzwaniamy się. Jeśli jakiś facet poprosi cię o numer telefonu, nie podawaj mu domowego. Komórka jest okej, chyba że twoja matka ją sprawdza.

– Nie. Nikt do mnie nie dzwoni.

– Z takim wyglądem jak dziś to się zmieni. Jeśli nie chcesz, żeby miał twój numer, podaj mu fałszywy. Następna sprawa. Zresztą ty już jesteś w college'u, a więc znasz się na tym. Mówimy, że mieszkamy w jednym pokoju. Ja studiuje nauki humanistyczne. A ty w czym się specjalizujesz?

– Mam iść na medycynę, ale...

– Lepiej się tego trzymaj. Mów prawdę, gdy tylko to możliwe. Wtedy

się nie popłaczesz.

– A więc będę na medycynie, zaczynam staż. – Nawet sama myśl o tym przygnębiała ją. – Ale nie chcę rozmawiać o studiach, chyba że będę musiała.

– Faceci lubią głównie rozmawiać o sobie. Och, Boże, jesteśmy już prawie na miejscu. – Julie otworzyła torebkę, sprawdziła twarz w małym lusterku i poprawiła błyszczyk na ustach, a więc Elizabeth zrobiła to samo. – Możesz zapłacić za taksówkę? Wzięłam stówkę ze schowka matki, ale prócz tego jestem bez kasy.

– Oczywiście.

– Oddam ci. Mojego ojca łatwo zbajerować.

– Mogę zapłacić. – Elizabeth wyliczyła pieniądze za taksówkę, dodając napiwek.

– O rany, mam gęsią skórkę. Nie mogę uwierzyć, że idę do Warehouse 12! To prawdziwa bomba!

– Co teraz? – spytała Elizabeth, gdy wysiadły.

– Ustawiamy się w kolejce. Wiesz, nie wpuszczają do środka każdego, nawet z dokumentem.

– Dlaczego?

– To szpanerski klub, a więc zatrzymują rozmaitych palantów. Ale zawsze wpuszczają gorące laski. Takie jak my.

Była długa kolejka i ciepły wieczór. Obok szumiał normalny uliczny ruch, zagłuszając rozmowy czekających na wejście. Elizabeth napawała się tą chwilą, dźwiękami, zapachami, widokami. Sobotni wieczór, pomyślała, a ona stoi w kolejce przed modnym klubem w modnym towarzystwie. Ma na sobie nową sukienkę – czerwoną sukienkę – oraz buty na wysokich, bardzo wysokich obcasach, w których czuje się duża i silna.

Nikt nie dawał jej wzrokiem do zrozumienia, że tu nie pasuje.

Mężczyzna, który w drzwiach sprawdzał dokumenty, miał na sobie garnitur i buty wyczyszczone na wysoki połysk. Włosy związał z tyłu w kucyk, odsłaniając twarz. Przez lewy policzek biegła blizna. W prawym uchu błyszczał kolczyk.

– To bramkarz – szepnęła Elizabeth do Julie. – Zrobiłam rozeznanie. Wyrzuca ludzi sprawiających kłopoty. Wygląda na bardzo silnego.

– Musimy go minąć spokojnie i wejść do środka.

– Klub należy do Five Star Entertainment. Na czele firmy stoją Michaił i Siergiej Wołkowowie. Uważa się, że są powiązani z rosyjską mafią.

Julie przewróciła oczami.

– Mafia jest włoska. Nie znasz *Soprano*?

Elizabeth nie rozumiała, jaki związek może mieć śpiew z mafią.

– W Rosji od czasu upadku komunizmu rośnie przestępczość zorganizowana. Właściwie była już nieźle zorganizowana wcześniej...

– Liz, oszczędź mi lekcji historii.

– Jasne. Przepraszam.

– Po prostu pokaż mu swój dokument, nie przestając do mnie mówić. – Julie podniosła głos, ponieważ podchodziły do drzwi. – Porzucenie tego cieniasa było najlepszą rzeczą, którą zrobiłam od miesiący. Mówiłam ci, że dziś dzwonił do mnie trzy razy?

O Boże, albo coś koło tego. – Przelotny uśmiech do bramkarza i Julie, kontynuując rozmowę z Elizabeth, podsunęła mu swój dokument. – Powiedziałam mu, żeby spadał. Jeśli nie ma dla mnie czasu, znajdzie się ktoś inny.

– Najlepiej nie przywiązywać się do jednej osoby, a już zdecydowanie nie na tym etapie.

– Co ty powiesz? – Julie wyciągnęła dłoń do podstemplowania. –

Jestem gotowa sprawdzić innych facetów. Stawiam pierwszą kolejkę.

Julie minęła bramkarza, a gdy ten powtarzał procedurę, stemplując rękę Elizabeth, jej uśmiech był tak szeroki, że Elizabeth zdziwiła się, że nie pochłonął bramkarza w całości.

– Dziękuję – powiedziała, gdy postemplował wierzch jej dłoni.

– Dobrej zabawy, moje panie.

– Same jesteśmy zabawne – rzuciła do niego Julie, po czym złapała Elizabeth za rękę i pociągnęła do środka, gdzie panował ogłuszający hałas.

– Och, mój Boże, jesteśmy w środku! – Julie wydała z siebie triumfalny pisk, który niemal utonął w muzyce, a potem podskoczyła i uściskała Elizabeth.

Oszołomiona tym uściskiem Elizabeth zeszywniała, a Julie podskoczyła jeszcze raz.

– Jesteś genialna!

– To prawda.

Julie roześmiała się, a jej oczy dziko zabłyśły.

– A teraz stolik, cosmopolitany, taniec i podryw.

Elizabeth miała nadzieję, że muzyka zagłusza walenie jej serca, tak samo jak stłumiła pisk Julie. Mrowie ludzi. Nie była przyzwyczajona do przebywania w takim tłumie. Wszyscy poruszali się albo coś mówili, podczas gdy muzyka dudniła, dudniła, dudniła jak wodospad i przesycala każdy haust powietrza. Ludzie kłębili się na parkiecie, podrygując, kręcąc się w kółko i pocąc. Tłoczyli się w boksach, wokół stolików, wzdłuż długiego, zakręconego stalowego baru.

Starła się zachować „chłód”, więc sweter na pewno nie był potrzebny. Całe jej ciało pulsowało.

Przeciskanie się przez tłum – wymijanie, kluczenie, wpadanie na siebie

– wprawilo serce Elizabeth w galop. Niepokój ściszał ją za gardło, przytłaczał klatkę piersiową. Tylko mocny chwyt Julie powstrzymywał ją przed ucieczką.

Julie zmierzała najkrótszą drogą do stolika wielkości talerza.

– Bingo! Och, mój Boże, wygląda, że są tu wszyscy, którzy się liczą. Musimy złapać jakiś stolik bliżej parkietu. Tu jest strasznie. Didżej nas zagłusza. – W końcu zatrzymała wzrok na twarzy Elizabeth. – Hej, dobrze się czujesz?

– Tu jest taki tłok i gorąco...

– No jasne. Kto by chodził do zimnego i pustego klubu? Posłuchaj, musimy się napić, więc idę do baru. Ja stawiam, skoro ty zapłaciłaś za taksówkę. Zorientuję się w terenie. Ty zrób tutaj to samo. Dwa cosmopolitany nadchodzą!

Pozbawiona kotwicy, jaką była ręka Julie, Elizabeth nerwowo zacisnęła dłonie. Rozpoznając oznaki paraliżującego strachu i klaustrofobii, skupiła się na świadomym uspokojeniu oddechu. Nie spanikowała tylko dlatego, że została wchłonięta przez tłum. Nakazywała swemu ciału spokój, poczynając od palców u nóg, a potem coraz wyżej.

Gdy dotarła do brzucha, napięcie na tyle opadło, że mogła przyjąć rolę obserwatora. Właściciele – i ich architekt – dobrze zaprojektowali przestrzeń dawnego magazynu, wykorzystując postindustrialne motywy w postaci odsłoniętych kanałów wentylacyjnych i rur oraz starych ceglanych ścian. Stal – baru, stolików, krzeseł i stołków – odbijała migające kolorowe światła, które miarowo pulsowały w rytm muzyki.

Otwarte żelazne schody prowadziły na drugą kondygnację, również otwartą. Ludzie tłoczyli się na galerii albo wokół stolików. Prawdopodobnie na tamtym poziomie jest drugi bar, pomyślała. Drinki przynoszą dochód.



Tu na dole, na szerokiej podwyższonej platformie, pod migającymi światłami, pracował didżej. Kolejny obserwator, stwierdziła Elizabeth, wyniesiony na godną i zaszczytną pozycję, skąd mógł przypatrywać się tłumowi. Miał długie ciemne włosy, którymi płynnie poruszał podczas pracy. Był ubrany w koszulkę z nadrukiem. Z odległości nie mogła rozpoznać wzoru, widziała jedynie jakąś grafikę w zjadliwym pomarańczowym kolorze na czarnym tle.

Dokładnie pod jego stanowiskiem kilka kobiet wyginało ciała, kołysząc zapraszająco biodrami.

Teraz już spokojna, Elizabeth wsłuchiwała się w muzykę. Podobała jej się – mocny, powtarzający się rytm, dudnienie bębnów i ostry, metaliczny brzęk gitary. I podobało jej się, że tancerki wybierały różne sposoby poruszania się do tego rytmu. Ramiona uniesione nad głową albo zgięte jak u boksera, dłonie zaciśnięte w pięści, wysunięte łokcie, stopy płasko, stopy do góry.

– Wow! Po prostu wow. – Julie postawiła na stoliku wysokie szklanki i usiadła. – Omal nie rozlałam po drodze, co by mnie dobiło. Osiem dolców każda.

– Napoje alkoholowe przynoszą klubom i barom największe dochody.

– Pewnie tak. Ale są dobre. Upiłam trochę mojego i jest jak cios Batmana! – Roześmiała się i pochyliła nad stolikiem. – Powinnyśmy tak pić, żeby starczyły, aż znajdziemy jakichś facetów, którzy postawią nam następne.

– Dlaczego mieliby stawiać nam drinki?

– O matko! Bo jesteśmy gorące i chętne laski. Wypij trochę, Liz, i wstajemy zaprezentować nasze walory.

Elizabeth posłusznie pociągnęła łyk.

– Dobry. – Smakując, wypła jeszcze jeden. – I bardzo ładny.

– Chcę się wstawić i wyluzować! Hej, uwielbiam tę piosenkę. Czas się trochę poruszać.

Znów chwyciła Elizabeth za rękę.

Gdy okrążył ją tłum, Elizabeth zamknęła oczy. To tylko muzyka, pomyślała. Tylko muzyka.

– No, no, ładnie się ruszasz.

Elizabeth ostrożnie otworzyła oczy i skupiła uwagę na Julie.

Słucham?

– Obawiałam się, że będziesz drętwa, no wiesz. Ale nieźle ci idzie. Potrafisz tańczyć – uzupełniła Julie.

– Och. Muzyka towarzyszyła ludziom od wieków i odgrywała rolę stymulującą. Taniec to jedynie kwestia koordynacji nóg i bioder. I naśladownictwa. Często podpatrywałam, jak inni tańczą.

– Mów sobie, co chcesz, Liz.

Elizabeth podobało się to poruszanie biodrami. Podobały jej się obcasy, przydawały jej pewności siebie, a sukienka ocierająca się o skórę wprowadzała element seksualny. W tych światłach wszystko wyglądało surrealistycznie, a muzyka zdawała się być wszechogarniająca.

Dyskomfort związany z przebywaniem w tłumie zmniejszył się, a więc gdy Julie zderzyła się z nią biodrami, wybuchnęła szczerym śmiechem.

Tańczyły i tańczyły. Wróciły do miniaturowego stolika, wypity do końca swoje drinki, a gdy kelnerka przechodziła obok, Elizabeth beztrąsko zamówiła następne.

– Po tańcu chce mi się pić – powiedziała do Julie.

– Już czuję miły szumek w głowie. A tamten facet gapi się na nas bezceremonialnie. Nie, nie patrz!

– Jak mogę go zobaczyć, jeśli nie spojrzę?

– Uwierz mi na słowo, że jest całkiem do rzeczy. Zaraz rzucę mu powłóczyście spojrzenie i odchyłę głowę do tyłu, a ty, jakby nigdy nic, obróć krzesło. To ten blondyn z lekko falującymi włosami. W obcisłej białej koszulce, czarnej marynarce i džinsach.

– Och, tak. Widziałam go już wcześniej, przy barze. Rozmawiał z długowłosą blondynką w jaskraworóżowej sukience z głębokim dekoltem. Ma złoty okrągły kolczyk w lewym uchu, a na środkowym palcu prawej ręki złoty sygnet.

– Jezu, ty naprawdę masz oczy dookoła głowy, jak moja mama zwykła mówić o sobie. Skąd wiesz, skoro nie patrzyłaś?

– Widziałam go przy barze – powtórzyła Elizabeth. – Zauważyłam go, ponieważ wydawało się, że ta kobieta jest na niego wściekła. A pamiętam, ponieważ mam pamięć ejdetyczną.

– Czy to śmiertelne?

– To nie jest choroba ani ułomność. Och! – Lekko się rumieniąc, Elizabeth zgarbiła plecy. – Przecież żartujesz. Zwykle używa się określenia pamięć fotograficzna, ale to nie jest dokładnie to samo. To coś więcej niż tylko zdolność odtwarzania obrazów.

– Tak czy owak, przygotuj się.

Ale Elizabeth była bardziej zainteresowana przypatrywaniu się Julie – jak z przechyloną na bok głową uśmiecha się leniwie i tajemniczo i strzela oczami spod rzęs. Potem nastąpiło szybkie potrząśnięcie i odrzucenie głowy do tyłu, dzięki czemu jej włosy uniosły się na chwilę, a potem znów opadły.

Czy to gest wrodzony? Czy raczej wyuczony? A może kombinacja jednego i drugiego? W każdym razie Elizabeth pomyślała, że potrafi go naśladować, chociaż nie ma już długich włosów, które mogłaby podrzucać.

– Wiadomość odebrana. Och, jaki ma uroczy uśmiech. Och, mój Boże, podchodzi do nas. Naprawdę tu podchodzi.

– Przecież tego chciałaś. Dlatego... dałaś mu znak.

– Tak, ale... założę się, że ma co najmniej dwadzieścia cztery lata. Jak nic. Zachowuj się jak ja.

– Przepraszam?

Elizabeth podniosła wzrok tak samo jak Julie, ale nie zaryzykowała uśmiechu. Musiała go najpierw poćwiczyć.

– Zastanawiam się, czy nie mogłybyście mi pomóc.

Julie wykonała drugą wersję podrzutu włosami.

– Może.

– Niepokoję się, czy pamięć przypadkiem mi nie szwankuje, ponieważ nigdy nie zapominam pięknych kobiet, a nie mogę sobie przypomnieć żadnej z was. Powiedźcie mi, że nigdy tu nie byłyście.

– Jesteśmy tu pierwszy raz.

– No to wszystko jasne.

– Przypuszczam, że często tu bywasz?

– Co wieczór. To mój klub... to znaczy – dodał z olśniewającym uśmiechem – mam w nim udział.

– A więc jesteś jednym z Wołkowów? – spytała mimochodem Elizabeth, a potem, gdy przeszył ją palącym spojrzeniem niebieskich oczu, poczuła, że robi jej się jeszcze cieplej.

– Alex Gurewicz. Jestem ich kuzynem.

– Julie Masters. – Julie wyciągnęła rękę, a Alex szarmancko pocałował jej dłoń. – A to moja przyjaciółka, Liz.

– Witajcie w Warehouse 12. Dobrze się bawicie?

– Muzyka jest super.

Gdy podeszła kelnerka z drinkami, Alex porwał rachunek z tacy.

– Pięknym kobietom, które po raz pierwszy przychodzą do mojego klubu, nie wolno płacić za drinki.

Julie szturchnęła stopę Elizabeth pod stołem, a sama uśmiechnęła się promiennie do Aleksa.

– A więc będziesz musiał się do nas przyłączyć.

– Z wielką chęcią. – Mruknął coś do kelnerki. – Zwiedzacie Chicago?

– Mieszkamy tu, od urodzenia – odpowiedziała Julie, pociągając spory łyk swego drinka. – Obydwie. Przyjechałyśmy do domu na wakacje. Studiujemy na Harvardzie.

– Harvard? – Przechylił głowę na bok; jego oczy lśniły. – Piękne i mądre. Już prawie się zakochałem. Jeśli jeszcze potraficie tańczyć, jestem zgubiony.

Julie wypić kolejny łyk.

– Będziesz więc potrzebował mapy.

Roześmiał się i wyciągnął do niej obie dłonie. Julie ujęła jedną i wstała.

– Chodź, Liz. Pokażmy mu, jak tańczą dziewczyny z Harvardu.

– Och, ale on chce tańczyć z tobą.

– Z obydwoma. – Alex trzymał wyciągniętą rękę. – Co czyni mnie najszcześniejszym mężczyzną w tym lokalu.

Zacząła się wymawiać, ale Julie zza pleców Aleksa zrobiła kolejną dramatyczną minę polegającą na przewracaniu oczami, ruszaniu brwiami i innych grymasach. A więc wzięła go za rękę.

Właściwie nie prosił jej do tańca, ale Elizabeth doceniła jego dobre maniery, ponieważ mógł zostawić ją przy stoliku samą. Robiła, co w jej mocy, aby być z nimi, a jednocześnie im nie zawadzać. Mniejsza z tym, kochała taniec. I muzykę. Kochała panujący wokół niej hałas, ruch, zapachy.

Gdy się uśmiechnęła, nie było to wyuczone, ale naturalne wygięcie warg. Alex puścił do niej oczko i z szerokim uśmiechem położył dłonie na biodrach Julie.

Następnie uniósł podbródek, dając komuś za nią jakiś znak.

Gdy Elizabeth odwracała się, żeby spojrzeć, ktoś chwycił ją za rękę i tak szybko nią zakręcił, że prawie potknęła się na obcasach.

– Jak zawsze mój kuzyn jest zachłanny. Ma dwie kobiety, podczas gdy ja nie mam żadnej. – W jego głosie pobrzmiwał egzotyczny, rosyjski akcent. – Chyba że się zlitujesz i ze mną zatańczysz.

– Ja...

– Nie odmawiaj, piękna damo. – Przyciągnął ją bliżej i zakołysał. – To tylko taniec.

Żeby mu się przyjrzeć, musiała podnieść wzrok. Był wysoki, miał ciało twarde, umięśnione. W przeciwieństwie do Aleksa był brunetem o długich falujących włosach i prawie czarnych oczach w śniadej twarzy. Gdy się do niej uśmiechał, na jego policzkach ukazywały się dołeczki. Serce wykonało w jej piersi salto i zadrzało.

– Masz ładną sukienkę – skomplementował.

– Dziękuję. Jest nowa.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– I to w moim ulubionym kolorze. Mam na imię Ilia.

– A ja... Liz. Jestem Liz... *Prijatno poznakomitsja.*

– Miło mi również. Mówisz po rosyjsku.

– Tak, trochę...

– Piękna dziewczyna, w sukni w moim ulubionym kolorze, która w dodatku mówi po rosyjsku. Mam dziś szczęśliwy wieczór.

Nie, pomyślała Liz, gdy nadal ją przytulając, uniósł jej dłoń do swoich

ust. Och, nie. To jest jej szczęśliwy wieczór.

Najlepszy wieczór w jej życiu.

### 3

Przenieśli się do zacisznej łoży. Wszystko toczyło się gładko, płynnie, jak w zaczarowanym śnie. Było tak magiczne, jak efektowny różowy drink, który ni stąd, ni zowąd pojawił się przed nią.

Czuła się jak Kopciuszek na balu, a do północy była jeszcze cała wieczność.

Gdy usiedli, nie odstępował jej, nie spuszczał z niej oczu i pochylał się ku niej tak blisko, jakby tłum i muzyka nie istniały. Dotykał jej, gdy mówił, a każde muśnięcie jego palców po dłoni czy ramionach budziło w niej niesamowity dreszcz.

– Co studiujesz na Harvardzie?

– Medycynę. – To nie będzie prawdą, ale chwilowo brzmiało wiarygodnie.

– A więc doktor. Na to trzeba wielu lat, prawda? Jaką specjalizację wybierzesz?

– Moja matka chce, żebym została neurochirurgiem.

– Chirurg mózgu? No, no, wielki, ważny lekarz krojący mózgi. – Przesunął opuszką palca po jej skroni. – Musisz być bardzo zdolna.

– Jestem. Bardzo zdolna.

Roześmiał się, jakby powiedziała coś niezwykle zabawnego.

– Dobrze jest znać swoje możliwości. Mówisz, że tego chce twoja matka. A ty też tego chcesz?

Upiła łyk drinka i pomyślała, że on również jest bardzo inteligentny, a

przynajmniej bystry.

– Nie, właściwie nie.

– A jaką specjalizację chcesz robić?

– Wcale nie chcę zostać lekarzem.

– Nie? A kim?

– Chcę zajmować się przestępstwami komputerowymi i pracować w FBI.

– FBI? – Jego ciemne oczy otworzyły się szerzej.

– Tak. Chcę prowadzić śledztwa dotyczące zaawansowanych technologii, oszustw internetowych – terroryzmu, seksualnego wykorzystywania. To ważna dziedzina, która stale się zmienia wraz z rozwojem technologii. Im więcej ludzi korzysta i uzależnia się od komputerów i elektroniki, tym więcej przestępców to wykorzystuje. Złodzieje, oszuści, pedofile, a nawet terroryści.

– To twoja pasja?

– Tak... tak sędzę.

– A więc musisz iść tą drogą. Zawsze powinniśmy realizować nasze pasje, prawda? – Kiedy musnął jej kolano, poczuła ciepło powoli rozchodzące się po brzuchu.

– Nigdy tego nie robiłam. – Czy właśnie to jest namiętność, zastanawiała się. To leniwie ciepło przepływające przez ciało? – Ale chcę zacząć.

– Musisz szanować matkę, ale ona powinna również szanować ciebie. Dorosłą kobietę. Każda matka chce, żeby jej dziecko było szczęśliwe.

– Ona chce, żebym nie zmarnowała swojego intelektu.

– Ale ten intelekt jest twoją własnością.

– Zaczynam w to wierzyć. Jesteś w college'u?



– Skończyłem naukę. Teraz pracuję w rodzinnym biznesie. To przynosi mi satysfakcję. – Zanim Elizabeth zdała sobie sprawę, że jej szklanka jest prawie pusta, skinął na kelnerkę, aby przyniosła kolejną.

– Ponieważ to jest twoja pasja.

– Właśnie. Podążam za swoimi pasjami.

Zamierzał ją pocałować. Co prawda przedtem nikt jej nie całował, ale często to sobie wyobrażała. Nagle odkryła, że wyobraźnia nie jest jej najmocniejszą stroną.

Wiedziała, że pocałunek przekazuje biologiczne informacje przez feromony, że stymuluje zakończenia nerwowe znajdujące się w wargach i na języku, wywołując reakcję chemiczną, która jest przyjemna. To wyjaśnia, dlaczego, poza kilkoma wyjątkami, występuje we wszystkich kulturach.

Ale okazało się, że praktyka to zupełnie co innego niż teoria.

Delikatnie pocierał jej usta swoimi miękkimi i gładkimi wargami, stopniowo zwiększając ich nacisk, a jednocześnie przesunął rękę do góry, od jej bioder do klatki piersiowej. Jej serce biło nierówno pod jego dłonią, gdy wsunął język do jej ust i powoli przesunął nim po jej języku.

Wstrzymała oddech, a potem wydała z siebie bezwiedny jęk, prawie bólu – i cały świat wokół niej zawirował.

– Jak słodko – wymamrotał, a vibracja słów na jej wargach i ciepło jego oddechu wewnątrz jej ust, wywołały dreszcz na plecach. – Bardzo słodko. – Przygryzł zębami jej dolną wargę, a potem cofnął się i popatrzył na nią z uwagą. – Podobasz mi się.

– Ty też mi się podobasz. Lubię cię całować.

– A więc musimy to powtórzyć w tańcu. – Pomógł jej wstać, jednocześnie muskając jej usta. – Ty nie jesteś... och, brak mi słowa... zblazowana. Chyba to jest właściwe. Nie jesteś podobna do dziewczyn, które

przychodzą tu potaćzyć, napić się i poflirtować z facetami.

– Nie mam zbyt wielkiego doświadczenia w tych sprawach.

W jego czarnych oczach pulsowały ogniki.

– A więc inni mężczyźni nie mają tyle szczęścia co ja.

Gdy Ilia prowadził ją na parkiet, Elizabeth zerknęła do tyłu na Julie i zobaczyła, że jej przyjaciółka również się całuje. Nie tak delikatnie, gwałtowniej, ale wydawało się, że Julie się to podoba, w pełni się angażowała, a więc...

Potem Ilia wziął ją w ramiona i kołysali się na parkiecie, wolno, inaczej niż pozostali, dynamicznie podrygujący i obracający się jakby w pośpiechu. Oni po prostu kołysali się, a jego usta błędziły po jej ustach.

Przestała myśleć o reakcjach chemicznych i zakończeniach nerwowych. Zamiast tego starała się w pełni odwzajemniać pieszczoty. Instynktownie objęła go ramionami za szyję. Gdy wyczuła w nim zmianę, napór jego stwardniałego ciała, wiedziała, że to normalna, bezwiedna fizyczna reakcja.

Mimo wszystko to ją zdumiało. Bo to ona wywołała tę reakcję. Po raz pierwszy w życiu ktoś jej pożądał...

– Co ty ze mną wyprawiasz – szeptał jej do ucha. – Twój smak, twój zapach.

– To feromony.

Popatrzył na nią ze ściągniętymi brwiami.

– Co takiego?

– Nic. – Wtuliła twarz w jego ramię.

Wiedziała, że alkohol osłabia jej percepcję, ale miała to w nosie. Chociaż знаła przyczynę własnej słabości, znów uniosła twarz do pocałunku, tym razem sama go inicjując.

– Powinniśmy usiąść – powiedział po dłuższej chwili. – Przy tobie

miękną mi kolana.

Wziął ją za rękę i wrócili do stolika. Julie z rozplomienionymi oczami i zarumienioną twarzą podniosła się raptownie. Zatoczyła się lekko i ze śmiechem porwała torebkę.

– Zaraz wracam. Chodź, Liz.

– Dokąd?

– A jak myślisz? Do łazienki.

– Och, przepraszam.

Julie wzięła ją pod rękę trochę ze względu na zachowanie równowagi, trochę w geście solidarności.

– Och, mój Boże. Dajesz wiarę? Poderwałyśmy najbardziej gorących facetów w klubie. Jezu, są tacy sexy. A twój ma jeszcze ten uroczy akcent. Chciałabym, żeby mój też go miał, no ale całuje się o niebo lepiej niż Darryl. Praktycznie jest właścicielem tego klubu, wiesz? I ma dom nad jeziorem. Zaraz się stąd zmyjemy i pojedziemy tam.

– Do jego domu? Myślisz, że powinniśmy?

– No jasne. – Julie z rozmachem otworzyła drzwi do łazienki i spojrzała na rząd zamkniętych kabin. – Jak zwykle, a mnie naprawdę chce się sikać! Wypiłam morze alkoholu! A jak ten twój facet, dobrze się całuje? Powtórz jeszcze raz, jak mu na imię?

– Ilią. Tak, jest w tym bardzo dobry. Podoba mi się, nawet bardzo, ale nie jestem pewna, czy powinniśmy z nimi jechać do domu Aleksa.

– Och, wyluzuj, Liz. Nie możesz mnie teraz zawieść. Chcę iść na całość z Alekssem, a nie mogę pojechać z nim tam sama, nie na pierwszej randce. Nie musisz tego robić z Ilią, jeśli jesteś dziewicą.

– Seks to akt naturalny i konieczny nie tylko dla prokreacji, ale również, przynajmniej u ludzi, dla przyjemności i odreagowania stresu.

– Załapałaś. – Julie wzięła ją pod rękę. – A więc nie uważasz mnie za dziwkę, bo chcę to zrobić z Alekssem?

– To przetrwały produkt uboczny społeczeństwa patriarchalnego, że kobiety uznaje się za dziwki lub lekkiego prowadzenia, gdy dla przyjemności uprawiają seks z mężczyznami, podczas gdy mężczyźni uważa się jedynie za pełnych temperamentu. Dziewictwo nie powinno być nagrodą do zdobycia ani przeszkodą. Błona dziewicza nie ma nadzwyczajnych właściwości, nie dodaje tajemnej siły. Kobiety, tak jak mężczyźni, powinny – nie, muszą – mieć prawo do zaspokajania własnych potrzeb seksualnych, niezależnie, czy celem jest prokreacja, czy związek, niekoniecznie monogamiczny.

Wysoki i chudy rudzielec, straszący włosy przed lustrem, uśmiechnął się promiennie do przechodzącej Elizabeth.

– Śpiewaj o tym głośno, siostrzyczko!

Elizabeth przysunęła się do Julie, podczas gdy kobieta kontynuowała swoje zajęcie.

– Dlaczego miałabym śpiewać? – wyszeptwała.

– To tylko takie powiedzonko. Wiesz, Liz, wyobrażałam sobie ciebie jako taką niedotykalną piczkę, która zaciska nogi i robi to tylko w ubraniu.

– Brak doświadczenia nie czyni mnie pruderyjną.

– Kapuję. Wiesz, tak sobie z początku myślałam, że gdy już dostaniemy się do środka, zostawię cię na lodzie i podłączę się do kogoś innego, ale jesteś naprawdę zabawna, nawet jeśli często gadasz jak belfer. Wybacz mi, że tak myślałam.

– W porządku. Nie zrobiłaś tego. Przecież wiem, że nie jestem podobna do twoich przyjaciółek.

– Hej. – Julie objęła ramieniem Elizabeth i ją uścisnęła. – Teraz jesteś moją przyjaciółką, prawda?

– Mam nadzieję. Ja nigdy...

– Och, dzięki Bogu! – Z okrzykiem ulgi Julie chwiejnym krokiem ruszyła do przodu, gdy jedna z kabin się zwolniła. – A więc jedziemy do Aleksa, zgoda?

Elizabeth rozejrzała się po zatłoczonej łazience. Wszystkie kobiety czekające w kolejce poprawiały makijaż i włosy, zaśmiewały się i rozmawiały. Prawdopodobnie była tu jedyną dziewczyną.

Dziewictwo nie jest nagrodą, przypominała sobie. Ale ciężarem też nie. Należało do niej, mogła je zatrzymać albo stracić. Jej wybór. Jej życie.

– Liz?

– Tak. – Biorąc uspokajający oddech, Liz pomaszzerowała do następnej zwolnionej kabiny. – Tak – powtórzyła, zamykając drzwi i zaciskając powieki. – Pojedziemy. Razem.

Przy stoliku Ilia podniósł szklanekę z piwem.

– Jeśli te dziewczyny mają po dwadzieścia jeden lat, to ja mam sześćdziesiąt.

Alex tylko się roześmiał i wzruszył ramionami.

– Ale wystarczająco dużo. A ta moja jest napalona, naprawdę.

– Ona jest pijana, Aleksiej.

– No i co z tego? Nie wlewałem jej drinków do gardła. Mam ochotę na świeże mięso i, kurwa, dziś wieczór będę się pieprzył. Tylko mi nie mów, bratku, że nie planujesz przelecieć tej gorącej czarnulki.

– Jest urocza. – Usta Ilii rozciągnęły się w uśmiechu. – I trochę niedojrzała. Nie upiła się tak jak ta twoja. Jeśli będzie chciała, wezmę ją do łóżka. Podoba mi się jej umysł.

Alex wykrzywił usta.

– Dajże, kurwa, spokój.

– Mówię serio. To czegoś dodaje. – Powiódł wzrokiem po sali. Wszystkie prawie takie same, pomyślał o przechodzących kobietach, zbyt przewidywalne. – Orzeźwiająca – oto dobre słowo.

– Blondynka kombinuje, żebyśmy pojechali do mnie. Wszyscy. Powiedziała, że pojedzie tylko z przyjaciółką. Możecie zająć pokój gościnny.

– Wolę własne mieszkanie.

– Posłuchaj, albo obie, albo żadna. Zainwestowałem ponad dwie godziny, żeby ją podochościć, nie po to, żeby teraz zabrała swoją świetną dupę w troki, ponieważ ty nie możesz dobić interesu z przyjacielem.

Oczy Ilii stwardniały nad szklanką piwa.

– Potrafię dobić interesu, *dwojurodnoj brat*.

– A jak myślisz, kuzynie, gdzie dobijemy go przyjemniej? W kiepskim mieszkaniu, w którym nadal tkwisz, czy w moim domu nad jeziorem?

Ilia wzruszył ramionami.

– Wolę swoje przytulne mieszkanie, ale zgoda. Pojedziemy do ciebie. Tylko żadnych prochów, Aleksiej.

– Och, na litość boską.

– Żadnych narkotyków. – Ilija nachylił się, stukając palcem w stół. – Trzymaj się prawa. Nie znamy ich, a tej mojej, jak sędzę, wcale by się nie spodobały. Chce pracować w FBI.

– Jaja sobie robisz.

– Nie. Żadnych dragów. Inaczej nie jadę, a ty tracisz bzykanko.

– Dobrze. Wracają.

– Wstawaj. – Ilija szturchnął Aleksa pod stołem. – Udawaj dżentelmena. Podniósł się i wyciągnął rękę do Liz.

– Z przyjemnością stąd wyjdziemy – oświadczyła Julie, wieszając się na ramieniu Aleksa. – Z chęcią obejrzymy twój dom.

– Tak właśnie zrobimy. Nie ma to jak prywatne przyjęcie.

– A co z tobą? – mruknął Ilia, gdy ruszyli.

– W porządku. Julie bardzo chce jechać, a ponieważ jesteśmy razem, więc...

– Nie pytam o to, czego chce Julie. Pytam, czy ty tego chcesz.

Spojrzała na niego i westchnęła z drżeniem. Miało dla niego znaczenie, czego ona chce.

– Tak. Chcę z tobą wyjść.

– To dobrze. – Wziął jej dłoń i trzymał na sercu, gdy przeciskali się przez tłum. – Chcę z tobą być. Opowiesz mi więcej o Liz. Chcę wiedzieć o tobie wszystko.

– Julie powiedziała, że chłopaki... to znaczy mężczyźni chcą tylko mówić o sobie.

Roześmiał się i otoczył jej talię ramieniem.

– W takim razie, jak poznają fascynujące kobiety?

Gdy dotarli do drzwi, zbliżył się do nich jakiś mężczyzna w garniturze i klepnął Ilię w ramię.

– Chwileczkę – rzucił Ilia do Liz, a potem odszedł na bok.

Niewiele słyszała; rozmawiali po rosyjsku. Ale mogła zauważyć, przelotnie zerkając na profil Ilii, że nie był zadowolony z tego, co usłyszał.

Warknięcie *czort wozmi* z pewnością było przekleństwem. Kazał mężczyźnie zaczekać, po czym wyprowadził Liz na dwór, gdzie stali już Alex z Julie.

– Muszę jeszcze coś załatwić. Przepraszam.

– W porządku. Rozumiem.

– Do kurwy nędzy, Ilia, wysłuzże się kim innym.

– To moja praca – uciał krótko Ilia. – Nie zabierze mi dużo czasu,

najwyżej godzinę. Jedź z Aleksiejem i swoją przyjaciółką. Przyjadę, gdy tylko skończę.

– Och, ale...

– Chodź, Liz, wszystko w porządku. Zaczekasz na Ilię u Aleksa. On ma muzykę, jaką chcesz, i kino domowe.

– Poczekaj. – Ilija pochylił się i złożył na ustach Elizabeth długi i głęboki pocałunek. – Będę niebawem. Jedź ostrożnie, Aleksiej. Wieziesz cenny towar.

– A więc znów mam dwie piękne kobiety. – Nie mogąc się powstrzymać, Alex objął ramionami obie dziewczyny. – Ilija wszystko traktuje zbyt serio. A ja lubię się bawić. Jesteśmy za młodzi na powagę.

Ciemny SUV zahamował przy krawężniku. Alex dał znak i złapał kluczyki, które rzucił mu szofer. Otworzył drzwi. Liz w poczuciu obowiązku wobec Julie wślizgnęła się na tylne siedzenie. Gapiła się jeszcze na wejście do klubu, wykręcając szyję, gdy Alex odjeżdżał, a Julie na przednim siedzeniu śpiewała do wtóru melodii lecącej ze stereo.

Coś było nie tak. Bez Ilii opadło podniecające oczekiwanie, pozostała zaś banalna i nudna rzeczywistość. Kombinacja alkoholu i jazdy na tylnym siedzeniu wywołała atak choroby lokomocyjnej. Czując mdłości i nagłe potworne zmęczenie, Elizabeth oparła głowę o boczną szybę.

Nie potrzebują jej, pomyślała. Oboje, Julie i Alex, śpiewali i zaśmiewali się nie wiadomo z czego. Alex prowadził zdecydowanie za szybko, pokonując zakręty tak, że żołądek podchodził jej do gardła. Nie zwymiotuje. Nawet gdy zalewał ją żar, zmuszała się żeby oddychać – wolno i równomiernie. Nie upokorzy się wymiotując na tylnym siedzeniu SUV – a Aleksa.

Uchyliła leciutko okno; powietrze owionęło jej twarz. Chciała się



położyć, usnąć. Za dużo wypła i teraz doświadczała kolejnej reakcji chemicznej.

Nie tak przyjemnej, jaką wyzwał pocałunek.

Skoncentrowała się na oddychaniu, na powietrzu smagającym jej twarz, na domach, samochodach, ulicach. Na wszystkim, byle nie na swoim wirującym żołądku i głowie.

Gdy jechał krętą Lake Shore Drive, pomyślała, że są bardzo blisko jej domu w Lincoln Park.

Gdyby tak mogła pojechać do domu, położyć się w spokoju i przespać nudności i zawroty głowy. Gdy jednak Alex zatrzymał się przed ładnym piętrowym domem zbudowanym w tradycyjnym stylu, pomyślała, że przynajmniej może wysiąść z samochodu i stanąć na twardym gruncie.

– Mam tu kilka pięknych widoków – powiedział Alex, gdy on i Julie wysiedli. – Myślałem nad kupieniem apartamentu, ale cenię sobie prywatność. Mnóstwo miejsca do zabawy i nikt nie narzeka na zbyt głośną muzykę.

Julie zachwiała się i parsknęła trochę szalonym śmiechem, kiedy Alex ją złapał i ścisnął dłonią jej pośladek.

Elizabeth wlokła się z tyłu niczym załosne piąte koło u wozu, targana mdłościami.

– Mieszkasz tu sam? – zagadnęła.

– W towarzystwie pustych pokoi. – Otworzył frontowe drzwi i zaprosił je gestem. – Damy przodem.

Wymierzył Elizabeth żartobliwego klapsa, gdy przekraczała próg.

Chciałaby mu powiedzieć, że ma piękny dom, ale prawdę mówiąc, wszystko było tu zbyt błyszczące, zbyt nowe i nowoczesne. Wszędzie ostre krawędzie, lśniące powierzchnie i gładka skóra. Błyszczący czerwony bar,

ogromna czarna skórzana sofa i gigantyczny telewizor na ścianie dominowały w salonie, którego kluczowym punktem był taras za wielkimi szklanymi drzwiami i oknami.

– Och, mój Boże, cudownie! – Julie natychmiast rzuciła się na sofę i wyciągnęła na niej jak długa. – Co za dekadencja.

– I o to chodzi, mała. – Podniósł pilota, wcisnął guzik i dudniąca muzyka wypełniła pokój. – Przygotuję wam drinki.

– Możesz mi zrobić cosmopolitana? – poprosiła Julie. – Uwielbiam cosmo.

– Zaraz przyniosę.

– Mogłabym dostać szklankę wody? – poprosiła Elizabeth.

– Och, Liz, nie bądź taką sztywniaczką.

– Jestem trochę odwodniona. – I Boże, Boże, potrzebowała więcej powietrza. – Mogę wyjść na zewnątrz? – Ruszyła w kierunku drzwi na taras.

– Oczywiście. *Mi casa es su casa.*

– Chcę potańczyć!

Julie gwałtownie się poderwała i zaczęła kręcić się i podrygiwać, a Elizabeth otworzyła szeroko drzwi balkonowe i wyszła na taras. Niepewnym krokiem podeszła do barierki i oparła się o nią. Wyobrażała sobie, że zobaczy cudowny widok, ale wszystko było jakieś zamazane.

Co one robią? Co sobie myślały? To był błąd. Głupi, lekkomyślny błąd. Muszą stąd wyjść. Trzeba przekonać do tego Julie.

Ale śmiech Julie bełkotliwy po kolejnym drinku słyhać było nawet przez muzykę.

Usiądzie na kilka minut, zbierze myśli, poczeka, aż jej żołądek się uspokoi. Może powiedzieć, że dzwoniła matka. Czymże było jeszcze jedno kłamstwo wśród całej reszty. Wymyśli jakąś wymówkę, jakieś dobre,

logiczne wytłumaczenie, żeby stąd wyjść. Musi tylko zebrać myśli.

– Tu jesteś.

Odwróciła się, gdy podszedł Alex.

– Do wyboru. – Stał w złotej poświacie bijącego z dołu światła, w jednej ręce trzymając szklanekę z wodą i lodem, a w drugiej koktajlówkę z efektownym różowym drinkiem, którego widok przyprawiał ją teraz o mdłości.

– Dziękuję. Poproszę tylko wodę.

– Trzeba się dobrze odżywiać, mała. – Ale odstawił drink na bok. – Nie musisz tu być sama. – Przysunął się i przycisnął ją plecami do drabinki. – Zabawimy się we trójkę. Zajmę się wami obiema.

– Nie sądzę...

– Nie wiadomo, czy Ilia przyjedzie. Praca, praca, praca, oto jego motto. Chociaż wpadłaś mu w oko. Mnie też. Chodź do środka. Będzie dobra zabawa.

– Myślę... że zaczekam na Ilię. Potrzebuję skorzystać z łazienki.

– Twoja strata, maleńka. – Chociaż wzruszył ramionami, pomyślała, że widzi jakąś migoczącą iskierkę w jego oczach. – Na lewo. Za kuchnią.

– Dzięki.

– Zawsze możesz zmienić zdanie – zawołał za nią, gdy pobiegła do drzwi.

– Julie. – Chwyciła Julie za ramię, gdy ta starała się wykonać jakiś karkołomny piruet na podłodze.

– Świetnie się bawię. To najlepsza noc w moim życiu.

– Julie, za dużo wypiałś.

Wydając nieokreślony dźwięk, Julie odtrąciła Elizabeth.

– W żadnym razie.

– Musimy iść.

– Musimy zostać i bawić się!

– Alex powiedział, że może wziąć nas obie do łóżka.

– Ooch! – Parskając śmiechem, Julie znów zakręciła się w kółko. – On się tylko wygłupia, Liz. A ty się nie wymądrzaj. Twój chłopak będzie tu za kilka minut. Spoko, strzel sobie jeszcze jednego.

– Nie chcę już nic pić. Niedobrze mi. Chcę jechać do domu.

– Nie pojedziesz. Nikt się tam tobą nie zajmie. Chodź, Lizzy! Zatańcz ze mną.

– Nie mogę. – Liz przycisnęła dłoń do żołądka, czując, że się poci. – Muszę... – Niezdolna do walki, pospieszyła na lewo, zerkając na Aleksa, opartego o drzwi na taras i uśmiechającego się do niej szeroko.

Połykając łzy i potykając się, przebiegła przez kuchnię i niemal padła na kafelki, zatraskując za sobą drzwi łazienki.

W pół sekundy zdążyła je zablokować i już klęczała nad sedesem. Zwymiotowała paskudną lepką różową ciecz i ledwie chwyciła oddech, zwymiotowała ponownie. Łzy lały się z jej oczu strumieniami, gdy podźwignęła się, przytrzymując umywalki. Prawie oślepią, puściła zimną wodę, wypluła usta i opryskała twarz.

Dygocząc, uniosła głowę i zobaczyła w lustrze twarz – białą jak wosk z sinymi zaciekami od tuszu pod oczami. Większość tuszu ciekła jej po policzkach strugami niczym czarne łzy. Ogarnął ją wstyd, ale następna fala mdłości rzuciła ją znów na kolana.

Świat wirował wokół niej. W końcu wyczerpana skuliła się na kafelkach podłogi i rozpląkała. Oby tylko nikt nie zobaczył jej w takim stanie.

Chciała pojechać do domu.

Chciała umrzeć.

Leżała tak, cała się trzęsąc, z policzkiem przytulonym do zimnej podłogi, aż wreszcie uznała, że może spróbować usiąść. W pomieszczeniu cuchnęło wymiocinami i potem, ale nie mogła wyjść, dopóki nie doprowadzi się do ładu.

Umyła się jak najstaranniej mydłem i wodą, trąc twarz aż do żywej skóry, przerywając tylko na chwilę, by się pochylić i zwalczyć kolejną falę mdłości.

Twarz miała bladą, szkliste oczy otaczała czerwona obwódka. Ale ręce jej się trzęsły, więc próby poprawienia makijażu skazane były na porażkę.

Musi przełknąć upokorzenie, wyjść na taras, na świeże powietrze, i czekać na Ilię. Poprosi, żeby odwiózł ją domu. Miała nadzieję, że ją zrozumie.

Już nigdy nie będzie chciał jej widzieć. Nigdy jej nie pocałuje.

Przyczyna i skutek, przypominała sobie. Kłamała, kłamała i kłamała, a w rezultacie doznała nowego upokorzenia i, co gorsza, prześlýsku tego, co mogłoby być, gdyby sprawy potoczyły się inaczej.

Opuściła klapę sedesu, usiadła i kurczowo ściskając torebkę, przygotowywała się na następny krok. Znużona, ściągnęła na chwilę buty. Jakie to ma znaczenie? Bolały ją stopy, a dla Kopciuszka nieodwołalnie wybiła północ.

Z całą godnością, jaką mogła z siebie wykrzesać, poszła do kuchni umeblowanej na czarno, gdzie tylko blaty świeciły bielą.

Gdy obróciła się w stronę salonu, zobaczyła Aleksa i Julie – nagich, uprawiających seks na skórzanej kanapie.

Stała jak wryta. Oszołomiona i zafascynowana przyglądała się, jak tatuaże na plecach i ramionach Aleksa falują w rytm ruchów jego bioder. Leżąc pod nim Julie wydawała z siebie gardłowe jęki.

Zawstydzona tym widokiem, Elizabeth po cichu się wycofała i przez

kuchnię wyszła na taras.

Posiedzi w ciemności, na powietrzu, dopóki nie skończą. Nie jest przecież pruderyjna. W końcu to tylko seks. Ale wolałaby, naprawdę by wolała, żeby uprawiali go za zamkniętymi drzwiami sypialni.

Pożałowała, że nie ma ze sobą wody na zmaltretowane gardło oraz koca, ponieważ zrobiło jej się zimno. Czowała chłód, pustkę i wielką, obezwładniającą słabość.

Potem skulona w fotelu, zasnęła w ciemnym kącie tarasu.

Nie wiedziała, co ją obudziło – głosy, łoskot – ale ocknęła się sztywna i przemarznięta na fotelu. Spojrzała na zegarek, spała zaledwie kwadrans, czuła się jednak jeszcze gorzej niż przedtem.

Musi wrócić do domu. Ostrożnie przemknęła pod drzwi balkonowe, żeby sprawdzić, czy Julie i Alex już skończyli.

Nie widziała Julie, tylko Aleksa, który miał na sobie jedynie czarne bokserki, oraz dwóch całkowicie ubranych mężczyzn.

Zagryzając wargę, podeszła trochę bliżej. Może przyjechali, żeby powiedzieć Aleksowi, że Ilia się spóźni. Och, Boże, tak bardzo chciała, żeby przyjechał i zawiózł ją do domu.

Pamiętając o tym, jak fatalnie wygląda, chowała się w cieniu, podkradając się pod drzwi, które Alex zostawił otwarte.

– Do kurwy nędzy, mówże po angielsku. Ja urodziłem się w Chicago. – Alex, wyraźnie rozzłoszczony, podszedł do barku i nalał sobie szklanekę wódki. – Co takiego do mnie masz, Korotkij, co nie mogło poczekać do jutra?

– Po co odkładać do jutra? Czy mój amerykański ci wystarczy?

Mężczyzna, który to mówił, miał muskularne, atletyczne ciało. Krótkie rękawy koszulki opinały mu bicepsy. Na jego ramionach widniały tatuaże. Podobnie jak Alex był przystojnym blondynem. Krewny? – przemknęło

Elizabeth przez myśl. Podobieństwo było nikłe, ale istniało.

Jego towarzysz był wyższy, starszy i stał jak żołnierz na warcie.

– Taak, ty pieprzony jankesie. – Alex wypił wódkę jednym haustem. – Jestem już po godzinach pracy.

– A ty tak ciężko pracujesz. – Aksamitny głos Korotkija prześlizgiwał się po słowach. Ale pod gładkim, intrygującym akcentem kryła się twarda i brutalna nuta, chropawa jak wyszczerbiony kamień. – No tak, trzeba ciężko pracować, żeby okradać wuja.

Alex, zajęty odsypywaniem białego proszku z plastikowej torebki na małe, kwadratowe lusterko leżące na barku, przerwał tę czynność.

– O czym ty gadasz? Nie okradam Siergieja.

– Kradniesz z klubów i restauracji, bierzesz działkę z oszustw internetowych, z dochodów z kurew. Ze wszystkiego, co możesz dopaść. To nie jest okradanie wuja? Uważasz go za idiotę?

Uśmiechając się szyderczo, Alex podniósł cienki metalowy przyrząd i zaczął nim ugniatać proszek.

Kokaina, zorientowała się Elizabeth. Och, Boże, co ona najlepszego zrobiła! Po co tu przyjechała!

– Jestem lojalny wobec Siergieja – stwierdził Alex, dzieląc kokainę na porcje. – A jutro pogadam z nim o tych zasranych bredniach.

– Myślisz, że on nie wie, skąd miałeś na roleksa, Armaniego, Versacego, ten dom i resztę swoich zabawek i na twoje narkotyki, Aleksiej? Myślisz, że on nie wie, że wszedłeś w układ z glinami?

Narzędzie stuknęło o blat, gdy Alex je upuścił.

– Nie zadaję się z glinami.

Kłamie, pomyślała Elizabeth. Widziała to w jego oczach, słyszała w jego głosie.

– Zatrzymali cię dwa dni temu, za posiadanie. – Korotkij z wyraźnym obrzydzeniem pokazał gestem kokainę. – A ty zawarłeś z nimi układ, *mudak*<sup>1</sup>. Zdradziłeś rodzinę w zamian za wolność, za swoje wygodne życie. Wiesz, jaki los spotyka złodziei i zdrajców, Aleksiej?

– Porozmawiam z Siergiejem. Wyjaśnię. Musiałem rzucić im coś na pożarcie, ale to były pierdoły. Same pierdoły. Ograłem ich.

– Mylisz się, Aleksiej, to oni ograli ciebie. To ty przegrałeś.

– Porozmawiam z Siergiejem. – Gdy cofnął się o krok, drugi mężczyzna ruszył ku niemu – zwinnie jak na swoją posturę – i złapał Aleksa od tyłu za ramiona.

– Nie rób tego, Jakow. – Na twarzy Aleksa pojawiło się przerażenie i znów przeszedł na rosyjski. – Jesteśmy przecież kuzynami. Nasze matki są siostrami. Jesteśmy jednej krwi.

– Okryłeś hańbą swoją matkę, całą rodzinę. Na kolana.

– Nie. Nie rób tego.

Ten drugi popchnął Aleksa na podłogę.

– Nie. Proszę. Jesteśmy rodziną. Daj mi szansę...

– Tak, błagaj. Błagaj o swoje nędzne życie. Kazałbym Jegorowi rozerwać cię na strzępy, ale twój wuj życzył sobie, by okazać ci litość, ze względu na jego siostrę.

– Proszę. Miej litość.

– Oto ona. – Korotkij wyciągnął z tyłu zza paska broń, przystawił ją do czoła Aleksa i wystrzelił.

Nogi ugięły się pod Elizabeth. Upadła na kolana i przycisnęła dłoń do ust, aby stłumić krzyk.

Korotkij, mamrocząc coś pod nosem, przyłożył broń do skroni Aleksa i

---

1 *Mudak* (ros.) ~ kretyn, idiota (przyp. red.).



strzelił jeszcze dwa razy.

Jego twarz nie wyrażała żadnego uczucia, była jak maska. Nagle nabrał czujności; podniósł wzrok i spojrzał w stronę kuchni.

– Jest mi niedobrze, Alex. Muszę się położyć albo może powinniśmy...  
Kim jesteście?

– O kurwa – wybełkotał Korotkij i z miejsca, bez namysłu, dwukrotnie strzelił do Julie. – Dlaczego nie wiedzieliśmy, że jest ze swoją dziwką?

Drugi mężczyzna podszedł do Julie i pokręcił głową.

– To jakaś nowa. Bardzo młoda.

– I starsza nie będzie.

Elizabeth pociemniało przed oczami. To był sen. Koszmar. Ponieważ tyle wypła i chorowała. Za chwilę się obudzi. Skulona w ciemności wpatrywała się w ciało Aleksa. Zauważyła, że prawie nie było krwi. Gdyby to się działo naprawdę, czy nie powinno być więcej krwi?

Obudź się. Obudź się. Obudź się.

Jej przerażenie wzrosło, gdy zobaczyła wchodzącego Ilię.

Zabiją go. Ten facet go zastrzeli. Musi mu pomóc. Musi...

– Kurwa mać, co ty zrobiłeś?

– To, co mi kazano.

– Kazano ci tylko połamać mu rękę, i to jutro wieczorem.

– Rozkazy się zmieniły. Nasz informator doniósł, że Aleksiej wszedł w romans z glinami.

– Chryste! Co za skurwysyn!

Elizabeth obserwowała z przerażeniem, jak Ilia kopie martwego Aleksa, raz, dwa, trzy razy.

Jeden z nich, pomyślała. Jest jednym z nich.

Ilia przerwał, odgarnął włosy z czoła, a potem zauważył ciało Julie.

– O cholera. Czy to było konieczne?

– Widziała nas. Powiedziano nam, że jego dziewczka wyszła z innym facetem.

– Ta mała miała pecha, że szukał świeżego mięsa. Gdzie ta druga?

– Druga?

Piękne czarne oczy zlodowaciały.

– Były dwie. Ta i jej koleżanka. Krótkie czarne włosy, czerwona sukienka.

– Jegor.

Osilek skinął głową, wyciągnął nóż i zaczął iść po schodach na górę. Ili pokazał coś gestem, a Korotkij, wykonując rozkaz, ruszył do kuchni. Ili podszedł do drzwi tarasu.

– Liz – szepnął. – Wszystko w porządku. Zaopiekuję się tobą.

Wyciągnął nóż z buta i chowając go za plecami, zapalił zewnętrzne lampy.

Zobaczył jej buty, rozejrzał się po tarasie i podbiegł do barierki.

– Nikogo tu nie ma – zakomunikował Korotkij, stając w drzwiach.

– Była tu. Znajdź ją.

## 4

Biegła na oślep, z szeroko otwartymi, niewidzącymi oczami, zachłystując się łkaniem; oddech rozdzierał jej płuca. Nie mogła wydać krzyku, który dławził ją w gardle. Bo by ją usłyszeli. A jeśli usłyszą, jeśli ją złapią, zabiją.

Tak jak Julie.

Zwalczyła instynktowną chęć wybiegnięcia na ulicę. Mogło ich tam być

więcej, takich samych jak Ilia. Skąd miała wiedzieć, czy samochód, który zatrzyma, nie będzie do nich należał? Skąd miała wiedzieć, czy jeśli załomocze do drzwi jakiegoś domu, nie otworzy jej któryś z nich?

Musi biec, uciec jak najdalej i jak najszybciej. Musi się ukryć.

Przeskakiwała ogrodzenia, przedzierała się przez żywopłoty. Gdy ziemia raniła jej stopy, dusiła w sobie okrzyki bólu. Chowała się przed księżycem, jak kret drążyła ciemność.

Pies zaszczekał wściekle, gdy pędziła przez czyjeś podwórko.

Żeby jej tylko nie usłyszeli, żeby nie nadbiegli.

Nie odwracaj się.

Poczuła rwący ból w boku. Przez straszliwą chwilę, gdy upadła jak długa, pomyślała, że ją postrzelono. Leżała na ziemi, przyciągając kolana do piersi, ostry oddech drapał jej gardło.

Skurcz, to tylko skurcz. Ale razem z nim nadeszła potężna fala mdłości. Podźwignęła się na czworaka i krztusiła się, szlochała, charczała i zwijała się w torsjach.

Jestem w szoku, pomyślała, szcękając zębami. Spocona i drżąca, miała zawroty głowy, mdłości i przyspieszony puls. Była w szoku, a musiała się skupić i myśleć trzeźwo.

Potarła energicznie ramiona, żeby się rozgrzać, walcząc zarazem o spowolnienie oddechu. Pomacała wokół siebie w poszukiwaniu torebki, którą upuściła, upadając. Zdołała ją utrzymać przy sobie podczas ucieczki, co było pocieszające. Widać całkiem nie utraciła zdolności myślenia.

Musi zadzwonić na policję; wezwać pomoc.

– Wyjmij telefon – poinstruowała się szeptem. – Naciśnij pierwszy klawisz szybkiego wybierania. Powiedz im... powiedz...

– Dziewięćset jedenaście, słucham.

– Pomóżcie mi. Możecie mi pomóc?

– Co się stało?

– On ich zastrzelił. – Łzy popłynęły jej z oczu, prawie tłumiąc głos. – On ich zastrzelił, a ja uciekłam.

– Czy pani zgłasza strzelaninę?

– On ich zabił. Zabił Julie. Ja uciekłam.

– Wysłałam pomoc. Gdzie pani się znajduje?

– Nie wiem. – Przykryła dłonią usta, walcząc, by znów nie wybuchnąć płaczem. – Biegłam. Po prostu biegłam. Myślę, że jestem niedaleko Lake Shore Drive. Proszę poczekać. Może pan poczekać? Proszę się nie rozłączać!

– Jestem na linii. Jak się pani nazywa?

– Elizabeth. Elizabeth Fitch.

– Elizabeth, czy rozpoznajesz cokolwiek? Jakiś punkt orientacyjny, adres?

– Coś widzę. Jestem za jakimś domem. Z szarego kamienia, z wieżyczkami. – Pokuśtykała pod dom, gwałtownie się trzęsąc, gdy czujnik ruchu włączył światła. – Tu jest... tu jest wybrukowany podjazd i wielki garaż. Tarasy i... ogrody.

– Możesz wyjść na ulicę?

– Tak. Widzę ją. Są tu latarnie. Ale jeśli nadejdą, zobaczą mnie w światłach.

– Cały czas mów. Nie rozłączaj się, Elizabeth. Znajdziemy cię po sygnale.

– Widzę adres. Numery. – Przeczytała je.

– Policja już jedzie. Pomoc jest w drodze, Elizabeth. Jesteś ranna?

– Nie. Nie, uciekłam. Byłam na zewnątrz, gdy oni przyszli. Na tarasie. Nie widzieli mnie. On ich zastrzelił. Zastrzelił. Zabił Julie!

– Gdzie to się stało?

– Nie wiem. Nie znam adresu. Gdzieś na Lake Shore Drive. Nie powinniśmy tam jechać. Nie powinniśmy pojechać do tego domu. Julie nie żyje.

– Kim jest Julie, Elizabeth?

– Ju... Julie Masters. Moja przyjaciółka, Julie. Samochód nadjeżdża. Muszę się ukryć.

– To radiowóz policyjny. Jedzie z pomocą.

– To pewne? – Panika ścisnęła jej klatkę piersiową, odcinała powietrze.

– Czy to pewne?

– Mam z nimi łączność, zbliżają się pod wskazany adres. Powiem, żeby włączyli koguta. Zobaczysz go.

– Tak. Tak. Och, Boże. Widzę. – Postąpiła naprzód w stronę światła. – Dziękuję.

– Jesteś bezpieczna, Elizabeth.

Chcieli ją zawieźć do szpitala, ale kiedy jeszcze bardziej się zaniepokoiła, zabrali ją na posterunek. Skulona pod kocem, który jeden z policjantów zarzucił jej na ramiona, trzęsła się na tylnym siedzeniu radiowozu.

Zaprowadzili ją do pokoju, w którym stał stół i krzesła. Jeden z policjantów z nią został, podczas gdy drugi poszedł po kawę.

– Opowiedz, co się stało.

Pamiętała, że jej się przedstawił. Funkcjonariusz Blakley. Miał surową twarz i zmęczone oczy, ale to on dał jej koc.

– Poszliśmy do klubu. Julie i ja poszliśmy do klubu.

– Julie Masters.

– Tak.

– Do jakiego klubu?

– Warehouse 12. Ja... – Musiała powiedzieć prawdę. Żadnych więcej kłamstw. – Sfałszowałam nasze dokumenty tożsamości.

Na jego twarzy odmalowało się ledwie zauważalne zdziwienie, gdy zapisywał coś w swoim małym notesie.

– Ile masz lat?

– Szesnaście. We wrześniu skończę siedemnaście.

– Szesnaście – powtórzył spokojnie, przyglądając jej się kamiennym wzrokiem. – Gdzie są twoi rodzice?

– Mam tylko matkę. Wyjechała na konferencję medyczną.

– Musimy ją powiadomić.

Elizabeth zamknęła oczy.

– Rozumiem. Nazywa się Susan L. Fitch. Zatrzymała się w hotelu Westin Peachtree Plaza w Atlancie.

– W porządku. A więc sfałszowałaś dokument, żeby dostać się do Warehouse 12?

– Tak, przykro mi. Może mnie pan aresztować, ale musi pan znaleźć mężczyznę, który zabił Julie.

– Powiedziałaś, że byłaś w domu, nie w klubie.

– Poznałyśmy Aleksa w klubie. Pojechałyśmy do niego do domu. Nie powinnyśmy. Piłyśmy alkohol. Nie powinnyśmy pić. Dostałam mdłości, a potem wyszłam na taras, ponieważ... – Znow łzy popłynęły jej po policzkach.

– Wyszłam na taras, a wtedy weszło dwóch mężczyzn. Zabili Aleksa, a potem, kiedy w pokoju pojawiła się Julie, zastrzelili ją. Uciekłam.

– Wiesz, gdzie jest ten dom?

– Mogę go znaleźć. Mogę was tam zabrać albo narysować mapę. Ale nie patrzyłam na adres. Byłam głupia. Byłam głupia. Proszę, nie możemy jej

tam zostawić!

– Znasz nazwisko tego Aleksa?

– Och... tak! – Bogu dzięki. – Alex... ale mężczyzna, który go zabił, nazywał go Aleksiej. Aleksiej Gurewicz.

Blakley był bardzo spokojny, ale popatrzył na nią przenikliwie.

– Chcesz powiedzieć, że będąc w domu Aleksieja Gurewicza, byłaś świadkiem podwójnego morderstwa?

– Tak. Tak. Tak. Proszę...

– Chwileczkę. – Podniósł się, gdy drugi policjant wszedł z kawą. Blakley coś do niego mruknął. Cokolwiek to było, tamten rzucił Elizabeth szybkie spojrzenie, po czym pospiesznie opuścił pokój.

– Ze względu na twój wiek – powiedział Blakley – powiadamy CPS, urząd do spraw opieki nad dziećmi. Przyjdzie detektyw, który z tobą porozmawia.

– Ale Julie. Nie można najpierw tam pojechać? Zostawiłam ją. Ja ją tam zostawiłam...

– Wiemy, gdzie mieszka Gurewicz.

Zostawił ją samą, ale po piętnastu minutach ktoś wszedł i podał jej kubek bulionu z automatu. Nie sądziła, że będzie w stanie jeść, ale po pierwszym łyku zmaltretowany żołądek poprosił o więcej.

Pomimo jedzenia i kawy poczuła jeszcze większe znużenie. W końcu poddała się, położyła głowę na stole i zamknęła oczy.

W pomieszczeniu za ścianą detektyw Sean Riley podszedł do swojej partnerki stojącej przy weneckim lustrze.

– Oto nasz świadek.

– Elizabeth Fitch, lat szesnaście, córka doktor Susan L. Fitch, ordynatora chirurgii w Silva Memorial. – Brenda Griffith upiła potężny łyk

kawy ze Starbucksa. Była policjantką od piętnastu lat, więc wezwania w środku nocy nie stanowiły dla niej rzadkości. Ale kawa zawsze dodawała jej animuszu. – CPS jest w drodze.

– Zweryfikowano już fakty?

– Gurewicz dostał jeden strzał w czoło, dwa w skroń nad uchem. Mały kaliber, strzał z bliska. Ofiara płci żeńskiej – według dokumentu tożsamości Julie Masters – dwadzieścia jeden lat, ale zgodnie z tym, co twierdzi świadek, wiek został zawyżony. Funkcjonariusze donoszą z miejsca przestępstwa, że otrzymała dwa strzały w głowę.

– Pieprzona szesnastka. – Riley, weteran z dwudziestoletnim stażem w policji, chronicznym bólem pleców i przerzedzonymi brązowymi włosami, pokiwał głową. – Ma szczęście, że żyje.

– A skoro tak, zobaczymy, co wie. – Brenda ruszyła do wyjścia. – Pozwól mi poprowadzić, delikatne wejście. Jeśli połowa z tego, co mówi, jest prawdą, przeżyła piekło. CPS już jest.

– Zaniosę tej małej colę czy coś takiego – rzekł Riley. – Obydwoje zaczniemy delikatnie.

Elizabeth obudziła się z przerażeniem, patrząc na kobietę o ładnej twarzy i czarnych włosach, ściągniętych do tyłu w rozwichrzony koński ogon.

– Przepraszam, nie chciałam cię wystraszyć. Jestem detektyw Griffith, a to jest pani Petrie z urzędu do spraw dzieci. Mój partner zaraz przyjdzie. Pomyślał, że może się czegoś napijesz.

– Zasnęłam. Jak długo... – Spojrzała na zegarek. – Och, mój Boże, już prawie rano. Julie...

– Bardzo mi przykro z powodu twojej przyjaciółki.

– To moja wina. Nie powinnyśmy tam iść. Wiedziałam, że źle robimy. Po prostu chciałam... Sfałszowałam nasze prawa jazdy.



– Słyszałam. Mogę zobaczyć twoje?

– Proszę. – Elizabeth wyjęła dokument z torebki.

Griffith oglądała go, obracała w rękach, potem unosząc brwi, spojrzała na Elizabeth.

– Mówisz, że sama je zrobiłaś?

– Tak. Przećwiczyłam, jak się to robi. A Julie chciała wejść do Warehouse 12, więc je zrobiłam. Wiem, że to nielegalne. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Czy jestem aresztowana?

Griffith zerknęła na Petrie, a potem znów na Elizabeth.

– Myślę, że się z tym wstrzymamy. Czy znałaś Aleksieja Gurewicza wcześniej?

– Nie. Przysiadł się do naszego stolika. Zamówiliśmy drinki cosmo. – Przycisnęła dłonie do twarzy. – Boże, czy to się stało naprawdę? Sprawdziłam ten klub w internecie, zanim tam pojechałyśmy. Nigdy nie byłam w nocnym klubie. Przeczytałam kilka artykułów, sugerujących, że właściciele należą do rosyjskiej mafii. Ale nie przyszło mi do głowy... kiedy do nas podszedł, że Ilia...

– Ilia? Czy chodzi o Ilię Wołkowa?

– Tańczyłyśmy z nimi i usiedliśmy w oddzielnej łoży. On mnie pocałował. Nikt wcześniej mnie nie całował. Chciałam wiedzieć, jak to jest. Był dla mnie taki miły, potem...

Urwała, cień strachu pojawił się znów w jej oczach, gdy otworzyły się drzwi.

– Elizabeth, to jest mój partner, detektyw Riley.

– Przyniosłem ci colę. Moja córka nie żyje rano bez coli.

– Dziękuję. Nie wolno mi pić... – Elizabeth uśmiechnęła się półgębkiem. – To głupie, prawda? Wypiłam tyle alkoholu, że dostałam

mdłości. Widziałam, jak zamordowano dwoje ludzi, a nie chcę złamać zakazu matki dotyczącego picia napojów gazowanych. – Otworzyła colę i naląła ją do plastikowego kubka. – Dziękuję – powtórzyła.

– Elizabeth... – Griffith poczekała, aż znów przyciągnie uwagę dziewczyny. – Czy ty, Julie, Gurewicz i Ilia Wołkow opuściliście Warehouse 12 i udaliście się do domu Gurewicza?

– Nie. Tylko troje z nas. Ilia miał jeszcze coś do załatwienia w klubie. Obiecał, że do nas dołączy... i zrobił to, ale później. Już po wszystkim.

– Czy to Ilia Wołkow zamordował Gurewicza i Julie?

– Nie. Tamten mężczyzna nazywał się Jakow Korotkij. Mogę go opisać albo narysować, albo pomóc policyjnemu rysownikowi. Pamiętam jego twarz. Pamiętam ją bardzo dobrze. Mam ejdetyczną pamięć. Nie zapominam. Nigdy nie zapominam – powtórzyła, podnosząc głos i cała się trzęsąc.

W tym momencie pani Petrie zwróciła się do obojga detektywów:

– Elizabeth przeżyła dziś wielki szok. Ma dość jak na jedną noc.

– Nie. Nie. Muszę pomóc. Muszę coś zrobić.

– Otrzymaliśmy zgodę jej matki na przesłuchanie – oświadczyła Griffith.

– Mojej matki?

– Została powiadomiona. Przylatuje rano.

Elizabeth zamknęła oczy.

– W porządku.

– Elizabeth, to ważne. Skąd wiesz, że mężczyzna, który zabił Gurewicza i Julie to Jakow Korotkij?

– Alex zwrócił się do niego po nazwisku, gdy rozmawiali. Julie... musiała być wtedy w łazience. Zdrzemnęłam się chwilę na tarasie. Obudziły mnie głosy... Aleksa i tych dwóch mężczyzn.

– Dwóch mężczyzn.

– Ten drugi był potężniejszy, bardziej umięśniony. Korotkij nazywał go Jegor. Korotkij powiedział do Aleksa, że okrada swojego wuja. Alex nazwał go – tego wuja – Siergiej. Alex zaprzeczył, ale kłamał. Widziałam, że kłamie. Korotkij wyglądał jak... Widzieliście kiedyś kobrę zabijającą mysz? Jak robi to z takim spokojem, jak cieszy się tą chwilą przed na równi z samym atakiem? To tak wyglądało. Alex go lekceważył, jakby sprawował kontrolę. Ale tak nie było. To Korotkij był górą. Alex przestraszył się, kiedy Korotkij mu powiedział, że oni już wiedzą o jego współpracy z policją. Że Siergiej o tym wie. Zaczął go wtedy błagać. Chcecie wiedzieć, co dokładnie mówili?

– Wrócimy jeszcze do tego.

– Ten muskularny facet popchnął Aleksa na kolana. A wtedy Korotkij wyciągnął broń z tyłu zza paska. Musiał tam mieć kaburę. Nie widziałam. I strzelił do niego.

Elizabeth dotknęła palcami czoła.

– Przyłożył mu broń do czoła i zastrzelił go. Nie było huk, wcale. Potem strzelił jeszcze dwa razy. Tutaj. Prawie krzyknęłam. Musiałam przycisnąć dłonie do ust, żeby tego nie zrobić. Korotkij nazwał Aleksa... bardzo mocnym rosyjskim wyzwiskiem.

– Znasz rosyjski?

– Niezbyt biegle. Nie słyszałam tego wyrażenia przedtem, ale... znaczenie wynikało z kontekstu. Wspominam o tym po to, żeby pokazać, jak to szybko się działo. Nazwał Aleksa, nawet jak ten już nie żył, po imieniu. Wtedy weszła Julie, od strony kuchni. Za kuchnią jest toaleta. Powiedziała: „Alex, niedobrze mi. Muszę...” – Tyle zdążyła powiedzieć. Korotkij obrócił się i strzelił do niej. Osunęła się na podłogę. Widziałam, że nie żyje, ale on strzelił jeszcze raz. Potem zaklął po rosyjsku. Przez chwilę nic nie słyszałam,

jedynie krzyk we własnej głowie. Nic nie słyszałam. A potem rozległ się głos Ilii. Pomyślałam, że jego też zabijają. Chciałam go ostrzec, pomóc mu. A potem...

– Zaczekaj. – Riley mówił łagodnie, ale Griffith dobrze wiedziała, to nie był jego zwykły łagodny ton; pobrzmiwał szczerym przejęciem. – Nie spiesz się.

– Mówili po rosyjsku, ale zrozumiałam wszystko lub prawie wszystko. Ilii był wściekły, ale nie z powodu śmierci Aleksa.

Zaniknęła oczy, wzięła głęboki oddech i przytoczyła rozmowę słowo w słowo.

– Jesteś bardzo dokładna – skomentował Riley.

– Mam ejdetyczną pamięć. Uciekłam, ponieważ Ilii wiedział, że przyjechałam do tego domu. Wiedziałam, że o mnie spyta. Wiedziałam, że mnie również zabijają. A więc uciekłam. Nie zwracałam uwagi na to, dokąd biegnę... Po prostu biegłam. Zostawiłam buty. Nie mogłam biec na obcasach, więc zostawiłam je na tarasie. Nie pomyślałam. Zareagowałam instynktownie. Gdybym się zastanowiła, zabrałabym je ze sobą. Musieli je znaleźć. Zrozumieli, że wszystko widziałam. Że wszystko słyszałam.

– Będziemy cię ochraniać, Elizabeth. Obiecuję. – Griffith wyciągnęła rękę i przykryła nią dłoń Elizabeth. – Zadbamy o twoje bezpieczeństwo.

Griffith wyszła z Rileyem z pokoju przesłuchań i złapała się za głowę.

– Chryste, Riley, numer nie z tej ziemi! Wiesz, co tu mamy?

– Naoczego świadka z pamięcią jak komputer, który w dodatku zna rosyjski. Mamy w garści tego skurwiela Korotkija i tego śliskiego gada Ilię Wołkowa. I, jak Bóg da, dorwiemy Siergieja. Jeśli ona wytrzyma, złamie kark całej bandzie Wołkowa.

– Wytrzyma. – Twardym, błyszczącym wzrokiem Griffith spojrzała na

drzwi. – Trzeba przejść do spraw zasadniczych, Riley, zapewnić jej bezpieczne schronienie. Potrzebujemy pomocy US Marshals Service<sup>2</sup>.

– Pieprzyć ich.

– Poprosimy o pomoc. Ale nie oddamy śledztwa.

– Do licha, nie cierpię, kiedy masz rację. Zabierajmy się do roboty.

Wiesz, co zauważyłem u naszego świadka?

– Co takiego?

– Wyglądała na równie przybitą wiadomością o powrocie swojej matki jak całą resztą.

– Myślę, że domowe restrykcje to teraz jej najmniejszy kłopot.

Elizabeth miała przed oczami mgłę. Wszystko jedno, dokąd ją zabierają. Chciała tylko spać. A więc spała w samochodzie z dwoma detektywami i panią Petrie. Gdy wóz się zatrzymał, wysiadła bez słowa skargi i jak lunatyczka poszła do niewielkiego domu z drewnianą oblicówką. Przyjęła od detektyw Griffith koszulkę i bawełniane spodnie i udało jej się w nie przebrać w małej sypialni z wąskim, pojedynczym łóżkiem. Bała się swoich snów, ale wyczerpanie pokonało strach.

Leżała na łóżku, przykryta policyjnym kocem. Gdy zamknęła oczy, czuła, jak łzy spływają jej spod powiek.

Potem nie czuła już nic.

Obudziła się w środku dnia, spragniona i głodna.

Nie miała pojęcia, co będzie dalej. Przez całe życie dokładnie wiedziała, co i kiedy ma robić. Teraz nie miała żadnego planu, żadnego harmonogramu, na którym mogłaby się oprzeć.

Zawstydzало ją, że jest głodna, że pragnie się napić kawy, wziąć

---

<sup>2</sup> Amerykańska agencja federalna, podległa Departamentowi Sprawiedliwości, będąca wyspecjalizowaną jednostką policyjną, m. in. zajmującą się ochroną świadków (przyp. tłum. ).

prysznic i umyć zęby. Codziennosc, zwykle sprawy. Julie nigdy juz nie poczuje glodu, nigdy nie bedzie robic zwyczajnych rzeczy.

Wstala, krzywiac sie lekko, gdy jej obolale stopy dotknely podlogi. Zdala sobie sprawe, ze dokucza jej cale ciało. Powinno boleć, stwierdzila. Powinna cierpiec.

Przypomniała sobie o matce. Matka jest w drodze, a może już wróciła. Spotkanie z nią będzie gorszą karą niż ból i głód.

Oczekując tej kary, z lekkim skrzypieniem otworzyła drzwi.

Usłyszała głosy – zaledwie szmer – wciągnęła w nozdrza woń kawy. Poczula zapach. Skrzywiła się, uzmysławiając sobie normalność tego doznania. Nadal mogła czuć... Chciała kary, ale miała nadzieję, że zanim ją otrzyma, pozwolą jej wziąć prysznic.

Poszła w kierunku głosów.

I zamarła.

Jakiś nieznajomy stał w małej biało – żółtej kuchni. Wysoki, tyczkowaty mężczyzna nalewał z dzbanka kawę do grubego białego kubka. Przerwał i uśmiechnął się do niej.

Był ubrany w dżinsy i białą koszulę; na ramieniu miał kaburę.

– Dzień dobry. A właściwie dobre popołudnie. Jestem John Barrow, agent US Marshals. Wszystko w porządku, Elizabeth. Jesteśmy tu, aby zapewnić ci bezpieczeństwo.

– Jest pan z US Marshals – powtórzyła.

– Tak. Później przeniesiemy cię do innego bezpiecznego domu.

– Czy detektyw Griffith tu jest?

– Przyjedzie później. Wzięła trochę twoich ubrań, jakieś rzeczy. –

Przerwał na chwilę, podczas gdy Elizabeth wpatrywała się w niego. – Dałaś jej klucz, powiedziałaś, że może wejść do twojego domu, zabrać stamtąd

twoje rzeczy, szczoteczkę do zębów itp.

– Tak, pamiętam.

– Założę się, że napiłabyś się kawy i wzięła aspirynę.

– Chciałabym... wziąć prysznic, jeśli mogę.

– Oczywiście. – Uśmiechnął się znów, odstawiając dzbanek i kubek.

Miał niebieskie oczy, ale nie takie jak jej matka. Jego były ciemniejsze i było w nich ciepło.

– Przyniosę ci twoją torbę. Jestem tu z agentką Theresą Norton. Chcę, żebyś czuła się bezpieczna, Elizabeth... Czy mówią na ciebie Liz?

Łzy znów zaszczyły ją pod powiekami.

– Julie nazywała mnie Liz. Julie...

– Przykro mi z powodu twojej przyjaciółki. Przeżyłaś ciężkie chwile, Liz. Theresa i ja zaopiekujemy się tobą.

– Zabiją mnie, jeśli mnie znajdą. Wiem.

Ciepłe niebieskie oczy napotkały jej oczy.

– Nie znajdą cię. Nie pozwolimy im cię skrzywdzić.

Chciała mu uwierzyć. Z poczciwą, szczupłą, jak cała reszta jego ciała, twarzą wyglądał na naukowca.

– Jak długo muszę się ukrywać?

– Zajmijmy się na razie dniem dzisiejszym. Przyniosę ci rzeczy.

Gdy wrócił z jej podróżną walizką, stała dokładnie w tym samym miejscu.

– Przygotuję coś do zjedzenia, gdy będziesz się kąpać – zasugerował. – Jestem lepszym kucharzem niż Terry. To jeszcze niewiele znaczy, ale cię nie otruję.

– Dziękuję. Jeśli to nie kłopot.

– W żadnym razie.

– Przepraszam. Nie wiem, gdzie jest prysznic.

– Tędy. – Pokazał. – A potem na prawo.

Przyglądał się, jak odchodzi, a potem podniósł swoją kawę i wpatrywał się w nią. Odstawił kubek, gdy weszła jego partnerka.

– Już wstała – powiedział. – Jezu, Terry, ona wygląda raczej na dwanaście niż dwadzieścia jeden lat. Nigdy nie powinna wejść do tego klubu.

– Widziałam dokument, który podrobiła. Mogłaby zarabiać tym na życie. – Nieduża, silna i ładna jak aniołek Terry, chwyciła dzbanek z kawą. – Jak ona się trzyma?

– Moim zdaniem jej odwaga wisi na cienkiej nitce. Jest uprzejma jak twoja ciocia babcia.

– Gdybym miała ciocię babcie, byłaby wiedźmą z piekła rodem.

– W ogóle nie spytała o matkę. Pytała o Griffith, ale nie o własną matkę. To o czymś świadczy. Zrobię jej jajka na bekonie.

Otworzył lodówkę i wyjął potrzebne produkty.

– Mam się skontaktować z prokuratorem? Chce z nią porozmawiać jak najszybciej.

– Niech ona najpierw coś wrzuci na ruszt. Ale tak, lepiej, żeby spotkał się z nią tutaj, zanim ją przeniesiemy. I dajmy jej trochę czasu, zanim się zorientuje, że może czeka ją życie w ukryciu przez wiele miesięcy.

– A może i lat. Jak ktoś, kto jest tak zdolny, żeby pójść na Harvard, mając zaledwie szesnaście lat, może zadawać się z Wołkowami?

– Czasem szesnaście wystarczy. – John rzucił bekon na patelnię.

– Zadzwoń do prokuratora. Powiem, że za dwie godziny, damy jej czas, żeby się ubrała, zjadła, odetchnęła.

– A przy okazji sprawdź czas przylotu matki.

– Zgoda.



## 5

Gdy Elizabeth wróciła ubrana w dżinsy i niebieską koszulkę bez rękawów z wąską koronkową wypustką na brzegach, nakładał na talerz jajka, bekon i tost.

– Czy detektyw Griffith spakowała wszystko, co ci potrzeba?

– Tak. Nie byłam pewna, co zrobić z walizką. Powiedział pan, że się tu nie zatrzymamy.

– O to się nie martw. Jedz, póki gorące.

Gapiła się na talerz.

– To duża porcja. – Bekon? Jej dietetyczka dostałaby zawału serca.

Uśmiechnęła się na tę myśl.

– Wyglądasz na głodną.

– Jestem głodna. – Nadal się uśmiechała, gdy spojrzała na niego. – Nie wolno mi jeść bekonu.

– Dlaczego?

– Przetworzone mięso, sól, tłuszcz zwierzęcy. Nie ma tego na dozwolonej liście. Moja matka wraz z dietetyczką obmyśliły dla mnie bardzo specyficzny program żywieniowy.

– Doprawdy? Cóż, szkoda by było to wyrzucić.

– Szkoda. – Zapach przyciągnął ją do stołu. – Zadał pan sobie trud, żeby to dla mnie przygotować. – Usiadła, wzięła plasterek bekonu, ugryzła. Zamknęła oczy. – Dobrze.

– Wszystko smakuje lepiej z bekonem. – Postawił wysoką szklanę z sokiem przed jej talerzem i położył obok trzy tabletki tylenolu. – Weź je i popij. Widzę, że masz kaca.

Teraz jej uśmiech zamarł.

– Nie powinniśmy pić.

– Nie, nie powinniście. Czy zawsze robisz to, co powinnaś?

– Tak. To znaczy do wczoraj. I gdybym wczoraj postąpiła tak, jak powinnam, Julie by żyła.

– Liz, Julie nie żyje, ponieważ Jakow Korotkij jest mordercą, ponieważ Wolkowo wie to bardzo źli ludzie. Ty i Julie zrobiłyście głupstwo. Ale ona nie zasługiwała z tego powodu na śmierć. A ty nie jesteś za to odpowiedzialna. Weź tylenol, napij się soku. I zjedz coś.

Posłuchała bardziej z nawyku do posłuszeństwa niż z powodu własnej chęci. Ale, och, jedzenie było takie dobre i dodawało otuchy.

– Czy powie mi pan, co teraz będzie? Nie wiem, co się stanie, i lepiej byłoby, gdybym wiedziała, czego się po mnie spodziewacie.

Przyniósł swoją kawę i usiadł przy stole.

– Wiele zależy od ciebie.

– Ponieważ moje zeznanie na temat tego, co się wydarzyło, co widziałam i co słyszałam, będzie niezbędne do oskarżenia Jakowa Korotkija o morderstwo, a tego drugiego mężczyzny o współudział. A zważywszy na fakty, Ilia jest ich współnikiem. To również może wskazywać na Siergieja Wolkowa, chociaż to może być tylko poszlaka, nie jestem tego pewna. On będzie najbardziej pożądanym celem, ponieważ wydaje się być głową albo jednym z szefów tej organizacji.

John odchylił się na krześle.

– Wygląda na to, że świetnie się orientujesz w sytuacji.

– Śledziłam niektóre procesy kryminalne, a poza tym dużo czytam.

– Od wczoraj.

– Nie. – Chciała się roześmiać, ale śmiech uwiązł jej w gardle. – Odkąd zaczęłam college. Interesuję się takimi sprawami.

– Ale studiujesz medycynę?

Spojrzała na swój talerz i starannie nabrała na widelec odrobinę jajecznicy.

– Tak.

Wstał, otworzył lodówkę, wyjął sobie puszkę coli, a potem drugą. Uniósł pytająco brew.

– Nie powinnam. Tak, proszę o colę.

Otworzył obie puszkę, a potem usiadł. Do środka weszła drobna kobieta z jasnymi włosami związanymi w ogonek.

– Liz, to jest agentka Norton. Terry, to jest Liz.

– Jak się masz, Liz?

– Lepiej, dziękuję.

– Liz właśnie pytała mnie o proces, chociaż wydaje się, że jest w tym doskonale zorientowana. Terry skontaktowała się już z biurem prokuratora. Jeśli twoja matka nie dojedzie na czas, podczas przesłuchania będzie przy tobie reprezentant CPS. Twoja współpraca jest dobrowolna, Liz, ale...

– Mogę zostać zatrzymana jako ważny świadek. To nie będzie konieczne. Muszę współpracować, chcę zeznawać. Może mi pan powiedzieć, czy Wołkowowie to rosyjska mafia?

– To, co uważamy, a co możemy udowodnić...

– Chcę wiedzieć, co uważacie – przerwała Elizabeth. – Myślę, że powinnam znać swoją sytuację. Może według prawa jestem nieletnia, ale nie jestem już dzieckiem. Moje IQ wynosi dwieście dziesięć i mam znakomite umiejętności poznawcze. Wiem, że zachowałam się głupio, ale głupia nie jestem. Rozumiem, że gdy byłam świadkiem morderstw na zlecenie kogoś, kto jest pachanem – ojcem chrzestnym – sama staję się celem. Jeśli będę zeznawać, Korotkij lub ktoś taki jak on, zrobi wszystko, żeby mnie

powstrzymać. Nawet gdy już złożę zeznania, a szczególnie jeśli moje świadectwo doprowadzi do skazania, będę celem. Z zemsty.

Przerwała i wypła łyk coli z puszki. Smakowała wyśmienicie.

– Wczorajszej nocy, a dokładniej dziś rano, byłam trochę osłabiona. Z powodu alkoholu, torsji, a potem szoku. Nie potrafiłam w pełni ocenić sytuacji. Ale teraz już to zrobiłam. Jeśli Wołkowowie to po prostu źli ludzie, jeśli jest to luźno powiązany gang bandytów i kryminalistów, to sytuacja jest trudna. Ale jeśli mamy do czynienia z przestępczością zorganizowaną, z czerwoną mafią, to sprawa ma się o wiele gorzej. Chcę to wiedzieć.

Zauważyła, że dwoje agentów wymieniło spojrzenia.

– Gdy będę miała dostęp do komputera – dodała Elizabeth – sama to zbadam i znajdę odpowiedź.

– Nie wątpię – wymamrotał John. – Sądzymy, do diabła, wiemy, że Wołkowowie to przestępczość zorganizowana. Wiemy, że siedzą po uszy w handlu bronią, ludźmi i oszustwach komputerowych, a ich specjalność to wymuszanie haraczów, kradzieże i narkotyki. Mają szeroko rozgałęzioną organizację, prowadzą interesy w znacznym stopniu legalne, albo wystarczająco legalne, takie jak nocne kluby, restauracje, lokale ze striptizem oraz zarząd nieruchomości. Organy ścigania wyłuskały kilka płótek, ale góra pozostała nieruszona. Wiemy, że Korotkij to cyngiel Siergieja Wołkowa – zawodowy morderca. Ale nigdy nie mogliśmy go przyskrzyńić.

– Z przyjemnością zabił Aleksa. Czuł do niego ogromną pogardę. Tymczasem Julie... zastrzelenie Julie go wkurzyło. Ni mniej, ni więcej. Przepraszam, nie mogę dokończyć jedzenia.

– W porządku.

Przez chwilę patrzyła na swoje dłonie, a potem podniosła wzrok na Johna.

– Nie będę mogła wrócić na Harvard. Ani do domu. Jeśli złożę zeznanie, będę musiała podlegać programowi ochrony świadków. Czy tak?

– Za bardzo wybiegasz w przyszłość – odezwała się Terry.

– Zawsze myślę do przodu. Wczoraj wieczorem tego nie zrobiłam i cena okazała się straszliwa. Czy będę mogła pójść na inny uniwersytet, pod zmienionym nazwiskiem?

– Możemy to załatwić – powiedział John. – Dobrze opiekujemy się swoimi świadkami, Liz. To też możesz sprawdzić w komputerze.

– Nie omieszkam. Nie wiedzą, kim jestem. Chodzi o to, że powiedziałam Ilii tylko moje imię. On wie, że jestem Liz – a naprawdę zawsze byłam Elizabeth. I ja... zanim poszłam do klubu, obcięłam i ufarbowałam włosy. Ja tak wcale nie wyglądam.

– Podobają mi się twoje włosy – wtrąciła Terry. – Dobrze ci w nich.

– Naprawdę tak nie wyglądam. Wczoraj wieczorem, umalowana, w tej sukience, z tymi włosami, wyglądałam inaczej niż zwykle. Może jest jakiś sposób złożenia zeznań, żeby nie dowiedzieli się, kim jestem. Wiem, szansa jest nikła, ale chciałabym w to wierzyć. Przynajmniej na razie.

Terry poruszyła się, gdy zabrzączał jej telefon. Wyciągnęła go z futerału, który miała przy pasku.

– Norton. Taak. Zrozumiałam.

Wsunęła telefon na miejsce.

– Wiozą tu twoją mamę.

– Dobrze. – Elizabeth wstała i zaniósła swój talerz do zlewu. – Zmyję naczynia.

– Pomogę ci – powiedział John.

– Nie. Jeśli nie ma pan nic przeciwko, chciałabym przez chwilę być sama, zanim przyjedzie moja matka.

– Oczywiście. – Położył rękę na jej ramieniu. – Wszystko będzie dobrze, Liz.

Skinęła tylko głową i zajęła się zmywaniem, żeby nie mógł zobaczyć, że ręce jej się trzęsą.

Zanim nieumundurowani policjanci przyprowadzili jej matkę do drzwi, odniosła wrażenie, że zdołała się pozbierać. W skąpo umeblowanym salonie Elizabeth wstała, gdy weszła Susan. Jedno spojrzenie matki wystarczyło, by zrozumiała, że przeprosiny, które przećwiczyła, nie spełnią swojej roli.

– Na litość boską, Elizabeth, coś ty zrobiła z włosami?

– Ja... – Wytrącona z równowagi Elizabeth podniosła rękę do włosów. – Przykro mi.

– No ja myślę.

– Doktor Fitch, jestem agent Barrow, a to jest agentka Norton. Rozumiemy, że sytuacja jest bardzo trudna. Może usiądziemy i dokładnie wyjaśnimy, jakie środki ostrożności podejmujemy, aby chronić pani córkę.

– To nie będzie konieczne. Już zostałam poinformowana. A teraz, jeśli pozwolicie, chciałabym porozmawiać z córką na osobności.

– Przykro mi, pani Fitch, ale ze względu na jej bezpieczeństwo przynajmniej jedno z nas musi być przez cały czas z Elizabeth.

Elizabeth zerknęła na niego, zastanawiając się, dlaczego zostawił ją samą w kuchni.

– Zgoda. Usiądź, Elizabeth. – Susan nadal stała. – Nie ma możliwości do przyjęcia wyjaśnień ani racjonalnego wytłumaczenia twojego zachowania. Jeśli dokładnie przedstawiono mi fakty, złamałaś prawo, fałszując dokumenty, którymi posłużyłaś się, wchodząc do nocnego klubu z inną nieletnią. Piłaś alkohol. Czy to się zgadza?

– Tak. Tak, dokładnie.

– Co gorsza, wykazałaś się nieumiejętnością oceny sytuacji, jadąc z nowo poznanym mężczyzną do jego domu. Czy odbyłaś z nim stosunek seksualny?

– Nie.

– Ważne jest, żebyś odpowiedziała zgodnie z prawdą, ponieważ mogłaś złapać chorobę przenoszona drogą płciową albo zająć w ciążę.

– Z nikim nie uprawiałam seksu.

Susan przyglądała się córce tak chłodnym wzrokiem, jakby badała preparat pod mikroskopem.

– Nie mogę ci wierzyć. Poddasz się badaniom tak szybko, jak to będzie możliwe. Dobrze wiesz, że wszelkie postęпки mają konsekwencje.

– Nie uprawiałam z nikim seksu – powtórzyła stanowczo Elizabeth. – Julie uprawiała seks z Alekssem i teraz nie żyje. To zbyt surowa konsekwencja za ten postępek.

– Swoim zachowaniem naraziłaś siebie oraz tę drugą dziewczynę na poważne niebezpieczeństwo.

Te słowa raniły bardziej niż kamienie.

– Wiem. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

– Ponieważ żadne usprawiedliwienie nie istnieje. Teraz ta dziewczyna nie żyje, a ty jesteś pod ochroną policji. Być może zostaną ci postawione kryminalne zarzuty...

– Doktor Fitch – wtrącił się John – chciałbym uspokoić panią i Elizabeth. Nie zostaną postawione żadne zarzuty.

– Czy to pan o tym decyduje? – warknęła, a potem zwróciła się znów do Elizabeth. – Zdaję sobie sprawę z tego, że dziewczyny w twoim wieku zazwyczaj wykazują się nieumiejętnością właściwej oceny sytuacji, często rzucają wyzwanie autorytetom. Podczas naszej ostatniej rozmowy przed

moim wyjazdem do Atlanty potraktowałam cię pobłażliwie. Ale po kimś z twoim intelektem, inicjatywą, z twoim wychowaniem spodziewałam się czegoś lepszego niż takiej katastrofy. Tylko dzięki zbiegowi okoliczności uniknęłaś śmierci.

– Uciekłam.

– W końcu wykazując się zdrowym rozsądkiem. A teraz zabierz swoje rzeczy. Załatwię ci wizytę w szpitalu u ginekologa, żeby cię zbadał, zanim pojedziemy do domu.

– Ale... ja nie mogę wrócić do domu.

– To nie jest najlepszy moment na prezentowanie źle pojętej niezależności.

– Elizabeth zostaje pod nadzorem US Marshals Service – zaczął John. – Jest jedynym świadkiem podwójnego morderstwa. Podejrzewamy, że mężczyzna, który popełnił te zbrodnie, pełni rolę egzekutora w bratwie Wołkowów. To rosyjska mafia, doktor Fitch, jeśli o tym pani nie poinformowano.

– Jestem świadoma, co Elizabeth zeznała policji.

Elizabeth znała ten ton – ton ordynatora chirurgii, który wymagał rzeczowości, nie znosił oporu, nie akceptował dyskusji.

– Powiedziano mi również, że ten mężczyzna jej nie widział oraz że jej imię i nazwisko nie są znane ani jemu, ani jego współnikom. Zamierzam zabrać córkę do domu, gdzie zostanie właściwie ukarana za swoje godne pożałowania zachowanie.

– Może pani zamierzać, co pani chce, doktor Fitch, ale Liz pozostaje pod ochroną US Marshals Service.

John mówił tak spokojnie, tak rzeczowo, że Elizabeth mogła mu się tylko przyglądać z podziwem.



– Dziś wieczorem zostanie przewieziona w inne miejsce, naszym zdaniem bardziej bezpieczne. Pani dom takim miejscem nie jest, a bezpieczeństwo pani córki jest naszym priorytetem. Przypuszczam zresztą, że również pani.

– Mogę wynająć prywatną ochronę, jeśli to okaże się konieczne. Skontaktowałam się już z moim prawnikiem. Nie można zmusić Elizabeth do zeznawania w tej sprawie.

– Nikt mnie nie zmusza. Zgodziłam się zeznawać.

– Nadal nie potrafisz właściwie osądzić sytuacji. Ta decyzja należy do mnie.

Nazwał ją Liz, pomyślała Elizabeth. Nazwał ją Liz i przeciwstawił się poleceniom doktor Susan L. Fitch. A więc zostanie Liz. Nie będzie ulegać jak Elizabeth.

– Nie, do mnie. – Świat się nie skończył, gdy wypowiedziała te słowa. – Muszę zeznawać. Nie mogę jechać do domu.

Nagły skurcz przemknął po twarzy Susan, na której malował się zimny gniew.

– Czy zdajesz sobie sprawę z konsekwencji takiego postępowania? Nie będziesz mogła wziąć udziału w letnim kursie ani jesienią rozpocząć studiów na Harvardzie. Powierając swoje życie, własne życie, Elizabeth, w ręce ludzi, którym przede wszystkim zależy na skazaniu tego człowieka, bez względu na koszty, jakie ty poniesiesz, opóźnisz swoją edukację, a przez to jej zaszkodziś.

– Julie nie żyje.

– Nic tego już nie zmieni, ale ta decyzja może zniszczyć twoje życie, plany, twoją przyszłość.

– Jak mogę pojechać do domu, jakby nic się nie stało? Wrócić do

mojego życia? I twoich planów, ponieważ one nigdy nie były moje. Jeśli celem policji jest skazanie morderców, akceptuję to. Twoim celem jest tylko to, żebym była posłuszna i żyła życiem, jakie dla mnie wymyśliłaś. Nie mogę tak dłużej. Muszę postąpić właściwie. To właśnie są konsekwencje, mamó. Muszę je ponieść.

– Tylko pogłębisz swój błąd.

– Doktor Fitch – zaczął John – prokurator federalny niedługo tu przyjedzie, żeby porozmawiać z Liz...

– Elizabeth.

– Wysłucha pani, co on ma do powiedzenia. Jakie kroki zostaną podjęte. Będzie pani mogła się zastanowić. Rozumiem, że to dla pani szok. Przewieziemy panią i pani córkę w nowe miejsce, gdzie przez kilka dni będziecie mogły to rozważyć, porozmawiać.

– Nie zamierzam nigdzie z wami jechać i nie mam takiego obowiązku. Spodziewam się, że za dzień lub dwa odzyskasz rozsądek – zwróciła się do Elizabeth. – Gdy zdasz sobie sprawę z ograniczeń, jakie narzuca ci obecna sytuacja, oraz z prawdziwego rozmiaru konsekwencji. Powiem doktor Frisco, że jesteś chora i nadrobisz zaległości w nauce. Przemyśl to dokładnie, Elizabeth. Podjętej teraz decyzji nie będziesz mogła cofnąć.

Czekała, zaciskając usta, gdy Elizabeth milczała.

– Skontaktuj się ze mną, gdy będziesz gotowa do powrotu do domu. Żegnam państwa – powiedziała i ruszyła do drzwi.

John wyprzedził ją.

– Chwileczkę, pani doktor. – Podniósł swój radiotelefon. – Tu Barrow. Doktor Fitch wychodzi. Odwieźcie ją do domu.

– Zrozumiałem. Na zewnątrz jest czysto.

– Nie aprobeuje pan mojej decyzji – skwitowała Susan.

– Nie potrzebuje pani, jak również nie chce, mojej aprobaty, ale tak, to prawda. Zdecydowanie nie aprobuję.

– Ma pan rację. Ani nie potrzebuję, ani nie liczę na pańską aprobatę. – Wyszła, nie oglądając się za siebie.

Gdy wrócił, zobaczył, że Terry siedzi na oparciu fotela Elizabeth, a jej ręka spoczywa delikatnie na ramieniu dziewczyny.

– Ludzie w różny sposób okazują strach lub zmartwienie – zaczął.

– Ona nie była przestraszona ani zmartwiona, a właściwie nie przede wszystkim. Przede wszystkim była zła i zakłopotana, że znalazła się w niewygodnej sytuacji. Rozumiem to.

– Myliła się – powiedziała do niej Terry. – Wiem, że to twoja mama, ale jest w błędzie.

– Ona nigdy się nie myli i nigdy nie była dla mnie „mama”. Czy mogę teraz pójść do swojego pokoju?

– Oczywiście. Ale, Liz – dodał John, wstając – każdy kiedyś się myli.

– Suka – mruknęła pod nosem Terry, gdy Elizabeth opuściła pokój. – Bezduszna suka, przyjeżdża tu, nienaganna w każdym calu, i gnoi swoją córkę w takiej chwili.

– Nawet jej nie dotknęła – wymamrotał John. – Nie objęła, nie spytała, jak się czuje, nie okazała radości, że dzieciak wyszedł z tego cało. Chryste, jeśli tak wyglądało życie tej dziewczyny, to w programie ochrony świadków może jej się tylko polepszyć.

Elizabeth spędziła dwie godziny z panem Pomeroyem z biura prokuratora okręgowego. Musiała znów wszystko dokładnie opowiedzieć, każdy szczegół tamtej nocy, tym razem z przerwami na dokładniejsze wyjaśnienia, cofaniem się, przeskokami do przodu i powrotem do głównego wątku. Było z nim trzech innych mężczyzn, wszyscy w ciemnych

garniturach. Pomimo że nagrywali tę rozmowę, jeden z nich robił jeszcze notatki.

Detektywi Riley i Griffith również przyjechali i w niewielkim domku zrobiło się tłoczno.

W pewnym momencie Pomeroy wyprostował się na krześle i zmarszczył brwi.

– Posłuchaj, Elizabeth, przyznałaś, że wypiałaś kilka drinków. Ile? Trzy, cztery? Więcej?

– Trochę więcej niż cztery. Ostatniego już nie mogłam skończyć. Gdy dojechalismy do Aleksa, napiłam się trochę wody. Zrobił mi kolejnego drinka, ale już go nie chciałam. Było mi niedobrze.

– I rzeczywiście zwymiotowałaś. Następnie, po tym jak się pochorowałaś, przysnęłaś na tarasie. Jak często pijesz alkohol?

– W ogóle nie piję. To znaczy, kosztowałam niewielkie ilości wina, ponieważ moja matka uważa, że powinnam rozwijać wyszukany smak, ale nigdy przedtem nie piłam alkoholowych drinków.

– A więc to było twoje pierwsze doświadczenie z mocnym alkoholem i przez wieczór skonsumowałaś prawie pięć szklanek, pochorowałaś się, zasnęłaś – albo cię zamroczyło – na zewnątrz. A jednak twierdzisz, że jesteś w stanie rozpoznać mężczyzn, którzy weszli do domu i zastrzelili Aleksa Gurewicza i Julie Masters? Z jakiej odległości ich widziałaś?

– Z około trzech metrów. Ale jestem tego pewna. Widziałam ich bardzo wyraźnie. Stali w świetle.

– Czy nie byłaś osłabiona po zwróceniu całego tego alkoholu, po silnych torsjach?

Zawstydzona wpatrywała się w dłonie, które trzymała zaciśnięte na kolanach.

– Mój czas reakcji i zdolność oceny sytuacji mogły być upośledzone. Ale nie mój wzrok ani słuch.

Pomeroy skinął głową do jednego z mężczyzn, którzy z nim przyjechali, ten zaś podszedł i położył na stole kilka fotografii.

– Rozpoznajesz któregoś z nich? – spytał.

– Tak. – Wskazała na zdjęcie w prawym górnym rogu. – To jest Jakow Korotkij, człowiek, który zastrzelił Aleksa, a potem Julie. Na zdjęciu ma dłuższe włosy.

– Znasz tego człowieka? – spytał ją Pomeroy. – Spotkałaś go już wcześniej?

– Nigdy go nie spotkałam. Widziałam go tylko wczoraj w nocy, gdy zastrzelił Aleksa i Julie.

– W porządku. – Pomeroy zebrał zdjęcia, a drugi mężczyzna rozłożył kolejną partię. – A tu kogoś rozpoznajesz?

– Tak, tego. Nazywali go Jegor. Nie znam nazwiska. Był z Korotkijem. To on przytrzymał Aleksa, a potem popchnął go na kolana.

– I jeszcze raz. – Znow zabrano fotografie i położono następne.

– To Ilia. – Ponieważ usta jej drżały, mocno je zacisnęła. – Przyszedł później... gdy Alex i Julie już nie żyli. Kilka minut później. Był zły. Mówił po rosyjsku.

– Skąd wiesz, że był zły?

– Mówię po rosyjsku, chociaż niezbyt dobrze. Powiedzieli... to zostało przetłumaczone. Czy to w porządku?

– Tak.

Odetchnęła, kierując rozmowę na inny tor.

– Potem uciekałam. Wiedziałam, że zaczęli mnie szukać i że jeśli mnie znajdą, zabiją, ponieważ ich widziałam. W końcu się zatrzymałam i

zadzwoiłam pod dziewięćset jedenaście.

– To dobrze. Doskonale się spisałaś, Elizabeth. Aresztujemy tych ludzi. Być może będzie konieczne, żebyś ich zidentyfikowała podczas okazania. Nie będą cię widzieć.

– Tak, wiem.

– Twoje zeznanie pomoże wsadzić tych bardzo niebezpiecznych ludzi za kratki. Biuro prokuratora okręgowego jest ci bardzo wdzięczne.

– Nie ma za co.

Uśmiechnął się na te słowa.

– Jeszcze porozmawiamy. W najbliższych tygodniach będziemy się często spotykać. Jeśli coś ci będzie potrzebne, Elizabeth, cokolwiek, agenci ci to dostarczą albo skontaktują się ze mną. Chcemy, żebyś czuła się możliwie jak najbardziej komfortowo.

– Dziękuję.

Gdy opuścił pokój, uszło z niej napięcie, którego podczas rozmowy nie była nawet świadoma.

Griffith, tak jak wcześniej Terry, przysiadła na oparciu jej fotela.

– Był dla ciebie szorstki, ponieważ czeka cię trudne zadanie. Nie będzie łatwo. Obrona stanie na głowie, żeby zdyskredytować twoje zeznanie.

– Wiem. Czy nadal bierzesz udział w śledztwie?

– To jest teraz wspólne śledztwo, ponieważ Riley i ja na to naciskaliśmy. Piłka jest po stronie federalnych, ale nadal jesteśmy w grze. Jak się trzymasz?

– W porządku. Wszyscy się tu o mnie bardzo troszczą. Dziękuję za przywiezienie moich rzeczy.

– Nie ma sprawy. Potrzebujesz czegoś jeszcze?

– Chciałabym mieć swój laptop. Powinnam poprosić o niego od razu,

ale nie myślałam jasno.

– Nie będziesz mogła korzystać z poczty elektronicznej, wchodzić na czaty, komunikować się przez portale społecznościowe.

– Nie do tego ma służyć. Chcę się uczyć, szukać informacji. Prosiłabym o swój komputer i niektóre z moich książek...

– Zobaczymy, co się da zrobić.

To musiało na razie wystarczyć.

Gdy zapadła noc, wsadzili ją do samochodu z Johnem i Terry. Griffith i Riley jechali za nimi, więcej agentów z przodu.

Gdy pędzili drogą ekspresową, nie mogła uwierzyć, że zaledwie dwadzieścia cztery godziny wcześniej włożyła swoją nową sukienkę i błyszczące szpilki.

A Julie, z radością w oczach, śmiejąc się beztrudnie, siedziała obok niej w taksówce. Żywa.

Wszystko było inaczej.

Teraz znów wszystko było inaczej.

Wjechali prosto do garażu zwyczajnego jednopiętrowego domu z szerokim i długim podwórkiem. Prócz samochodu garaż był pusty – żadnych narzędzi, pudeł, żadnych gratów.

Drzwi prowadzące do środka zaopatrzone były w blokadę.

Mężczyzna, który im otworzył, miał ciemnobrązowe włosy przetykane srebrnymi nitkami. Był prawie tak wysoki jak John, ale bardziej postawny, muskularny, w dzinsach i koszulce polo, miał broń w kaburze przy boku.

Wycofał się, by mogli wejść do kuchni, większej niż ta, którą opuścili. Sprzęty były nowocześniejsze, podłoga z beżowych płytek.

– Liz, to jest agent Cosgrove. Z Marshals Service.

– Bill. – Wyciągnął rękę i posłał Elizabeth krzepiący uśmiech. – Witaj

w domu! Agentka Peski – to znaczy Lynda – robi obchód. Będziemy cię dziś w nocy ochraniać.

– Och... Ale...

– Wrócimy rano – powiedział do niej John. – Ale zanim pójdziemy, dopilnujemy, żebyś się tu zadomowiła.

– Zaprowadzę cię na górę, pokażę ci pokój – zaproponowała Terry i zanim Elizabeth zdążyła się zgodzić bądź zaprotestować, porwała jej walizkę i ruszyła.

– Wygląda młodziej niż sobie wyobrażałem – skomentował Bill.

– Jest wyczerpana, nadal ma szklany wzrok. Ale to mocny dzieciak. Wytrzymała bite dwie godziny z Pomeroyem bez jednego potknięcia. Ława przysięgłych będzie nią zachwycona.

– Nastolatka pograży Wołków. – Bill pokręcił głową. – Jak nic.

\*

Siergiej Wołkow osiągnął życiowy sukces; ze skrajnej biedy wspiał się na szczyt bogactwa. Już w wieku dziesięciu lat był utalentowanym złodziejaszkiem, znającym każdy zaułek, każdą mysią norę w swoim moskiewskim getcie biedoty. Pierwszego człowieka zabił, gdy miał trzynaście lat; zadźgał go amerykańskim wojskowym nożem, skradzionym ulicznemu rywalowi – sprytnemu szesnastolatkowi, któremu złamał rękę.

Nadal miał ten nóż.

Piął się do góry w strukturach moskiewskiej bratwy, zostając brygadierem, gdy był niespełna osiemnastolatkiem.

Ambicja pchała go wyżej, aż wreszcie razem z bratem Michaiłem stanął na czele organizacji, dokonawszy bezlitosnego, krwawego zamachu, zanim jeszcze rozpadł się Związek Radziecki. To był, zdaniem Siergieja, moment najlepszych okazji i zmian.



Poślubił dziewczynę o ślicznej twarzy i wyszukanym guście, która wkrótce obdarzyła go dwiema córkami. Sam był zdumiony, jak bardzo je pokochał od pierwszej chwili. Płakał, trzymając po raz pierwszy w ramionach każdą z nich, ogarnięty radością, zachwytem i dumą.

Ale kiedy trzymał na rękach syna, nie było łez. Radość, zachwyty i duma wypełniały go bez reszty.

To właśnie dzieci, miłość do nich i związane z nimi ambicje, skłoniły go do emigracji do Ameryki. Tu mógł zaoferować im więcej możliwości, wystawniejsze życie.

Uznał też, że czas się rozwinąć.

Najstarszą córkę wydał za prawnika i doczekał się pierwszego wnuka. I znów płakał. Młodsza – artystkę, marzycielkę – urządził we własnej galerii.

Ale syn, och, jego syn, biznesmen z dyplomem Uniwersytetu w Chicago, to był jego prawdziwy dziedzic. Jego syn był mądry, silny, trzeźwo myślący i opanowany.

Wszystkie marzenia i tęsknoty biednego chłopaka z moskiewskiego przedmieścia ulokował w synu.

Pracował teraz w zacienionym ogrodzie swojej posiadłości na Gold Coast, czekając na przyjazd Ilii. Siergiej był silnym, przystojnym mężczyzną o ciemnych włosach przetykanych białymi pasemkami i gęstych czarnych brwiach nad czarnymi jak onyks oczami. Rygorystycznie dbał o kondycję i zaspokajał swoją żonę, kochankę i okazjonalne dziwki.

Ogrody stanowiły kolejne źródło jego dumy. Oczywiście zatrudniał architektów krajobrazu i ogrodników, ale wiele godzin w tygodniu zwykł spędzać na ogrodowej krzątaniu, kopaniu ziemi czy sadzeniu nowych okazów własnymi rękami.

Siergiej wierzył, że gdyby nie został *pachanem*<sup>3</sup>, mógłby wieść proste i szczęśliwe życie zwykłego ogrodnika.

W luźnych szortach odsłaniających kolana z wytatuowanymi gwiazdami, pokryte teraz ziemią i ściółką, zajmował się rozrzucaniem nawozu, gdy usłyszał zbliżającego się syna.

– Kurze łajno – objaśnił Siergiej. – Tanie, łatwo dostępne i dobrze robi roślinom.

Ilia pokiwał głową, jak zwykle trochę zakłopotany miłością ojca do ziemi.

– I śmierdzi jak kurze łajno.

– To niewielka cena. Moje funkcie są zachwycone, i widzisz to? Miodunka wkrótce zakwitnie, ileż cudnych sekretów w cieniu i półmroku.

Po chwili Siergiej zerknął do góry, mrużąc lekko oczy.

– No więc? Znaleźliście ją?

– Jeszcze nie. Ale znajdziemy. Mam człowieka, który sprawdzi na Harvardzie. Wkrótce dostaniemy jej nazwisko, a dzięki temu i ją.

– Kobiety kłamią, Ilia.

– Nie sędzę, by na ten temat kłamała. Studiuje tam medycynę i jest nieszczęśliwa. Jej matka jest chirurgiem w Chicago. Uważam, że to również prawda. Szukamy także matki.

Ilia przykucnął.

– Nie pójdę do więzienia.

– Nie pójdiesz. Jakow też nie. Pracuję również nad innymi rozwiązaniami. Ale nie jestem zadowolony, że jeden z moich najbardziej wartościowych brygadierów siedzi w pudle.

– Nie będzie sypał.

---

3 Pachan (ros.) ~ szef mafii (przyp. red.).

– Tym się nie martwię. Nie puści pary, tak samo jak Jegor. Amerykańska policja? *Musor*<sup>4</sup>. – Na znak lekceważenia otrzepał ręce, jakby chciał pozbyć się śmieci. – Nigdy ich nie złamią. I ciebie by nie złamali, jeśli się nie udało przekonać sędziego do kaucji. Ale ta dziewczyna mnie martwi. Martwi mnie, Ilia, że ona tam była i żyje. Martwi mnie, że Jakow nie wiedział, że ona i ta druga tam będą.

– Gdyby mnie nie zatrzymano, byłbym na miejscu i mógłbym temu zapobiec. Nie mielibyśmy świadka.

– Komunikacja, oto problem. Tym się też zajęliśmy.

– Powiedziałeś, żeby mieć na niego oko, papo, trzymać się go blisko, aż zostanie ukarany za kradzież. – Ilia poderwał się na nogi, zdejmując okulary. – Sam obciąłbym mu rękę za kradzież w rodzinie. Dałeś mu wszystko, ale on chciał więcej i więcej. Więcej pieniędzy, więcej prochów, więcej kobiet, więcej zabawy. Mój kuzyn. Skurwysyn. – Przeklął zdrajcę. – Pluł nam w twarz, raz po raz. Byłeś dla niego za dobry, papo.

– Syn kuzyna twojej matki. Jakże mógłbym się nie starać? Ciągle miałem nadzieję.

– Wciągnąłeś go do interesu, jego i Jakowa.

– I Jakow wiele razy udowodnił, że jest tego wart. A Alek – siej? – Siergiej wzruszył ramionami. – Kurze łajno – powiedział z półśmiechem. – Teraz będzie nawozem. Dragi. Miał do nich słabość. To dlatego byłem taki twardy dla ciebie i twoich sióstr. Narkotyki to tylko interes. A on dla nich nas okradał, dla nich zdradził swoją rodzinę.

– Gdybym wiedział, postarałbym się być na miejscu, żeby go widzieć błagającego jak baba. Zobaczyć, jak umiera.

– Cynk o jego aresztowaniu, o układzie, jaki zrobił z glinami, nadszedł

---

<sup>4</sup> Musor (ros. ) ~ gliniarz (przyp. red. ).

tego wieczoru. Trzeba było się spieszyć. Wysłałem Jakowa i Jegora, żeby sprawdzili, czy jest w domu. Być może załatwili go za szybko. Błądzą wszyscy, jak mówią Amerykanie. Nie chodziłeś z Aleksiejem na dziwki w przeszłości. On zawsze miał mniej wyrafinowany gust niż ty.

– Chciałem go pilnować – odparł Ilia. – A ta dziewczyna była intrygująca. Świeża, niezepsuta. Trochę smutna. Podobała mi się.

– Jest mnóstwo innych. Ona już nie żyje. A teraz zostaniesz na kolacji. Sprawisz radość matce i mnie.

– Oczywiście.

## 6

Minęły dwa tygodnie i rozpoczął się kolejny. Elizabeth na palcach jednej ręki mogła policzyć, ile razy pozwolono jej opuścić dom. Ale nigdy samej.

Nigdy nie była sama.

Ona, która kiedyś tęskniła za towarzystwem, teraz odkryła, że brak samotności jest bardziej ograniczający niż cztery ściany pokoju.

Dostała swój laptop. Zablokowano jej dostęp do poczty i portali społecznościowych. Z nudów i ciekawości złamała blokady. Co prawda, nie planowała z nikim się kontaktować, ale dało jej to satysfakcję.

Zatrzymała swój mały triumf dla siebie.

Miewała koszmary, ale również o nich nie mówiła.

Przynosili jej książki i płyty CD. Wystarczyło poprosić. Pochłanianie popularnych powieści oraz słuchanie utworów, których nie pochwałała jej matka, powinno dać jej poczucie wolności. Ale zamiast tego uświadamiała sobie jedynie, ile straciła i jak mało wie o realnym świecie.

Matka nigdy nie przyjechała.

Każdego ranka John i Terry zastępowali nocną zmianę, wieczorem zaś z powrotem wymieniali się z Billem i Lyndą. Czasem przygotowywali coś do jedzenia; śniadanie wydawało się być specjalnością Johna. Najczęściej jednak przywozili jedzenie ze sobą. Pizzę albo burgery, kurczaka albo jakąś chińszczyznę. Z poczucia winy, a częściowo w geście samoobrony Elizabeth zaczęła eksperymentować w kuchni. Z tego, co zauważyła, przepisy były swego rodzaju wzorami, a kuchnia laboratorium.

Kulinarne eksperymenty okazały się atrakcyjne. Podobało jej się siekanie, mieszanie, zapachy i tekstura produktów.

– Co dziś mamy w menu?

Siedząca przy stole Elizabeth podniosła wzrok, gdy John wszedł do kuchni.

– Pomyślałam, że spróbuję kurczaka smażonego po chińsku.

– Brzmi dobrze. – Nalał sobie kawę. – Moja żona robi chińszczyznę specjalnie po to, żeby dzieci jadły warzywa.

Wiedziała, że on i jego żona Maddie mają dwójkę dzieci. Siedmioletniego chłopca, Maxfielda, nazwanego tak na cześć malarza Maxfielda Parrisha, oraz pięcioletnią Emily, jak Emily Bronte.

Pokazał jej ich zdjęcia, które nosił w portfelu, i opowiadał o nich zabawne historyjki.

Aby przybliżyć jej swoją osobę, jak się domyślała. Ale jednocześnie zdała sobie sprawę, że ze swojego dzieciństwa nie miała zabawnych opowieści

– Czy się o ciebie martwią? Że pracujesz w organach ścigania?

– Max i Em? Są na to za mali. Wiedzą, że łapię złych ludzi, i na razie to tyle. A Maddie? – Usiadł ze swoją kawą. – Taak, trochę. To część pakietu. Długie godziny pracy, dużo czasu poza domem, miewa z tym problem.

– Mówiłeś, że była reporterem sądowym.

– Tak, dopóki nie pojawił się Max. Tamten dzień w sądzie to był najlepszy dzień w moim życiu. Ledwie pamiętałem, jak się nazywam, gdy na nią patrzyłem. Najpiękniejsza kobieta, którą kiedykolwiek widziałem. Nie wiem, jakim cudem udało mi się z nią umówić na randkę, nie mówiąc już o ożenku.

– Jesteś bardzo porządnym człowiekiem – zaczęła Elizabeth. – Atrakcyjnym fizycznie, miłym, masz szerokie horyzonty, różnorodne zainteresowania. A to, że reprezentujesz władzę, nosisz broń, może instynktownie przyciągać kobiety.

Jego oczy śmiały się do niej nad kubkiem z kawą.

– Jesteś wyjątkowa, Liz.

– Wolałabym nie być.

– Nie mów tak. Potrafisz się bronić, jesteś nadzwyczaj bystra, odważna, wyrozumiała i również masz rozległe zainteresowania. Nie mogę za nimi nadążyć. Nauki ścisłe, organy ścigania, zdrowie i żywienie, muzyka, książki, a teraz gotowanie. Kto wie, co będzie następne?

– Nauczysz mnie strzelać?

Odstawił kawę.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– W ramach różnorodnych zainteresowań.

– Liz.

– Mam koszmary.

– Och, skarbie. – Przykrył jej dłoń swoją. – Opowiedz mi o nich.

– Śni mi się tamta noc. Wiem, że tego można się było spodziewać.

– Ale przez to wcale nie jest łatwiej.

– Nie. – Wpatrywała się w książkę kucharską, zastanawiając się, czy jej

życie jeszcze kiedykolwiek będzie tak proste jak składniki i miary w przepisie kulinarnym. – Śniło mi się, że uczestniczę w okazaniu. Tyle tylko, że on, Korotkij, mnie widzi. Wiem, że mnie widzi, ponieważ się uśmiecha. Sięga za plecy, tak jak tamtej nocy, i jakby w zwolnionym tempie wyciąga broń. Nikt nie reaguje. Strzela do mnie przez szybę.

– On cię nie widział, Liz.

– Wiem. To racjonalne i logiczne. Ale w grę wchodzi strach i emocje. Podświadomy strach i emocje. Próbuje tego nie rozpamiętywać, usiłuję znaleźć sobie jakieś zajęcie.

– Dlaczego nie mam kontaktu z twoją matką?

– Po co?

Szczerze zakłopotany, zdusił przekleństwo.

– Wiesz, że w każdej chwili możesz porozmawiać z psychologiem. Przedtem powiedziałaś, że nie chcesz, ale...

– Nadal nie chcę. Jaki to ma sens? Rozumiem, co się dzieje i dlaczego. Wiem, że jest to pewien proces, przez który mój umysł musi przejść. Ale on mnie zabija, rozumiesz. Albo tu, w domu, ponieważ we śnie on mnie odnajduje, albo podczas okazania, gdzie widzi mnie przez szybę. Boję się, że mnie odnajdzie, rozpozna i zabije. Czuję się bezradna. Obezwładniona, nie mając broni. Nie mogę nic zrobić. Chcę móc się bronić. Nie mogę być bezradna.

– Sądzisz, że umiejętności strzeleckie dodadzą ci pewności siebie, odporności?

– Myślę, że odpowiedź jest oczywista.

– A więc cię nauczę. – Wyjął broń, wyciągnął magazynek i odłożył na bok. – To jest Glock 19. Standardowy model. Magazynek mieści piętnaście kul.

Elizabeth wzięła pistolet do ręki, gdy jej go podsunął.

– Jest z polimeru. Poczytałam o nim.

– Oczywiście, że tak.

– Nie tak ciężki, jak myślałam. Ale nie jest naładowany, a to odejmuje trochę wagi.

– Na razie pozostanie nienaładowany. Ze względów bezpieczeństwa.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

– Zgoda.

Po zapoznaniu jej z podstawami, poprosił, by wstała, pokazał jej, jak celować, jak trzymać broń. Wtedy weszła Terry.

– Jezu Chryste, John!

– Nie jest naładowany – wyjaśniła pośpiesznie Elizabeth.

– Powtarzam, Jezu Chryste.

– Daj nam chwilę, Liz.

– Och. W porządku. – Z większą niechęcią, niż przypuszczała, oddała Johnowi broń. – Będę u siebie.

– Co ty sobie, u diabła, myślisz? – spytała ostro Terry, ledwie Elizabeth wyszła.

– Chce się nauczyć posługiwania bronią.

– No tak, a ja chcę, żeby George Clooney leżał nago w moim łóżku, ale nie próbuję go porwać. Przynajmniej na razie.

– Dręczą ją koszmary, Terry.

– Nie pieprz. – Terry z impetem otworzyła drzwi lodówki i wyjęła colę.

– Przykro mi John, wiem, że to poważne obciążenie dla tego dzieciaka, ale pozwalanie jej na zabawę służbową spluwą nie jest rozwiązaniem.

– Ona uważa, że to jej pomoże. Nie chce się czuć bezbronna. Czy można się dziwić? Choćbyśmy nie wiem ile razy jej powtarzali, że jest



bezpieczna, że będziemy ją chronić, ona nadal czuje się bezsilna. My mówimy swoje, ona czuje swoje.

– Wiem, John, wiem. Rozumiem, że jest przestraszona i śmiertelnie znudzona. Ale nie możemy tego zmienić, w żaden sposób.

– Jej życie już nigdy nie będzie takie samo, Terry, i trzeba otym pamiętać. Nie możemy jednak zapominać, że jest nie tylko świadkiem, ale również nastolatką. Jeśli umiejętność bezpiecznego posługiwania się bronią jej pomoże, postaram się ją tego nauczyć. Zasluguje na to, żeby przynajmniej porządnie się wyspać.

– Pieprzysz – powtórzyła Terry. – Okej, naprawdę rozumiem. Ale...

– Ale?

– Zastanawiam się.

– Dobrze, zastanawiaj się dalej. A ja idę wypróbować twoją metodę na szefa. Chcę uzyskać pozwolenie na zabranie jej na strzelnicę.

– Trzymaj kciuki, gdy będziesz to robił. To może pomóc.

John tylko się uśmiechnął, wyjął telefon i wyszedł do sąsiedniego pokoju.

Terry westchnęła z irytacją. Po chwili zastanowienia wyjęła drugą colę, a potem poszła do sypialni Elizabeth. Zapukała.

– Proszę.

– Zabawa bronią zawsze powoduje u mnie pragnienie. – Terry podeszła do łóżka, na którym siedziała Elizabeth, i podała jej colę.

– Mam nadzieję, że nie jesteś zła na Johna. To był mój pomysł.

– Nie jestem zła. – Terry usiadła obok niej. – Po prostu mnie zaskoczyliście, to wszystko. John powiedział mi, że masz koszmary. Boisz się. Mogę ci powtarzać, żebyś się nie bała, ale prawdę mówiąc, na twoim miejscu też bym miała pietra.

– Nie mogę nic na to poradzić. W koszmarach też jestem bezradna, więc on mnie zabija. Chcę się nauczyć, jak się bronić. Nie będziecie tu wiecznie. Ty i John albo Bill i Lynda, albo ktoś inny, kogo wyznaczą. Pewnego dnia nie będzie was przy mnie, a ja muszę umieć sama się o się zatroszczyć. Moja matka mi nie pomoże.

– Nie wiesz...

– Wiem. – Powiedziała to spokojnie, bez emocji, zaskoczona własnym opanowaniem. – Gdy będę się musiała przenieść, zmienić tożsamość, ona ze mną nie pojedzie. Tutaj jest jej życie, jej kariera. Wkrótce skończę siedemnaście lat. Mogę złożyć wniosek o usamodzielnienie, jeśli będzie trzeba. Rozpatrzą go pozytywnie. Gdy skończę osiemnaście lat, dostanę trochę pieniędzy z funduszu powierniczego. I jeszcze więcej, gdy skończę dwadzieścia jeden. Mogę studiować i pracować. Teraz potrafię już trochę gotować. Ale nie potrafiłabym się obronić, jeśli zaszłaby taka potrzeba.

– Jesteś dość bystra, żeby poszukać wiadomości o naszym programie. Nie straciliśmy dotąd świadka, który stosował się do naszych zasad bezpieczeństwa.

– Przez całe życie stosowałam się do czyichś zaleceń, a więc jestem do tego przyzwyczajona.

– Och, Liz, do diabła.

– To było zachowanie pasywno – agresywne – przyznała z westchnieniem Elizabeth. – Przepraszam. Ale sedno sprawy tkwi w tym, że oni nigdy nie przestaną mnie szukać. Oni wyznają zemstę i odpłatę. Wiem, że zrobicie wszystko, żeby ich powstrzymać, ale muszę mieć pewność, że jeśli stanie się najgorsze i mnie znajdą, będę potrafiła walczyć.

– Są inne metody walki, nie tylko broń palna.

– A jednak nosisz ją ze sobą.

– Nawet dwie sztuki. – Terry poklepała się po kostce. – Zapasowy pistolet. Jeśli chcesz się nauczyć strzelać, John jest w tym najlepszy. Ale są inne sposoby. Mogę cię nauczyć samoobrony. Walki wręcz.

Zaintrygowana Elizabeth wyprostowała się.

- Prawdziwej walki?
- Myślałam raczej o defensywie, ale tak, odpierania ataku.
- Chciałabym się nauczyć. Jestem pilną uczennicą.
- Zobaczymy.

John podszedł do drzwi.

- Piąta rano. Bądź gotowa. Mamy zgodę na strzelnicę.
- Dziękuję. Bardzo dziękuję.
- Terry?
- Piąta. Rano. A niech to, wchodzę!

Trzy razy w tygodniu przed wschodem słońca John zabierał ją do piwnicy na strzelanie do celu. Przyzwyczała się do trzymania pistoletu w dłoni, jego kształtu, ciężaru, odrzutu. Nauczył ją celowania w ciało, strzelania serią, ponownego ładowania.

Gdy dowiedziała się, że proces sądowy został przesunięty, dała upust swojej frustracji na strzelnicy.

W pozostałe dni Terry uczyła ją sztuki walki. Nauczyła się, jak wykorzystać ciężar własnego ciała, wytrącić przeciwnika z równowagi, jak uwolnić się z chwytu, jak zadawać ciosy.

Nadal śniły jej się koszmary, ale już nie co noc. I czasem w nich zwyciężała.

Gdy minął pierwszy miesiąc, dawne życie wydawało jej się coraz bardziej obce. Mieszkała w wynajętym jednopiętrowym domu z wysokim ogrodzeniem, a każdej nocy spała chroniona przez agentów federalnych.

Lynda z własnej biblioteki pożyczała Elizabeth romanse, kryminały i horrory. Gdy nastał sierpień, obciąła Elizabeth włosy – ze znacznie większą wprawą – i pokazała, jak farbować odrosty. W długie ciche wieczory Bill uczył ją gry w pokera.

Czas dłużył się niemiłosiernie.

– Chciałabym mieć trochę pieniędzy – powiedziała pewnego dnia Johnowi.

– Potrzebujesz pożyczki, dziecko?

– Nie, ale dziękuję. Chodzi mi o moje własne pieniądze. Mam konto oszczędnościowe i chcę z niego skorzystać.

– Jazda do banku stwarza niepotrzebne ryzyko. Jeśli czegoś potrzebujesz, dostarczymy ci.

– Moja matka może je wyjąć. To tak jak z bronią. Chodzi o bezpieczeństwo. – Dobrze to przemyślała. Miała czas, żeby wszystko dokładnie przemyśleć. – Gdy w końcu złożę zeznania i zostanę przeniesiona gdzie indziej, co jak myślę, nastąpi szybko, chciałabym kupić sobie to i owo za własne pieniądze, o które nie musiałabym prosić.

– Jaką kwotę masz na myśli?

– Pięć tysięcy.

– To kupa forsy, Liz.

– Wcale nie. Będzie mi potrzebny nowy komputer i inne rzeczy. Muszę myśleć o jutrze, nie o tym, co teraz. Teraźniejszość po prostu jest.

– Wiem, że czekanie jest frustrujące.

– Oni będą zwlekać jak najdłużej w nadziei, że mnie odnajdą. Albo że stracę odwagę. Ale nie mogą zwlekać bez końca. Muszę myśleć o reszcie swojego życia. Gdziekolwiek i kimkolwiek będę. Chcę wrócić na studia. Mam stypendium, które trzeba będzie przenieść. Ale są też inne wydatki.

– Zobaczą, co da się zrobić.

Uśmiechnęła się.

– Lubię, gdy tak mówisz. Z moją matką zawsze było „tak” lub „nie”. Ona rzadko, jeśli w ogóle, mówi „może”, ponieważ to oznacza brak zdecydowania. Ty mówisz, że zobaczysz, co da się zrobić, co wcale nie jest brakiem decyzji. To znaczy, że podejmiesz jakieś działanie. Spróbujesz. Brzmi o wiele lepiej niż „nie” i prawie tak dobrze jak „tak”.

– No tak. – Zawahał się na moment. – Nigdy nie wspominasz o ojcu. Rozumiem, że się nie angażuje, ale w tej sytuacji...

– Nie wiem, kim jest. To był dawca.

– Dawca?

– Tak. Gdy moja matka zdecydowała się na dziecko, gdy chciała doświadczyć macierzyństwa, sprawdziła wielu dawców, porównując ich walory. Atrybuty fizyczne, historię medyczną, rodzinną, intelekt i tak dalej. Wybrała najlepszego kandydata i załatwiła sobie inseminację. – Urwała i spojrzała na swoje ręce. – Wiem, jak to brzmi.

– Naprawdę? – mruknął.

– Przekroczyłam jej oczekiwania pod względem intelektualnym. Zawsze miałam znakomite zdrowie. Jestem silna fizycznie i odporna. Ale nie potrafiła się do mnie przywiązać. Ta część planu nie wypaliła. Zawsze doskonale się mną opiekowała, podawała najzdrowsze jedzenie, chroniła, zapewniała możliwie najlepszą edukację. Ale nie potrafiła mnie pokochać.

Poczuł słabość w żołądku, w sercu.

– Ma jakiś defekt.

– Tak. Świadomość, że część jej planu się nie powiodła, sprawia, że bardzo trudno jej okazać jakiegokolwiek uczucie. Przez długi czas myślałam, że to moja wina. Ale wiem, że to nieprawda. Zrozumiałam to, gdy mnie

zostawiła. Zostawiła mnie, ponieważ dokonałam wyboru, który pozwolił jej odejść. Mogłam sprawić, że była dumna ze mnie, dumna z tego, co ze mną osiągnęła, ale nie mogłam jej zmusić, żeby mnie pokochała.

Nie mógł się powstrzymać. Przyciągnął ją do siebie i głaskał po włosach, aż oparła się o niego z głębokim westchnieniem.

– Będzie dobrze, Liz.

– Chciałabym.

Ponad jej głową napotkał wzrok Terry, dostrzegł w nich błysk łez i współczucia. Dobrze, że to usłyszała, pomyślał John. Ta dziewczyna miała dwoje ludzi, którzy się o nią troszczyli i zrobią, co w ich mocy, żeby przynajmniej była bezpieczna.

Siergiej spotkał się ze swoim bratem i bratankiem, a także z Ilią i jednym z najbardziej zaufanych brygadierów. Dzieci pod czujnym okiem kobiet chlapały się w basenie, a reszta towarzystwa siedziała przy długich piknikowych stołach szczerze zastawionych jedzeniem. Zimne napoje umieszczono w stalowych kubekach z lodem. Niektóre starsze dzieci grały na trawniku w bocce lub w siatkówkę przy nieprzerwanie dudniącej muzyce. Niewiele rzeczy cieszyło Siergieja bardziej niż tłumne i gwarne przyjęcie z rodziną i przyjaciółmi. Kultywując amerykańską tradycję, wodził rej przy ogromnym grillu, który córka i zięć podarowali mu na urodziny. Jego złoty rolex oraz zawieszony na szyi krucyfiks błyszcząły w palącym letnim słońcu; na bawełnianą koszulę i spodnie włożył jaskrawoczerwony fartuch z napisem zachęcającym do pocałowania kucharza.

Grill dymił, a on odwracał na nim tłuste burgery, wołowe kielbaski oraz długie szpikulce z warzywami muśniętymi osobiście skomponowaną marynatą.

– Matka jeździ do szpitala – powiedział bratanek Siergieja, Misza. –

Spędza tam codziennie wiele godzin, często zostaje na noc. Jakiś raz na tydzień je kolację z mężczyzną, z którym sypia. Cztery razy w tygodniu chodzi do luksusowej siłowni, gdzie ma osobistego trenera. Odwiedza też fryzjera i manikiurzystkę w salonie piękności. Prowadzi takie życie, jakby w ogóle nie miała córki.

Siergiej nieznacznie skinął głową, przenosząc warzywa na półmisek.

– Przeszukałem jej dom – odezwał się brygadier. – Sprawdziłem telefon. Dzwoniła do szpitala, do przyjaciela, do innego lekarza, do salonu w sprawie włosów. Żadnego telefonu na policję, do US Marshals Service czy FBI.

– Musi się widywać z dziewczyną – przekonywał Michaił. Był tęższy od brata i włosy mu siwiały szerokimi pasmami. – Jest przecież matką. – Zerknął na basen, przy którym siedziały jego roześmiana żona z córką, podczas gdy wnuki bawiły się w wodzie.

– Myślę, że nie są sobie bliskie. – Ilija pociągnął łyk piwa.

– Matka to matka – utrzymywał Michaił. – Powinna wiedzieć, gdzie jest jej córka.

– Możemy ją porwać – zasugerował Misza. – W drodze do szpitala. Możemy... przekonać ją, żeby powiedziała, gdzie jest dziewczyna.

– Prawdziwa matka nie powie. – Siergiej wykładał burgery na kolejny półmisek. – Prędzej umrze. Ale jeśli taką matką nie jest, a wedle moich informacji nie jest, może nie wiedzieć. Weźmiemy ją, a oni w tym czasie przerzucą dziewczynę gdzie indziej, zaangażują więcej strażników. Lepiej obserwujmy matkę, która nie zachowuje się jak na matkę przystało.

– W domu – zauważył brygadier – nie ma śladu po dziewczynie poza jej sypialnią. A tam też nie za wiele. Wszystko spakowano do pudeł. Jak w magazynie.

– A więc sam widzisz. – Siergiej skinął głową. – Mam inny plan. Zakończymy sprawę, nie zostawiając po sobie śladu. Powiedz Jakowowi, żeby wykazał jeszcze trochę cierpliwości, Misza. Na następnym przyjęciu będziemy świętować jego powrót. A teraz – podniósł półmisek z burgerami i kiełbaskami – zabierzmy się do jedzenia.

Podczas dłużącego się lata Elizabeth uświadomiła sobie, że gdyby była w domu, zapewne dałaby za wygraną i męczyłaby się na letnim kursie w szpitalu. A jeśli nie – robiłaby to samo co teraz.

Uczyła się, czytała. Tylko że teraz słuchała muzyki i oglądała filmy na DVD lub w telewizji. Dzięki letniej powtórcie serialu *Buffy: postrach wampirów* poznawała współczesny slang.

Gdy wróci do college’u, znajomość młodzieżowego języka pomoże jej się lepiej zintegrować.

Aby odzyskać poczucie bezpieczeństwa, nauczyła się strzelać. Zgłębiała sztukę samoobrony i tajniki gry w pokera.

Nic nie mogło przywrócić do życia Julie i żadne gdybania nie miały sensu. Na pewno lepiej było doszukać się korzyści w tym letnim odosobnieniu.

Przynajmniej nie zostanie chirurgiem.

W pewnym momencie przyjmie nową tożsamość, zacznie nowe życie i znajdzie sposób, aby to jak najlepiej wykorzystać. Będzie studiować, co zechce. Miała wrażenie, że praca w FBI raczej nie wchodzi w grę. Nie zadawała jednak pytań. Może to głupie, ale brak definitywnej odpowiedzi pozostawiał jej skrawek nadziei.

Zaakceptowała codzienną rutynę, dorastała z nią przecież.

Urodziny jej nie przerwały. To tylko oznaczało, że tego dnia skończy siedemnaście lat. Ani nie czuła się inaczej, ani nie zmieniła wyglądu. Tyle



tylko, że w tym roku ominie ją urodzinowa kolacja – pieczeń wołowa z grillowanymi warzywami, a na deser ciasto marchewkowe – oraz samochód, który obiecywała jej matka. Oczywiście to ostatnie było uzależnione od jej osiągnięć na uczelni oraz zachowania.

Zwykły dzień jak co dzień, o jeden bliżej rozprawy sądowej i tego, co uważała za wolność.

A ponieważ ani Terry, ani John nie wspomnieli o jej urodzinach, przypuszczała, że nie pamiętają. Zresztą dlaczego mieliby pamiętać? Sama zrobiła sobie prezent w postaci dnia wolnego od nauki i postanowiła przyrządzić specjalną kolację – na pewno nie pieczeń wołową – na swoją cześć.

Padał deszcz, lało i grzmiało. Wmawiała sobie, że dzięki temu w kuchni jest bardziej przytulnie. Zastanawiała się nad upieczeniem ciasta, ale wydało jej się to zbyt egocentryczne. Poza tym nie eksperymentowała jeszcze z prawdziwymi wypiekami. W końcu uznała, że przygotowanie spaghetti z klopsikami będzie wystarczającym wyzwaniem.

– O Boże, co za zapach. – Terry zatrzymała się pośrodku kuchni, wciągając nosem powietrze. – Zaczynam dzięki tobie nabierać ochoty na nauczenie się przyrządzania czegoś więcej poza burgerami z serem.

– Lubię eksperymentować. A nigdy nie robiłam klopsików. I było to całkiem przyjemne.

– Każdy ma własne przyjemności.

– Mogę ci trochę odłożyć do pojemnika, żebyś wzięła sobie do domu.

Dodasz tylko makaron. Ugotowałam sporo.

– Lynda dzwoniła, że jest chora, a więc zaraz przyjadą Bill i Steve Keegan. Założę się, że zmiotą wszystko raz dwa.

– Och. Przykro mi, że Lynda jest chora. – Rutyna, przebiegło przez

myśl Elizabeth. Każda zmiana to dla niej wstrząs. – Znasz agenta Keegana?

– Właściwie nie. John go trochę zna. Pracuje w służbach od pięciu lat, Liz. Nie martw się.

– Nie będę. Po prostu przyzwyczajenie się do nowych ludzi zabiera mi trochę czasu. Ale nie ma sprawy. Po kolacji zamierzam poczytać i prawdopodobnie wcześniej pójść do łóżka.

– W urodziny?

– Och. – Elizabeth lekko się zarumieniła. – Nie byłam pewna, czy wiecie.

– Przed nami nie ma sekretów. – Śmiejąc się, Terry podeszła bliżej, żeby jeszcze raz powąchać sos. – Rozumiem, że lubisz czytać, ale nie możesz wymyślić sobie lepszej zabawy na urodziny?

– Właściwie nie.

– A więc ci pomożemy. – Poklepała Elizabeth po ramieniu, po czym wyszła z kuchni.

Czytanie jest przecież zabawne, pomyślała sobie Elizabeth. Zerknęła na zegarek, stwierdzając, że wkrótce nastąpi zmiana warty. Sos może się gotować, aż Bill i ten nowy agent nabiorą apetytu, ale naprawdę zrobiła go tak dużo, że odłoży trochę dla Johna i Terry.

Jako prezent urodzinowy od solenizantki, pomyślała.

– Przybyła pomoc.

Elizabeth, sięgając po stojące wysoko w szafce pojemniki z pokrywką, odwróciła się.

Terry uśmiechała się szeroko i trzymała w ręce pudełko opakowane w lśniący różowy papier, ozdobione wstążkami i wielką białą kokardą. John stał obok niej z małą kolorową torebką i białym pudłem z cukierni.

– Przynieśliście mi prezenty?

– Oczywiście. Przecież to twoje urodziny. I mamy tort.

– Tort?

John postawił pudełko na stole i podniósł pokrywkę.

– Czekoladowo – karmelowy, obłany śmietankowym lukrem.

– Mój wybór – poinformowała radośnie Terry. – Wszystkiego najlepszego, Liz!

– Dziękuję. – Na torcie widniały te same życzenia wypisane fantazyjnymi literami z różowego lukru. Zdobiły go również pączki róż i jasnozielone listki.

– To nie jest ciasto marchewkowe – bąknęła.

– Mam etyczne obiekcje wobec ciast zrobionych z warzyw – powiedziała Terry.

– Jest bardzo dobre, naprawdę. Ale to wygląda o wiele lepiej. Wygląda... jak prawdziwy tort urodzinowy. Jest piękny.

– Będziemy musieli zachować trochę miejsca na niego i lody – zauważył John. – Po urodzinowej kolacji. Mieliśmy zamiar przywieźć pizzę, ale zaczęłaś gotować klopsiki, więc zrezygnowaliśmy.

Wszystko pojaśniało, jakby słońce przebiło się przez ścianę deszczu.

– Zamierzacie zostać?

– Przecież to twoje urodziny. Ani mi się śni rezygnować z lodów i tortu. Z jedzeniem poczekamy na resztę, ale chyba już możesz otworzyć prezenty.

– Naprawdę? Czy to w porządku?

– Oczywiście, genialna osoba nie zna praw solenizanta. Proszę... – Terry popchnęła pudełko w stronę Elizabeth. – Otwórz moje. Umieram z ciekawości, czy ci się spodoba.

– Już mi się podoba. – Ostrożnie zaczęła rozcinać sznurek.

– Wiedziałam, że ona jest jedną z tych. Jedną z tych – wyjaśniła Terry –

która rozpakowuje prezent przez dziesięć minut, zamiast w mig rozerwać papier.

– Papier jest taki ładny. Nie spodziewałam się niczego.

– A powinnaś – powiedział John. – Powinnaś zacząć się spodziewać.

– To najwspanialsza niespodzianka. – Elizabeth złożyła papier i uniosła pokrywkę. Wyjęła cienki sweterek z falbanką z przodu, ozdobiony maleńkimi fiołkami.

– Jaki piękny. Och, do niego jest jeszcze bluzeczka.

– To nie jest bliźniak w stylu twojej matki – oświadczyła Terry. – Możesz go nosić do dżinsów, sukienki albo spódnicy. Pasuje do ciebie.

Nikt nigdy jej nie powiedział, że pasują do niej falbanki i fiołki.

– Jestem zachwycona. Naprawdę. Bardzo dziękuję.

– Moja kolej. Miałem niewielką pomoc przy wybieraniu. Jeśli nie będzie ci się podobać, zwałę winę na żonę.

– Ona ci pomogła? Jak to miło z jej strony. Podziękuj jej ode mnie.

– Może najpierw zobacz.

Zaciekawiona i podniecona Elizabeth wyłuskała z bibułki maleńkie pudełko. W środku były kolczyki składające się z trzech srebrnych kropli połączonych z maleńką perełką.

– Och, są cudowne. Po prostu przepiękne.

– Zawsze nosisz te same złote ćwieki. Maddie pomyślała, że może te ci się spodobają.

– Tak. Bardzo. Nie mam żadnej biżuterii prócz tych kolczyków. Przekłułam sobie uszy dzień przed... dzień przed tym. To będą moje pierwsze prawdziwe kolczyki.

– Szczęśliwej siedemnastki, Liz.

– Idź i je przymierz – nakazała Terry. – Wiem, że nie możesz się

doczekać.

– To prawda. Ale czy wypada?

– Prawo solenizanta. Idź.

– Dziękuję. – Rozentuzjasmowana Liz uściskała Terry. – Bardzo, bardzo dziękuję. – A potem Johna. – Jestem taka szczęśliwa. Szczęśliwa siedemnastolatka. – Złapała prezenty i pobiegła na schody.

– A to ci historia! – Terry westchnęła głęboko. – Uściskała nas. Nigdy tego nie robi.

– Jej też nikt nigdy nie ścisnął. Podałem jej matce numer bezpiecznej linii, ponownie. Powiedziałem, że zamierzamy kupić dla Liz tort na urodziny i zorganizujemy wszystko, żeby ją tu sprowadzić. Odmówiła. Bardzo uprzejmie.

– Uprzejma suka pozostaje suką. Ucieszę się, gdy dla Liz to się skończy, wiesz? I dla nas. Ale będzie mi brakować tego dzieciaka.

– Mnie też. Zadzwoń do Maddie, aby powiedzieć jej, że Liz podobają się kolczyki. – Zerknął na zegarek. – Sprawdzę przy okazji czas przyjazdu Cosgrove'a i Keegana. Pewnie dowiem się, że są już w drodze.

– A ja nakryję stół, postaram się go trochę udekorować.

Wyjęła talerze i sztuce i pomyślała o kwiatach.

– Hej, John? – Pod wpływem impulsu weszła do salonu. – Zapytaj, czy Cosgrove może się zatrzymać i kupić jakieś kwiaty. Zróbmy to jak trzeba.

Skinął głową i kontynuował rozmowę z żoną.

– Taak, bardzo jej się spodobały. Jest na górze, właśnie je przymierza. No to pa, połóż dzieci. Prawdopodobnie nie wrócę do domu, zanim pójdą do łóżka.

Terry poszła do kuchni, myśląc, że powinna spróbować trochę czerwonego sosu, żeby się upewnić, czy się udał. Ale gdy sięgnęła po łyżkę,

John zawołał:

– Podjeżdżają.

– Rozumiem. – Z jedną ręką na broni, jak to miała w zwyczaju, Terry podeszła do drzwi garażu i czekała na sygnał. Trzy szybkie stuknięcia, trzy wolne.

– Akurat przyjechaliście na poczęstunek. Mamy...

Bill wszedł energicznie do środka.

– Chyba mamy kłopoty. Gdzie jest John?

– W salonie. Co...

– Bill sądzi, że zauważył ogon – wyjaśnił Keegan. – Gdzie jest świadek?

– Ona... – Coś było źle. Coś nie tak. – Zgłosiłeś to? – zaczęła i wyciągnęła telefon.

Prawie uniknęła pierwszej kuli, która tylko drasnęła jej skroń. Krew zalewała jej oko, gdy wyciągnęła broń i zdążyła krzyknąć do Johna:

– Podstęp!

Keegan gwałtownie zdzielił ją kolbą w tył głowy. Zachwiała się i upadła na podłogę, z hukiem przewracając krzesło.

Z wyciągniętą bronią John przywarł do ściany w salonie. Musiał wbiec po schodach, dostać się do Liz.

– Nie strzelaj do niego – powiedział cicho Keegan, chowając własną broń do kabury i biorąc pistolet Terry. – Pamiętaj, że nie chcemy w nim żadnych dziur.

Bill skinął głową.

– Mam go, John. Mam skurwysyna. Terry leży! Ogłuszona. Keegan dzwoni po wsparcie. Zabezpiecz świadka.

Poprzez bębnienie deszczu John usłyszał głos Keegana pospiesznie

relacjonującą sytuację.

I usłyszał skrzyp deski podłogowej.

Wyskoczył z uniesioną bronią i zmierzył się oko w oko z szarżującym na niego Billem.

– Rzuć broń. Rzuć!

– Terry jest nieprzytomna! Zaatakują od frontu.

– Opuść broń, no już!

John spostrzegł, że Bill zerka w lewo, obrócił się instynktownie i zanim Keegan zdążył wymierzyć mu cios, odepchnął się łokciem, a potem uskoczył w prawo. Wtedy Cosgrove wystrzelił. Kula trafiła go w bok, wżerając się w ciało jak żagiew. Myśląc o Elizabeth, strzelił, rzucając się ku schodom. Kolejna kula utkwiała mu w nodze, ale się nie zatrzymał.

Kątem oka zauważając Keegana, składającego się do strzału, jeszcze raz w biegu pociągnął za spust.

I dostał trzecią kulę w brzuch.

Oczy przesłoniła mu mgła, ale zobaczył wybiegającą z sypialni Elizabeth.

– Z powrotem. Wracaj do środka!

Popchnął ją swoim ciałem i zdążył jeszcze zamknąć drzwi na klucz, zanim osunął się na kolana.

– Och, mój Boże. – Chwyliła koszulę, którą przed chwilą zdjęła, i ucisnęła mu nią brzuch.

Cosgrove i Keegan.

– To agenci...

– Ktoś ich przekupił. – Z zaciśniętymi zębami zaryzykował spojrzenie na ranę w brzuchu i poczuł, że odpływa. – Och, Jezu. Może przez cały czas byli wtyczkami. Terry... nieprzytomna. Może nie żyje.

– Nie!

– Wiedzą, że jestem tu z tobą i będę strzelać do każdego, kto podejdzie do drzwi... – Tak długo, jak będzie w stanie utrzymać broń. – Ale wiedzą, że jestem ranny. – Lewą ręką złapał ją za nadgarstek. – Jest źle, Liz.

– Wyjdiesz z tego. – Ale nie mogła zatrzymać krwawienia. Jej koszula już była przesiąknięta na wylot, a krew ciągle się rozlewała jak powódź. – Zadzwonimy po pomoc.

– Zgubiłem telefon. Keegan, on ma koneksje... w służbie, jest ustosunkowany. Szybko awansował. Nie wiem, kto jeszcze za tym stoi. Skąd mogłem wiedzieć. Niebezpiecznie, dzieciaku. Zrobiło się niebezpiecznie.

– Leż spokojnie. Muszę zatrzymać krwotok. – Uciskaj, powtarzała sobie w myślach. Mocniej uciskaj.

– Powinni mnie ścigać. Coś kombinują. Niedobrze... Posłuchaj. Posłuchaj... – Ścisnął palcami jej nadgarstek. – Musisz się stąd wydostać. Przez okno. Wyjdź i skocz. Wydostań się stąd. Uciekaj. Ukryj się.

– Nie zostawię cię.

– Zostawisz. Weź swoje pieniądze. Nie możesz ufać glinom, nie teraz. Kryje się za tym coś więcej. Na pewno. Weź pieniądze, ile ci trzeba. Szybko. Do diabła, ruszaj się!

Zrobiła, co jej kazał, żeby go uspokoić. Ale go nie zostawi.

Schowała do torby pieniądze, kilka przypadkowych sztuk odzieży i laptop.

– Już. Nie martw się – powiedziała – nadejdzie pomoc.

– Nie, nie nadejdzie. Jestem ranny, Liz, straciłem za dużo krwi. Nie wyjdę z tego. Nie mogę cię chronić. Musisz uciekać. Weź mój drugi pistolet... z kabury przy kostce. Weź go. Jeśli któryś ruszy za tobą w pościg, strzelaj.

– Nie prosź mnie, żebym cię zostawiła. Proszę, proszę... – Przycisnęła



twarz do jego twarzy. Była taka zimna. Za zimna.

– Nie proszę cię. Rozkazuję. To moja praca. Nie zawieźdź mnie.

Uciekaj. Już!

– Sprowadzę pomoc...

– Biegnij. Nie zatrzymuj się. Nie oglądaj. Skacz przez okno. Szybko.

Czekał, aż podejdzie do okna.

– Licz do trzech – nakazał, podczołgując się do drzwi. – A potem znikaj. Zatrzymam ich.

– John.

– Chcę być z ciebie dumny. Licz.

Odliczyła i wyślizgnęła się na zewnątrz. Deszcz smagał jej twarz, gdy chwyciła się rynny. Nie wiedziała, czy ją utrzyma, nie zastanawiała się. Usłyszała serię wystrzałów i zsunęła się po rynnie jak małpa.

Sprowadzę pomoc, myślała. Zaczęła biec.

Gdy oddaliła się najwyżej o pięćdziesiąt metrów, dom za nią wyleciał w powietrze.

## ***BROOKS***

*Samemu sobie wierny bądź, a za tym  
Pójdzie, jak noc za dniem, że wobec drugich  
Ufności również nigdy nie zawiedziesz.*

William Shakespeare

(przekł. Władysława Tarnawskiego)

## 7

Szefowanie policji w małym miasteczku, wtulonym w krainę Ozark jak śpiący kot w zagłębienie ramienia, bywa cholernie wkurzające.

Na przykład wtedy, gdy trzeba zatrzymać faceta, z którym w szkole grało się w piłkę, a który wyrósł na dupka. Chociaż Brooks uważał, że bycie dupkiem to raczej zrządzenie losu niż przestępstwo, Tybał Crew leczył obecnie kaca za kratkami po wypiciu więcej niż jednej szklaneczki rebel yell.

Brooks uznawał okazjonalne nadużywanie whisky za kolejne zrządzenie losu. Ale kiedy skutek wypicia kilku głębszych za każdym razem facet wracał chwiejnym krokiem do domu i wymierzał swojej żonie dwa solidne sierpowe w twarz, popełniał przestępstwo.

I to wkurzało. Jak diabli.

A jeszcze gorsze było, a jednocześnie tak pewne jak kwitnące wiosną stokrotki, że Missy Crew – ekskapitan drużyny cheerleaderek z liceum w Bickford – jeszcze przed południem przyfrunie na posterunek, twierdząc, że Ty jej nie pobił, och, nigdy w życiu. Ot, uderzyła się o drzwi, o ścianę, potknęła na schodach.

Żadne rozmowy, współczucie, irytacja, prośby ani groźby nie przekonają ani jej, ani jego, że potrzebują pomocy. Pocałują się, pogodzą i – jakby Ty wrócił po roku z wojny – polecą do domu pieprzyć się jak wściekłe norki.

Za tydzień lub dwa Ty dorwie się do kolejnej butelki rebel yell i zabawa zacznie się od nowa.

Brooks siedział w swoim ulubionym lokalu Lindy'ego i jadł śniadanie mocno wkurzony tą sytuacją.

Nikt nie robił jajek na bekonie z frytkami tak jak Lindy, aczkolwiek dziś tłuszcz i chrupanie nie poprawiały Brooksowi humoru.

Wrócił do Bickford sześć miesięcy temu, aby objąć stanowisko komendanta policji, po tym jak jego ojciec dostał ataku serca. Loren Gleason – który próbował odkryć przed Tyem Crew i prawie wszystkimi uczniami tutejszego liceum tajemnice algebry – wylizał się z tego. A stosując specjalną dietę i wykonując regularnie ćwiczenia, które matka Brooksa narzuciła biedakowi, był zdrow jak nigdy.

Jednak incydent ten wstrząsnął Brooksem do tego stopnia, że zapragnął wrócić do domu. Tak więc po dziesięciu latach spędzonych w policji w Little Rock, z czego pięć przepracował jako detektyw, złożył papiery i przeniósł się na niedawno zwolnione stanowisko szefa policji w Bickford.

Nie ma to jak w domu. Nie wiedział, jak bardzo mu tego brakowało, dopóki się nie przeprowadził. Przemknęło mu przez myśl, że pewnie powiedziałby to samo o Little Rock, jeśli kiedykolwiek by tam wrócił, ale tymczasem w Bickford było mu dobrze. Ba, doskonale.

Nawet jeśli praca czasami go wkurzała.

Raz czy dwa w tygodniu lubił zjeść śniadanie u Lindy'ego, podobał mu się widok na wzgórze rozpościerający się z okna jego biura oraz stabilność pracy. Lubiał to miasto artystów, garncarzy, tkaczy, muzyków, joginów i okultystów oraz wszystkie sklepy, restauracje i gospody przyciągające turystów bogatą ofertą.

W latach sześćdziesiątych przybyli i osiedlili się tu hipisi. Bóg jeden wie, dlaczego jego matkę, która zmieniła imię z Mary Ellen na Sunshine i do której nadal zwracano się Sunny, przywiało tu z Pensylwanii jakąś dekadę później. Tak czy owak, Sunshine zauroczyła albo zbałamuciła – zależy, kto opowiadał tę historię – młodego, pracującego pierwszy rok nauczyciela matematyki.

Złożyli sobie przysięgę na brzegu rzeki i zamieszkali razem. Kilka lat i

dwoje dzieci później Sunny uległa delikatnym, acz nieustającym nagabywaniom, w czym ojciec naprawdę był dobry, i zalegalizowali swój związek.

Brooks lubił droczyć się z siostrami, że jest jedynym Gleasonem zrodzonym z prawego łóża. Te odgryzały mu się, że jest również jedynym Gleasonem, który musi w pracy nosić spluwę.

Usadowił się wygodnie ze swoją kawą i żeby się odprężyć, obserwował, co dzieje się za oknem.

Było za wcześnie na otwarcie większości sklepów. Vegetable Garden wystawił już swoje reklamy. Brooks próbował wspierać wszystkie miejscowe interesy, więc od czasu do czasu wpadał tam na zupe, ale jak przystało na niepoprawnego mięsożercę, nie widział sensu w czymś takim jak tofu udające mięso.

Piekarnia – tu interes już się kręcił. I w Cup O’Joe też pewnie było pełno. Luty dopiero przeszedł w marzec, ale turyści z północy już rozpoczęli wędrówkę na południe, uciekając przed kęsającym mrozem najzimniejszych miesięcy. Tu zaś grusze ozdobnej odmiany Bradford już prawie kwitły. Za tydzień pokażą się w pełnej krasie. Żonkile, żółte jak masło, wypełniały donice na chodnikach.

Mignęła mu przed oczami furgonetka Sida Firehawka, pozostawiając za sobą kłęby dymu. Brooks z westchnieniem zanotował w myśli, żeby udzielić Sidowi jeszcze jednego ostrzeżenia. Niechże w końcu wymieni ten cholerny tłumik.

Pijani damscy bokserzy i truciele środowiska, pomyślał Brooks. Piekielnie daleko od *Wydziału kryminalnego*. Ale przeważnie mu to odpowiadało. Nawet gdy wkurzało.

I gdy było odwrotnie, pomyślał, prostując się na krześle, żeby lepiej

widzieć.

Musiał się przyznać, że tak wcześnie usadowił się za tą szybą, ponieważ żywił lekką nadzieję, że ona pojawi się dziś w mieście.

Abigail Lowery miała włosy koloru ciepłego brązu, wyjątkowy tyłek i roztaczała wokół siebie aurę tajemniczości. Miała też kocie zielone oczy, chociaż przeważnie skrywała je za ciemnymi okularami.

Poruszała się w specjalny sposób. Abigail Lowery szła zawsze w określonym celu. Nie miała zwyczaju się przechadzać, spacerować czy kluczyć. Przyjeżdżała do miasta co dwa tygodnie po artykuły spożywcze. Zawsze za dnia, ale nigdy w tym samym dniu tygodnia. Z rzadka wchodziła też do innych sklepów, ale załatwiwszy sprawunki, szybko je opuszczała.

To mu się w niej podobało. Ta determinacja, ta energia. Myślał, że mogłaby mu się bardziej spodobać, ale trzymała się z dala od ludzi; przeciętny pustelnik to przy niej dusza towarzystwa.

Jeździła potężnym czarnym SUV – em, chociaż, jak zauważył, nie kręciła się dużo po okolicy.

Z tego, co wiedział od kurierów FedEx – u i UPS – u, od których subtelnie wyciągał informacje, trzymała się swego kawałka ziemi, ładnego jak na obrazku i bardzo zadbanego.

Dowiedział się, że na wiosnę założyła ogród warzywny i kwiatowy, że ma własną szklarnię i potężnego pręgowanego bulmastifa o imieniu Bert.

Była singielką – mieszkała tylko z psem – i nie nosiła obrączki. Kurierzy określali ją jako uprzejmą i szczodłą, dającą świąteczne napiwki, ale pozbawioną serdeczności.

W mieście uchodziła za dziwaczkę.

– Dolać do pełna? – Kim, kelnerka, wyciągnęła do niego dzbanek z kawą.

– Poproszę, dzięki.

– Udało się. Gdy tu wszedłeś, byłeś wściekły jak niedźwiedź, a teraz, proszę, cały w skowronkach. – Poklepała go po policzku.

Traktowała go po maczynemu, co go trochę rozśmieszało, ponieważ była od niego zaledwie pięć lat starsza.

– Rozkręciłem się.

– Powiedziałabym, że to ona cię rozkręciła. – Kim podbródkiem wskazała na Abigail, wchodzącą właśnie do sklepu na rogu. – Niezła, każdy to przyzna, ale dziwna. Mieszka tu prawie od roku, ale jej noga ani razu nie postąpiła ani u nas, ani w żadnej innej restauracji. Zresztą rzadko wchodzi do sklepów czy gdziekolwiek. Wszystko zamawia przez internet.

– Tak słyszałem.

– Nie mam nic przeciwko zakupom przez internet. Sama czasem je robię. Ale przecież mamy w mieście bogatą ofertę. No i prawie się nie odzywa. Zawsze uprzejma, ale ani mru – mru. Cały czas siedzi u siebie. Sama.

– Cicha, grzeczna i trzymająca się na uboczu. Na pewno seryjna morderczyni.

– Brooks! – Kim parsknęła, kręcąc głową, a potem podeszła do następnego stolika.

Nasytał trochę cukru do kawy i leniwie ją mieszał, nie odrywając oczu od wejścia do sklepu. Tak dalej nie ma sensu, zdecydował. Trochę się przejdzie. Może kupi colę na posterunek albo... Już coś wymyśli.

Odchylił się, sięgając po portfel, wyjął kilka banknotów, a potem wysunął się z boksu.

– Dzięki, Kim. Do zobaczenia, Lindy.

Tyczkowaty mężczyzna z siwym warkoczem sięgającym pośladków

odburknął coś i pomachał mu na pożegnanie warząchwia.

Wyszedł na zewnątrz. Był wzrostu swojego ojca i takiej samej smukłej budowy, którą Loren utrzymywał dzięki narzuconym sobie po ataku serca ćwiczeniom gimnastycznym. Matka twierdziła, że czarne jak atrament włosy odziedziczył po wojowniku z plemienia Algonkinów, który ongiś porwał jego praprababkę – a może jeszcze odleglejszą antenatkę – i pojął ją za żonę.

Ale matce zdarzało się pleść wierutne bzdury, i to nieraz celowo. W jego zmieniających barwę orzechowych oczach, przybierających odcień od zielonkawego do bursztynowego, od czasu do czasu błyskały niebieskie iskierki. Lekko zaś skrzywiony w lewo nos był rezultatem przypadkowego odbicia się od ziemi piłki bejsbolowej i złego wyliczenia czasu. Niekiedy mówił kobietom, jeśli w ogóle o to pytały, że to efekt walki na pięści.

Czasem też plótł bzdury, jak jego matka.

Elegancki sklep spożywczy sprzedawał luksusowe produkty w luksusowych cenach. Podobał mu się zapach świeżych ziół, bogactwo kolorów, blask butelek ze szlachetnymi oliwami, a nawet lśniące przybory kuchenne, choć nie miał bladego pojęcia, do czego służą.

Uważał, że człowiekowi w zupełności wystarczają dwa dobre noże, łyżka wazowa i cedzakowa. Wszystko inne to tylko szpan.

W każdym razie, gdy sam musiał zrobić zakupy – a nienawidził tego jak trutki na szczury – odwiedzał Piggly Wiggly.

Łatwo ją było zauważyć, gdy wybierała butelkę kosztownej oliwy, a potem jeden z tych fikuśnych octów winnych.

I choć nie było łatwo zauważyć, zorientował się, że pod bluzą z kapturem ma broń.

W zamyśleniu szedł dalej krótką alejką.

– Och, pani Lowery.



Odwróciła głowę i po raz pierwszy mógł w pełni podziwiać jej oczy. Szeroko rozstawione i zielone jak mech w cienistym lesie.

– Słucham?

– Jestem Brooks Gleason, szef tutejszej policji.

– Tak, wiem.

– Pozwoli pani, że wezmę koszyk? Musi być ciężki.

– Dziękuję. Dam sobie radę.

– Zachodzę w głowę, co ludzie robią z czymś takim. Ocet malinowy – dodał, stukając palcem w butelkę. – To raczej niedopasowane małżeństwo. – Widząc jej puste spojrzenie, wypróbował jeden ze swoich najbardziej ujmujących uśmiechów. – Maliny i ocet. Moim zdaniem nie pasują. Komu to potrzebne?

– Ludziom, którzy gotują. A teraz, jeśli pan wybaczy...

– Ja należę do tych, którzy po prostu rzucają steki na grill.

– W takim razie nie potrzebuje pan malinowego octu. Przepraszam. Muszę zapłacić.

Nie dał się zniechęcić; wiedział z doświadczenia, że tym uśmiechem potrafi rozbroić kobietę. Po prostu poszedł za nią do kasy.

– Jak się pani mieszka w starym domu Skeeterów?

– Bardzo dobrze, dziękuję. – Wyjęła cienki portfel z zapiętej na zamek przegródki w torebce.

Zauważył, że ją przechyliła do siebie, żeby nie mógł zajrzeć do środka.

– Urodziłem się i wychowałem tutaj, ale potem przeniosłem się na pewien czas do Little Rock. Wróciłem tu sześć miesięcy po pani przyjeździe. A jak pani trafiła do Bickford?

– Samochodem – powiedziała, a kasjer zdusił śmiech.

Twardy orzech, stwierdził Brooks, ale kruszył już twardsze.

– Uprzejmy samochód. Chodziło mi o to, co przywiodło panią do tej części Ozark?

Wyjęła gotówkę i usłyszawszy kwotę, podała kasjerowi.

– Podoba mi się tutejszy krajobraz. Lubię ciszę.

– Nie czuje się tam pani samotna?

– Lubię ciszę – powtórzyła, odbierając resztę.

Brooks oparł się o kontuar. Zauważył, że jest zdenerwowana, choć nic nie zmieniło się w jej twarzy ani w oczach, ani w mowie ciała. Po prostu to wyczuł.

– Co pani porabia w takiej głuszy?

– Mieszkam. Dziękuję – zwróciła się do sprzedawcy, gdy włożył jej zakupy do torby, którą przyniosła ze sobą.

– Nie ma za co, pani Lowery. Do zobaczenia następnym razem.

Przełożyła przez ramię torbę z zakupami, nałożyła na nos okulary słoneczne i wyszła bez słowa.

– Niezbyt rozmowna, prawda? – skomentował Brooks.

– Owszem. Zawsze uprzejma, ale wiele to ona nie mówi.

– Za każdym razem płaci gotówką?

– Ach... chyba tak, nie zwracałem uwagi.

– No to teraz zwracaj.

Brooks w zadumie szedł do samochodu. Brak umiejętności konwersacji albo nawet chęci ku temu to jedno, ale spluwa na pewno dawała do myślenia.

Znał wielu ludzi, którzy posiadali broń, ale nikt z nich nie chował jej pod bluzą, wybierając się po ocet malinowy.

No, nareszcie ma wymówkę, żeby się do niej pofatygować.

Najpierw jednak wstąpił na posterunek. Dowodził zespołem składającym się z trzech pełnoetatowych funkcjonariuszy, którzy pracowali

na zmiany, oraz dwóch zatrudnionych w niepełnym wymiarze godzin, i dwóch dyspozytorów, jednego na całym etacie, drugiego na pół. Gdy z nadejściem lata upał uderzy jak oddech piekieł, przeniesie wszystkich na pełny etat, żeby byli w stanie poskramiać awanturników i powstrzymywać akty wandalizmu biorące się z letniej nudy, oraz poradzić sobie z turystami, zainteresowanymi bardziej krajobrazem niż drogą.

– Ty to jesteś prawdziwy wrzód na dupie – narzekał z za swego biurka Ash Hyderman, najmłodszy z funkcjonariuszy. Zimą starał się zapaść kozią bródkę, co nie do końca mu się udało, ale nie dawał za wygraną. Jego górna warga i podbródek wyglądały jak pobrudzone lukrem toffi. – Dałem mu śniadanie, tak jak kazałeś. Śmierdzi jak tania dziwka.

– A skąd ty wiesz, jak pachnie tania dziwka, Ash?

– Mam wyobraźnię. Mogę już iść do domu, Brooks? Przez tego śmierdziela w celi przedłużyłem nocną zmianę. A na tym cholernym składanym łóżku można skrócić sobie kark.

– Muszę gdzieś pojechać. Boyd powinien już przyjść, to mnie zastąpi. Alma też lada chwila się zjawi.

– Dokąd jedziesz? Potrzebujesz wsparcia?

Brooks pomyślał, że nic bardziej nie ucieszyłoby Asha niż banda podchmielonych piwoszy roznosząca miasto na strzepy. Nareszcie mógłby się wykazać.

– Tylko coś sprawdzę. Nie zajmie mi to dużo czasu. Mam włączone radio, jeśli coś by się działo. Powiedz Boydowi, żeby spróbował przemówić Missy do rozsądku, gdy przybiegnie z płaczem i zapewnieniem, że Ty nawet jej nie tknął. Nic to nie da, ale niech spróbuje.

– Wiesz, Brooks, ja myślę, że ona to lubi.

– Nikt nie lubi obrywać pięścią w twarz. Nie mogą się do tego

przyzwyczajając. Oboje. Jestem na nasłuchu – powtórzył i wyszedł.

Abigail walczyła z nerwami, ze złością, z czystą irytacją, ponieważ zajęcie, które szczególnie lubiła, popsuł jej ten wścibski glina, niemający nic lepszego do roboty niż ją nękać.

Przeprowadziła się do tego ładnego zakątka Ozark dokładnie dlatego, że nie chciała mieć żadnych sąsiadów, żadnych ludzi, nikogo, kto by zakłócał rutynę, którą sobie narzuciła.

Jechała krętą, biegnącą w dół i w górę prywatną drogą do swego domu w lesie. Zaprojektowanie czujników, które nie włączałyby alarmu, gdy do domu podchodził zając lub wiewiórka, zajęło jej całe tygodnie. A jeszcze więcej czasu poświęciła na ich instalację wraz z kamerami i przetestowanie całego systemu monitoringu.

Ale było warto. Kochała ten dom z bali i jego kryte werandy. Gdy zobaczyła go po raz pierwszy, pomyślała, że jest jak dom z bajki.

Wiedziała, że to błąd. Odwykła przywiązywać się do czegokolwiek, ale to miejsce pokochała. Panowała tu tak cudowna cisza, że słyszała plusk i szmer płynącego strumienia. Całkiem prywatne i ustronne miejsce w gęstym lesie. No i bezpieczne.

Osobiście dbała o swoje bezpieczeństwo. Nikomu nie ufała.

Nikomu, prócz Berta, pomyślała, zatrzymując samochód.

Ogromne psisko siedziało na frontowym ganku piętrowego domu. Ciało w pogotowiu, czujne oczy. Gdy wysiadła z samochodu, dając znak, że wszystko w porządku, podbiegł do niej susami; sześćdziesięciokilowe cielsko skręcało się z radości.

– Mój dzielny chłopiec. Najlepszy pies na świecie. Taki mądry. Jesteś bardzo mądry. – Zanim wyjęła torbę z zakupami, energicznie pogłaskała Berta. – Nie uwierzysz, jaki miałam dziś ranek.

Idąc z psem do domu wąską kamienną ścieżką, wyjęła klucze.

– Pilnuję swojego nosa, wybieram produkty, a tu do sklepu wchodzi szef policji, żeby mnie podpytywać. Co o tym myślisz, Bert?

Otworzyła dwie zasuwę i policyjny zamek z podwójną blokadą, potem weszła do środka i wyłączyła alarm kodem, który zmieniała co kilka dni.

– Też tak pomyślałam. – Zamknęła drzwi i zarygłowała je. – Był po prostu namolny.

Weszła do salonu urządzonego z myślą o wypoczynku. Uwielbiała siedzieć z podkulonymi nogami przy trzaskającym kominku, z Bertem u stóp. Czytała albo oglądała filmy na DVD. A wystarczyło nacisnąć guzik, żeby obraz z jej kamer bezpieczeństwa pojawił się na dużym, płaskim ekranie.

Przeszła do części kuchennej, gdzie zamiast jadalni urządziła dodatkowy gabinet.

Zgodnie ze zwyczajem sprawdziła zamki w tylnych drzwiach, zabezpieczenia na oknach. Ale tu się nie bała. Wierzyła, że w końcu znalazła miejsce, gdzie nie musi się bać. Chociaż czujność nigdy nie zawadzi. Włączyła ekran telewizora, żeby zsynchronizował się z kamerami bezpieczeństwa.

Mogła teraz wypakować zakupy – czyli to, co udało jej się wybrać, nim jej przeszkadzono – i sprawdzić, co się dzieje na zewnątrz.

Poczęstowała Berta jednym z psich przysmaków, które trzymała w puszcze. Była przekonana, że potrafi go odróżnić od pospolitych psich ciasteczek.

Bo jej ochroniarz zasługiwał na wszystko co najlepsze.

– Teraz muszę trochę popracować, żeby powiększyć nasze bostońskie konto. Później będziemy mogli wyjść i zażyć ruchu. Daj mi godzinę...

Gdy rozległ się brzęczyk alarmu sygnalizujący czyjś przyjazd, urwała, a

Bert przybrał postawę pełnej czujności.

– Nie spodziewamy się dziś żadnej dostawy. – Położyła dłoń na broni, którą nosiła przy boku. – Pewnie ktoś źle skreślił. Powinnam założyć bramę, ale przyjeżdża tylu dostawców.

Zmarszczyła brwi na widok zbliżającego się samochodu, a potem podeszła do komputera i najechała na niego kamerą.

– Och, na litość boską. Czego on znowu chce?

Ton jej głosu sprowokował Berta do gardłowego warczenia.

– Poduszka. – Osobista, zaszyfrowana komenda, żeby się cofnął, sprawiła, że pies pozornie się uspokoił, nie przestając jednak bacznie obserwować swej pani. – Poduszka – powtórzyła, a potem gestem pokazała, żeby szedł przy nodze.

Bert osiągał spektakularne sukcesy w zniechęcaniu gości.

Wyłączyła alarm, otworzyła frontowe drzwi i w momencie, gdy szef policji parkował za jej SUV – em, wyszła na ganek. Poczowała niepokój. Nie zastawił jej wozu albo raczej niezupełnie. Mogła go objechać, jeśliby zaistniała taka potrzeba. Ale dostrzegła w tym jakąś ostentację, i to jej się nie spodobało.

– Pani Lowery.

– Jakiś problem, komendancie Gleason?

– Zabawne, że pani o to pyta, ponieważ właśnie miałem zamiar zadać pani to samo pytanie. Ale najpierw muszę przyznać, że ma pani naprawdę dużego psa.

– Owszem.

Stał swobodnie, z jedną nogą ugiętą i wysuniętą do przodu, z kciukami w kieszeniach, cała mowa jego ciała świadczyła, że jest zrelaksowany, na luzie. Ale nie uszło uwadze Abigail, że oczy miał bystre i czujne. Wyrażały

autorytet.

– Czy rzuci mi się do gardła, jeśli wejdę do środka?

– Dopiero gdy mu każę.

– Docenię, jeśli pani tego nie zrobi. Dlaczego nie wchodzimy?

– A dlaczego mielibyśmy?

– Byłoby przyjaźniej. Ale tu też jest dobrze. Ładnie. Lepiej, niż pamiętam. – Gestem głowy wskazała skrawek ziemi, który wydzieliła i przykryła czarnym plastikiem. – Hoduje pani kwiaty czy warzywa?

– Kwiaty. Jeśli przyjechał pan, żeby spytać, czy mam z tym problem, to odpowiadam: nie. Nie mam z tym żadnego problemu.

– Pójdźmy więc dalej. Dlaczego nosi pani broń?

Wiedziała, że przez ułamek chwili okazała zaskoczenie, i pożałowała, że nie założyła ciemnych okularów.

– Mieszkam sama. Nie znam pana, przyszedł pan bez zaproszenia, a więc mam pistolet oraz obronnego psa. Mam pozwolenie.

– To dobrze. Chodzi o to, że miała pani broń, gdy kupowała ten wymyślny ocet. Nie sądzę, żeby w sklepie spożywczym potrzebowała pani ochrony.

Bystry i czujny, przemknęło jej przez myśl. Zgromiła się w duchu, że nie wzięła do miasta mniejszego pistoletu.

– Mam licencję na noszenie broni przy sobie. Postępuję zgodnie z prawem.

– Muszę poprosić panią o jej okazanie, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

– Mam. Dlaczego ludzie to mówią, dobrze wiedząc, że pytani mają coś przeciwko?

– Konwencjonalne maniery, jak sądzę. – Przemawiał cierpliwym,

przyjemnym tonem, który mógł świadczyć o jego zdolnościach towarzyskich, ale również służyć za broń.

– Chcę zobaczyć licencję, żeby zakończyć sprawę... Abigail, czy tak?

Odwróciła się bez słowa komentarza i wyjęła klucze. Czuła, że idzie za nią na ganek.

– Zaraz ją przyniosę.

– Zdumiewa mnie, dlaczego tak uparcie broni mi pani wstępu do domu. Ma pani tam wytwórnię amfetaminy, broni lub materiałów wybuchowych? A może burdel?

– Nic z tych rzeczy. – Długie do ramion, proste włosy za – kołysały się, gdy zrobiła w tył zwrot. – Nie znam pana.

– Brooks Gleason, komendant policji.

No tak, trzeba mieć szczególne umiejętności, żeby z tak przymilnym uśmiechem, leniwie przeciągając samogłoski, wyrazić tyle sarkazmu.

– Nazwisko i stanowisko nie zmienia faktu, że pana nie znam.

– Zgoda. Ale ma pani wielkiego psa, który krzywo na mnie patrzy, czując, że jest pani zdenerwowana z mojego powodu. Musi ważyć z pięćdziesiąt kilo.

– Sześćdziesiąt.

Brooks otaksował Bertę uważnym spojrzeniem.

– Ja ważę z piętnaście kilo więcej, ale on ma ostrzejsze zęby, a pani broń przy boku.

– Pan też. – Otworzyła szeroko drzwi i gdy Brooks wszedł do środka, podniosła dłoń. – Proszę tu zaczekać. Zostawię go na straży. Jeśli ruszy się pan z miejsca, on pana powstrzyma. Nie ma pan prawa chodzić po moim domu.

– W porządku.



– Bert, zostań. – Odwróciła się do schodów i ruszyła naprzód.

– Może pani sprecyzuje to „powstrzyma”.

Lekko tracąc cierpliwość – w końcu ten policjant dostał więcej, niż na to zasłużył – zatrzymała się i warknęła:

– Niech pan zostanie tu gdzie jest, a nie będzie pan musiał się przekonać.

– Zgoda. – Odetchnął głęboko, gdy zniknęła na schodach. On i pies przyglądali się sobie. – A więc, Bert, co lubisz robić dla zabawy? Nic nie mówisz, piesku, co? Ładnie tu. – Przezornie Brooks nie ruszał się, obracając tylko głowę. – No cóż, nie ma sprawy.

Trzy zamki, rygiel, zabezpieczone okna, najwyższej jakości system alarmowy.

Kim, u diabła, jest Abigail Lowery i czego – albo kogo – się boi?

Zeszła na dół i podała mu dokument.

– Glock 19? Groźna sztuka.

– Każda broń jest groźna.

– Ma pani rację. – Oddał licencję i popatrzył jej prosto w oczy – To prawda, że mnie pani nie zna. Ale mogę podać nazwisko mojego byłego dowódcy z Little Rock. Byłem tam policjantem przez dziesięć lat, zanim wróciłem do domu. Jestem dobrym gliną, Abigail. Jeśli powie mi pani, na czym polegają pani kłopoty, spróbuję pani pomóc.

Komendant Gleason nie był jedynym dobrym gliną, przypomniała sobie. Jej spojrzenie i głos pozostały niewzruszone i chłodne.

– Nie mam żadnych kłopotów. Po prostu żyję swoim życiem. Mam pracę do wykonania i jestem pewna, że pan też. Wolałabym, żeby pan już sobie poszedł.

– W porządku. Jeśli zmieni pani zdanie... – Wyjął wizytówkę i położył

przy frontowych drzwiach. – Tu jest mój numer komórkowy. Jeśli będzie pani potrzebowała pomocy, proszę po prostu zadzwonić.

– Nie potrzebuję pomocy.

– Ma pani rygiel i trzy najwyższej jakości zamki w drzwiach, blokady w oknach i lepszy system alarmowy niż mój bank. Nie sądzę, że założyła pani to wszystko, żeby powstrzymać psa przed ucieczką.

Otworzył frontowe drzwi, odwrócił się i popatrzył na nią.

– Lubi pani puzzle?

– Tak, ale nie widzę związku.

– Ja też je lubię. Do zobaczenia, Bert.

Zatrzasnął drzwi.

Abigail podeszła i zarygłowała je. A potem zacisnęła powieki, uklękła na podłodze i przytuliła twarz do potężnej szyi psa.

## 8

Boyd Fitzwater, mężczyzna z wydatnym brzuchem i włosami przyprószonymi siwizną, siedział za biurkiem. Gdy Brooks wszedł, przerwał stukanie w klawiaturę.

– Pani Crew już nas odwiedziła. Tak jak przewidywałeś, podbite oko wczorajszej nocy to wynik nieszczęśliwego wypadku. Tym razem wykazała się kreatywnością. Powiedziała, że potknęła się o dywan, a Ty próbował ją podtrzymać.

– I upadła na jego pięść?

– Dokładnie tak to przedstawiła. Próbował ją złapać, ale ponieważ był trochę wstawiony, źle ocenił odległość.

– A co z sąsiadką, która zadzwoniła, gdy półnaga wybiegła z krzykiem z domu?

– Och, to? – Boyd wyszczerzył zęby w uśmiechu i pokręcił głową. – Zobaczyła mysz, a nie swoje limo w lustrze. Zbyt gwałtownie zareagowała, a sąsiadka nie powinna się wtrącać. Tak czy owak, zanim zdążysz ją spytać, dlaczego Ty walnął ją wczoraj pięścią, ona cię już wcześniej zapewni, że uderzył ją, ponieważ straciła równowagę. No bo faktycznie to zrobił, ale tylko dlatego, że próbował uchronić ją przed upadkiem.

– Puściłeś go?

– Nic mi innego nie pozostało.

– Ta pieprzona zabawa musi się wreszcie skończyć. Następnym razem, gdy ktoś zadzwoni w ich sprawie, macie mnie powiadomić. Sam się tym zajmę.

– Proszę bardzo. Próbowałem, Brooks. Nawet poprosiłem Alnę, żeby przemówiła jej do rozumu. Myślałem, że może posłucha kobiety.

– Ale nie posłuchała. – Alma Slope wyłoniła się z pokoju socjalnego. Dzisiaj paznokcie miała pomalowane na niebiesko pod kolor koralików wokół szyi. Rozwichrzone, kręcone blond włosy spięła do tyłu kłamrą z błękitnym jedwabnym kwiatkiem.

Pociągnęła łyk kawy z kubka, który trzymała w dłoni, pozostawiając na jego brzegu wyraźny ślad czerwonej szminki. Jasnozielone oczy, jedyny blady element w całej jej postaci, spoglądały przenikliwie spod kocich, ozdobionych kryształkami, okularów.

Na jej twarzy z siatką drobnych zmarszczek malowało się rozdrażnienie, gdy zaciskała dłoń na biodrze w wyblakłych lewisach.

Alma przyznawała, że zbliża się do sześćdziesiątki, ale ponieważ twierdziła to samo przed wyjazdem Brooksa do Little Rock, nawet nie

próbował zgadywać, ile naprawdę lat ma jego dyspozytorka.

I nie był pewien, czy Alma sama to jeszcze wie.

– Zabrałam ją do pokoju socjalnego, posadziłam i przemawiałam do niej jak dobra ciocia, cokolwiek to znaczy. Zaczęła płakać, więc pomyślałam, że coś do niej dociera. Ale ona opowiadała, jak bardzo kocha Tybala i że on robi się podły tylko wtedy, gdy wypije. I tu niespodzianka: że wszystko będzie dobrze, gdy wreszcie zajdzie w ciążę.

– Jezu Chryste.

– Twierdzi, że on naprawdę się stara. A gdy już będą mieli dziecko, Ty od razu się ustakuje.

– Zadzwońcie do mnie, gdy znów do tego dojdzie – powtórzył Brooks.

– Dzięki, że próbowałaś, Almo. Możesz iść na patrol, Boyd. Muszę przejrzeć jeszcze pewne dokumenty.

– Już wychodzę.

– Chcesz kawę, szefie? – spytała Alma.

– Chętnie.

– Zaraz przyniosę. Właściwie nie ma nic do roboty. Dzisiaj jest spokojnie.

– Oby tak dalej.

Wszedł do gabinetu, włączył komputer i wziął do ręki leżącą na biurku starą sprężynkę slinky. Podchodząc do okna, poruszał dłońmi w górę i w dół, żeby wprawić w ruch spiralę. Lubił jej dźwięk, uważał, że oddziałuje kojąco jak stary koc lub dotykanie ciepłej trawy bosymi stopami.

Uważał się – podobnie jak wszyscy, którzy go znali – za człowieka o zrównoważonym temperamencie. Niewielu mogło powiedzieć o nim coś złego. Dlatego zdumiało go, że incydent z Abigail Lowery tak bardzo go rozgniewał.

Choćby ten pies. Piękne bydlę, ale bez wątpienia, gdyby zrobił nieostrożny ruch albo gdyby jej strzelił do głowy jakiś porąbany pomysł, ta piękna bestia zatopiłaby w nim zęby.

Brooks nie miał nic przeciwko trudnym sytuacjom, ponieważ lubił stawiać im czoło, wyjaśniać je, rozwiązywać. To była jego praca – zaprowadzanie spokoju. Ale cholernie mu nie pasowało, że znalazł się w tak niekorzystnym położeniu – oko w oko z uzbrojoną kobietą i jej potężnym obronnym psem.

Żaden przepis prawa nie został złamany. Ani jeden. A jednak.

Niektórzy ludzie są z natury nieprzyjaźnie nastawieni. Nigdy nie rozumiał takich typów, choć znał ich niemało i musiał sobie z nimi radzić. Ale w tej kobiecie było coś więcej. O wiele więcej.

Dojrzał w niej osobliwą i interesującą mieszankę nerwowości i pewności siebie, prostoliniżności i tajemniczości. Zauważył, że ma północny akcent. Nieśmiała, choć dobiegała trzydziestki, jeśli dobrze ocenił wiek. Ale wyjąwszy Almę, na ogół się nie mylił.

Drobnej budowy, lecz zwinna jak sprężyna. Ładna, nawet bez makijażu i w zwykłym ubraniu. Dobre buty, wyglądające na wygodne. Żadnej biżuterii, lakieru do paznokci, jaskrawych kolorów.

Nie patrz na mnie – to, jego zdaniem, chciała zakomunikować. Nie zwracaj na mnie uwagi.

– Nad czym dumasz? – Alma weszła i postawiła na biurku kawę. – Widzę, że się zabawiasz – dodała, gdy się odwrócił.

– Tak tylko sobie rozmyślał.

– Czy to ma coś wspólnego z kobietą, która kupiła dom Skeeterów?

– Zajmujesz się ostatnio parapsychologią?

– Pozostawiam to mojej córce.

– A co tam słychać u Caliope? – Córka Almy, należąca do ścisłego kręgu przyjaciół jego matki, stawiała tarota, wróżyła z ręki i z aury.

– Przedwczoraj pracowała na przyjęciu zaręczynowym. Dostała tam trzy nowe zamówienia.

– To świetnie.

– Żyje z tego. Słyszałam, że odbyłeś coś, co można nazwać konwersacją z tą dziewczyną, Lowery.

– Nie jest szczególnie rozmowna. – Usiadł, podniósł kubek z kawą i położył nogi na biurku. Było to zaproszenie dla Almy, żeby również usiadła.

– Co o niej wiesz?

– Nic, co by mi szczególnie działało na nerwy. Dowiedziałam się od Deana McQueena, który pośredniczył w tej transakcji, że skontaktowała się z nim mailem. Znalazła ogłoszenie w internecie, zadała parę pytań i uprzejmie mu podziękowała. Kilka dni później przysłała mailem swoją ofertę. Nie spytałam o cenę, ale Dean powiedział, że zaoferowała trochę więcej, niż się spodziewał, i zaproponowała bezpośrednią transakcję.

– Bezpośrednią.

– Tak. Z ręki do ręki. Skeeterowie skwapliwie się zgodzili. Znasz Deana, to handlowiec i lubi wszystko dokładnie obgadać. Mówi, że nie mógł z niej nic wyciągnąć poza „tak” lub „nie”. Przełała zadatek z banku w Kansas City. Przyjechała na podpisanie umowy z tym swoim psem oraz dobytkiem ciężarówką firmy U – Haul. Podpisała papiery, podała czek bankowy, tym razem z banku w Fairbanks na Alasce. Dean chciał ją z tej okazji zaprosić na lunch, ale odmówiła. Chciał jej pokazać posiadłość, oprowadzić ją, ale też odmówiła. Wzięła papiery, klucze, podziękowała wszystkim i kropka.

– Chodząca zagadka – wymamrotał Brooks.

– Należy do tych, co mówią: „Żyj i daj żyć innym”? Tacy sami niewiele

z życia korzystają, moim zdaniem. – Podniosła się, gdy radiostacja w dyspozytorni zapiszczała. – Dobrze byłoby się dowiedzieć, czym się zajmuje.

– Owszem – przyznał Brooks. Gdy Alma poszła odebrać komunikat, zadzwoniła jego komórka. – Wydział Policji w Bickford, komendant Gleason. – Na razie odłożył sprawę Abigail Lowery.

Zajął się papierkową robotą, telefonami, skontaktował się z patrolem, wysłuchał skargi właściciela sklepu z ceramiką na sąsiada handlującego świecami, który swoim autem ponownie zablokował dojazd dla samochodów dostawczych.

I kolejny raz rozmawiał z winowajcą.

Dopiero jedząc późny lunch przy biurku – kanapkę z szynką i serem – zajął się rozwiązywaniem zagadki.

Chrupiąc chipsy, które dostał z kanapką, sprawdził tablice rejestracyjne Abigail Lowery. Patrząc na jej datę urodzenia, stwierdził, że w kwestii wieku dużo się nie pomylił – dwadzieścia osiem lat. Miała bezwarunkową licencję na broń, czyste konto jako kierowca i była potencjalną dawczynią organów.

Wszedł do bazy danych, by sprawdzić jej kryminalną przeszłość.

Żadnej kryminalnej przeszłości.

To powinno wystarczyć, pomyślał. Wszystko przemawiało za tym, że jest szanującą prawo obywatelką, nawet bez jednego mandatu za przekroczenie prędkości.

Ale...

Z ciekawości ją wygooglował. Miał kilka trafień, jednak żadna z tych osób nie była tą Abigail.

Ale wciągnął się i kopał dalej. Miał jej imię i nazwisko, adres, numery tablic rejestracyjnych, prawo jazdy. Skoro wiedział, że dostała licencję na noszenie broni, rozpoczął od stosownego rejestru.

Gdy wyskoczyły dane, aż się wyprostował.

– No proszę, prawdziwy arsenał! – mruknął.

Oprócz Glocka 19, miała pozwolenie na Glocka 36, Glocka 26, berette kalibru 9 mm, automatyczny pistolet SIG, Colta Defendera kalibru 9 mm, Smitha&Wessona 1911 oraz dwa walthery P22S.

Po co kobiecie aż tyle pistoletów? Na litość boską, on jest policjantem, a prócz służbowej broni ma tylko dwie spluwy.

– Kim ty, u diabła, jesteś?

– Hej, Brooks.

Zabójcza blondynka stała wdzięcznie upozowana w drzwiach. Włosy Sylbie opadały w lśniących falach na ramiona, biała koronkowa luźna bluzka była przepasana paskiem, a dzinsy wyglądały na jej nogach jak cienka warstwa farby. Jej żółtobrazowe i trochę dzikie oczy przypominały mu oczy tygrysa.

W szkole średniej pragnął jej bardziej niż następnego oddechu. A gdy już ją zdobył, jego życie zamieniło się w huśtawkę szczęścia i cierpienia.

Machinalnie przełączył na wygaszacz ekranu.

– Jak się masz, Sylbie?

– Och, świetnie. Pracowałam od świtu, a więc robię sobie małą przerwę. – Przemierzyła pokój na długich nogach i przysiadła na rogu biurka, rozpościerając dookoła prowokacyjną chmurę perfum. – Postanowiłam wpaść, żeby cię zobaczyć i zapytać, czy umówimy się na wieczór.

– Mam mnóstwo roboty.

– Jeśli szef policji nie może sobie zrobić wolnego, to kto może?

– Policja musi czuwać zawsze.

Roześmiała się, odrzucając do tyłu grzywę włosów.

– Daj spokój, Brooks. Pomyślałam, że kupię butelkę dobrego wina. –



Pochyliła się bliżej. – A ty będziesz mógł mnie wykorzystać.

Wcale nie poczuł się bardziej męsko; musiał przyznać, że te parę razy, gdy spotkali się po jego powrocie do Bickford, czuł się tak, jakby to ona go wykorzystwała.

Z początku nie miał nic przeciwko temu. Ale potem...

– Miła propozycja, Sylbie, ale wieczorem muszę jednak popracować.

– Przyjdź później.

– Raczej nie.

– Ranisz moje uczucia.

– Naprawdę nie chciałem. – Ale również nie chciał dać się jej znów okręcić wokół palca. Przebyli długą drogę od czasów, gdy w szkole zawładnęła jego sercem, a potem je złamała – i doszli teraz do etapu bliższego jej dwóm rozwodom.

– Jeśli chcesz udawać brak zainteresowania, żeby... – Zaczęła zsuwać się z biurka.

– Nie udaję. – Gdyby nie wstał, spadłaby mu prosto na kolana. – Posłuchaj, Sylbie...

Gdy znalazł się naprzeciwko na wprost otwartych drzwi, zobaczył w nich nieco spłoszoną Abigail.

– Pani Lowery, ależ proszę – powiedział, nim zdążyła się wycofać.

– Przepraszam, że przeszkodziłam. Przyjdę kiedy indziej.

– Nie, w porządku. Porozmawiamy później, Sylbie.

– A jednak kupię wino – mruknęła, rzucając mu zniewalający uśmiech.

Odwróciła się i z przechyloną głową przyglądała Abigail.

– To pani jest tą kobietą, która zamieszkała w domu Skeeterów?

– Tak.

– Wszyscy się dziwią, co pani robi sama na takim odludziu.

– Nie powinni.

– Ludzie są ciekawscy. Taka ich natura. Jestem Sylbie MacKenna.

– Miejskowa garncarka? Robi pani bardzo piękne rzeczy. Kupiłam pani miskę. – Abigail popatrzyła znów na Brooksa. – Mogę porozmawiać z panem później, komendancie Gleason.

– Ale jest pani tu teraz. Sylbie już wychodzi.

– Jakiż się zrobił oficjalny. Jak nigdy! – Posłała Abigail znaczący uśmiezek. – Do zobaczenia później, Brooks.

– Jest bardzo atrakcyjna – zauważyła Abigail.

– Jak zawsze.

– Przepraszam, że przeszkodziłam. Ta kobieta, pańska...

– Dyspozytorka?

– Tak. Powiedziała, że mam po prostu wejść.

– W porządku. Proszę usiąść.

– Mogę zamknąć drzwi?

– Oczywiście.

Gdy to zrobiła i zajęła krzesło przeznaczone dla gości, na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Czy coś się stało? – zapytał.

– Tak. Zdałam sobie sprawę, że dziś rano zachowałam się... niewłaściwie. W sklepie i gdy przyjechał pan do mojego domu. Nie byłam przygotowana.

– Musi się pani przygotowywać do rozmowy?

– Nie jestem towarzyska, a więc niewiele rozmawiam, szczególnie z ludźmi, których nie znam. W sklepie czułam się zakłopotana pańskim zainteresowaniem moimi zakupami.

– To był tylko wybieg, żeby nawiązać rozmowę.

– Aha.

Pomyślał, że otacza ją aura chłodu i równowagi. Całkowite przeciwieństwo Sylbie, która emanowała ciepłem i była jak żywe srebro.

– Żyjemy w niewielkim miasteczku, Abigail. W małym kurorcie, pełnym wyznawców New Age, starych hipisów, drugiego pokolenia hipisów i artystów. Jesteśmy wobec siebie przyjaźni.

– Ja nie jestem. Przykro mi, jeśli to niegrzeczne z mojej strony, ale tak już jest. Nie jestem towarzyską osobą i przeprowadziłam się tutaj, by żyć w ciszy i odosobnieniu. Gdy przyjechał pan do mojego domu zaraz po spotkaniu w sklepie, zdenerwowałam się. Mam swoje powody, by nosić broń. Ale nie mam obowiązku z nikim się nimi dzielić. Nie zrobiłam nic złego.

– Dobrze to wiedzieć.

– Lubię swój dom i swoją ziemię. Lubię to miasto. Dobrze się tu czuję. Chciałabym, żeby zostawiono mnie w spokoju.

– To prawda, co Sylbie powiedziała o ludzkiej ciekawości. Leży w naturze człowieka. Im bardziej jest się tajemniczym, tym bardziej ludzie się nad tym zastanawiają.

– Nie jestem tajemnicza.

– Jest pani chodzącą tajemnicą. – Wstał i przeszedł naokoło biurka. Zauważył, że nadal jest spięta, że pozostała czujna, nawet gdy wrócił na swoje miejsce. – Jest pani atrakcyjną kobietą, mieszkającą samotnie, tylko z wielkim, potężnym psem, poza miastem. Nikt nie wie, skąd pani przyjechała i po co ani z czego żyje. A ponieważ to jest Południe, ludzie lubią wiedzieć. Jest pani Janeską, a więc i tak traktują panią z większą tolerancją. Lubimy tutaj ekscentryków, pasują do naszej społeczności. Jeśli ludzie stwierdzą, że jest pani po prostu ekscentryczką, przestaną się dziwić.

– Według pewnych standardów jestem ekscentryczką. Mogę się

postarać być większą, jeśli to wszystkich zadowoli.

Pokazał zęby w uśmiechu, po prostu nie mógł się powstrzymać.

– Zdecydowanie jest pani inna. Z czego się pani utrzymuje,

Abigail? Jeśli nie jest to tajemnica albo kwestia bezpieczeństwa narodowego, może mi chyba pani powiedzieć. Tak, po prostu.

– Jestem programistką komputerową i projektantką oprogramowania. Pracuję jako wolny strzelec. Projektuję również systemy alarmowe, ulepszam i przeprojektowuję istniejące systemy, głównie dla korporacji.

– Interesujące. Jak widać, nie tak trudno o tym mówić.

– Większość mojej pracy jest wysoce poufna.

– To zrozumiałe. Musi pani być bardzo zdolna.

– Jestem bardzo zdolna.

– Gdzie pani studiowała?

Wpatrywała się w niego, chłodna, spokojna, opanowana.

– Gdy zadaje pan te wszystkie pytania, odnoszę wrażenie, że nie jest to zwyczajna rozmowa. Raczej przesłuchanie.

– Nie ma sprawy. Proszę więc, niech pani też zada mi pytanie.

Zmarszczyła brwi i popatrzyła mu prosto w oczy.

– Nie mam żadnych pytań.

– Skoro jest pani tak inteligentna, na pewno coś wymyśli. – Odepchnął się od biurka, podszedł do małej lodówki i wyjął dwie cole. Podał jej jedną puszkę, z trzaskiem otwierając swoją. – Coś się stało? – spytał, gdy wlepiła martwy wzrok w puszkę.

– Nie. Nic. W porządku, a więc: dlaczego wstąpił pan do organów ścigania?

– Dobre pytanie. – Skinął z aprobatą głową, a potem oparł się o biurko, mając za plecami rozpościerający się za oknem widok na wzgórza. –

Lubię rozwiązywać problemy. Wierzę w wiele rzeczy. Jak również w wiele nie wierzę, ale na pewno wierzę w dobro i zło. Nie każdy tak samo je sobie wyobraża. Podejście bywa subiektywne. Gdy jest się glina, czasem sprawa jest oczywista, ale czasem trzeba zdecydować, biorąc pod uwagę określoną sytuację, konkretnych ludzi, czy to coś złego, czy tylko problem do rozwiązania.

– Trochę pokrętne rozumowanie.

– Wcale nie. Chodzi przecież o rozwiązywanie problemów, a żeby to robić skutecznie, trzeba mieć głowę na karku. I odwagę.

– Intelkt jest wiarygodniejszym sędzią niż emocje. Intelkt bazuje na faktach. Na emocjach nie można polegać, bo są zmienne.

– I ludzkie. Na co komu prawo, które nie byłoby dla ludzi?

Odstawił swoją colę i sięgnął po jej puszkę. Otworzył ją i podał jej.

– Potrzebuje pani szklanki?

– Och, nie. – Wypiła mały łyk. – Dziękuję, komendancie Gleason.

– Po prostu Brooks, proszę. Nie spyta pani, skąd mam takie imię?

– Podejrzewam, że to rodzinna tradycja.

Wycelował w nią palcem.

– Źle pani podejrzewa. Teraz nie jest pani ciekawa?

– No, trochę...

– Brooks Robinson.

– Słucham?

– Tego się obawiałem. Bejsbol, Abigail. Brooks był jednym z najlepszych zawodników, jacy kiedykolwiek bronili trzeciej bazy. Moja matka pochodzi z Baltimore, gdzie on grał. I jest zagorzałą fanką bejsbolu. Nawet gdy ją tu przywiało w końcu lat siedemdziesiątych, śledziła rozgrywki i kibicowała Baltimore Orioles. Twierdzi, że oglądając w 1970 roku Brooksa

zdobywającego tytuł najlepszego zawodnika w meczach World Series przeciwko Cincinnati Reds, przysięgła sobie, że swojemu ewentualnemu synowi nada imię Brooks.

– Widać bardzo poważnie traktuje bejsbol.

– O, tak. A skąd się wzięła Abigail?

– Po prostu imię.

– Podoba mi się Abigail. Ma w sobie staroświecką klasę.

– Dziękuję. – Wstała. – Muszę już iść. Czeka na mnie praca.

Przepraszam, jeśli dziś rano byłam nieuprzejma i mam nadzieję, że wszystko wyjaśniłam.

– Doceniam, że pani przyszła. To, co powiedziałem rano, nadal obowiązuje. Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, proszę zadzwonić.

– Nie będę, ale dziękuję za colę oraz rozmowę. – Oddała mu puszkę. – Do widzenia.

Gdy wyszła, patrzył na puszkę, zastanawiając się, jak to o nim świadczy, że poważnie rozważa sprawdzenie jej DNA i odcisków palców?

Na pewno nie najlepiej, przynajmniej z kilku względów. Mimo to wylał zawartość puszeki do zlewu w łazience, a potem w gabinecie włożył pustą do torebki na dowody i schował do dolnej szuflady biurka.

Na wszelki wypadek.

Przez cały dzień Brooks odczuwał niepokój, co było dla niego stanem niezwykłym. Nie miał ochoty na swoje własne towarzystwo, a ponieważ zamiast odmówić wprost Sylbie, powiedział jej, że musi pracować, trudno by mu było usprawiedliwić wyskok do pubu McGrewa na piwo, partyjkę bilarda czy pogawędkę.

Zamiast więc wrócić do siebie, przejechał do końca Shop Street, skręcił w lewo i zatrzymał się tuż za toyotą prius swojej matki, przed domem w

kształcie litery U, będącym w ciągłym remoncie.

Rusztowanie przylegało do ściany, na której mógł śledzić postęp prac nad najnowszym murałem matki. Tym razem były to seksowne dobre wróżki z rozwianymi włosami i misternymi skrzydłami. Na frontowej fasadzie pod dachem widniał fryz przedstawiający opalonych muskularnych mężczyzn i kobiety dosiadających smoki, których łuski mieniły się opalizującymi kolorami rubinu, szmaragdu i szafiru.

Imponujące dzieło, pomyślał. Może trochę dziwaczne na domu, ale przynajmniej nikt nie przeoczy posesji państwa O'Hara – Gleason, to pewne.

Przez pomalowany na wiśniowo ganek dotarł do drzwi obramowanych elfami o szpiczastych uszach.

I wkroczył w świat dźwięków, zapachów i barw. Panował tu artystyczny nieład i wygoda, zdominowane przez sztukę jego matki i rozweselone kwiatami, które ojciec przynosił co najmniej dwa razy w tygodniu.

Tulipany na cześć nadchodzącej wiosny, stwierdził Brooks. We wszystkich kolorach tęczy, w wazonach, misach i dzbankach rozstawionych po całym pokoju. Czarny kot, nazwany przez ojca Chuck, leżał zwinięty na sofie i ledwie uchylił oko na przywitanie Brooksa.

– Nie musisz wstawać, stary – rzucił do niego Brooks wśród ogłuszającego śpiewu Fergie.

Cofnął się, minął gabinet ojca, maleńką, zatłoczoną bibliotekę i znalazł się w sercu tego domu – w kuchni.

To największe pomieszczenie łączyło w sobie nowoczesność reprezentowaną przez lśniące sprzęty kuchenne – płytę z zewnętrznym grillem, przeszkloną szafkę na wina – z urokiem bujnych ziół w doniczkach i kwitnącego drzewka cytrynowego. Połyskujące w oknach kryształowe wisiorki chwytały promienie słoneczne. Więcej słońca wpadało przez

światlik w wysokim suficie, rozjaśniając pęki kwiatów, pnączy i owoców wymalowane przez jego matkę na ścianach na tle ciepłej żółci.

Czuł kuszący zapach świeżego chleba i jakiejś potrawy, którą mieszała na kuchni, jednocześnie wtórując Fergie. Zaciekle z nią konkuruje, pomyślał Brooks.

Zdaniem Brooksa jego matka była wszechstronne uzdolniona.

Brazowe włosy przetykane złotymi pasemkami miała zaplecione w warkocz, który spadał na plecy, a w uszach dyndały srebrne kolczyki. Bosymi stopami wybijała rytm na podłodze.

Wytatuowana na prawej kostce pacyfa przypominała o ideałach z lat sześćdziesiątych.

– Cześć, piękna.

Raptownie nabrała powietrza, a potem odwróciła się ze śmiechem, który ukazał się też w jej ciepłych brązowych oczach.

– Cześć, przystojniaku. Nie słyszałam, jak wszedłeś.

– Bo i nie mogłaś nic usłyszeć. Ile razy muszę ci mówić jak dziecku o ściszeniu muzyki?

– Muzyka pomaga w procesie twórczym. – Ale sięgnęła po pilota i ściszyła Fergie. – Co u ciebie?

– To i owo. Gdzie tata?

– Na wywiadówce. Niedługo wróci. Zostaniesz na kolacji?

– Co będzie?

– Minestrone, chleb z rozmarynem i zielona sałata.

– Wchodzę w to. – Otworzył lodówkę, wyciągnął piwo i pomachał nim.

– Cóż, jeśli nalegasz.

– Nalegam. – Wyjął drugie i otworzył obydwie.

– A teraz – wymierzyła mu lekkiego kuksańca w brzuch – gadaj, co się



stało. Znam twoją twarz nie od dziś.

– W końcu sama mi ją dałaś.

– Odwaliłam kawał dobrej roboty. Masz jakieś kłopoty, skarbie?

– Właściwie to nie. Ale Sylbie wpadła dziś po południu na posterunek.

Pociągnęła łyk piwa.

– Uhm.

– Znam to twoje „uhm”. Chciała umówić się na wieczór.

– A jednak jesteś u mnie w kuchni, przedkładając minestrone nad seks.

– Robisz naprawdę świetną minestrone. Okłamałem ją.

– Patrzcie, patrzcie, znalazł się uczciwy glina.

Zrewanżował jej się sójką w bok.

– A ty, jak przystało na prawdziwe dziecko kwiat, lekceważysz autorytety. Kłamstwo wobec podejrzanego to jedno, ot, praca. A kłamstwo w życiu codziennym to co innego. Nie lubię tego drugiego.

– Wiem. A więc dlaczego ją okłamałeś?

– Aby uniknąć sceny, jak sądzę. To oczywiście głupie, bo tylko odwleka sprawę. Nie chcę wracać do szkoły średniej. Już ten temat przerobiłem. Ona nie pragnie mnie; chce kogokolwiek. Seks z nią jest naprawdę niezły, ale nic poza tym.

– A więc szukasz czegoś więcej. – Sunny otarła wyimaginowaną łzę. – Widzę, że mój chłopiec dorasta.

– Może. Nie wiem. Ale wiem jedno: nie chcę być z Sylbie. Mam nadzieję, że rozstaniemy się bez problemu. Po prostu przeniesie swoje zainteresowanie na kogoś innego.

– Myślałam, że nie chcesz wracać do szkoły średniej.

– No, tak. Wiem, że muszę to jakoś załatwić, i powinienem postawić sprawę jasno, gdy dziś do mnie przyszła. Wkurza mnie, że tego nie zrobiłem.

Ale zrobię.

– To dobrze. Ona nie jest szczęśliwą kobietą, Brooks. Utożsamia swoją wartość z własnym wyglądem i seksualnością, a dopóki nie zrozumie, że robi błąd, nie będzie szczęśliwa. A może być i uszczęśliwić kogoś, gdy zda sobie sprawę, że ma o wiele więcej do zaoferowania. Pamiętaj jednak, że jakkolwiek tę sprawę załatwisz, nie rozwiążesz za nią jej problemów.

– Masz rację. Popracuję nad tym.

– No, dalej. Bo widzę, że jest coś jeszcze. – Lekko stuknęła go w skroń.

– Poznałem dzisiaj oficjalnie Abigail Lowery.

– No, to interesujące. Siadaj i zdaj mi szczegółową relację. – Zajęła miejsce za barkiem śniadaniowym i poklepała stojący obok stołek. – Umieram z ciekawości. Jaka ona jest?

– Na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie nieprzystępnej, szorstkiej i nieprzyjaznej, ale przy bliższym poznaniu wygląda mi to raczej na nieprzystosowanie społeczne.

– Biedactwo.

– To biedactwo nosi u boku glocka, nawet gdy idzie do delikatesów.

– Broń? Kiedy ludzie rozumieją, że chodzenie z bronią to po prostu proszenie się... – Przerwała, gdy położył jej palec na ustach.

– Znam twój stosunek do broni i do kwestii jej posiadania oraz zgubnych skutków Drugiej Poprawki, Sunshine.

Sapnęła z irytacją i wzruszyła ramionami.

– Nigdy za wiele powtarzania. Ale mów dalej.

Opowiedział jej o spotkaniu w sklepie, przejeżdżce do jej domu, o psie i zamkach w drzwiach. Zanim dotarł do licencji na broń i wielkości zgromadzonego przez nią arsenału, Sunny stwierdziła, że ta historia wymaga kolejnego piwa.

– Czego ona się boi?

– Też tak to rozumiesz? No właśnie. Chciałbym wiedzieć. Jako szef tutejszej policji wręcz powinienem. Ale, żeby skończyć wątek, potem przyszła Sylbie...

Gdy opowiedział resztę, wściekłość matki z powodu broni przygasła, skierowała zaś uwagę na co innego.

– Aż mi się serce kraje! – skwitowała.

– Dlaczego?

– Skarbie, ona jest bardzo samotna. Oczywiście, że jest społecznie nieprzystosowana, jeśli się barykaduje Bóg raczy wiedzieć przeciwko komu. Ale nie wygląda mi ani na entuzjastkę survivalu, zawsze na wszystko gotową, ani na maniaczkę, która gromadzi broń i barykaduje się na wypadek potencjalnej rewolucji albo sądnego dnia. Powiedziałaś, że zajmuje się programowaniem komputerowym oraz projektowaniem systemów alarmowych. Może coś odkryła albo wynalazła? I teraz rząd ją ściga?

– Dlaczego to zawsze ma być rząd, mammo?

– Ponieważ tak często się dzieje, właśnie dlatego. Może była szpiegiem komputerowym albo kimś takim.

– Kocham cię.

Zmrużyła oczy i kopnęła go lekko w piszczel.

– Mówisz mi te miłe słowa z nutą rozbawienia i protekcjonalności.

Nie zdołał powściągnąć złośliwego uśmiešku.

– Powiedzmy, że moim zdaniem nie wygląda na szpiega.

– No cóż, oni nie powinni na nich wyglądać, prawda? Mają się wtopić w otoczenie.

– W takim razie kiepski z niej szpieg, bo na pewno się nie wtapia.

– Zgoda, może więc ucieka przed natarczywym facetem.

- Nie znalazłem śladów, żeby składała jakieś skargi.
- Niektóre kobiety nie idą na policję. Po prostu uciekają.

Pomyślał o Missy i jej podbitym oku.

– A niektóre zostają. Wiem tylko, że to, przed czym się zbroi, barykaduje i ukrywa – jeśli o to tu chodzi – jest złe. A jeśli to zło ją znajdzie, znajdzie ją tutaj. A jestem odpowiedzialny za ten teren, i czy jej się to podoba, czy nie – również za nią.

- Kocham cię.
- Czyżbym słyszał nutę rozbawienia i protekcjonalności?
- Nie. – Ujęła jego twarz. – To po prostu fakt.

## 9

Jadąc krętą drogą w kierunku domu Abigail Lowery, Sunny powątpiewała, czy jej syn pochwaliby tę wycieczkę. Ale ona zwykła była robić, co jej się podoba, pod warunkiem że nie krzywdzi to nikogo – no, chyba że sobie na to zasłużył. Tak czy owak, wczorajsza rozmowa z synem natchnęła ją do tych odwiedzin.

Zaparkowała, zzymając się w myślach na widok pożerającego paliwo SUV – a na podjeździe.

Ale dom jej się spodobał, zwłaszcza jego wkomponowanie w krajobraz. Widziała grządki przygotowane pod wiosenny siew. A szklarnia, którą zauważyła kątem oka, wzbudziła w niej zazdrość.

Piękny poranek na wizytę, uznała. Wiosna szeptała w powietrzu, liście na drzewach oraz ich zawiązki na rosnących tu i ówdzie dzikich dereniach tworzyły pełną uroku zieloną mgiełkę.

Żeby mieć stosowny pretekst, upiekła rano ciasto z jagodami. Jeszcze

się nie zdarzyło, by ktoś mu się oparł.

Wysiadła z samochodu, weszła po schodkach i zapukała do drzwi.

Gdy uchyliły się na ostrożne kilkanaście centymetrów, rozpromieniła się w uśmiechu.

– Cześć. Jestem Sunny O’Hara, matka Brooksa.

– Ach, tak?

– Wiem, że Brooks wczoraj cię odwiedził i przyszło mi do głowy, że powinnam zrobić to samo. Pomyślałam sobie: Jak to, dziewczyna mieszka tu prawie rok, a ja jej nie odwiedziłam?

– To miło, pani O’Hara, ale...

– Mam na imię Sunny. Upiekłam dla ciebie jagodowe ciasto.

– Och.

Sunny w całym swoim życiu nie widziała, żeby zwykłe ciasto wprowadziło kogoś w taką konsternację.

– Dziękuję. To bardzo miłe. Obawiam się jednak, że mam dużo pracy, a więc...

– Każdemu należy się chwila przerwy na deser. Nazywają cię Abby?

– Nie.

– A więc Abigail. Urocze, staroświeckie imię. Abigail, muszę ci powiedzieć wprost, że jestem kobietą, która lubi postawić na swoim. Łatwiej ci będzie zaprosić mnie na kilka minut, niż znosić moje wizyty aż do skutku. Spodziewam się, że masz broń przy sobie albo gdzieś na podorędziu. Nie apróbuję broni, ale nie będę prawić ci kazań z tego powodu. Na razie. – Rzuciła Abigail kolejny uśmiech, równie słoneczny jak jej imię. – Ja nie mam broni palnej ani niczego niebezpiecznego. Prócz ciasta. Oczywiście to bomba kaloryczna, ale ty jesteś jak trzcinka, więc możesz sobie pofolgować.

– Nie chciałabym być niemila, ale...

– Och, nie wątpię – wtrąciła Sunny z wyraźnym rozbawieniem. – Trudno ci mieć za złe. Zawrzyjmy jednak umowę. Zaprosisz mnie do środka, zjesz kawałek ciasta. A potem możesz być niemiła, a ja nie poczuję urazy.

Schwytana w pułapkę i zirytowana Abigail oderwała dłoń od broni, przymocowanej pod blatem stolika stojącego przy drzwiach.

Nie wątpiła, że ta kobieta jest matką Brooksa Gleasona. Miała taki sam narzucający się sposób bycia, przyobleczony w pozory przyjaźni, i podobne rysy.

Abigail w milczeniu otworzyła szerzej drzwi i cofnęła się w głąb domu.

– No proszę, to nie było aż... Och, co za wspaniały pies! – Bez cienia strachu Sunny wetknęła foremkę z ciastem w ręce Abigail i przykucnęła. – No cześć, chłopcze. – Podniosła wzrok. – Mogę go pogłaskać? Straciliśmy naszego Thora jakieś sześć tygodni temu. Musieliśmy go uśpić, miał siedemnaście lat i był ślepy jak nietoperz.

– Bardzo mi przykro.

– A co dopiero mnie! Płakałam jak bóbr. Mamy jeszcze starego Chucka, kota, ale to nie to samo. Zamierzamy wziąć następnego psa, choć nie jestem jeszcze gotowa na kolejne uczucie. To było bardzo bolesne pożegnanie.

Bezradna Abigail chwyciła mocniej ciasto.

– **Ami** – powiedziała do psa. – **Ami**, Bert. Teraz można go pogłaskać.

Bert poddawał się pieszczocie, cicho mrużąc z przyjemności.

– **Ami?** To po francusku. Jesteś Francuzką?

– Nie. Ale znam ten język.

– Co ty na to, Bert? Ty też znasz francuski? Och, jaki jesteś przystojny.

Ma orzechowe oczy, trochę podobne do Brooksa. Dobry piesek, dobry.

Jej oczy wypełniły się łzami. Stłumiła wzruszenie i pociągając nosem,

wstała.

– Przepraszam. Jeszcze nie przebolełam straty.

– Śmierć jest trudna.

– Na pewno. – Sunny odrzuciła warkocz do tyłu, odetchnęła głęboko i rozejrzała się dookoła. – Jesteś bardzo porządna, nieprawdaż?

– Przy... Przypuszczam, że tak. Lubię trzymać wszystko na swoim miejscu.

– A ja chyba lubię chaos, przeważnie. W każdym razie nie potrafię długo utrzymać porządku. Och, mam obraz, który doskonale pasowałby do twojego salonu. To moje zajęcie. Jestem artystką.

– Wiem.

– Maluję głównie sceny baśniowe i mitologiczne. Wróżki, syreny, bogów i boginie, smoki i centaury, coś w tym stylu.

– Mitologia to żyzny grunt dla artystów i pisarzy. Ach... czy murale na tym domu przy przecznicy Shop Street, to pani dzieło?

– Tak. To nasz dom.

– Interesujące. Dobra robota.

– Dziękuję. Cieszę się, że ci się podoba. Może napijemy się kawy do ciasta?

Abigail popatrzyła z wahaniem na ciasto.

– Pani O'Hara...

– Sunny.

– Sunny, nie jestem zbyt towarzyska.

– Och, złotko, nie ma sprawy. Wystarczy, że ja jestem.

Jakkolwiek to będzie niezręczne i stresujące, chyba łatwiej - i bardziej skutecznie – po prostu pozwolić tej kobiecie mieć swoje pięć minut. Z pewnością.

– Zrobię kawę.

Ruszyła w stronę kuchni, uświadamiając sobie, że po raz drugi w ciągu dwóch dni przyjmuje u siebie gościa. Ale ta kobieta nie zamierzała zrobić jej krzywdy.

Chyba że...

– Czy to syn poprosił, żebyś tu przyjechała?

– Nie. Właściwie gdy się dowie, będzie niezadowolony, że cię niepokoję. No, ale ja... Och! Podoba mi się twoja kuchnia. Tyle masz miejsca w szafkach. Mam taką samą płytę, no może trochę starszy model. O, widzę, że hodujesz zioła. Ja też. A więc mamy ze sobą coś wspólnego. Uwielbiam gotować. To trochę jak malowanie, tylko że miesza się zioła oraz przyprawy i rozrabia sosy zamiast farb.

– Podchodzę do tego naukowo. Jak do wzoru. Jeśli się od niego odbiegnie, tworzy się coś nowego lub trochę odmiennego.

Sunny tylko się uśmiechała.

– Jakkolwiek by na to spojrzeć, nie miałabyś takiej kuchni, gdybyś nie lubiła gotować i nie była w tym dobra.

Podeszła do okna i wyjrzała.

– Zazdroszczę ci tej szklarni. Mam tylko taką małą przydomową, którą sama zbudowałam. Nie starczyło miejsca na większą. Och, i własna sałata. Całkiem spory warzywnik.

– Większość warzyw i ziół hoduję sama.

– My też. Przyjechałam tu w latach siedemdziesiątych z grupą takich samych wolnych duchów. Stworzyliśmy rodzaj komuny, artystycznej wspólnoty, można rzec – hodowaliśmy własną żywność, sami tkaliśmy materiały na ubrania i sprzedawaliśmy nasze wyroby. Wielu z nas tu zostało. To tutejsi starzy hipisi.



- Byłaś częścią kontrkultury.
- Lubię myśleć, że nadal jestem.

Gdy Abigail parzyła kawę, wyjmowała filiżanki i talerzyki, Sunny zerknęła do kącika biurowego. Uniosła brwi, widząc ekran komputera, a na nim kadry z podjazdu i otoczenia domu z każdej strony.

– A to ci dopiero! Nikt cię tu nie zaskoczy, prawda? Zajmujesz się systemami bezpieczeństwa, czyż nie?

– Tak.

– Były takie czasy, że w okolicy nawet nie zamykano drzwi na noc, a jeśli miało się sklep i trzeba było gdzieś wyskoczyć, wystarczyło zostawić kartkę. Ludzie wchodzili do środka i jeśli chcieli coś kupić, a sprzedawca jeszcze nie wrócił, zostawiali pieniądze na ladzie. Czasem postęp i zmiana jest rzeczą chwalebna, a czasem nie.

– Lepiej się zabezpieczyć.

Spółecznie nieprzystosowana, tak uważa Brooks. A jednak ta dziewczyna wyjęła ładne talerzyki, do małego dzbanuszka wlała mleko, postawiła cukier, położyła serwetki. Wiedziała, jak przyjmować gości, nawet jeśli gość był niespodziewany i nieproszony.

Sunny usiadła przy blacie, przypuszczając, że Abigail ma dwa stołki tylko dlatego, że były w zestawie. Dodała do kawy mleko i znaczną ilość cukru, a potem poklepała drugi stół.

- Chodź, usiądź tu. Opowiedz mi o Abigail.
- Nie ma nic do opowiadania.
- Zawsze coś jest. Co lubisz robić?
- Lubię swoją pracę. – Z wyraźnym oporem Abigail usiadła.
- Współczuję ludziom, którzy jej nie lubią. A oprócz pracy?
- Dużo pracuję. – Gdy Sunny uniosła brwi, Abigail ze wszystkich sił

starala się znaleźć coś więcej. – Bert potrzebuje ruchu, a więc chodzimy na spacerki albo na dalsze wycieczki. Tu jest dużo przestrzeni, między innymi dlatego kupiłam ten dom. Poza tym pracuję w szklarni albo w ogrodzie. To mi sprawia satysfakcję. Lubię też czytać. Oglądam telewizję.

– Ja również, więcej niż się powinno. Ale co tam! I lubisz samotność.

– Lubię.

– Wychowując trójkę dzieci, czasami myślałam, że wiele bym dała za kilka godzin samotności.

– Nie wiedziałam, że Brooks ma rodzeństwo.

– Dwie starsze siostry.

– Nie wyglądasz na dzieci w tym wieku. Mają około trzydziestki, jak przypuszczam?

– Miałam dziewiętnaście lat, gdy przyjechałam do Bickford. Przez dwa lata po maturze włóczyłam się tu i tam.

– Miałaś... siedemnaście lat, gdy opuściłaś dom?

– W dniu, gdy skończyłam liceum. Zainwestowałam zbyt wiele czasu, żeby tak po prostu je rzucić, więc dotrwałam do końca, a potem już mnie nie było. – Sunny pstryknęła palcami. – Nie dogadywałam się z rodzicami. Zresztą nic dziwnego, skoro na wszystko, naprawdę na wszystko mieliśmy inny pogląd. I nadal tak jest, przeważnie. Ale się pogodziliśmy. Gdy tu przyjechałam, poznałam młodego nauczyciela. Był nieśmiały, ujmujący, mądry i miał orzechowe oczy. Uwiodłam go.

– Rozumiem.

– To nie było trudne. Miałam dużo wdzięku. – Zaśmiała się. – Niełatwo było mi pogodzić się z faktem, że uprawiam seks z kimś, w kim się zakochałam. Byłam pewna, że nie chcę takiego życia. Mężczyzna, dom, korzenie, rodzina. Ale on miał nieodparty urok. Chciał się ze mną ożenić.

Powiedziałam nie, to nie dla mnie.

– Małżeństwo jako instytucja stanowi część naszej kultury, ale to tylko rodzaj kontraktu i to zbytecznego, jako że łatwo go zerwać.

– Mówisz jak ja w tamtych czasach. Gdy dowiedziałam się, że jestem w ciąży z Myą, zgodziłam się na rodzaj nieformalnych zaślubin. Interesowałam się wtedy po amatorsku neopogańską religią wicca. Mieliśmy cudowną ceremonię nad rzeką, a potem przeprowadziliśmy się do maleńkiego domku, och, był nawet mniejszy niż połowa tego. Nie miał wody ani kanalizacji, ale mnie to nie przeszkadzało. – Pograżona we wspomnieniach, westchnęła nad kawą. – Urodziłam tam dwoje dzieci. Ale potem już nie było tak fajnie. Mój mąż chciał prawdziwego małżeństwa, normalnego domu. Przez prawie trzy lata pozwolił mi żyć według własnego uznania. Zdałam sobie sprawę, że nadszedł czas pójść na kompromis. A więc załadowaliśmy dzieciaki i pojechaliliśmy do sędziego pokoju, żeby zawrzeć legalny kontrakt. Z pieniędzy, które zarobiłam na sztuce – miałam umowę na malowanie kartek okolicznościowych, całkiem intratną – i z tych zaoszczędzonych z pracy nauczyciela kupiliśmy ten zrujnowany dom na rogu Shop Street. Zaczęliśmy go remontować i wtedy pojawił się Brooks. Nigdy nie żałowałam ani chwili. Nawet jednej.

Abigail zastanawiała się, czy gdy praktycznie obca osoba streszcza przed nią swoje życie, można to nazwać rozmową. Ale jakże to było zajmujące.

– Masz dużo szczęścia.

– O, tak. Jak ci smakuje ciasto?

Abigail zamrugła i zerknęła na swój talerzyk. Pochłonięta opowieścią Sunny, zjadła prawie połowę porcji.

– Jest wyśmienite.

– Dam ci przepis.

– Nigdy nie piekłam ciasta. To cała ja. Ciasto nie wydaje mi się praktyczne.

– Bo w cieście nie ma nic praktycznego. Zróbmy wymianę. Dam ci ten przepis w zamian za jeden z twoich.

– Nie wiem, co lubisz.

– Zaskocz mnie.

Po wewnętrznym wahaniu Abigail podeszła do laptopa i otworzyła plik z przepisami. Wydrukowała recepturę na kurczaka z papryką.

– Przyprawy możesz dodać do smaku.

– Wygląda wspaniale. Po drodze wstąpię do sklepu dokupić co trzeba, i spróbuję przyrządzić na kolację. Napiszę ci przepis na ciasto. – Wyjęła z torebki notes i długopis.

– Znasz na pamięć?

– Piekłam je milion razy. To ulubione ciasto Lorena.

– Uśmiechasz się, gdy wypowiadasz jego imię.

– Doprawdy? Jesteśmy małżeństwem, licząc od nieformalnych zaślubin, trzydzieści sześć lat. Nadal mnie uszczęśliwia.

Jakże optymistyczny i zachęcający obraz związku dwojga ludzi, pomyślała Abigail, gdy znowu została sama. Okazuje się, że szczęście może trwać.

Przeczytała otrzymany przepis. Wpisze go później do komputera. Starannie sprzątnęła talerze i filiżanki i z pewnym zdziwieniem zorientowała się, która godzina.

Okazało się, że spędziła ponad pół godziny w kuchni, jedząc ciasto, pijąc kawę i prowadząc fascynującą rozmowę z nieznajomą.

– To chyba oznacza, że już nie jest nieznajoma.

Nie mogła się zdecydować, jak się z tym czuje, nie potrafiła tego rozstrzygnąć. Spojrzała na swoją pracę, a potem na psa.

– Do diabła. Chodźmy na spacer, Bert.

– Co zrobiłaś? – Brooks wpatrywał się w matkę.

– Dobrze usłyszałeś. Zawiozłam Abigail ciasto. Pogawędziłyśmy sobie miło przy kawie.

– Mamo...

– Myślę, że społecznie nieprzystosowana to dobre określenie. Ona nie jest nieśmiała, tylko jakby niedoświadczona w nawiązywaniu kontaktu z drugą osobą. Gdy już rozpoczęłyśmy rozmowę, poszło gładko. Wymieniłyśmy się przepisami.

Siedzący za biurkiem Brooks oparł głowę na rękach.

– Słyszałaś, co mówiłem wczoraj wieczorem?

– Oczywiście, że tak.

– Być może ona przed czymś ucieka. Niewykluczone, że ma kłopoty. A jeśli te kłopoty ją odnajdą, sytuacja może zrobić się niebezpieczna. A ty po prostu, jakby nigdy nic, wpadasz do niej z ciastem na pogawędkę?

– Jagodowym. Musiałam upiec dwa, żeby nie zrobić przykrości twojemu ojcu. Ona ma rewelacyjną kuchnię. Założę się, że nieźle gotuje. Ma również kamery lub coś takiego obejmujące całą posiadłość. Wszystko zobaczyłam na ekranie komputera – widok na podjazd, na tyły i tak dalej.

– Chryste.

– Zwracała się do psa po francusku.

Uniósł głowę.

– Co?

– Zastanawiam się, dlaczego ktoś uczy psa francuskiego, to wszystko.

Ma bardzo dobre maniere. Potrafi uważnie słuchać. Coś w niej mnie

wzruszyło. Przysięgam, miałam ochotę pogłaskać ją tak samo jak jej psa.

– Głaskałaś tego tłustego skurczybyka?

– Powiedziała mu po francusku, że jestem w porządku. Był bardzo słodki. Zauważyłam, że jest jej bardzo oddany. Nie odstępował jej na krok. To mądre psisko i na pewno świetny z niego towarzysz. Ale ta dziewczyna potrzebuje przyjaciela. No nic, muszę już lecieć do sklepu po parę rzeczy. Wypróbuję przepis, który mi dała.

– Mamo, nie chcę, żebyś tam jeździła, dopóki nie dowiem się o niej czegoś więcej.

– Brooks.

Miał trzydzieści dwa lata, ale ten ton i to spojrzenie nadal sprawiały, że czuł się przy niej małym chłopcem.

– Jesteś dorosłym mężczyzną, ale to jeszcze nie oznacza, że możesz mi mówić, co mam robić. Jeśli chcesz dowiedzieć się o niej czegoś więcej, dlaczego do niej nie pojedziesz z przyjacielską wizytą tak jak ja?

– Mam zawieźć jej ciasto?

– Możesz spróbować z butelką wina.

Pojechał z butelką niezłego pinot grigio ze średniej półki. Gest wydawał się rozsądny, przyjacielski, bez większych podtekstów. Wydawał się również przemyślany, a więc przestał się zastanawiać i po prostu pojechał.

Deszcz padający wczorajszej nocy przydał światu zieleni. Południowe słońce połyskiwało teraz w zieleniejących gałęziach, rzucało plamy światła na drogę, migotało w rwącej wodzie przepływającego nieopodal strumienia.

Gdy jechał wyboistym podjazdem, zauważył kłęby dymu wydobywające się z komina.

A potem zobaczył ją.

W sięgających kolan czarnych oficerkach stała ze swoim dużym psem u nogi. Miała na sobie džinsy, czarną skórzaną kurtkę, a u pasa broń.

Starał się odganiać natrętne myśli, ale wszystko w niej emanowało cholernym seksem.

Dokładnie – nawet ta odrobina irytacji na twarzy.

Chwycił wino i wysunął się, zza kierownicy.

– Dobry wieczór! – Poszedł w jej stronę, jakby nie miała przy sobie glocka ani psa, który rozszarpałby mu gardło szybciej, niż zdążyłby wyciągnąć broń z kabury.

Spojrzała na butelkę.

– Co to jest?

– Właściwie dwie rzeczy. Po pierwsze, butelka niezłego wina. Po drugie, przeprosiny.

– Z jakiego powodu?

– Mojej matki. Wpadłem do niej wczoraj na kolację i wspomniałem, że cię odwiedziłem. Natychmiast to podchwyciła. A więc... przepraszam za jej najście.

– Dokonujesz więc najścia, żeby przeprosić za najście.

– Formalnie, tak. Ale to naprawdę niezłe wino. Byłaś na spacerze?

– Skąd wiesz?

– Masz zabłocone buty. Wczoraj trochę padało. A po deszczu wszystko się zieleni, ale ziemia rozmięka. Zwykle zabierasz broń na spacer z psem?

Zawsze nosiła broń, i kropka. Ale to nie jego sprawa.

– Strzelałam do celu. Wino nie jest konieczne.

– Nie jest konieczne, ale należy do przyjemnych dodatków. – Gdy obrócił butelkę, delikatny słomkowy kolor wina nabrał blasku. – Gdzie chodzisz strzelać?

– Dlaczego zadajesz tyle pytań? Dlaczego ciągle tu przychodzicie, a to z ciastem, a to z winem? Ludzie, co się z wami dzieje? Dlaczego się tak uśmiechasz?

– Na które pytanie mam najpierw odpowiedzieć? – Gdy spojrzała na niego kamiennym wzrokiem, wzruszył ramionami. – A więc po kolei. Z natury jestem ciekawskim człowiekiem, a poza tym jestem gliną. Zadawanie pytań to część mojej pracy. Prawdopodobnie ciekawość mam w pewnym stopniu po mojej matce, która przyjechała tu z ciastem, ponieważ właśnie taka jest. I ponieważ jest z gruntu przyjacielską kobietą. Kwestię wina już wyjaśniłem. Z mojego punktu widzenia nic się z nami nie dzieje. Po prostu tacy jesteśmy. Ty możesz mieć na to inny pogląd. Uśmiechałem się, ponieważ zastanawiałem się, czy się trochę rozzłościłaś. To cię rozjaśnia. Miło zobaczyć światło. Zadowolona z odpowiedzi?

W przedwieczornym słońcu jego oczy były bursztynowe, a uśmiech pociągający. Pomyślała, że prowadzenie swobodnej konwersacji przychodziło mu tak naturalnie, jak innym noszenie skarpetek.

– Uważasz, że masz nieodparty urok?

– Taak. To prawdopodobnie moja wada, ale nikt nie jest doskonały. Odpowiedziałem na twoje pytania, ale ty nie odpowiedziałaś na moje. Gdzie strzelasz?

– Dlaczego chcesz wiedzieć?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, z ciekawości. Po drugie, jako glina muszę wiedzieć, czy kobieta mieszkająca na moim terenie, która uwielbia obnosić się z bronią, potrafi sobie z nią poradzić.

– Świetnie strzelam.

– To ty tak twierdzisz. Mogę mówić, że tańczę tango jak Argentyńczyk, ale dopóki tego nie zademonstruję, masz prawo uważać, że to kłamstwo albo



przesada.

– Wątpliwe, żeby każdy Argentyńczyk potrafił tańczyć tango.

– A więc jak ten, który potrafi.

– Jeśli pokażę ci, jak strzelam, zostawisz mnie w spokoju?

– Posłuchaj, Abigail, nie mogę zawrzeć takiej umowy. Być może będę musiał tu wrócić. A co, jeśli gang ekstremistów będzie usiłował cię porwać? Albo jacyś kosmici? Mamy tu paru takich, którzy przysięgają, że nawiązali kontakt z „obcymi” w rodzaju E. T. Na przykład Beau Mugsley twierdzi, że porywają go dwa razy do roku, regularnie jak w zegarku.

– To jakiś absurd.

– Beau Mugsley jest przeciwnego zdania. Lada chwila zaczniesz gadać o sondzie analnej. Ale pomijając ten powód, jesteś intrygującą kobietą.

– Nie chcę być intrygująca.

– No widzisz? Teraz jesteś jeszcze bardziej intrygująca.

– Jeśli na innych planetach żyją inteligentne istoty, nie sądzę, aby traciły czas na porywanie kogoś, kto jest zajęty pilnowaniem własnego nosa.

– Nigdy nie wiadomo, nieprawdaż?

Nie wiedziała, jak się spierać z kimś, kto gada wierutne bzdury, ale w tak cholernie uprzejmy sposób. W dodatku swoją nieustępliwością i dociekliwością gliniarza zepchnął ją do narożnika.

– Rozwieję twoje nieuzasadnione obawy dotyczące moich umiejętności strzeleckich. Potem, mam nadzieję, będziesz wreszcie mógł sobie pójść.

– Niezły początek. – Zauważył, że położyła rękę na głowie psa, zanim się odwróciła.

– Mama stwierdziła, że twój pies rozumie po francusku – powiedział Brooks, równając z nią krok. – Uczyłem się francuskiego przez dwa lata w liceum, głównie dlatego... okej, wyłącznie dlatego, że nauczycielka była

seksowna. Wiesz, gorąca laska. Niewiele się nauczyłem, ale przez dwa lata przynajmniej gapiłem się na atrakcyjną panią Gardner.

– Badania pokazują, że dorastający chłopcy często podejmują decyzje oparte na kryterium seksualnym. Wielu nie udaje się z tego wyrosnąć.

– Nie można nas obwiniać za nasze genetyczne dziedzictwo. To imponujący zapis. – Przerwał, aby przyjrzeć się jej strzelnicy.

Spodziewał się dwóch okrągłych tarcz, ale zamiast nich widniały trzy sylwetki na ruchomych rolkach jak na profesjonalnej policyjnej strzelnicy przytwierdzone do grubo wyściełanych plansz. Ochraniacze na uszy i okulary strzeleckie leżały na drewnianej ławce wraz z zapasowymi magazynkami. Oceniał, że cele były ustawione w odległości dobrych piętnastu metrów.

– Nie mam drugiej pary ochraniaczy ani okularów – powiedziała, nakładając swoje.

– Nie szkodzi.

Cofnął się i przycisnął dłońmi uszy, podczas gdy ona zajęła pozycję.

Policyjna postawa, zauważył, gdy składała się do strzału płynnym, wytrenowanym ruchem. Bez drgnięcia wystrzeliła sześć pocisków, następnie schowała broń i przyciągnęła cel.

– Niezła koncentracja – skomentował. Wszystkie sześć kul trafiło w środek planszy, w najwyższej punktowane obszary.

– Jak widzisz, strzelam doskonale. Jestem kompetentna.

– Nie ma co do tego wątpliwości – odparł, gdy zbierała łuski i wrzucała je do kubelka. – Mogę spróbować?

Nie odpowiedziała, ale zdjęła ochraniacze i okulary i podała mu je.

Obejrzała się na cierpliwie czekającego psa.

– Poduszka.

– Co?

– Mówiłam do psa. W przeciwnym razie... zaprotestowałby, gdy wyciągniesz broń.

– Tego bym nie chciał. – Brooks podał Abigail wino, a sam założył ochraniacze i okulary.

– Używasz Glocka 22 – zauważyła. – Dobra broń.

– Spełnia swoje zadanie. – Teraz on przyjął pozycję i rozluźniając ramiona, wystrzelił sześć pocisków.

Gdy chował broń do kabury, zerknął na psa. Bert się nie poruszył.

Abigail przyciągnęła tarczę i na moment zastygła, przyglądając się rozrzutowi jego strzałów, który był prawie bliźniaczym odwzorowaniem jej trafień.

– Też jesteś świetnym strzelcem.

– Zawsze uważałem, że jeśli już nosi się broń, lepiej trafiać w zamierzony cel. Dobrze sobie też radzę z długą lufą. Moja matka, jak wszystkie dzieci kwiaty, ma obiekcje wobec broni, może więc dlatego opanowałem tak dobrze tę sztukę. Klasyczny bunt, jak przypuszczam.

– Tak – popatrzyła na niego. – Strzelałeś już do kogoś?

– Jeszcze nie. I lepiej niech tak zostanie. Parę razy musiałem wyciągnąć broń, ale nigdy nie doszło do strzału.

– A byłbyś w stanie?

– Tak.

– Skąd wiesz, jeśli nigdy tego nie zrobiłeś?

– Chronić i służyć. – Gdy teraz na nią spojrział, jego wyraziste oczy przybrały poważny wyraz. – Ochrona na pierwszym miejscu. Nie miałbym prawa nosić odznaki, jeśli nie mógłbym chronić. Ale byłbym szczęśliwy, gdybym nigdy nie musiał wpakować w kogoś kuli. – On również pozbiierał łuski. – A ty?

– Czy strzeliłam do kogoś? Nie. Ale tak bym odpowiedziała, nawet gdyby nie była to prawda, ponieważ tylko sprowokowałabym następne pytania.

– Co racja, to racja. A byłabyś w stanie?

– Tak. Byłabym. – Odczekała chwilę. – Nie pytasz, skąd wiem.

– Nie muszę. Zostało ci trochę ciasta? Jeśli chcesz wiedzieć, dlaczego pytam, od razu wyjaśniam. Skoro już pokazaliśmy sobie nawzajem, jak dobrze strzelamy, pomyślałem, że możemy otworzyć butelkę, napić się wina i zjeść po kawałku ciasta.

– Wino było tylko fortelem.

– Częściowo, niemniej to całkiem dobre wino.

Miał urok swojej matki, stwierdziła, oraz taką samą umiejętność stawiania na swoim. Nie było sensu udawać, że nie pociągał jej fizycznie. Jej hormony zareagowały na jego wygląd, budowę, zachowanie, a nawet głos. To całkowicie naturalne.

– Nie dam rady zjeść całego sama. Za dużo jak na jedną osobę.

– A szkoda byłoby wyrzucić.

Wetknęła ochraniacze w siedzenie ławki.

– Zgoda. Możesz dostać ciasta i napić się wina. Ale nie licz na seks.

– Czuję się teraz naprawdę zawiedziony.

– Nie powinieneś. – Zmierzając w stronę domu, zdecydowała się jasno wyrazić swoje stanowisko. – To nie znaczy, że nie lubię seksu.

– Widzisz, ciągle odkrywamy, że mamy ze sobą coś wspólnego. Jak tak dalej pójdzie, w tydzień zostaniemy najlepszymi przyjaciółmi.

– Jeśli zapragnę przyjaciół, zapiszę się do klubu książki.

Rozluźnia się, pomyślał, zachwycony jej sarkazmem.

– Lubię czytać, a to kolejne wspólne zainteresowanie. Ale

rozmawialiśmy o seksie.

– Akt seksualny jest normalną czynnością fizyczną oraz przyjemnym doświadczeniem.

– Jak do tej pory jesteśmy tego samego zdania.

Wyjęła klucze i otworzyła drzwi. Gdy była już w środku, wyłączyła alarm.

– Być może jestem dla ciebie w jakimś sensie atrakcyjna fizycznie.

– Powiedziałbym nawet, że w każdym.

– Być może dlatego pojawiłeś się tu z winem. Wypiję z tobą kieliszek, ale nie będę z tobą uprawiać seksu.

– Zgoda. – Całkowicie oczarowany, wszedł za nią do kuchni. – Masz jakiś szczególny powód, prócz tego, że jeszcze nie zjedliśmy jagodowego ciasta?

– Zadajesz za dużo pytań. Odpowiadanie na nie jest irytujące i nużące.

– Do diabła, nie musi być ciekawie. Jezu, Abigail, czy ty się uśmiechnęłaś?

– To pewnie był grymas.

– Teraz żartujesz. Za chwilę włożysz śmieszny kapelusz i zatańczysz na stole.

– Jesteś naprawdę zabawny. Ja nie jestem, ale doceniam u kogoś naturalne poczucie humoru. – Zdjęła kurtkę, otworzyła drzwi do, jak przypuszczała, małego pomieszczenia gospodarczego i powiesiła ją na wieszaku. – Jesteś fizycznie atrakcyjny, wysportowany. Preferuję seks z kimś, kto dba o sprawność ciała.

Wyjęła korkociąg i mimo że wyciągnął rękę, otworzyła butelkę sama szybko i sprawnie.

Widocznie to lubi, pomyślał, siadając.

– Do tej pory jedyne, co przemawia przeciwko mnie, to moja nadmierna ciekawość.

– Nie tylko. Przede wszystkim sąsiedztwo, które będzie niezręczne i problematyczne, gdy już nie będę chciała uprawiać z tobą seksu.

– Czemu uważasz, że nie będziesz już chciała?

Wyjęła dwa kieliszki, dwa talerzyki, dwa widelczyki.

– Prawo średnich wyników.

– Och, to. Nie zgadzam się z tą teorią.

– Wielu ludzi to robi. Ale niesłusznie. – Nalała wino i przyjrzała się uważnie jego twarzy, podając mu kieliszek. – Podoba mi się twój nos.

– Abigail, do diabła, naprawdę mnie fascynujesz! Dlaczego podoba ci się mój nos?

– Kiedyś był złamany. Brak symetrii dodaje charakteru oraz czyni twoją twarz bardziej interesującą. Lubię charakter.

– Ale mimo to nie będziesz uprawiać ze mną seksu.

Uśmiechnęła się, tym razem szeroko.

– Jestem pewna, że masz inne opcje.

– To prawda. Każę im ustawiać się w kolejce, jak w delikatesach. – Począł, aż wyłoży ciasto na talerz. – Może chcesz wiedzieć, dlaczego ja nie zamierzam uprawiać z tobą seksu?

Zauważył, że ją zaskoczył. I zaintrygował.

– Owszem, chciałabym.

– Jesteś bardzo atrakcyjna i moim zdaniem wyglądasz na... sprawną fizycznie. Przyglądasz mi się tak, jakbyś chciała przewiercić mój mózg na wskroś. Nie wiem, dlaczego to jest sexy, ale jest. Lecz ty potrzebujesz pomocy.

– Nie chcę żadnej pomocy.

– Wcale nie powiedziałem, że chcesz. Potrzebujesz pomocy, a ja mam słabość do ludzi, którzy jej potrzebują. Podoba mi się twój pies, chociaż domyślam się, że jest prawie tak samo niebezpieczny jak ten glock na twoim biodrze. Podoba mi się, jak mówisz, w ten trochę staroświecki sposób. Chciałbym poczuć twoje usta na swoich. Pragnę tego nawet bardziej, niż bym chciał. Ale... – Z teatralnym westchnieniem podniósł ręce, a potem je opuścił.

– Ale zawsze będę miał jakieś pytania. A więc tu leży problem. I chociaż, jak to mężczyzna, jestem zwykle gotów na seks, jeśli kobieta skinie na mnie palcem, jednak na ogół wolę najpierw ją poznać. Kolacja, rozmowa, takie rzeczy.

– Randka. Nie chodzę na randki.

– Wcale nie jestem zdziwiony. Ale zauważ, że zrobiliśmy coś razem, strzelając do tarczy. Rozmawialiśmy i dzieliliśmy się poglądami. A teraz pijemy razem wino i jemy ciasto. Trochę naciągając, można to uznać za randkę.

Spojrzenie, jakim go obdarzyła, wyrażało wzburzenie.

– To nie jest randka.

– Według twojej oceny. – Widelczykiem pełnym jagodowego ciasta wskazał na nią. – A ja mam własną. I widzi mi się, że jedyna przeszkoda, która uniemożliwia mi uprawianie z tobą seksu, to moja wrodzona ciekawska natura. Ale nad tym mogę popracować. Mogę uznać, że sobie z tym poradzę; wtedy przed uprawianiem z tobą seksu będzie mnie powstrzymywać jedynie twoja wola.

– Nie mam jej. A więc jeśli mamy dalej rozmawiać, proponuję, byśmy znaleźli inny temat. To nie było wyzwanie – dodała, kiedy dotarło do niej to, co powiedziała. – Nie miałam zamiaru rzucać ci seksualnego wyzwania.

– Wierzę, że nie miałaś zamiaru, ale na to zakrawało. I było smakowite.

Jak ciasto. – Zjadł kawałek. – Sama zaprojektowałaś tu system bezpieczeństwa?

Znów spojrzała na niego czujnie.

– Tak.

– Również kamery?

– Tak. Oczywiście nie produkuję sprzętu.

– Oczywiście. – Wychylił się, aby przyjrzeć się jej stanowisku komputerowemu. – Niezły zestaw.

– To moje dzieło.

– Daję sobie radę z komputerem. Potrafię zrobić, co potrzeba, zazwyczaj znaleźć pożądane informacje. Ale mój ojciec – o ten to jest fenomen. Gdy mam jakikolwiek problem, walę do niego jak w dym. To pewnie dlatego, że jest matematycznym geniuszem. Czy ty też nim jesteś?

Kiedyś, przypomniała sobie, była we wszystkim geniuszem. Być może nadal jest.

– Lubię matematykę. Jest logiczna.

– Mogłem się domyślić. – Odwrócił się do niej i wypił trochę wina. – Podoba mi się twój dom. Moja matka pozazdrościła ci kuchni.

– Powinieneś sprezentować jej psa.

– Co?

– Twierdzi, że nie jest jeszcze gotowa, ale jej zachowanie i reakcja na Berta temu przeczą. Brakuje jej psa. Ona... przepraszam – zarumieniła się – właściwie nie powinnam się wtrącać.

– Nie przejmuj się, u nas to na porządku dziennym. Kochała tego psa. Wszyscy go kochaliśmy. Gdy musieliśmy go uśpić, byliśmy niemal zdruzgotani. – Popatrzył na Berta, powstrzymując się, by go nie pogłaskać, ponieważ instynktownie wyciągał rękę do psów. – Naprawdę sądzisz, że jest



gotowa na następnego?

– Nie powinnam poruszać tego tematu.

– Ale to zrobiłaś. Pytam o twoją opinię.

– A więc, tak. Wydaje mi się, że uważa, iż będzie niełojalna, jeśli weźmie nowego. Ale może gdyby to był prezent od któregoś dziecka, przyjęłaby to inaczej, czyż nie?

– To prawda. Moja mama cię polubiła.

– Ja ją też. Powinieneś zabrać resztę ciasta i foremkę. – Abigail wstała, żeby je zapakować.

– Komu kawa, komu płaszcz?

– Nie miałeś płaszcza.

– To takie powiedzonko. Coś takiego jak: Nie pozwól uderzyć się drzwiami w tyłek, jak będziesz wychodził.

– Och. No więc tak, powinieneś już iść. Muszę nakarmić psa, a poza tym czeka na mnie praca. Powiedz, proszę, swojej mamie, że ciasto mi smakowało.

– Powiem. – Wstał i wziął od niej foremkę.

– Dziękuję za wino. Wypuszczę cię.

Przy frontowych drzwiach czekał, aż je otworzy i wyłączy alarm. Potem położył foremkę na małym stoliku.

– Powiedz psu, żeby był spokojny.

– Dlaczego?

– Ponieważ chcę cię dotknąć, a nie mógłbym prowadzić, gdyby odgryzł mi rękę.

– Nie lubię, gdy ktoś mnie dotyka.

– Lubisz seks. Pocałunek jest czymś pomiędzy. Nie jesteś ciekawa, Abigail?

– Trochę. – Przyglądała się jego twarzy, jakby miała w oczach rentgen, a potem spojrzała na psa. – *Ami* – powiedziała, kładąc delikatnie dłoń na ramieniu Brooksa. – *Ami*, Bert. – Jednak zeszywniała, gdy Brooks ujął jej rękę, tę, którą chwytala broń – *Ami* – powtórzyła półgłosem. – On mnie dotknie. Zachowuj się przyjacielsko.

Położył drugą rękę na jej policzku i lekko ją pogłaskał. Obserwowała go. To bystre, opanowane spojrzenie poruszyło w nim jakąś strunę. Zachowywał się swobodnie, może nawet za bardzo przyjacielsko, ale bez skrepowania i delikatnie. Najpierw spotkały się ich oczy, a potem usta.

Przyciskał nieznacznie ciało do jej ciała, aż podniosła rękę do jego ramienia. Aż sięgnęła do jego karku, a potem zanurzyła ją we włosy. Aż zaczęła drażnić jego język, a oczy jej przybrały odcień głębokiej zieleni.

Cofnął się i puścił jej rękę. Kręcąc głową, chwycił ciasto.

– Wiesz, że będę musiał tu wrócić.

– To błąd.

– Czyj?

– Nas obojga.

– Nie zapominaj, że mamy różne punkty widzenia. – Pochylił się i szybko, tym razem całkiem po przyjacielsku, musnął jej usta. – A jednak wrócę. Do zobaczenia, Bert – rzucił, wychodząc.

Abigail zamknęła drzwi, zanim usłyszała dźwięk zapuszczanego silnika. Wydała z siebie głośne westchnienie ulgi i spojrzała na psa.

– To błąd – powtórzyła.

## 10

Brooks zdążył tego dnia napędzić strachu trójce małych

sklepowych złodziejasków, zając się stłuczką drogową – co głównie polegało na rozdzieleniu dwóch rozzłoszczonych kierowców, a potem na wypełnianiu związanych z tym papierów – oraz wysłuchać jęków Sida Firehawka, gdy w końcu wypisał mu mandat za nieszczęlny tłumik.

W nagrodę zamierzał wyrwać się na chwilę do cukierni na jakąś fantazyjną kawę z cynamonową bułeczką, gdy Alma wsunęła głowę do jego gabinetu. W jej uszach kołysały się dziś kolczyki wielkości pięści niemowlęcia w kształcie tęczowego znaku pokoju.

– Dzwonił Grover. Wybuchła jakaś kłótnia w Ozark Art.

– Jaka kłótnia?

– Powiedział tylko, że robi się gorąco, i prosił, żebyś się pojawił.

– W porządku. Zajrzę tam. W powrotnej drodze zahaczę o cukiernię.

Masz na coś ochotę?

– Nie kuś mnie, szatanie.

– Tak tylko mówię. – Brooks wstał i chwycił kurtkę.

– Jeśli na biurku znajdę czekoladowe ciastko z orzechami makadamia oraz kawę z chudym mlekiem, to nie będzie moja wina, prawda?

– Absolutnie. – Wychodząc, Brooks zastanawiał się, dlaczego używa chudego mleka, jednocześnie jedząc ciastko. No cóż, jeszcze jedna kobieca zagadka, niewarta zwracania sobie głowy.

Zerknął na niebo. Temperatura nie chciała się ustabilizować, szybowiała w górę i spadała, fronty ścierały się, tworząc sprzyjające warunki dla tornada. Ale niebo nadal utrzymywało niewinną barwę spłowiałego džinsu.

Maszerował Shop Street, z zadowoleniem wsłuchując się w sobotni gwar turystów i miejscowych. Minał delikatesy, przypominając sobie o Abigail, a potem następną przecznicą dotarł do Ozark Art.

Przez okno wystawowe nie zauważył żadnych oznak kłótni. Właściwie

nie widział ani Grovera, ani klienta, ani nikogo. Mały dzwonek zadzwieczał, gdy wchodził do środka, omiatając uważnym wzrokiem wnętrze – ściany pokryte obrazami, rzeźby ustawione na postumentach, półki z ręcznie dmuchanym szkłem oraz miejscową ceramiką.

Dzięki karafkom zapachowym powietrze przesyciła woń wiosennego lasu. To dzieło Grovera, pomyślał mimochodem. Facet wyglądał jak krasnoludek i był prawdziwym czarodziejem zapachów.

Nie zobaczywszy nikogo przy kasie, ruszył w stronę zaplecza.

Usłyszał stukot obcasów na drewnianej podłodze.

Sylbie z rozwichrzonymi włosami i podpuchniętymi oczami wyłoniła się z magazynu.

– A więc jesteś... szefie.

– Co się stało, Sylbie?

– Zaraz ci powiem. – Skinęła na niego palcem. Odrzucając włosy do tyłu i roztaczając własny zapach, otworzyła drzwi do magazynu. – Wejdz tu.

– Gdzie jest Grover?

– Wróci za kilka minut. Ktoś musi pilnować sklepu.

Brooks miał wrażenie, że pod stopami zatrzeszczała mu zapadnia.

– Grover zadzwonił na posterunek z informacją o jakiejś awanturze wymagającej interwencji policji.

– Jest spór, ale można go zażegnać. Chodź na zaplecze, to go rozstrzygniemy.

– Rozstrzygniemy go tutaj.

– Zgoda. – Ubrana była w czarno – białą sukienkę. Po chwili już nie miała jej na sobie.

– Jezu Chryste, Sylbie!

Roześmiała się, znów potrząsnęła włosami, roztaczając zapach perfum,

po czym całkiem naga, jedynie w czerwonych szpilkach odsłaniających czubki paznokci pomalowane na taki sam odcień czerwieni, oparła się o klamkę.

– Nie przyszedłeś do mnie wczoraj, Brooks. Musiałam sama wypić całe wino.

– Powiedziałem ci, że jestem zajęty. Ubierz się.

– No wiesz, nie przypominam sobie, żebym słyszała to w przeszłości.

Nie spuszczał z niej oczu, zaskoczony i tak zakłopotany, że kosztowało go niewiele wysiłku, by nie wędrować wzrokiem w dół.

– Mówię to teraz. Ubierz się, Sylbie.

– To mnie do tego zmusz.

– Co się z tobą dzieje? – spytał. – Namawiasz Grovera, żeby dzwonił na posterunek i wzywał funkcjonariusza?

– Nie jakiegoś tam funkcjonariusza, kochanie. – Ściągnęła usta jak do pocałunku. – Chciałam ciebie.

– Zamknij się. – Rzadko tracił panowanie nad sobą, ale teraz był tego bliski. – Jeżeli w ciągu dziesięciu sekund się nie ubierzesz, zaaresztuję cię.

– Och... masz ochotę na taką zabawę?

– Spójrz na mnie, do diabła. Czy ja się bawię?

Ton jego głosu i wyraz twarzy wreszcie do niej dotarł. Gniew zapłonął w jej oczach, gdy schyliła się po sukienkę.

– Niech ci nawet przez myśl nie przejdzie, że możesz się do mnie w ten sposób odzywać!

– Jeśli jeszcze raz wywiniesz taki numer, nie wystarczą słowa. Do cholery, jestem tu szefem policji, Sylbie. W dodatku na służbie.

Wyzywającym ruchami poprawiła ramiączka sukienki.

– No i co z tego?

– Powiem ci zaraz co. Znajdę Grovera i ukarzę go grzywną za fałszywy alarm.

– Nie zrobisz tego.

– Przekonasz się.

Błyskawicznie rzuciła się do przodu.

– Nie rób tego, Brooks. Proszę. Zrobił to tylko dla mnie.

– Następnym razem się zastanowi. I ty też.

– Co się z tobą dzieje? – Złość doprowadzała ją do łez. – Sam przecież chciałeś, a teraz jesteś wściekły. W szkole rąk nie mogłeś ode mnie oderwać.

– Nie jesteśmy już w szkole. I nie chcę do niej wracać.

– A więc mnie nie chcesz.

Znał te łzy. Już przedtem przeprawiał się przez nie jak przez rzekę. Wiedział, że są szczerze.

– Sylbie, jesteś piękną, prawdopodobnie najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem. Masz talent, a jak się postarasz, potrafisz być interesującym towarzystwem. Ale nie pragnę cię tak jak wtedy. Nie chcę tego, co było między nami.

– Nie mówiłeś tak dwa tygodnie temu, gdy leżałeś na mnie w moim łóżku.

– Nie, nie mówiłem. Przepraszam, Sylbie. – No tak, było za co przepraszać. – Zawsze było nam dobrze w łóżku, ale nigdy nic ponadto.

– Czy to nie wszystko jedno, dopóki masz orgazm?

– Skarbie, powinnaś mieć o sobie trochę lepsze zdanie. Bo ja mam.

– Coś z tobą nie tak. – Złość i zażenowanie naznaczyły jej policzki jaskrawą czerwienią. – Powinieneś mnie pragnąć, gdy składam ci propozycję.

– Jeśli tylko tego chcesz, wiesz, że jest mnóstwo chętnych.

– Ale nie ty.

– Nie, nie ja – Zdał sobie sprawę, że doszli do końca drogi, i czuł coś więcej niż ulgę. – Już nie. Może bez seksu polubimy się bardziej. Ale obiecuję jedno, i lepiej mnie posłuchaj. Jeśli jeszcze raz się tak wygłupisz, obejrzysz naszą celę od środka.

Nadal miała wypieki, lecz wyraz jej twarzy stał się zimny.

– Zmieniłeś się, Brooks.

– O Boże, mam nadzieję. Lepiej popilnuj sklepu, nim wróci Grover. – Na odchodnym odwrócił się. – Ładna sukienka, Sylbie. Wkładaj ją częściej.

Gdy wyszedł na ulicę, zauważył Grovera – okrągłutkiego, zgarbionego, łysiejącego faceta – siedzącego na ławeczce pomiędzy swoją galerią a następnym sklepem i palącego marlboro.

– O, witam, komendancie.

– Cześć, Grover. Pozwól ze mną.

– Ach...

– Za nieuzasadnione wzywanie policji należy się grzywna i ty ją zapłacisz.

– Aleja...

– Następnym razem, gdy ładna kobieta poprosi cię, żebyś popełnił jakieś głupstwo, najpierw pomyśl.

– Ale ona powiedziała...

– Omówisz to później z Sylbie. Ja natomiast powtarzam, że nie dzwoni się na policję po pomoc, gdy się jej nie potrzebuje. Nie marnuje się mojego czasu ani czasu posterunku policji w Bickford. Mogę cię za to wsadzić do paki.

Mężczyzna wstał na trzęsących się nogach, a na jego trupio bladej twarzy pojawiły się jaskraworóżowe plamy.

– Do więzienia? Święty Boże! Ja przecież tylko...

– Nigdy więcej tego nie rób. Grzywna dwa tysiące dolarów.

Był przygotowany na podtrzymanie Grovera, gdyby ten miał zemdleć, i zauważył, że wystraszony mężczyzna był tego bliski.

– Ja... Ja... Ja...

– Dam ci rabat, kładąc wszystko na karb głupoty, i obniżę ją do dwudziestu pięciu dolarów. Przyjdiesz do końca dnia i ją wpłacisz, w przeciwnym razie powróci do dwóch tysięcy. Jasne?

– Tak, komendancie. Przepraszam. Ja tylko myślałem...

– Obawiam się, że w ogóle nie pomyślałeś. Następnym razem pomyślisz.

– Ja zapłacę, Grover. – Sylbie wyłoniła się ze sklepu. – To moja wina. Zapłacę grzywnę.

– Nie obchodzi mnie, które z was to zrobi, po prostu czekam do piątej.

– Nie musiałeś tak bardzo go nastraszyć. – Sylbie klapnęła na ławkę, pociągając za sobą Grovera, i objęła jego zgarbione ramiona. – To moja wina.

– Żaden argument. Zapłać grzywnę, będziemy kwita.

Chociaż stracił apetyt na ciastka, wstąpił do cukierni i zrealizował zamówienie Almy.

Postawił wszystko na jej biurku, wszedł do swojego gabinetu i wypełnił blankiet.

Zastanawiał się nad kwalifikacją zarzutu, wreszcie zdecydował się na „fałszywy alarm”. Pasowało i nikogo nie wprawi w zakłopotanie.

Wyszedł i położył mandat obok kawy Almy.

– Albo Grover, albo Sylbie przyjdzie uiścić grzywnę. Nie zadawaj żadnych pytań.

– Gdy ktoś usłyszy „nie zadawaj żadnych pytań”, czuje się do nich wręcz zobowiązany.



– Ale nie wtedy, gdy dostanie latte i czekoladowe ciasto z orzechami makadamia.

Alma postukała niebieskimi paznokciami w jednorazowy kubek.

– A więc to jest łapówka.

– Można tak to ująć. Nie pytaj, Almo. – Podniósł wzrok, ponieważ wszedł Ash.

– Musiałem pogonić kilku deskorolkowców z parkingu przed bankiem. Znów. I zatrzymałem Doyle’a Parsinsa za nadmierną prędkość. Znów. Niektórzy ludzie nigdy się nie nauczą. Macie ciastka?

– Ciastko – powiedziała Alma. – Jedno. Moje.

– Zajrzałem na boisko Małej Ligi. Ten dzieciak Traperów ma uderzenie pozwalające pałkarzowi dobiec do trzeciej bazy. I kupiłem sobie szybkar. Ciastko byłoby ukoronowaniem dnia.

Alma uśmiechnęła się, ostentacyjnie ugryzła kawałek ciastka i przewróciła oczami.

– Mniem, mniem!

– To po prostu podłość.

Brooks pozostawił ich przekomarzających się, wrócił do gabinetu i zamknął drzwi. Poświęcił sporo czasu na wyszukiwanie w sieci informacji o Abigail Lowery. Okazało się, że ma tytuł magistra informatyki i drugi z inżynierii bezpieczeństwa, obydwaj z Massachusetts Institute of Technology. Naprawdę był pod wrażeniem.

Zajął mu trochę czasu dowiedzenie się, że pracuje jako wolny strzelec dla firmy Global Network.

Zainteresował się więc też tą firmą.

I odkrył, że jest własnością prywatną. Została założona przez Corę Fiense, lat trzydzieści trzy. Nie znalazł żadnego zdjęcia. Ale przejrzał dwa

artykuły opisujące małą, ekskluzywną firmę stworzoną przez cierpiącą na agorafobię i ukrywającą się przed mediami kobietę.

Na stronie internetowej nie było istotnych wiadomości ani o właścicielce, ani o pracownikach, tylko oświadczenie, że Global oferuje analizę systemów bezpieczeństwa oraz ich projektowanie.

W zamyśleniu oderwał się od monitora. Dlaczego był taki dociekliwy? Przecież z tego, co widział, nic złego nie zrobiła. Polubił ją. A jednak dręczyło go coś, czego nie potrafił zignorować. Coś/mu podpowiadało, że jeśli będzie nadal szperał, wpadnie na jakiś... trop.

Drgnął, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

– Taak?

– Wychodzę – oznajmiła Alma. – Telefon przełączyłam na twoją komórkę. Ash siedzi do ósmej, Boyd jest w terenie.

– A więc wszystko gra.

– Sylbie i Grover przyszli razem i zapłacili mandat.

– Dobrze.

– Nie wiem, czy ciastko było tego warte. W każdym razie skończyłeś swoją zmianę dziesięć minut temu. Idź do domu.

– Za chwilę. Dzięki, Almo.

Sprawdził swój kalendarz, zanotował, że w poniedziałek ma comiesięczne spotkanie z władzami miasta – sama radość. A do końca miesiąca musi złożyć kwartalne sprawozdanie z przeprowadzonych kontroli i dokonanych interwencji. Mógł iść do domu i trochę nad tym popracować. W jego kalendarzu spotkań towarzyskich nie kipiało od wydarzeń.

Z jego winy, rzecz jasna. Mógł iść do pubu albo zwyczajnie zadzwonić do któregoś kumpla i zapytać, jak leci. Ale nie był w nastroju.

Incydent z Sylbie przygnębił go trochę i zirytował. Ale także podniecił.

To podniecenie go wkurzało.

Dlatego że po początkowym szoku i złości poczuł przyływ pożądania. Nieznaczny, ale jednak.

Nie ma się za co obwiniać, pomyślał, wstając i podchodząc do okna. Facet musiałby być martwy od roku, żeby widok nagiej Sylbie nie zrobił na nim wrażenia.

Do licha, czuł teraz niepokój i rozdrażnienie, a przecież zanim poszedł do Ozark Art, humor mu dopisywał. Może był taki skwaszony dlatego, że przeszedł mu koło nosa gorący numerek, a także fantastyczna kawa z ciastkiem?

Ale Sylbie miała rację. Zmienił się. Miał co prawda nadzieję, że nie stracił na zawsze zainteresowania szybkim gorącym seksem, ale nie chciał już płacić poczuciem winy i pustką, które go ogarniały po wszystkim, gdy okazywało się, że za seksem nie kryje się nic poważniejszego.

Potrzebował oderwać się od tych myśli. Może pojedzie do Myi, załapie się na kolację, pobawi z dzieciakami. Nic skuteczniej nie odwracało myśli mężczyzny od seksu niż dwójka rozwrzeszczanych bachorów walczących przy Wii albo Playstation.

Wyłączył komputer i wziął kurtkę. Wychodząc, życzył Ashowi dobrej nocy. Pod wpływem nagłego impulsu wpadł jeszcze do kwiaciarni, na pięć minut przed jej zamknięciem.

Bukiet tulipanów w zamian za kolację i trochę rozrywki. To odpowiednia wymiana.

Wyjechał z miasta, zmierzając w kierunku dużego, hałaśliwego domu siostry w pobliżu rzeki. Dopiero gdy skręcił w drugą stronę, zorientował się, że zmienił zdanie.

Płomienie w kominku Abigail przyjemnie trzaskały. Na kuchence na

wolnym ogniu gotowała się zupa *pasta e fagioli*. Upiekła mały okrągły chleb z oliwkami i przygotowała sałatę, którą planowała przyprawić malinowym winegretem.

Skończyła pracę, którą wyznaczyła sobie na dziś. Spędziła pięćdziesiąt minut na treningu siłowym i cardio, potem poćwiczyła z Bertem.

Zamierzała zrobić sobie przyjemność – zjeść dobrą kolację i obejrzeć film, może nawet dwa, chrupiąc popcorn.

Biorąc pod uwagę okoliczności, był to bardzo dobry i efektywny tydzień. Wynagrodzenie za właśnie ukończoną pracę niebawem zasili jej konto i wzmocni spokój ducha.

A w niedzielę? W niedzielę da komputerowi odpocząć. Wyczyści broń, popracuje w ogrodzie albo w szklarni, może pójdzie na niedługą wycieczkę. Potem zje resztkę zupy i przez cały wieczór będzie czytać.

Jej zdaniem zapowiadał się znakomity weekend.

– Na początek obejrzymy film akcji, a potem komedię – powiedziała do Berta, mieszając zupę. – I wino. Komendant policji miał rację. To dobre wino. Nie ma co go dłużej trzymać na wieczory przy kominku, wykorzystamy je dziś. Myślę, że powinniśmy...

Brzęczyk alarmowy w obydwójgu obudził czujność.

– Ktoś tu jedzie – powiedziała, kładąc rękę na broni przy biodrze.

Ściągnęła brwi na widok samochodu policyjnego na pod – jeździe.

– Co on tu znowu robi?

Podeszła do komputera, przybliżyła obraz i upewniła się, że za kierownicą siedzi Brooks, i to sam. Po namyśle odpięła kaburę. Jeśli zobaczy ją w sobotni wieczór w domu z pistoletem u pasa, pytaniom nie będzie końca.

Włożyła broń do szuflady i poczekała, aż Brooks się zatrzyma. Tym

razem przynajmniej zaparkował, nie zastawiając jej wozu.

Podeszła do drzwi, otworzyła zamki i podniosła blokadę. Kładąc dłoń na pistolecie przytwierdzonym pod blatem stolika, uchyliła drzwi.

Na widok tulipanów jeszcze mocniej zmarszczyła brwi.

– Za co tym razem przepraszasz?

– Nie przepraszam. Ach, kwiaty. Zabawne, chciałem nimi przekupić moją siostrę, żeby mnie nakarmiła, no ale wylądowałem tutaj.

W łagodnym świetle zmierzchu jego oczy wydawały się bardziej bursztynowe, uśmiech nie był jednak do końca przekonujący.

– Żeby przekupić nimi mnie?

– Nie wybiegałem tak daleko w przyszłość. A będą wystarczającą przepustką?

Otworzyła drzwi trochę szerzej.

– Bardzo ładne. Powinieneś je dać siostrze.

– Być może, ale daję je tobie. Miałem paskudny dzień. Zaczął się nawet nieźle, ale skończyłem z ręką w nocniku. Wybierałem się do Myi, żeby w rodzinnym cieple poprawić sobie nastrój. Potem pomyślałem, że to nic nie da.

– Mało prawdopodobne, żeby pobyt tutaj poprawił ci nastrój.

– To już się stało. – Obdarzył ją swobodnym uśmiechem, który prawie, prawie dotarł do jego oczu. – Coś tu bardzo ładnie pachnie, oprócz ciebie.

– Nie wiem, po co przyjechałeś.

– Ja też nie. Możesz zaniknąć mi drzwi przed nosem. Ale i tak dostaniesz kwiaty.

Nigdy nie dostała kwiatów i prawie odmówiła, zanim się zreflektowała.

– Miałam zamiar napić się wina, które poprzednio przyniosłeś, a teraz dajesz mi kwiaty. Zaczynam się czuć w obowiązku.

– Trudno, niech i tak będzie. To pokazuje, że mam cały dzień do dupy.

Cofnęła się, a potem zamknęła i zarygłowała za nim drzwi. Gdy się odwróciła, wręczył jej kwiaty.

– Dziękuję, mimo że kupiłeś je dla siostry.

– Mimo to proszę bardzo.

– Trzeba je wstawić do wody.

Poszedł za nią i śladem zapachów dochodzących z kuchni.

– Odpowiedni wieczór na zjedzenie zupy i posiedzenie przy kominku – zauważył, mając nadzieję na jedno i drugie. – W nocy może być przymrozek. A jutro temperatura podskoczy do dwudziestu jeden stopni. Czy kiedykolwiek przeżyłaś tornado?

– Jestem na to przygotowana. – Zdjęła z komody gliniany dzbanek w odcieniach zieleni i brązu.

– Z naszego lokalnego sklepu?

– Tak. Macie tu świetnych artystów.

Wyjęła spod zlewu opakowanie nawozu do kwiatów, wsypała małą łyżeczkę do dzbanka i wlała wodę.

Usiadł i w milczeniu przyglądał się, jak układa kwiaty.

Postawiła je na blacie, a następnie uważnie im się przypatrywała, tak samo jak on przyglądał się podejrzanemu.

– Może napijesz się wina?

– Z chęcią.

Wyciągnęła butelkę oraz kieliszki i naląa.

– Wydaje się, że masz ochotę opowiedzieć mi o swoim dzisiejszym problemie. Co prawda, nie wiem dlaczego, ponieważ nie należę do twoich znajomych.

– Może właśnie dlatego. A z drugiej strony zdałem sobie sprawę, że jesteś jego częścią, w pewnym sensie.

– Jak to możliwe?

– Powiem ci. – Spróbował wina, ale ona ani nie usiadła, ani się nie napiła. Wzruszył ramionami. – Okej. Miałem dziś niezwykły i nieprzyjemny incydent z kobietą. W szkole średniej była miłością mego życia. Wiesz, co mam na myśli?

Przed oczami Abigail pojawił się czysty jak kryształ obraz twarzy Ilii Wołkowa. Uroiła sobie, że był jej bliski, a przecież tak nigdy nie było.

– Właściwie to nie.

– Nie przeżywałaś rozdzierających serce miłości?

– Miałam przyspieszony tok nauki, a więc zawsze byłam młodsza od innych.

– No cóż. W każdym razie, jeśli chodzi o mnie – uniósł kieliszek w toaście i opróżnił go – ona była moją pierwszą dziewczyną. A do pierwszej ma się zawsze trochę słabości, prawda?

– Masz na myśli inicjację seksualną. Nie odczuwam żadnego emocjonalnego przywiązania do mojego pierwszego seksualnego partnera.

– Trudna z ciebie publika, Abigail. Gdy mnie rzuciła... dla studenta pierwszego roku college'u, kapitana drużyny futbolowej, zrobiła to bardzo okrutnie. To było jak kopniak w jaja, jak cios pięścią w zęby.

– Nie rozumiem, dlaczego ktoś decyduje się zranić swojego byłego partnera, gdy ma już następnego. Przykro mi, że tak wybrała.

– Przebolełem to albo tak mi się wydawało. Potem przeprowadziłem się do Little Rock, pracowałem tam dziesięć lat. Gdy wróciłem, ta kobieta była w trakcie rzucania męża numer dwa.

Zdał sobie sprawę, jak to zabrzmiało, w jakim świetle stawia Sylbie – wszystko z własnej perspektywy.

– Ona nie jest taka bezlitosna, jak ją przedstawiam, ale nadal jestem

trochę wkurzony i dlatego przejawiam sprawę. A więc gdy tu wróciłem i podjąłem pracę, przez dwa miesiące byłem bardzo zajęty. Zadomawiałem się, a poza tym mój ojciec był chory.

– Przykro mi. Mam nadzieję, że jest lepiej.

– Tak, dziękuję. Czuje się dobrze. Całkiem niedawno jednak ja i Sylbie wróciliśmy do przeszłości, można tak rzec.

– Uprawiałeś z nią seks.

– Tak, raz czy dwa. Dwa tygodnie temu zaczęliśmy znowu się spotykać. Ale to nie dla mnie. – Z marsową miną wpatrywał się w kieliszek. – Chyba nie można wracać do przeszłości.

– Po co miałbyś to robić, skoro zostałeś wtedy zraniony.

– Słuszna uwaga. Ale no wiesz, seks. Zdecydowałem, że muszę przeciwstawić się kolejnej powtórcie i że będę musiał jej to powiedzieć, co powinienem był zrobić od razu, zamiast uchylać się, robić uniki. Dziś po południu... uprosiła właściciela galerii, w której wystawia swoje wyroby i pracuje na część etatu, żeby mnie tam wezwał. Oficjalnie.

Jego sposób mówienia, pomyślała Abigail, jest podobny do stylu jego matki. Osobisty, chaotyczny. Fascynujący.

– Zgłosił przestępstwo?

– Awanturę wymagającą mojej interwencji. Ale zamiast tego zastałem tam samą Sylbie, która wystąpiła z propozycją nie do odrzucenia, żebyśmy załatwili to na zapleczu.

– Odbyli stosunek?

– Taak. Jestem całkiem pewien, że taki był plan, a gdy nie dałem się nigdzie zaciągnąć, zrzuciła z siebie sukienkę. Ot tak – machnął ręką – zrzuciła ją i stała nago w czerwonych szpilkach.

– Jest pewna siebie i była przekonana, że się zgodzisz.



- Pewna siebie do pewnego stopnia, ale ja się nie zgodziłem. Byłem...
- Powiedziałaś, że to było krępujące i niezręczne.
- Całkowicie. Nie o to chodzi, że ja...
- Podnieciłeś się. To naturalne.
- To był odruch. Ale przede wszystkim, wiesz co? To mnie cholernie wkurzyło. Na litość boską, byłem na służbie, a ona zwabiła mnie jak pierwszego lepszego naiwniaka.

Abigail uznała to za fascynujący przykład różnic w dynamice osobowości i niedostatków w komunikacji międzyludzkiej.

- Wygląda na to, że chyba nie do końca zrozumiała, jak poważnie traktujesz swoje obowiązki.

- Nie jestem napalonym nastolatkiem. Jestem szefem cholernejszej policji! Ten wybuch złości oraz towarzyszące mu wyraźne poczucie winy jeszcze więcej dawały do myślenia.

- Nadal jesteś zły na nią i na siebie za naturalny odruch.
- Chyba tak. Musiałem jej powiedzieć, że jej nie chcę – częściowo z powodu, który tu już omówiłem, a częściowo, na litość boską, ona nie okazywała odrobiny szacunku dla żadnego z nas! I dokuczała mi również świadomość, że muszę ochrzanić biednego Grovera za ten telefon i napędzić mu pietra, żeby już nigdy nie wyciął podobnego numeru.

- To już kilka powodów.
- Jest jeszcze jeden. Gdy patrzyłem na tę piękną nagą kobietę, którą kiedyś kochałem z takim zapalem, jak kocha się w wieku szesnastu lat, zdałem sobie sprawę, że nie chcę jej z powodów, które przed chwilą wymieniłem. I ponieważ pragnę ciebie.

Odwróciła się i zamieszała zupę. Co za zbieżność. Czowała się tak, jakby on coś w niej zamieszał.

– Powiedziałam, że nie będę z tobą uprawiać seksu. Myślisz, że powiedziałam tak, żeby rozbudzić twoje zainteresowanie?

– Nie. Myślę, że powiedziałaś to, co miałaś w głowie, oczywiście poza tym, co tam skrywasz za zamkniętymi drzwiami. Ale podejrzewam, że byś o tym nie wspomniała, gdybyś w jakimś stopniu sama tego nie pragnęła.

Zwróciła ku niemu twarz i stanęła naprzeciw niego po drugiej stronie bufetu.

– To chyba nie był rozsądny pomysł przychodzić tu, gdy ciągle jesteś trochę zły i zapewne jeszcze odrobinę podniecony po tym incydencie.

– O Boże, lubię ten twój sposób mówienia. Masz rację, to nie było najmądrzejsze posunięcie.

– Jeśli się nad tym zastanowić...

Przerwała, gdy podniósł rękę.

– Wyświadczysz mi przysługę? Nie zastanawiaj się teraz nad tym. Jeśli zmienisz zdanie, będę zmuszony znów przepuścić okazję. A jeśli nie, no cóż, pograżę się w jeszcze większym przygnębieniu. Nie wpadłem tutaj po seks, chociaż, tak jak wspomniałem, byłem pod pewną presją. Może po prostu dziś odłożmy to na bok. Zadowolili mnie zupa i zwykła rozmowa.

Nie chciała go polubić, nie chciała się zainteresować mężczyzną – oficerem policji – który, nie zważając na jej uniki, rozbrajał ją i siedział teraz w jej kuchni, wciągając ją w swoje intymne sprawy.

Zgodnie z nakazem rozsądku powinna powiedzieć mu, żeby sobie poszedł. Ale nie chciała tego i zastanawiała się, co się stanie, jeśli pozwoli sobie na małe szaleństwo.

– Planowałam, że przy kolacji obejrzę film.

– Lubię filmy.

– Miałam zamiar obejrzeć *Stalowe magnolie*.

Wydał z siebie ciężkie westchnienie.

– Pewnie sobie na to zasłużyłem.

Gdy się uśmiechnęła, wydało mu się, że cały pokój pojaśniał.

– Właściwie chciałam obejrzeć *Szklaną pułapkę*.

– Należy ci się więcej kwiatów.

Odkrył, że jest cholernie dobrą kucharką, jak również że smakuje mu malinowy winegret. Dowiedział się także, że ogląda filmy w cichym skupieniu, bez żadnych pogaduszek.

Odpowiadało mu to, zwłaszcza odkąd pies, jak się zdawało, na tyle przywykł do jego obecności, że zwinął się w kłębek i zasnął u stóp Abigail. Chociaż Brooks nie wątpił, że jeśli zrobi niewłaściwy ruch, Bert obudzi się, czujny jak zwykle, i przygwoździ go nieruchomym wzrokiem, o ile nie zębami.

Odprężył się. Dobre jedzenie, dobry film, trzaskający ogień i spokojna kobieta. Gdy pojawiły się napisy, wstał, aby zebrać naczynia. Tak jak oczekiwał, pies natychmiast się ożywił, rzucając Brooksowi znaczące spojrzenie: obserwuję cię, kolego.

– Zajmę się tym.

– Nie. Robię to po swojemu.

– A więc pomogę ci je odnieść. – Złożył miseczki, zanim zdążyła zaprotestować. – Poprawiłaś mi dziś nastrój, Abigail – powiedział, gdy szli razem do kuchni.

– Cieszę się, że mogłam ci pomóc. – Postawiła naczynia na blacie i odwróciła się do Brooksa. – Powinieneś już iść.

Musiał się roześmiać.

– W porządku. Posłuchaj, może zrewanżuję ci się za tę zmianę nastroju. Zabiorę cię na kolację.

– Właśnie ją zjedliśmy.  
– Kiedy indziej.  
– Nie wychodzę na kolacje.  
– Nigdy?  
– Mam taką zasadę, tutaj jest mi wygodniej.  
– A więc przywiozę kolację ze sobą. Mam dużo wprawy w przywożeniu pizzy.

Lubiła pizzę.

– To nie jest konieczne.  
– Tak samo jak poczęstowanie mnie zupą i oglądanie ze mną Bruce’a Willisa. Potraktuj to jak wyrównanie rachunku. Założę się, że lubisz mieć wszystko poukładane i zbilansowane.

– Nie jestem dobrym towarzystwem.  
– Co do tego się mylisz. Zadzwoń do ciebie.  
– Nie podałam ci numeru.  
– Abigail. – Musnął palcem jej policzek gestem tak intymnym, że puls jej raptownie przyspieszył. – Zapominasz, że jestem gliną.

Nie może o tym zapominać. Nie może sobie na to pozwolić.

– Odprowadzę cię.  
– Czy za każdym razem, gdy będę cię całować, musisz przypominać psu, że jestem przyjacielem? – spytał, gdy odblokowywała drzwi.

– Dopiero gdy zmienię komendę.

– W porządku.

Położył ręce na jej biodrach i przysunął się do niej. Zagarnął ustami jej wargi, jednocześnie wodząc dłońmi w górę po jej ciele, pobudzając jej nerwy, rozpalając pragnienia.

Zapomniała się na moment. W chłodnym powietrzu nocy, ogrzewana

cieplem jego oddechu, zapamiętała się w przyjemności. Pozwoliła sobie tulić się do niego i upajać tą chwilą. Rozchylone usta, drażniący dotyk języka i zębów, to mdlące uczucie ciężkości w brzuchu.

Pragnęła, och, pragnęła jego skóry pod swoimi dłońmi, gorącej i wilgotnej, ocierającej się o jej własną. Pragnęła, pragnęła jego dłoni, jego ust na swoich piersiach, na całym ciele. I żeby w nią wtargnął – silnie, zdecydowanie.

Tęskniła za tym pierwotnym ludzkim kontaktem, na który nie pozwalała sobie prawie od roku.

Gdy oderwał się od niej, jej ciało i umysł toczyły ze sobą wojnę. Jeśli pozwoli wygrać ciało...

– Dobranoc, Abigail – powiedział.

– Dobranoc.

– Spoko, Bert. – Wyszedł, z lubością witając powiew chłodnego powietrza. Na chwilę jeszcze przystanął i ze swobodnym uśmiechem spojrzał na nią tymi intrygująco zmiennymi oczami. – Wino, rozmowa, kolacja, film i pocałunek na dobranoc. Zdecydowanie druga randka.

– To...

– Możesz sprawdzić definicję. Powiedziałbym, że dokładnie to. Z niecierpliwością czekam na randkę numer trzy.

Gdy bez słowa zamknęła drzwi, uśmiechnął się od ucha do ucha.

Podniecenie, pomyślał, gdy z rozpromienioną twarzą wracał do samochodu, nie zawsze jest odruchem. Niekiedy bywa rezultatem.

## 11

Po poniedziałkowym spotkaniu z radnymi miasta, na którym zawsze czuł się trochę jak naciągacz, Brooks wraz z Russem Conroyem skierowali kroki do Lindy'ego. Russ był starym przyjacielem Brooksa, obecnym radnym i – czego właśnie Brooks się dowiedział – kandydatem na burmistrza w jesiennych wyborach.

– Burmistrz Conroy.

– Taki mam plan. Ale nigdy nic nie wiadomo. Głosuj wcześniej, głosuj często...

Brooks pokiwał głową. Razem przeszli przez całą edukację, począwszy od przedszkola, aż po dyplom szkoły średniej. Razem grali w piłkę, Russ był miotaczem, a Brooks stał na trzeciej bazie. Razem przechwalali się swoimi podbojami i świntuszyli na temat dziewczyn, a potem kobiet i – jeśli Russ nie oszukiwał – stracili dziewictwo w tym samym tygodniu.

Przed trzema laty Brooks był drużbą na ślubie swego kumpla, a przed ośmioma miesiącami został ojcem chrzestnym jego córki Cecily.

Widział, jak Russ, rudowłosy cherlak z piegowatą twarzą oraz nieproporcjonalnie dużymi zębami, przeobraża się z wiecznej marudy, chłopaka na posyłki w ładnym hotelu będącym własnością Conroyów, w kompetentnego, wszechstronnego menedżera tegoż hotelu.

Jego kumpel, który marząc o przygodnych miłostkach, chciał kiedyś wszystko rzucić i zwać na Florydę, stał się statecznym biznesmenem, kochającym mężem i do szaleństwa oddanym tatusiem.

Ale Brooks nigdy się nie spodziewał, że nadejdzie dzień, w którym będzie głosował na burmistrza Russella Conroya.

– Skąd ten plan?

– Będę w tym dobry. – Russ pchnął drzwi do knajpy i w drodze do

boksu kiwnął palcem na kelnerkę. – Bickford hojnie mnie obdarowało, domem, pracą, a przede wszystkim Seline i CeeCee. Chcę dostać szansę, żeby mu się odwdzięczyć, pomóc w stabilnym rozwoju, rozkręcić przemysł turystyczny, gdzie się da.

– Będiesz w tym dobry. – Brooks wyprostował się, gdy Kim bez prośzenia podała im kawę, a Russ skwitował to jakąś zabawną zaczepką.

Tak, Russ prawdopodobnie był stworzony na to stanowisko, pomyślał Brooks.

– Burmistrzu Conroy – powiedział, podnosząc kubek z kawą.

– Komendancie Gleason.

– Niezłe jaja, no nie? Wydorośleliśmy. Zwłaszcza ty, tatusiu.

– Podwójny tatusiu, we wrześnie.

– Znów? Naprawdę?

Duma i zachwyt rozjaśniły twarz Russa.

– Jako żywo.

– No to gratulacje, stary! Robisz w tej materii dobrą robotę.

– Chcemy utrzymać to w tajemnicy jeszcze przez miesiąc, ale języki już poszły w ruch. – Pochylił się trochę do przodu. W ciszy poniedziałkowego przedpołudnia wszyscy w lokalu nadstawiali uszu na plotki. – Rano Seline ma okropne mdłości. Ale kilku nauczycieli, włącznie z twoim ojcem, zauważyło, że, no wiesz, cała promienieje.

– Nie pisnął o tym słowa, choć wczoraj widzieliśmy się w przelocie.

– Poprosiła go o dyskrecję. Twój ojciec potrafi milczeć jak grób.

– To prawda.

– A więc jako stateczny mąż i ojciec jednego dziecka i drugiego w drodze muszę teraz używać życia za pośrednictwem innych. – Russ poruszył znacząco brwiami. – Jakaś gorąca randka w miniony weekend?

– Tuż przed jedenastą wezwano mnie do pomocy w uśmierzeniu bójki w Beaters. Justin Blake rzuca się na każdego, kto popadnie.

– Niezły awanturnik z tego chłopaka.

– Tak, w dodatku agresywny, rozpuszczony i ciągle niedojrzały. Dochodzą do tego problemy z nadużywaniem środków odurzających. Jego tatuś nie był zachwycony, że wsadziłem mu pierworodnego do paki.

– Lincoln to starszy awanturnik, a do tego z kasą. Ale dziwię się, że obsłużyli szczeniaka w Beaters.

– W ogóle go nie obsłużono, świadkowie są co do tego zgodni. Wtargnął do środka, już nawalony jak stodoła, a potem zaczął zadymę, gdy nie chciano go obsłużyć i próbowano wyrzucić. W każdym razie Blake senior musiał pofatygować się na posterunek i ściągnąć swojego prawnika.

– To rzeczywiście mało zabawny sobotni wieczór.

– I większość niedzieli – dodał Brooks. – A gówniarz już wyszedł za kaucją. Czeka go szkolenie antyalkoholowe, zanim odzyska prawo jazdy, trochę robót publicznych, grzywna, no i pokrycie strat. Ma zaledwie dziewiętnaście lat, a już wyrzucono go z dwóch college'ów, dwa razy przyłapano na prowadzeniu pod wpływem i dostał nieskończoną liczbę mandatów. Przez rok ma szlaban na prowadzenie samochodu, ale to zapewne nie przeszkodzi mu upijać się ani ćpać, a potem szukać okazji do rozróby.

– Ach, ta młodość.

Brooks machnął ręką, w której trzymał kawę.

– My nigdy nie byliśmy tacy głupi ani tacy aroganccy.

– Też byliśmy głupi, ale nie aż tak. Nigdy nie wsiadaliśmy za kółko, gdy zaprawiliśmy się piwem, którego jako małolaty nie mieliśmy prawa ani kupić, ani pić. – Russ wyprostował się i odgarnął z czoła rudą czuprynę. – Potrzebujesz sobotniej randki, stary. Wiesz, Seline ma już długą listę



odpowiednich przyjaciółek i tylko marzy, żeby cię z którąś wyswatać.

– Najpierw cię zakatrupię, a jako szef policji, wiem, jak to zrobić, żeby mi uszło na sucho.

– Tak tylko gadasz. Chyba że nadal bzykasz się z Sylbie.

– To już finto. Koniec na dobre.

– A więc...

– Prawdę mówiąc, ostatnio spędzam trochę czasu z Abigail Lowery.

– Ja cię kręcę! – Z błyskiem w oczach Russ pochylił się nad stołem. – No to gadaj, bez ściemniania.

– Muszę wracać do pracy.

– No nie możesz wrzucić takiego tematu, a potem nie dokończyć.

– Powiedzmy, że jest interesująca, tajemnicza i seksowna, wcale się o to nie starając. Ma psa, takiego łebskiego olbrzymia, który mógłby obsługiwać ciężki sprzęt. I potrafi zrobić użytek z glocka.

– A więc dlaczego zadaje się z tobą?

– To ja wchodzę jej w drogę. No, muszę wracać do roboty. Zapłać za kawę, to na ciebie zagłosuję.

– To lubię słyszeć. Hej, przyjdź do nas na kolację ze swoją damą.

– Na razie pracuję nad tym, żeby przywykła otwierać mi drzwi – skwitował Brooks, wychodząc z boksu. – Namówienie jej do wyjścia będzie wymagało dużo pracy.

Późnym popołudniem Brooks wziął sobie wolne i wyruszył z misją na krótką wycieczkę. Zanim sfinalizował sprawę i dojechał do domu rodziców, jego ojciec zdążył już przebrać się w roboczy strój ogrodnika.

Sunny i Loren pracowali na jednym z klombów przed domem, gdzie sadzili kolorowe jednoroczne kwiaty.

Obydwoje mieli nakrycia głowy; wysłużona czapka ojca pamiętała

czasy, gdy Brooks bronił trzeciej bazy, matka zaś włożyła słomkowy kapelusz ozdobiony pękiem czerwonych kwiatów zatkniętych za wstążkę.

Aż miło było patrzeć, jak mimo chłodu na dworze pracują ramię w ramię przy dźwiękach muzyki wylewającej się przez otwarte okna i drzwi.

Gdy Brooks zaparkował, Loren dźwignął się z ziemi i stanął na swoich długich nogach. Ma zdrową cerę, pomyślał Brooks, beztroski uśmiech, a pod czapką nadal gęste wijące się włosy, choć mocno już przyprószone siwizną.

Być może pewnego dnia zdoła zatrzeć w pamięci obraz ojca leżącego w szpitalu przed operacją wszczepienia by – passów. Bledego, szarego starego człowieka z wyrazem przerażenia na twarzy.

Matka również się wyprostowała i podparła pod boki. Brooks pamiętał strach także w jej oczach. Znakomicie się trzymała, gdy czekali, nerwowo chodząc i modląc się. Ale w oczach miała strach.

Teraz wyglądają tak jak powinni, pomyślał. Pobrudzeni ziemią, uszczęśliwieni jego widokiem i wciąż razem.

Wysiadł z nadzieją, że nie popełnił dużego błędu. Z tyłu samochodu wytaszczył podrózną klatkę.

– Cześć – odezwał się ojciec.

– Cześć. Cześć, mamó.

– A co tam masz?

– Przywiozłem wam prezent. – Z klatki dobiegło piskliwe szczekanie, drżące obawą, ale i radością.

– Och... – Sunny schowała ręce za sobą. – Mówiłam ci, Brooks, że nie jestem jeszcze gotowa na...

– Zwrócono go w ramach gwarancji. Znacie Petiego ze schroniska. Nagiał trochę prawo, żebyście mogli wzajemnie się zapoznać, zanim podpiszę wszystkie papiery.

– Brooks, ja po prostu nie mogę... Och, Boże, popatrzcie tylko na tę mordkę!

– Petie twierdzi, że on ma trochę z owczarka, trochę z retrievera i Bóg jeden wie z czego jeszcze. Ale jest uroczy i odważny. Dla tych rasowych muszą znaleźć dom, takie są zasady, ale ten jest tylko zadziornym kundelkiem.

– Powinniśmy go wypuścić, nie sądzicie? – Loren objął ramieniem Sunny. – Przynajmniej mu się przyjrzyj.

– No tak, na ciebie nie można liczyć. W porządku, wypuść go. Nie ma powodu trzymać go w klatce jak jakiegoś kryminalistę.

– No właśnie. – Brooks postawił klatkę, otworzył drzwiczki i wyciągnął kręcący się, liżący i ujadający z radości kłębek. – Ma jakieś dziesięć tygodni. Jeśli w ciągu najbliższego miesiąca nie znajdzie domu, no to klamka zapadła. Zielona mila. Kraina wiecznych łowów...

Sunny niespiesznie skrzyżowała ramiona.

– Przestań.

– Egzekucja – dodał bezlitośnie Brooks, gdy jego matka westchnęła, a ojciec z całych sił powstrzymywał śmiech. – No, jak? – Brooks podniósł szczeniaka i przytulił go do ucha. – Jesteś pewny? No, dobra. Mówi, że chce, żebym ci powiedział... Nikt nie wie, jakie miałem kłopoty... – zanucił Brooks smętnym tonem.

– Och, daj mi to maleństwo. – Sunny wysunęła się do przodu, wzięła psa na ręce, a ten cały się trząsł z miłości od pierwszego wejrzenia i lizał jej twarz. – Do cholery. A niech to wszyscy diabli. A niech to! – zaklęła po trzykroć, miękko i stłumionym głosem, prosto w sierść szczeniaka.

Stojący obok niej Loren wystawił kciuk do góry, a potem wytarł uszy psa.

– Jadł już kolację?

– Jeszcze nie, ale wszystko, co potrzeba, mam w samochodzie. To znaczy, jeśli mama chce mu ocalić życie.

– Powinnam chociaż dać ci klapsa. – Trzymała psa w górze, a ten, machając ogonem, młócił łapami powietrze. – Loren, on zryje nam klomby i zniszczy podłogę. Pogryzie wszystko, czego dotkną jego mleczone zębki.

– Och, tak – Loren wyciągnął rękę i połaskotał psa po brzuchu. – Już on da nam popalić.

Opuściła psa i przytuliła go do piersi.

– No, chodź do mnie, cwaniaku.

– Ja? – spytał ją Brooks.

– Jesteś jedynym cwaniakiem, jakiego widzę w moim ogródku. – Gdy był już wystarczająco blisko, złapała go za ucho i przyciągnęła. – Dziękuję. – A potem złożyła głowę na ramieniu Brooksa i rozplakała się. – Miłość zawsze musi znaleźć ujście. Nie sądziłam, że mam jej tyle, żeby znów to zrobić, znów to poczuć. Ale miłość znajduje ujście.

Pociągnęła nosem i wyprostowała plecy.

– Zabiorę go teraz na tylne podwórko i pokażę, gdzie powinien załatwiać swoje sprawy. Możecie wyjąć jego rzeczy z samochodu.

– Co cię skłoniło, że przywiozłeś jej szczeniaka? – spytał Loren.

– Prawdę mówiąc, ktoś mi podpowiedział, a sam załatwiłem resztę.

– Dobra robota. Wyjmujemy jego ekwipunek.

– Pomyślałem, że powinien mieć własny, żeby nie wyglądało, że jest tylko na przechowaniu. A więc kupiłem wszystko – powiedział Brooks, gdy zaczęli rozładunek. – Zabawki, posłanie, sztuczne kości, smycz, obrozę, miski, pokarm dla szczeniaków. Mam ze sobą te papiery. Trzeba z nim pójść do weterynarza na resztę szczepień i... – pstryknął palcami – jutro zawiozę

kopię Petiemu.

– Sami się tym zajmiemy. To wiele dla niej znaczy, i dla mnie. Brakowało mi psa. Założę się, że rozrusza też trochę starego Chucka.

– Może zmusi go do zeskoczenia z kanapy choć dwa razy dziennie.

– Może. Twoja matka przez jakiś czas będzie nim zajęta. Może rzucimy jakieś burgery na grill?

– Zgoda... O, cholera! – zaklął, usłyszawszy ostry pisk radia. – Komendant Gleason.

– Hej, Brooks, jesteś jeszcze u rodziców?

– Tak, przed domem – odpowiedział Almie.

– Pani Willowby znów zgłasza wtargnięcie na jej teren.

– Okej, mam stąd do niej dwie minuty. Zajmę się tym. – Gdy się rozłączyła, wzruszył ramionami. – Stara pani Willowby mniej więcej raz w tygodniu zgłasza najście na swój dom. Dom osiada, kapie z kranu, słońce świeci nie w to okno, już po nią idą. Gdy obejdę cały dom, zawsze muszę zostać na herbatce i stęchłych ciasteczkach.

– Poczekamy z burgerami.

– Super. Nie powinno mi to zająć dłużej niż pół godziny.

– Nigdzie się nie spieszymy.

Raz czy dwa w tygodniu, gdy pozwalał jej na to czas, Abigail poświęcała kilka godzin wieczorem na prywatne sprawy. Zazwyczaj płaciła bieżące rachunki, które nie były ściągane z jej konta, kupowała przez internet potrzebne rzeczy – a czasem to, na co miała właśnie ochotę. Śledziła wiadomości, przeglądała kilka codziennych lub cotygodniowych blogów, a nawet poświęcała trochę czasu na gry.

Ponieważ wymyśliła i opracowała jedną, i miała nadzieję, że pewnego dnia zrobi ich więcej, czuła, że musi być na bieżąco z ostatnimi trendami i

technologią.

Ale raz czy dwa razy w tygodniu zajmowała się hakerstwem.

Sprawdzała matkę, włamując się na jej konta bankowe, rachunki inwestycyjne, grafik pracy w szpitalu.

Wiedziała, że dr Susan L. Fitch planuje w maju trzytygodniową wycieczkę do Prowansji. Wiedziała, które hotele Susan zarezerwowała, z jakich linii czarterowych ona i jej towarzysz z ostatnich kilku miesięcy – niejaki Walter P. Fennington III – skorzystają.

Sporo wiedziała o życiu swojej matki, o jej zajęciach i finansach.

Nie widziały się ani nie rozmawiały od tamtej nocy, gdy Susan – san zostawiła ją z Terry i Johnem w pierwszym bezpiecznym domu w Chicago.

Ale Abigail sprawdzała ją sporadycznie, z ciekawości i aby się upewnić, czy Wołkowowie nie podjęli jakiś środków odwetowych wobec niej.

Dlaczego mieliby to robić? – zastanawiała się. Umieścili swoje wtyczki w organach ścigania, a te krety wiedziały, że Susan Fitch nie ma o niczym pojęcia, bo nie obchodzi ją córka, którą z taką starannością spłodziła, a potem zostawiła na pastwę losu.

Sprawdzała też rodzinę Johna. Na pewno byłby szczęśliwy, że osiem lat po jego śmierci żona ponownie wyszła za mąż. Byłby szczęśliwy, że dzieci mają się dobrze i są szczęśliwe. Wiedziała, gdzie mieszkają, pracują, chodzą do szkoły. Tak samo wiedziała, że rodzice Terry przeprowadzili się do Sarasoty.

Zaprogramowała automatyczną wyszukiwarę tak, by każda wzmianka w jakimkolwiek medium dotycząca Wołkówów wyskakiwała na jej komputerze. Uważnie je śledziła. Ilia zareczył się; ślub zaplanowano na jesień. Narzeczona pochodziła z bogatej rodziny powiązanej z inną bratwą. Abigail uważała, że to rodzaj fuzji, choć Ilia musi być zadowolony, ponieważ

kobieta jest bardzo piękna.

Regularnie włamywała się do komputerów Ilii, co kosztowało ją więcej wysiłku, czasu i ogromnie dużo dodatkowych wyszukiwań. Ale to ją nie obchodziło. Za każdym razem ściągała i zapisywała wszystkie jego pliki oraz maile, gromadziła je, sprawdzała odwiedzane przez niego strony.

Ludziom takim jak on wydaje się, że są bardzo ostrożni, ale się mylą. Miała wrażenie, że orientuje się w jego sprawach prawie tak dobrze jak on sam. Znała jego życie, również jego narzeczonej oraz innych przyjaciółek, wiedziała, na co wydaje pieniądze, gdzie kupuje ubrania i buty.

Wszystko.

I wiedziała, że Wołkowowie nadal jej szukają.

Nie była bieżącym priorytetem, ale na tyle, na ile mogła ocenić, stanowiła coś więcej niż drobny, nierozwiązany problem z przeszłości. Sprawa Elizabeth Fitch miała znaczenie zasadnicze.

Należało ją odnaleźć i zlikwidować. Dopóki Siergiej Wołkow będzie szefem bratwy, Elizabeth pozostanie na celowniku. Co więcej, była przekonana, że to się nie zmieni, gdy Ilia oficjalnie przejmie schedę po ojcu.

Wiedziała, że Jakow Korotkij nadal jest ich cynglem. Opracowała i aktualizowała na bieżąco listę ludzi, których, jak sądziła, wykończył. A wiedziała – ponieważ włamywała się również do ich zasobów – że FBI, US Marshals Service i Interpol oraz inne służby mają podobne listy.

Ale nic nie było w stanie pogrążyć Korotkija. Prawdopodobnie to z jej powodu cieszył się szczególnymi względami i był dobrze chronionym narzędziem mafii.

Wiedziała również, że FBI i US Marshals nadal jej szukają. A raczej szukają Elizabeth Fitch. Pozostawała naocznym świadkiem morderstwa Julie Masters i Aleksieja Gurewicza, a także osobą mogącą mieć istotne informacje

na temat śmierci Johna Barrowa i Theresy Norton.

John powiedział prawdę, starał się chronić ją do końca. Nikomu nie mogła ufać. Dla Wołkówów stanowiła cel, który należało zlikwidować z przyczyn ambicjonalnych, jak również z powodu zeznań, które mogłaby złożyć. Dla władz była świadkiem morderstwa dwojga agentów, albo, zależnie od analizy, zbiegiem, który być może z desperacji, nudy lub czystego szaleństwa obezwładnił jednego agenta federalnego, zabił drugiego i kolejnego zranił, jako że Cosgrove został postrzelony w biodro podczas walki, która się rozpętała.

Niektórzy wymyślali nawet teorie, że to ona spowodowała wybuch gazu, aby ukryć swe zbrodnie, a potem dała nogę.

Podejrzewała, że plan zlikwidowania jej powstał na wiele dni, a nawet tygodni przed jej siedemnastymi urodzinami. Wymyślili go Keegan i Cosgrove.

Miała zginąć podczas wybuchu wraz z Johnem i Terry.

Przez kilka miesięcy po ucieczce, w pierwszym roku ukrywania się, nękana strachem i rozpaczą rzadko o tym myślała. Ale teraz odnalazła swoją drogę.

Miała własne życie i zamierzała się przy nim utrzymać.

Z psem leżącym u stóp zakradła się do kont Ilii. Rutynowo zmieniał hasła, aktualizował programy ochrony komputera i zapory antywłamaniowe.

Ale ona poświęciła dziesięć lat na studiowanie, rozwijanie i programowanie systemów z ich wszelkimi detalami. Jakikolwiek zabezpieczenia by zbudował, potrafiła je złamać. Wtargnięcie w jego wewnętrzny świat, zniweczenie jego prywatności dawało jej ogromną satysfakcję.

Żałowała jedynie, że on nigdy się o tym nie dowie.



Nigdy nie będzie się bał, tak jak ona się bała.

Ale potrafiła mu zaszkodzić.

Od czasu do czasu, gdy miała dość materiału, gdy była pewna danych oraz własnego bezpieczeństwa, znajdowała sposób, aby przekazać trochę informacji agentce FBI, takiej, którą prześwietliła na wylot i czuła, że zna ją jak samą siebie.

Kimkolwiek teraz była.

Podpisywała krótkie treściwe notatki *twój drug*. Po rosyjsku „twój przyjaciel”. Załączała w nich pliki, charakterystyki, wyniki swoich analiz i kwerend. Na ogół skłaniano się ku opinii, że informatorem jest mężczyzna powiązany z bratwą Wołkowów.

*Twój drug* narażał życie. Abigail miała nadzieję, że kogoś ocaliła. Za największe swoje osiągnięcie uważała przekazanie dokładnych informacji, dzięki którym przeprowadzono nalot na magazyn w South Chicago, gdzie rozbito i zlikwidowano szajkę zmuszającą kobiety do prostytucji.

Teraz analizowała bieżącą działalność Ilii. Hasła, zaszyfrowane wiadomości, fałszywe nazwiska. Przekazała kolejną porcję jego aktualnych kodów dostępu. Jeśli federalni nie zrobią z nich użytku, nie zasługują na następne.

Z wyjątkiem tych dotyczących prania brudnych pieniędzy, uznała.

Pomniejszanie przychodów Wołkowów sprawiało jej satysfakcję. Może nie tak głęboką, wewnętrzną, jakiej przysporzyła jej świadomość, że przyczyniła się w pewnym stopniu do wyzwolenia ponad dwudziestu dziewcząt z seksualnego niewolnictwa, ale mniejsze fundusze na pewno utrudniały im działalność.

Tak, pranie pieniędzy to będzie jej nowy osobisty projekt. Swoisty prezent ślubny dla Ilii.

Zajęła się wyluskiwaniem strzępów informacji z poczty elektronicznej Ilii, jego księgowego i kilku innych kontaktów. Nie posiadała się ze zdumienia, ile ludzie ujawniali, uderzając w klawisze, jacy byli nieostrożni. Podczas tej pracy myślała po rosyjsku, oswajała się z tym językiem. Do tego stopnia, że gdy zadzwonił telefon, zakłęła pod nosem po rosyjsku.

Nie spodziewała się żadnych telefonów, choć kilku klientów wolało rozmowy albo SMS – y zamiast maili. Zerknęła na wyświetlacz. Zmarszczyła brwi.

Brooksowi udało się wygrzebać jej numer. Nie było to wielkie zadanie, ale musiał poświęcić trochę czasu i wysiłku.

Dlaczego to zrobił?

- Halo? – odezwała się z rezerwą.
- Hej. Tu Brooks.
- Tak, wiem.
- Z czym lubisz pizzę?
- Och... nie ma znaczenia.
- Dodatki mają znaczenie, Abigail. Są kluczowe dla pizzy.

Chyba miał słuszość. Chciałaby, żeby to wszystko, co go dotyczyło, tak jej nie poruszało i nie wprawiało jej w takie zakłopotanie.

- Lubię czarne oliwki, a zwłaszcza ostre papryczki.
- Dobry wybór. Jakies zastrzeżenia do pepperoni?
- Nie.
- Świetnie. Będę za pół godziny.
- Nie prosłam, żebyś przyjeżdżał.
- No tak, zauważyłem. Naprawdę musisz zacząć.
- Pracuję.
- Dochodzi siódma. Daj już spokój. Poza tym mam dla ciebie

wiadomość.

– Jaka?

– Powiem ci przy pizzy. Za pół godziny. Do zobaczenia.

Nie była przygotowana. Dlaczego zawsze jej przeszkadzał i narzucał się, gdy nie była przygotowana? Musi teraz przerwać pracę.

A na kolację zaplanowała kurczaka z patelni.

Spodziewał się rozmowy, a ona nie była pewna, czy ma jeszcze o czym mówić. Zauważyła, że w kontaktach z nim i z jego matką brakuje jej tematów do luźnej pogawędki.

Była jednak ciekawa, o jaką wiadomość mu chodziło.

Z rezygnacją wyłączyła komputer, a potem niechętnie schowała kaburę z bronią do szuflady.

Domyślając się, że zechce się czegoś napić, przejrzała butelki starannie wyselekcjonowanych win i wybrała dobre chianti.

Zastygła, wpatrując się w butelkę.

Znów zje z nim kolację. To już drugi raz w tym tygodniu, nie licząc jagodowego ciasta.

Spotykała się z szefem miejscowej policji.

– Na litość boską, jak on tego dokonał? Ja się z nikim nie spotykam. Nie mogę się z nikim spotykać.

Odstawiła butelkę i zrobiła coś, czego nigdy nie robiła. Zaczęła nerwowo maszerować po pokoju. Musiała znaleźć rozwiązanie, wyjście z... tej sytuacji. Jeśli mu odmówi, będzie coraz bardziej zdeterminowany i podejrzliwy. W każdym razie jej dotychczasowe wysiłki na tym polu były bezskuteczne.

Rozumiała sens pościgu za zdobyczą. Samiec stojący przed wyzwaniem usiłował wszelkimi sposobami namówić samicę do kontaktu, zawładnąć nią,

ujarzmieć. Być może powinna rozważyć uprawianie z nim seksu. Gdy się z nim prześpi, pogoń się skończy, wyzwanie zniknie. Jego zainteresowanie zacznie słabnąć.

To były logiczne wnioski.

A jednocześnie wyciągnie z tego korzyść, eliminując własne pragnienia. Gdy ona zaspokoi swoje fizyczne potrzeby, a on swoje i jego zainteresowanie osłabnie, nie będzie powodu, by myśleć o nim w nieodpowiednich chwilach. Wszystko wróci do normy i rutyny.

Uznała tę teorię za słuszną.

Pójdą do łóżka, a potem każde z nich wróci do swojego życia i własnych spraw.

Z ulgą, zadowolona z podjęcia odpowiedniej decyzji, weszła z Bertem na górę, chcąc upewnić się, czy nie ma czegoś w sypialni, łazience czy gdziekolwiek na piętrze, co przykułoby jego uwagę.

Nie miał powodu zaglądać do drugiej sypialni, zresztą i tak drzwi były zamknięte na klucz. Rozważała jeszcze przez chwilę, czy intymne zbliżenie z kimś tutejszym, w jej własnym domu, będące złamaniem wypracowanych nadrzędnych zasad, jest na pewno najrozsądniejszym wyjściem.

Była przekonana, że tak. Wierzyła, że poradzi sobie z tym jednorazowym odstępstwem od normy.

Zerknęła na ekran w sypialni, gdy rozległ się brzęczyk systemu bezpieczeństwa. Nakazała Bertowi spokój.

Jest punktualny, zauważyła, obserwując, jak Brooks zajeżdża pod dom.

Lubię pizzę, pomyślała, schodząc po schodach. Lubię seks.

Otwierając drzwi, utwierdziła się w duchu, że plan jest racjonalny i zakończy się z pożytkiem dla obu stron.

## 12

Oto ona, pomyślał. Z nieodłącznym psim towarzyszem u boku i tą rezerwą w oczach, które – tego był pewien – ukrywały jakieś sekrety.

Tym razem nie okazywała zniecierpliwienia, a jednak obserwowała każdy jego ruch, gdy wysiadał z pikapa z pizzą i sześciopakiem rolling rocka.

Nadal patrzyła na niego czujnie, gdy wchodził na ganek, gdy pochylił się i pocałował ją.

– Cześć.

– Cześć. – Cofnęła się, a potem odbyła rutynową procedurę zamykania drzwi. – Przywiozłeś piwo. Otworzyłam wino, ale...

– Też się przyda. Po prostu włożymy to do lodówki. – Podał jej sześciopak, a następnie wyjął z kieszeni spreparowaną kość. – Coś dla Berta, jeśli można.

Ten prezent ją ujął. Wyrachowany gest czy nie, pomyślała, ale sympatyczny.

– On od ciebie nic nie weźmie.

– A więc daj mu sama.

Gdy podawał jej kość, zauważył, że Bert przesunął po nich wzrokiem, potem zatrzymał go na kości, ale nie drgnął mu ani jeden mięsień.

– To bardzo miłe. On je lubi. – Odwróciła się do psa i wymówiła jakąś komendę. Bert gwałtownie klapnął tyłkiem na podłogę.

– To nie było po francusku.

– Po włosku. – Podała Bertowi kość, a potem wydała kolejną komendę.

– Zna również włoski. Prawdziwy z niego światowiec. Uśmiecha się.

– Psy się nie uśmiechają.

– Daj spokój, popatrz na jego oczy. On się uśmiecha. Gdzie chcesz

zjeść pizzę?

– Najlepiej w kuchni. Jesteś dziś w dobrym humorze.

– Mam zjeść pizzę z ładną kobietą, która w dodatku wybiera moją faworytkę, tę z ostrymi papryczkami, i otworzyła wino. Przede mną dwadzieścia cztery godziny wolnego. Tylko głupi nie byłby w dobrym humorze.

– Nie jesteś głupi. – Wyjęła kieliszki. – I mimo że twoja praca naraża cię na wzmożony stres, jak zdażyłam zauważyć, rzadko wydajesz się zestresowany.

– Lubię swoją pracę.

– Ale gdyby twój ojciec nie zachorował, nadal byłbyś w Little Rock.

– Tak, prawdopodobnie. Widać było mi przeznaczone wrócić do domu, podjąć tę pracę i osiąść tu z powrotem.

Pokręciła głową, wyjmując talerze. Przemknęło jej przez myśl, że jednak ma o czym mówić.

– Nie ma czegoś takiego jak przeznaczenie, fatum czy los. Życie jest serią wyborów i okoliczności, akcji i reakcji, również skutkiem preferencji innych ludzi. Choroba twojego ojca skłoniła cię w określonym czasie do wyboru tej pracy. Sądzę, że było to podyktowane miłością oraz lojalnością. To nie żadne przeznaczenie.

Brooks rozlał wino do kieliszków.

– Wierzę w wybór i w przeznaczenie.

– Jak to można pogodzić? Nie możemy mieć możliwości wyboru i wolnej woli, a jednocześnie podlegać przeznaczeniu.

– To zagadka, nieprawdaż?

Wyglądał tak naturalnie w jej kuchni, w jej przestrzeni, w dżinsach, koszulce, wysokich sportowych butach i podniszczonej skórzanej kurtce. Czy

powinno ją to zaniepokoić?

– Może zjemy na tylnym ganku? Ładny dziś wieczór.

Poczuła się zbita z tropu. Nie jadała na ganku i nigdy nie wychodziła na dwór bez broni.

– Popatrzemy, co się dzieje na świecie. – Musnął palcem jej skroń. – Wyobrażam sobie, że pracując przez większość dnia, kisiłaś się w czterech ścianach. Zachodzę w głowę, po co kupiłaś ten dom, skoro nie potrafisz delektować się ciepłym wiosennym wieczorem.

Kolejny wybór, pomyślała.

– Zgoda. – Otworzyła szufladę i wyjęła kaburę. – Nie wychodzę bez broni.

– Okej. – Znów Glock 19, najwyraźniej jej faworyt. – Bardzo chciałbym, żebyś mi powiedziała, czego się tak boisz.

– Nie boję się. – Nie było to zbyt wielkie kłamstwo. Uważała, że jest zbyt dobrze przygotowana i zabezpieczona, aby naprawdę się bać. – Ale wolę mieć przy sobie broń, gdy jestem na zewnątrz.

– W porządku. – Poczekał, aż przypięła pas i otworzyła kuchenne drzwi. – Ale jeśli zdecydujesz się powiedzieć mi, znajdę sposób, żeby ci pomóc.

– Skąd wiesz, że nie jestem kryminalistką? Że nie uciekam przed wymiarem sprawiedliwości?

– Wierzysz w instynkt?

– Tak, oczywiście. To jest...

– Daruj sobie definicję. Po prostu przyjmij, że to instynkt.

Na ganku stał mały stolik i jedno krzesło. Brooks położył pizzę i wrócił do środka po obrotowy fotel.

– Jak tu miło. Widok, powietrze. Zaczęłaś zakładać ogród. – Usiadł na

fotelu, pociągnął łyk wina. – Co hodujesz w szklarni?

– Kwiaty, trochę warzyw. Mam kilka małych drzew owocowych. Bardzo dobrze rosną w szklarni.

– No pewnie.

Na komendę Bert położył się u jej stóp i zaczął obgryzać kość.

– On znów się uśmiecha.

Pokręciła głową, ale sama też się nieznacznie uśmiechnęła.

– Lubisz fantazjować.

– Może to z powodu stresu. – Wziął pizzę, którą mu podała, postawił talerz na kolanach, a potem w milczeniu wyciągnął nogi.

Zrobiła to samo.

– Nie zamierzasz pytać – stwierdził. – Jesteś bardzo powściągliwa, Abigail.

– Słucham?

– Powiedziałem, że mam dla ciebie wiadomość, a ty nawet o nią nie spytasz. Większość ludzi nie wytrzymałaby nawet pięciu minut.

– Może to kolejny fortel.

– Nie tym razem. – Poczekał chwilę i ciężko westchnął. – Teraz nie masz zamiaru mnie pytać, ponieważ się posilasz.

Znów rozkwitła uśmiechem i, niech go licho porwie, jeśli nie miał poczucia zwycięstwa za każdym razem, gdy się uśmiechała.

– W porządku, w porządku, powiem ci, jeśli tak nalegasz. Skorzystałem z twojej rady. Ocaliłem szczeniaka ze schroniska, przywożąc go mojej matce.

– Jest zadowolona?

– Płakała, w pozytywnym sensie. Moja siostra napisała dziś do mnie, że chciałem się jej podlizać, ale mama i tak nadal lubi ją bardziej. To młodsza z moich sióstr. Żartowała – dodał, gdy Abigail zmarszczyła brwi. – Lubimy się



drażnić. Po intensywnej debacie, podczas której zjadłem hamburgera i milczałem, szczęśliwi rodzice wymyślili imię dla swojego nowego dziecka, ponieważ, uwierz mi, Platon będzie tak traktowany. Mój tata chciał go nazwać Bob lub Sid, ale mama twierdzi, że szczeniak wygląda na filozofa, jest bardzo bystry i zasługuje na dostojne imię.

– To dobre imię. Imiona z mocnymi spółgłoskami są łatwiejsze do tresury. To dobra wiadomość. Szczęśliwa wiadomość.

– Też tak myślę. – Wyjął telefon zza paska. – Mam jego zdjęcie. – Podał jej telefon.

– Przystojniak z niego i ma bystre, czujne oczy. – Z rozczeniem się w nie wpatrywała, zadowolona, że psiak znalazł porządny, kochający dom. – Jesteś dobrym synem.

– Przy nich to łatwe. A co z twoimi rodzicami?

– Mam tylko matkę. Nie mamy ze sobą kontaktu.

– Przykro mi. Gdzie ona mieszka?

– Nie widziałyśmy się od kilku lat.

Temat tabu, wydedukował Brooks. Zakaz wstępu.

– A ja komunikuję się z moimi rodzicami prawie każdego dnia. Zależnie od twojego poglądu to plus albo minus mieszkania w małym mieście.

– Myślę, że w twoim przypadku to zaleta i wygoda.

– Taak. Gdy dorastałem, uważałem to za oczywiste, ale tak robią dzieci. Uznają coś za pewnik. Gdy mieszkałem w Little Rock, dużo rozmawialiśmy i wysyłaliśmy do siebie maile. I przyjeżdżałem mniej więcej co miesiąc, żeby się spotkać z nimi, z siostrami, z przyjaciółmi, którzy nadal tu mieszkają. Nigdy jednak nie myślałem o powrocie na stałe.

– Byłeś szczęśliwy w Little Rock i zadowolony z pracy.

– To prawda. Ale gdy ojciec zachorował, nie tylko poczułem, że muszę wrócić, zdałem sobie sprawę, że tego chcę.

Wskazał na nią palcem.

– Zdziałało przeznaczenie.

Pokręciła nieznacznie głową i obdarzyła go kolejnym uśmiechem, który coraz bardziej go cieszył.

– Masz zżytą ze sobą najbliższą rodzinę.

– Można tak powiedzieć. Jak ci smakuje pizza?

– Bardzo dobra. Kiedy sama ją przygotowuję, piekę placek z pełnoziarnistej mąki, ale wolę ten.

– Sama przygotowujesz? Taką z pudełka, z gotowej mieszanki?

– Z pudełka to już nie jest własnej roboty.

– Większość tego, co ja pichcę, pochodzi z pudełka. To znaczy, że sama zagniatasz ciasto?

– Tak, kiedy mam na to ochotę.

– Nawet moja matka tego nie robi. – Położył kolejny kawałek na jej talerz, potem na własny, a następnie dolał wina. – Pokażesz mi później szklarnię?

– Nie hoduję marihuany.

Roześmiał się, tak gwałtownie i szczerze, że aż drgnęła.

– Czy to nie byłoby interesujące? Ale nie o tym myślałem. Wyrósłem wśród ogrodników, a więc to mnie interesuje. Nawiasem mówiąc, mamy w okolicy kilka osób, które hodują zioło, albo na własny użytek, albo dla dodatkowego dochodu. Moja własna matka to robiła, zanim urodziła dzieci. I nadal bez mrugnięcia okiem opowiada się za jego legalizacją.

– Legalizacja, kontrola oraz opodatkowanie marihuany wyeliminowałyby środki finansowe wydawane na egzekwowanie obecnego

prawa oraz przyniosłyby dodatkowe dochody.

– To znowu zależy od punktu widzenia.

Pies poruszył się, usiadł i zaczął wpatrywać się w Abigail.

– *Allez* – powiedziała, a wtedy zszedł z ganku i skierował się pod drzewo.

– Powrót do francuskiego. Czy on poprosił o pozwolenie, żeby się wysiusiać?

– Bez mojego pozwolenia nie odstępuję mnie. – Poruszyła się i wypła łyk wina. – Przemyślałam to.

– Za późno, jesz już drugi kawałek,

– Nie chodzi o pizzę. Przemyślałam uprawianie z tobą seksu.

Był wdzięczny, że właśnie przełknął kęs, inaczej by się za- krztusił.

– Naprawdę?

– Tak. Po rozważeniu wszystkich za i przeciw, stwierdziłam, że seks z tobą będzie satysfakcjonujący dla nas obojga. Jesteś atrakcyjny i miły. I czysty. Dobrze się całujesz i choć nie zawsze jest to wiarygodna ocena umiejętności w łóżku, często tak jest. Jeśli się ze mną zgadzasz, dokończymy kolację, pokażę ci szklarnię, a potem możemy pójść na górę i uprawiać seks. Biorę pigułki, ale wymagam, żebyś założył kondom.

Prawie zaniemówił.

– Rozumiem, że to propozycja.

– Nie przyjmujesz jej? – Nie wzięła pod uwagę odmowy. – Myślałam, że mnie pragniesz, fizycznie.

Odstawił talerz i wstał. Zbyt nakręcony, aby w ogóle zastanowić się, co ten cholerny pies sobie pomyśli – lub zrobi – Brooks pociągnął Abigail do góry i mocnym, brutalnym ruchem przycisnął do siebie.

Tym razem pocałunek nie był delikatny ani badawczy. Ekspłodował w

niej jak szrapnel, rozpalając zmysły. Straciła równowagę, zachwiała się. Mogła tylko przywrzeć do niego albo upaść.

– Poczekaj. Poczekaj.

Być może drzenie jej głosu – albo niskie, ostrzegawcze warczenie psa – sprawiły, że rozluźnił uścisk, chociaż całkiem jej nie puścił.

– *Ami. Ami.* – Dłoń, którą na chwilę przyłożyła do policzka Brooksa, trzęsła się jak jej głos. Następnie dała ręką sygnał psu. – *Ami*, Bert. Poduszka.

– Gdy pies usiadł, Abigail odetchnęła. – Myślał, że robisz mi krzywdę.

– A robiłem?

– Nie. Ale chciałabym usiąść.

– Spójrz na mnie.

Odetchnęła, a potem podniosła na niego wzrok.

– Jesteś zły.

– Nie, wcale nie. Nie jestem pewien, co czuję, ale na pewno nie wściekłość.

– Nie chcesz mnie.

– Czy jeszcze raz mam ci to zademonstrować, a jeśli to zrobię, czy będzie potrzebna karetka, gdy twój pies się ze mną porachuje?

– Ja... och. Och. – Usłyszał upokorzenie w tym westchnieniu, gdy przymknęła oczy i skinęła głową. – Rozumiem. Zachowałam się zbyt bezceremonialnie, zbyt dosłownie. Powinnam poczekać, aż sam poruszysz ten temat, a jeśli nie, nie powinnam robić takich kalkulacji. Naprawdę chciałabym usiąść.

Puścił ją i usiadł obok.

– Po pierwsze, jestem pozytywnie nastawiony do twojego pomysłu, żebyśmy poszli do łóżka. Problem mam jedynie z tym, że traktujesz to jak uciążliwy obowiązek, który chcesz wykreślić z listy swoich zadań.

To prawda, pomyślała. Nic dodać, nic ująć.

– Przepraszam. Myślałam, że to właściwe podejście. Nie jesteś zły, ale jednak trochę urażony. – Zebrała się na odwagę, żeby na niego spojrzeć. – Wiem, że niektórzy ludzie przywiązują wagę do sposobu, w jaki składa im się taką propozycję. Wiem o tym. Fatalnie to wyraziłam i zachowałam się uwłaczająco, prawie tak jak ta kobieta w Ozark Art.

– Nie poszedłbym tak daleko. Miałem nadzieję, że w pewnym momencie się zreflektujesz.

– Nie chciałam, żeby to tak wyszło, a potem... zdenerwowałam się i nieumiejętnie to rozegrałam.

– Zdenerwowałaś się?

– Zwykle jest inaczej... Nie wiem, jak to wyjaśnić.

– Musiałabyś powiedzieć mi więcej, niż chcesz. W porządku. Spróbujmy tak. Skończymy wino, a potem pokażesz mi szklarnię. A później zobaczymy, jak się ułoży.

– Nie przywykłam zostawiać spraw ich własnemu biegowi.

– A ja jestem w tym całkiem dobry. Spróbujmy. Jeśli coś ci się nie spodoba, zawsze możemy zrobić tak, jak ty chcesz. Wyobrażam sobie, że na tym nie stracę.

– Chcesz powiedzieć, że i tak będziemy uprawiać seks?

Znów się roześmiał, ujął jej rękę i uściśnął.

– Co z ciebie za kobieta. Zobaczymy... Do diabła! – Urwał, gdy zadzwoniła jego komórka. – Przepraszam... Taak, Ash, co się dzieje?

Zobaczyła, jak zmienia mu się twarz, jak najpierw wygładza się, a potem z wolna tężeje.

– Dobrze zrobiłeś. Już jadę. Poczekaj, słyszysz? Zaczekaj tam na mnie.

– Przepraszam – powiedział do Abigail, rozłączając rozmowę.

– W porządku. – Ale nie patrzyła na niego, gdy wstała pozbierać talerze.

– To się zdarza w tej pracy – zaczął.

– Rozumiem, oczywiście. Ale masz przecież wolne.

– A więc uważasz, że korzystam z wymówki? Nie. – Delikatnie położył rękę na jej ramieniu. – Nie, Abigail. Kazałem się poinformować, bez względu na to, czy będę na służbie, czy nie, gdy znów pojawi się pewien szczególny problem, a było do przewidzenia, że się pojawi. Muszę załatwić to na swój sposób.

– No cóż, rozumiem.

– Chciałbym wrócić.

– Nie musisz się czuć...

– Abigail, chciałbym wrócić, jeśli będę mógł. Jeśli nie, zadzwonię. Nie jestem pewien, co będzie.

– Ponieważ musisz zobaczyć, jak się sprawa rozwinie.

– Dokładnie tak. Muszę już lecieć. – Pochylił się i pocałował ją. – Wolałbym zostać.

Wierzyła mu i to przeświadczenie napełniło ją jakimś wewnętrznym ciepłem, gdy patrzyła, jak schodzi z ganku i okrąża dom, idąc w stronę swojego samochodu.

A więc dziś wieczorem robota dała mi w kość, rozmyślał Brooks, jadąc do Tybala i Missy Crew. Pamiętał jednak, że ostatnim razem, gdy Ty upił się do nieprzytomności, uznał tę sprawę za poważną. Dziś wreszcie to załatwi, tak czy inaczej.

Ze wszystkich okien w domu Crewów biła jasność niczym w Boże Narodzenie, a sąsiedzi zgromadzeni na trawnikach i przypatrujący się domowej awanturze wyglądali jak goście na przyjęciu towarzyskim. Ash

trzymał ich na bezpieczną odległość od domu Tybala, skąd przez otwarte drzwi ryczała na cały regulator muzyka bluegrass, przerywana od czasu do czasu jakimś łomotem.

Gdy Brooks wysiadł z samochodu, podeszła do niego Jill Harris, sąsiadka z domu po lewej.

– Ktoś musi tam wejść, zanim on wszystko rozwali.

– Czy Missy jest w środku?

– Wybiegła z płaczem, boso, z zakrwawionymi ustami. Nie będę ciągle wydzwaniać, jeśli nic z tym nie robicie.

– Złoży pani skargę?

– Mieszkam obok. – Ubrana w różowy sweterek Jill skrzyżowała ramiona na piersiach. – Raz próbowałam z nią rozmawiać, gdy siedziała u mnie w kuchni, przykładając opakowanie mrożonego groszku do podbitego oka. Skończyło się, że wyzwała mnie od wścibskich starych suk, które wtykają nos w nie swoje sprawy. Teraz już się do mnie nie odzywa. Naprawdę nie mam ochoty, żeby ten moczymorda po pijaku dobijał się w nocy do moich drzwi.

– W porządku, pani Harris. Chodź, Ash.

– Chcesz wysłać kogoś na poszukiwania Missy?

– Nie. Pewnie kręci się gdzieś w pobliżu albo uciekła do swojej siostry. Wie, że zareagujemy.

Przebiegło mu przez myśl, czy przypadkiem tu gdzieś nie stoi, aby napawać się całym zajściem, i wcale mu się to nie spodobało.

– Poczekaj, aż go wyciągniemy – kontynuował Brooks – potem wróci do domu, do rana się zastanowi, a później przyleci powiedzieć nam, że poślizgnęła się na kawałku mydła albo jakieś inne bzdury. Chcę, żebyś mnie wspierał, ale nie gadaj z nim. Najlepiej w ogóle się nie odzywaj.

– Da się zrobić.

Brooks nie musiał pukać, ponieważ Missy, uciekając, zostawiła drzwi szeroko otwarte. Na progu zatrzymał się i zawołał.

– Nie wiem, czy usłyszysz – zauważył Ash.

– Usłyszysz. Nie wchodzimy do środka. Zostajemy tu, gdzie mamy ponad dwunastu świadków.

– Do czego? Na co?

– Na to, co się zaraz stanie. Ty! Ktoś na ciebie czeka przy drzwiach.

– Jestem zajęty! – Brooks zauważył lecącą przez salon lampę. – Zmieniam wystrój.

– Widzę. Zajmie nam to tylko minutę.

– Wejść do środka i przyłącz się do tej pieprzonej zabawy!

– A więc wchodzę i zabieram cię do aresztu. Jeśli wyjdiesz, tylko porozmawiamy.

– Na litość boską, czy człowiek już nie może nic robić we własnym domu? – Ty chwiejnym krokiem podszedł do drzwi, wielki, ze szklanymi oczami i śladami krwi na twarzy, którą, jak podejrzewał Brooks, skaleczył sobie rozbijanym szkłem. – Cześć, Ash. Co mogą dziś wieczorem zrobić dla stróżów cholernego prawa?

– Wygląda na to, że nieźle sobie pociągnąłeś rebel yell – powiedział Brooks, zanim Ash zdążył się zapomnieć i odpowiedzieć.

– To nie jest wbrew prawu. Jestem we własnym słodkim pieprzonym domu. Nie prowadzę. Nie obsługuję ciężkiego sprzętu. – Zarechotał głośno, pochylił się i zakrztusił ze śmiechu.

– Gdzie jest Missy?

– A cholera wie! Wracam do domu. Na stole nie ma kolacji. Ale na marudzenie to ma czas. Marudzi, marudzi, marudzi, zrzędzi, zrzędzi, zrzędzi.



Gdzie była, co robiła i z kim.

– Dlatego ją uderzyłeś?

W błyszczących oczach pojawił się chytry wyraz.

– Wiecie, jaka z niej niezdarą. Gdy tak plecie trzy po trzy, nie patrzy przed siebie. Głupia suka wpięprzyła się prosto na drzwi. A potem wzięła dupę w troki. – Zrobił szeroki gest ręką, zauważając nagle sąsiadów. – Wszystkie te dupki nie mają nic lepszego do roboty, niż stać tu i się gapić. Jestem u siebie! – ryknął, pokazując na własne stopy, aby to podkreślić.

– Zmieniasz wystrój.

– No właśnie!

– Może gdybyś spędzał mniej czasu na zmienianiu wystroju, a więcej na posuwaniu swojej żony, nie wpadałaby na ściany i nie brałaby dupy w troki.

– Zamierzam kupić trochę farby i... Co ty gadasz?

– Słyszałeś. – Stojący obok Ash wybałuszył oczy, ale Brooks nie spuszczał wzroku z Tybala. – Podejrzewam, że ten twój patyczek, którego ty nazywasz pałą, już ci nie staje.

Ty zakołysał się w przód i w tył w swych butach rozmiar czternaście i zamrugął przekrwionymi oczami.

– Lepiej, kurwa, zamknij gębę.

– Powtarzam, gdy ma się wyposażenie wielkości korniszona, nie ma czym wojować.

– Wynoś się z mojej posesji, ty skurwysynu! – Ty popchnął Brooksa i to by wystarczyło. Ale Brooks chciał go ostatecznie pograć.

– Tylko na tyle cię stać? – spytał z szyderczym uśmiechem. – Wygląda na to, że taki frajer z małym fiutem potrafi zaledwie popchnąć jak dziewczyna. Zaraz zaczniesz wyrywać mi włosy i beczeć.

Chociaż przygotował się na cios, a Ty był tak pijany, że ledwie mógł ustać na nogach, jego uderzenie nadal miało siłę. Brooks poczuł w ustach smak krwi, a stojący obok Ash wydał z siebie zdumiony okrzyk:

– Jezu Chryste!

Ty z rykiem wściekłości ruszył do ataku.

Brooks odsunął się, wystawiając nogę tak, że Ty się potknął i wypadł na podwórko.

– Teraz się doigrałeś. Jesteś aresztowany za napaść na funkcjonariusza.

– Zabiję cię! – Ty z trudem dźwignął się z ziemi i rzucił się na Brooksa z pięściami.

– I za stawianie oporu przy aresztowaniu. – Brooks odskoczył i parował większość uderzeń. – Pomożesz mi w skuciu więźnia, Ash?

– Tak, szefie. – Ash, który stał w szoku z otwartymi ustami, oprzytomniał i ruszył do przodu.

– Trzymaj łapy przy sobie, pieprzony skurwielu! – Ty rzucił się na Asha, ale źle wymierzył i uderzył go tylko w ramię.

– To już drugi atak na policjanta. A do tego dochodzi pijaństwo oraz zakłócanie porządku publicznego.

Wspólnymi siłami powalili go na ziemię i nałożyli mu kajdanki. Gdy z trudem podnieśli przeklinającego Tya na nogi, Brooks baczny wzrokiem rozejrzał się po sąsiednich trawnikach.

– Zaraz przyślę tu swojego zastępcę – powiedział podniesionym głosem. – Spisze wasze zeznania. I żadnych głupot, rozumiano? Powiecie, co widzieliście. A jeśli ktoś tego nie zrobi, oskarżę go o utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości. Nie radzę tego sprawdzać. – Położył rękę na głowie Tya, wpychając go na tylne siedzenie wozu policyjnego, a potem wierzchem dłoni otarł zakrwawione usta. – Oficerze Hyderman, ze mną.

– Tak jest, panie komendancie.

W drodze na posterunek ignorował bełkotliwe wywody Tya i robił, co mógł, by również zignorować swoją obolałą szczękę. Ostrzegawcze spojrzenie, które rzucił Ashowi, skłoniło jego partnera do milczenia, gdy pakowali Tya za kratki.

– Żądam prawnika. Oskarżę was, a potem skopię wam dupy za to całe pieprzenie!

– Jakie pieprzenie? – Brooks zamknął drzwi do celi.

– To o moim fiucie i że mi nie staje. Ty skurwielu!

– Do diabła, Ty, musisz być bardziej pijany, niż na to wygląda. Ostatni raz widziałem twojego fiuta w szkole pod prysznicem po wuefie i nie wydaje mi się, żebym zwrócił na niego szczególną uwagę. Nic o nim nie wspomniałem.

– Kłamiesz w żywe oczy, powiedziałaś, że jest wielkości... czegoś małego.

– Jesteś pijany, a muzyka ryczała na cały regulator. Nie wiesz, co słyszałaś. – I zwrócił się do Asha: – Czy powiedziałem coś, co mogłoby uderzyć w poczucie męskości naszego więźnia?

– Ja... Nic takiego nie słyszałem.

– Wyślę Fitzwatera, który spisze zeznania świadków. I oto co teraz nastąpi. Ty, tym razem dobrze mnie wysłuchaj. Możesz wynająć prawnika. Będzie ci potrzebny. Wystąpię z zarzutami o napad, stawianie oporu, przemoc domową oraz zakłócanie cholernego porządku publicznego. Pójdiesz do więzienia, i to nie na jedną noc. Nie tym razem.

– Gówno prawda.

– Napad na oficera policji? To przestępstwo, Ty. Masz dwa zarzuty, plus stawianie oporu. Możesz dostać pięć lat.

Czerwona z wściekłości twarz Tya nagle pobladła.

– Gówno. – Słowo zawibrowało w powietrzu.

– Zastanów się. Prawnikowi może uda się obniżyć wyrok do, powiedzmy, osiemnastu miesięcy i załatwić warunkowe zwolnienie. Ale nie dotrzymasz tego warunku, dobrze o tym wiesz.

– Nie możesz mnie posłać do więzienia. Muszę zarabiać na życie.

– I to robiłeś przez ostatnie dwa lata? Ja nie nazywam tego życiem.

Pomyślał o Tybalu na pozycji środkowego napastnika – jak szybko biegał, a jego rzuty miały siłę pocisku. Pomyślał o Tyu i Missy, jak szpanowali przed całą szkołą.

I utwierdził się w przekonaniu, że tym, co zrobił, co zrobi, jedynie przysłuży się tej złotej, atrakcyjnej parze.

– Przemyśl to dziś w nocy, Ty. Pomyśl, że spędzisz najbliższy rok, dwa albo więcej w Little Rock. Albo skorzystasz z szansy, którą być może ci dam, spędzenia tego czasu pod nadzorem sądowym, pod warunkiem poddania się terapii antyalkoholowej, rodzinnej i psychologicznej.

– Nie wiem, o czym gadasz. – Ty opadł na pryczę i złapał się za głowę.

– Rzygać mi się chce.

– Jesteś chory. Pomyśl o tym. – Brooks cofnął się i zamknął drzwi do celi.

– Sprowokowałeś go.

– Co ty powiesz, Ash?

– Daj spokój, szefie, on nas nie słyszy. Sprowokowałeś go do ataku.

– Ash, nie będę tego powtarzał. Prędzej czy później nie tylko Missy miałyby rozciętą wargę lub podbite oko. Sąsiadów zmęczyłyby ciągle wezwania. Może nawet któremuś z nich wpadłoby do głowy, żeby go powstrzymać. Albo Missy, mając tego dość, złapałaby jeden z pistoletów,

które mają w domu. Albo on, rozeźlony jej ucieczkami, przywaliłby jej tak skutecznie, że już więcej by nie uciekła.

– Nigdy nie demolował domu tak jak dziś.

– Właśnie. To się nasila. Nie chcę pewnego dnia zastać na miejscu ciała jednego z nich albo obojga.

– Możesz zrobić tak, jak powiedziałeś? Zmusić go do terapii odwykowej i całej reszty?

– Mam zamiar tego dopilnować. A oficjalnie? Dziś wieczorem słyszałeś, że mówiłem to samo co zawsze. Czy uderzył Missy, gdzie ona jest, jaki jest problem i tak dalej. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– A więc wszystko gra. Zaraz sporządzę protokół, wyślę Boy – da, żeby spisał oświadczenia świadków i sprawdził, czy Missy wróciła do domu.

– Przyjdzie tu jutro, jak zawsze.

No tak, przyleci, pomyślał Brooks. Ale tym razem będzie musiała dokonać innego wyboru.

– Ja się nią zajmę. Możesz iść do domu.

– Nie. Zostanę tu na noc.

– Ostatnim razem też trafiło na ciebie.

– Zostanę. Powinieneś przyłożyć lód do szczęki. Nieźle oberwałeś. A rano może przyniesiesz z piekarni trochę tych słodkich bułeczek?

– Jasne. Do tego jakąś fantazyjną kawę?

– Mają taką z czekoladą i bitą śmietaną.

– Znam ją. Jak twoje ramię?

– Nie jest źle. Prawdopodobnie mnie trochę posiniaczył, ale to nie jest teraz najważniejsze. Tybał jest w porządku, gdy nie pije. Może, jeśli twój plan wypali, będzie zawsze w porządku.

Trwało to dłużej, niż miał nadzieję, ale gdy wrócił do domu Abigail, światła jeszcze się paliły. Cztery połknięte ibuprofeny zamieniły pulsowanie w szczęce w stłumiony ból. Byłoby lepiej, gdyby nie to, że poprawa w jednym miejscu natychmiast uświadomiła mu, że pięść lub but Tya wyładowały jeszcze w kilku innych.

Powinienem pojechać do domu, pomyślał, wolno gramoląc się z samochodu. Powinienem pojechać do domu, wziąć długi prysznic, wypić whisky na dwa palce i pójść do łóżka.

W każdym razie ta sprawa z Tyem skutecznie popsowała mu nastrój.

Ale skoro już tu jest, obieca jej, że przyjedzie kiedy indziej.

Otworzyła mu drzwi, zanim zapukał, i stojąc tak jak zwykle czujna i gotowa, przyglądała się uważnie jego twarzy.

– Co się stało?

– Długa historia.

– Trzeba przyłożyć lód – powiedziała, cofając się.

Po raz pierwszy, pomyślał, wpuściła go bez pytania i certowania się. Wszedł do środka.

– Trochę to trwało. Przepraszam.

– Pracowałam. – Zrobiła w tył zwrot i wraz z psem wróciła do kuchni.

Otworzyła lodówkę, wyjęła kompres żelowy i podała mu.

– Zwykle ludzie stosują mrożony groszek.

– To jest bardziej skuteczne i tańsze.

Usiadł i przyłożył kompres do szczęki.

– Często obrywasz w twarz?

– Nie. A ty?

– Trochę czasu minęło. Zapomniałem już, jak to piekielnie boli. Pewnie nie masz pod ręką whisky, prawda?

Bez słowa odwróciła się do szafki. Wyjęła butelkę jamesona – w tym momencie miał ochotę ucałować jej stopy – i do niskiej szklanki z grubym dnem naląa mu jej na dwa palce.

– Dzięki. – Już pierwszy powolny łyk poprawił mu humor. – Jest coś, czego nie masz pod ręką?

– Rzeczy, które uważam za nieprzydatne.

– No proszę.

– Chcesz opowiedzieć mi tę długą historię?

– Skarbie, pochodzę z Ozark. Długie historie są tu treścią życia.

– W porządku. – Wyjęła drugą szklankę, naląa więcej whisky i usiadła.

– O Boże, jakaż z ciebie kojąca kobieta.

– Nie sądzę.

– Teraz taka jesteś i bardzo mi to potrzebne. – Ignorując nagle szarpnięcie bólu, wyprostował się i powoli pił whisky. – A więc, Tybal i Missy. W szkole średniej byli złotą parą. Wiesz, o czym mówię.

– Byli popularni w swoim środowisku.

– Król i królowa. On był wszechstronnym sportowcem. Rozgrywającym o magicznych rękach. W bejsbolu stał na środku pola, a jego rzuty miały niszczącą siłę. Ona była kapitanem cheerleaderek, śliczną jak beza z truskawkami. Gdy Tybal dostał się na Uniwersytet Stanowy Arkansas głównie dzięki sportowemu stypendium, ona poszła za nim. Z tego, co słyszałem, tam również błyszczeli. Aż do trzeciego roku, gdy Tybal podczas gry doznał kontuzji kolana. Nadzieje na profesjonalną karierę wzięły w łeb. Skończyło się na powrocie do domu. Zrywali ze sobą, schodzili się, rozstawali, i tak w kółko. Potem wzięli ślub.

Pociągnął kolejny łyk whisky. Alkohol, tabletki przeciwbólowe oraz towarzystwo kojącej kobiety zdecydowanie poprawiły mu samopoczucie.

– Przez pewien czas trenował szkolną drużynę futbolową, ale nie szło mu dobrze. Chyba nie miał do tego żyłki. Zatrudnił się na budowie. Missy próbowała zostać modelką, ale bez powodzenia. Pracuje w kwiaciarni Flower Pot. Myślę, że byli przygotowani na życie usłane różami, a więc radzenie sobie z prozą tegoż życia przychodziło im z trudem. Ty pomagał sobie rebel yell.

– Zaczął robić rebelię?

– Nie, skarbie, to whisky, ale nie tak dobra jak ta, którą mi naląłeś. Mój poprzednik wprowadził mnie w problemy Tya. Jazda po pijaku, bójki w barze, przemoc domowa.

– Gdy się upije, zachowuje się brutalnie i obelżywie?

– Tak jest. W ostatnim roku było coraz gorzej.

– Dlaczego nie został aresztowany?

– Został, ale zawsze kończyło się na ostrzeżeniu lub pracach społecznych. Missy nie chciała składać skargi, gdy ją pobił, i zaprzeczała, że to się kiedykolwiek zdarzyło. Upadła, potknęła się, wpadła na drzwi.

– Ona mu na to pozwala.

– No właśnie. I ludzie też przymykali oko. Aureola sławy długo świeci w takim małym miasteczku jak nasze. Ale ja wyjechałem stąd na jakiś czas, więc widzę wszystko z pewnego dystansu. Skoro powtarzające się próby skierowania ich na terapię, na odwyk czy do poradni rodzinnej się nie powiodły, spróbowałem innego sposobu.

– I w rezultacie doznałeś obrażeń.

– Powiedzmy, że tak. Gdy zadzwonił mój zastępca i zawiadomił mnie, że to się znów dzieje – to znaczy, że Ty wrócił do domu pijany jak bela, uderzył Missy, a ona uciekła – zmusiłem Tya, żeby wyszedł na podest przed domem, gdzie dokładnie widziało go czternaście osób, obserwujących całe



zajście. Gdy niszczył wszystko, co mu wpadło w ręce, przy ryku muzyki. To był plus, ponieważ nikt oprócz Tya oraz mojego partnera nie mógł usłyszeć, jak prowokuję tego pijanego dupka do jeszcze większej gwałtowności, kwestionując rozmiar i sprawność jego penisa. Gdyby to nie zadziało, gotów byłem zasugerować, że jego cierpliwej i naiwnej żonce może bardziej spodobać się atrybuty i sprawność mojego. – Odetchnął głęboko i pokręcił głową. – Cieszę się, że do tego nie doszło. Grzmotnął mnie w twarz przy świadkach i teraz grozi mu odsiadka za jedno lub dwa przestępstwa.

– To bardzo dobra strategia. Mężczyźni są czuli na punkcie swoich genitaliów.

Zakrztusił się trochę whisky, a potem ze śmiechem potarł twarz dłonią.

– Święta prawda. – Opanował się i wypił mały łyk. – Święta prawda.

– Posługując się niekonwencjonalną metodą, osiągnąłeś pożądany skutek. Ale trochę ci przykro i żal. Dlaczego?

– On kiedyś był moim kumplem. Nie najlepszym, nawet nie bliskim, ale kumplem. Lubiłem ich i, jak przypuszczam, imponowała mi ich popularność. Żal serce ściska, że tak nisko upadli. Przykro mi, że miałem w tym udział.

– Mylisz się. To od nich zależy, czy zwrócą się o pomoc w rozwiązaniu swoich problemów, ale tak długo, jak obydwójce nie są do tego zdolni, nigdy ich nie rozwiążą. Ty postawiłeś go tylko przed alternatywą. Więzienie albo pomoc. Prawdopodobnie, gdy wytrzeźwieje i zda sobie sprawę z tego wyboru i jego konsekwencji, wybierze pomoc. A ponieważ wygląda na to, że ona jest od niego uzależniona, zrobi to samo. Uważam, że twoje działania są jak najbardziej uprawnione i zgodne z zadaniami oraz misją twojej pracy. Jak również z duchem przyjaźni.

Odstawił na bok niedokończoną whisky.

– Powtarzałem sobie, że w takim nastroju, przy moich obrażeniach i rozdrażnieniu powinienem wrócić do domu. Ogromnie się cieszę, że tego nie zrobiłem.

Wyciągnął ręce i ujął jej dłonie.

– Pozwól, że zabiorę cię do łóżka, Abigail.

Nie spuściła wzroku.

– W porządku.

## 13

W porządku.

Dziwił się, że ta prosta odpowiedź zabrzmiała w jego uszach tak słodko i rozbijająco.

W porządku.

Wstał i podał jej rękę.

– Może pokażesz mi drogę.

– Rozumiem, że do sypialni.

– No tak. Co do reszty, jakoś sobie poradzę.

W jej oczach i na ustach błąkał się lekki uśmiech.

– Byłabym rozczarowana, gdyby okazało się inaczej.

Trzymał ją za rękę, gdy szli przez salon, a potem po schodach.

– Biorąc pod uwagę, co zamierzamy robić, a mam nadzieję, że nie zakwestionujesz mojego rozmiaru i wigoru, zastanawiam się, jak Bert sobie z tym poradzi?

– Jest bardzo dobrze wytresowany, więc teoretycznie nie powinien przeszkadzać.

Brooks zerknął do tyłu na psa.

– Teoretycznie nie brzmi zbyt przekonująco. Czy przez nie – przeszkadzanie rozumiesz, że nie rozszarpie mi gardła?

– Nie powinien.

Przed drzwiami sypialni Brooks obrócił ją do siebie i przyglądał się jej zmrużonymi oczami.

– Próbuję się zorientować, czy żartujesz.

– Humor może złagodzić skrepowanie, jeśli w ogóle go doświadczamy. Nie potrafię ci odpowiedzieć. Ale jeśli Bert uznałby, że robisz mi krzywdę lub zamierzasz ją zrobić, instynktownie rzuci mi się na pomoc i... powstrzyma cię. Ale widział, jak mnie dotykasz, a ja pouczyłam go, że jesteś przyjacielem i żeby się wycofał. Widzi, że przyprowadziłam cię tutaj dobrowolnie, że cię dotykam.

Położyła dłoń na piersi Brooksa, a następnie spojrzała na psa i wydała mu polecenie.

– Tym razem w jakim języku? – spytał Brooks, gdy pies podreptał na swoje ogromne legowisko i, obróciwszy się w kółko trzy razy, umościł się tam ze świszczącym westchnieniem.

– Farsi.

– Poważnie? Ty i Bert znacie farsi?

– Niezbyt dobrze, ale pracujemy nad tym. Powiedziałam mu, żeby się położył. Nie chcę wyrzucać go z pokoju. Nie rozumiałby.

– Okej. Czy tam na jego posłaniu leży pluszowy miś?

– Psy są zwierzętami stadnymi.

– Ach tak, i pluszowy miś zastępuje Bertowi stado?

– Na pewno go pociesza. Chciałabym rozścielić łóżko.

– Pomogę ci.

– Nie. Mam swój...

– Własny sposób. Doskonale. – Okrążył pokój i przyjrzał się stanowisku komputerowemu podobnemu do tego na dole.

– Jesteś zdziwiony. – Złożyła narzutę na tapicerowanej ławeczce stojącej w nogach łóżka. – Ale to moja praca. Mam zaufanie do systemów bezpieczeństwa i czuję się zobowiązana do używania i testowania produktów oraz systemów.

– Myślę, że to prawda. Ale nie cała. – Odwrócił się i z uznaniem obserwował, jak z szuflady komody wyjmuje prezerwatywę i kładzie ją na stoliku przy łóżku. – Nie musimy teraz o tym rozmawiać. Czy nie przeszkadza ci, że położę broń tu, na biurku?

– Nie. Powinnam się rozebrać?

– Nie. Mam swój własny sposób.

Gdy odłożył broń, podszedł do Abigail i przesunął dłonią po jej włosach, policzku i ramieniu.

– Lubię sam odkrywać, co jest pod spodem.

Pocałował ją, badawczo i zmysłowo, nie przestając muskać opuszkami palców jej twarzy, boków jej ciała i karku. Lekko i swobodnie, wyczuwał bowiem, że się jeszcze hamuje, opiera.

– Masz dobre ręce.

– Na razie ich zbytnio nie wykorzystałem.

– Ale to zrobisz. Chciałabym zobaczyć... – zaczęła, rozpinając mu koszulę. – Nie nosisz munduru jak twoi koledzy.

– Odzwyczailem się. Nie mam ochoty do tego wracać.

– Podoba mi się, że go nie nosisz. Opierasz swój autorytet na czymś innym. – Rozchyliła koszulę i położyła płasko dłonie na jego piersi. – Utrzymujesz ciało w bardzo dobrej formie.

– Dzięki.

Spojrzała mu w oczy.

– Ja też.

– Zauważyłem.

– Jak na swoją budowę, jestem bardzo silna i wyjątkowo wytrzymała.

– Jesteś piekielnie seksownym stworzeniem, Abigail, i to w zdumiewający sposób. – Ściągnął z niej podkoszulek i odrzucił.

– Ja...

– Ciii. – Zamknął jej usta swoimi, układając ją na łóżku.

Pies nie wydał żadnego dźwięku, ale Brooks czuł jego baczne spojrzenie na plecach, gdy pochylał się nad Abigail.

Miała skórę miękką, ciepłą i gładką, a mięśnie ramion napięte. I pomimo że jej usta szukały jego ust i pożądliwie odpowiadały na pocałunki, w oczach czaiła się czujność, taka sama jak u jej psa.

– Zamknij oczy – wymamrotał, całując jej skórę na szyi w górę i w dół.

– Lubię patrzeć – odparła.

– Zamknij oczy choć na chwilę i po prostu poczuj.

Począł, aż przymknie powieki, a potem zrobił to samo. Pozwolił sobie odpłynąć, zanurzyć się trochę głębiej.

Czuła. Zakończenia nerwów, miejsca, które dotykał, fakturę skóry – z zamkniętymi oczami odbiór bodźców był o wiele bardziej zmysłowy. Nagroda w zamian za utratę kontroli.

Jest bezpieczna, przypomniała sobie. Może to zrobić. I tego potrzebuje.

– Nie myśl. – Przygryzł zębami jej podbródek. – Po prostu poczuj.

Nie była pewna, czy potrafi nie myśleć. Ale milczała, wiedząc, że on tak woli, i próbowała wyłączyć swój mózg.

Inaczej, z nim wszystko było inaczej. Powinna przeanalizować, dlaczego, ale samo to doświadczenie stanowiło niezwykłą przyjemność.

Tylko ten jeden raz, powtarzała sobie.

Rozluźniła się pod nim, odrobinę. Wystarczająco. Przesunął ustami po delikatnej wypukłości jej piersi, wzdłuż prostej linii stanika, a gdy wsunął język pod materiał, usłyszał jak wstrzymuje oddech. Kontynuował więc pieszczotę, jednocześnie błędząc rękami po jej ciele.

Zostawiła uchylone okno, przez które wpadał teraz do środka powiew nocnego powietrza nasyconego zapachem drzew i jednostajny szum strumienia.

Światło księżyca połyskiwało w zamglonych promieniach.

Rozpiął jej spodnie, opuścił w dół o kilka centymetrów i wysoko na kości biodrowej wyczuł brzeg maleńkiej blizny.

Nie spieszył się, chciał mieć czas, by powoli odbywać jej ciało, wszystkie jego linie, miękkie zagłębienia i załamania, chłonąć naturalny świeży zapach jej skóry, widzieć, jak drżą mięśnie jej brzucha, gdy przesuwa po nim ustami.

Reagowała równie naturalnie – dawała, dotykała – płynnie unosząc nogi i biodra, gdy zdejmował z niej bieliznę.

I tak samo potem.

Wyrwała się spod niego nagle, zgięła jak scyzoryk i szybko odbijając się długimi, mocnymi nogami, przetoczyła go na plecy, i już była na nim. Jej usta zacisnęły się na jego ustach, rozerwały jego marzycielską powolność na strzępy, a te spaliły na popiół.

Oddech rwał się jej, gdy przygryzała zębami jego ramię, po czym ześlizgnęła się w dół, gibka i śmiercionośna jak wąż, i kąsała skórę na jego klatce piersiowej, podczas gdy jej ręce szarpały pasek spodni.

Uniósł się do góry, by wyjść na spotkanie jej ust, by pożywić się buchającym od niej żarem. Teraz stał się natarczywy, natarczywy i głodny.

Wygięła się do tyłu jak cięciwa i przycisnęła jego głowę do swoich piersi.

– Potrzebuję cię.... – Usłyszał jej jęk, gdy usiadła na nim okrakiem i kołysała się, aż musiał wbić palce w jej biodra, aby powstrzymać swój wybuch. – Potrzebuję.

Była niczym szaleńcze kłębowisko pędu i mchu, niczym huragan, któremu dał się porwać, miotać i poniewierać, i który wyniszczał ich oboje.

Zbyt wiele, ale ciągle za mało, myślała gorączkowo, gdy nieubłagane pragnienia szarpały ją i gryzły.

Musiała wziąć, musiała mieć, zanim nieokiełznana rozkosz rozerwie ją na kawałki. Jego silne, twarde ciało, wzniecające w niej taką namiętność, i usta, i ręce wywołujące tysiące doznań mogły ją doprowadzić do tej chwili ulgi i wyzwolenia.

Z desperacją chwyciła prezerwatywę i gwałtownym ruchem rozdarła opakowanie.

– Pozwól mi – wyszeptała, oszołomiona, że ręce jej drżą, gdy mu ją zakładała.

Uniosła się nad nim. W miękkim świetle sypialni widział napięcie w jej oczach, blask skóry. Potem wchłonęła go w siebie. Na jedną pozbawioną tchu chwilę świat stanął. Obraz, dźwięk, ruch. Te rozszalałe oczy były przykute do jego oczu, gdy ich ciała się zespoliły.

Pomyślał – oto oko cyklonu – a potem pozwolił mu się we – ssać.

Ujeżdżała go z tak nagłą, skupioną siłą i prędkością, jakby od tego zależało jej życie. Pędził wraz z nią, jedno szalone uderzenie po drugim, w rytm serca wybijającego opętańczy takt.

Nagle znieruchomiała, wydając ni to jęk, ni szloch, przymknęła swe hipnotyzujące oczy, a jej olśniewające ciało wyprężyło się, gdy uniosła

ramiona i objęła nimi głowę w absolutnej, nieskrywanej ekstazie.

Uniosła powieki, gdy raptownie pociągnął ją w dół i przekreślił pod siebie. Jej usta, miękkie i obrzmiałe, poddały się, gdy nimi zawładnął, gdy gwałtownie w nią wchodząc, pochłonął jej krótki, zaskoczony okrzyk.

Teraz to on pędził, prowadząc ją ku spełnieniu, zadowolając się bezlitośnie, ona zaś dygotała i czepiała się go kurczowo jak ostatniej deski ratunku. Czuł, jak rozdziera ją orgazm, jak wbija mu w plecy paznokcie. I pozwolił, aby jego własna ulga rozniosła go na kawałki.

Trwało chwilę – lub dwie – nim zdał sobie sprawę, że runął na nią, zachłystując się własnym oddechem jak maratończyk na mecie.

Obrócił się, położył na plecach, mając nadzieję, że jeśli dostanie ataku serca, ona – obdarzona wszak tyloma umiejętnościami – potrafi udzielić mu pierwszej pomocy.

Udało mu się wykrztusić tylko spontaniczne i pełne podziwu:

– Wow.

Zerknął na Bertę; pies co prawda nie ruszył się ze swojego legowiska, ale stał tam i patrzył na nich.

– Nie wiem, czy twój pies jest ciekawy, czy po prostu zazdrosny, ale może zechcesz go zawiadomić, że wszystko w porządku.

Wydała Bertowi komendę, aby się położył. Posłuchał, ale oczy miał utkwione w jej łóżku.

– Dobrze się czujesz? – spytał Brooks, gdy nic więcej nie powiedziała.

– Tak. Od wielu miesięcy nie uprawiałam seksu. Zdałam sobie sprawę, że cię trochę ponagliłam.

– Z mojego punktu widzenia doskonale się zgraliśmy. Jezu, masz piękne ciało, Abigail. Tak doskonale, jak to tylko możliwe.

– Mnie również twoje bardzo się podoba. Ma znakomite proporcje, jest



świetnie umięśnione.

Tak go rozbawił ten komplement, że przysunął się i pocałował ją. Ale uśmiech na jego twarzy przybladł, gdy spojrzał jej w oczy. Mężczyzna, który dorastał z matką i dwiema siostrami, wiedział, kiedy kobieta jest bliska płaczu.

– Co się stało?

– Nic. Seks był znakomity. Dziękuję.

– Jezu Chryste, Abigail.

– Chce mi się pić – rzekła pospiesznie. – Napijesz się wody?

Położył dłoń na jej ramieniu, gdy podnosiła się z łóżka.

– Abigail.

– Potrzebuję chwili oddechu i trochę wody.

Wyszła nago. To go zaskoczyło, bo uznał, że jest pod tym względem nieco nieśmiała. Ale cóż, była chodzącą zagadką.

– Znasz jej tajemnice – powiedział do Berta. – Szkoda, że nie potrafisz gadać.

Chociaż miała wodę na piętrze, zeszła na dół. Potrzebowała tej chwili.

Rozumiała, że seks i jego bezpośrednie następstwa stanowią bardzo wrażliwy czas dla ciała i ducha. Była z siebie dumna, że potrafi z pasją uprawiać seks i szybko, prawie natychmiast, odzyskać kontrolę nad swoim ciałem i umysłem.

Dlaczego była teraz wstrząśnięta i... nie do końca pewna, czego właściwie doświadczyła. Może to dlatego, że znała go bliżej niż innych, których wybierała na partnerów do łóżka. Ale z pewnością to doświadczenie było niepodobne do wszystkich pozostałych.

Dlaczego miała ochotę się rozplakać? Gdyby była sama, skuliłaby się na łóżku i wyplakała to niezrozumiałe uczucie.

Nie zachowywała się ani rozsądnie, ani mądrze. Seks był bardzo, bardzo dobry. Jemu też sprawił ogromną przyjemność. Lubiła jego towarzystwo i może na tym częściowo polegało zmartwienie. Naprawdę była już potwornie zmęczona zamartwianiem się.

– I właśnie to robię – mruknęła do siebie, wyjmując z lodówki dwie butelki chłodnej wody.

Dręczyła się tym przez całą drogę z powrotem na górę, gdzie Brooks siedział wyprostowany na łóżku i obserwował ją.

– Nie wiem, jak się zachować – powiedziała szczerze. – Proszę. –  
Podała mu butelkę wody.

– Czy jest jakiś standard, do którego dążysz?

– Normalność.

– Normalność. – Skinął głową, zdjął kapsel i pociągnął dwa głębokie łyki. – Okej, mogę ci w tym pomóc. Wracaj do łóżka.

– Chciałabym znów uprawiać z tobą seks, ale...

– Chcesz, żebym pokazał ci normalność?

– Tak.

– A więc wracaj do łóżka.

– Dobrze.

Położyła się obok niego i próbowała się rozluźnić, gdy przyciągnął ją do siebie. Ale gdy zamiast zainicjować seks, tylko ją przytulił, oparła głowę na jego ramieniu i zwinęła się w kłębek.

– To jest całkiem normalne, zgodnie z moimi standardami. Albo byłoby, gdybyś się odprężyła.

– To miłe. – Czytała książki, oglądała filmy. Wiedziała, że ludzie tak robili. Ale sama w życiu nie próbowała. Nigdy nie chciała. – Nawet wygodnie, a twoje ciało jest ciepłe.

– Po tym żarze, jaki wytworzyliśmy, pewnie ochłonę dopiero po tygodniu.

– To żart oraz komplement. – Odchyliła głowę i popatrzyła na niego z uśmiechem. – A więc, cha, cha, dziękuję.

– Bardzo proszę. Znowu jesteś zabawna. – Ujął jej dłoń i położył sobie na sercu. – A ja jestem za słaby, żeby się śmiać. Wyżęłaś mnie dokumentnie, Abigail. Potraktuj to jako kolejny komplement – dodał, gdy nie odpowiedziała.

– Muszę wymyślić jakiś dla ciebie.

– No, jeśli musisz się nad tym tyle głowić...

– To znaczy... – Znow spjrzała do góry, zelektryzowana, ale dostrzegła błysk w jego oczach. – Żartujesz ze mnie.

– Widzisz, to jest ten punkt na mojej skali normalności, kiedy mówimy sobie, jacy byliśmy fantastyczni. Zwłaszcza ty powinnaś mi to mówić.

– Bo męskie ego jest często zależne od seksualnej sprawności.

– Można to tak ująć. Na przykład teksty w rodzaju: zobaczyłam Boga albo ziemia się poruszyła są banalne.

– Ziemia jest w ciągłym ruchu, a więc nie jest to dobry komplement. Lepszy byłby, że ziemia przestała się poruszać, choć to niemożliwe, chyba że dopuszczamy katastrofę.

– Jednak przyjmuję to jako komplement.

Głaskał ją po plecach, tak jak ona czasami głaskała Berta. Nic dziwnego, że pies to uwielbiał. Bicie jej serca zwolniło do normalnego rytmu i wewnątrz się odprężyła.

Normalność, pomyślała, jest urocza, tak jak sobie to zawsze wyobrażała.

– Powiedz mi jedną rzecz – poprosił. – Tylko jedną rzecz o sobie. To

nie musi być nic ważnego – dodał, ponieważ od razu się spięła. – Cokolwiek. Może twój ulubiony kolor?

– Nie mam takiego, lubię ich wiele. Chyba że masz na myśli kolory podstawowe.

– Okej, kolor jest zbyt skomplikowany. W takim razie, kiedy byłaś dzieckiem, kim chciałaś zostać, jak dorośniesz? Ja pierwszy. Chciałem zostać Wolverine'em.

– Chciałeś być rosomakiem? To bardzo oryginalne.

– Nie, Wolverine'em pisanym dużą literą, z drużyny X – Men.

– Och, wiem. To superbohater, mutant z komiksów i filmów.

– Właśnie.

– Ale jak mogłeś chcieć nim być, skoro to postać całkowicie fikcyjna?

– Miałem dziesięć lat, Abigail.

– Aha.

– A co z tobą?

– Miałam zostać lekarzem.

– Miałaś zostać? – Odczekał chwilę. – Ale tego nie chciałaś?

– Tak.

– A więc nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Kim chciałaś zostać?

– Miałam zostać lekarzem i myślałam, że muszę, a więc w wieku dziesięciu lat nie sądziłam, że mogę zostać kimś innym. To nie jest dobra odpowiedź. Twoja była lepsza.

– Nie startujemy w zawodach, Abigail. W każdym razie możesz być Storm. Niezła z niej laska.

– Grała ją Halle Berry. Jest bardzo piękna. Kontroluje pogodę. Ale Wolverine nie uprawia z nią seksu. Żywi uczucia do Jane, lekarki, która z kolei miota się pomiędzy miłością do Cyclopsa i Wolverine'a.

– Znasz rozwój relacji pomiędzy bohaterami X – Men.

– Oglądałam ten film.

– Ile razy?

– Raz, kilka lat temu. To interesujące, że Wolverine nie pamięta swojej przeszłości, a jego mamy instynkt opiekuńczy wobec tej dziewczyny, Rogue, to dodatkowy aspekt. Dla młodego chłopaka to dobra postać do naśladowania. Twórcy utrudnili życie Rogue, ponieważ mutacja uniemożliwia jej bezpośredni bezpieczny kontakt z drugą osobą. Pierwsza scena z jej chłopakiem jest bardzo smutna.

– Pamiętasz mnóstwo szczegółów jak na jednorazowe oglądanie.

– Mam ejdetyczną pamięć. Czasem czytam książki lub oglądam filmy dwa lub trzy razy, ale nie dlatego, że ich nie pamiętam.

Podniósł się, żeby na nią spojrzeć.

– Jednak coś mi powiedziałaś. A więc wszystko masz schowane tutaj. – Poklepał ją po skroni. – Dlaczego twoja głowa nie jest o wiele większa?

Roześmiała się, a potem przerwała niepewnie:

– To był dowcip?

– Tak. – Odgarnął włosy z jej policzka i dotknął go ustami. – Smażyłaś kiedyś naleśniki?

– Tak.

– To znaczy, że pamiętasz, jak się je robi.

– Jesteś głodny? Masz ochotę na naleśniki?

– Rano. – Przeciągnął dłońmi po jej ciele, pocierając kciukami sutki.

– Chcesz tu zostać, spać tutaj całą noc?

– Inaczej nie dostanę naleśników, które zrobisz, prawda?

– Ja z nikim nie śpiam. Nigdy nie spędziłam z mężczyzną całej nocy.

Zawahał się, jego dłonie znieruchomiały, ale za chwilę znów zaczęły

sunąć po jej ciele.

– A więc nie wiesz, czy chrapiesz – skwitował.

– Nie chrapię!

– Powiem ci.

Było tyle powodów, dla których nie mogła – nie powinna – na to pozwolić. Ale on znów ją całował, znów ją dotykał, znów rozbudzał jej zmysły.

Powie mu „nie”. Potem.

Obudziła się tuż przed świtem, leżała nieruchomo. Słyszała jego oddech – powolny, miarowy. Głębszy, bardziej miękki dźwięk niż wydawany przez Berta. Bert chrapał. Trochę.

Zasnęła, naprawdę zasnęła po tym, jak po raz drugi uprawiali seks. Nie powiedziała mu, żeby sobie poszedł, a powinna. Nie zrobiła ostatniego obchodu domu ani nie sprawdziła monitorów. Nie położyła broni na nocnym stoliku tuż obok siebie.

Po prostu ułożyła się w zwyczajnej wygodnej pozycji i zasnęła, podczas gdy on coś do niej mówił.

Było to nie tylko niegrzeczne, ale przede wszystkim przerażające. Jak mogła tak kompletnie się przy nim zapomnieć? Przy kimkolwiek?

Co ma teraz zrobić? W jej porannej rutynie nie ma miejsca na nocnego gościa.

Musi wypuścić Berta, nakarmić go, sprawdzić monitory oraz swoją biznesową pocztę i SMS – y.

Chyba jednak usmaży naleśniki.

Gdy wstała z łóżka, oddech psa zmienił rytm. W półmroku zobaczyła jego otwarte oczy oraz zwyczajowe poranne machanie ogonem.

Wyszeptała po niemiecku komendę do wyjścia na dwór, Bert

przeciagnął się, a ona sięgnęła po szlafrok. Razem po cichu opuścili pokój i zeszli na dół.

Ledwie drzwi się za nimi zamknęły, Brooks otworzył oczy i uśmiechnął się do siebie. Powinien się domyślić, że ona jest rannym ptaszkiem. Osobiście nie miałby nic przeciwko kolejnej godzinie w łóżku, ale zważywszy na okoliczności, mógł zmusić się do wstania.

A może uda się ją namówić, by wróciła, gdy pies załatwi już swoje poranne sprawy.

Stoczył się łóżka i poszedł do łazienki. Ledwie opróżnił pęcherz, pomyślał o kawie. Przesunął językiem po zębach.

Nie czułby się dobrze, myszkując w poszukiwaniu zapasowej szczoteczki, ale ostatecznie nie widział nic złego w rozejrzeniu się za odrobiną pasty.

Otworzył szufladę małej szafki toaletowej i ujrzał starannie wyciskaną tubkę pasty Crest oraz pistolet marki SIG.

Kto, u diabła, trzyma półautomat w szufladzie z nitką do zębów i pastą? Naładowany, zauważył, sprawdzając.

Wczorajszej nocy powiedziała mu o sobie jedną rzecz, przypomniał sobie. Będzie musiał skłonić ją, by powiedziała więcej.

Potań palcem z pastą zęby, a potem wrócił po spodnie. Gdy schodził na dół, poczuł woń kawy i usłyszał szmer porannych wiadomości.

Stała przy blacie i w granatowej misce mieszała coś, co – miał nadzieję – było ciastem na naleśniki.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry. Zaparzyłam kawę.

– Poczulem ją przez sen. Nie chrapiesz.

– Mówiłam ci, ja... – urwała, gdy przywarł ustami do jej ust.

– Tylko potwierdzam – powiedział, biorąc jeden z kubków, które postawiła. – Pożyczyłem trochę pasty. – Nalał kawę dla siebie, dla niej, a potem obserwował, jak podnosi na niego wzrok. – Czy mogłabyś mi powiedzieć, dlaczego w szufladzie obok pasty do zębów trzymasz SIG – a?

– Nie. Mam licencję.

– Wiem, sprawdziłem. Masz kilka licencji. A cukier masz? Och tak, tutaj. – Zanurzył w cukiernicze łyżeczkę, którą położyła obok kubka, i nasypał sobie dwie obfite miarki. – Mogę nadal sprawdzać to i tamto, i owo. Jestem w tym dobry. Ale nie będę. Nie będę dalej sprawdzał, chyba że najpierw cię o tym uprzedzę.

– Nie będziesz sprawdzał, dopóki z tobą sypiam.

Gdy odstawiał kubek, w jego zielonych oczach zapłonęły iskierki płynnego złota.

– Nie obrażaj nas obojga. Nie będę sprawdzał, ponieważ nie chcę potajemnie cię śledzić, ponieważ my jesteśmy... no, wszystko jedno czym. Chciałbym z tobą sypiać, ale to nie jest warunek. Chcę nadal cię widywać, ponieważ dobrze nam razem, w łóżku i poza nim. Czy dokładnie się wyraziłem?

– Tak.

– Nie lubię kłamać. To nie znaczy, że nie robiłem tego czy nie będę robił służbowo, gdy zajdzie potrzeba, ale poza pracą nie kłamię. Nie będę cię okłamywał, Abigail, a sprawdzanie ciebie bez twojej wiedzy wydaje mi się rodzajem kłamstwa.

– Dlaczego miałabym ci wierzyć?

– To już twoja sprawa. Tylko tyle mogę ci powiedzieć. To cholernie dobra kawa i nie tylko dlatego, że nie musiałem robić jej sam. Naleśniki?

– Tak.



– Teraz wyglądasz nawet ładniej niż dziesięć sekund temu. Czy gdy będę wyjmował naczynia i nakrywał do stołu, znajdę następny pistolet?

– Tak.

– Jesteś najbardziej interesującą kobietą, jaką znam. – Otworzył szafkę, z której, jak widział, wyjmowała talerze na pizzę.

– Myślałam, że po prostu przestaniesz.

– Przestanę co?

– Myślałam, że gdy już się prześpimy, przestaniesz chcieć tu być, przestaniesz się mną interesować.

Otworzył szufladę ze sztuccami i zauważył glocka.

– Być może zapomniałaś, ale ziemia się zatrzymała. – Kładł sztucce, gdy ona nalewała ciasto na patelnię. – To nie tylko seks, Abigail. Byłoby łatwiej, gdyby tak było. Ale jest... coś. Nie wiem jeszcze co, ale coś jest. A więc jedziemy dalej, zobaczymy, co się stanie.

– Nie umiem tego robić. Powiedziałam ci.

Podniósł kubek z kawą i podszedł, aby pocałować ją w policzek.

– Wygląda na to, że idzie ci doskonale. Gdzie jest syrop?

# **ABIGAIL**

*Czymże jest postać, jeśli nie czynnikiem  
determinującym zdarzenie?  
I czymże jest zdarzenie, jeśli nie ilustracją  
postaci?*

Henry James

Obudzenie się u boku Brooksa, przygotowanie śniadania, poradzenie sobie z wyrwą w powszedniej rutynie wytrąciło Abigail z codziennego rytmu. Brooks nie spieszył się, jedząc śniadanie. Wydawało się, że ciągle ma coś do powiedzenia, i ustawicznie mieszał jej w głowie. Gdy wyszedł, miała już ponad godzinę opóźnienia w stosunku do ustalonego planu dnia, nie wspominając o czasie, który straciła poprzedniego wieczoru.

Teraz, zamiast pojechać po zakupy, musiała dokończyć badania oraz dokumentację operacji prania nielegalnych pieniędzy przez Wołkówów pomiędzy Chicago a Atlantic City. Jeśli w ciągu dwóch dni nie dostarczy danych swojemu kontaktowi w FBI, przegapią dużą miesięczną dostawę.

Na to potrzeba czasu, pomyślała, zasiadając do pracy. Czasu na zebranie, rozszyfrowanie, powiązanie danych i ich wysłanie. Informacje musiały być klarowne i nadzwyczaj dokładne.

Może tym razem znajdzie coś na Ilię. Może wreszcie mu odpłaci. Albo przynajmniej, tak jak poprzednio, przysporzy mu kłopotów i narazi na utratę pieniędzy i ludzi.

Fantazjowała, że doprowadza Wołkówów do ruiny, demaskuje ich, niszczy. Korotkij, Ilia, wszyscy, do końca życia siedzą w więzieniu. Keegan i Cosgrove zostają zdekonspirowani, okryci hańbą i wtrąceni za kratki.

A kiedy popuszczała wodze fantazji, wyobrażała sobie, jak dowiadują się, kto im się odpłacił.

To jednak ciągle nie wystarczało. Julie straciła życie w wieku osiemnastu lat. John i Terry zginęli na służbie.

Musiała być realistką. Robiła więc co w jej mocy, aby stopniowo pozbawiać ich zysków, spokoju i równowagi.

Dopiero po południu poczuła się usatysfakcjonowana. Zrobi sobie godzinę lub dwie przerwy, potem wróci wypoczęta, by jeszcze raz sprawdzić dane przed wysłaniem.

Choć nie była to odpowiednia pora dnia, postanowiła wybrać się po zakupy. Po powrocie wyjdzie z Bertem na spacer i trening.

Ponownie przejrzała dane i tak zaprogramowała skrzynkę mailową, żeby adresat nie mógł odpowiedzieć. Po wszystkim wypoci się porządnie na treningu, po zakończeniu całej operacji przyda jej się solidna porcja ćwiczeń fizycznych.

A w wolny wieczór poświęci kilka godzin na pracę nad wirusem, którą prowadziła przez ostatnie osiemnaście miesięcy.

Zmieniła broń na bardziej poręcznego glocka i schowała go pod bluzę z kapturem. Wkrótce temperatura wzrośnie i żeby go ukryć, będzie musiała używać kabury przy kostce.

Sprawdzając i przestawiając alarm, a potem wypuszczając Berta, żeby trzymał straż, rozważała kupno nowego pistoletu. Wieczorem poogląda sobie ostatnie modele w internecie.

Ten pomysł sprawił, że odprężona z przyjemnością jechała do miasta w to słoneczne popołudnie, przyglądając się grze światła w zawiązkach liści.

Przed oczami migwały jej delikatne draperie różowego łuskiewnika i śmiała żółć pocętkowanych słońcem wiosennych lilii, które porastały brzegi strumienia tuż nad wodą, z łoskotem przelewającą po skałach. Krzewy tarniny dodawały subtelnej zieleni koloru i dramatyzmu.

Wszystko zdawało się świeże,, nowe i pełne nadziei. Wiosna się obudziła, obdarowując przyrodę początkiem nowego cyklu. To pierwsza wiosna, którą w całości spędzi na nowym miejscu – miejscu, które chciałyby uczynić swoim domem.

Dwanaście lat. Czy to nie dość? Czy nie mogłaby osiąść tu na stałe? Założyć ogród, pielęgnować go, obserwować, jak rośnie i daje plony. Pracować i spłacać swój dług. Po prostu żyć.

Dlaczego mieliby ją tu odnaleźć, wśród tych wzgórz, w tej spokojnej okolicy? Czy można połączyć Abigail Lowery z młodą, głupią i nieostrożną dziewczyną, która stała się tak łatwym celem?

Jeśli stale będzie w pogotowiu – czujna, nierzucająca się w oczy – może stworzyć dom i żyć. Pozostać bezpieczna. A jak długo pozostanie bezpieczna, może nękać Wołkowów i spłacać dług.

Skręcając w Shop Street, pomyślała, że bardzo lubi to miasto, jego ładne ulice i gwarne sklepy, które ozdabiały kolorowe doniczki i drewniane kwietniki ze skąpanymi w słońcu narcyzami i tulipanami w cukierkowych barwach. Turyści, przechadzający się tu i tam, zwiększali miejski ruch; niektórzy z nich pewnie tu wrócą na kolejne wakacje albo z krótką wizytą. Przyjeżdżali do Bickford ze względu na ciszę, krajobraz, piesze wycieczki, lokalną tradycję i rzemiosło. Nie nęciły ich nocne kluby czy jaskinie hazardu – rozrywki przyciągające ludzi takich jak Ilia.

Czuła się tutaj pewnie, ponieważ tego pokroju ludzie nie przechadzali się po tutejszych ulicach, nie łowili ryb ani nie wspinali się na wzgórze.

A nawet gdyby ktoś z US Marshals, FBI czy policji z Chicago pojawił się tu pewnego dnia, nikt by jej nie rozpoznał. Była nie na swoim miejscu, dwanaście lat starsza, o innym kolorze włosów, z inną fryzurą.

Musieliby jej tu specjalnie szukać. Ale nie było powodu poszukiwać Elizabeth Fitch w spokojnym turystycznym miasteczku w Ozark.

Gdyby jednak do tego doszło, nauczyła się już uciekać, potrafiła się zmienić i ukryć w kolejnym miejscu.

Ale dziś to się nie stanie, obiecała sobie, parkując przed sklepem. Każdy

taki dzień był darem.

Wysiadła z samochodu i zamknęła go pilotem. Gdy usłyszała kliknięcie zamka, zobaczyła przechodzącego przez ulicę Brooksa, który najwyraźniej zmierzał w jej stronę.

Nie wiedziała, co począć z nagłym przyspieszeniem pulsu i lekkim trzepotaniem w brzuchu. Zdawało się, że Brooks idzie niespiesznym krokiem, a jednak szybko się przybliżał. Zanim zdecydowała się, jak zareagować, stał już obok niej.

– Doskonałe wyczucie czasu albo prawdziwe szczęście. – Wziął ją za rękę, jak zawsze, i obdarzył uśmiechem.

– Idę do sklepu.

– Domyśliłem się. Ale najpierw się ze mną przejdź. Właśnie tego potrzebuję.

– Do czego?

– Tak ogólnie, powiedziałbym. Ciężki poranek, jeszcze nie do końca się otrząsałem.

– Muszę zrobić zakupy.

– Jesteś później z kimś umówiona?

– Umówiona? – Ludzie im się przyglądali; czuła na karku ich spojrzenia. – Nie.

– To dobrze. Chodźmy do parku. Mam wolne pół godziny. Zwykle nie robisz zakupów po południu.

– Wolę poranki. – Ale zdała sobie sprawę, że musi coś zmienić. Rutyna rzucała się w oczy.

– Robiłaś rano coś ciekawego?

Szli dalej i nadal trzymał ją za rękę. Co powinna zrobić?

– Przepraszam?

– Dziś rano, czy robiłaś coś interesującego?

Pomyślała o praniu pieniędzy, rosyjskiej mafii, FBI.

– Nic szczególnego.

– No to teraz spytaj, co ja robiłem.

– No dobrze. Co robiłeś?

– Głównie wysłuchiwałem krzyków i wymówek. Zgodnie z przewidywaniem pojawiła się Missy i twierdząc, że się potknęła, chciała, żebym zwolnił Tya. Nie była zadowolona z powodu wysuniętych przeciwko niemu zarzutów oraz ich konsekwencji. Ty, gdy jest już trzeźwy, znosi to lepiej od niej.

Kiedy Brooks podniósł rękę, żeby pomachać jakiemuś znajomemu po drugiej stronie ulicy, Abigail powstrzymała grymas niezadowolenia.

Nie była niewidoczna.

– Jak skończyła na mnie wrzeszczyć – ciągnął Brooks – zaczęła zalewać się łzami. Gdy pozwoliłem im porozmawiać, obydwójce poryczeli się jak bobry. Potem straszyla mnie i ściągnęła prawnika, takiego jednego pieprzonego dupka. Nadeszła pora, by mnie pouczać. Twierdził, że nadużywam władzy, proponując jego klientowi kurację zamiast procesu oraz możliwego wyroku.

– Występowanie z propozycją ugody nie leży w twoich kompetencjach.

– Obydwójce macie rację, a więc poinformowałem tego dupka, że się zgadzam. Ty może posiedzieć, aż stanie przed sądem na rozprawie o zwolnienie za kaucją. Jak chce, może zaryzykować spędzenie najbliższych kilku lat w więzieniu.

– Co słyhać, pani Harris? – zawołał do drobnej kobiety, podlewającej cebulki kwiatowe w skrzynce przed Read More Books.

– W porządku, Brooks. A co u ciebie?

– Nie mogę się uskarżać. Na czym to ja skończyłem? – zwrócił się do Abigail.

Czuła na plecach wzrok niepozornej kobiety, gdy szła chodnikiem z Brooksem.

– Powiedziałeś temu pieprzonemu prawnikowi, że Tyowi grozi spędzenie kilku najbliższych lat w więzieniu. Naprawdę muszę...

– Aha. No i w tym momencie Missy i Ty zaczęli na siebie wrzeszczeć. Osobiście nie rozumiem ludzi, którzy nadal są razem mimo takiej wrogości, wzajemnej pogardy i wyzywania siebie od najgorszych. Ale Ty tak się zirytowałeś, że w końcu obróciłeś wszystko przeciwko mnie i poprzysiągłeś, że dokończy to, co zaczął wczoraj wieczorem, i skopie mi tyłek.

– To wszystko brzmi dramatycznie i stresująco.

– Nie inaczej. Przysięga Tya nie spodobała się dupkowi, ponieważ jego twierdzenie o ograniczonej poczytalności lub czymkolwiek, do czego zmierzał, rozpadało się jak spróchniałe drewno pod młotkiem. A jeszcze mniej mu się spodobało, gdy Ty wyciągnął rękę przez kraty i złapał go za gardło.

– Hej, Caliope. Te róże wyglądają przepięknie.

Kobieta w długiej kolorowej spódnicy, ogromnym słomkowym kapeluszu i ogrodniczych rękawiczkach w kwiatki pomachała im z podwórka.

– Wiedziałam, że to powiesz.

– To córka Almy. Ma kontakt z siłami wyższymi.

Abigail zaczęła wyjaśniać, że jest wielce wątpliwe, aby właścicielka tych wspaniałych krzaków róż miała zdolności parapsychiczne, ale Brooks już kontynuował swoją historię.

– Przyznam się, że w odciąganiu Tya od tego dupka wykazałem się odrobinę za wolnym refleksem. To przez te wszystkie wrzaski i połajanki.



Odczuwała lekki zawrót głowy, ale nadażała za tokiem jego opowieści.

– Pozwoliłeś więźniowi dusić prawnika, ponieważ sam miałeś na to ochotę.

Brooks zakołysał jej ramieniem i pokazał zęby w uśmiechu.

– Chociaż to dobrze o mnie nie świadczy, taka jest prawda. Dupek natychmiast zrezygnował. Gdy powiedziałem Tyowi, że jego zasrany adwokat się wycofał, Ty na całe gardło wygłosił o nim swoją opinię, mianowicie, żeby się walił, a nie wierzę, żeby ten dupek nawet do tego był zdolny. Missy wybiegła za nim, krzycząc i łkając. No więc, jak widzisz, po tym wszystkim należy mi się wolne pół godziny z piękną kobietą.

– Uważam, że są ludzie, którzy myślą, że zasady albo prawo nie powinny odnosić się do ich szczególnej sytuacji, ponieważ są biedni albo bogaci, albo smutni, albo chorzy, albo „no, przykro mi, tak się stało”. Albo znajdują jakiegokolwiek inne usprawiedliwienie, pasujące do ich indywidualnego charakteru i okoliczności.

– Nie mogę się z tym spierać.

– Ale wymiar sprawiedliwości często daje się na to nabrać, zawierając ugody z tymi, którzy z tych powodów złamali zasady lub prawo.

– Z tym też nie będę się spierać, ale prawo i system potrzebują czasem oddechu.

– Nie rozumiem.

– Prawo potrzebuje trochę przestrzeni, trochę elastyczności, aby rozważyć czynnik ludzki, okoliczności. – Słyszając głośnie trąbienie, spojrział na jezdnię i pomachał do mężczyzny z ogromną czarną brodą, który prowadził zardzewiałego pikapa. – Człowiek, który kradnie bochenek chleba – kontynuował – ponieważ jest głodny i zrozpaczony, nie powinien być traktowany tak samo jak ktoś, kto kradnie dla zysku.

– Być może. Ale jeśli prawo byłoby bardziej ujednolicone, ci którzy kradną dla zysku, mieliby mniej możliwości powtórzenia przestępstwa.

Uśmiechnął się do niej z góry w taki sposób, że zaczęła się zastanawiać, czy właśnie wygłosiła jakąś światłą uwagę, czy raczej palnęła głupstwo.

– Myślałaś kiedyś, żeby zostać policjantką?

– Właściwie nie. Naprawdę powinnam już wracać i...

– Brooks! Przyrowadź do nas tę dziewczynę.

Abigail gwałtownie się odwróciła, wpatrując się w dom ze smokami, syrenami i wrózkami. I zobaczyła, jak matka Brooksa schodzi z rusztowania. Była ubrana w poplamione farbami ogrodniczki i tenisówki, a jej włosy przykrywała jaskrawoczerwona bandanka.

W chwili gdy stanęła na ziemi, szczeniak, który na dźwięk jej głosu zaczął szczekać piskliwie i tańczyć, podskoczył tak wysoko, że zrobił koziołka w powietrzu, zanim spadł na ziemię.

Kobieta roześmiała się i podniosła go do góry, odpinając smycz.

– Chodź! – krzyknęła znowu. – Chodź i przedstaw Abigail swojemu małemu braciszкови.

– Teraz jest jej ulubionym synkiem – powiedział Brooks do Abigail – Przywitajmy się.

– Naprawdę powinnam wracać do sklepu.

– Czy nie dość już dziś nasłuchałem się krzyków i wymówek? – Posłał Abigail żalosne i zbolące spojrzenie. – Miej trochę litości, zgoda?

Nie była niewidzialna, skoro ludzie ją zauważali, skonstatowała. A przecież tak bardzo się starała. Chociaż pragnęła, żeby Brooks puścił jej rękę – to wyglądało zbyt intymnie – przemierzyła krótki dystans, który dzielił ją od podwórka tego bajkowego domu.

– Miałam nadzieję, że wpadniesz do nas z wizytą – powiedziała Sunny

do Abigail.

- Właściwie ja...
- Namówiłem ją na spacer przed zrobieniem zakupów.
- Nie ma sensu tracić takiego pięknego dnia na siedzenie w domu.

Poznaj Platona.

- Przystojniak z niego.
- I urwis. Uwielbiam urwisów – dodała Sunny, szturchając nosem szczeniaka, a potem Brooksa. – Jest też inteligentny.
- Ja czy pies?

Sunny roześmiała się i poklepała Brooksa po policzku.

– Obydwaj. Potrafi siadać, gdy mu każe, ale nie umie jeszcze spokojnie zostać w miejscu. Patrzcie. Platon, siad!

Sunny posadziła psa i przytrzymując go dłonią, wolną ręką sięgnęła do kieszeni po maleńki psi przysmak.

– Siad. O, proszę, jaki geniusz! – Dała mu smakołyk, gdy tylko pies przysiadł na trawie.

Dwie sekundy później już się poderwał i skacząc, i wiercąc się, drapał pazurkami łydki Abigail.

– Pracujemy nad manierami.

– To jeszcze dzidzius. – Nie mogąc się powstrzymać, Abigail przykucnęła i uśmiechnęła się, gdy Platon próbował wpakować się jej na kolana; roześmiała się, gdy podskoczył i polizał ją. – Ma szczęśliwe oczy. – Gdy próbował gryźć, delikatnie zacisnęła mu szczęki. – Nic z tego, mały. Tak, jesteś bardzo ładny i szczęśliwy.

Jakby zachwycony komplementem, szczeniak przewrócił się na plecy i pokazał brzuch.

– I ma dobry gust – zauważyła Sunny, gdy Abigail pogłaskała Platona

po brzuchu. – Obaj moi chłopcy go mają. Ty też dzisiaj masz szczęśliwe oczy, Abigail.

– Lubię psy. – Ale spoglądając na dom, zmieniła temat. – Twój dom jest bardzo ciekawy i kolorowy. Musi ci dawać satysfakcję dzielenie się swoją sztuką z każdym przechodniem.

– Dzięki temu nie sprawiam kłopotów. Przeważnie.

– Naprawdę jest cudowny. Z przyjemnością obserwuję twoje dokonania, odkąd się tu przeprowadziłam. Podoba mi się, że to nie ma sensu.

Sunny się roześmiała, a Abigail poczuła, że oblewa ją gorąco.

– Nie wyraziłam się właściwie. Miałam na myśli...

– Wiem dokładnie, co miałaś na myśli, i masz całkowitą rację. Mnie się też podoba. Wejdźmy do środka. Zrobiłam brzoskwiniovą mrożoną herbatę i mam imbirowe ciasteczka z cytrynowym lukrem, które tak lubisz, Brooks.

– Przydałoby mi się ciasteczko. – Wyciągnął rękę i musnął włosy Abigail.

– Dziękuję bardzo, ale muszę zrobić zakupy, a potem wracać do mojego psa. – Wstając, Abigail podniosła wiercącego się szczeniaka i podała go Sunny. – Miło było znów cię spotkać i poznać Platona.

Wycofała się tak szybko, jak mogła, starając się jednak nie przekroczyć granicy pomiędzy naturalnym pośpiechem a ucieczką.

Oczarowali ją, uwiedli. Mężczyzna, jego matka, a nawet psiak. Dała się porwać. Rozmowa, zaproszenia, ciasto, seks.

Widziano ją w towarzystwie Brooksa. Trzymali się za ręce. Rozmawiała z jego matką. I ludzie będą o tym rozmawiać.

O niej.

To, że nie uczestniczyła w lokalnym życiu towarzyskim, nie oznaczało jeszcze, że nie wie, jakie działają w nim mechanizmy.

Nie mogła być zwyczajną, niezauważalną mieszkanką Bickford, jeśli poprzez Brooksa stała się częścią tutejszej tkanki społecznej.

Dlaczego nie zachowywał się jak typowy facet? Uprawiali seks. Zdobył ją. Powinien już ruszyć na kolejne podboje.

Gdy ktoś złapał ją za ramię, zareagowała odruchowo. Instynktownie odkręciła się i z obrotu uderzyła grzbietem dłoni, dopełniając cios wyrzutem biodra.

Brooks odparował ręką jej pięść w ostatniej chwili.

– Wow! – Ledwie udało mu się uniknąć uderzenia. – Doskonały refleks, Xeno.

– Przepraszam. – Zwykła wyprawa do sklepu przeistoczyła się w koszmar. – Przestraszyłeś mnie.

– Co najmniej. Na szczęście ja też mam niezły refleks. Inaczej dorobiłbym się kolejnego sińca na twarzy.

– Bardzo przepraszam. – Mówiła teraz twardym tonem. – Podszedłeś od tyłu i złapałeś mnie.

– Zrozumiałem. – Jakby chcąc załagodzić sprawę, pogłaskał ją po włosach. – Kochanie, w końcu będziesz musiała powiedzieć mi, kto cię skrzywdził.

– Nie mów do mnie w ten sposób. To nie tak miało być. Miałeś seks.

– Myślę, że my mieliśmy, i tyle. Dlaczego nie oświecisz mnie, jak to miało być?

– Powinieneś odejść. – Wzburzona, przeczesła ręką włosy i powiodła wzrokiem dookoła. – Nie mogę o tym rozmawiać tu i teraz. Nie rozumiem, dlaczego w ogóle trzeba o tym dyskutować. Nie powinieneś już się mną interesować.

– Jak na kogoś tak wielce mądrego, jesteś okropnie tępa. Uprawiałem z

tobą seks, ponieważ jestem tobą zainteresowany. A odkąd ze sobą spaliśmy, jestem jeszcze bardziej zainteresowany.

– Dlaczego? Nie, nie odpowiadaj. Ty zawsze masz jakąś odpowiedź.

Wprawiasz mnie w zakłopotanie. Nie chcę tak się czuć.

– Jak?

– Nie wiem! Muszę iść do sklepu i wracać do domu, i muszę skończyć pracę, i...

– Musisz wziąć głęboki oddech. – Położył ręce na jej ramionach. – Odetchnij, Abigail.

– Muszę wziąć głęboki oddech. – Przymknęła oczy, walcząc z atakiem paniki. Och, Boże, och, Boże, dlaczego nie została w domu?

– Dobrze, i po prostu kolejny oddech. Spokojnie, o tak. Teraz posłuchaj, co będziemy robić.

– Nie mów mi, co będę robić. Nie powinno być żadnego „my”.

– Ale najwyraźniej jest. Posłuchaj mojej sugestii. Możemy pójść do mojego biura, usiąść, napić się wody.

Pokręciła głową.

– Muszę iść do sklepu.

– W porządku, idź. A później, powiedzmy szósta, wpół do siódmej, przyjadę. Przywiozę dwa steki i wrzucimy je na grill. Zjemy kolację i zobaczymy, czy uda nam się to rozwiązać.

– Nie musimy jeść kolacji ani niczego rozwiązywać. Po prostu muszę...

Bardzo delikatnie, bardzo spokojnie położył usta na jej ustach. Gdy uniósł głowę, oddychała nierówno.

– Mam wrażenie, że wiem, czego nie chcesz czuć. Ale czujesz i ja to czuję. A więc powinniśmy to rozwiązać.

– Nie zrezygnujesz.

– Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Jeśli nic, odejdę. Nie zamierzam cię zranić, Abigail, ani też cię unieszczęśliwić. Ale gdy dwoje ludzi coś do siebie czuje, powinni na tyle to uszanować, by próbować znaleźć rozwiązanie.

– Nic nie rozumiesz.

– Nie, skarbie, nie rozumiem. Ale chciałbym. Odprowadzę cię do sklepu.

– Nie chcę, żebyś tam ze mną szedł. Wolę być sama.

– W porządku. Do zobaczenia wieczorem.

Jeszcze ta jedna rozmowa, pomyślała, pospiesznie odchodząc. Jeszcze jedna, podczas której zachowa się spokojnie i racjonalnie. Po prostu wyjaśni mu, że nie jest zainteresowana ani nie ma ochoty na związek. Praca zbyt ją pochłania, aby mogła pozwolić sobie na rozrywki takie jak kolacje, towarzystwo czy wieczorni goście.

Będzie stanowcza i rozsądna.

W przyjazny sposób zakończy to, co nigdy nie powinno się zacząć.

Życie wróci do normy.

W domu przećwiczy, co i jak mu powie.

Przygotuje się.

Zakończyła trening, przypominając sobie, że jej priorytetem zawsze była i będzie praca. Podzielenie całego materiału na sekcje okazało się odrobinę bardziej skomplikowane niż się spodziewała, ale ostatecznie starannie przejrzała dane i dokonała kilku drobnych poprawek. Potem zredagowała maila.

***Informacje, które mogą okazać się użyteczne. Dziękuję za zainteresowanie i wszystkie stosowne działania.***

***Twój drug***

Posługując się systemem, który stworzyła na potrzeby przekazu

informacji, przekierowała je poprzez liczne lokalizacje i zamknęła czasowe konto mailowe.

Często myślała, z jaką przyjemnością porozmawiałaby ze swoim kontaktem w FBI, wymieniłaby poglądy i opinie, ale cóż, pozostało jej zbieranie o nim i jego działaniach informacji z przypadkowych notatek lub plików, do których się włamała.

Po zamknięciu konta zapisała kopię z danymi na innym dysku.

– Wyjdziemy teraz na spacer – rzekła do Berta. – Poćwiczę sobie rozmowę z Brooksem. Jutro wszystko powróci do normalności. Musimy zarobić na utrzymanie, prawda?

Gdy chowała klucze do kieszeni, Bert ocierał się o jej nogę.

– Poznałam dziś innego psa. Jest bardzo słodki. Myślę, że byś go polubił.

Wyszła na dwór z Bertem przy nodze.

– Wiem, że chciałbyś mieć przyjaciela. W przyszłym roku kupię szczeniaka. Pomożesz mi go wytresować; będzie dla nas dobrym towarzyszem. To wszystko, czego nam potrzeba, prawda?

Razem z Bertem obeszła swój nowy warzywnik.

– Trzeba trochę się nim zająć i czas pomyśleć o posadzeniu dodatkowych kwiatów. Ostatnio jestem trochę rozbita, ale wrócimy do stałego rytmu. Muszę dalej pracować nad wirusem. Zobaczysz, Bert, że pewnego dnia, gdy nadejdzie właściwy czas, a ja wszystko dopracuję, spuścimy na Wołkowów tę zarazę.

Westchnęła.

– Nie pora teraz o tym myśleć. Muszę zastanowić się nad obecną sytuacją.

Gdy weszli w las, rozpięła suwak bluzy i na chwilę dotknęła ręką broni.



Dzikie śliwy zakwitły, ich pachnące płatki widniały na tle delikatnej zielonej mgiełki, a wierzba, którą ktoś posadził wiele lat temu, zatapiała koronkowe palce w wartkiej wodzie strumienia. Leśne fiołki wyglądały jak fioletowy dywan.

W ciszy, pośród barw i zapachów wiosny, idąc w cieniu i słońcu, uspokoiła się nieco.

Drżący z oczekiwania Bert rzucił jej znaczące spojrzenie, a potem radośnie zbiegł ze skarpy i z pluskiem wskoczył do wody. Jak zawsze roześmiała się na widok potężnego psa baraszkującego niczym dziecko w brodziku.

Pozwoliła mu na chwilę zabawy, a tymczasem sama bacznie rozglądała się po lesie. Ptaki nawoływały, a ich muzycznym intonacjom towarzyszyło rytmiczne rat – a – tat dziecięcia, polującego na swój lunch. Przez filtr z młodych liści słońce rzucało nastrojową poświatę.

Wiedziała, że dalej – gdy otworzy się widok na wzgórza – całkiem się rozjaśni. Uwielbiała patrzeć z góry, przyglądać się pofałdowanemu krajobrazowi. I tu, w miękkim świetle i cieniu, wśród śpiewu ptaków, pomruku strumienia, z pluskającym się w wodzie psem – właśnie tu znajdował się jej prawdziwy dom.

Kupi ławkę. Poszuka w sieci czegoś naturalnego, drewnianego. Oczywiście ławki nie stanowią naturalnego elementu krajobrazu, ale ta musi sprawiać takie wrażenie. Będzie mogła przesiadywać tu, gdzie świat otwiera się na wzgórza, podczas gdy jej pies będzie się bawił w strumyku. Może pewnego dnia poczuje się na tyle bezpiecznie, że weźmie ze sobą książkę i siedząc na ławce w lesie z widokiem na rozległe wzgórza, zatopi się w lekturze, podczas gdy Bert będzie zażywał kąpieli.

Dość tych rozmyślań o przyszłości. Trzeba się teraz zająć tym, co

należy – nadchodzącym wieczorem.

– W porządku. – Dała sygnał psu i odsunęła się na bezpieczną odległość, gdy wybiegł i energicznie otrząsał się z wody. – „Brooks – zaczęła, gdy ruszyli dalej – jesteś atrakcyjny i uprawianie z tobą seksu zdecydowanie sprawiło mi przyjemność. Ale moja sytuacja nie pozwala mi na angażowanie się w związek”. Nie, źle. „Nie mam ochoty się angażować”. Tak jest bardziej stanowczo. „Nie mam ochoty się angażować”. Wtedy on spyta dlaczego, a więc muszę mieć gotową odpowiedź. „Praca jest dla mnie priorytetem, a ona wymaga zarówno czasu, jak i koncentracji”.

Powtarzała tę kwestię, próbując różnej modulacji głosu.

– Może wystarczy, choć on jest nieustępliwy. Powinam wspomnieć, że doceniam jego zainteresowanie. Nie chcę go rozzłościć, urazić ani zniszczyć jego dumy. – „Doceniam twoje zainteresowanie. Pochlebia mi”. Pochlebia mi – brzmi dobrze. Tak.

Głęboko zaczerpnęła powietrza, czując ulgę, że nie powróciła panika.

– Tak – powtórzyła. – Mogę powiedzieć: „Pochlebia mi twoje zainteresowanie”. I to prawda. Słowa brzmią zawsze bardziej szczerze, gdy jest się szczerym. „Pochlebia mi twoje zainteresowanie i lubię z tobą rozmawiać”. Czy powinienam znów wspomnieć o seksie? O Boże. Boże! Jak ludzie to robią? Dlaczego? To wszystko jest tak skomplikowane i brzemienne w skutki.

Wyłoniła się z cienia drzew i uniosła twarz ku słońcu, napawając się ciepłem i światłem. Patrząc na wzgórza, rozmyślała. Mieszka tu tylu ludzi, powiązanych ze sobą najróżniejszymi relacjami. Rodzice, dzieci, rodzeństwo, przyjaciele i kochankowie, nauczyciele, pracodawcy, sąsiedzi.

Jak sobie z tym radzą? Jak ze sobą przestają, jak się dogadują, jak zonglują wzajemnymi oczekiwaniami i uczuciami?

Łatwiej żyć cicho i samotnie według własnego harmonogramu, realizować własne cele, oczekiwania i potrzeby, bez ciągłych starań, by znaleźć w tej układance miejsce dla bliźniego.

Tak postępowała jej matka. Susan Fitch odniosła spektakularny sukces na wszystkich polach. Cóż, tylko córka przyniosła jej rozczarowanie, ale tak to już bywa, gdy wprowadza się w swoje życie drugą osobę.

– Nie jestem moją matką – wymamrotała Abigail, kładąc dłoń na głowie Berta. – Nie chcę nią być. Ale nawet jeśli chciałabym jakiegoś związku i komplikacji, nie mogę sobie na nie pozwolić. To niemożliwe. Przykro mi, zacznijmy od nowa. „Jesteś atrakcyjny...” – podjęła.

Prawie godzinę pracowała nad treścią, tonem i konstrukcją przemowy, a nawet językiem ciała, precyzyjnie go dostrajając, gdy wraz Bertem wracała do domu.

Uznawszy, że dyskusja i kolacja powinny przebiec w kulturalnej atmosferze, otworzyła butelkę shiraza. Wypiła pół kieliszka na uspokojenie nerwów. Do wpół do siódmej musiała powstrzymać się przed nerwowym maszerowaniem po pokoju albo nalaniem sobie kolejnego kieliszka.

O szóstej czterdzieści pięć, gdy przyjechał, czuła znów podenerwowanie. Podchodząc do drzwi, w myślach powtarzała swoją przemowę, żeby się uspokoić.

## 15

Naprawdę przyjemnie na niego patrzeć, pomyślała. Wygaszenie chemicznej reakcji, której doświadczała w jego obecności, może zabrać trochę czasu.

– Przepraszam za spóźnienie. – Wszedł na ganek, trzymając w ręce torbę z zakupami. – Dokupiłem jeszcze dwie rzeczy.

– W porządku.

– Hej, Bert. – Wchodząc do domu, Brooks swobodnie pogłaskał Berta po głowie, a potem obrócił się do Abigail i pocałował ją w usta. – Jak się masz?

– Doskonale, dziękuję. Zabiorę torbę do kuchni.

– Sam zaniosę. – Kładąc torbę, skinął aprobująco głową na widok butelki wina stojącej na blacie. – Nieźle.

– Wspominałeś o stekach. Dobrze pasuje do czerwonego mięsa.

– Znakomicie, ponieważ kupiłem dwa tłuste steki New York.

– Nie mówiłeś, jakie chcesz dodatki, więc nie byłam pewna, co przygotować.

– Nic. Wszystko przywiozłem. – Wyciągnął dwa wielkie kartofle do pieczenia i torebkę z mieszanką sałat.

– Co to jest? – Abigail dotknęła torebki.

– Sałata. Duże opakowanie.

– Sałata z torebki? – Pomimo zdenerwowania wykrzywiła usta w uśmiechu. – Mam mnóstwo świeżych warzyw na sałatę.

– Trzeba je kroić i tak dalej. Doskonałość mojej sałaty polega na tym, że jest od razu gotowa do jedzenia. Dlaczego nie usiądziesz? Ja wstawię kartofle.

Miała usiąść? Tego nie przećwiczyła.

– Czy chcesz, żebyśmy odbyli naszą rozmowę przed kolacją?

– A mamy tylko jedną?

– Słucham?

Odwrócił się, idąc do zlewu, żeby obrać kartofle.

– Tylko jedną rozmowę? Może porozmawiamy przed kolacją, podczas, a nawet po.

– No tak, oczywiście. Ale chodzi o rozmowę o naszej sytuacji. Czy odbędziemy ją teraz, czy wolisz poczekać do kolacji?

– O jakiej sytuacji?

– Ty i ja... Nasz związek. Wzajemna relacja.

Odłożył kartofle i ujął jej twarz w dłonie z tak ciepłym uśmiechem, że coś w środku ją zabolalo.

– Wzajemna relacja. Oszalałem na twoim punkcie. – Całował ją mocno, długo, aż pożądanie ogarnęło całe jej ciało. – Może nalejesz wina?

– Ja... tak. Nie, to znaczy, oczywiście zaraz naleję. Musimy podyskutować o...

– Wiesz, „dyskutować” brzmi tak, jakbyśmy zamierzali rozmawiać o polityce. – Ze zmarszczonymi brwiami zerknął na piekarnik, a potem nastawił go, żeby upiec kartofle. – Dlaczego nie mielibyśmy pozostać przy „rozmawianiu”?

– Zgoda. Musimy więc porozmawiać.

– O naszym związku oraz wzajemnej relacji.

Odruchowo wyprostowała plecy.

– Żartujesz ze mnie.

– Trochę. To potrwa jakiś czas. Może usiedlibyśmy gdzieś w salonie.

Rozpaliłbym w kominku.

Zbytńia poufałość, pomyślała.

– Brooks...

– A więc możesz je wypowiedzieć.

– Wypowiedzieć co?

– Moje imię. Zrobiłaś to po raz pierwszy.

To chyba nieprawda. A może?

– Wprawiasz mnie w zakłopotanie. Jeszcze nawet nie zaczęłam, a ty już wprawiasz mnie w zakłopotanie.

– Martwisz się o to, co się dzieje między nami. Czy to prawda?

Odetchnęła głęboko, czując ulgę, że ją wyręczył i podjął ten temat.

– Mimo że jesteś atrakcyjny i uprawianie z tobą seksu sprawiło mi przyjemność, nie mam ochoty angażować się w związek z tobą.

– Już to zrobiłaś.

– Ja... co?

– To jest związek, Abigail, a więc już się w niego zaangażowałaś.

– Nie miałam takiego zamiaru. Nie chcę się angażować i nie chcę kontynuacji tego związku.

– A z jakiego powodu?

– Pochlebia mi twoje zainteresowanie i lubię z tobą rozmawiać. Jednak moja praca zabiera mi mnóstwo czasu i wymaga całkowitego skupienia. Nie chcę, żebyś mnie rozpraszał. A zresztą uważam, że potrzebujesz bardziej otwartej oraz towarzysko usposobionej partnerki.

Wypił łyk wina.

– Przećwiczyłaś to? – Wymierzył w nią palec. – Tak, przećwiczyłaś!

Zesztywniała z upokorzenia.

– Nie pojmuję, dlaczego wyraźnie bawi cię fakt, że chcę jasno i klarownie wyrazić swoje myśli.

Lodowaty ton jej głosu ani trochę nie przygasił jego szerokiego uśmiechu.

– Podejrzewam, że potwierdzasz moje przypuszczenie.

– Kwestionujesz jedynie sposób, w jaki wyraziłam swoje stanowisko, a nie liczne przyczyny, które leżą u jego podłoża.

– No tak, bo to mi daje wiele do myślenia. Abigail, domyślałam się, że musiałaś się mocno napracować, żeby wymyślić takie bzdury.

– Jeśli nie jesteś w stanie prowadzić racjonalnej dyskusji, powinieneś sobie pójść.

Z kieliszkiem wina w dłoni i oparty tyłem o blat wyglądał na tak wyluzowanego, jak bardzo ona była spięta.

– Ty nie planowałaś żadnej dyskusji. Zamierzałaś wygłosić swoją wyćwiczoną przemowę, a potem ja miałem wyjść. Jeśli chcesz, żebym sobie poszedł, Abigail, to myślę, że będziesz musiała mi powiedzieć, co cię dręczy, czego się boisz i co czujesz.

– Mówiłam już, że nie jestem zainteresowana.

– Nie mówisz prawdy. Nie chcę być z kobietą, która nie chce być ze mną. Jeśli więc o to chodzi, powiedz mi i okaż mi dość uprzejmości oraz szacunku, aby mi to wyjaśnić, a ja wrzucę steki na grill. Zjemy miłą kolacyjkę i sobie pójdę. Tak będzie w porządku.

– Powiedziałam ci. Moja praca...

– Abigail.

Cierpliwość, z jaką wypowiedział jej imię, skłoniła ją do reakcji.

– Dlaczego z tobą nic nie idzie tak, jak powinno? Dlaczego nie reagujesz racjonalnie? Nie mogę dyskutować z kimś, kto nie chce zachować rozsądku.

– Z mojego punktu widzenia jestem tak racjonalny, jak tylko można, nawet jeśli tym stwierdzeniem ryzykuję, że wybuchniesz.

– A więc przestań.

– Mam przestać być racjonalny?

Wyrzuciła ręce do góry.

– Nie o to mi chodzi!

– Odpowiedz, proszę. Czy żywisz do mnie jakieś uczucia?

– Nie chcę.

– Przyjmuję to jako odpowiedź twierdzącą, z zastrzeżeniami. Dlaczego nie chcesz?

– Nie wiem, co z nimi robić. Z tobą. Z tym. Po prostu chcę znów mieć spokój. Wrócić do swojej rutyny. To chyba rozsądne. – W przypiływie paniki podniosła głos i nie mogąc się opanować, mówiła coraz głośniej. – Gdy jesteś ze mną, nie mam spokoju, nic nie idzie zgodnie z planem, wszystko jest nieprzewidywalne. Nie mogę nawet pójść po zakupy, ponieważ za chwilę idę z tobą, rozmawiam z twoją matką, bawię się z jej szczeniakiem i ona zaprasza mnie na mrożoną brzoskwińową herbatę. Po prostu chcę, żeby zostawiono mnie w spokoju. Potrafię sobie sama radzić. Wiem, jak to się robi.

– Wyjdźmy zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

– Nie potrzebuję świeżego powietrza!

– Skarbie, cała się trzęsiesz i z trudnością łapiesz oddech. Poczekaj chwilę, odetchnij, wyluzuj.

– Tylko nie próbuj się mną opiekować! Zajmuję się sobą, odkąd skończyłam siedemnaście lat. Nikogo nie potrzebuję.

Brooks otworzył tylne drzwi.

– Chodź, Bert. – Wziął Abigail za rękę i wyciągnął na zewnątrz. – W takim razie czas najwyższy, żeby zadbał o ciebie ktoś, kogo cholernie obchodzisz. A teraz, do cholery, oddychaj.

– Nie przeklinaj.

– Oddychaj, to nie będę musiał.

Wyrwała mu się i oparła o belkę na ganku. Łzy poleciały jej razem z wypuszczanym powietrzem, więc przycisnęła twarz do drewna.

– Jeśli chcesz, żebym padł na kolana, jesteś na dobrej drodze. –



Pocierając rękoma twarz, Brooks walczył, żeby zachować zimną krew. – Abigail, ja nie jestem odpowiedzialny za to, że jesteś nieszczęśliwa, i masz moje słowo, że zostawię cię w spokoju. Ale, na Boga, proszę, pozwól sobie pomóc.

– Nie możesz mi pomóc.

– Skąd wiesz?

Odwróciła do niego twarz.

– Dlaczego cię to obchodzi?

– Powiedziałbym, że nie miałaś dość społecznych interakcji lub stosunków międzyludzkich, jeśli nie rozumiesz, dlaczego miałabyś kogoś obchodzić.

– Znowu ze mnie żartujesz.

– Nie tym razem. – Nie dotknął jej, ale jego aksamitny głos zdawał się głaskać jej napięte nerwy. – Żywię do ciebie jakieś uczucia. Jeszcze nie do końca je uporządkowałem, ale mi się podobają.

Pokręciła głową.

– To tylko reakcja chemiczna.

– To ty tak mówisz. Miałem chemię w szkole średniej. Olewałem ją. To przeze mnie jesteś taka nieszczęśliwa?

Chciała powiedzieć tak, ponieważ wierzyła, że sobie pójdzie i zostawi ją w spokoju.

Ale gdy spojrzał jej w oczy, nie mogła go okłamać.

– Nie, jestem szczęśliwa, gdy cię widzę. Nie chcę być szczęśliwa z twojego powodu.

– A więc poczucie szczęścia czyni cię nieszczęśliwą.

– Wiem, że to nie brzmi racjonalnie, ale dokładnie tak. Przepraszam, że tak się zachowałam.

– Nie przepraszaj.

Włożył rękę do kieszeni i wyciągnął złożoną niebieską chustkę.

– Proszę, weź.

Czując pogardę dla samej siebie, pociągnęła nosem.

– Dziękuję.

– Mam zamiar zadać ci pytanie. Jeśli nie jesteś gotowa na odpowiedź, powiedz to. Ale mnie nie okłamuj. Czy to mąż, były mąż, chłopak lub ktoś taki cię zranił?

– Nie. Nie ma nikogo takiego. Nikt mnie nie zranił.

– Cała jesteś wielką raną. Chcesz powiedzieć, że nikt fizycznie cię nie skrzywdził?

– Tak. – Już spokojniejsza wytarła oczy miękką, spłowiałą chustką, a potem wpatrywała się w szklarnię. – Potrafię sama o siebie zadbać. Nie mam mężów, chłopaków ani żadnych związków.

– Teraz już masz... związek. – Jedną ręką ujął ją pod brodę, a drugą wytarł łzy z jej policzków. – Musisz wyteńczyć ten swój wielki umysł i zastanowić się, jak sobie z tym poradzić.

– Nie jestem taka jak inni ludzie, Brooks.

– Jesteś wyjątkowa. Co w tym złego?

– Nie rozumiesz...

– A więc pomóż mi zrozumieć.

Ile może mu powiedzieć? Gdyby zrozumiał, chociaż trochę, może na tym by poprzestał.

– Chcę napić się wina.

– Przyniosę. – Zanim zdążyła coś powiedzieć, wszedł do środka.

Wykorzystała ten moment na uporządkowanie myśli. Nie ma sensu dłużej się przygotowywać, pomyślała.

– Nie musisz nic dla mnie robić – podjęła, gdy wręczył jej kieliszek. – Dla mnie jest ważne, żebym wszystko robiła sama.

– Chodzi ci o wino? – Wziął swoje i usiadł na schodkach ganku. – Maniery też mają znaczenie. Proste uprzejmości. Moja matka jest sprawną, niezależną kobietą, ale przyniósłbym jej kieliszek wina. Z tego, co widziałem, masz jeszcze lepszą kondycję niż ona. Ale to nie znaczy, że nie mogę być wobec ciebie uprzejmy.

– To głupie. – Trochę zagubiona popatrzyła na chusteczkę, którą obróciła w rękę. – Nienawidzę głupoty. A zresztą nie to zamierzałam powiedzieć.

– To dlaczego tu nie usiądziesz i nie powiesz tego, co zamierzałaś?

Zawahała się, dała sygnał Bertowi, że może wyjść na podwórko, i usiadła.

– Jestem kompetentna w wielu sprawach, ale nie wierzę, że jestem zdolna do utrzymania związku.

– Ponieważ?

– Gdy moja matka zdecydowała się na dziecko, dokładnie sprawdziła dawców.

– To znaczy, że nie była z nikim związana.

– Właśnie. Z nikim, z kim chciałaby się rozmnożyć.

Rozmnożyć, pomyślał Brooks. To określenie było wymowne.

– Dotarła do takiego momentu w życiu, gdy zapragnęła mieć dziecko. Niezbyt precyzyjnie się wyraziłam – stwierdziła Abigail. – Chciała mieć potomka i miała bardzo określone, szczegółowe wymagania wobec dawcy. Moja matka jest bardzo inteligentną kobietą i naturalnie chciała wyprodukować inteligentnego... potomka. Wymagała wysokiego ilorazu inteligencji i dobrego stanu zdrowia, zażądała wglądu w medyczną historię

rodziny donatora. Miała wymagania dotyczące cech fizycznych, wyglądu, typu budowy, odporności.

– Rozumiem, o co chodzi.

– Gdy zdecydowała się na dawcę, tak wybrała datę poczęcia przez sztuczną inseminację, aby odpowiadała jej osobistemu i zawodowemu kalendarzowi. Oczywiście załatwiła możliwie najlepszą opiekę prenatalną, a ja urodziłam się przez planowe cesarskie cięcie i okazałam się bardzo zdrowa, miałam właściwą wagę i długość. Oczywiście zaangażowała pielęgniarkę, świetnie się mną opiekowano, byłam regularnie ważona, mierzona i badana, aby upewnić się, że dobrze się rozwijam.

Radosny śpiew ptaka nagle wydał się nie na miejscu, tak samo jak barwny koliber, który zniemacka zawirował nad donicą z purpurowymi goździkami.

– Sama to wszystko odkryłaś, czy ci powiedziała?

– Powiedziała mi. Zawsze wiedziałam. Wiedza była częścią mojej edukacji. Edukacja oraz moje zdrowie fizyczne były absolutnym priorytetem. Moja matka jest wyjątkowo piękna, a ja, mimo że mam przyjemne rysy i dobrą karnację, nie odziedziczyłam takiej urody, na jaką liczyła, czym trochę ją rozczarowałam. Nadrobiłam to jednak intelektem i zdolnościami motorycznymi. W sumie była usatysfakcjonowana.

– Och, dziecino.

Skuliła się, gdy ją objął.

– Nie współczuj mi.

– Cóż, będziesz musiała jeszcze i to przełknąć.

– Chcę, żebyś wiedział, jakie mam dziedzictwo genetyczne. Moja matka, mimo że ogólnie była ze mnie zadowolona, nigdy mnie nie kochała ani nie potrzebowała takich uczuć. Nigdy nie zaakceptowała, że mogę mieć

własne cele, pragnienia lub poglądy. Jej plany w stosunku do mnie były bardzo określone i szczegółowe. Przez długi czas myślałam, że mnie nie kocha, ponieważ w pewnych dziedzinach czegoś mi brakuje, ale z czasem zrozumiałam, że ona nie kocha mnie po prostu. Nie potrafi kochać ani nie umie okazywać uczuć. Zważywszy na genetykę i środowisko, ja również nie mam takich umiejętności. Może nie jestem zdolna do tworzenia związków, ale rozumiem, że emocje i uczucia są podstawą w ich budowaniu i utrzymaniu.

Co za potworność, pomyślał Brooks. Ale odezwał się bardziej oględnie:

– Jeżeli dokładnie rozumiem, ponieważ twoja matka jest zimna, samolubna i wygląda na to, że wyższe uczucia ma rozwinięte na poziomie pchły, uważasz, że z powodów genetycznych musisz być taka sama.

– To trochę brutalnie powiedziane.

– Potrafię jeszcze brutalniej.

– Nie ma potrzeby. Gdy połączy się geny oraz środowisko, co często określa się jako naturę i wychowanie...

– Do stu diabłów, wiem, w czym rzecz.

– No, teraz jesteś zły.

– Łagodnie mówiąc, ale nie na ciebie. Pozwól, że spytam o coś jeszcze.

Jeśli jesteś genetycznie niezdolna do miłości i uczuć, jak to się stało, że kochasz tego psa, a on ciebie. I nie próbuj zwałać tego na tresurę.

– Potrzebujemy siebie nawzajem.

– Chyba nie tylko. Jeśli zraniłby się lub rozchorował i stał niezdolny do pełnienia funkcji psa obronnego, pozbyłabyś się go?

– Oczywiście, że nie.

– Ponieważ byłoby to okrutne, samolubne i całkowicie bezwzględne, a ty taka nie jesteś. I ponieważ go kochasz.

– To pies, nie człowiek. Są ludzie, którzy bardzo kochają zwierzęta, a wobec ludzi nie przejawiają takich uczuć.

– Do mnie coś czujesz.

Nie znajdując odpowiedzi, Abigail wpatrywała się w swój kieliszek.

– A co z twoim ojcem?

– Dawcą.

– Niech będzie, co z nim? Jeśli nie powiedziała ci, kim był, na pewno sama się dokopałaś. Za bystra jesteś, żeby tak to zostawić.

– Nie chciała podać mi jego nazwiska i żadnych szczegółów. Gdy miałam dwanaście lat... wydobylałam te informacje z komputera.

– A więc trzymała dane.

– Doszłam do wniosku, że... przykładała wagę do śledzenia stanu jego zdrowia, jakichkolwiek ewentualnych problemów. A więc tak, zatrzymała dane. Włamałam się do nich.

– W wieku dwunastu lat?

– Zawsze interesowałam się komputerami. Ona jest lekarką. Świetną, bardzo szanowaną. On był ledwie po dwudziestce, gdy został dawcą, parę lat młodszy od niej.

– Czy on o tobie wie?

– Nie. Tego się nie robi.

– Mogłaś się z nim skontaktować.

– Po co? Dlaczego miałabym zakłócać jego życie rodzinne? Między nami istnieje tylko biologiczny związek, nic więcej.

– Ma więc rodzinę.

– Tak, ożenił się w wieku trzydziestu jeden lat. Gdy uzyskałam tę informację, miał już jedno dziecko i oczekiwał drugiego. Teraz ma troje dzieci. Ja nie jestem jednym z nich. Jestem rezultatem donacji nasienia.

– Nadal jest żonaty?

– Tak.

– A więc potrafi nawiązać i utrzymać związek. Masz również jego geny.

Przez dłuższą chwilę przyglądała się lotowi kolibra – szafirowej plamce – aż zniknął z pola widzenia.

– Dlaczego chciałbyś być z kimś, czyje umiejętności i potrzeby tworzenia osobistych związków są zahamowane?

– Może chcę zobaczyć, jak się rozwijają, i być tego częścią. Poza tym naprawdę nie mogę przestać o tobie myśleć. Dodaj to wszystko.

– Są też inne przyczyny, z powodu których nie powinnam kontynuować naszej znajomości. Nie mogę ci ich zdradzić.

– Na razie. Wiem, że uciekasz przed czymś, co tak cię przeraża, że potrzebujesz tego psa, całego systemu bezpieczeństwa, tyle broni. Cokolwiek to jest, trzyma cię w zamknięciu, dosłownie i w przenośni. Gdy bardziej mi zaufasz, gdy zrozumiesz, że zwrócenie się o pomoc nie oznacza słabości, powiesz mi. Ale tymczasem pora rozpalić grill.

Podnieśli się równocześnie.

– Jaka część twojego zainteresowania moją osobą wiąże się z moimi tajemnicami?

Potrzebowała szczerej odpowiedzi, może bardziej niż czegokolwiek innego, więc udzielił jej.

– Od tego się zaczęło. Nadal się zastanawiam, ponieważ gliniarze zawsze się zastanawiają. Ale teraz przede wszystkim? Odkąd uchylłaś choć trochę drzwi do swojego serca, Abigail, jestem twój. Jestem twój – powtórzył, biorąc ją za rękę i przyciskając do serca.

Popatrzyła na swoją dłoń, pod którą czuła silne, równomierne bicie.

Całkiem się rozluźniła i przyłożyła tam swój policzek. Gdy ją objął, mocno zacisnęła powieki; emocje narastały w niej tak szybko, tak intensywnie i szybko. W ten chłodny wiosenny wieczór przytulał ją mężczyzna, którego obchodziła...

Prawdziwy cud, nawet dla kogoś, kto w te uczucia nie wierzył.

– Nadal nie wiem, co z tym zrobić, z tobą. Z tym wszystkim.

– Zobaczymy, jak to dalej pójdzie.

– Mogę spróbować. Zostaniesz na noc?

Przycisnął usta do czubka jej głowy.

– Myślałem, że już nigdy o to nie spytasz.

Cofnęła się i patrząc mu w oczy, poczuła spokój.

– Pójdę zrobić sos do tej sałaty z torebki.

Zauważyła, jak na jego twarzy pojawia się przelotna iskierka rozbawienia.

– Wspaniale.

Gdy zniknęła w środku, podszedł do grilla i zdjął pokrywę. Och, miała go, rzeczywiście, choć to nie było łatwe. Ale wierzył, że się do tego przyzwyczai, tak samo jak wierzył, że otwieranie tych zamkniętych drzwi, trochę szerzej za każdym razem, warte jest wysiłku.

W Chicago, zaledwie dwie przecznice od klubu, gdzie pewnej letniej nocy poznał Elizabeth Fitch, Ilią odwiedził obskurne mieszkanie, w którym dokonywano kradzieży za pomocą operacji komputerowych. Często nadzorował je osobiście i mimo że jego obecność wywoływała nieco nerwową atmosferę, praca posuwała się do przodu.

Kilku operatorów obsługiwało komputery, wrzucając spamy reklamujące oferty pracy w domu, sprzedaż viagry i innych tego typu specyfików, randki w ciemno, bezpłatne programy. Niektóre z nich



wymagały opłat – zajmowali się tym telefoniści, którzy wyłudzali je od dzwoniących naiwnych lub zdesperowanych ludzi. Inni po prostu wyciągali informacje z kart kredytowych, by szybko ukraść z nich pieniądze lub tożsamość.

Tutaj koszty operacji były niskie, a zyski wysokie i regularne.

Ilia sam wymyślił odmianę wypróbowanego „nigeryjskiego przekrętu”, który nieustająco plasował się na czele listy oszustw przynoszących największe zyski. I dostarczał mu powodu do dumy.

Cieszyła go ta praca i uważał ją za ćwiczenie umysłu. Biznes szedł dobrze, dochód wzrósł w porównaniu z zeszłym rokiem. Żadne ostrzeżenia zamieszczane w sieci ani komunikaty przed wieczornymi wiadomościami nie były w stanie nauczyć ludzi rozumu ani poskromić w nich żądzy zarobienia łatwych pieniędzy.

A jedynymi środkami niezbędnymi do ograbienia głupców były komputery i telefony.

Akceptował przemoc, stosował ją, gdy była konieczna, nakazywał, gdy była uzasadniona. Ale preferował bezkrwawe przestępstwa.

Uważał się za biznesmena; zamierzał się wkrótce ożenić i założyć rodzinę. Wychowa swoich synów na biznesmenów, którzy krwawe porachunki pozostawią innym. Ludzie tacy jak Korotkij zawsze będą użyteczni, ale dla swoich synów miał inne plany.

Był zadowolony, słysząc dzwoniące telefony. Obsługujący je czytali teksty według przygotowanych scenariuszy, w razie potrzeby improwizując.

– Tak, może pan zarobić pieniądze w domu! Zwiększyć swoje dochody, ustalić własny plan pracy. Za niewielką opłatą dostarczymy wszystko, czego potrzeba.

Oczywiście niczego nie dostarczą, ale opłata wpłynie. Trochę mniej niż

czterdzieści dolarów amerykańskich. Doprawdy, niezbyt wygórowana cena za lekcję zdrowego rozsądku.

Porozmawiał krótko z kierownikiem, zanotował wysokość dziennego wpływu, po czym skierował się do drzwi.

Bawiło go ogólne westchnienie ulgi, gdy wychodził.

Miał wrodzoną umiejętność sprawowania władzy i czuł się w tej roli tak naturalnie jak w ulubionych garniturach Versacego.

Wyszedł z budynku i skierował się do czekającego samochodu. Wsiadł na tylne siedzenie, nie odzywając się do kierowcy ani słowem. Gdy SUV ruszył, wysłał SMS – a do kochanki.

Oczekiwał, że za dwie godziny będzie gotowa na jego wizytę. Potem napisał do narzeczonej. Spóźni się, ale ma nadzieję, że do północy zakończy spotkanie i inne sprawy biznesowe.

Samochód zatrzymał się przy krawężniku przed restauracją, dzisiaj zamkniętą z powodu prywatnego przyjęcia.

Jego ojciec nalegał na bezpośrednie spotkania raz w miesiącu, chociaż, zdaniem Ilii, to samo, ale bardziej efektywnie, można by załatwić przez skype'a i telekonferencje.

Niemniej Ilia dostrzegał walory tych spotkań w męskim towarzystwie połączonych z dobrym jedzeniem i zakrapianych wódką.

W lokalu podał swój kaszmirowy płaszcz ładnej brunetce o migdałowych ciemnych oczach. Miała na nosie fikuśne okulary w czarnych oprawkach. Chętnie by ją przeleciał w wolnym czasie.

Ojciec w towarzystwie kilku innych mężczyzn siedział już przy dużym stole w głównej sali. Na widok syna uśmiechnął się.

– Chodź, siadaj. Spóźniłeś się.

– Musiałem coś załatwić. – Ilia pochylił się, żeby pocałować w policzki

ojca, a potem stryja. – Mam wyniki finansowe naszych operacji z Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy. Zaraz cię z nimi zapoznam. Będziesz zadowolony.

– Świetnie. – Zanim Siergiej podniósł kieliszek, nalał Ilii wódkę. W wieku siedemdziesięciu lat był krzepkim mężczyzną, w pełni cieszącym się przyjemnościami życia.

– Za rodzinę! – wzniósł toast. – Za przyjaciół i pomyślne interesy!

Rozmawiając o interesach, raczyli się jak zwykle podczas tych spotkań tradycyjnymi rosyjskimi potrawami. Ilia jadł barszcz i słuchał raportów brygadierów i zaufanych żołnierzy. Z szacunku zadawał pytanie tylko wtedy, gdy ojciec skinął głową. Nad duszoną jagnięciną złożył sprawozdanie z interesów, które nadzorował osobiście.

Omawiano również problemy – aresztowanie żołnierza za narkotyki, konieczność zdyscyplinowania nieposłusznej prostytutki, przesłuchanie i pozbycie się podejrzanego informatora.

– Misza opowie teraz – oświadczył Siergiej – o naszych wtyczkach w policji.

Ilia odsunął talerz. Jeśli za dużo zje, nie będzie mógł w pełni cieszyć się swoją kochanką. Popijając wino, spoglądał na kuzyna.

– Pickto twierdzi, że jeszcze nie odkrył, w jaki sposób informacje o niektórych naszych interesach docierają do FBI.

– No to za co mu płacimy? – spytał Siergiej.

– Tak, stryju, zadałem mu to samo pytanie. Parę razy ostrzegł nas na czas, żebyśmy podjęli kroki dla ochrony naszych interesów, ale nie potrafi zidentyfikować kontaktu wewnątrz biura ani metody informowania. Podejrzewa jedną z trzech osób, ale one utrzymują ścisłą tajemnicę. Prosi o więcej czasu i środków.

- Więcej pieniędzy.
- Na łapówki, tak mówi.

Misza, ojciec czwórki dzieci, z apetytem kontynuował jedzenie. Ilia wiedział, że jego kuzyn nie ma kochanki, którą chciałby zaspokoić.

– Nie kwestionuję jego lojalności, ale zaczynam myśleć, że on i te dwa inne źródła, które tam mamy, nie są na tyle wysoko w hierarchii, by sprostać naszym potrzebom.

– Przyjrzymy się tym trzem ludziom. Ilia, ty i Misza zajmiecie się tym. Kimkolwiek jest ten agent w FBI i kimkolwiek jest informator, musimy z nimi skończyć. To kosztuje nas pieniądze, ludzi oraz czas. I nas obraża. – Siergiej odsunął talerz. – To mi przypomina o zadawnionej sprawie. Nie zapominamy o Elizabeth Fitch.

– Nie kontaktuje się z matką – zaczął Ilia. – Nigdy nie odkryliśmy żadnego kontaktu z policją. Jeśli nadal żyje, żyje w strachu. Nie stanowi realnej groźby.

– Dopóki żyje, jest groźna. I powtarzam, jest dla nas zniewagą. Ten Keegan, płacimy mu i jest użyteczny. Ale on nie potrafi jej znaleźć. Inni też nie mogą. To tylko kobieta. – Uderzył pięścią w stół. – Jak możemy zachować twarz, jeśli pokonuje nas jedna kobieta?

– Nie ustajemy w poszukiwaniach – zapewnił go Ilia.

– Nigdy nie przestaniemy. To sprawa honoru. Jakow?

– Tak, wuju. – Czas łagodnie obchodził się z Korotkijem, jak to zwykle bywa z człowiekiem, który lubi swoją pracę.

– Pomów z Keeganem. Przypomnij mu, dlaczego to ważne. Porozmawiaj również z Pickto. Pieniądze są motywacją, ale również strach. Niech się boją.

– Tak, wuju.

– Dobrze. To dobrze. A teraz – Siergiej klasnął w ręce – pora na deser!

## 16

Jakie to było łatwe, prawie naturalne. Zastanawiała się, czy przekroczyła jakąś granicę i teraz żyje normalnie, za czym zawsze tęskniła. Nie wiedziała, jak długo to będzie trwało, a więc każda chwila tej spokojnej normalności błyszczała blaskiem bezcennych diamentów.

Był u niej prawie co wieczór. Czasem razem gotowali, czasem przywoził jedzenie. Siedzieli przed domem albo wychodzili na spacer w jej ulubione miejsce, skąd rozciągał się widok na wzgórze. Pomagał jej w ogródku, w deszczowe wieczory uczył ją grać w remika, a potem udawał obrażonego, gdy za każdym razem wygrywała.

I sprawiał, że się śmiała.

Gdy dotykał jej w ciemności, wszystkie kotłujące się w niej niepokoje i wątpliwości znikaly. Za każdym razem, gdy budziła się obok niego w łóżku, radosne zaskoczenie trwało w niej godzinami.

Dzięki niemu poznawała mieszkańców miasta; wyobrażała ich sobie na podstawie zabawnych historii, które opowiadał, lub przypadkowych komentarzy. Okazało się, że kasjer często obsługujący ją w sklepie jest niekwestionowanym zwycięzcą zawodów w jedzeniu ciasta, które odbywały się co roku czwartego lipca w parku, menedżer z banku zaś iluzjonistą amatorem, występującym na przyjęciach dla dzieci. A najstarszy i najbliższy przyjaciel Brooksa spodziewał się właśnie drugiego dziecka.

Brooks był wieczorem pod telefonem i dwa razy musiał go odebrać w środku nocy. Ilekroć pozostawała sama, dom wydawał się jakiś inny. W ciągu dnia jej praca, codzienne zajęcia toczyły się swoim trybem, ale w nocy miała

wrażenie, że brakuje jej czegoś ważnego.

Robiła co w jej mocy, by zignorować dręczące ją przecucie, że wraz z końcem tego związku nic nie będzie już takie samo jak przedtem. Starła się więc skupić na chwili, godzinie, dniu, nocy. A potem na kolejnych.

Usiłowała się odprężyć i czekać, co przyniesie życie.

Stali nad klombem, podziwiając kwiaty, które właśnie posadzili. Większość tych roślin wyhodowała w szklarni i teraz cieszył ją ich widok w miejscu, które dla nich wyznaczyła.

Odkryła, że czyjaś pomoc wcale nie umniejszała jej radości.

Cieszyła ją także świadomość, że jest trochę brudna, spocona i nieco zmęczona oraz że lasagne ze szpinakiem, którą wcześniej przygotowała, wystarczy włożyć do piekarnika.

– Wygląda bardzo atrakcyjnie.  
– Wygląda wspaniale – poprawił.  
– Wygląda wspaniale. A za kilka tygodni będzie wyglądać jeszcze lepiej. Miło, że mi pomogłeś.

Pokazał zęby w szerokim uśmiechu.

– Naprawdę?  
– Naprawdę. Napijesz się piwa?  
– Mam dyżur telefoniczny, więc lepiej nie. Może być cola.  
– W porządku.

Jakie to proste, pomyślała, wchodząc do domu. Lubiała podawać mu drinki, przygotowywać posiłki. Odkryła, że gotowanie nie tylko dla siebie przynosi sporo satysfakcji. Lubiała również, gdy przywoził pizzę albo chińszczyznę, albo burgery na grill.

Myślała, że zrobi się tłoczno – w jej domu, życiu, w codziennej rutynie – gdy on będzie w tym uczestniczył, ale odnosiła osobliwe wrażenie, że jej

przestrzeń życiowa się powiększyła. Niepotrzebnie obawiała się, że jej praca – interesy oraz osobiste sprawy – ucierpi, gdy ktoś zajmie tyle czasu i miejsca w jej codzienności, przez ostatnie dwa tygodnie bowiem zrobiła bardzo dużo. Brooks wyręczał ją w wielu drobnych zadaniach i niemiłych obowiązkach albo rwał się do pomocy.

Nalewając colę na kostki lodu, przypomniała sobie, że nie mieszkają razem. Nie mogła dopuścić, aby to zaszło tak daleko. Ale trzymał w łazience swoje przybory toaletowe, a w szafie kilka ubrań.

Lubiła na nie patrzeć, gdy nie było go w pobliżu. Po prostu lubiła patrzeć na jego koszulę, maszynkę do golenia, skarpetki.

Były namacalnym dowodem jego obecności w jej życiu.

Albo w życiu, które próbowała zbudować.

Zerknęła przez okno, słysząc szczekanie Berta i śmiech Brooksa.

Bert biegał za żółtą piłką tenisową, jakby od tego zależało jego życie. Świetna zabawa, a jednocześnie pożyteczne ćwiczenie. Trochę to jednak dziwne, że pies tak dobrze reaguje na tego mężczyznę.

*Ami*, pomyślała.

Tak, zaprzyjaźnili się.

Wyniosła swoją szklankę z wodą i lodem oraz jego colę przed dom.

– Dzięki. Bert poleciałby za tą piłką do Teksasu, gdybym potrafił rzucić ją tak daleko.

– Uwielbia biegać, a to mu służy. I lubi bawić się z tobą, ponieważ rzucasz piłkę dalej niż ja.

– Dla mnie to też dobra zaprawa fizyczna. Dzięki temu nie będę musiał robić rozgrzewki w sobotę.

Na dźwięk telefonu poczuła ulgę. Przynajmniej nie będzie znów jej prosić, nie będzie nalegać. Wiedziała, jak bardzo chciałby, żeby przyjechała

w sobotę do parku i popatrzyła, jak gra w softball.

Nie była gotowa i nie wiedziała, czy kiedykolwiek będzie, żeby zmierzyć się z ludźmi, którzy tam przyjdą i którzy będą chcieli rozmawiać z nią lub o niej.

Chwyła mokrą, wymiętoszoną piłkę tenisową i rzuciła Bertowi, żeby kontynuował zabawę.

Usłyszała, jak Brooks mówi:

– Już jadę. – Potem, chowając telefon, zaklął: – Jasny gwint!

– Jakieś kłopoty?

– Rozwydrzony gówniarz na haju zdemolował apartament w hotelu i zaatakował menedżera.

– Och. Twojego przyjaciela Russa Conroya?

– Tak. Justin Blake to rozwydrzony bogaty dzieciak. Próbował walczyć z ochroniarzami. Teraz go przytrzymują aż do mojego przyjazdu. Przykro mi.

– To twoja praca.

– Trochę to potrwa, bo w grę wchodzi napastliwy, uprzykrzony dupek, jego upierdliwy, wpływowy tatuś i namolny adwokat, który dzięki wybrykom swego młodocianego klienta nosi mokasyny od Gucciego i popija chivas regal. Mogę już dziś nie wrócić.

– Nie ma sprawy.

– Łatwo ci mówić, nie ty tracisz lasagne.

– Zostawię ci trochę. Dobrze się przechowuje.

– Dzięki. Tak czy owak, zadzwonię do ciebie. Muszę się trochę umyć, zanim wyjadę. – Ujął jej rękę i pochylił się, aby ją pocałować. – Będę tęsknił.

Lubiła myśleć, że to prawda, w każdym razie trochę. Po raz pierwszy w jej życiu ktoś za nią tęsknił.

Pies przybiegł, gdy Brooks wszedł do środka, a potem po prostu stanął i



lekko dysząc, z piłką w zębach, wpatrywał się w drzwi.

– Wróci, jeśli będzie mógł – pocieszyła go Abigail. – Musimy dać sobie radę bez niego. Powinno nam wystarczyć własne towarzystwo.

Rzucając mu piłkę, pomyślała, że zrobi sobie sałatkę na kolację. Jedzenie lasagne bez Brooksa wydało jej się okropnie samotne.

Hotel znajdował się na niewielkim wzgórzu tuż przy granicy miasta. Trzypiętrowy wiktoriański budynek postawił w latach dwudziestych jako swój wiejski dom pewien przemytnik alkoholu, któremu dopisało szczęście. Odwróciło się ono jednak od niego na kilka dni przed końcem prohibicji, gdy siedział na werandzie z pewną Kubanką i szklaneczką moonshine'a, i jakiś rywal zastrzelił go z karabinu marki Henry.

Wdowa nigdy tu nie zawitała, a dom stopniowo popadał w ruinę. Najstarszy syn, miłośnik wyścigów konnych, sprzedał go od razu, ledwie go dostał.

Dziadek Russa odbudował i przeprojektował dom według własnego pomysłu i na wiosnę 1948 roku otworzył w nim hotel. Aczkolwiek w czasach Cecila Conroya hotel średnio prosperował, zarabiał na siebie. Gdy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych osiedliła się tu grupa artystów, ozdobiono hotelowe wnętrza wieloma płótnami, z których jedno przykuło wzrok bogatego kolekcjonera z Nowego Jorku.

Zainspirowany obrazem kolekcjoner wraz z grupą przyjaciół i znajomych zaczął tu regularnie przyjeżdżać na krótkie pobyty w celach biznesowych, wypoczynkowych czy randkowych.

W rezultacie na przełomie wieków hotel zarobił na remont, podczas którego dobudowano spa i kryty basen.

Trzecie piętro było najbardziej prestiżowe, miało całodobową obsługę i tu mieścił się najlepszy apartament.

Brooks stał właśnie w tym apartamencie z Russem u boku, patrząc na jasnozłote ściany, ciemne, politurowanie antyki, błyskotliwą lokalną sztukę.

Na wypolerowanej podłodze w kolorze kasztana odbijały się refleksy światła z wielkiego salonowego żyrandola. Masywny wazon z dmuchanego szkła, którym ewidentnie rzucono w sześć – dziesięciocalowy ekran telewizora, leżał roztrzaskany na ręcznie tkanym dywanie, oszpeconym plamami z czerwonego wina, zapewne pochodzącego z jednej z trzech pustych butelek.

Pozostałości po lampie Tiffany'ego połyskiwały wśród rumowiska naczyń, resztek jedzenia, mydelniczek z wylewającymi się petami i rozrzuconymi kasetami DVD z filmami pornograficznymi.

W niebiesko – złotym obiciu sofy ziały dziury po papierosach niczym niegodziwe oczy.

– Powinieneś zobaczyć sypialnię – skomentował Russ poranionymi i opuchniętymi ustami – Skurwysyny!

– Przykro mi, Russ.

– Wanna jest zaplamiona winem i moczem. Jeden z nich wyrwał kran. Nie pytaj o toaletę.

– Będą nam potrzebne zdjęcia stanu pierwotnego i obecnego. Możesz określić straty materialne, choćby w przybliżeniu?

– Ponad siedemdziesiąt pięć tysięcy, raczej bliżej stu. Jezu, nie wiem, Brooks. Może być nawet więcej, gdy zajrzemy pod spód tego, co widzimy i czujemy.

– Ilu ich było?

– Trzech. Dziewczyny wchodziły i wychodziły. Zarezerwowali apartament na nazwisko ojca Justina, użyli jego karty, gdy się meldowali. To znaczy Justin i jego dziewczyna. To było wczoraj wieczorem. Później –

sprawdzimy taśmy z monitoringu w holu – przyszło jeszcze dwóch chłopaków, jego stała drużyna: Chad Cartwright, Doyle Parsins, oraz dwie dziewczyny. Justin powiedział w recepcji, żeby ich wpuścili. Nie ma zakazu odwiedzin w pokoju. Zostali na noc. Recepcja i ochrona otrzymały kilka skarg od innych gości na hałas. Z tego, co wiem, dziewczyny wyszły po południu, a tych trzech spędziło cały dzień, paląc trawkę, zamawiając posiłki do pokoju i oglądając pornosy. Około szóstej znów zaczęliśmy otrzymywać skargi – na wrzaski, dzikie śmiechy, trzaski i łomotania. Zabarykadowali drzwi, nie chcieli ich otworzyć na żądanie kierowniczkę piętra. Przeszedłem na górę. Jezu, nawet w holu śmierdziało marychą.

Brooks tylko kiwał głową, pozwalając Russowi wylać wszystko z siebie. Jego przyjacielowi nadal trzęsły się ręce z powodu wściekłości i żalu, jak sądził Brooks.

– Powiedziałem temu gnojkiowi, że jeśli nie otworzy, wezwę policję i jego ojca. Żadnego strachu ani szacunku wobec tego, co ty reprezentujesz, Brooks, ale gdy zagroziłem, że zadzwonię po jego ojca i do innych rodziców wpuścił mnie. Ten skurwiel drwił sobie ze mnie. Kpił i powiedział, żebym się odpierdolił. Pokój jest opłacony. Widziałem, co tu zrobili, a przynajmniej część tego bajzlu. Dwaj pozostali leżeli na podłodze. Byłem zbyt wściekły, żeby tak to zostawić. Wiesz, co mam na myśli.

– Wiem.

– Poleciałem kierowniczkę piętra, która była ze mną, żeby wezwała ochronę. To wtedy ten śmierdzący gnój mnie walnął. – Ostrożnie potarł palcem zranioną wargę. – Carolee... znasz Carolee?

– Znam.

– Chwyła krótkofalówkę, zadzwoniła po Bena i kazała mu sprowadzić dwóch największych boyów hotelowych. Ona ma świetny

refleks. Ten pieprzony debil najpierw stał oparty o drzwi, a tamci dwaj byli tak narąbani, że posikali się ze śmiechu. Potem zaczął wykonywać wulgarne ruchy, uśmiechając się obleśnie do Carolee i zachęcając ją, żeby została z nim, to on ją tak wypierdoli, że ją trochę ożywi.

– Jezu Chryste.

Starając się zachować spokój, Russ przycisnął palce do oczu.

– On po prostu nie przestawał, Brooks. Gdy Ben i inni wpadli biegiem, zaczął kopać, próbował wymierzać ciosy, wrzeszczał. Carolee zadzwoniła na posterunek i Boyd przyleciał prawie od razu. Zadzwonił do Asha po wsparcie i razem zdecydowaliśmy, że powinniśmy cię zawiadomić.

– Dobrze zrobiliście. On prawdopodobnie ukradł kartę ojcu, ale to jego rodzice, staną za nim murem, powiedzą, że pozwolili mu z niej korzystać. Nie mogę tego udowodnić, ale zniszczenia, napaść...

Brooks zdał sobie sprawę, że sam też musi się trochę uspokoić.

– Sprowadzę tu Boyda z Alną; ona robi dobre zdjęcia. Zrobi dokumentację całości, a Boyd dokona oficjalnego przeszukania na okoliczność nielegalnych substancji, z Alną albo z tobą, albo z Carolee jako świadkami. Nawet jeśli wypalili i wciągnęli wszystko, co mieli, zawsze pozostanie jakiś ślad. Do diabła, widzę w tych mydelniczkach jointy pomieszane z petami po papierosach. Tym razem tatuś nie wyciągnie swego zdeprawowanego synalka z tego gówna. Oczywiście, jeśli wniesiesz oskarżenie.

– Masz to jak w banku.

– Dobrze. Już ich wzywam. Jeśli zostawisz tu Carolee, możesz ze mną pojechać. Złożysz oficjalne doniesienie, wniesiesz oskarżenie. Wezwiesz tu swoją firmę ubezpieczeniową, dostarczysz mi dobry, solidny opis i wycenę zniszczeń.

Russ skinął głową. Jego zaczerwieniona twarz zaczęła blednąć, by w końcu przybrać odcień niezdrowej białości, co wcale nie było lepsze.

– Już do nich dzwoniłem.

– No to w porządku. Potrzebujesz chwili oddechu?

– Nie. – Russ przyłożył ręce do twarzy i potarł nimi policzki. – O Boże, niedobrze mi. Muszę powiedzieć rodzicom. Niedobrze mi, gdy na to wszystko patrzę, ale szkoda czasu.

– A więc ruszamy.

Brooks pomyślał, że sam mógłby napisać scenariusz tej sztuki w trzech aktach. Justin Blake uczestniczy w jednej ze swoich hulanek; wezwana policja zabiera aroganckiego gnojka do aresztu; zanim policjant zdąży gówniarzowi odczytać jego prawa, do akcji wkracza Lincoln Blake wraz z depczącym mu po piętach adwokatem.

Gdy Brooks po oględzinach zniszczeń w hotelu i rozmowie z Russem dotarł na posterunek, Lincoln Blake już tam był ze swoim prawnikiem.

Blake powstał z krzesła.

Prezentował się imponująco – szerokie bary pod dobrze skrojonym garniturem, bycza szyja, krawat w paski. Zimne niebieskie oczy sponad ostrego nosa przeszywały rozmówcę świdrującym spojrzeniem.

Posiwałe włosy miał krótko ostrzyżone, w militarnym stylu, chociaż jak głosiła plotka, udało mu się uniknąć służby wojskowej.

– Rozumiem Russell, że mój syn i jego przyjaciele mogą być odpowiedzialni za pewne zniszczenia w twoim hotelu. Zapewniam cię, oczywiście, jeśli to okaże się prawdą, że się tym zajmę. Nie musisz się martwić.

– Panie Blake, przepraszam, że jestem niegrzeczny, choć w tych okolicznościach nie brzmi to szczerze, ale nie mam ochoty z panem

rozmawiać. Brooks, idę do twojego gabinetu, jeśli mogę.

– Idź.

– Posłuchaj, Russell – zaczął Blake, ale Russ się nie odwrócił. Twarz Blake’a stwardniała. – Hotelarz powinien rozumieć, że pewien procent kosztów ogólnych należy zarezerwować na poczet zniszczeń i amortyzacji.

– Panie Blake, ja też nie chcę teraz z panem rozmawiać.

Ponieważ Brooks przewyższał go wzrostem, Blake nie mógł spoglądać na niego z góry, ale uczucia miał wypisane na twarzy.

– Nie zapominaj, że jesteś tylko opłacanym przez nasze miasto funkcjonariuszem. Z taką postawą nie przetrwasz nawet roku na swoim stanowisku.

– Zaryzykuję. Zakładam, że pan powie, iż Justin miał pańskie pozwolenie na opłacenie apartamentu w hotelu, obsługi i innych wydatków za pomocą pańskiej karty kredytowej?

– Oczywiście

– To pańska sprawa. Reszta należy do mnie.

– Żądam natychmiastowego zwolnienia mojego syna. Naturalnie pokryjemy wszystkie straty.

– Powinien pan zatem wiedzieć, że wartość owych strat najpewniej zamknie się sześciocyfrową kwotą. No właśnie. – Brooks pokiwał głową, gdy oczy Blake’a zrobiły się okrągłe, a twarz mu poczerwieniała. – Nieźle zdewastowali te pokoje.

– Jeśli Russell Conroy albo jego ojciec, którego zawsze szanowałem, choć przez chwilę pomyśleli, że mogą napompować swój biznes, wykorzystując...

– Dwóch moich funkcjonariuszy przebywa teraz w hotelu i dokumentuje straty. Agent ubezpieczeniowy jest w drodze, żeby zrobić to

samo. Właśnie stamtąd wróciłem i widziałem wszystko na własne oczy. Moi ludzie poszukują również niedozwolonych substancji, śmierdzi tam bowiem marihuaną. Nie wiem, skąd pański syn lub jego przyjaciele wzięli czerwone wino lub brandy, piwo i inne trunki, ale butelki poniewierają się wszędzie, a im nie wolno jeszcze pić alkoholu. W dodatku pański syn przy świadkach zaatakował Russa. Rzucił się też na ochroniarza, również przy świadkach.

– Chcę porozmawiać ze swoim synem. Natychmiast.

– Nie. To ja z nim porozmawiam. Jego adwokat może być przy tym obecny. Ale chociaż prawo zabrania mu spożywania alkoholu, pański syn jest już prawnie dorosły. Może to trochę nielogiczne, ale takie jest prawo. Będzie pan mógł z nim porozmawiać, gdy ja skończę. I, panie Blake, Conroyów nie da się kupić, tak jak innych. Tym razem się nie uda. Justin zapłaci za swój wybryk.

– Przeginasz, Gleason, przeginasz i stracisz pracę.

– Powiedziałem już, że zaryzykuję. Przypuszczam, że Justin poprosił o prawnika, ale sprawdzę. Dopóki nie dowiem się, że skorzystał z tego prawa, nikt nie będzie z nim rozmawiał.

Brooks podszedł do Jeffa Noelle, jednego z funkcjonariuszy zatrudnionych na niepełny etat, który za wszelką cenę starał się być niewidzialny.

– Czy prosił o prawnika, Jeff? Wiesz coś o tym?

– Tak, panie komendancie. Powtarzał w kółko coś o prawniku, gdy Ash i Boyd ich tu przywieźli, i wrzeszczał do tych dwóch innych zatrzymanych, żeby się zamknęli.

– W porządku. – Brooks cofnął się. – Masz klienta, Harry.

– Chciałbym porozmawiać z moim klientem na osobności.

– Oczywiście, Jeff, zaprowadź pana Darnella do jego klienta.

– Tak jest, panie komendancie.

Ignorując Blake’a, Brooks poszedł do swojego gabinetu i zamknął drzwi.

– Tak jak się spodziewałem, Justin zażądał adwokata. Odbędą pogawędkę, a potem ja z nim pogadam. Napijesz się kawy?

– Nie. Nalałem sobie wody. Mój żołądek chyba nie przyjmie niczego innego.

– Teraz złożysz oficjalne zeznanie. Będziemy działać metodycznie, Russ. Chcę cię tylko ostrzec, że Blake na pewno zechce naciskać na ciebie i twoją rodzinę, żebyście przyjęli rekompensatę i pozwolili gnojkwowi się wyślizgać.

Policzki Russa zarumieniły się, przybierając nieomal kolor jego włosów.

– O nie, za żadne pieniądze. Moja mama kupiła ten żyrandol w Waterford, w Irlandii, specjalnie do tego salonu. Był jej dumą i radością. Choćby tylko dlatego, Brooks.

– Wiem. Odnotuję to.

– W porządku. – Russ na chwilę przymknął oczy i skinął głową. – Okej.

Gdy skończyli, Brooks z troską przyjrzał się przyjacielowi. Jego czerwona twarz pobladła, piegi wyglądały na niej jak cętki.

– Chciałbym, żeby Jeff odwiózł cię do domu, ale pewnie wolisz wrócić do hotelu.

– Muszę.

– Wiem. Odwiezie cię. Ja tu jeszcze trochę zabawię. Jak skończę, przyjdę do ciebie.

– Byłbym ci wdzięczny, Brooks. Tak czy owak, jeśli będziesz mógł zadzwonić, powiadom mnie, jak sprawy stoją.



– Zadzwoń, a gdy skończę, przyjadę do ciebie. Niech nikt na razie nie sprząta tego bałaganu, zgoda?

– A uważasz, że jak długo... Zresztą nieważne. – Russ podniósł dłoń. – Zgoda.

– Kazałem Boydowi zakleić drzwi taśmą policyjną. Wiem, że to ci się nie spodoba, ale im poważniej do tego podejdziemy, tym większą mamy szansę na zwycięstwo, jeśli Blake'owie zdecydują się na sąd.

– Rób, co uważasz za słuszne.

– Jeszcze jedna, ostatnia sprawa. – Brooks otworzył szufladę i wyjął cyfrowy aparat. – Powiedz coś do kamery.

Russ uśmiechnął się przelotnie i westchnął. Następnie ze złością popatrzył w aparat.

– Gównno.

Gdy Brooks wyszedł z gabinetu, Blake'a nie było już na posterunku. Prawdopodobnie poszedł polować na burmistrza albo grzał linie telefoniczne, wydzwanając do reprezentanta stanu, pieprzonego gubernatora.

– Haniebne – skomentowała Alma, podając Brooksowi kopertę. – Zrobiłam kupę zdjęć, tak jak kazałeś. Prawie złamały mi serce.

– Niech to cię pocieszy. – Boyd pomachał trzema torebkami na dowody. – Mamy tu marihuanę, kokainę i na dokładkę trochę oxycodonu.

– No to sprawa załatwiona. Zarejestrowałeś wszystko?

– Skrupulatnie i oficjalnie. Tak jak powiedziałeś, wzięliśmy kamerę wideo i Ash wszystko kręcił, podczas gdy ja robiłem przeszukanie. Trudno o lepszą dokumentację.

– Wykonaliście dobrą robotę, wszyscy. Czy Harry jest tam nadal?

– Nie wychodził.

– No to wracam i zaczynam od prowodyra tej bandy. Boyd, zabierz się

do Chada Cartwrighta, a ty, Ash, porozmawiaj z Doyle'em Parsinsem. Przypomnij im raz jeszcze o ich prawach. I wszystko zaprotokołuj. Jeśli któryś zażąda prawnika, przerwijcie.

– Na razie o nikogo nie prosili ani nigdzie nie dzwoniли – wyjaśnił Ash.

– Ostatnim razem, gdy sprawdzałem, obydwaj byli jeszcze półprzytomni.

– Zróbcie im pobudkę.

Brooks wrócił do maleńkiego pokoju przesłuchań. Z rozmachem otworzył drzwi.

– Czas, żebyśmy sobie porozmawiali, Justin.

Justin siedział rozwalony na krześle, z jedną ręką niedbale zarzuconą na oparcie. Tylko wydał usta.

– Panie komendancie, jeśli mógłbym na słówko. – Harry wstał i wymamrotał coś do Justina, co chłopak skwitował wzruszeniem ramion.

Harry wyszedł i zamknął drzwi. Był od Brooksa o głowę niższy i o piętnaście lat starszy. W dawnych czasach jako trener poprowadził drużynę Brooksa z Małej Ligi do zwycięstwa.

– Brooks, zdaję sobie sprawę, że tych trzech młodych ludzi dokonało pewnych zniszczeń w apartamencie hotelowym, i rozumiem też, że trochę wypili, co w ich wieku jest niedozwolone. Faktem jest, że wywiążą się z obietnicy naprawienia szkód, jeśli rzeczywiście takie są, a mojemu klientowi będzie wolno sprowadzić niezależnego rzeczoznawcę. I obydwaj wiemy, że zarzut picia alkoholu to drobiazg. Jakaś niewielka kara, może porada psychologiczna. A jeśli chodzi o atak, Justin twierdzi, że Russ był niezrozumiale zdenerwowany i to była jakaś przepychanka. A teraz...

Brooks wyciągnął z akt cyfrową fotografię rozciętej i spuchniętej wargi Russa.

– Czy to wygląda na efekt niewielkiej przepychanki?

Harry przyjrzał się zdjęciu, pokręcił głową, a potem przeczesał palcami krótką strzechę brązowych włosów.

– Nie jesteś zmęczony tym tańcem?

Harry machnął ręką i pokręcił głową.

– To moja praca, Brooks.

– Wiesz, są takie dni, gdy myślę, że moja praca jest mocno wkurzająca.

Ale twoja jest o wiele gorsza. – Brooks otworzył drzwi. Wyjął magnetofon i postawił go na stole.

Zauważył, że noc odebrała trochę blasku złotemu młodzieńcowi. Dobrze, pomyślał Brooks, spoglądając w jego butne, zaczerwienione oczy.

– Czy przeczytano ci twoje prawa, Justin?

– Taak. I mogę powiedzieć: odwał się.

– Justin! – ostrzegł Harry.

– Mam prawo do wolności wypowiedzi.

– Skorzystam z tego samego prawa. Zechce pan spojrzeć na to, panie mecenasie. – Brooks, siadając, położył na stole fotografie.

Gdy Harry je oglądał, Brooks przypatrywał się chłopakowi.

Justin Blake, jedyne dziecko Lincolna i Genny Blake'ów, urodził się w bogatej, wpływowej rodzinie i był przystojny. Rzeźbione rysy, nadąsane usta, niebieskie oczy i gęste blond włosy sprawiały, że w szkole średniej mógł przebierać w dziewczynach.

Być może doszedłby do czegoś samodzielnie – rozważał Brooks – może nadal jest to możliwe, ale jak dotąd pieniądze, prestiż i atrakcyjny wygląd przełożyły się jedynie na arogancję, złośliwy charakter i zawzięty brak szacunku do wszelkiego rodzaju autorytetów.

– Justinie Blake, jesteś oskarżony o zniszczenie cudzej własności, wandalizm, picie alkoholu i trzykrotną napaść.

– Ja pierdolę, wielkie mi rzeczy!

– To się jeszcze okaże. Jest jeszcze zarzut posiadania niedozwolonych substancji. Znaleźliśmy zioło, kokę i oxy, które ty i twoi kumple mieliście w apartamencie.

Justin uśmiechnął się ironicznie.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Mamy już w aktach twoje odciski. Założę się, że znajdziemy je na torebce z marihuaną i z kokainą, a może nawet na tabletkach. Jesteś pod nadzorem kuratorskim, a to oznacza, że nie wolno ci zażywać narkotyków, pić i stwarzać kłopotów. Złamałeś wszystkie trzy warunki.

– Mój ojciec wyciągnie mnie stąd w godzinę. Jeśli Harry chce dostać swoją sowitą zapłatę, do rana wszystko załatwi!

– Nie i nie. Nie tym razem. Russell Conroy wniósł oficjalną skargę. Moi ludzie przesłuchali świadków. Jak widzisz, dysponujemy dokumentacją fotograficzną zniszczeń. Mamy narkotyki, alkohol i wkrótce zatrzymamy dziewczyny, z którymi się zabawialiście wczorajszej nocy. Jeśli przypadkowo któraś z nich ma mniej niż osiemnaście lat, będzie to wisienka na torcie, ponieważ mogę dodać do oskarżenia ustawowy gwałt i molestowanie nieletnich. Ale nawet bez tej wisienki, tym razem nie dostaniesz zawieszenia, porad ani prac społecznych. Odsiedzisz wyrok.

Justin wystawił środkowy palec.

– Godzina!

– Naruszenie zawieszenia. Spójrz na zegarek. Jest ósma. Za późno na przesłuchanie przed sądem w sprawie wypuszczenia za kaucją. A więc będziesz naszym gościem aż do dziesiątej rano, kiedy to staniemy przed sędzią i wszystko mu wyłożymy.

– Gównno.

– Komendancie Gleason – wtrącił Harry – rodzice mojego klienta są szanowanymi członkami naszej społeczności. Jestem przekonany, że możemy uwolnić Justina i bezpiecznie przekazać go pod ich nadzór na jedną noc.

Brooks obrzucił go spojrzeniem twardym jak granit.

– W żadnym wypadku. Zostanie tutaj. Być może nie uda mi się jutro rano przekonać sędziego, aby nie zwalniał go za kaucją, ale do tej pory jest mój.

– Jesteś nikim. Jesteś tylko pyszałkowatym, wynajętym gliną, który wymachuje swoim kutasem! Mój ojciec może cię kupić i sprzedać sto razy za swoje drobne. Możesz mi naskoczyć!

– To zawstydzające, że mierzysz swoją wartość wysokością konta swojego ojca, powiedziałbym, gdybym chciał sobie zawracać dupę twoją pokręconą osobą. A oto, co mogę zrobić. Mogę cię aresztować i oskarżyć, co już zrobiłem. Mogę cię uwięzić do czasu, aż sędzia zdecyduje inaczej. Mogę, i uwierz mi, że to zrobię, zeznawać na twoim procesie, jeśli zdecydujesz się na sąd zamiast ugody, i opowiedzieć ze szczegółami o twoim złośliwym, beznadziejnym, destrukcyjnym postępowaniu.

– Mógłbym pozostać jeszcze chwilę sam na sam z moim klientem?

– Już rozmawialiście pół godziny.

– Brooks, potrzebuję jeszcze chwili.

– Zgoda. Gdy skończysz, wraca do celi.

Brooks wyszedł. Po niecałych dziesięciu sekundach usłyszał krzyk. Wiedział, że to małostkowe z jego strony, a poza tym zapewne nieprofesjonalne, ale zrobiło mu się lżej na sercu, gdy usłyszał, jak Justin wrzeszczy histerycznie niczym dwuletni dzieciak.

W domu pogrążonym w ciszy, z psem chrapiącym u stóp, Abigail uważnie przeglądała wykradzione z FBI dokumenty. Z przyjemnością skonstatowała, że agentka specjalna Elyse Garrison podążyła tropem, który jej podsunęła, i rozpracowała sprawę do końca. Pięć milionów sześćset tysięcy dolarów skonfiskowane przez FBI to niezła sumka, której strata musiała zboleć. Tak samo jak aresztowanie sześciu osób.

Co prawda to za mało, żeby Wołkowowie musieli zwinąć interes, ale na pewno ich rozjuszy i skłoni do gorączkowych poszukiwań źródła przecieku w swojej organizacji.

Usatysfakcjonowana zamknęła komputer. Najwyższa pora położyć się spać. Dochodziła północ, a na przyszły tydzień miała dwie terminowe prace do wykonania. Musi być wypoczęta, żeby rano przystąpić do dzieła.

Nie była jednak zmęczona. Co najwyżej niespokojna. Zajęta pracą i zbieraniem materiałów, cały czas czekała na telefon.

Ileż to razy w książce lub w filmie zdumiewała ją kobieta czekająca na telefon od mężczyzny? Uważała, że takiej kobiecie brakuje nie tylko poczucia własnej wartości, ale że jest ona po prostu głupia.

A teraz była zdumiona samą sobą.

Nie podobały jej się emocje, jakich doświadczała – ta kombinacja nerwów i obaw. Słaba, owszem, ale jednak obecna.

Nie chciała tego związku, przypomniała sobie; a już na pewno nie chciała znaleźć się w tak niezręcznej i żenującej sytuacji.

Nie potrzebowała telefonów, towarzystwa przy kolacji ani rozmów, niczego takiego. Wszystko to zakłócało rutynę codzienności, a co ważniejsze, mogło wywołać komplikacje, czego nie powinna ryzykować.

A jednak musiała przyznać, że miło było tego wszystkiego zaznać i choćby na krótko zapomnieć o przeszłości. Po prostu być Abigail.

Taką Abigail, która mu się podobała, z którą lubił przebywać.

Ale czy nie wpadnie w taką samą pułapkę jak przed laty? Czy tak samo jak wtedy nie wmawia sobie, że jest kimś innym niż w rzeczywistości, że może dostąpić rzeczy niemożliwej?

To dobrze, lepiej – a nawet najlepiej – że nie zadzwonił. Tym łatwiej wróci do dawnego życia, takiego, jakie było, zanim on je zmienił.

Zaparzy ziołową herbatę. Zabierze ją na górę i poczyta przed snem. Oto rozsądne posunięcie. Przecież jest rozsądna.

Gdy wstała, pies natychmiast się obudził. Poczłapał za nią do kuchni i kiedy zobaczył, że nalewa wodę do czajnika, usiadł i czekał.

Dobry pies, pomyślała, stawiając czajnik na kuchence, wygodny, dobrze zabezpieczony dom i satysfakcjonująca praca. To jej wystarcza do szczęścia.

A jednak gdy zabręczał alarm, zamiast zwykłego ukłucia napięcia i gotowości poczuła gwałtowny przypływ nadziei. Nieco zirytowana odwróciła się do monitora i patrzyła, jak Brooks podjeżdża pod dom.

Stanowczo za wiele się spodziewał, zjawiając się tu po północy. Żałowała, że nie zgasiła świateł i nie położyła się już do łóżka. Przynajmniej nie mógłby pomyśleć, że na niego czekała.

Powie mu, że właśnie zamierzała się położyć i jest zbyt zmęczona na towarzystwo. Proste i rozsądne, uznała, podchodząc do drzwi.

Otworzyła je, gdy wysiadał z samochodu. W blasku automatycznie zapalających się świateł dojrzała w jego ruchach i w twarzy wyczerpanie, złość i smutek.

– Przepraszam. – Chwilę stał u stóp schodków w jasnym kręgu światła.

– Powinienem zadzwonić wcześniej. I pojechać do domu.

– Nie zrobiłeś tego.

– Nie. Sprawy się skomplikowały. – Przesunął ręką po włosach. – Przyjechałem, zanim zorientowałem się, jak jest późno. Jeszcze się nie położyłaś.

– Nie. – Serce jej. zmiękło, gdy przyjrzała się jego twarzy. – Napijesz się herbaty?

– Brzmi zachęcająco. – Wszedł po schodkach. – Przepraszam, że cię nie zawiadomiłem, że to tyle potrwa.

– Musisz pracować. Ja też pracowałam.

W milczeniu objął ją i przycisnął twarz do jej włosów. Zdała sobie sprawę, że nie chodziło o przyjemność. Rozszyfrowanie wymowy tego uścisku zajęło jej chwilę. Szukał pocieszenia. Przyszedł do niej, szukając pocieszenia, jak nikt nigdy dotąd.

Zaczęła rytmicznie poklepywać go po plecach, ale przerwała. Zamknęła oczy, próbując sobie wyobrazić, czego sama by pragnęła w takiej chwili. W końcu drobnymi kolistymi ruchami pomasaowała mu plecy, aż usłyszała westchnienie ulgi.

– Woda się gotuje – powiedziała, słysząc gwizdek.

– Tak... – Ale zanim się cofnął, przytrzymał ją jeszcze chwilę.

– Powinieneś wejść. Muszę zamknąć drzwi.

– Ja to zrobię.

– Nie, ja... – Nie czułaby się w pełni bezpieczna, gdyby nie zrobiła tego sama.

– Okej. Zajmę się czajnikiem.

Gdy skończyła, nalewał wodę do pękatego czajniczka, do którego już wsypała odmierzoną ilość listków.



- Melisa, prawda? Moja matka też czasem parzy ją wieczorami.
- Jest relaksująca.
- Przyda mi się trochę relaksu.

Wyjęła drugą filiżankę i spodeczek.

- Czy u twojego przyjaciela wszystko w porządku?
- Nie do końca.

– Och. – Zawstydzona z powodu swojej wcześniejszej irytacji odwróciła się. – Został ranny?

– Oberwał pięścią w twarz, ale to nic nowego. Prawdopodobnie jeszcze nieraz mu się to przytrafi.

W ciszy postawiła na stole filiżanki, czajniczek, cukierniczkę i położyła łyżeczki.

– Powinieneś usiąść. Wyglądasz na bardzo zmęczonego. Musimy podzielić się sitkiem, gdy się zaparzy. Mam tylko jedno.

- W porządku.

Stała niepewnie, gdy on siadał.

- Chcesz coś zjeść? Mam lasagne. Można podgrzać.

- Nie, dziękuję.

- Wyglądasz na bardzo przygnębionego – wypaliła.

– Częściowo. Jestem też mocno wkurzony. Do jutra rana, zanim wrócę do tej sprawy, muszę się otrząsnąć.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć czy mam zmienić temat?

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Powinnaś usiąść, Abigail, i napić się herbaty.

- Nie wiem, czy jestem w tym dobra – odparła, siadając.

- W picciu herbaty?

- W pocieszaniu. Albo rozładowywaniu napięcia. Kiedy jesteś zły i

smutny, powinieneś dostać jedno i drugie.

Przelotnie położył rękę na jej dłoniach, a potem nalał herbatę.

– No więc tak: rodzina Russa posiada ten hotel od trzech pokoleń. Dla nich to nie tylko biznes, nie tylko źródło utrzymania.

– Ale ważna część ich rodzinnej historii oraz miejsca w społeczności.

– Tak. To ich duma i miłość. Justin Blake... słyszałaś o rodzinie Blake'ów?

– Owszem. Bardzo bogata i wpływowa tutejsza rodzina.

– Justin jest zepsutym, rozwydrzonym gnojkiem, z pociągami do jazdy po pijaku i złymi skłonnościami. Gdyby jego ojciec nie używał pieniędzy, wpływów lub politycznej presji – wszystkiego, co działa, żeby go z tego wyciągnąć, miałby już kartotekę kryminalną długą jak moje nogi. Ten gówniarz nie ma szacunku ani dla prawa, ani niczego innego.

– Trudno, żeby było inaczej, skoro ma poczucie całkowitej bezkarności. Przepraszam – dodała pośpiesznie. – Powinnam słuchać.

– Niczego nie powinnaś. W każdym razie oto jego ostatni wybryk: razem z dwoma podobnymi do niego dupkami wynajęli najlepszy apartament w hotelu i zdewastowali go. Zniszczyli.

– Dlaczego?

– Dla kopa adrenaliny, z nudów albo ot, tak sobie. Do wyboru, do koloru. – Brooks wzruszył ramionami i potarł twarz dłońmi. – Russ przyjechał do hotelu, żeby interweniować, ponieważ inni goście skarżyli się na hałas. W rezultacie Justin uderzył go, zaatakował ochronę i został aresztowany. Tym razem się nie wymiga. Wygląda na to, że straty wyniosą około stu tysięcy. Może więcej.

– To bardzo dużo.

– Tak, a Russ i jego rodzice nie poddadzą się, gdy Lincoln Blake będzie

ich naciskał. Ale miałem dziś jazdę z nim i jego synalkiem!

– Ty również nie ustąpisz.

– Ani trochę. Justin i jego kolesie spędzają noc w więzieniu. Jutro wyjdą za kaucją, Blake już tego dopilnuje. Ale Justin ma wybór. Dobrowolnie podda się karze i odsiedzi swoje albo będzie miał proces i też swoje odsiedzi. Tym razem się nie wywinie. W każdym razie Blake'owie zapłacą za straty do ostatniego centa. O Jezu, jaki jestem wkurzony! – Wstał i podszedł do okna. – Powinienem pojechać do domu.

– W domu nie byłbyś wkurzony?

– Byłbym, wszędzie byłbym wkurzony. Ten zarozumiały grubas z cygarem w gębie liczy na to, że mnie wystraszy, grożąc mi utratą pracy.

– Ojciec?

– Tak, ojciec.

– A może doprowadzić do twojego zwolnienia?

– No to niech się wypchają. Nie chcę tej roboty, jeśli nie mogę jej przyzwoicie wykonywać. Nie może jakiś uprzywilejowany dupek robić, co u diabła chce i oczekiwać po mnie, że będę udawał, że nie widzę.

– Pieniądze to potęga – rzekła cicho Abigail. – Ale nie jedyna.

– Zobaczymy. Jak już załatwiłem z prawnikiem, pojechałem jeszcze z Russem i Seline, jego żoną, do jego rodziców. Ona płakała. Pani Conroy. Ta słodka, urocza kobieta, która zawsze miała ciasteczka z masłem orzechowym w słoiku, po prostu załamała się i rozplakała. Powinienem już dawno znaleźć sposób, żeby posadzić tego małego skurwysyna, zanim sprawy zajdą tak daleko.

– Nie możesz obwiniać się za to, co zrobił ten człowiek albo do czego zdolny jest jego ojciec, zwłaszcza że ten schemat zachowań miał już miejsce, zanim objąłeś stanowisko szefa tutejszej policji. Postąpiłeś słusznie,

aresztując go i zbierając dowody dla prokuratora, żeby w procesie uzyskać wyrok skazujący. No cóż, to niezbyt współczujące słowa – zdała sobie sprawę.

Brooks odchylił się na krześle i podniósł filiżankę z herbatą.

– Mimo to dobrze mi zrobiły. Znam logikę wypadków, Abigail.

– Ale twój przyjaciel i jego rodzina zostali skrzywdzeni. Pod względem emocjonalnym, jak również finansowym, fizycznym i kryminalnym. Ludzie powinni płacić za swoje postępowanie. Powinny być konsekwencje. I sprawiedliwość. – Na moment zacisnęła rękę na stole w pięść, zanim z wysiłkiem się odprężyła. – Trudno nie odczuwać smutku, złości, a nawet beznadziei, gdy dzieją się złe rzeczy, ponieważ strach, wpływy i pieniądze często przeważają nad sprawiedliwością.

Pochylił się do przodu i nakrył dłonią jej rękę.

– Kto cię skrzywdził?

Pokręciła głową i nic nie powiedziała.

– Aha, nadal nie jesteś gotowa.

– Co będziesz robił jutro?

– O siódmej trzydzieści mam spotkanie z prokuratorem, żeby jeszcze raz rzucić okiem na dowody. Gówniarze zostaną postawieni w stan oskarżenia, odbędzie się przesłuchanie przed sądem o zwolnienie za kaucją. Spodziewam się, że Justin i ci dwaj zostaną wypuszczeni aż do procesu. Nie sądzę, żeby od razu się przyznał. Może w miarę upływu czasu, jeśli prawnicy niczego nie namieszają. Conroyowie są tak wściekli, że wystąpią również z oskarżeniem cywilnym. Nie będę im tego odradzał. Najwyższy czas na presję także z finansowej strony.

– A więc wiesz, co i jak masz robić. Czy oni mogą zastosować przemoc?

– Chłopak jest dość narwany.

– Chodziło mi o to, czy mogą spróbować zrobić krzywdę tobie albo rodzinie twojego przyjaciela? Użyć przemocy jako metody zastraszenia.

– Głowy nie dam, ale nie sięgałbym tak daleko. Blake'owie wolą posługiwać się pieniędzmi.

Abigail zamyśliła się.

– Nie wierzę, że mogą doprowadzić do twojego zwolnienia.

– Tak uważasz?

– Twoja rodzina jest zasiedziała w tutejszej społeczności. Jest lubiana i szanowana. Ty sam też. Przypuszczam, że twój przyjaciel oraz jego rodzina, którzy od pokoleń prowadzą biznes w mieście i posiadają tu jedną z głównych nieruchomości, są również cenieni. Jakies lekkomyślne i samolubne wyrostki zniszczyły ich własność, a więc współczucie i oburzenie będą po ich stronie. Te uczucia są również bronią. Na podstawie tego, co dzisiaj powiedziałeś, wnioskuję, że Blake'ów się trochę boją, ale ich nie lubią. Niewykluczone, że wielu ludzi w mieście będzie zadowolonych, że ich syn poniesie karę za swoje wybryki.

– „Wnioskuję”... Jak za pomocą takich słów, udaje ci się poprawić mi nastrój?

– Rzeczywiście?

Tym razem położył rękę na jej dłoni i tam ją pozostawił.

– Miałaś rację, że byłem smutny. Byłem też wkurzony i sfrustrowany, a poza tym trochę roztkliwiłem się nad sobą. Teraz pozostała we mnie odrobina współczucia dla siebie oraz potężna wściekłość. Z niecierpliwością czekam, żeby w końcu kopnąć kogoś w dupę, mówiąc językiem prawniczym.

– Czyli już dobrze?

– Naprawdę dobrze. – Ucisnął jej rękę. – Powinienem już pójść.

– Chciałabym, żebyś został.

Odwrócił jej dłoń i ich palce się splotły.

– Bogu dzięki.

– Powinniśmy pójść do łóżka.

– Dwa umysły, jedna myśl.

– Jest późno – powiedziała, wstając, aby zebrać naczynia po herbacie. – Jesteś zmęczony. I myślę, że nadal trochę smutny. Seks wyzwala endorfiny, a więc przez krótki czas poczujesz się... – Urwała, widząc, że uśmiecha się do niej szeroko.

– Jestem w tobie już w połowie zakochany – powiedział – i nieuchronnie zmierzam w kierunku trzech czwartych.

Coś wewnątrz niej wybuchło, jakby promień słońca, zanim zgasła go narastająca fala paniki.

– Nie rób tego.

– Tego się nie „robi”. To się po prostu zdarza albo nie.

– To tylko mieszanka seksualnego i fizycznego zauroczenia oraz napięcie na styku wzajemnego zainteresowania i konfliktu interesów. Ludzie często mylą reakcję hormonalną i pewną zgodność charakterów z miłością.

Wstając, nadal się uśmiechał, ale coś w błysku jego oczu, gdy do niej podchodził, skłoniło ją do zrobienia ostrożnego kroku w tył.

Położył dłonie na jej ramionach i pochylając głowę, musnął jej usta.

– Sza! – Znów ją pocałował. – Chyba nie chcesz mi wmawiać, co czuję albo czego nie czuję? Bo to może znowu mnie wkurzyć. A tego nie chcemy, prawda?

– Nie, ale...

– Sza! – wyszeptał prosto w jej usta. – Piękna Abigail, jakże podejrzliwa i inteligentna. I nerwowa.

– Nie jestem nerwowa.

– Nerwowa – powtórzył, przebierając kciukami po bokach jej piersi, a jego usta kontynuowały zabawę z jej ustami, pocierając je, muskając i lekko przygryzając. – Gdy nie jesteś do końca pewna, co dalej, gdy nie opracowałaś kolejnych kroków albo gdy trzeba obrać okrężną drogę. Lubię to twoje zdenerwowanie.

– Dlaczego?

– To pełne ciekawości pytanie też lubię. – Ściągnął z niej bluzkę, obserwując jej zaskoczenie i... tak, lekkie zdenerwowanie, ten błysk w jej oczach. – Lubię świadomość, że sobie nie wyobraziłaś... mnie, tego... w pełni. – Przesuwał dłońmi po jej bokach, po piersiach i w dół ciała. – Akcja i reakcja, prawda? Lubię twoje reakcje.

Czuła swoje nerwy, to fakt. Wydawały się pełzać po skórze, skręcać brzuch, ścisnąć serce, żeby zwiększyło tempo uderzeń. Wszystko w niej miękło, a potem twardniało, rozluźniało się, a potem znów napinało. Czy mogła w takiej chwili zachować czujność?

– Powinniśmy pójść na górę.

Poczuła na szyi jego wargi i palce sunące do góry po jej plecach.

– Dlaczego? – wymamrotał, rozpinając jej stanik. – Lubię twoją kuchnię. – Poruszył stopami, zrzucając buty. – Jest ciepła. Dobrze urządzona. I uwielbiam, jak reagujesz na mój dotyk, Abigail.

Utonęła w pocałunku, od którego zawirowało jej w głowie; pozostawił ją słabą, bezbronną, oszołomioną. Uwiedzenie... Nigdy nie została uwiedziona – nie było to konieczne – ale teraz poznała jego smak. Jej ciało się poddało.

Łaknąc dotyku jego skóry, mięśni i kości, zachłannie wsunęła ręce pod jego koszulę, znajdując tam ciepłe, solidne, gładkie ciało. Straciła oddech,

gdy ją podniósł i posadził na kuchennym blacie. Zanim zdołała doznać szoku z tego powodu, przywarł ustami do jej piersi.

Tak gorąca, tak wilgotna i napięta wydała z siebie krótki okrzyk oszołomionej rozkoszy. Później dojdzie do wniosku, że orgazm, który ją przeszył, był w takiej samej mierze rezultatem szoku, jak i pobudzenia zmysłów. Ale teraz jakby ją przyłapał nieprzygotowaną, zaskoczył i pozostawił drżącą i bezbronną.

– Brooks... – Chciała powiedzieć mu, żeby się wstrzymał, poczekał, aż złapie równowagę, ale jego wargi znalazły się znów na jej ustach, biorąc je we władanie tak szybko i głęboko, że mogła tylko dygotać i ulec.

Zdała sobie sprawę, że nikt nigdy jej nie zdobywał. I nigdy tak całkowicie się nie poddała, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu, by odzyskać kontrolę.

Boże, on chciał ją posiąść, ujarzmić tę jej fascynującą, żelazną samokontrolę.

Rozpiął jej suwak i częściowo ją unosząc, ściągnął z niej dzinsy. Nie zdążyła oprzytomnieć ani instynktownie zaprotestować, gdy znów zamknął jej usta pocałunkiem. Głaskał ją, pobudzająco, lecz delikatnie. Już była gorąca, wilgotna, już balansowała na krawędzi. Chciał przedłużyć jej podniecenie, utrzymać je, aż ją przytłoczy i w końcu pokona.

Chciał widzieć, jak to się dzieje.

Gęste i słodkie powietrze odurzało, każdy oddech upijał coraz bardziej. Rozkosz, jaką jej dawał, była tak kompletna, totalna, że czuła się jak w pułapce, jakby wciągana w bagno. Złapał jej sutek w zęby, doprowadzając ją do ekstazy na pograniczu bólu, i dalej ten żar rozniecał.

Pomyślała, że dłużej tego nie zniesie, nie wytrzyma, a wtedy jak grom przyszło wyzwolenie. Usłyszała własny jęk, długi, gardłowy dźwięk, a głowa



jej opadła ciężko na jego ramię.

Chciała go objąć, wtulić się w niego, ale on pochylił ją do tyłu, otoczył się w pasie jej drżącymi nogami i w nią wszedł.

Nowy szok, świeży orgazm. Mocny, szybki, gwałtowny. Narastająca powódź przeradzająca się w dziki poryw przyływu. Pociągnął ją w tę kipieli, zatopił, aż brutalna fala wyrzuciła ją na powierzchnię. Dryfowała niczym rozbity wrak, aż do niej dołączył.

Powoli rozpoznawała bicie jego serca przy swoim, jego urywany oddech rozrywał jej ucho. Czuła pod sobą gładką powierzchnię blatu, a pod przymkniętymi powiekami oślepiający blask kuchennych lamp.

Potrzebowała chwili, by znów odzyskać równowagę, a potem będzie mogła...

Zaskoczył ją znów, gdy zsunął ją z blatu prosto w swoje ramiona.

– Nie musisz...

– Sza – powtórzył jeszcze raz i zaniósł ją na górę do łóżka.

Rano pierwsza zeszła na dół. Przystanęła na progu kuchni i w osłupieniu jej się przyglądała. Zostawiła zapalone światło, co było bezmyślnym marnowaniem energii. Ale nie to ją szczególnie zdenerwowało. Na podłodze leżały rozrzucone ubrania, jego i jej-

W bezradnym zdumieniu przyglądała się roboczemu blatowi. Nigdy nie rozumiała potrzeby uprawiania seksu w niezwykłych miejscach. Jaki to miało sens, gdy łóżko czy kanapa były o wiele wygodniejsze i bardziej dostosowane? Chociaż od czasu do czasu z przyjemnością uprawiała seks pod prysznicem.

Widocznie miała pod tym względem zbyt konserwatywne poglądy. Zastanawiała się, ile czasu minie, zanim spokojnie będzie mogła wykonywać tu codzienne kuchenne czynności.

Zaczęła parzyć kawę, potem zebrała wszystkie rzeczy i starannie je złożyła. Zanim zszedł Brooks, nago, doprowadziła kuchnię do porządku i przygotowywała śniadanie.

– Chyba zostawiłem tu swoje ubranie. – Wyraźnie rozbawiony, wziął dzinsy. – Nie musiałaś tak wcześnie wstawać, żeby robić śniadanie.

– Lubię wstawać wcześnie i nie przeszkadza mi robienie śniadania. Masz przed sobą trudny dzień. Poczujesz się lepiej, jeśli coś zjesz. To tylko omlet i grzanki.

Gdy się odwróciła, wkładał właśnie koszulę, przypatrując się jej bystrymi, niespokojnymi oczami.

– Wolałabym, żebyś tak na mnie nie patrzył.

– Jak?

Odwróciła się, by nalać kawę.

– Nie wiem.

Podszedł do niej od tyłu, luźno objął ją ramionami i pocałował w szyję.

– Minał trzecią i zbliża się do celu – wymamrotał.

– To termin z bejsbola. My nie gramy w bejsbol. Nie wiem, co to znaczy.

Odwrócił ją i lekko pocałował w usta.

– Ależ tak, wiesz. Nie ma się czego obawiać. – Pomasował jej napięte ramiona. – No nic, nie denerwuj się. Z czym jest omlet?

– Trzy sery, szpinak i papryka.

– Brzmi wspaniale. Zrobię grzanki.

Poruszał się po jej kuchni z taką swobodą, jakby tu przynależał. Panika znów podeszła jej do gardła.

– Nie jestem... Jak to się mówi? Nie jestem do tego stworzona.

– Do czego?

– Do wszystkiego.

– Ja jestem. – Włożył kromki chleba do tosteru i oparł się o blat. – Nie byłem tego pewien, dopóki cię nie poznałem. Ale jestem do tego stworzony. Z mojego punktu widzenia, ty również. A więc zobaczymy.

– Nie jestem taka, za jaką mnie uważasz.

Przyjrzał się jej uważnie i powoli skinął głową.

– Może nie we wszystkich szczegółach. Być może. Ale patrzę na ciebie, Abigail, słucham cię i myślę, że w tych sprawach, które się liczą, jesteś.

– To nie jest... – Omal nie powiedziała mu, że to nie jest jej prawdziwe imię. Jak mogła się tak uwikłać, być tak nierozważna? – To nie jest coś, co powinieneś wiedzieć.

– Wiem, że nie to zamierzałaś powiedzieć. Umiem odczytywać ludzi. To część mojej pracy. Wiem, że się czegoś boisz. Albo kogoś. Dostałaś w życiu mocny cios lub dwa i robisz wszystko, żeby się chronić. Nie mogę mieć ci tego za złe.

Światło wlewające się przez okno za nim tworzyło aureolę wokół jego włosów. Ciemnych włosów, nadal potarganych po nocy od jej rąk.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Masz na dnie oczu mnóstwo sekretów i ogromny ciężar na barkach. Ciągle wierzę, że pewnego dnia podzielisz się ze mną tymi sekretami i tym ciężarem, a gdy już to zrobisz, pomyślimy oreszcie.

Pokręciła głową i odwróciła się, aby wyłożyć omlety na talerze.

– Nie powinniśmy o tym rozmawiać, zwłaszcza teraz. Spóźnisz się na spotkanie, a ja mam dwa kontrakty, nad którymi muszę popracować.

– Gratulacje. Może przywiozę coś dzisiaj na kolację?

– Mam lasagne.

– To nawet lepiej.

Gdy grzanki wyskoczyły z tosterka, postawiła talerze, a potem usiadła, czując nagły przypływ złości.

– Nie zapraszałam cię.

– Już to przerobiliśmy.

– Nie potrafię przejść nad tym do porządku dziennego.

Przyniósł tosty i siadając, położył kromkę na jej talerzu.

– Wygląda nieźle.

– Zmieniasz temat. Wolisz się zgodzić niż dyskutować. Ponieważ jesteś i tak pewien, że w końcu wszystko będzie tak, jak ty chcesz.

– Ty też jesteś niezła w odczytywaniu ludzkich myśli. – Ugryzł kęs omleta. – Smakuje wspaniale. Mogłabyś gotowaniem zarabiać na życie.

– Jesteś frustrujący.

– Wiem, ale dla wyrównania jestem taki przystojny.

Nie chciała się uśmiechnąć, ale nie mogła się powstrzymać.

– Nie jesteś aż tak przystojny.

Roześmiał się i dokończył śniadanie.

Gdy wyszedł, rozważała różne opcje.

Oczywiście nie mogła mu powiedzieć. Ale załóżmy, że by to zrobiła – co by to dało?

Była ścigana jako świadek w sprawie morderstwa dwóch agentów US Marshals. Będąc policjantem, musiałby ją zadenuncjować. Wysoce wątpliwe, aby dożyła złożenia zeznań. Wołkowowie znaleźliby sposób – najprawdopodobniej przez jedną ze swoich wtyczek w policji – żeby do niej dotrzeć i ją zlikwidować.

Ale załóżmy, że Brooks jej uwierzy i świadom zagrożenia nie będzie tak skory, by wypełnić swój obowiązek.

Próbowała sobie wyobrazić, że będzie mogła opowiedzieć mu o Johnie i Terry, o Julie i o wszystkim, co wydarzyło się od tamtych strasznych nocy. Ale nie potrafiła. Nie potrafiła teoretyzować, jak by się czuła, gdyby mogła podzielić się swoim ciężarem z nim lub z kimkolwiek innym.

Pomyślała, że jest życzliwy i ceni sprawiedliwość, robiąc właściwe rzeczy z właściwych powodów. Pod wieloma względami w podstawowych, istotnych kwestiach, przypominał jej Johna.

Jeśli mu powie, a on jej uwierzy, to być może będzie tak jak John silnie zmotywowany, żeby ją chronić, pomóc jej. Czy w ten sposób nie narazi życia?

To był kolejny powód, żeby radzić sobie samej, żyć tak, jak żyła przez dwanaście ostatnich lat.

Ale wszystko już się zmieniło, przypomniawszy sobie. Wszystko jest inaczej, niż było. On tego dokonał; pozwoliła mu na to.

A więc jeśli mu powie, skoro jej równowaga już została zachwiana, musi się przygotować na wyjazd, na kolejną ucieczkę, zmianę nazwiska, niezależnie, czy Brooks jej uwierzy, czy nie.

Właśnie dlatego, z całkiem logicznych i racjonalnych przyczyn, nie może mu powiedzieć. Musi liczyć na to, że ich związek stopniowo straci na intensywności, a ona odzyska równowagę.

I jej życie z wolna powróci do normy.

Te wnioski powinny ją uspokoić, wzmocnić, przekonać. Ale zamiast tego czuła się nieszczęśliwa i nadal była zdenerwowana.

Tego poranka sprawy potoczyły się w znacznej mierze tak, jak przypuszczał Brooks, a nawet w kilku punktach korzystniej dla poszkodowanych.

Spodziewał się, że Justin oraz jego dwaj niezrównoważeni kumple wyjdą za kaucją, i liczył, że sędzia ustanowi ją wystarczająco wysoką, aby trochę im dopiekła.

Harry oczywiście się sprzeciwiał – musiał wykonywać swoją robotę – ale sędzia pozostał stanowczy. Conroyowie może nie mieli tak zasobnych kieszeni jak Blake’owie, ale cieszyli się powszechnym szacunkiem i o niebo większą sympatią.

Według Brooksa tym razem trafiła kosa na kamień.

Ze swojego miejsca na sali sądowej obserwował, jak Blake kipi wściekłością, Justin uśmiecha się szyderczo, pozostali dwaj oskarżeni pochylają głowy i wbijają wzrok w ziemię, a ich rodzice siedzą z kamiennymi twarzami.

Musiał powstrzymać uśmiech, gdy sędzia przystał na żądanie prokuratora, aby trzech oskarżeni oddali paszporty.

– To haniebne! – Blake uniósł się, słysząc decyzję sędziego, a Brooks wykonał w myślach taniec szczęścia. – Nie będę tolerował insynuacji, że mój syn ucieknie przed tymi absurdalnymi oskarżeniami. Żądamy rzetelnego przesłuchania!

– Będziecie je mieli. – Sędzia Reingold, który co niedziela grał z Blakiem w golfa, stuknął młotkiem. – Sądowi należy się szacunek, Lincoln. Usiądź i trzymaj język za zębami, bo inaczej każę cię wyprowadzić.

– Nie myśl, że możesz tak sobie siedzieć i mi grozić. Pomogłem ci

włożyć tę togę.

Za okularami w drucianej oprawce oczy Reingolda zabłyśły.

– I tak długo, jak ją noszę, okażesz jej szacunek. Usiądź i zamknij usta, albo – to pewne jak dwa razy dwa – ukarzę cię za obrazę sądu.

Blake odsunął Harry’ego, który usiłował interweniować.

– Już ja ci pokażę obrazę!

– Właśnie to zrobiłeś. – Reingold znów uderzył młotkiem. -

Pięćset dolarów. Woźny, proszę wyprowadzić pana Blake’a, zanim podniosę grzywnę do tysiąca dolarów.

Blake, czerwony na twarzy, z zaciśniętymi zębami, odwrócił się na pięcie i sam opuścił salę. W drzwiach zatrzymał się jeszcze, żeby posłać Brooksowi mordercze spojrzenie.

Brooks wysłuchał do końca prawniczych przepychanek, pouczeń, ostrzeżeń i ustalania terminów. Począł, aż Justin i jego przyjaciele zostaną odprowadzeni do celi, gdzie mieli siedzieć do czasu wpłacenia kaucji.

Nadspodziewanie usatysfakcjonowany musiał się kontrolować, aby nie podskakiwać z radości, gdy podchodził do Russa i jego bliskich. Nie miał wątpliwości, że obecność całej rodziny Conroyów – w tym Russa z rozciętą wargą i pani Conroy walczącej ze łzami – miała wpływ na orzeczenie sędziego.

– Ten pompatyczny nadęty despota Blake tylko pogorszył sytuację swoją i tych złośliwych chłopaków. – Seline, której pociemniałe oczy rzucające iskry kontrastowały z jej zazwyczaj spokojnym jak niedzielny poranek temperamentem, opiekuńczym gestem obejmowała teściową. – Bardzo mi się podobało. Żałowałam tylko, że znów nie otworzył ust, bo to by go drożej kosztowało.

– Nie byłem pewien, czy Stan przeciwstawi się Lincolnowi. – Mick

Conroy skinął głową w stronę sądu. – Trochę mi się humor poprawił. Zbiorę teraz: twoją mamę do domu – rzekł do Russa.

– Chcesz, żebym z wami pojechał?

Hilly, po której syn odziedziczył jaskraworude włosy, ze smutkiem w oczach pokręciła głową. Pocałowała Russa w policzek.

– Damy sobie radę sami. – W następnej kolejności pocałowała Brooksa. – Jesteśmy ci bardzo wdzięczni.

– Nie ma za co.

– Ona nadal jest przygnębiona – powiedziała cicho Seline, gdy teściowa odeszła. – Ani przez chwilę nie była wściekła. Chciałabym, żeby zdobyła się na złość. Poczulaby się o wiele lepiej.

– Ty jesteś wystarczająco wściekła za nas wszystkich.

Seline uśmiechnęła się nieznacznie.

– Bóg jeden wie, jak bardzo. Muszę wracać do szkoły. Dzieciaki już pewnie dały się we znaki mojej zastępczyni. – Mocno uściskała Brooksa, a potem odwróciła się do męża i przez dłuższą chwilę go przytulała. – Nie przejmuj się tak, misiu – powiedziała.

– Postawię ci kawę – zaproponował Brooks przyjacielowi, gdy zostali sami.

– Powinienem pojechać do hotelu.

– Daj sobie dziesięć minut, odpręż się.

– Przyda mi się. Okej. Zaraz się spotkamy.

W chwili, gdy Brooks wszedł do lokalu, Kim złapała dzbanek z kawą i pospieszyła ku niemu najkrótszą drogą. Wskazała mu boks, odwróciła stojący na stole kubek i naląła kawę.

– Coś jeszcze? – spytała.

– Tylko kawa, dzięki.



Szturchnęła go w ramię.

– Jak mam utrzymać swoją pozycję królowej plotek, jeśli nie dostarczasz mi żadnej pożywki? Chcesz mojej detronizacji?

– Oczywiście, że nie. Nie możemy do tego dopuścić. Ustalili kaucję.

Gwałtownie się skrzywiła.

– Powinnam się domyślić, że Stan Reingold znajdzie jakiś kruczek prawny dla Lincolna Blake’a.

– Tego bym nie powiedział, Kim. Spodziewałem się, że ustalą kaucję. Ale nie sądziłem, że będzie taka wysoka, i gwarantuję ci, że Blake również.

– No, to już coś.

– I skonfiskował im paszporty aż do końca procesu.

– No proszę, proszę. – Kim zacisnęła usta, a potem z satysfakcją skinęła głową. – Cofam wszystko. To musiało sparzyć tę tłustą dupę Blake’a.

– Och, śmiem twierdzić, że poczuł żar. Wybuchnął i sędzia wlepił mu pięćset dolarów za obrazę.

Tym razem klepnęła Brooksa w ramię.

– Nabierasz mnie!

– Przysięgam na Boga.

– Podwójnie wszystko cofani. Następnym razem, gdy Stan Reingold wpadnie, poczęstuję go ciastem na koszt firmy. Słyszysz, Lindy? – zawołała do mężczyzny stojącego przy grillu. – Stan Reingold przysolił Lincolnowi Blake’owi pięćset dolców za obrazę.

Lindy odwrócił się, trzymając w zaciśniętej pięści kuchenną łopatkę.

– Czas najwyższy, sukinsyn za dużo sobie pozwala. Kawa na mój koszt, Brooks. – Lindy podbródkiem wskazał drzwi. – Dla niego też.

Widząc wchodzącego Russa, Kim odwróciła drugi kubek.

– Siadaj tu, słodziutki. – Wspięła się na palce i pocałowała go w

policzek. – Kawa i cokolwiek tylko zechcesz, na koszt firmy. Nie zapomnij przekazać rodzinie, że wszyscy ludzie coś warci w tym mieście współczują wam i w stu procentach są po waszej stronie.

– Przekażę. Dzięki, Kim. To wiele znaczy.

– Wyglądasz na wycieńczonego. Może kawałek francuskiej szarlotki by cię ożywił?

– Teraz nie mogę. Może następnym razem.

– Zostawię was, żebyście sobie pogadali, a jak będziecie czegoś potrzebować, zawołajcie.

Brooks udawał, że się dąsa.

– Mnie nie zaproponowałaś szarlotki.

Russ z trudem zdobył się na blady uśmiech.

– Najpierw musiałaby ci współczuć. Wiedziałeś o paszportach?

– Wiedziałem, że tego zażądamy, ale nie wyobrażałem sobie, że Reingold się do tego przychyli. Zaskoczył mnie, ale może źle go oceniałem.

– Już wiele razy pozwolił synalkowi Blake’a się wyslizgać.

– To prawda, ale teraz chyba czuje powagę sprawy. Może być kompanem Blake’a od golfa, ale nie może i myślę, że nie chce puścić tego płazem. Wydaje mi się, że wysoki sąd był dziś rano naprawdę niezłe wkurzony. I wierzę, że Blake nie pozwoli Harry’emu namówić swojego syna, żeby się przyznał. Chce procesu, ponieważ jest przeświadczony, że on i jego rodzina są tak cholernie ważni, że nie muszą podlegać prawu. Ten chłopak grzęźnie, Russ, chyba nawet bardziej, niż się spodziewałem. I nie jest mi z tego powodu przykro.

– Muszę przyznać, że mnie też.

Brooks nachylił do niego.

– Chciałem z tobą chwilę pogadać, ponieważ jestem absolutnie pewien,

że Blake zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby cię kupić, albo będzie naciskał, żebyś wycofał oskarżenie o napaść. A gdy to uzyska, stwierdzi, że chodzi wyłącznie o pieniądze, a cała sprawa to, że tak powiem, burza w szklance wody. Postara się zmanipulować służby miejskie i jakieś ośrodki odwykowe, żeby uzyskać dla chłopaka wyrok w zawieszeniu.

Pokierszowane wargi Russa były twardo zaciśnięte.

– Niedoczekanie, Brooks. Widziałeś dziś rano mojego ojca? Wygląda dziesięć lat starzej. Nie przywiązywałbym wagi do tego, że dostałem w zęby i gdyby nie cała reszta, dałbym sobie z tym spokój. Ale w tej sytuacji nie zamierzam dopuścić, by ten mały gnojek się z tego wywinął.

– Doskonale. Jeśli Blake zacznie cię prześladować, daj mi znać. Napomknę mu o oskarżeniach o nękanie i zakazie zbliżania się.

Russ wyprostował się i uśmiechnął z większą łatwością.

– Tak naprawdę, to którego ścigasz?

– Jednego i drugiego. Obydwaj potrzebują mocnego kopa. Nie wiem, czy Justin urodził się takim dupkiem, ale tatuś na pewno pomógł mu stać się większym. – Zamieszał kawę, odkrywając, że wcale nie ma na nią apetytu. – Nie widziałem w sądzie jego matki.

– Plotka głosi, że pani Blake jest tym zażenowana i u kresu sił. Ma już dosyć. A Blake kazał jej siedzieć cicho. On rządzi tym domem.

– Możliwe, ale nie rządzi tym miastem.

– A pan, komendancie?

– Ja chronię i służę – odparł Brooks, zerkając przez okno. – Blake'owie rozumieją, co to znaczy. A co z tobą, burmistrzu?

– Teraz, gdy Blake będzie popierał każdego, kto jest przeciw mnie, trudniej będzie wygrać, ale nadal kandyduję.

– Za nowe czasy! – Brooks podniósł kubek. – Dobre czasy!

– Jesteś dziś w doskonałym nastroju, stary. Czy to z powodu postawy Reingolda?

– Na pewno też, ale poznałem fascynującą i piękną kobietę, w której zakochuję się coraz bardziej. I to mocno.

– Szybki jesteś.

– Mam to we krwi. Moi rodzice tylko raz spojrzeli na siebie i wystarczyło. Trafiła mnie, Russ. Dokładnie tu. – Uderzył się pięścią w serce.

– Jesteś pewien, że nie ugodziła cię znacznie niżej?

– Tam również. Ale, Jezu, jak ona mi załaziła za skórę! Ledwie o niej pomyślę i już. Patrzę na nią i... przysięgam, mógłbym godzinami na nią patrzeć. Przez całe dni. – Brooks, jakby trochę zdziwiony swoim odkryciem, lekko się roześmiał. – Jestem ugotowany. Wpadłem.

– No to jeśli nie przyprowadzisz jej na kolację, Seline wywierci mi dziurę w brzuchu.

– Popracuję nad tym. Domyślam się, że moja rodzina wkrótce też tego zażąda. Abigail jest kobietą, z którą trzeba postępować łagodnie. Coś ukrywa – dodał. – Coś z przeszłości. Nie jest jeszcze gotowa, by mnie do niej dopuścić. Nad tym też pracuję.

– Czyżby jeszcze się nie zorientowała, że dotąd będziesz kopał, przekonywał i główkował, aż dowiesz się lub dostaniesz to, czego chcesz?

– Mam ją swoją słodyczą i urokiem.

– Myślisz, że jak długo to potrwa?

– Nie mam wiele czasu. Ona potrzebuje pomocy. Jeszcze o tym nie wie albo nie jest gotowa jej przyjąć. Na razie.

Abigail spędziła przedpołudnie przy komputerze, przeprojektowując i przystosowując do indywidualnych potrzeb system bezpieczeństwa dla pewnej kancelarii prawniczej z Rochester. Była szczególnie zadowolona z

rezultatów, ponieważ została tej firmie polecona, ale omal nie straciła kontraktu, kiedy starszy wspólnik w firmie zażądał rozwiązania z nią umowy, gdy odmówiła osobistego spotkania.

Była pewna, że on i pozostali wspólnicy będą bardzo zadowoleni z jej systemu oraz zaleceń. A gdyby nie byli? Cóż, to cena, jaką płaciła za prowadzenie biznesu na swoich warunkach.

Nieco później, by skierować myśli w inną stronę, zaczęła planować prace w ogrodzie.

Wzdłuż południowej ściany domu chciała stworzyć motyli ogródek, a więc czytała i sprawdzała, jak ten cel osiągnąć. Wreszcie z nieodłącznym Bertem u boku zebrała narzędzia i załadowała je na taczkę. Przechodząc obok warzywnika, z zadowoleniem zauważyła, że bujnie rośnie, i napawała się zapachem ziół. Pobliski strumień szumiał, ptaki świergotały, wśród drzew tańczył swawolny wietrzyk, a obsypane kwiatami dzikie derenie wyłaniały się z zieleni niczym duchy.

Wytyczając granicę za pomocą kołków i sznurka, zdała sobie sprawę, że jest szczęśliwa. Naprawdę szczęśliwa. Z powodu wiosny, swojej pracy, domu. I z powodu Brooksa.

Czy kiedykolwiek przedtem była naprawdę szczęśliwa? Na pewno bywały takie chwile – przynajmniej w dzieciństwie, podczas krótkiego pobytu na Harvardzie, nawet potem, gdy wszystko się odmieniło.

Nie mogła sobie jednak przypomnieć, żeby kiedykolwiek aż tak się czuła. Była niespokojna. Brooks miał co do tego rację, a ona nie była do końca pewna, czy jej się to podoba. Ale gdzieś ponad nerwami oraz pomiędzy nimi odczuwała jakiś rodzaj lekkości, z którą nie bardzo wiedziała, co robić.

Włączyła glebogryzarkę i nuciła do wtóru obracających się ostrzy, chlupotu strumienia i śpiewu ptaków. Tak, właściwie nie wiedziała, co z tym

zrobić, ale gdyby mogła, zatrzymałaby te chwile i uczucia – mocno, kurczowo – na zawsze.

Miała satysfakcjonującą pracę, swój kawałek ziemi, który dostarczał jej więcej przyjemności, niż kiedykolwiek marzyła. Miała mężczyznę, którego szanowała, i cieszyła się nim, bardziej niż kiedykolwiek sobie wyobrażała. Mężczyznę, który jadał z nią kolacje, rozmawiał, śmiał się, po prostu z nią był.

Szczęście nie może długo trwać, ale jaki był sens w czarnowidztwie, w martwieniu się na zapas? Ciesz się tym, co masz, przypomniawszy sobie, rozrzucając kompost.

Tu i teraz.

Podjechała taczka z powrotem do szklarni, gdzie wybierając rośliny, które wyhodowała specjalnie do ogródka, wdychała zapach żyznej, wilgotnej ziemi, napawała się widokiem pączkujących kwiatów, bujnie rozrastającej się zieloności.

Solidna fizyczna praca w to ciepłe popołudnie też sprawiała jej przyjemność. Kto by się spodziewał, że drzemie w niej taki potencjał, by być szczęśliwą?

Z glockiem u boku i psem nieodstępującym jej na krok, zrobiła cztery rundy, zanim zaczęła tworzyć kompozycję według planu, który naszkicowała w chłodne zimowe wieczory.

Lobelia, jeżówka purpurowa, słodko pachnące heliotropy pomieszczone ze zwiewną lantaną, pasek wonnej werbeny, pełne uroku astry z Nowej Anglii, eleganckie orientalne lilie – ich nektar miał wabić motyle. Słoneczniki, malwy, trojeść – rośliny żywicieli, na których dorosłe osobniki złożą jaja, a młode gąsienice będą się nimi żywić.

Ustawiała, przestawiała, grupowała i przegrupowywała, stopniowo

odchodząc od pierwotnego planu, trochę zbyt geometrycznego, gdy odkryła, że mniej sztywny i konsekwentny bardziej cieszy oko.

Na wszelki wypadek wyjęła telefon i zrobiła zdjęcia w różnych ujęciach, zanim podniosła łopatę, by wykopać pierwszy dołek.

Godzinę później cofnęła się, sprawdzając postęp prac, po czym poszła do domu po lód do herbaty, którą postawiła na słońcu.

– Zanosz się na piękny ogródek – powiedziała do Berta. – Będziemy sobie siedzieć na ganku i obserwować motyle. Myślę, że zwabimy też kolibry. Chciałabym zobaczyć, jak to wszystko rośnie i kwitnie, jak przyfruwają motyle i kolibry. Zapuszczamy korzenie, Bert. A im głębiej sięgają, tym bardziej ich pragnę.

Zamknęła oczy i uniosła twarz do słońca.

Och, uwielbiała te dźwięki w powietrzu, ten zapach. Kochała rytm pracy i przyjemności, jakie tu znalazła, chwile spokojne i te pracowite. Kochała dotyk psa ocierającego się o jej nogi i smak chłodnej herbaty w gardle.

Kochała Brooksa.

Nagle otworzyła oczy.

Nie, po prostu uwiodły ją spędzone tu szczęśliwe chwile. Euforia, że ma tu wszystko, o czym zawsze marzyła. Dała się zauroczyć tym, co powiedział do niej rano, jak na nią patrzył.

Akcja i reakcja, pomyślała. Nic więcej.

A jeśli to jest coś więcej?

Zabrzęczał alarm. Z zeszywniałym karkiem i ramionami położyła rękę na rękojeści glocka.

Nie oczekiwała przesyłki.

Szybko podeszła do monitora, który ustawiła na ganku. Rozpoznała

samochód, zanim jeszcze dostrzegła kierowcę. Matka Brooksa i – wielki Boże! – dwie inne kobiety.

Rozmawiały i śmiały się, gdy Sunny jechała w stronę domu.

Zanim Abigail zdecydowała się, co robić, samochód minął ostatni zakręt. Na jej widok Sunny radośnie zatrąbiła.

– Hej! – wykrzyknęła przez okno samochodu, zanim cała trójka się z niego wygramoliła.

Kobieta siedząca z przodu musi być siostrą Brooksa, pomyślała Abigail. Podobny koloryt, budowa, kształt oczu i ust świadczyły o pokrewieństwie.

– Spójrzcie na to! Motyli ogród.

– Tak. Pracowałam nad nim całe popołudnie.

– Och, będzie naprawdę cudowny – powiedziała Sunny. – Powąchaj te heliotropy! W samochodzie jest Platon. Jak sądzisz, Bert chciałby go poznać?

– Przypuszczam, że tak.

– Mama tak się martwi, jak psy na siebie zareagują, że zapomniała o ludziach. Jestem Mya, siostra Brooksa, a to nasza średnia siostra Sybill.

– Miło was poznać – wykrztusiła Abigail, gdy wymieniały uściski dłoni.

– Zrobiłyśmy sobie wolny dzień. – Mya, smukła kobieta o krótko obciętych ciemnych włosach z pasemkami, uśmiechała się promiennie. – Opuściłyśmy sobie pracę, dzieci, mężczyzn. Zjadłyśmy fantastyczny lunch, a teraz jedziemy na zakupy.

– Pomyślałyśmy, że może chciałabyś z nami pojechać – powiedziała Sybill.

– Pojechać z wami? – Wpatrując się kątem oka w psa, oszołomiona i zbity z tropu Abigail starała się za nimi nadążyć.

– Zakupy – powtórzyła Mya. – A potem mamy w planie margarity z



lodem.

Szczeniak podskakiwał, przewracał się, podgryzał, słowem – szalał wokół Berta, który drżąc, siedział i patrzył z ukosa na Abigail.

– *Ami. Jouer.*

Natychmiast przykucnął, podniósł ogon do góry, zaczął nim machać i radośnie popchnął Platona, który wywinął niezgrabnego koziołka.

– Och, czyż to nie urocze! – oświadczyła Sunny.

– On nie zrobi szczeniakowi krzywdy.

– Kochanie, przecież widzę. Ten olbrzym jest łagodny jak baranek, a Bóg wie, że małemu przyda się trochę ruchu. Całe popołudnie spędził w samochodzie albo na smyczy. Poznałaś moje dziewczynki?

– Tak.

– Próbuje ją namówić, żeby rzuciła łopatę i wybrała się z nami na zakupy, a potem na margarytę. – Sybill uśmiechnęła się do Abigail łagodnym ciepłym uśmiechem, a na jej policzkach ukazały się dołeczki.

– Dziękuję za zaproszenie. – Abigail zorientowała się, że w porównaniu ze swobodnym tonem pozostałych kobiet jej głos brzmi sztywno.

– Ale naprawdę muszę skończyć sadzenie. Zaczęłam później, niż planowałam.

– Wygląda naprawdę pięknie. – Sybill podeszła się przypatrzeć. – Nie odziedziczyłam smykałki do ogrodnictwa po mamie i tacie, a więc jestem trochę zazdrosna.

– Miło z waszej strony, że przyjechałyście mnie zaprosić.

– To prawda – przyznała Mya – ale przede wszystkim Syb i ja chciałyśmy bliżej się przyjrzeć kobiecie, która całkowicie zawróciła Brooksowi w głowie.

– Och!

– Nie jesteś typem, który, jak przypuszczałam, owinie go sobie dokoła palca.

– Och! – Abigail nie zdołała wymyślić bardziej oryginalnego komentarza.

– U Myi co w myślach – wtrąciła Sunny, obejmując córkę ramieniem – to od razu na języku.

– Potrafię zachowywać się taktownie i dyplomatycznie, ale to nie jest zgodne z moją naturą. Tak czy owak, to miał być komplement, pochwała.

– Dziękuję.

Mya roześmiała się.

– Bardzo proszę. Widzisz, chodzi o to, że Brooks.... w przeszłości... przywiązywał więcej uwagi do wyglądu niż do, powiedzmy... podbudowy. Ale ty, proszę bardzo – ładna, naturalna, silna oraz wystarczająco zaradna i mądra, żeby żyć tu sama, zaprojektować i stworzyć ogród, a ja już się na tym znam, i z tego, co zasłyszałam, prowadzisz własny biznes. A ponieważ nosisz na biodrze tę wielką spluwę, wygląda na to, że potrafisz o siebie zadbać.

– Owszem, potrafię.

– Zastrześliś już kogoś?

– Mya! Nie zwracaj na nią uwagi – powiedziała Sybill. – Jest najstarsza i najwięcej gada. Na pewno nie chcesz z nami pojechać?

– Naprawdę muszę skończyć pracę, ale dziękuję.

– W niedzielę urządzamy małe przyjęcie w ogrodzie – oznajmiła Sunny. – Brooks cię przywiezie.

– Och, dziękuję, ale...

– Nic wielkiego. Zwykły grill. Mam cebulki żółtych irysów do rozdania. Dam ci trochę. Przy strumieniu będą wyglądać jak plama słońca. A teraz zabieram swojego malucha i do zobaczenia w niedzielę!

– Już jakiś czas spotykasz się z Brooksem – zauważyła Mya.

– Chyba tak...

– No to wiesz, że on tak długo będzie uprzejmie nalegał, aż postawi na swoim?

– Owszem.

Mya puściła do niej oczko i uśmiechnęła się radośnie.

– To u niego wrodzone. Zatem do niedzieli!

– Nie martw się. – Sybill zaskoczyła Abigail, biorąc ją za rękę, gdy jej siostra odeszła, żeby pomóc matce w łapaniu szczeniaka. – Będzie fajnie. Czy twój pies toleruje dzieci?

– Nie zrobi nikomu krzywdy. – Chyba że mu powiem, pomyślała.

– Przywieź go. Będziesz się lepiej czuła, mając przy sobie psa. Jesteśmy przyjaźnie nastawieni i lubimy każdego, kto uszczęśliwia Brooksa. Dasz sobie radę – dodała na koniec, po czym ucisnęła rękę Abigail i poszła do samochodu.

Na koniec było jeszcze mnóstwo śmiechu, paplaniny, trąbienia i pantomima pożegnalnych gestów. Kompletnie zszokowana Abigail stała z uszczęśliwionym psem u boku, uprzejmie unosząc rękę, gdy kobiety z rodziny O'Hara Gleason w końcu odjechały.

Jakby przejechał mnie walec drogowy cały z kwiatów, pomyślała Abigail. W gruncie rzeczy nie bolało, był ładny i miło pachniał. A jednak była wykończona.

Oczywiście nie mogła pójść. Z wielu względów. Czy ma napisać do matki Brooksa uprzejmy liścik z przeprosinami?

Włożyła z powrotem rękawice. Trzeba skończyć grządkę; w końcu posłużyła się tym pretekstem. Musi to zrobić i robi.

Nigdy nie zaproszono jej na wspólne zakupy i margaritę; kopiąc ziemię,

rozmyślała, jak by to było. Wiedziała, że ludzie chodzili na zakupy, nawet gdy niczego nie potrzebowali. Nie rozumiała tego, ale inni tak.

Pomyślała o tamtym dniu, dawno temu, spędzonym w centrum handlowym z Julie. Jakie zabawne, jakże ekscytujące i wyzwalające było przymierzanie ubrań i butów z przyjaciółką!

Oczywiście nie były przyjaciółkami. Prawdziwymi przyjaciółkami. Ten epizod wynikł z przypadku, splotu okoliczności oraz wzajemnej potrzeby.

I doprowadził do nieszczęścia i tragedii.

Oczywiście, logicznie myśląc, ani niewinny bunt polegający na kupowaniu ubrań i butów, ani też jej lekkomyślna głupota, jaką było sfalszowanie dokumentów czy zgoda na wypad do nocnego klubu, nie były przyczyną tragedii, która nastąpiła.

Odpowiadali za nią Wołkowowie i Korotkij.

A jednak, nawet po tak długim czasie, łączyła te wydarzenia i ciążyło jej poczucie winy. Kłótnia z matką uruchomiła reakcję łańcuchową, zakończoną wybuchem w bezpiecznym domu. Jeśli nawet nie była za to w pełni odpowiedzialna, stanowiła jedno z ogniw tego łańcucha.

Mimo wszystko, sadząc rośliny, rozmyślała, jak by to było podczas tej przejażdżki z kobietami, które śmieją się, kupują niepotrzebne rzeczy, a potem piją margaritę i plotkują.

Te rozważania odebrały nieco przyjemności, jakiej zwykle dostarczały jej dźwięki i zapachy jej samotni.

Posadziła wszystkie rośliny, a później, przez resztę popołudnia aż do wczesnego wieczoru, przewoziła taczka kompost. Gdy brudna i spocona, lecz bardzo usatysfakcjonowana, nastawiła zraszacze, ponownie zabrzączał alarm.

Tym razem to samochód Brooksa zbliżał się ku jej domowi.

Musiała stracić rachubę czasu. Zamierzała wstawić lasagne do ciepłego

piekarnika, zanim przyjedzie. A przynajmniej chciała zdążyć się umyć.

– Tylko popatrz! – Wysiadł z bukietem fioletowych irysów w dłoni. – Zobacz, jakie śliczne.

– Piękne... Po raz drugi przyniosłeś mi kwiaty. Jesteś jedyną osobą, która kiedykolwiek dała mi kwiaty.

Dwa bukiety stanowiły wymowną obietnicę, że często je będzie przynosił. Podał jej irysy i wyciągnął przysmak dla Berta.

– Nie zapomniałem o tobie, stary. Musiałś chyba pół dnia obsadzać te grządki.

– Nie aż tak długo, ale trochę to zajęło. Mam nadzieję, że zwabię tu motyle.

– Na pewno. Ogródek jest niezmiernie piękny, Abigail. Tak samo jak ty.

– Jestem brudna. – Cofnęła się, gdy pochylił się, żeby ją pocałować.

– Wcale mi to nie przeszkadza. Wiesz, że pomógłbym ci w sadzeniu. Mam w tym wprawę.

– Zaczęłam, i to mnie całkiem wciągnęło.

– Może przyniosę wino? Usiądziemy i będziemy podziwiać twoją pracę.

– Najpierw wezmę prysznic i wstawię lasagne do piekarnika.

– No to leć pod prysznic, a ja się zajmę jedzeniem i winem. Widać po tobie, że pracowałaś dziś ciężiej niż ja. Daj! – Wyjął jej z ręki kwiaty. – Wstawię je do wody. Co się stało? – spytał, gdy wpatrywała się w niego.

– Nic. Ja... zaraz wracam.

Doszedł do wniosku, że wprowadził ją w zakłopotanie, proponując najbardziej podstawową, niewielką pomoc. Ale ją przyjęła, myślał, wchodząc do domu, żeby nalać wody do wazonu. A więc krok do przodu.

Postawił kwiaty na blacie; Abigail na pewno zajmie się, gdy jego nie

będzie w pobliżu, ich właściwą aranżacją. Nastawił piekarnik na niską temperaturę i wsunął naczynie do zapiekania.

Wyniósł butelkę i dwa kieliszki na frontowy ganek, a gdy je napełnił, wziął swój i, oparłszy się o barierkę, przyglądał się kwiatom. Na tyle znał się na ogrodnictwie, żeby wiedzieć, iż ta praca musiała jej zająć wiele godzin; no i miała artystyczny talent do kolorów i harmonijnego doboru roślin.

Znał ludzi i wiedział, że zakładanie ogrodu to kolejna oznaka własności, zadamawiania się, poczucia przynależności. Tworzenie miejsca według własnego gustu.

Dobry znak.

Gdy wyszła na ganek, odwrócił się do niej. Wilgotne włosy wiły się lekko wokół jej twarzy i pachniała świeżo, wiosennie.

– To moja pierwsza wiosna po powrocie do Ozark – powiedział, podając jej kieliszek. – Obserwuję, jak przyroda wraca do życia. Wzgórza zielenieją, rozkwitają dzikie kwiaty, a pośród tego szemrzą strumienie. Światło, cienie, oblane słońcem pola wschodzącej soi albo innych upraw. Wszystko gotowe na kolejny sezon. Wiem, że nie chcę być nigdzie indziej. To znów mój dom, po prostu.

– Odczuwam to samo. Po raz pierwszy. I to mi się podoba.

– To dobrze. Patrzę na ciebie, Abigail, pachnącą wiosną i kwiatami, które już zakwitły albo niebawem zakwitną, patrzę w twoje oczy, tak poważne, tak nieziemsko piękne, i czuję to samo. Nigdzie indziej. Nikt inny.

– Nie wiem, co mam robić z tym, jak się czuję dzięki tobie. I boję się, jakie będzie moje życie, jeśli to się zmieni i nigdy już nie będę tak się czuć.

– A jak się czujesz dzięki mnie?

– Szczęśliwa. Tak, szczęśliwa. Ale też przerażona i zmieszana.

– Popracujemy nad tym szczęściem, aż osiągniesz spokój i pewność

siebie.

Odstawiła wino i podeszła do niego.

- Może to nigdy się nie stanie.
- Wyszłaś na dwór bez broni.
- Ale ty ją masz.

Uśmiechnął się prosto w jej włosy.

- To już coś. Zaufanie na dobry początek.

Wśród tego pomieszania uczuć nie potrafiła dokonać ich analizy.

– Możemy usiąść na schodkach i opowiesz mi, co wydarzyło się dziś rano.

– Możemy. – Odchylił jej twarz i lekko ją pocałował. – Ponieważ czuję z tego powodu satysfakcję.

## 19

Relacjonował jej wydarzenia, a tymczasem cienie z wolna wydłużały się, a nowy ogródek nasiąkał wodą pod delikatnym prysznicem z polewaczek.

Zawsze fascynowało ją prawo, szczegóły procesu, jego brak logiki i, jej zdaniem, często tendencyjne błędy wprowadzane do zasad, kodeksów i procedur przez czynnik ludzki. Dla niej sprawiedliwość była jasna, ale prawo, które ją miało egzekwować – mroczne i kręte.

– Nie rozumiem, dlaczego się ich wypuszcza tylko dlatego, że mają pieniądze.

- Są niewinni, dopóki nie udowodni się im winy.

– Ale oni przecież są winni – upierała się. – To zostało udowodnione.

Wynajęli pokój w hotelu i go zniszczyli. Justin Blake zaatakował twojego przyjaciela w obecności świadków.

– Mają prawo być wysłuchani w sądzie.

Pokręciła głową.

– Ale teraz mogą swobodnie korzystać z pieniędzy lub zastraszać świadków i innych w to zaangażowanych albo uciec lub stosować kruczki prawne dla opóźniania sprawy. Twój przyjaciel poniósł stratę, a ludzie, którzy ją spowodowali, są wolni i dalej mogą żyć własnym życiem i prowadzić interesy. System prawny jest bardzo wadliwy.

– Może i tak jest, ale bez tego zapanowałby chaos.

Z jej doświadczenia wynikało, że chaos towarzyszy systemowi prawnemu.

– Konsekwencje, kara, sprawiedliwość powinny być szybkie i pewne, bez możliwości wykpiwania się pieniędzmi, sprytnymi prawnikami czy nielogicznymi przepisami.

– Większość przestępców na to liczy, gdy grozi im strycalek.

Zmarszczyła brwi, patrząc na niego.

– Aresztujesz ludzi, którzy łamią prawo. Gdy to robisz, wiesz, że złamali prawo. Powinieneś być sfrustrowany, a nawet zły, gdy któryś z nich wykorzysta jakąś lukę prawną albo błąd ludzki i nie zostanie ukarany za swój czyn.

– Wolę, żeby winny uniknął kary, niż gdybym miał posadzić kogoś niewinnego. Czasem są powody, aby złamać prawo. Nie mówię teraz o tych trzech dupkach, ale ogólnie.

Brooks, wyraźnie rozluźniony, wyciągnął nogi i pogłaskał stopą Berta.

– Nie zawsze wszystko jest czarno – białe, dobre lub złe. Jeśli nie weźmie się pod uwagę wszystkich odcieni i okoliczności, nie osiągnie się sprawiedliwości.

– Wierzysz – powiedziała, a mięśnie jej brzucha skręcały się i



wibrowały – że mogą być powody łamania prawa.

– Oczywiście. Samoobrona, obrona innych. Albo weźmy pod uwagę coś tak prostego jak przekroczenie prędkości. Twoja żona rodzi? Nie spiszę cię za przekroczenie prędkości w drodze do szpitala.

– Rozważysz okoliczności.

– Oczywiście. Kiedyś, gdy byłem na patrolu, wezwano mnie do napadu. Facet wszedł do baru i zbił na kwaśne jabłko swojego wuja. Nazwijmy go wujek Harry. Powinniśmy zaaresztować gościa za napad, ale okazało się, że wujek Harry molestował jego dwunastoletnią córkę. Prawda, powinien po prostu wezwać policję i zawiadomić urząd do spraw dzieci, ale czy postąpił źle, dając Harry’emu po mordzie? Nie sądzę. Trzeba spojrzeć na całość, zważyć wszystkie okoliczności. To właśnie powinny robić sądy.

– Punkt widzenia – wymamrotała.

– Tak. Punkt widzenia. – Przesunął palcem po jej ramieniu. – Czy ty złamałaś prawo, Abigail?

Wiedziała, że ją zaprosił, żeby przeszła przez te drzwi. Ale jeśli się za nią zamkną?

– Nigdy nie dostałam mandatu za przekroczenie prędkości, chociaż czasami ją przekraczałam. Idę sprawdzić lasagne.

Gdy kilka minut później wszedł do kuchni, stała przy blacie i kroїła pomidory.

– Wcześniej byłam w szklarni i zerwałam kilka pomidorów i bazylię.

– Byłaś zajęta?

– Lubię być zajęta. Skończyłam ostatnią pracę trochę wcześniej, niż planowałam, a więc w nagrodę zajęłam się ogródkiem. I miałam gości.

– Naprawdę?

– Twoją matkę i siostry.

Prawie duszkiem wypił jej wino.

– Co ty powiesz?

– Przejeżdżały tędy. Były na fantastycznym damskim lunchu, jak to określiły, i wybierały się po zakupy, a potem na mrożone margarity. Zaproponowały, żebym z nimi pojechała.

– No, no!

– Mya wyjaśniła, że właściwie to przyjechały po to, żeby mnie obejrzeć. Podoba mi się jej szczerłość, chociaż wtedy trochę mnie to wytrąciło z równowagi.

Brooks wydał z siebie dźwięk, który można by uznać za śmiech.

– Ona potrafi być denerwująca, to fakt.

– Był z nimi Platon. Bert chętnie się z nim bawił.

– No pewnie.

– Było dużo śmiechu.

– Bert i Platon się śmiali?

– Nie. – To ją rozbawiło. – Twoja matka i siostry. Wyglądają na bardzo szczęśliwe. Wydaje się, że są przyjaciółkami, nie tylko krewnymi.

– Pewnie tak. Tacy jesteśmy.

– Twoja druga siostra, Sybill, jest miła i subtelna. Ty masz chyba cechy ich obu. Fizycznie też jesteście do siebie podobni, szczególnie ty i Mya.

– Czy Mya opowiadała ci o mnie jakieś żenujące historie?

– Nie, chociaż byłabym zainteresowana. Podejrzewam, że bardziej ciekawiła ją moja osoba. Powiedziała, że jeśli chodzi o kobiety, o związki...

– Abigail przerwała na chwilę, przekładając pomidorami kawałki mozzarelli z bawolego mleka. – Że w przeszłości cenileś raczej wygląd niż podbudowę.

Brooks obserwował ją, kiedy mówiła i pieczołowicie komponowała danie.

– Założę się, że powtarzasz słowo w słowo.

– Parafrazowanie może nadać inny wydźwięk, a nawet zmienić znaczenie.

– Nie spieram się.

– Czy to prawda?

Zastanowił się i wzruszył ramionami.

– Teraz, gdy się nad tym zastanawiam, przypuszczam, że tak.

– Myślę, że to komplement. – To odnosiło się także do nowości, którą odkryła dziś rano. Nowości, która już spowszedniała.

– Dziwi mnie tylko, że przyjęły odmowną odpowiedź, pomimo że były trzy na ciebie jedną.

– Byłam naprawdę w widoczny sposób zajęta ogrodem. – Podniosła kieliszek i wypila wino. – Twoja matka zaprosiła mnie natomiast na przyjęcie przy grillu w ogrodzie w tę niedzielę.

Roześmiał się i wzniósł toast kieliszkiem.

– Widzisz? Nie przyjęły odpowiedzi odmownej.

Nie przyszło jej to do głowy i teraz zorientowała się, że Brooks ma rację.

– Twoja matka chyba zignorowała mój rzeczowy powód odmowy. Pomyślałam, że może lepiej napisać liścik z przeprosinami.

– Dlaczego? Ona robi znakomitą sałatkę ziemniaczaną.

– Na niedzielę mam zaplanowane prace w ogródku i w domu.

– Kurczak!

– Jestem pewna, że twoja matka robi bardzo dobrego kurczaka, ale...

– Nie, to ty jesteś tchórzliwy kurczak. – Zagdakał, co tylko pogłębiło jej zmieszanie i rozzłościło ją.

– Nie musisz być niegrzeczny.

– Szczerość bywa niegrzeczna. Naprawdę, nie przejmuj się perspektywą stania w ogrodzie i jedzenia sałatki ziemniaczanej. Będiesz się dobrze bawić.

– Nie, nie będę, ponieważ zaniedbam przez to swój harmonogram zajęć. I nie wiem, jak się zachować na przyjęciu. Nie wiem, o czym rozmawiać z tymi wszystkimi ludźmi, których nie znam lub których ledwie znam, ani nie wiem, jak poradzić sobie z ciekawością, której będę obiektem, ponieważ sypiamy ze sobą.

– Dużo tych „nie wiem” – stwierdził Brooks. – Ale wszystkie twoje wątpliwości potrafię rozwiązać. Przed przyjęciem pomogę ci w ogródku i w domu. Doskonale dasz sobie radę w rozmowach, ale mogę trzymać się blisko ciebie, żebyś czuła się swobodnie. Ludzie mogą być ciekawi, ale są przyjaźnie nastawieni, ponieważ ja cię lubię i moja matka. Na dokładkę coś ci obiecuję.

Przerwał i poczekał, aż podniosła na niego wzrok.

– Co takiego?

– Po godzinie, jeśli nie będziesz się dobrze bawić, użyję jakiegoś wybiegu. Powiem, że dostałem telefon, muszę coś załatwić, i wyjdziemy.

– Okłamiesz własną rodzinę?

– Tak, okłamię. Oni się domyślą, że kłamię, ale rozumieją.

Oto jedna z komplikacji, które wiążą się z obowiązkami towarzyskimi oraz związkami międzyludzkimi.

– Myślę, że najlepiej będzie tego wszystkiego uniknąć, wysyłając liścik z przeprosinami.

– Zapomnij, ona po ciebie przyjedzie.

Oderwała się znów od krojenia.

– Nieprawda!

– To jej katechizm, kochanie. Dojdzie do wniosku, że jesteś zbyt nieśmiała albo zbyt uparta. Jeśli zdecyduje się na to pierwsze, będzie ci matkować przez cały czas. A jeśli stwierdzi, że jesteś uparta, wszelkimi sposobami będzie na ciebie naciskać.

– Nie jestem nieśmiała ani uparta.

– Jesteś i na dokładkę masz jakąś fobię.

Z premedytacją stuknęła nożem o deskę mocniej niż to było konieczne.

Nie powinieneś mnie obrażać, gdy przygotowuję ci posiłek.

Nie widzę nic obraźliwego w określeniach „nieśmiały” albo „uparty”. I każdy ma fobie na jakimś punkcie, zależnie od okoliczności.

A ty masz na jakim punkcie?

Odwracasz kota ogonem, ale ci odpowiem. Wizyty u dentysty dwa razy do roku, pająki i karaoke.

Karaoke. To śmieszne.

– Nie wtedy, gdy występujesz. W każdym razie masz moje słowo. Daj mi godzinę. Godzina ci nie zaszkodzi.

– Pomyślę o tym.

– To już coś. Może się powtarzam, ale jesteśmy na dobrej drodze.

– Mam nadzieję, że dzisiejszy wieczór będzie spokojniejszy niż wczorajszy.

I był, mniej więcej do drugiej w nocy.

Gdy zadźwięczał alarm, przekręciła się na łóżku i zanim postawiła stopy na podłodze, sięgnęła po broń, leżącą na nocnym stoliku.

– Spokojnie. – Głos Brooksa był zupełnie opanowany. – Uspokój się, Abigail. Ty też – zwrócił się do psa, który, cicho warcząc, przycupnął u jej stóp.

– Ktoś tu jedzie.

– Wiem. Nie zapalaj światła. Lepiej, żeby nie widział, że jest obserwowany, jeśli ma złe zamiary.

– Nie poznaję tego samochodu – powiedziała, włączając monitor.

– Ale ja tak. Jasny gwint! – W tym westchnieniu kryło się więcej zniecierpliwienia niż zdenerwowania. – To samochód Doyle’a Parsinsa. A więc jedzie tu Justin Blake, jego kumpel

Chad Cartwright i Doyle. Zaraz się tym zajmę, tylko włożę spodnie.

– W samochodzie są tylko dwie osoby.

Brooks szybko wciągnął spodnie, chwycił koszulę i wkładał ją, podchodząc z powrotem do monitora.

– Albo Chad wykazał się odrobiną rozsądku i został w domu, albo wysadzili go, aby podszedł od tyłu. Ale raczej się wymigał, bo nie sądzę, by stać ich było na taki pomysł.

Brooks stanowczym ruchem położył rękę na jej ramieniu.

– Tu nie chodzi o ciebie, Abigail. Odpręż się.

– Nie mogę się odprężyć, jeśli ktoś o drugiej w nocy wdziera się na mój teren. To nierozsądne oczekiwać po mnie, że się odprężę.

– Słuszna uwaga. – Ujął ją za ramiona i lekko, delikatnie je masował. – Chciałem tylko powiedzieć, że to na mnie zagięli parol. Nie na ciebie. Pewnie zamierzają się tu podkraść... Popatrz, zatrzymują się w pewnej odległości od domu. Planują pociąć mi opony, może namalować sprejem jakieś świństwa na samochodzie. Wyobrażają sobie, że rano będę miał niemiłą niespodziankę. Jezu, jacy oni są nabuzowani!

– Jeśli są pod wpływem narkotyków, raczej nie kierują się rozsądkiem.

– Rozsądek nie należy do przyrodzonych cech Justina.

A przyjazd tu świadczył, że coraz bardziej mu odbija, tak samo jak Tybalowi.

Obserwując intruzów, powoli zapinał guziki koszuli.

– Wezwij 911. Ash jest dziś na dyżurze. Przedstaw mu sytuację. Ja wyjdę i się z nimi rozprawię. – Włożył buty na wypadek, gdyby musiał ruszyć w pościg, i przypiął pas z bronią. – Zostań z Bertem w środku.

– Nie potrzebuję ani nie chcę, żeby mnie chroniono przed parą młodocianych chuliganów.

– Abigail, tu ja noszę odznakę. – Ton jego głosu nie tolerował sprzeciwu. – I to ze mną mają na pieńku. Nie ma sensu, żeby się wyzywali na tobie. Wezwij pomoc i czekaj.

Powoli zszedł na dół i przyczał się w oknie, ukryty w ciemności, której nie oświetlały automatyczne lampy bezpieczeństwa.

Zamierzał poczekać. Chciał ich przyłapać na prawdziwej rozróbie, a nie tylko na skradaniu się i tłumionych chichotach po pijaku czy na haju. Wtedy będzie mógł ich przymknąć i posiedzą aż do procesu. Niech Abigail zobaczy, jak działa sprawiedliwość.

Obserwował ich przez okno. Przykucnęli przy jego samochodzie. Justin otworzył torbę i rzucił Doyle'owi puszkę spreju.

Pozwolił im zacząć. Wóz trzeba będzie polakierować, ale dostanie niezbite dowody.

Potem podszedł do frontowych drzwi, poradził sobie z zamkami i wyszedł.

– Zgubiliście się chłopcy?

Doyle upuścił puszkę i klapnął na tyłek.

– Przepraszam, że przerywam wam zabawę, ale to nie był najmądrzejszy pomysł wkroczyć na cudzy teren. Dodamy do tego wandalizm, a będzie z wami naprawdę kiepsko. Założę się, że macie przy sobie niedozwolone substancje oraz alkohol we krwi. W sumie, chłopcy,

znaleźliście się w kompletnej dupie.

Brooks pokręcił głową, gdy Doyle niezdarnie próbował wstać.

– Jeśli zaczniesz uciekać, Doyle, dodam do tego ucieczkę i próbę oporu. Wiem, gdzie mieszkasz, idioto, a więc na ziemię i leż spokojnie. Justin, pokaż ręce!

– Chcesz zobaczyć moje ręce? – Justin wbił nóż, który trzymał w dłoni, w tylną oponę, po czym skoczył na równe nogi. – Zaraz z ciebie wypuszczę powietrze, dupku!

– Wyjaśnijmy coś sobie. Ty masz nóż, ja mam broń. Widzisz? – Brooks mówił prawie obojętnym tonem. – Powiadasz, że jestem dupkiem? Justin, naprawdę w głowie ci się poprzewracało. A teraz rzuć nóż, a potem zerknij na swego odrobinę bystrzejszego przyjaciela. Widzisz, jak leży z rękoma za głową? Zrób to samo.

W świetle lamp Brooks zauważył, że źrenice Justina były wielkości główek od szpilki.

– Nie zastrzelisz mnie. Nie masz tyle odwagi.

– Myślę, że ma. – Z ulubionym glockiem w ręku Abigail wyłoniła się zza węgła. – Ale jeśli on tego nie zrobi, ja strzelę.

– Chowasz się za kobietę, Gleason?

Brooks przesunął się odrobinę. Nie tylko po to, aby zasłonić

Abigail, jeśli Justin byłby tak szalony, żeby rzucić się na nich z nożem, ale ponieważ obawiał się, że ona naprawdę strzeli do tego bęcwała.

– Wygląda na to, że się chowam?

– Z przyjemnością bym go zastrzeliła – powiedziała Abigail beznamiętnym tonem. – Naruszył moje terytorium i ma broń, jestem więc przekonana, że prawo leży po mojej stronie. Mogę postrzelić go w nogę. Jak wiesz, nieźle strzelam.



– Abigail... – Brooks nieco rozbawiony, choć nadal niespokojny postąpił krok do przodu. – Odłóż nóż, Justin, nim sprawy zajdą za daleko.

– Nie wsadzisz mnie do więzienia.

– Ile razy dziś wieczorem możesz się pomylić? – rozważał Brooks.

Justin raptem ruszył do przodu.

– Nie strzelaj do niego, na litość boską! – zdążył krzyknąć Brooks, lewą ręką blokując nóż, a prawym łokciem trafiając Justina prosto w nos. Rozległ się trzask i trysnęła krew. Nóż upadł na ziemię, a Brooks chwycił Justina za kołnierz i popchnął do przodu, aż chłopak, potykając się, runął na kolana. Wściekły Brooks popchnął go na twarz i postawił mu but na szyi. – Abigail, bądź tak miła i przynieś kajdanki, dobrze?

– Mam je.

Brooks uniósł brwi, gdy wyjęła kajdanki z tylnej kieszeni.

– Ty to potrafisz wszystko zaplanować. Rzuć je. – Złapał w powietrzu kajdanki i przyklęknął, żeby skuć Justinowi ręce z tyłu. – Doyle, leż spokojnie, inaczej pani Lowery przestrzeli ci nogę.

– Tak, komendancie. Nie wiedziałem, że on miał zamiar to zrobić, przysięgam. Mieliśmy tylko powyglądać się przy samochodzie. Przysięgam, na Boga!

– Siedź cicho, Doyle, jesteś za głupi, żeby się odzywać. – Brooks podniósł wzrok, gdy usłyszał syrenę. – Jezu, co on robi? Dlaczego włączył sygnał?

– Gdy relacjonowałam sytuację, zobaczyłam nóż. Twój zastępca bardzo się zaniepokoił.

– W porządku. Do diabła, Justin, zaatakowałeś gliniarza nożem. To zamach na oficera policji. Prokurator może nawet postawić ci zarzut usiłowania morderstwa, gdy dodamy do tego groźby. Jesteś skończony,

chłopcze, a tak być nie musiało. Aresztuję cię za wtargnięcie na cudzą posiadłość, wandalizm, zniszczenie własności policji i atak na funkcjonariusza przy użyciu niebezpiecznego narzędzia. Masz prawo zachować milczenie.

– Kurwa, złamałeś mi nos. Zabiję cię!

– Wyświadcz sobie przysługę i skorzystaj z prawa do milczenia. – Dokończył formułkę prawa Mirandy, gdy zauważył światła wozu policyjnego Asha przesuwanego się drogą. – Doyle? Gdzie jest Chad Cartwright?

– Nie chciał przyjechać. Powiedział, że ma już dość kłopotów i że ojciec go zleje, jeśli popadnie w następne.

– Przebłysk rozsądku. – Wstał, gdy Ash zatrzasnął drzwi wozu.

– Wszystko w porządku, szefie? Jezu, ty krwawisz!

– Co? Gdzie? Niech to szlag! – Brooks spojrział na siebie i syknął z obrzydzenia. – To krew Justina, z nosa. – Do diabła, lubiłem tę koszulę.

– Powinieneś namoczyć ją w zimnej wodzie z solą.

Obydwaj, Brooks i jego zastępca, spojrzeli na Abigail, która stała z psem w pełnej gotowości u boku.

– Dzień dobry pani – zwrócił się do niej Ash.

Znów zawyła syrena.

– Co to jest u diabła, Ash?

– To Boyd. Gdy pani Lowery poinformowała, że zobaczyła nóż i powiedziała, że widzi tylko dwóch, podczas gdy ta paczka zwykle składa się z trzech, pomyślałem, że powinienem wezwać Boyda jako wsparcie. Jesteś pewien, że cię nie zranił?

– Tak, jestem pewien. Ale był tak głupi, że próbował, i teraz oskarżymy go o napaść na policjanta. Możecie z Boydem zabrać ich na posterunek. Niedługo tam przyjadę.

- W porządku, szefie. Przepraszamy za kłopot, pani Lowery.
- To nie wasza wina.

Brooks podszedł do Abigail.

- Zabierz Berta i wejdźcie do środka. Przyjdę za dwie minuty.
- Dobrze. – Dała sygnał psu i wróciła tą samą drogą, którą przyszła.

Wynagrodziła Berta ulubionym smakołykiem, po czym nastawiła kawę. Zastanowiła się przez chwilę i następnie otworzyła pojemnik i wyłożyła ciastka na talerzyk.

Wydawało jej się, że tak powinna się zachować. Usiadła przy stole i przez monitor obserwowała Brooksa i pozostałych. Chłopak o imieniu Doyle popłakiwał, ale nie potrafiła wykrzesać dla niego ani odrobiny współczucia. Justin, nadal ponury i zawzięty, warczał jak zły pies, rzucając szydercze spojrzenia. Oczy niebawem mu spuchną i zasinieją z powodu złamanego nosa.

Gdy aresztowani siedzieli już w samochodzie pierwszego zastępcy, Brooks zamienił kilka słów z policjantami; powiedział coś, co ich rozśmieszyło.

Rozładowuje napięcie, wywnioskowała Abigail. To cecha dobrego przywódcy. Podniosła się, żeby mu otworzyć, ale zobaczyła, że Brooks, idąc jej śladem, skierował się do tylnych drzwi. Nalała mu kawę, dodając cukier, tak jak lubił.

Wszedł do środka i zobaczył talerzyk.

- Ciastka?
- Pomyślałam, że może zechcesz.
- Chętnie. Muszę zaraz wyjechać i zająć się tym całym bałaganem.
- Oczywiście.

Podniósł filiżankę z kawą i wziął ciastko.

– Nie muszę pytać, czy dobrze się czujesz. Twarda jak skała przez cały czas.

– To głupi, narwany chłopak, ale nie groziło nam prawdziwe niebezpieczeństwo. Mógł cię zranić, to było denerwujące. Czy on miał rację?

– Kto i w czym?

– Justin Blake, gdy powiedział, że do niego nie strzelisz?

Pogryzając ciastko, Brooks odchylił się swobodnie do tyłu.

– Raczej tak. Chyba żebym naprawdę musiał, ale nie musiałem. Tak jest lepiej dla wszystkich. A ty byś strzeliła?

– Tak. – Nie zawahała się. – Zastanawiałam się, czy bym to zrobiła, ponieważ on jest młody i głupi, ale tak. Gdyby cię zranił, zrobiłabym to. Ale ty masz znakomity refleks, a on ujawnił swoje zamiary i poza tym był powolny, podejrzewam, że z powodu alkoholu lub narkotyków. Nie bałeś się.

– Dałaś mi chwilę, na początku. Powiedziałem ci, żebyś została w środku.

– A ja ci powiedziałam, że nie potrzebuję ani nie chcę, żeby mnie chronić. To moja posiadłość i byłam uzbrojona.

– Jak zawsze. – Ugryzł następny kawałek ciastka.

– A dodatkowo, chociaż monitor niczego nie zarejestrował, chciałam się upewnić, że nie ma trzeciego, który może zająć cię z boku.

– Doceniam to.

– Powinieneś namoczyć tę koszulę, zanim plama się utrwali.

– Mam zapasową na posterunku. Abigail, będę potrzebował twojego zeznania. Albo przyjedziesz, albo przyślę któregoś z moich ludzi, żebyś złożyła je tutaj.

– Och. Tak, oczywiście. W tych okolicznościach nie mogę złożyć zeznania przed tobą.

- Tak.
- Sądzę, że wolę pojechać. Mogę to zrobić zaraz.
- Może być rano.
- Jeśli pojedę teraz, będę to już miała za sobą. Wolę mieć to z głowy.

Przebiorę się i pojedę.

- Poczekam na ciebie
- Nie ma takiej potrzeby. Powinieneś już jechać, wypełnić swoje obowiązki.
- Taak. Gdy widzę, jak sobie radzisz, myślę, że już wcześniej bywałeś w opałach. Mam nadzieję, że pewnego dnia zaufasz mi na tyle, żeby mi o tym opowiedzieć.

Potrzebując fizycznego kontaktu, na chwilę zacisnęła palce wokół jego nadgarstków.

- Jeśli mogłabym komuś powiedzieć, to byłbyś na pewno ty.
- No, na mnie już czas. – Odstawił kawę, ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją. – Dziękuję za wsparcie. I za ciastko.
- Nie ma za co.

\*

Pół godziny później Abigail pojawiła się na posterunku. Starszy zastępca – Boyd Fitzwater, o ile dobrze pamiętała – od razu poderwał się z za biurka i wyszedł jej na spotkanie.

- Pani Lowery, doceniamy, że pani przyjechała. Szef jest w gabinecie, rozmawia z prokuratorem i innymi. Spiszę pani zeznanie.
- Dobrze.
- Napije się pani kawy lub czegoś zimnego?
- Nie, dziękuję.
- Możemy tu usiąść. Powinno być spokojnie. Ash wraca z ra-

townikiem, którego wezwaliśmy, żeby opatrzył nos chłopaka Blake'ów. – Mówiąc to, uśmiechnął się. – Nieźle rozwalony.

– Złamany nos jest na pewno lepszy od kuli. Uważam, że komendant Gleason byłby całkowicie usprawiedliwiony, gdyby użył broni, gdy Justin rzucił się na niego z nożem.

– Nie będę się spierał. Ale zacznijmy od początku. Żeby nie było żadnych wątpliwości, będę nagrywał. I notował. Zgoda?

– Oczywiście.

– A więc do dzieła. – Boyd włączył magnetofon, wymienił datę, czas, nazwiska wszystkich zaangażowanych w sprawę. – Pani Lowery, proszę powiedzieć, co wydarzyło się dzisiejszej nocy.

– O godzinie drugiej siedem nad ranem włączył się alarm, sygnalizując naruszenie granicy posiadłości. – Mówiła wyraźnie, precyzyjnie. – Jak wspomniał komendant Gleason, Justin Blake zazwyczaj poruszał się w towarzystwie dwóch innych kolegów. Chciałam się przekonać, czy rzeczywiście nie ma trzeciego, który mógłby zaatakować od tyłu. Mój alarm nic nie zarejestrował, ale czułam, że najlepiej się upewnić. Po rozmowie telefonicznej z zastępcą Hydermanem wzięłam psa i wyszłam z domu tylnym wyjściem. Pies nikogo nie wyczuł, przeszłam więc naokoło na front domu, gdzie zobaczyłam komendanta Gleasona i dwóch intruzów. Jeden, zidentyfikowany jako Doyle Parsins, już leżał na ziemi, a Justin Blake przykucnął przy tylnej lewej oponie cruisera komendanta Gleasona.

– Czy słyszała pani jakieś słowa?

– O tak, całkiem wyraźnie. Noc była cicha. Komendant Gleason powiedział do Justina: „Pokaż ręce”. Powinnam jeszcze dodać, że komendant Gleason miał pistolet w kaburze. Justin odpowiedział: „Chcesz zobaczyć moje ręce?” i wbił nóż, który trzymał w dłoni, w lewą tylną oponę.

Kontynuowała zeznanie, powtarzając Boydowi dokładnie słowo w słowo i opisując każdy ruch. Boyd przerwał jej raz czy dwa, żeby coś wyjaśnić.

– Jest pani bardzo szczegółowa.

– Mam ejdetyczną pamięć; można ją nazwać fotograficzną – dodała, chociaż zawsze irytowało ją posługiwanie się tą nieścisłością.

– Naprawdę bardzo nam pani pomogła, pani Lowery.

– Mam nadzieję. Zabiłby Brooksa, gdyby mógł.

Boyd, który już wyciągnął rękę, aby wyłączyć magnetofon, cofnął ją i wyprostował się.

– Słucham?

– Justin Blake. Ugodziłby komendanta Gleasona nożem i zabiłby go, gdyby mógł. Jego zamiar był bardzo wyraźny, tak samo jak złość i, sądzę, że również strach. On tylko to rozumie. Zranić albo zlikwidować tego, kto mu przeszkadza. Istnieją ludzie, którzy po prostu uważają, że ich własne żądania i pragnienia są ponad wszystko i wszystkich.

Widziała przecież morderstwo... Ten chłopak nie przypominał jej zimnego, działającego jak automat Korotkija. Brakowało mu tej skuteczności oraz beznamietności. Ale przyszła jej na myśl wściekła twarz Ilii, gdy przeklinał i kopał martwego kuzyna.

– Może do tej pory nikogo nie zabił ani nie zrobił nikomu poważnej krzywdy. Gdyby tak było, nie byłby taki nieporadny. Ale jeśli nie dziś, stałoby się to innym razem, gdyby przyszło mu się zmierzyć z kimś pozbawionym umiejętności, refleksu i spokoju komendanta Gleasona. Szkody byłyby o wiele większe niż tylko złamany nos.

– Tak, proszę pani.

– Przepraszam. To było denerwujące. Bardziej, niż zdawałam sobie z

tego sprawę. Moja opinia nie jest tu istotna. Jeśli to już wszystko, chciałabym pojechać do domu.

– Może panią odwiedzić?

– Nie. Mogę prowadzić. Dziękuję, był pan bardzo miły.

Ruszyła w stronę drzwi, ale zatrzymała się, gdy Brooks ją zawołał. Podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu.

– Zaraz wrócę – powiedział do Boyda, a potem poprowadził ją na zewnątrz.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. Mówiłam ci.

– Właśnie powiedziałaś Boydowi, że to było bardziej denerwujące, niż myślałaś.

– To prawda, ale to nie oznacza, że czuję się źle. Jestem tylko zmęczona. Pojadę do domu i się zdrzemnę.

– Dobrze. Zadzwoń później albo wpadnę, żeby sprawdzić, jak się masz.

– Nie musisz się o mnie martwić. Nie trzeba. – Nie chciała tego tak samo, jak nie chciała, żeby Justin Blake przypominał jej Ilię Wołkowa. – Namoczyłaś koszulę w zimnej wodzie z solą?

– Wyrzuciłem ją. Stale już widziałbym na niej krew, czy byłaby tam, czy nie. Mam gdzieś tę koszulę.

Pomyślała o ładnym sweterku zaplamionym krwią.

– Rozumiem. Ty również jesteś zmęczony. – Dotknęła jego twarzy. – Mam nadzieję, że też uda ci się trochę pospać.

– Przydałoby się. Uważaj po drodze, Abigail. – Zanim otworzył jej drzwi do samochodu, pocałował ją w czoło, a potem w usta. – Miałaś rację. To byłaby tylko kwestia czasu, zanim wyciągnąłby nóż albo pistolet, albo



chwyciłby kij i zrobiłby komuś poważną krzywdę.

– Wiem.

– Nie musisz już więcej się nim przejmować.

– Nie będę. – Pod wpływem emocji objęła go i mocno uścisnęła. –

Bardzo się cieszę, że masz taki dobry refleks.

Wsiadła do samochodu i odjechała.

## 20

Tego popołudnia kilka minut po trzeciej Abigail zobaczyła ciemnego mercedesa sedana zmierzającego w kierunku jej domu. Na jego widok lekko zadrżała. Nie rozpoznała ani samochodu, ani kierowcy – trzydzieści, czterdzieści lat, szerokie ramiona, krótkie ciemne włosy, ani pasażera – około pięćdziesiątki, siwiejące włosy, szeroka twarz.

Wprowadziła tablice rejestracyjne do systemu, pamiętając, że jest przygotowana na wszystko. Gdy w jej szybkiej wyszukiwarce w bazie pojazdów jako właściciel wyskoczył Lincoln Blake, rozluźniła ramiona.

Denerwujący przerywnik, ale nie zagrożenie.

Blake wysiadł drzwiami od strony pasażera. Uderzyło ją, że w doskonale skrojonym garniturze oraz kosztownych butach wyglądał tak, jakby ostentacyjnie obnosił swoją zamożność. Drugi mężczyzna, również w garniturze, niósł teczkę.

Miała wrażenie, że lekkie wybrzuszenie na prawym biodrze zakłóca linię jego marynarki. A zatem nosi przy sobie broń.

W porządku, pomyślała, ona też.

Zastanawiała się, czy nie zignorować pukania do drzwi. Nie musiała

otwierać i rozmawiać z ojcem chłopaka, który próbował zabić Brooksa. Ale doszła do wniosku, że człowiek taki jak Blake, z tego, co o nim słyszała i co podpowiadała jej intuicja, tak łatwo nie odejdzie. Poza tym powodowała ją ciekawość.

Z Bertem przy nodze otworzyła frontowe drzwi.

– Panno Lowery... – Blake zaoferował jej szeroki uśmiech i wyciągniętą rękę. – Proszę mi wybaczyć najście. Jestem Lincoln Blake, jeden z pani sąsiadów.

– Pański dom znajduje się kilkanaście kilometrów stąd, właściwie po drugiej stronie Bickford. Nie mieszka pan na tyle blisko, aby uważać się za mojego sąsiada.

– Wszyscy tu jesteśmy sąsiadami – rzekł jowialnie Blake. – To mój osobisty asystent, Mark. Chciałbym panią przeprosić za nieumyślne wtargnięcie mojego syna na pani posesję wczorajszej nocy. Czy mogę wejść, aby omówić tę sytuację?

– Nie.

Zawsze ją zdumiewało, dlaczego ludzie byli tak zaskoczeni, a nawet dotknięci, gdy na tego typu pytanie udzielała negatywnej odpowiedzi.

– Proszę posłuchać, panno Lowery. Przybyłem z przeprosinami, ponieważ, o ile wiem, mój syn wywołał tu pewne zamieszanie. Chciałbym załatwić sprawę polubownie. Byłoby lepiej, gdybyśmy mogli ją omówić w bardziej sprzyjających i spokojnych warunkach.

– Ja jestem spokojna. Dziękuję za pańskie przeprosiny, panie Blake, chociaż trudno mi je przyjąć, pański syn bowiem w środku nocy wtargnął na moją posesję i zamierzył się nożem na komendanta Gleasona. Zajmuje się tym policja, więc w tym momencie nie mamy o czym rozmawiać.

– Jednak właśnie po to przyjechałem. I nie lubię prowadzić rozmowy w

drzwiach.

– A ja nie lubię obcych ludzi w moim domu. Proszę odjechać i rozmawiać na ten temat z policją.

– Jeszcze nie skończyłem. – Wycelował w nią palec. – Jak rozumiem, pozostaje pani w zażyłych stosunkach z Brooksem Gleasonem, i to...

– Gdybyśmy się nie przyjaźnili, nie byłoby go tutaj o drugiej w nocy, gdy pański syn i jego przyjaciel przybyli z niszczycielskimi zamiarami. Jednak mój związek z komendantem Gleasonem nie zmienia faktów.

– Faktem jest, że mieszka tu pani od niedawna i nie zdaje sobie sprawy z mojej pozycji oraz roli, jaką odgrywam w lokalnej społeczności.

Naprawdę ciekawe, dlaczego uważał, że ma to związek z omawianą sprawą. Ale nie trudziła się, by o to spytać.

– Uważam, że pańska pozycja oraz zasługi nie zmieniają faktów, które miały tu dziś w nocy miejsce. To bardzo nieprzyjemne zostać w ten sposób obudzoną i być świadkiem, jak pański syn atakuje komendanta Gleasona nożem.

– No właśnie! – Blake uderzył palcem wskazującym w otwartą dłoń. – Był środek nocy, ciemno. Bez wątpienia to Brooks Gleason swoimi groźbami sprowokował mojego chłopaka. Justin tylko się bronił.

– Nieprawda – zaprzeczyła Abigail z niezmaconym spokojem. – Moje zewnętrzne światła się paliły. Doskonale wszystko widziałam. Poza tym podczas tego zajścia znajdowałam się w odległości mniejszej niż trzy metry. Komendant Gleason poprosił pańskiego syna o pokazanie rąk, a Justin najpierw przebił oponę i potem zagroził mu nożem.

– Mój syn...

– Nie skończyłam jeszcze prostowania pańskich nieściskości – podkreśliła, zmuszając Blake'a do chwilowego milczenia. – Dopiero wtedy,

gdy pański syn zaczął grozić mu słowem i gestem, Brooks wyciągnął broń. Pański syn nadal nie chciał rzucić noża. A gdy ja zbliżyłam się z bronią, po prostu rzucił się na Brooksa z nożem. Moim zdaniem komendant Gleason byłby w pełni usprawiedliwiony, gdyby wtedy do niego strzelił, ale /decydował się rozbroić go ręcznie, ryzykując własne bezpieczeństwo.

– Nikt pani tu nie zna. Jest pani dziwną samotną kobietą, bez żadnych korzeni ani związków z naszą społecznością. Jeśli opowie pani tę kuriozalną historyjkę w sądzie, moi prawnicy rozniosą ją na strzępy, a pani zostanie ośmieszona.

– Nie sędzę, chociaż jestem przekonana, że pańscy prawnicy wykonają swoją robotę. Jeśli to wszystko, chciałabym już się pożegnać.

– Do cholery, jeszcze chwila! – Gdy Blake zrobił krok do przodu, Bert drgnął i zawarczał.

– Denerwuje pan mojego psa – powiedziała chłodno Abigail. – A jeśli pański asystent spróbuje wyjąć broń, poszczuję go. Zapewniam, że mój pies chwyci go za gardło szybciej, niż on wyciągnie broń. Jak pan widzi, też jestem uzbrojona. I świetnie strzelam. A nie lubię obcych, którzy przychodzą do mojego domu, próbując mnie zastraszyć albo mi grozić. Nie lubię też mężczyzn, którzy wychowują gwałtownych i brutalnych młodych ludzi.

Jak Siergiej Wołkow, pomyślała.

– Nie lubię pana, panie Blake, i po raz ostatni proszę o opuszczenie mojej posiadłości.

– Przyjechałem załatwić z panią sprawę, przeprosić i zaproponować rekompensatę za niedogodność.

– Rekompensatę?

– Dziesięć tysięcy dolarów. To szczodre przeprosiny za nieszczęśliwy wypadek, za nieporozumienie.

- Zdecydowanie tak – zgodziła się z nim Abigail.
- Otrzyma pani pieniądze w gotówce za przyznanie, że było to rzeczywiście nieporozumienie.
- Pan proponuje, żebym przyjęła dziesięć tysięcy dolarów za fałszywe zeznanie?
- Proszę się nie upierać. Proponuję, żeby przyjęła pani pieniądze, które mój asystent ma w teczce, jako przeprosiny, a pani tylko przyzna, że to, co się tu wydarzyło, było nieporozumieniem. Ma pani również moje słowo, że mój syn nigdy więcej nie postawi stopy na pani terenie.
- Po pierwsze, pańskie słowo nie gwarantuje zachowań pańskiego syna. Po drugie, to nie pan, ale pański syn jest mi winien przeprosiny za swoje zachowanie. I wreszcie, pańska oferta stanowi propozycję przekupstwa; pieniądze za fałszywą interpretację faktów. A próba przekupienia świadka w sprawie kryminalnej jest przestępstwem. A więc będzie najprostszym rozwiązaniem, i dla pana na pewno najlepszym, jeśli po prostu powiem: „Nie, dziękuję. Do widzenia”. – Cofnęła się, zatrzęsnęła drzwi i zamknęła wszystkie zamki.

Walił pięścią w drzwi. Abigail zdała sobie sprawę, że wcale jej to nie zaskoczyło. Syn odziedziczył po ojcu niezrównoważony temperament oraz przeświadczenie o swojej bezkarności. Dotykając dłonią kabury, podeszła do kuchennego monitora i obserwowała, jak asystent próbuje uspokoić swojego pracodawcę.

Nie chciała dzwonić na policję. Więcej kłopotów, więcej zamieszania i kolejne ekscesy.

Trochę ją to wzburzyło, przyznała bez wstydu. Ale nie dała się zastraszyć, przeciwstawiła się groźbom. Bez paniki, pomyślała, bez chęci ucieczki.

Nie wierzyła w fatum, w jakiekolwiek przeznaczenie, ale jeśli istniało, może – teoretycznie – było jej pisane przejść przez te dwa doświadczenia, spotkać na swojej drodze kogoś przypominającego Ilię oraz jego ojca. Dzięki temu udowodniła sobie, że może i potrafi się przeciwstawić.

Już nie będzie uciekać. Jeśli wierzy w przeznaczenie.

– Damy mu jeszcze dwie minuty, żeby się opanował i odjechał. Jeśli tego nie zrobi, wyjdziemy jeszcze raz.

Ale tym razem z pistoletem w ręku, a nie w kaburze.

A ponieważ podeszła do tego poważnie, ustawiła minutnik w zegarku i kontynuowała obserwację na monitorze.

Blake'owi ciśnienie musiało niebezpiecznie skoczyć, ponieważ twarz miał pociemniałą, a oczy dosłownie wychodziły mu z orbit. Widziała jego gwałtownie unoszącą się i opadającą klatkę piersiową, gdy krzyczał na swego asystenta.

Miała nadzieję, że nie będzie musiała wzywać policji ani karetki.

Chciała dokończyć pracę i spędzić trochę czasu w ogródku. Kłopoty tego człowieka nie były jej kłopotami.

Dokładnie minutę i dwadzieścia dwie sekundy później Blake pognał z powrotem do samochodu. Gdy asystent zawrócił i odjechał, Abigail z ulgą wypuściła powietrze.

Tyle lat minęło, pomyślała. Czy to nie ironia, że znów była świadkiem przestępstwa oraz ponownie stała się obiektem grózb i zastraszania?

Nie, nie wierzyła w fatum, a jednak... czuła, że zrządzenie losu zdecydowało o zakręcie w jej życiu i powrocie dokładnie do punktu wyjścia.

Materiał do przemyślenia.

Spojrzała na swoją pracę i znów westchnęła.

– Myślę, że pójdziemy na spacer – powiedziała do Berta. – Jestem zbyt

zdekoncentrowana, żeby pracować.

Na powietrzu, idąc wśród drzew i przyglądając się rozkwitającym kwiatom, ponownie rozważała pomysł urządzenia sobie prywatnego punktu widokowego tam, skąd rozciągała się najwspanialsza panorama wzgórz. Powoli odzyskiwała równowagę i wyciszyła się. Tak, zaczęła szukać odpowiedniej ławeczki.

Gdy nadszedł SMS od Brooksa, zdała sobie sprawę, że... czuje się szczęśliwa.

***Może przywiozła coś od Chińczyka? Nie gotuj. Pewnie jesteś zmęczona.***

Zastanowiła się i odpowiedziała.

***Nie jestem zmęczona, ale lubię chińszczyznę. Dziękuję.***

Chwilę później otrzymała kolejną wiadomość.

***Bardzo proszę.***

Rozśmieszyło ją to i jeszcze bardziej poprawiło jej nastrój. A więc zrobi sobie teraz godzinny spacer z Bertem, a po powrocie do domu z jasnym umysłem zabierze się do pracy.

Straciła poczucie czasu, co rzadko jej się zdarzało, i lekko się zirytowała, słysząc brzęczyk alarmu. Jeśli to znów ten arogancki człowiek, nie będzie już taka uprzejma.

Jej rozhuśtany nastrój znów poszybował w górę, gdy zobaczyła samochód Brooksa. Zerknęła na zegarek; okazało się, że pracowała do szóstej.

Nici już dziś z ogrodnictwa, pomyślała, kładąc swoje rozkojarzenie na karb spotkania z tym nieprzyjemnym mężczyzną i jego asystentem o kamiennej twarzy. Ale przestała o tym myśleć i podeszła do drzwi szczęśliwa – znów – z powodu perspektywy zjedzenia kolacji z Brooksem.

Jej powitalny uśmiech zmienił się w wyraz niepokoju, gdy zobaczyła

jego twarz.

– W ogóle nie spałeś.

– Dużo się działo.

– Wyglądasz na wykończonego. Pozwól, że wezmę coś od ciebie.

Przywiozłeś strasznie dużo jedzenia jak na dwie osoby.

– Wiesz, co mówią o chińskim jedzeniu.

– To nieprawda. Nie będziesz głodny godzinę później, jeśli zjesz jak należy. O, kupiłeś też *pijin*.

– Co?

– Chińskie piwo – powiedziała, idąc przodem. – Chińscy rolnicy warzyli to piwo już siedem tysięcy lat przed Chrystusem.

– Nie sądzę, żeby browar Zhujiang był aż tak stary.

– To żart. Pili je, oczywiście nie to piwo, które kupiłeś, podczas różnych rytuałów. Dopiero w siedemnastym wieku wprowadzono w Chinach nowoczesne browarnictwo.

– Dobrze wiedzieć.

– Masz zmęczony głos. Powinieneś usiąść, wypić piwo. Ja przespałam się ze dwie godziny, a potem poszłam na godzinny spacer. Czuję się wypoczęta. Zajmę się jedzeniem.

– Poprosiłem, żeby sami wybrali. Nie wiedziałem, co najbardziej lubisz.

– Nie jestem wybredna. – Otworzyła pudełka. – Przykro mi, że miałeś trudny dzień. Jeśli chcesz, możesz mi o tym opowiedzieć.

– Prawnicy, spory, oskarżenia, groźby. – Otworzył piwo i usiadł przy blacie. – Papierkowa robota, przesłuchania. Nie musisz przekładać tego wszystkiego do miseczek. Urok chińskiego jedzenia polega na tym, że można je jeść z pudełka.



– Nie lubię prowizorki i pośpiechu. Poza tym takie jedzenie nie odpręża. – Wydawało jej się, że Brooks potrzebuje uspokojenia. – Nałożę ci na talerz, tylko powiedz, co chcesz.

– Cokolwiek, też nie jestem wybredny.

– Po kolacji powinniśmy się przejść, a potem weźmiesz ciepłą kąpiel i spróbujesz zasnąć. Wydaje mi się, że jesteś bardzo spięty, a rzadko ci się to zdarza.

– Zirytowali mnie prawnicy, którzy starali się na mnie naciskać i zastraszać mnie i moich ludzi.

– On jest bardzo irytujący. – Nałożyła ryż z miseczki, dodała trochę wieprzowiny w słodko – kwaśnym sosie, pierożki, makaron oraz krewetki smażone w głębokim tłuszczu. – Musiałam pospacerować, żeby się zrelaksować po jego wizycie.

– Po jego wizycie? Tutaj? Blake tu przyjechał?

– Dziś po południu, ze swoim asystentem. Rzekomo po to, żeby przeprosić za „nieumyślne” wkroczenie syna na mój teren. Ale to był tylko podstęp, niezbyt dobrze zamaskowany. Blake był niezadowolony, gdy nie wpuściłam go do środka na rozmowę, której się domagał.

– O to mogę się założyć. On nie lubi, gdy mu się odmawia. Dobrze, że nie otworzyłaś drzwi.

– Otworzyłam, ale nie zaprosiłam go do środka. – Zdecydowała, że wypije piwo prosto z butelki, tak jak Brooks. – Czy wiesz, że jego asystent nosi broń?

– Taak. Chcesz mi powiedzieć, że groził ci bronią?

– Och, nie. Nie denerwuj się. – Miała zamiar go uspokoić, a osiągnęła przeciwny skutek. – Oczywiście, że nie. Po prostu zauważyłam wyrzucenie pod jego marynarką oraz pewne gesty, gdy Bert zawarczał.

Brooks pociągnął duży łyk piwa.

– Dlaczego nie powiesz dokładnie, co tu się przydarzyło?

– Jesteś zdenerwowany – odparła. – Nie powinnam w ogóle o tym wspominać.

– Owszem, powinnaś.

– To nie było nic ważnego. Powiedział, że przyjechał mnie przeprosić, i wyraźnie wytrąciło go z równowagi, gdy odmówiłam wpuszczenia ich do środka. Całe zajście określił jako nieporozumienie i oświadczył, że to wszystko twoja wina. Wyprowadziłam go z błędu, jako że byłam świadkiem. Insynuował, że nie rozumiem jego pozycji w tym mieście oraz że przez mój związek z tobą jestem niewiarygodnym świadkiem. Mniej więcej o to mu chodziło. Chcesz, żebym dokładnie powtórzyła rozmowę?

– Jeszcze nie. Wystarczy sedno sprawy.

– Sedno. W porządku. Był niezadowolony i zły, gdy powiedziałam, żeby sobie poszedł. Ostrzegłam go, że jeśli jego asystent wyciągnie broń, poszczuję go Bertem. Przypomniałam mu, że ja również mam broń.

– Jezu Chryste.

– Wyraziłam się jasno. Wydawało się, że najlepiej podkreślić to, co oczywiste. Blake się wycofał, twierdząc, że przybył z przeprosinami, i zaproponował rekompensatę. Sumę dziesięciu tysięcy dolarów, jeśli zgodzę się przyznać, że to, co się stało w nocy, było nieporozumieniem. To mnie rozzłościło.

– Ile razy prosiłaś go, żeby sobie poszedł?

– Trzy. W końcu powiedziałam „do widzenia” i zamknęłam drzwi. Walił w nie przez prawie dwie minuty. Był bardzo obcesowy. Wreszcie jego asystent przekonał go, by wrócił do samochodu.

Brooks odepchnął się od blatu i zaczął maszerować po kuchni.

– Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

– Nie było takiej potrzeby. To było proste do załatwienia. Irytujące, ale proste. Ja... – Zamilkła, gdy odwrócił do niej twarz, ponieważ malował się na niej hamowany gniew.

– Posłuchaj, dwóch facetów, których nie znasz, staje pod twoimi drzwiami, jeden z nich jest uzbrojony. Nie chcą odjechać, pomimo że nalegasz. Co zatem powinnaś zrobić?

– Zamknąć drzwi. I to zrobiłam.

– Nie, Abigail. Zgodnie z logiką powinnaś zamknąć drzwi, a potem zadzwonić na policję.

– Nie zgadzam się. Przykro mi, że to cię złości. Zresztą odjechali. – Żeby nie zaognić sprawy, wołała mu nie wspominać, że zamierzała postraszyć ich pistoletem, jeśli po dwóch minutach nie odjadą. Później zastanawiała się, czy ten unik nie świadczył o pogmatwanej sytuacji w ich związku. – Byłam uzbrojona, Brooks, i miałam przy sobie Berta. Nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo. Blake był tak wzburzony, że gdyby nie odjechał, na pewno wezwałabym zarówno was, jak i karetkę.

– Czy masz zamiar wnieść oskarżenie?

– Nie. Jesteś na mnie zły. A tego nie chcę. W zaistniałych okolicznościach postąpiłam dokładnie tak, jak czułam, że jest najlepiej. Jeśli ucierpiało twoje ego, że nie wezwałam cię na pomoc...

– Może trochę. Tak, to też. Choć muszę przyznać, że to dla mnie ulga, że jestem z kobietą, która sama potrafi o siebie zadbać. Ale znam Blake'a. Próbował cię naciskać i zastraszać.

– Tak, próbował. I mu się nie udało.

– To wystarczy. Próbował cię przekupić.

– Powiedziałam mu, że próba przekupstwa świadka w sprawie

kryminalnej jest przestępstwem.

– Ma się rozumieć. – Brooks przeczesał dłonią włosy i znów usiadł. – Nie znasz go. Nie wiesz, jakiego wroga sobie dzisiaj zrobiłaś. Lepiej uwierz mi, że mam rację.

– Myślę, że wiem – rzekła cicho. – Bardzo dobrze wiem. Ale to ani moja wina, ani twoja.

– Może nie. Ale tak jest.

– Masz zamiar mu to zarzucić?

– Do diabła, masz rację, zamierzam.

– Czy to nie zaostrzy sprawy?

– Może. Ale jeśli tego nie zrobię, uzna to za moją słabość. Może wrócić i znów spróbować, zaproponować ci większą sumę.

– Jasno wyraziłam swoje stanowisko.

– Jeśli zrozumiesz, z jakiego rodzaju człowiekiem masz do czynienia, zdasz sobie sprawę, że to nie ma dla niego żadnego znaczenia.

Dwanaście lat ucieczki, pomyślała. Tak, rozumiała.

– Masz rację, ale dla mnie osobiście ma znaczenie, że jasno wyraziłam swoje stanowisko.

– W porządku, już dobrze. Ale powtarzam, jeśli on wróci, nie otwieraj drzwi. Zadzwoń do mnie.

– Mam podporządkować moje ego twojemu?

– Nie. Może... Cholera, nie znam się na tym i niewiele mnie to obchodzi.

Uśmiechnęła się lekko.

– To będzie temat do kolejnej dyskusji.

Sposób, w jaki odetchnął, uświadomił jej, że stara się uspokoić.

– Powtarzam to, ponieważ jeśli wróci, będzie tylko bardziej na ciebie

naciskał i zastraszał cię. Mówię ci to, bo chcę, żeby zrozumiał, że jeśli spróbuje dręczyć ciebie lub kogokolwiek innego, zostaną podjęte określone działania. Powiedziałem to samo Russowi, jego żonie, rodzicom, powiedziałem moim ludziom, aby powtórzyli to swoim bliskim.

Skinęła głową, czując, jak opada z niej napięcie.

– Rozumiem.

– On jest wściekły, Abigail. Jego pieniądze, pozycja, tak jak on ją widzi, tym razem na nic się nie zdają. Jego syn siedzi w pace i prawdopodobnie dłużej tam zabawi.

– On kocha swojego syna.

– Szczerze mówiąc, nic o tym nie wiem. Ale wiem jedno – jego ego jest nierozłącznie z tym związane. Nikt nie wsadzi jego chłopaka do więzienia. Nikt nie skala nazwiska Blake. Poświęci tej walce wszystko, co ma, a jeśli będzie trzeba, użyje niewybrednych nacisków.

– Nie boję się go. To dla mnie ma również znaczenie, że się go nie boję.

– Rozumiem. Nie chcę, żebyś się bała, ale chcę, żebyś do mnie zadzwoniła, jeśli on znów się tu pojawi, jeśli spróbuje zaczepić cię na ulicy, jeśli on lub ktoś z nim związany skontaktuje się z tobą w jakikolwiek sposób. Jako świadek jesteś pod moją ochroną.

– Nie mów tego! – Serce naprawdę jej podskoczyło. – Nie chcę być pod czyjąkolwiek ochroną.

– Ale tak to już jest.

– Nie. Nie i nie. – Wybuchła w niej panika, nagła, gorąca. – Skontaktuję się z tobą, jeśli znów tu przyjedzie, ponieważ nakłanianie mnie do kłamstwa jest nieetyczne, a próba przekupstwa – nielegalna. Ale nie chcę ani nie potrzebuję ochrony.

– Dajże już spokój.

– Jestem za siebie odpowiedzialna. Nie mogę być z tobą, jeśli nie zrozumiesz i nie pogodzisz się z tym, że jestem sama za siebie odpowiedzialna.

Cofnęła się o kilka kroków, a pies jej nie odstępował.

– Abigail, z tego, co widzę, być może – lub na pewno – jesteś w stanie poradzić sobie ze wszystkim, co cię dotyka. Ale do moich obowiązków należy ochrona każdego tutejszego obywatela. Włączając ciebie. I nie podoba mi się, że chcesz posłużyć się moim uczuciem do ciebie, żeby postawić na swoim.

– Wcale tego nie robię.

– Ależ tak.

– Nie... – Przerwała, starając się uporządkować myśli. – Nie to chciałam zrobić. Wybacz mi.

– Nie obchodzą mnie twoje przeprosiny. Nigdy nie posługuj się moimi uczuciami jak młotkiem.

– Och, jesteś na mnie zły. Nie chciałam wykorzystać twoich uczuć. Naprawdę. Jestem nieporadna w takiej sytuacji. Nie mam doświadczenia. Nie wiem, co zrobić, co i jak powiedzieć. Po prostu nie chcę, żebyś czuł za mnie szczególną odpowiedzialność. Nie potrafię wyjaśnić, jak niezręcznie bym się czuła, gdyby tak było.

– Dlaczego nie spróbujesz?

– Jesteś zły, zmęczony i twoja kolacja już wystygła. – Przeraziła się, czując łzy spływające jej po policzkach. – Nie miałam najmniejszego zamiaru cię obrazić. Nigdy bym nie pomyślała, że tak się zdenerwujesz z powodu Blake'a. Nie zachowuję się właściwie, ale nawet nie wiem, co jest właściwe w tej sytuacji. Nie zamierzałam płakać. Wiem, że łzy są kolejną bronią, i nie miałam zamiaru z niej skorzystać.

– Wiem, że nie.  
– Podgrzeję ci jedzenie.  
– Jest w porządku. – Wstał, wyjął widelec z szuflady, a potem znów usiadł. – W porządku – powtórzył, gdy wziął kęs i spróbował.  
– Powinieneś jeść pałeczkami.  
– Nigdy się nie nauczyłem.  
– Mogę cię nauczyć.  
– Kiedy indziej. Usiądź i jedz.  
– Och, nadal się złościś. Tylko dusisz tę złość w sobie, ponieważ się rozplakałam. A więc łzy są bronią.

– No tak, jestem zły i duszę to w sobie, bo płaczesz i wyraźnie jesteś rozdarta, ponieważ są sprawy, o których nie chcesz mi powiedzieć albo czujesz, że nie możesz. Duszę to w sobie, ponieważ cię kocham.

Łzy, nad którymi zdołała już zapanować, w przyływie paniki popłynęły gorącym i wartkim strumieniem. Łkając i potykając się, podbiegła do drzwi, otworzyła zamki i wypadła na zewnątrz.

– Abigail.

– Przestań. Przestań. Nie wiem, co robić. Muszę to przemyśleć, opanować się. Powinieneś sobie pójść i wrócić, gdy będę mogła racjonalnie rozmawiać.

– Myślisz, że zostawiłbym cię samą, gdy jesteś w takim stanie? Wyznaję ci miłość, a ty reagujesz tak, jakbym złamał ci serce.

Gdy się odwróciła, miała pięść przyciśniętą do serca, a oczy pełne łez i emocji.

– Nikt nigdy mi tego nie powiedział. W całym moim życiu nikt nigdy nie powiedział mi tych słów.

– Obiecuję, że od dzisiaj będziesz je słyszeć ode mnie codziennie.

– Nie... nie obiecuj. Nie wiem, co czuję. Skąd mam wiedzieć, że to nie tylko słowa. Słuchanie ich, patrzenie na ciebie, świadomość, że naprawdę tak myślisz, jest przytłaczająca. Albo tak mi się wydaje. Skąd mam wiedzieć?

– Nie możesz wiedzieć wszystkiego. Czasem trzeba zaufać. Czasem trzeba po prostu zdać się na uczucia.

– Pragnę tego. – Nadal trzymała dłoń ściśniętą na sercu, tak jakby wraz z rozwarciem palców wszystko miało ulecieć. – Pragnę tego bardziej, niż mogę znieść.

– A więc zrób to. Tak jest w porządku.

– To nie jest w porządku. To nie jest fair wobec ciebie. Ty tego nie rozumiesz, nie możesz.

– Abigail.

– To nawet nie jest moje imię!

Gwałtownie przycisnęła ręką usta i zaczęła łkać. On tylko podszedł do niej i wytarł łzy z jej policzka.

– Wiem.

Zrobiła się przeraźliwie blada, cofnęła się o krok i kurczowo chwyciła się barierki.

– Skąd wiesz?

– Uciekasz i ukrywasz się przed czymś lub przed kimś. Może jedno i drugie. Jesteś zbyt inteligentna, żeby uciekać i ukrywać się pod prawdziwym nazwiskiem. Podoba mi się imię Abigail, lecz od początku wiedziałem, że jesteś kimś innym. Ale tu nie chodzi o imię. Ufasz mi na tyle, aby mi je wyjawić. Chyba się do tego zbliżamy.

– Czy ktoś jeszcze o tym wie?

– Jesteś śmiertelnie przerażona. Nie podoba mi się to. Dlaczego ktoś inny miałby o tym wiedzieć albo miałoby go to obchodzić? Czy byłaś z kimś



tak blisko jak ze mną?

– Nie. Nigdy.

– Spójrz na mnie – mówił cicho, podchodząc do niej. – Posłuchaj mnie.

– Słucham.

– Obiecuję, że cię nie zawiodę. Uwierz mi i od tego zaczniemy.

Kocham cię. – Uspokoił ją pocałunkiem, pocieszał pieścizotą, aż przestała się

trząść. – No proszę, to nie było takie trudne. Jesteś we mnie zakochana.

Widzę to i czuję. Dlaczego nie spróbujesz wyrazić tego słowami?

– Nie wiem. Chciałabym wiedzieć.

– Postaraj się to wyartykułować, zobaczysz, jak to jest. Obiecuję, że nie będę cię trzymał za słowo.

– Ja... cię kocham. Och, Boże! – Zamknęła oczy. – Czuję, że tak jest naprawdę.

– Powtórz to i pocałuj mnie.

– Jestem w tobie zakochana. – To zabrzmiało jak wyzwanie.

Spragniona tego uczucia, tego daru, jego światła. Miłości. Chciała kochać i być kochaną.

Nie wierzyła w miłość. Nie wierzyła w cuda.

A jednak to była miłość. To był cud.

– Nie wiem, co teraz zrobić.

– Doskonale nam idzie.

Oddychała głęboko. Nawet to wydawało się inne. Bardziej swobodne. Pełniejsze.

– Chcę podgrzać jedzenie. Chcę cię nauczyć, jak posługiwać się pałeczkami, i zjeść z tobą kolację. Czy możemy to zrobić? Czy możemy przez chwilę po prostu być?

– Oczywiście. – Jeśli potrzebowała trochę czasu, mógł jej go dać. – Ale

nie obiecuję niczego w kwestii pałeczek.

– Zmieniłeś wszystko.

– To dobrze czy źle?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Nie wiem. Ale wszystko zmieniłeś.

## 21

Przygotowanie jedzenia – proste, rutynowe czynności – uspokoiło ją. Brooks dłużej nie naciskał. To było jego zaletą, a zarazem bronią. Potrafił czekać. Wiedział, kiedy zmienić ton, dać jej trochę przestrzeni, jak pomóc jej się odprężyć, rozluźnić.

Niezdarność, z jaką posługiwał się pałeczkami, przyprawiała ją o śmiech, chociaż podejrzewała, że przynajmniej po części udawał.

Odkąd pojawił się w jej życiu, śmiała się więcej niż kiedykolwiek.

Choćby to było warte ryzyka.

Gdyby go poprosiła o trochę czasu, na pewno by nie odmówił. Mogłaby ten czas wykorzystać na znalezienie innego miejsca do zamieszkania, innej tożsamości, na opracowanie planu kolejnej ucieczki.

Ale jeśli by to zrobiła, nigdy nie dowiedziałaby się, jak mogłoby być. Nie czułaby tego, co czuje teraz, z nim. Już nigdy nie pozwoliłaby sobie na kolejną próbę.

Mogłaby... znaleźć radość, bezpieczeństwo. Miała to już kiedyś. Ale nigdy nie zaznała miłości.

Mogła wybrać racjonalną drogę, wyjechać i zachować bezpieczeństwo. Albo zaryzykować wszystko – bezpieczeństwo, swoją wolność, a nawet życie – dla miłości.

– Możemy się przejść? – spytała.

– Oczywiście.

– Wiem, że jesteś zmęczony – zaczęła, gdy wyszli na dwór. – Powinniśmy poczekać z tą rozmową o... wszystkim.

– Jutro jest równie dobre jak dzisiaj.

– Nie wiem, czy jutro będę miała dość odwagi.

– A więc powiedz mi, czego się boisz?

– Wielu rzeczy. Ale najbardziej tego, że jeśli powiem ci o wszystkim, zmienisz do mnie stosunek... nie będziesz mnie już darzył takim samym uczuciem.

Brooks pochylił się, podniósł patyk i rzucił go. Bert popatrzył na Abigail, odczytał jej pozwolenie i pognał przed siebie.

– Miłości nie można włączyć i wyłączyć jak światła.

– Nie wiem. Nigdy nie byłam zakochana. Boję się, że utracę miłość. I ciebie. I to... To wszystko. Ty masz obowiązki, a nawet więcej, masz pewne zasady. Znałam mężczyznę podobnego do ciebie, nawet bardziej niż początkowo zdawałam sobie z tego sprawę. Zginął w mojej obronie.

– Przed kim?

– To skomplikowane.

– W porządku. Kochał cię?

– Nie w ten sposób, jak myślisz. Nie było w tym nic romantycznego ani seksualnego. Po prostu obowiązek. Ale prócz tego mnie lubił. Był pierwszą osobą, którą naprawdę obchodziłam. – Przycisnęła rękę do serca. – Nie za to, co sobą reprezentowałam czy osiągnęłam, albo czego po mnie oczekiwano. Ale dla mnie samej.

– Powiedziałaś, że nie poznałaś swego ojca, a więc to nie był on. Glina? Byłaś chronionym świadkiem, Abigail?

Dłoń jej się trzęsła. Czy widział to, czy po prostu wyczuł? Ale wziął ją za rękę, ogrzał i uspokoił.

– Byłam pod ochroną. Dostałabym nową tożsamość, nowe życie, ale... wszystko poszło fatalnie.

– Jak dawno temu to było?

– Miałam szesnaście lat.

– Szesnaście?

– Skończyłam siedemnaście w dniu... – Krew Johna na jej rękach... – Och, nie opowiadam ci tego od tej strony, co trzeba. Nigdy sobie nie wyobrażałam, że kiedykolwiek będę komuś o tym mówić.

– Dlaczego nie opowiesz mi wszystkiego od początku?

– Nie wiem, gdzie jest początek. Może to było wtedy, gdy zrozumiałam, że nie chcę zostać lekarzem, a wiedziałam to na pewno na moim pierwszym semestrze przygotowującym do studiów medycznych.

– Wtedy stało się coś złego?

– Nie. Skończyłam ten semestr, dopełniłam wymogów koniecznych do dostania się na medycynę. Gdybym kontynuowała, to zgodnie z planem mojej matki następnej jesieni zaczęłabym studia.

– Powiedziałaś, że miałaś szesnaście lat.

– Tak. Byłam bardzo zdolna. Całą edukację robiłam w przyspieszonym trybie. Przez pierwszy semestr na Harvardzie mieszkałam u rodziny, którą matka mi wybrała. Byli bardzo surowi. Płaciła im za to. W następnym semestrze mieszkałam sama w akademiku, ale pod ścisłą kontrolą. Myślę, że mój bunt rozpoczął się w dniu, gdy kupiłam swoje pierwsze džinsy i bluzę z kapturem. To było ekscytujące.

– Wróc. W wieku szesnastu lat byłaś na Harvardzie na semestrze przygotowawczym i kupiłaś pierwszą parę džinsów?

– Moja matka kupowała albo nadzorowała kupno mojej garderoby. – Ponieważ nadal ta myśl ją gnębiła, uśmiechnęła się z przymusem. – To było okropne. Nie spojrzalbyś wtedy na mnie. Tak bardzo chciałam być podobna do innych dziewczyn. Chciałam rozmawiać przez telefon i wymieniać SMS – y na temat chłopaków. Chciałam wyglądać tak jak inne dziewczyny w moim wieku. I, mój Boże, za nic w świecie nie chciałam zostać lekarzem! Pragnęłam złożyć aplikację do FBI, pracować w dziale walki z przestępczością w sieci.

– Powiniennem się domyślić – mruknął.

– Sprawdzalam, jakie są kursy, studiowałam online. Gdyby ona wiedziała... nie wiem, co by zrobiła.

Zatrzymała się w miejscu, skąd rozciągał się widok na wzgórze. To tu chciała postawić ławkę, ale przemknęło jej przez myśl, czy teraz w ogóle będzie po temu okazja. Było już za późno, by przerwać opowieść.

– Obiecała mi, że latem zrobię sobie przerwę. Podróż, tydzień w Nowym Jorku, a potem plaża. Żyjąc tą obietnicą i nadzieją, ukończyłam ostatni semestr. Ale ostatecznie zapisała mnie na letni kurs prowadzony przez jednego z jej współpracowników. Intensywna nauka, zajęcia w laboratorium. To by dobrze wyglądało w moim życiorysie, przyspieszyłoby dyplom. Wtedy po raz pierwszy w życiu... przeciwstawiłam się swojej matce.

– Nareszcie.

– Może, ale to zapoczątkowało łańcuch potwornych wydarzeń. Ona się pakowała. Wyjeżdżała na konferencję, na której w zastępstwie innego lekarza wygłaszała referat. Miała wyjechać na tydzień. Pokłóciłyśmy się. Nie, właściwie nie wyrażam się precyzyjnie. – Zła na siebie Abigail pokręciła głową.

Dokładność była tu konieczna.

– Ona się nie spierała. Po prostu podjęła decyzję i ani przez myśl jej nie przeszło, że mogę się do niej nie zastosować. Po prostu doszła do wniosku, że moje zachowanie, moje żądania i postawa są typowe na pewnym etapie rozwoju nastolatki. Nie wątpię, że skrzętnie to odnotowała w mojej kartotece. I zostawiła mnie. Kucharka miała dwa tygodnie wolnego, więc zostałam w domu sama. Wyszła bez słowa, podczas gdy ja dąsałam się w swoim pokoju. Nie wiem, dlaczego byłam wówczas tak poruszona, że zostawiła mnie w taki sposób, ale naprawdę doznałam szoku. Potem przyszła wściekłość i może trochę ekscytacji. Chwyciłam kluczyki od samochodu i pojechałam do centrum handlowego.

– Do centrum handlowego?

– To brzmi idiotycznie, prawda? Mój pierwszy łyk wolności i pojechałam do galerii handlowej! Ale marzyłam, żeby chodzić z koleżankami po sklepach, chichotać, paplać o chłopcach i pomagać sobie nawzajem wybierać ciuchy. Wtedy wpadłam na Julie. Przez pewien czas chodziłyśmy razem do szkoły. Była ode mnie o rok starsza; bardzo popularna i ładna dziewczyna. Myślę, że tamtego dnia rozmawiała ze mną tylko dlatego, że akurat zerwała z chłopakiem i nie bardzo wiedziała, co ze sobą począć. Od tego wszystko się zaczęło.

Opowiedziała mu o zakupach, o tym, jak się dzięki temu poczuła. O farbie do włosów, planach sfałszowania dokumentu tożsamości i zamiarze wyprawy do klubu.

– Jak na jeden dzień to spory ładunek młodzieńczego buntu.

– Sądzę, że to we mnie narastało.

– Pewnie tak. W wieku szesnastu lat potrafiłaś sfabrykować nadający się do okazania dowód tożsamości?

– Bez problemu. Interesowałam się kradzieżą tożsamości oraz

przestępstwami w sieci. Wierzyłam, że mam przed sobą karierę jako śledczy.

– Nie zdziwiłbym się.

– Pochlebiasz mi. Kiedyś tak wiele to dla mnie znaczyło. Tamtego dnia w galerii zrobiłam zdjęcie Julie, a potem sobie. Obcięłam włosy i ufarbowałam je na czarno. Na bardzo czarno, i kupiłam kosmetyki do makijażu. Umalowałam się tak, jak pokazała mi Julie. Zresztą od dawna obserwowałam dziewczyny w college'u, a więc wiedziałam, jak to się robi.

– Poczekaj chwilę. Próbuję sobie ciebie wyobrazić z krótkimi, czarnymi włosami. – Przyglądał się jej, mrużąc oczy. – Trochę gotycko, zabójczo.

– No nie wiem, ale na pewno wyglądałam zupełnie inaczej, niż chciała moja matka. Przypuszczam, że o to mi głównie chodziło.

– Zapewne, ale miałas do tego absolutne prawo. Każdy młody człowiek je ma.

– Być może. Ale na tym trzeba było poprzestać. To powinno wystarczyć. Ciuchy, włosy, makijaż. Kurs, na który mnie zapisała, zaczynał się w poniedziałek, a ja postanowiłam, że się na niego nie stawię. Matka wpadłaby we wściekłość i to powinno wystarczyć. Ale ja na tym nie poprzestałam.

– Byłaś na fali – skomentował. – Stworzyłaś fałszywe dokumenty i poszłaś do klubu.

– Tak. Julie wybrała klub. Ja się na tym nie znałam, ale poczytałam o nim w internecie i dowiedziałam się, że należy do rodziny, która podobno – a właściwie na pewno – należy do rosyjskiej mafii. Do Wołkówów.

– Coś mi się kojarzy. W Little Rock nie mamy do czynienia z rosyjską mafią. Jest trochę irlandzkiej, trochę włoskiej.

– Siergiej Wołkow był... jest... pachanem, szefem bratwy Wołkówów.

On i jego brat są właścicielami tego klubu. Później dowiedziałam się, że zarządzał nim syn Siergieja, Ilia. Jego kuzyn Aleksiej też tam pracował, przynajmniej pozornie. Przede wszystkim jednak, o czym dowiedziałam się później, Aleksiej pił, handlował narkotykami i kobietami. Nie miałam o tym pojęcia, w ogóle byłam zielona w takich sprawach, gdy go poznałyśmy. Piłyśmy więc cosmopolitany, Julie i ja – ciągnęła. – To były drinki wówczas popularne z powodu serialu *Seks w wielkim mieście*. Piłyśmy, tańczyłyśmy. To była najbardziej ekscytująca noc w moim życiu. W pewnym momencie Aleksiej Gurewicz podszedł do naszego stolika.

Opowiedziała mu o wszystkim – jak wyglądał klub, jaką grano muzykę. Jak pojawił się Ilia, jak na nią patrzył, o czym rozmawiali. I o tym, jak po raz pierwszy w życiu została pocałowana, i to przez rosyjskiego gangstera.

– Byłyśmy takie młode i głupie – ciągnęła. – Nie chciałam jechać do domu Aleksiej a, ale nie wiedziałam, jak się z tego wykręcić. Źle się czułam, a kiedy na dokładkę Ilia oświadczył, że musi zostać jeszcze w klubie, obiecując, że spotkamy się później, zrobiło się jeszcze gorzej. Dom Aleksieja znajdował się niedaleko domu mojej matki. Wyobrażałam sobie, że po prostu wracam do domu, żeby położyć się do łóżka. Nigdy przedtem nie piłam. To przestało być przyjemne.

– Tak to się dzieje.

– Czy ty kiedykolwiek... kiedy byłeś nastolatkiem?

– Kilkakrotnie razem z Russem, gdy byliśmy jeszcze małoletni, upiliśmy się i rzygaliśmy jak koty. Potem upiłem się jeszcze parę razy.

– To był mój pierwszy i ostatni raz, nigdy potem nie piłam cosmopolitanów. Wystarczy, że na nie spojrzę, i już robi mi się niedobrze – przyznała sama przed sobą, nieco wystraszona. – Miał piękny dom z widokiem na rzekę. Umeblowany trochę ze zbyt przesadną konsekwencją,



pomyślałam. Zbyt ostentacyjnie trendy. Zrobił nam kolejne drinki, nastawił muzykę, ale mnie było niedobrze i skorzystałam z łazienki przy kuchni. Wymiotowałam. Silniej niż kiedykolwiek w życiu. Chciałam...

– Zwinąć się w kłębek i umrzeć?

– Tak, właśnie. – Uśmiechnęła się blado. – Przypuszczam, że wielu ludzi doświadcza tego przynajmniej raz w życiu. Nadal czując się słabo, wyszłam z łazienki i zobaczyłam... jak Julie i Aleksiej uprawiają seks na kanapie. Byłam zafascynowana, a jednocześnie przerażona. I okropnie zażenowana. Przez kuchnię przemknęłam na taras. Na powietrzu poczułam się lepiej. Usiadłam w fotelu i zasnąłam. Obudziły mnie czyjeś głosy.

– Zmarzłaś. – Ponieważ zaczęła się trząść, Brooks objął ją ramieniem.

– Tamtej nocy też przenikał mnie chłód z powodu wiatru od rzeki albo mdłości, albo tego, co wydarzyło się potem. Teraz czuję się tak samo. Chciałabym wracać. Może łatwiej będzie mi to opowiedzieć, gdy będziemy szli.

– W porządku.

– Planowałam postawić tutaj ławkę, taką drewnianą... żeby wtopiła się w otoczenie. Lubię ten widok, tu jest tak spokojnie, tylko strumyk szumi i świergoczą ptaki. To głupie...

– Nieprawda.

Głupie, powtórzyła w myślach.

– Tamtej nocy zajrzałam przez szybę rozsuwanych drzwi i oprócz Aleksiej a zobaczyłam w pokoju jeszcze dwóch mężczyzn. Nie widziałam Julie. Początkowo rozmawiali po rosyjsku, ale ja uczyłam się rosyjskiego. Lubię języki i mam do nich zdolności. Zrozumiałam. Ten mężczyzna, on nazywa się Korotkij, Jakow Korotkij, oskarżył Aleksieja o kradzież pieniędzy rodziny. Kłócili się i początkowo Alex był bardzo arogancki. Ale to nie

trwało długo. Powiedzieli, że odkąd aresztowano go za narkotyki, donosi policji. Drugi mężczyzna, taki mocno zbudowany, zmusił go do ukłęknięcia, a wtedy Aleksiej zaczął się bać. Próbował się targować, grozić, potem błagać. Wzięłbyś mnie za rękę?

Ujął jej dłoń i delikatnie ścisnął.

– Przerwij, gdy będziesz tego potrzebowała.

– Muszę dokończyć. Korotkij strzelił do niego raz, a potem dwa razy w skroń. Strzelił do niego tak, jak ty zapalasz silnik w samochodzie albo wkładasz koszulę. Zwykła sprawa. I wtedy weszła Julie. Była rozebrana, widocznie jej też zrobiło się niedobrze. Ledwie mówiła, ledwie coś widziała, a Korotkij zastrzelił ją, tak odruchowo, jak się zabija komara. Boże. Boże!

– Posłuchaj, teraz oprzyj się na mnie. – Puścił jej rękę, objął ją ramieniem, mocno przytulił i tak szli.

– Korotkij był zły, że nie poinformowano go o jej obecności. Nie wiedzieli o mnie, skulonej za rozsuwanymi drzwiami, sparaliżowanej strachem. Po prostu zeszywniałej.

Nie powinnam wychodzić na dwór, przebiegło Abigail przez myśl. Czowała, że nogi pod nią miękną, a żołądek zaczyna się wywracać. Chciałaby usiąść, wołałaby tak wyraźnie tego nie widzieć, nie słyszeć i nie czuć.

– Tymczasem wystarczy – mruknął Brooks. – Wejdzmy do środka.

– Przyjechał Ilija. To on mnie pocałował pierwszy raz. Był taki piękny i pocałował mnie, a dzięki temu poczułam się jak normalna dziewczyna. Tak samo jak wtedy, gdy kupiłam dzinsy i bluzę z kapturem, a potem, gdy ufarbowałam włosy. Właśnie tak się poczułam, gdy Ilija mnie pocałował...

– To nie jest istotne dla sprawy.

– Ależ tak, jest. Wszedł do środka i wpadł w złość. Ale nie dlatego, że jego kuzyn został zamordowany, tylko dlatego, że Korotkij się pospieszył;

Aleksiej miał zostać zabity dopiero następnego wieczoru. A ja wiedziałam, że ten mężczyzna, pierwszy mężczyzna, który mnie pocałował, zabije mnie, jeśli mnie zobaczy. Wiedział, że tam jestem; chciał mnie znaleźć i zabić. Przeklinał Aleksieja, kopał go i kopał. On już nie żył, ale Ilia był tak wściekły, że nadal go kopał. Dostrzegłam taką samą złość w Justinie Blake'u wczorajszej nocy – ciągnęła. – Widziałam w nim to samo co w Ilii. To bardziej przerażające niż jakakolwiek broń.

Poczuła zapach ogrodu, delikatną nutę korzenną i słodką w powietrzu. Pokrzepiła ją, tak samo jak ramię Brooksa, którym ją mocno obejmował.

– A więc uciekłam. Zdjęłam nowe buty, ale nie pomyślałam o tym, żeby je zabrać. Uciekałam przed siebie, nie wiedząc dokąd. Biegłam na oślep, przerażona, pewna, że mnie złapią i zabiją, ponieważ przeciwstawiłam się matce, zrobiłam to, co chciałam, i Julie nie żyje. Miała zaledwie osiemnaście lat...

– W porządku. Już w porządku.

– Nie, nic nie jest w porządku... Upadłam i torebka wyleciała mi z ręki. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że ją trzymam. Miałam w niej telefon. Zadzwoiłam na policję. Przyjechali... i znaleźli mnie. Opowiedziałam im, co się wydarzyło. Rozmawiałam z dwojgiem detektywów. Byli dla mnie mili, detektywi Griffith i Riley... Pomogli mi.

– Dobrze, daj mi klucze.

– Klucze?

– Wejdziemy do domu. Potrzebuję kluczy.

Wyjęła je i mu podała.

– Zabrali mnie do domu... bezpiecznego domu. Zostali ze mną, a potem przyjechał John. Agent US Marshals John Barrow i agentka Theresa Norton. Jesteś podobny do Johna. Cierpliwy, wnikliwy i miły.

- Usiądziemy. Rozpalę w kominku i zrobię ci herbatę.
- Już jest za ciepło na kominek.
- Chcę rozpalić ogień. Mogę?
- Oczywiście. – Posłusznie usiadła. – Czuję się trochę dziwnie.
- Po prostu posiedź i chwilę odpocznij, zanim skończę.
- Zadzwonili do mojej matki. Wróciła. Nie chciała, żebym zeznawała, została w bezpiecznym domu ani poddała się programowi ochrony świadków.
- Martwiła się o ciebie – zauważył Brooks, układając drewno na podpałkę.
- Nie. Chciała, żebym skończyła kurs wakacyjny, na który mnie zapisała, a potem wróciła na Harvard i została najmłodszym neurochirurgiem w zespole Silva Memorial Hospital w Chicago. Zrzunowałam jej plan, w który włożyła tyle czasu i wysiłku. Gdy nie zgodziłam się z nią wyjechać, wyszła, tak samo jak tego dnia, gdy to wszystko się zaczęło. Nigdy potem z nią nie rozmawiałam.

Brooks przysiadł na piętach.

- Nie zasługuje ani na jedno słowo od ciebie. – Przyłożył zapalnik do zwiniętego kawałka papieru, przyglądał się, jak płonie, zajmuje stosik drewna. Zdał sobie sprawę, że sam się tak czuje, że jest gotów wybuchnąć i zapłonąć. Ale to była ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała.

- Zaparzę herbatę. Odpocznij kilka minut.

- Chcę ci to opowiedzieć do końca.

- Zdażysz. Teraz zrobisz sobie przerwę.

- Masz zamiar zadzwonić do US Marshals? Do FBI?

- Abigail... – Ujął jej twarz w dłonie. – Mam zamiar zrobić ci herbatę.

Zaufaj mi.

Najchętniej by coś uderzył, połamał na kawałki, rozwalił, walnął pięścią

tak mocno, żeby aż krwawiła. Może w ten sposób wyładowałyby złość, jaka wezbrała w nim na tę bezduszną kobietę, która porzuciła przerażone i zszokowane dziecko. Abigail była maltretowana, tak samo jak te nieszczęsne dzieci bite i kopane przez swoje matki.

Nastawił czajnik. Powinna teraz się ogrzać, poczuć bezpiecznie i uspokoić. Musiał zapamiętać każde usłyszane przed chwilą słowo, ale wolałby, żeby obydwójce mogli o nich zapomnieć, puścić je mimo uszu.

Gdy woda się gotowała, wyjął jednak notes i zapisał wszystkie nazwiska, które mu podała. Potem odłożył go i zaparzył herbatę.

Siedziała sztywno wyprostowana na kanapie, bardzo blada, z pociemniałymi oczami.

– Dziękuję.

Usiadł obok niej.

– Muszę coś powiedzieć, zanim będziesz kontynuować.

Wpatrywała się w swoją herbatę, cała spięta.

– Dobrze.

– Nie jesteś niczemu winna.

Usta jej zadrżały, zanim zdołała je zacisnąć.

– Trochę jestem odpowiedzialna. To prawda, byłam młoda, ale nikt nie zmuszał mnie do fałszowania dokumentów ani wyprawy do klubu.

– Kompletne bzdury, ponieważ to w żadnym razie nie czyni cię odpowiedzialną za dalszy bieg wypadków. Twoja matka jest potworem.

Raptownie podniosła głowę, a jej pociemniałe oczy zrobiły się ogromne.

– Moja... ona...

– Nawet jeszcze gorzej. Ona jest jakimś pieprzonym cyborgiem i z ciebie chciała zrobić takiego samego. Od początku dawała ci do zrozumienia,

że stworzyła cię zgodnie ze swoim zapotrzebowaniem. A więc to, że jesteś inteligentna, piękna i zdrowa, zawdzięczasz tylko jej. Co za draństwo!

– Moje dziedzictwo genetyczne...

– Cicho bądź, jeszcze nie skończyłem. Zmuszała cię, żebyś ubierała się, jak ona chce, studiowała, co ona chce, i założę się, że zmuszała cię do zadawania się tylko z tymi ludźmi, których ona wyselekcjonowała, czytała to, co ona wybrała, jadła potrawy, które ona uznała za stosowne. Mylę się?

Abigail mogła tylko pokręcić głową.

– Być może nigdy nie podniosła na ciebie ręki, może cię ubierała, żywiła, zapewniała solidny dach nad głową, ale kochanie, przez szesnaście lat swojego życia byłaś maltretowana. Wiele dzieciaków uciekłoby z takiego domu albo zrobiło coś gorszego. A ty obciąłaś włosy i wkradłaś się do klubu. Jeśli za to, co się stało, chcesz obwiniać kogoś jeszcze poza tym cynglem i jego szefem, powinnaś obwiniać właśnie ją.

– Ale...

– Czy kiedykolwiek byłaś na jakiejś terapii?

– Nie jestem stuknięta.

– Nie, nie jesteś. Po prostu pytam.

– Zanim opuściłam dom, odkąd pamiętam, byłam obiektem jakiejś terapii. Zaangażowała jednego z najlepszych dziecięcych psychologów w Chicago.

– W tej sprawie też nigdy nie miałaś wyboru.

– Nie – odpowiedziała Abigail z westchnieniem. – Nie, wolnego wyboru nie przewidywał jej plan na moje życie.

Ujął jej twarz i dotknął ustami jej ust.

– Jesteś cudem, Abigail. To prawdziwy cud, że jesteś tym, kim jesteś, będąc córką kobiety tak zimnej, pozbawionej współczucia, a raczej

jakichkolwiek uczuć. Pamiętaj o tym. Możesz opowiedzieć mi resztę, gdy będziesz gotowa.

– Pocałujesz mnie znów?

– Nie musisz dwa razy prosić.

Znów ujął jej twarz w dłonie i pochylił się, żeby czule położyć usta na jej ustach. Zaciśnęła palce wokół jego nadgarstków, żeby go przytrzymać choćby chwilę dłużej.

Nie była pewna, czy gdy usłyszy resztę opowieści, zechce ją jeszcze całować.

Opowiedziała mu o Johnie, o Terry, o bezpiecznym domu, o panującej tam rutynie, o prawniczych grach na zwłokę. Opowiedziała mu, jak Bill Cosgrove uczył ją grać w pokera, a Lynda czesała jej włosy.

– To był, w pewnym przewrotnym sensie, najlepszy okres mojego życia. Oglądałam telewizję, słuchałam muzyki, studiowałam, gotowałam, uczyłam się, miałam z kim rozmawiać. John i Terry – wiem, że to była ich praca, ale dla mnie byli jak rodzina. Potem nadeszły moje urodziny. Nie podejrzewałam, że będą wiedzieli, a jeśli nawet, że w ogóle o tym pomyślą. Ale przygotowali dla mnie prezenty i tort. John dał mi kolczyki. Przekłułam sobie uszy tamtego dnia, gdy byłam w centrum handlowym z Julie, a on mi podarował pierwszą prawdziwą parę kolczyków. A Terry kupiła mi w prezencie sweterek; był taki śliczny. Poszłam do swego pokoju, żeby go włożyć i założyć kolczyki. Byłam szczęśliwa...

Przerwała na chwilę, rozważając, jak wyjaśnić mu to, czego nigdy do końca nie wyjaśniła samej sobie.

– To nie było tak, jak tamtego dnia w centrum handlowym. Tego uczucia szczęścia nie podsycaly bunt, nowość czy kłamstwa. To było naprawdę głębokie i silne uczucie. Zamierzałam włożyć ten sweterek i

kolczyki w dniu, gdy będę zeznawać w sądzie. Nie mogłam przywrócić Julie życia, ale w ten sposób chciałam uzyskać dla niej sprawiedliwość. A potem postanowiłam, że zostanę tym, kim chcę zostać. Jakikolwiek nazwisko i imię mi nadadzą, będę wolna i będę sobą. A potem... nie widziałam wszystkiego, co się działo. Mogę się tylko domyślać. Składałam to do kupy na tak wiele sposobów. Najbardziej logiczne wydaje się, że Bill Cosgrove i agent, który tego wieczoru zastępował Lyndę, on nazywa się Keegan, weszli jak zwykle przez kuchnię. Myślę, że Terry była tam sama, a John był w salonie. Musiała coś wyczuć lub coś podejrzewać. Nie wiem dlaczego. Zabili ją, a może wtedy tylko obezwładnili. Ale zdołała ostrzec Johna, a więc był w pogotowiu. Nie mógł jednak dotrzeć do mnie, nie mógł wejść po schodach, nie ryzykując życiem. Usłyszałam strzały. Wszystko działo się błyskawicznie. Wybiegłam z sypialni i zobaczyłam Johna. Gdy dotarł do mnie, miał kilka ran postrzałowych. Krew leciała mu z nogi, z brzucha. Wepchnął mnie z powrotem do pokoju i upadł. Nie mogłam powstrzymać krwotoku. – Spuściła wzrok na swoje dłonie. – Nie mogłam tego powstrzymać. Wiedziałam, co robić, ale nie mogłam pomóc. Nie zostało mu wiele czasu. Nie było czasu. Kazał mi uciekać. Wziąć, co pod ręką, i wydostać się przez okno. Nie mogłam zaufać policji. Jeśli mieli Cosgrove'a i tego drugiego, mogli mieć takich więcej. Wołkowowie. Nie chciałam zostawić Johna. Ale w końcu wyszłam przez okno z pieniędzmi, które dostałam, laptopem, kilkoma ubraniami i pistoletem Johna, który zwykle nosił przy kostce. Zamierzałam wezwać pomoc. Może gdyby w porę nadeszła, John by nie umarł... Nie wiedziałam, czy Terry żyje, czy nie. Odbiegłam zaledwie kawałek, gdy dom wyleciał w powietrze. Myślę, że planowali go wysadzić razem ze mną. Zastąpić Johna i Terry, potem coś zainscenizować i wysadzić dom.

– Dokąd pojechałaś?



– Wróciłam do domu. Matka była w pracy, a kucharka miała wolny dzień. Nadal miałam klucz. Wróciłam tam, żeby się gdzieś ukryć, zanim matka wróci. I odkryłam, że wszystkie moje rzeczy spakowała już do kartonów. Niektórych w ogóle nie było. Nie wiem dlaczego tak mnie to zdenerwowało, zważywszy na wszystkie inne okoliczności.

– Ja to rozumiem.

– Otworzyłam jej sejf i wyjęłam pieniądze. Dziesięć tysięcy dolarów. Postąpiłam źle, ale okradłam swoją matkę i wyszłam. Nigdy już tam nie wróciłam. Idąc, usiłowałam myśleć. Przedtem przeszła burza, ale teraz tylko padał deszcz. Było mokro i ciemno. Wiedziałam, że John i Terry nie żyją, a ostatnie, co John mi nakazał, to uciekać. Zobaczyłam przed barem pikapa z tablicami rejestracyjnymi z Indiany. Wdrapałam się na pakę, pod plandekę. Podczas drogi zasnęłam, a gdy się obudziłam, byłam już w Terre Haute. Znalazłam motel, zapłaciłam gotówką. Poszłam do drogerii i kupiłam jaskrawoczerwoną farbę do włosów. Włosy wyszły pomarańczowe, ale przynajmniej wyglądałam inaczej. Następnie włączyłam telewizję. I zobaczyłam na CNN reportaż o Johnie i Terry, o domu. O sobie. Myśleli, że byłam w środku. Szukali naszych szczątków. Korciło mnie, żeby zadzwonić na policję. Miałam wizytówkę detektywa Griffith, ale się bałam. Zdecydowałam, że poczekam, kupię telefon na kartę, tak na wszelki wypadek. Przeczekałam kolejny dzień, jedząc w pokoju, prawie go nie opuszczając, oglądając wiadomości i próbując dowiedzieć się więcej w internecie. – Przerwała i odetchnęła głęboko. – Potem dowiedziałam się więcej. Ustalono, że nie było mnie w domu. Spekulowano, że ktoś mnie porwał albo że zwariowałam, zastrzeliłam Johna i Terry, wysadziłam dom. Cosgrove i Keegan mogli poprzeć tę historię, opowiadać, jak zjawili się kilka sekund za późno. I Cosgrove został ranny.

– John go postrzelił? A co z badaniami balistycznymi?

– To było ciągle wałkowane. Twierdzili, że zgasło światło i dlatego nie mogą być pewni, kto do nich strzelał, ale Keegan wyciągnął Cosgrove’a. Wybuch nastąpił, gdy zgłaszał zajście.

– A więc uciekłam – kontynuowała. – Wsiadłam do autobusu do Indianapolis. Kupiłam, co potrzebne, wynajęłam pokój w kolejnym motelu, zrobiłam nowy dokument tożsamości i za gotówkę kupiłam od handlarza stary samochód, który dowiózł mnie do Nashville. Tam przez trzy miesiące pracowałam jako kelnerka. Potem znów ufarbowałam włosy zmieniałam prawo jazdy i ruszyłam dalej. – Zaczerpnęła powietrza. – Nie było wiele nowych wiadomości, a ja nie potrafiłam jeszcze włamać się do bazy danych US Marshals i FBI. Zapisałam się do Massachusetts Institute of Technology, korzystając z fałszywych dokumentów i odpisów; studiowałam informatykę oraz wszystko inne, co wydawało się pomocne. Miałam tam chłopaka, studenta. Wiedział wiele o hakerstwie. Więcej niż ja. Dużo się od niego nauczyłam. Spałam z nim, a potem go zostawiłam. Myślę, że trochę go obchodziłam, ale zostawiłam go natychmiast, gdy już nauczyłam się wszystkiego, czego mógł mnie nauczyć. Kręciłam się przez kilka miesięcy, najwyżej rok. Zmieniałam dokumenty, wygląd. Szczegóły nie są ważne.

Znów przerwała.

– Jestem poszukiwanym świadkiem w sprawie morderstwa dwóch agentów US Marshals.

Nic nie odpowiedział, po prostu wstał i podszedł do okna.

I świat zawalił się dla Abigail. Teraz ją zostawi, pomyślała. Wszystko teraz się skończy.

– Czy uważnie śledziłaś, co się działo z Cosgrove’em i Keeganem przez te lata?

- Tak. Keegan kilkakrotnie awansował.
- Dobrze, wiesz, gdzie są, co robią. To oszczędzi nam czasu i pracy.
- Nie rozumiem.

Odwrócił się do niej.

– Chyba nie chcesz pozwolić, żeby tym dwóm skurwysynom uszło na sucho zamordowanie dwójki dobrych gliniarzy i wplątanie w to ciebie? Zmusili cię do ucieczki i ukrywania się od czasu twoich siedemnastych urodzin. Dzięki nim inny morderca oraz jego mordujący i kradnący przyjaciele i wspólnicy mogą swobodnie chodzić po ziemi, mimo zamordowania niewinnej dziewczyny!

Wpatrywała się w niego.

- Wierzysz mi.
- Jezu, oczywiście, że ci wierzę. Uwierzyłbym ci, nawet gdybym nie był w tobie zakochany, ponieważ to oczywiste, że mówisz prawdę.
- Nadal mnie kochasz.
- Posłuchaj... – Podszedł do niej i pociągnął ją, by wstała. -

Spodziewam się po tobie... nie, żądam od ciebie więcej szacunku. Nie jestem jakimś pozbawionym kręgosłupa, pieprzonym dupkiem, który wymiga się, gdy coś nie idzie całkiem doskonale. Kochałem cię godzinę temu. Kocham cię teraz. Mam zamiar nadal cię kochać, a więc przyzwyczaj się do tego i nie oczekuj, że cię zawiodę. To mnie obraża i wkurza.

- Przykro mi.
- No i dobrze. Powinno ci być przykro. – Przyciągnął ją na chwilę i pocałował, a potem puścił. – Gdzie nauczyłaś się strzelać?
- Najpierw uczył mnie John. Potem przez jakiś czas mieszkałam w Arizonie, gdzie pobierałam lekcje u pewnego starszego mężczyzny. On był zwolennikiem teorii spiskowej oraz sztuki przetrwania. Ciekawy facet,

choć nie całkiem zrównoważony. Ale lubił mnie i miał dużą wiedzę. Studiowałam na kilku uczelniach pod przybranymi nazwiskami. Musiałam się uczyć.

– Co jest w zamkniętym pokoju na górze?

– Pokażę ci.

Poprowadziła go na górę i otworzyła potrójny zamek.

– Bezpieczna kryjówka – powiedziała, otwierając drzwi.

I pieprzony arsenał, zauważył. Pistolety, strzelby, noże. Rozglądając się, zobaczył półki z pakowanym jedzeniem, wodę w butelkach, zestaw komputerowy równie skomplikowany, jak jej stacja na dole, chemiczną toaletę, ubrania, peruki, farby do włosów, baterie. Latarki, jedzenie dla psa, książki, pieprzona kotwica, narzędzia.

– Sama to urządziłaś?

– Tak. Musiałam się nauczyć, tak jak powiedziałam. W skrytce mam kilka różnych dowodów tożsamości i paszportów. Gotówkę, karty kredytowe, laminat i papier potrzebny do sfabrykowania następnego dowodu, jeśli byłby konieczny. To wbrew prawu.

– Och, tak. Aresztuję cię później. W porządku, wiesz, jak się chronić, i myślisz do przodu. Od jak dawna tak żyjesz?

– Dwanaście lat.

– Wystarczy. Czas najwyższy przestać uciekać.

– Bardzo bym chciała. Dziś pomyślałam...

– Co?

– To nie jest racjonalne.

– Jezu, Abigail! – Mimo wszystko musiał się roześmiać. – Bądźże choć raz irracjonalna.

– Wydawało mi się, że historia zatoczyła koło. Zobaczyłam Ilię w

Justinie Blake'u, wyobraziłam sobie, że Lincoln Blake to Siergiej Wołkow. Zobaczyłam w tobie tak wiele z tego, co podziwiałam u Johna. I odkryłam, że potrafię przeciwstawić się Blake'om. Potrafię postąpić właściwie, nie wpaść w panikę i nie uciekać. Wydało mi się, że mogę przestać uciekać, ale nie wiem, czy potrafię...

– Potrafisz. Wypiję jeszcze jedno piwo. Muszę pomyśleć. Znajdziemy jakiś sposób i to załatwimy.

– Brooks...

– Piwo, namysł, pomysł i rozwiązanie. Przestałaś być sama, Abigail. Do tego też będziesz musiała się przyzwyczaić. A przy okazji, jak ci naprawdę na imię?

Odetchnęła głęboko.

– Elizabeth. – Głos jej zabrzmiał chropowato, gdy wypowiadała to słowo. – Elizabeth Fitch.

Przechylił głowę.

– Nie pasuje mi Elizabeth.

– Przez krótki czas byłam Liz.

– To już lepiej. Podoba mi się Abigail, ale Liz też mi odpowiada. A więc... – Zrobił krok do przodu i ujął jej rękę. – Miło cię poznać, Liz.

## 22

Brooks rozmyślał, popijając piwo. Zdał sobie sprawę, że ta spowiedź ją wykończyła. Opowiadanie tak przerażającej historii i z pewnością przeżywanie jej na nowo. Abigail, wciśnięta w róg kanapy, zdrzemnęła się. Milczał, pozwalając jej na chwilę odpłynąć, podczas gdy ogień przygasał, a podmuchy wiatru z impetem uderzały o szyby.

Zbiera się na burzę, pomyślał.

Dwanaście lat uciekania. Odkąd skończyła siedemnaście lat, mogła liczyć tylko na siebie, a przynajmniej żyła w takim przekonaniu.

Przypomniał sobie, co było jego największym zmartwieniem, gdy miał siedemnaście lat. Pragnął mieć cięższy kij bejsbolowy, lepszą rękawicę i fantazjował, że zostanie najlepszym trzeciobazowym w pierwszej lidze.

I kochał... pożądał Sylbie.

Doszedł do wniosku, że to właściwie wszystko.

Trochę szkolnych stresów, kłótni z upragnioną Sylbie, irytacji z powodu rodzicielskich żądań i zasad. Ale miał rodziców, rodzinę, dom, przyjaciół, środowisko.

Nie mógł sobie wyobrazić, jak to jest mieć siedemnaście lat i nieustannie bać się o swoje życie. Być świadkiem morderstwa z zimną krwią, patrzeć, jak mężczyzna, który daje ci poczucie bezpieczeństwa, a nawet namiastkę rodziny, wykrwawia się na śmierć, a potem ukrywać się, wypełniając w ten sposób testament umierającego.

John Barrow, nakazując jej ucieczkę, tym rozkazem bez wątpienia uratował jej życie. Nigdy nie przestała uciekać.

Poruszył się, podczas gdy ona spała. Czas przestać uciekać, pomyślał. Czas zaufać komuś, kto pomoże wszystko wyprostować.

Siergiej i Ilia Wołkowowie, Jakow Korotkij, Aleksiej Gurewicz.

Musi zdobyć informacje o tych ludziach albo wykorzystać te zebrane przez Abigail. Domyślał się, że ma wszystko, czego można było się o nich dowiedzieć, w swoim komputerze.

I w głowie.

Również o agentach Cosgrovie i Keeganie.

Zdaniem Brooksa skorumpowany gliniarz zasługiwał na to, by dzielić

cełę z tymi, których tam umieścił. Skorumpowany gliniarz, który zabił innego dla zysku lub korzyści. W piekle zarezerwowano dla takich specjalny krąg. Chciał mieć udział we wsadzeniu Cosgrove'a i Keegana w sam jego środek.

Miał już pewne pomysły. Tak, miał kilka pomysłów... Chciał je przetrwać, dokonać koniecznych poszukiwań, przesłać wszystkie wiadomości. Po dwunastu latach kilka dni, a nawet tygodni na przeanalizowanie materiałów i wyciągnięcie wniosków nie zrobi wielkiej różnicy. Zresztą spodziewał się, że Abigail potrzebuje czasu, aby przystosować się do nowej sytuacji. On też go potrzebował, żeby ją przekonać, by pozwoliła mu działać, gdy już się na ten krok zdecyduje.

A teraz trzeba przenieść ją na łóżko. Obydwojgu dobrze zrobi trochę snu.

Wstał i zaczął ją podnosić. A wtedy kopnęła go mocno w jądra.

Zaklął, czując, że podeszły mu do gardła, a potem wbijają się w krtań, gdy dźgnęła go łokciem. Poczuł, że oczy wychodzą mu z orbit, a on sam pada jak kamień. Bez tchu.

– Och, Boże, o Boże! Brooks... Przepraszam!

Ponieważ jedynym dźwiękiem, jaki mógł z siebie wydobyć, był żalony charkot, zrezygnował po pierwszej próbie. Poleży tu sobie, może na zawsze.

– Musiałam zasnąć. Przestraszyłeś mnie. – Próbowała go przekreślić, odsunąć mu włosy z twarzy. Pies polizał go ze współczuciem w policzek. – Możesz oddychać? Oddychasz? Oddychasz!

Zakaszła i poczuł w gardle ogień, taki sam, jaki palił go w kroczu.

– O cholera! – wykrztusił i znów zakaszła.

– Przyniosę ci wodę i lód. Oddychaj powoli.

Musiała powiedzieć psu, żeby przy nim został, ponieważ Bert położył się obok niego.

– O cholera! – Gdy wysyczał z siebie przekleństwo, Bert znów polizał go po twarzy.

Udało mu się przełknąć ślinę, a potem ostrożnie przekręcił się na brzuch i podniósł na kolana. Pozostał tak jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, czy zwymiotuje, jeśli dokończy ewolucji. Usiadł jednak na podłodze, z nietkniętą zawartością żołądka, gdy tymczasem Abigail przybiegła z zimnym kompresem i szklanką wody.

– Tylko nie kładź mi tego na krocze. Jest wystarczająco źle. – Wziął wodę i chociaż pierwsze łyki rwały go, jakby pił ostrza żyłek, ból stopniowo ustępował. – O cholera! – powtórzył.

– To był odruch. Strasznie mi przykro. Jesteś taki blady. Tak mi przykro. Zasnęłam i znalazłam się tam z powrotem, u Aleksie- ja. Ilia mnie znalazł i... gdy mnie dotknąłeś, pomyślałam, że to on, no i zareagowałam odruchowo.

– Rozumiem. Niech Bóg ma w opiece każdego, kto cię zaatakuje. Możemy już nigdy nie mieć dzieci.

– Niewielki uraz genitaliów nie wpływa na płodność – zaczęła, a potem odwróciła wzrok. Sama wyraźnie pobladła. – Bardzo mi przykro – powtórzyła.

– Przeżyję. Następnym razem, gdy wpadnę na pomysł, by zanieść cię do łóżka, założę ochraniacz. A teraz być może ty będziesz musiała zanieść mnie.

– Pomogę ci. – Pocałowała go delikatnie w policzek.

– Powiedziałbym, że akurat tu mnie nie boli, ale jeśli pocałujesz mnie tam, gdzie boli, i zareaguję normalnie, może mnie to zabić. – Machnął ręką, żeby się odsunęła, i odepchnął się od podłogi. – Nie jest tak źle. – Odchrząknął i skrzywił się.



– Pomogę ci wejść na górę.

– Dam sobie radę. Muszę... wszystko sprawdzić. Dla własnego spokoju.

– W porządku. Wypuszczę Berta na chwilę i zaraz przyjdę.

Gdy pojawiła się na górze, był już rozebrany do bokserek, ale stał przed jej monitorem i uważnie mu się przyglądał.

– Czy wszystko...?

– Tak. Trafiłaś do celu, mistrzu.

– To szczególnie wrażliwa okolica u mężczyzny.

– Potwierdzam. Chciałbym, żebyś mi pokazała, jak działa ten system. Jak przełączasz z jednego obrazu na drugi, przybliżasz go, przekręcasz i tak dalej.

– To bardzo proste. Pokazać ci teraz?

– Wystarczy jutro. Domyślam się, że zebrałaś mnóstwo danych o Wołkowach oraz agentach, którzy siedzą u nich w kieszeni. Będę chciał przejrzeć ten materiał.

– Dobrze.

Zaintrygował go ton jej głosu.

– O co chodzi?

– Nie powiedziałam ci wszystkiego.

– Teraz jest odpowiedni moment.

– Chciałabym najpierw się umyć.

Wyjęła z szuflady koszulę.

– Zaraz wracam – powiedziała, znikając w łazience.

Wysłuchany w szum płynącej wody, zastanawiał się, co ona jeszcze trzyma w zanadrzu. Ale nie było sensu spekulować. Zamiast tego rozścielił łóżko i przyciemnił światło.

Wyszła z łazienki z dwiema butelkami wody, które wyjęła z turystycznej lodówki. Podała mu jedną, a potem przysiadła na łóżku.

– Pewnie zastanawiasz się, dlaczego nigdy nie próbowałam zwrócić się do władz, opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło.

– Nie wiedziałas, komu możesz zaufać.

– To prawda, przynajmniej na początku. I bałam się. Przez dłuższy czas miałam nocne koszmary i nagłe retrospekcje oraz ataki paniki. Nadal od czasu do czasu miewam napady lęku. Cóż, sam widziałeś. A poza tym... choć jakiś czas potrwało, zanim to zrozumiałam, wierzyłam, że muszę robić to, co kazał mi John. Zginął, chroniąc mnie. To wszystko zdarzyło się tak szybko, niespodziewanie, było tak gwałtowne i brutalne. Teraz zdaję sobie sprawę, że w tamtej chwili jedynym moim ocaleniem była ucieczka.

– Gdybyś nie uciekła, nie żyłabyś. To jasne.

– Tak, nigdy tego nie kwestionowałam. W tych pierwszych dniach, tygodniach napędzała mnie panika. Uciekaj, schowaj się, siedź w ukryciu. Gdyby Wołkowowie mnie znaleźli, zabiliby mnie. Gdyby policjanci mnie odnaleźli, a byłiby powiązani z Wołkowami, zabiliby mnie również. A jeśli by nie byli, mogliby mnie aresztować za morderstwo. A więc tak, jak ci powiedziałam, uciekłam i ukryłam się.

– Nikt nie może cię za to obwiniać.

– Może nie. Byłam młoda i w traumie. Niezależnie od poziomu intelektu w wieku siedemnastu lat jest się nadal niedojrzałym, niedoświadczonym. Ale po jakimś czasie zaczęłam myśleć szerzej. Musieli być jacyś inni podobni do Johna i Terry. Inni, którzy by mi uwierzyli, wysłuchali, zrobili wszystko, co w ich mocy, aby mnie chronić. Jak mogę ciągle uciekać, ukrywać się? Jak mogę nic nie robić, jeśli byłam jedynym świadkiem morderstwa

Julie, jeśli tylko ja znalazłam prawdę o śmierci Johna i Terry? – Urwała na moment, a potem oświadczyła: – A więc włamałam się do bazy danych FBI i US Marshals.

– Potrafisz to zrobić?

– Robię to teraz rutynowo, ale wiele się nauczyłam już w pierwszym i drugim roku mojego ukrywania się. Trochę od chłopaka, o którym ci opowiadałam, trochę sama. Chciałam dowiedzieć się wszystkiego o Cosgrovie i Keeganie oraz o Lyndzie Peski. Twierdziła, że tamtego dnia była chora. Czy to prawda? Czy była kolejnym kretem Wołkowów? Według jej dokumentacji medycznej była wtedy leczona na zatrucie pokarmowe, a więc...

– Dostałaś się do jej dokumentacji medycznej?

– Wielokrotnie złamałam prawo. Ale sam powiedziałeś, że czasem łamanie prawa jest konieczne.

Potań ręką czoło.

– No tak, tak powiedziałem. Ale chwilowo o tym nie mówmy. Ile miałaś lat... dziewiętnaście, dwadzieścia i byłaś w stanie włamać się do plików agencji rządowych?

– Byłabym świetnym śledczym w cyberprzestrzeni.

– Prawdziwa strata dla organów ścigania.

– Wierzyłam i nadal wierzę, że Lynda Peski nie maczała w tym palców.

Nie mogę być pewna, nawet teraz, ale nic nie wskazuje, że nie była porządną agentką; dziś jest już na emeryturze, wyszła za męża i ma dwoje dzieci. Podejrzewam, że tego dnia Cosgrove dosypał jej coś do jedzenia, żeby się rozchorowała. Ale nie mogę tego udowodnić, a kontakt z nią byłby ryzykowny. Wierzyłam i nadal wierzę, że detektywi Griffith i Riley są dobrymi, uczciwymi oficerami policji. Ale wahałam się, ponieważ służą w

policji Chicago, a nie w federalnej, a federalni często przejmują sprawy od lokalnej policji. Na dodatek bałam się, że mogę narazić ich życie na niebezpieczeństwo. Wydawało się, że moje dociekania i badanie sprawy na własną rękę przynosi więcej pożytku i na pewno jest bezpieczniejsze. Ale jednocześnie potrzebowałam pieniędzy. Miałam piętnaście tysięcy, gdy uciekłam, ale ponosiłam spore wydatki, sama ucieczka, tworzenie nowych dokumentów, koszty transportu, ubrań itd. Ponieważ moją podstawową umiejętnością była praca na komputerze, pracowałam nad programami. Stworzyłam pewne oprogramowanie i je sprzedawałam. Okazało się dochodowe.

– Ach tak?

– Tak, i wymyśliłam grę komputerową, a właściwie trzy powiązane ze sobą gry. Jeszcze więcej zarobiłam.

– Co to za gra?

– Nazywa się Street Wars. Zorientowałam się, że większość graczy to mężczyźni i lubią bitwy i gry wojenne. Ja...

– Grałem w tę grę. – Zmrużył oczy i przyglądał jej się badawczo. – Russ i ja rozgrywaliśmy długie turnieje za każdym razem, gdy przyjeżdżałem do domu z Little Rock. Krwawa i brutalna gra. Ale naprawdę fajna.

– Moja docelowa grupa odbiorców lubi brutalne i krwawe gry. Stworzenie trzech również było kluczem. Jeśli pierwsza zyska popularność, gracze zechcą zapłacić za jej kontynuację. Sprzedałam jednorazowo trzyczęściowy pakiet za znaczną sumę. W moich warunkach to wydawało się mniej skomplikowane niż tantiemy ze stałej umowy.

– A więc jesteś bogata?

– Dość. Zarobiłam dużo pieniędzy oraz mam dochody z mojego obecnego biznesu, czyli tworzenia systemów zabezpieczających.

Uśmiechnął się do niej.

– Miło jest mieć bogatą dziewczynę.

– Nigdy nie byłam niczyją dziewczyną.

– No tak, przykleiłem się do ciebie. Ponieważ jesteś bogata.

Sprawił, że się uśmiechnęła.

– Wyznałeś mi miłość, zanim dowiedziałeś się, że jestem bogata. Jeśli ma się pieniądze, przeprowadzka jest mniej skomplikowana i stresująca, tak samo jak zorganizowanie prywatnego transportu, a jeśli to konieczne, wyposażenie i zabezpieczenie nowego miejsca pobytu. Nie chciałam ich okradać.

– A mogłaś?

– Och tak, oczywiście. Włamałam się do kont bankowych Cosgrove’a i Keegana, gdzie znalazłam, jak sądzę, wpłaty od Wołków. Mogłam przelać sobie te pieniądze. A nawet bezpośrednio od samych Wołków.

– Poczekaj. – Podniósł rękę, zatoczył nią koło. – Włamałaś się do dokumentów Wołkówów?

– Oczywiście. Zaraz ci to wyjaśnię. Zarobione pieniądze zabezpieczyłam na różnych kontach, pod różnymi nazwiskami. Czułam się pewniej, mniej się bałam, posiadając pieniądze i dostęp do informacji. Potrzebowałam tylko więcej czasu. Zaczęłam rozpracowywać pewną agentkę FBI. Przynajmniej na rok przed kontaktem z nią postanowiłam ją skrupulatnie śledzić – przejrzeć jej pliki, raporty, oceny. Przeprowadziłam się do Nowego Jorku. Czułam się tam bezpiecznie. Mnóstwo ludzi, pośpiech. Wszyscy zbyt zajęci, żeby zwracać na mnie uwagę. Mogłam spokojnie pracować poza domem.

W zadumie wróciła myślami do tamtych czasów.

– Miałam ładny segment z brunatnego piaskowca w SoHo. Tam

właśnie wpadł mi do głowy pomysł posiadania psa. Dla bezpieczeństwa i towarzystwa. Zaczęłam prowadzić własną firmę; spotykałam się z klientami. Chodziłam do nich, oceniałam ich systemy bezpieczeństwa, ich potrzeby.

– Kiedy to było?

– Zamieszkałam w Nowym Jorku sześć lat temu. Miałam dwadzieścia trzy lata, chociaż w dokumentach dwadzieścia sześć. W takich przypadkach lepiej być nieco starszą. Zaczęłam od stosunkowo drobnych zleceń, projektowałam oraz instalowałam systemy bezpieczeństwa w domach i małych firmach, tworzyłam sieci komputerowe. Dzięki temu pozostawało mi sporo czasu na własne badania. W trakcie tych poszukiwań znalazłam odpowiednią agentkę. Czułam, że to może być ta właściwa. Pragnęłam tego samego co w wieku szesnastu lat. Chciałam mieć przyjaciół, związki, normalność. I chciałam oddać sprawiedliwość Julie, Johnowi i Terry. Mieszkałam tam ponad rok – ciągnęła. – To był mój najdłuższy pobyt w jednym miejscu. Rozważałam kupno domu na wsi, ponieważ doszłam do wniosku, że choć korzystam z udogodnień miejskiego życia, w gruncie rzeczy wolę ciszę i spokój. I otrzymałam duże zlecenie od firmy prawniczej. Przygotowałam system bezpieczeństwa dla jednego ze wspólników i on mnie polecił dalej. Jeszcze sześć miesięcy, myślałam. Zostanę w Nowym Jorku, dokończę nowy kontrakt, jednocześnie kontynuując swoje badania. A potem, gdy już będę absolutnie pewna tej agentki, skontaktuję się z nią i rozpocznę sprawę.

– Co się stało?

– Byłam niemal na finiszu, prawie gotowa. Zrealizowałam kontrakt, który zaowocował kolejnym, dla jednego z klientów tej firmy. Mojej pierwszej korporacji. To była dobra praca, ekscytująca, prawdziwe wyzwanie. Uwierzyłam, że rozpocznę życie na nowo. Właśnie wychodziłam

od klienta na Houston Street, w centrum Manhattanu. Myślałam sobie, że dojdę do domu, przebiorę się i żeby uczcić tę okazję, wyjdę do sklepu po butelkę wina. Uznałam, że po tych sześciu miesiącach nadszedł czas na skontaktowanie się z moją agentką. Myślałam o kupnie psa, o tym, gdzie będę mieszkać, gdy znów będę mogła żyć normalnie. O wszystkim, tylko nie o Wołkowach. I on tam był.

– Kto?

– Ilia. Ilia Wołkow i drugi mężczyzna, jego kuzyn, jak później ustaliłam. Wysiedli z samochodu akurat wtedy, gdy stanęłam przy krawężniku, żeby złapać taksówkę. I prawie na niego wpadłam. Tylu ludzi, całe to wielkie miasto, a ja wpadłam prosto na faceta, przed którym uciekałam od blisko ośmiu lat. Popatrzył na mnie, a ja zastygłam, tak jak tamtej nocy na tarasie. Zaczął się uśmiechać, tak jak mężczyzna uśmiecha się do kobiety, która mu się przypatruje. Nagle poznał mnie i uśmiech zamarł mu na ustach.

– Rozpoznał cię? Jesteś pewna?

– Odezwał się do mnie po imieniu. Liz, to ty...? Właśnie tak. Wyciągnął rękę, niemal złapał mnie za ramię. Jego palce musnęły mój rękaw, zanim odskoczyłam i zaczęłam biec. Puścił się za mną w pogoń. Usłyszałam, jak krzyczy po rosyjsku, a potem jak samochód rusza z piskiem opon. Myślałam, że albo strzeli mi w plecy, albo złapie i wciągnie mnie do samochodu.

Przycisnęła dłoń do serca, jakby chciała je zatrzymać, jakby zaczęło jej walić tak samo jak wtedy w Nowym Jorku.

– Wybiegłam na ulicę jak oszalała. O mało nie wpadłam pod samochód. Nic mnie nie obchodziło. Wszystko było lepsze. Zgubiłam buty. Uciekałam, jak tamtej nocy, boso. Ale teraz byłam sprytniejsza. Na początku spanikowałam, ale jednak byłam lepiej przygotowana. Znałam ulice. Studiowałam je i zyskałam przewagę, wbiegając na jezdnię, bo jego kierowca

nie mógł zawrócić. Nie wiem, jak długo biegłam, zanim zdałam sobie sprawę, że udało mi się uciec. Wsiadłam do autobusu, potem złapałam taksówkę.

Zrobiło się za gorąco, pomyślała i podeszła do okna, by je otworzyć.

– Nie miałam na nogach butów, ale wydawało się, że nikt tego nie zauważył; nie zwrócono na to uwagi. To zaleta wielkiego miasta.

– Chyba jestem facetem z prowincji, ponieważ nie widzę w tym żadnej zalety.

– Ale tak było. Gdy dotarłam do domu, od razu wyjęłam torbę podróżną. Miałam chęć uciec w tym, w czym stałam, lecz ochłonęłam i spakowałam niezbędne rzeczy. Nie byłam pewna, ile mam czasu. Jeśli zauważył, z którego budynku wychodzę, mógł ustalić, jak się nazywam, odszukać mój adres. Trzymałam samochód w garażu pod innym nazwiskiem. Uważałam, że to wydatek wart swojej ceny. I sprawdziło się. Zadzwoiłam do firmy świadczącej usługi przewozowe, żeby odwieźli mnie do garażu. Wiedziałam, że wyśledzenie mnie trochę potrwa. Zdążę opuścić miasto, kupić nowy samochód, zmienić dokumenty.

– Dokąd pojechałaś?

– Przez jakiś czas byłam w drodze. Mieszkałam w motelach, płaciłam gotówką. Śledziłam skrzynkę pocztową Ilii. Przez kilka dni nie zdołali wpaść na mój trop. W zasadzie nawet nie musiałam tak bardzo się spieszyć. I nie byli w stanie mnie wyśledzić od momentu, gdy opuściłam Nowy Jork. Nikt mnie nie widział, nikt nie zwrócił uwagi, że wyjeżdżam. Dostałam jednak twardą lekcję. Zrobiłam się nieostrożna. Pozwoliłam sobie na planowanie normalnego życia, a nawet w pewnym sensie je prowadziłam. Oni nigdy nie przestaną mnie ścigać, musiałam się z tym pogodzić. I zrobić wszystko, by w inny sposób uzyskać sprawiedliwość dla Johna, Terry i Julie. Potrafię wchodzić na konta internetowe Wołkowów – ciągnęła – odczytuję ich maile,



pliki, a nawet SMS – y. Gdy natrafię na coś, co wydaje się wartościowe, przesyłam te dane anonimowo agentce FBI, którą przebadalam i prześwietliłam na wylot, zgodnie z moimi standardami. Nie wiem, jak długo jeszcze będę mogła bezpiecznie korzystać z tego kontaktu. Jeśli Wołkowowie do niej dotrą, mogą ją zlikwidować. Lecz zanim to zrobią, zapewne spróbują ją wykorzystać do odnalezienia źródła przecieków. Mogą ją torturować, ale ona nic nie powie, ponieważ nic o mnie nie wie. Będę bezpieczna, ale ona nie. I ty też, jeśli się w to zaangażujesz.

– Myślę, że byłabyś dobrym gliniarzem od przestępstw w sieci, i nie tylko. Ale to ja nim jestem. A ty na razie tylko bogatą dziewczyną gliniarza.

– Nie żartuj sobie. Jeśli w jakiś sposób mnie z tobą skojarzą, zginiesz. Ale nie tylko ty. Zabiją twoją rodzinę. Matkę, ojca, siostry, ich dzieci. Wszystkich, na kim ci zależy.

– Zatrąszczę się o swoją rodzinę, Abigail. Chyba na razie zostaniemy przy Abigail. – Poglaskał ją po włosach. – Będę musiał przyzwyczaić się do Liz, gdy to się wreszcie skończy.

– To się nigdy nie skończy.

– Mylisz się. Ale musisz mi coś obiecać. – Ujął ją pod brodę, żeby spojrzała mu w oczy. – Chcę, żebyś dała mi słowo. Że nie uciekniesz ode mnie. Że ode mnie nie uciekniesz w przekonaniu, że tak będzie najlepiej dla mnie i mojej rodziny.

– Nie chcę składać obietnic, które mogę złamać.

– Daj mi słowo. Zaufam twojemu słowu, tak jak ty mojemu. Obiecasz mi, a ja w zamian obiecuję ci, że nie zrobię niczego bez twojej wiedzy i pełnej aprobaty. Taka przysięga nie jest dla mnie łatwa, ale ją złożę.

– Nie zrobisz nic, dopóki nie wyrażę na to zgody?

– Obiecuję. Teraz ty. Powiedz, że nie uciekniesz.

– A jeśli się na nich natknę, choćby tak jak na Ilię w Nowym Jorku?  
– Jeśli będziesz musiała uciekać, uciekniesz do mnie.  
– Jesteś taki sam jak John. Oni go zabili.  
– Ponieważ został zaskoczony. Ale jeśli masz obawy, że rosyjska mafia infiltruje wydział policji w Bickford, spakujemy rzeczy, weźmiemy Berta i jeszcze dziś w nocy wyjedziemy. Powiedz tylko dokąd.

– Wcale tak nie uważam.  
– Dobrze. A więc mi obiecuj.  
– Nie zrobisz nic bez porozumienia ze mną, a ja nie ucieknę bez słowa.  
– Mniej więcej o to chodzi. Masz już dość na dzisiaj. Idziemy spać. Przemyślę to wszystko. Mam jeszcze kilka pytań, ale mogą poczekać. A potem, jak trochę sam pogłównuję, ustalimy plan działania. Wspólnie. Nie jesteś już sama. I nie będziesz.

Ponaglił ją, żeby się położyła, zgasił światło i mocno ją przytulił.

– O, tak. Tak dobrze. Odpowiesz mi dziś wieczorem na jeszcze jedno pytanie?

– Zgoda.

– Włamałaś się do naszego systemu na posterunku?

Westchnęła. W ciemnościach nie widziała jego uśmiechu.

– Musiałam poznać szczegóły dotyczące lokalnej policji. Wasz system nie ma zbyt dobrych zabezpieczeń.

– Może porozmawiam z radnymi, żeby cię zatrudnili.

– Moje usługi są bardzo kosztowne. Ale w tych okolicznościach proponuję wam spory upust od mojej zwykłej stawki. – Znów westchnęła. – Twój osobisty komputer zabezpieczę za darmo.

– Jezu! – Nie udało mu się powstrzymać wybuchu śmiechu. – Byłaś na mojej osobistej poczcie i wszystkim innym?

– Przepraszam. Przychodziłeś tu ciągle i zadawałeś pytania. Szukałeś o mnie informacji. Co prawda te informacje sama o sobie stworzyłam, ale to było niepokojące.

– Pewnie tak.

– Powinieneś być ostrożniejszy i nie nazywać obecnego burmistrza matolem, nawet w korespondencji z bliskim przyjacielem. Nigdy nie można być pewnym, kto czyta nasze maile.

– On naprawdę jest matolem, ale będę o tym pamiętał. – Odwrócił się i pocałował ją w czubek głowy. – Kocham cię.

Wtuliła twarz w jego szyję.

– To brzmi cudownie w łóżku, w ciemnościach, w kompletnej ciszy.

– Ponieważ to prawda. I rano też będzie prawdą.

Zamknęła oczy, uczepiwszy się tych słów tak mocno, jak mocno on ją obejmował. I miała nadzieję, że rano znowu je usłyszy.

# *ELIZABETH*

**Niechaj runą niebiosa, byle stało się zadość  
sprawiedliwości.**

lord Mansfield

Roland Babbett zameldował się w Zajeździe Ozark w wiosenne popołudnie, nabrzmiałe od gorąca i duchoty, jakby to był sierpień. W pokoju z widokiem na wzgórze postawił laptop na lśniącym starym biurku. Doceniał warunki – bezpłatne Wi – Fi, telewizor plazmowy, starannie dobrane (jak mu się zdawało) meble i wygodną kabinę prysznicową.

Często przychodziło mu pracować w gównianych motelach z ciurkającym prysznicem i okrawkami mydła albo wręcz w samochodzie, gdzie jedyne udogodnienia sprowadzały się do słoika, z którego od czasu do czasu wylewał mocz.

Takie jest życie prywatnego detektywa.

Lubił je, nawet te gówniane motele i słoiki. Dwa lata pracy w policji nauczyły go, że nie po drodze mu z tymi wszystkimi zasadami i regulaminami. Ale ponieważ był całkiem niezłym gliną, zatrudnił się w agencji detektywistycznej Stuben – Pryce. Przez prawie dziesięć lat pracy sprawdził się jako rzetelny, pomysłowy i uparty detektyw. Firma doceniała jego zalety.

Cieszyły go premie i miał nadzieję, że to zlecenie przyniesie mu kolejną.

Rozpakował się – szorty, spodnie, podkoszulki, koszule, buty trekkingowe. Dobrał garderobę tak, żeby pasowała do roli niezależnego fotografa, która pozwoli mu wędrować po mieście i okolicy, robić zdjęcia i rozmawiać z miejscowymi, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

Nie podobał mu się jego klient. Roland uznał Lincolna Blake'a za patentowanego dupka, a owoc jego lędźwi za bolesny wrzód na tyłku społeczeństwa. Ale skoro szef kazał jechać, pojechał. Szczególnie że jedna

jego latorośl uczęszczała do prywatnej szkoły, druga zaś wybierała się tam na jesieni i – co za niespodzianka – trzecia była w drodze.

Kochał swoją rodzinę, a pensja w Stuben – Pryce wraz z premiami zapewniała jej godziwe życie, włącznie z potężnym kredytem na nowy dom z czterema sypialniami w West Little Rock.

No cóż, duppek czy nie, klient nasz pan. Jeśli Blake chciał się dowiedzieć wszystkiego – a przede wszystkim brudów – o Abigail Lowery, Roland wyciągnie każdą rzecz. To samo jeśli chodzi o Brooksa Gleasona, szefa policji w Bickford i wedle słów Blake 'a, kochanka Abigail.

Klient twierdził, że dwa zarzuty związane z Conroyami, właścicielami tego wygodnego hotelu z ładnym widokiem, zostały sprokurowane przeciwko jego synowi w celu wyciągnięcia pieniędzy. Blake żarliwie i głośno zaprzeczał, jakoby – jak utrzymywano – jego chłopak dokonał poważnych zniszczeń w najlepszym hotelowym apartamencie, jak również jakoby Justin zaatakował Russela Conroya i groził nożem komendantowi policji.

Roland, który nie był idiotą, w głębi duszy żywił przekonanie, że ten wrzód na dupie zrobił to wszystko z nawiązką. Ale musiał wykonywać swoją robotę, zarabiać pieniądze na opłacanie rachunków.

Sprawdził swój aparat z oprzyrządowaniem, magnetofon, notes i wytrychy. Potem zadzwonił do żony i poinformował ją, że dojechał spokojnie i bezpiecznie, a zarazem zapewnił o swoim żalu – rzeczywiście szczerym – że jej tu z nim nie ma. W pokoju pyszniło się ogromne łóżko z baldachimem, a ciąża zmieniła Jen w demona seksu.

Szykując się na pierwszy spacer po mieście, obiecał sobie, że przywiezie ją tu już po rozwiązaniu, gdy teściowie będą jeszcze na tyle wniebowzięci, żeby zaopiekować się trójką dzieci przez długi weekend.

Zarzucił na ramię torbę od aparatu, nikona zaś zawiesił na szyi na pasku ozdobionym pacyfami. Ubrał się w szorty bojówki, sportowe buty i koszulkę z nadrukiem zespołu R. E. M., założył okulary słoneczne i sprawdził swój wygląd w lustrze.

Celowo nie ogolił się rano, uważając, że lekkie zaniedbanie pasuje do kreowanej postaci. Lubił się przebierać, ale jeśli miał wybór, starał się zbytnio nie odbiegać od własnego stylu. Naturalnego i swobodnego.

Uważał się za sympatycznego faceta. Potrafił rozmawiać z każdym o wszystkim i o niczym, co w tym fachu było równie nieodzowne jak posługiwanie się komputerem. Przystojniak ze mnie, pomyślał, dodając do kompletu czapkę z daszkiem z logo Greenpeace.

Co prawda zaczynał się trochę martwić, że łysieje. Jego brat, który był tylko dwa lata starszy od trzydziestoczteroletniego Rolanda, miał już na czubku głowy placek wielkości pięści.

Z przelotną myślą, by profilaktycznie zastosować specyfik Rogaine – czemu by nie? – wyszedł z pokoju.

Uparł się zająć pokój na najwyższym piętrze, chociaż recepcjonista proponował inny ze względu na remont. Dzięki temu zdoła zerknąć na apartament, którego syn jego klienta ponoć nie zdemolował, jeśli wierzyć temu nadętemu bucowi.

Idąc korytarzem, zauważył zamknięte drzwi i napis przeproszający za niewygodę związane z niespodziewaną naprawą. Hałas, choć teraz trochę stłumiony, bardziej świadczył o potężnym remoncie, niż drobnej naprawie. Sprawdzi to później, gdy ekipy remontowej i personelu nie będzie w pobliżu.

Tymczasem zszedł po schodach, specjalnie, ze względu na dbałość o sylwetkę – zaczynał bowiem obawiać się brzuszka, o co w pewnym wieku nie było trudno – i wyszedł na panujący na zewnątrz upał.

Ładne małe miasteczko, pomyślał. Spodobałoby się Jen – sklepy, galerie sztuki. Przed wyjazdem poszuka jakichś oryginalnych upominków, żeby zrobić niespodziankę żonie i dzieciakom.

Mnóstwo turystów, zauważył. Facet z aparatem idealnie wtapiał się w tłum. Zrobił z niego użytek, strzelając kilka fotek hotelu, robiąc zbliżenia starannie zasłoniętych okien interesującego go apartamentu.

Miał oko do zdjęć. Myślał nawet, że gdy nadejdzie pora, by zrezygnować z pracy prywatnego detektywa, spróbuje zająć się zarobkowo fotografią. Przechadzał się, kadrował, robił zdjęcia.

Interesującego okna, ale także kwiatów w baryłce po whisky. Dla przeciętnego przechodnia wyglądał na kogoś, kto spaceruje bez wyraźnego celu.

Miał jednak w głowie istotne adresy. Dom Lowery wymagał dojazdu, ale do mieszkania komendanta policji, jak również domu jego rodziców mógł dotrzeć piechotą. Tylko po to, żeby poczuć miejsce i ludzi, pomyślał, poświęcając trochę czasu oknom mieszkania Brooksa Gleasona, znajdującym się nad uczęszczanym lokalem gastronomicznym.

Rolety podniesione, zauważył. Nic ciekawego do oglądania. Zaszedł od tyłu i przyglądając się wejściu, zrobił kilka zdjęć.

Przyzwoite zamki, ale nic nadzwyczajnego, gdyby czuł potrzebę zajrzenia do środka. Postara się tego uniknąć, jeśli się da.

Z mapą miasta, którą dostał w hotelu, ruszył chodnikiem dalej.

Zatrzymał się absolutnie zachwycony, wręcz olśniony domem ozdobionym wymyślnym murałem. Sprawdził adres i potwierdził; rzeczywiście to tu mieszkali rodzice szefa policji. Z zebranych informacji wynikało, że matka jest artystką, a ojciec nauczycielem w szkole średniej.

Przypuszczał, że kobieta w tęczowej chusteczce na głowie, stojąca na



rusztowaniu w pochłapanych farbą ogrodniczkach, to właśnie matka komendanta.

W cieniu, ze smyczą przywiązaną do podstawy rusztowania, drzemał zwinięty w kłębek szczeniak.

Ze względu na własne zainteresowania, jak również na pracę, Roland zrobił kilka zdjęć i podszedł bliżej. Gdy znalazł się na granicy posesji, szczeniak obudził się i zaczął histerycznie ujadać.

Kobieta spojrzała w dół. Przechyliła głowę.

– Pomóc w czymś?

– Przepraszam, że przeszkadzam. Tak sobie spacerowałem i... zobaczyłem to zachwycające dzieło. Sama pani namalowała?

– Tak. Turysta?

– Spędzam kilka dni w mieście. Jestem fotografem, będę parę tygodni w Ozark. Przygotowuję wystawę.

– W okolicy nie zabraknie tematów. W porządku, Platon. Już idę.

Zwinnie zeszła z rusztowania i odpięła szczeniaka, który natychmiast podbiegł do Rolanda i zaczął go obwąchiwać.

– Dobry piesek. – Pochylił się i pogłaskał go. – Chyba go obudziłem.

– Widać, że prawdziwy stróż. Sunny O'Hara – dodała, wyciągając pochłapaną farbami dłoń.

– Roland Babbett. Czy mogę zrobić kilka fotografii domu? Jest cudowny.

– Proszę bardzo. Skąd jesteś, Rolandzie?

– Z Little Rock.

– Mój syn mieszkał tam parę lat. Był policyjnym detektywem. Brooks Gleason.

– Chyba nie znam tego nazwiska, ale staram się unikać kłopotów.

Obydwoje uśmiechnęli się szeroko.

– To dobrze, ponieważ teraz jest miejscowym komendantem.

– Wydaje się, że to spokojne miasteczko. Mam nadzieję, że nie ma tu za dużo roboty.

– Och cóż, zawsze jest to czy tamto. Gdzie się zatrzymałeś?

– Teraz przepuszczam pieniądze, ponieważ na dalszym etapie wycieczki często będę nocował na kempinu. Mieszkam w Zajeździe Ozark.

– Nie można lepiej wybrać; to cenny klejnot w kuferku ze skarbami Bickford. Tak się składa, że kilka dni temu mieliśmy tam kłopoty. Miejscowy awanturnik i dwóch jego koleśki zdewastowali reprezentacyjny apartament.

– A więc o to chodzi? Mieszkam na tym samym piętrze i ostrzegano mnie przed hałasem. Trwa remont.

– I to duży. Lepiej się przenieść na inne piętro.

– Och, zupełnie mi nie przeszkadza. Śpię jak kamień. – Zachowywał się swobodnie, przyjacielsko, pozwolił, aby aparat kołysał się luźno na pasku.

– Przykro słyszeć o takich kłopotach. To naprawdę piękny hotel. Architektura, wystrój. I atmosfera jak w rodzinnym domu. Plus wszelkie udogodnienia. Dlaczego go zdewastowali?

– Niektórzy ludzie lubią siać zniszczenie, jak sądzę.

– Naprawdę szkoda. No cóż, nawet małe miasta mają swoich rozrabiaków. Postaram się trzymać od niego z daleka.

– On siedzi w areszcie i zapewne spędzi tam jakiś czas. Większość tutejszych mieszkańców jest bardzo przyjacielska. Zależymy od turystów oraz artystów takich jak ty. Masz profesjonalny aparat.

– Moje ukochane dziecko. – Naprawdę zależało mu na zdjęciach, prawie tak samo jak na informacjach, które z taką beztrąską mu przekazywała. – Od czasu do czasu nadal robię fotki tradycyjnym aparatem,

ale teraz zajmuję się głównie fotografią cyfrową.

– Jeśli będziesz chciał coś sprzedać, wpadnij do Shop Street Gallery. Kupują mnóstwo lokalnych fotografii.

– Dzięki za tę wskazówkę. Wystarczy, że sprzedam dwie, a utrzymam się na hot dogach i fasolce przez najbliższe kilka tygodni.

Pogawędził z nią jeszcze parę minut, po czym ruszył w kierunku centrum miasta. Jeśli Sunny O'Hara nie mijała się z prawdą, pomyślał Roland, jego klient nie będzie zadowolony z raportu.

Udał się na obiad do pobliskiej knajpki. Właściciele lokali oraz kelnerki są zazwyczaj cennym źródłem informacji. Wybrał boks z widokiem na drzwi wejściowe i ostrożnie położył aparat na stole.

Miał ochotę zrobić zdjęcie kelnerce.

Naprawdę uwielbiał zgłębiać różne osobowości, a ona miała charakterystyczną, interesującą twarz.

– Kawę poproszę.

– Może do tego ciasto z wiśniami? Jest dzisiaj wyśmienite.

– Ciasto wiśniowe? – Pomyślał o groźbie brzuszka. No trudno, dziś wieczorem zrobi pięćdziesiąt dodatkowych przysiadów. – Chyba nie zdołam się oprzeć.

– Na ciepło? Z lodami waniliowymi?

Cóż, siedemdziesiąt pięć dodatkowych przysiadów.

– Tak, poproszę. Nie znam nikogo o tak silnej woli, żeby odmówił. Jeśli rzeczywiście jest tak dobre, jak mówisz, będę tu wpadał codziennie.

– Zapewniam, że jest. Turysta? – spytała z równą swobodą jak Sunny.

Opowiedział tę samą bajeczkę, a nawet pokazał kilka zdjęć domu z murałem, które zrobił.

– Nigdy nie wiadomo, co jeszcze namaluje. Dobre zdjęcia.

– Dzięki.

– Przyniosę zamówienie.

Czekając, wsypał cukier oraz nalał mleka do kawy i jak przystało na prawdziwego turystę, uważnie wertował przewodnik. Przyniosła duży kawałek ciasta z lodami, które powoli topiły się na polukrowanym w kratkę wierzchu.

– Wygląda świetnie. – Roland spróbował kawałek. – A smakuje jeszcze lepiej. Dziękuję, Kim.

– Smacznego! – Zerknęła na wchodzącego Brooksa. – Witam, komendancie. – Gdy wskazała boks dokładnie naprzeciwko, Roland stwierdził, że kelnerka zasługuje na podwójny napiwek.

– Tylko kawa.

– Nie słyszałeś o dzisiejszym cieście wiśniowym z lodami? Prawdziwy koneser stwierdził, że to niebo w gębie. – W tym momencie mrugnęła do Rolanda, który wzniósł toast kawałkiem ciasta nadzianym na widelczyk.

– Teraz nawet go nie docenię. Przez tych przeklętych prawników!

– No to, kochanieńki, należy ci się kulka lodów ekstra.

– Następnym razem. Przyszedłem tylko na dobrą kawę i trochę odetchnąć, zanim zagłębię się w dokumenty.

– Okej. Prawnicy Blake'a? – dopytywała się, nalewając kawę.

– Nowi. Harry został zwolniony, ale mówiąc między nami, myślę, że podskakuje z tego powodu z radości. Blake zatrudnił jakąś firmę z północy.

– Jankesów? – Kim wykrzywiła szyderczo usta. – Nie powinno mnie to dziwić.

– Garnitury od Armaniego, teczki Louisa Vuittona, przynajmniej według asystenta Wielkiego Johna Simpsona, któremu powierzono zbadanie akt sprawy. Przygotowali dodatkowy wniosek. Chcą zmienić miejsce

rozprawy. Sędziemu nie przypadli do gustu, a to już coś.

– Chcą go stąd wyciągnąć, oderwać od ludzi, którzy znają jego wybryki.

– Trudno się dziwić tej strategii. Ale fakty pozostają faktami, tutaj czy na Plutonie. Problem polega na tym, że fakty nie zawsze wystarczają na sali sądowej.

Cofnęła się o krok, opierając zaciśnięte pięści na biodrach.

– Chyba nie sądzisz, że się wywinie? Po tym wszystkim, co zrobił?

– Mam głęboką nadzieję, ponieważ jeśli wywinie się sianem, następnym razem – obym się mylił – być może kogoś zabije.

– O Jezu, Brooks!

– No, niestety. – Brooks potarł dłonią zmęczone oczy. – Nie powinienem wracać do biura w takim gównianym nastroju.

– Siedź tu, pij swoją kawę i nie daj się! – Pochyliła się i pocałowała go w czubek głowy. – Wykonałeś swoją robotę i wszyscy to wiedzą. Nie możesz zrobić nic więcej.

– Czuję, że powinienem. W każdym razie... tylko kawa.

– Zawołaj, jeśli będziesz chciał coś jeszcze. – Kręcąc głową, odeszła, po drodze dolewając Rolandowi kawę.

Roland siedział w zadumie. Nic z tego, co powiedział ten gliniarz nie zabrzmiało fałszywie. Pogardzał tym obrzydliwym zleceniem. Ale jak powiedziała mądra i cudowna Kim, trzeba robić swoje.

Musi znaleźć coś, co przeważy szalę na korzyść jego klienta.

Na widok zjawiskowej kobiety, która weszła do środka, prawie zakrztusił się ciastem.

Wiedział, że małe miściny potrafią wydać na świat prawdziwe piękności. A uważał, że kobiety Południa umieją pielęgnować swoją urodę,

tak samo jak róże w szklarniach. Może miały na to wpływ pogoda, powietrze, częściej noszone letnie sukienki, takie jaką teraz miało na sobie to bóstwo. A może zawdzięczały urodę powolniejszemu tempu życia albo jakiemuś sekretowi przekazywanemu córkom przez matki?

Cokolwiek to było, przynosiło efekty.

Kochał swoją żonę i podczas spędzonych razem dwunastu lat – z czego ponad dziesięć z obrączką na palcu – ani razu nie zrobił skoku w bok. Ale każdy mężczyzna ma prawo pofantazjować, gdy przed jego oczami pojawia się najseksowniejsza kobieta, jaką Pan Bóg stworzył.

Kręcąc biodrami, podeszła prosto do stolika Gleasona i wślizgnęła się na kanapę tak płynnie, jak topi się masło na gorącej grzance.

– Trochę nie w porę, Sylbie.

W opinii Rolanda dla Sylbie nie było nieodpowiedniej pory.

– Mam tylko jedno pytanie. Nie próbuję cię odzyskać ani nic w tym rodzaju. Otrzymałam już stosowną lekcję w marcu.

– Doceniam, ale to naprawdę nie jest dobry moment.

– Wyglądasz na spiętego, zmęczonego i wkurzonego. Przykro mi... Kiedyś byliśmy przyjaciółmi.

Gdy nie odpowiedział, rozejrzała się po sali z głębokim westchnieniem, a jej zachwycający biust unosił się i opadał rytmicznie.

– Chyba jednak nie byliśmy przyjaciółmi i może to moja wina. Dużo rozmyślałam od czasu tamtego upokorzenia.

– Nie wracajmy do tego.

– Łatwo ci mówić, bo to nie ty stałeś tam nagi.

Roland poczuł wyraźne podniecenie i w myślach poprosił żonę o wyrozumiałość.

– To był błąd, i to częściowo mój, że wcześniej się z tobą nie

rozmówiłem. Tobie jest przykro. Mnie też. Zapomnijmy o tym.

– Nie mogę zapomnieć, dopóki się czegoś nie dowiem.

– Czego?

– Dlaczego ona, a nie ja? To wszystko. Muszę wiedzieć, dlaczego chcesz być z Abigail Lowery, o czym wszyscy gadają, a nie ze mną?

Roland też chciał to wiedzieć, i nie tylko ze względu na swojego klienta. Widział zdjęcie Lowery. Dziewczyna rzeczywiście atrakcyjna. Ładna, może nawet piękna w jakiś nierzucający się w oczy sposób. Ale w porównaniu z olśniewającą Sylbie? Cóż, Abigail nie była wiśniowym ciastem z lodami.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć.

– Po prostu powiedz prawdę. Jest lepsza ode mnie w łóżku?

– Chryste!

– Nie powinnam zadawać tego pytania. – Zniecierpliwionym gestem odrzuciła do tyłu grzywę włosów. – Nie miałam zamiaru pytać, chociaż się zastanawiam. Po prostu daj mi jakąś logiczną odpowiedź.

– Ona mnie uszczęśliwia. Gdy jestem przy niej, czuję, że jestem tam, gdzie powinienem, gdzie zawsze chciałem być. Wszystko, co ważne, ma sens. Nie wiem, dlaczego jeden człowiek zakochuje się w drugim, Sylbie. Tak po prostu jest.

– Jesteś w niej zakochany?

– Jestem w niej zakochany.

Na chwilę wbiła wzrok w blat stołu.

– Mogę napić się łyk twojej kawy?

– Jasne.

Wzięła filiżankę, upiła jeden łyk, skrzywiła się i odstawiła.

– Zawsze piłeś za słodką.

– Fatalny nawyk.

– Czy kiedykolwiek mnie kochałeś?

– Pragnąłem cię. Bywało, że pożądałem jak spragniony kropli wody. Pierwszy raz byliśmy jeszcze za młodzi, żeby rozpoznać miłość. A drugi? Może obydwójce usiłowaliśmy. Ale ja nie mogłem cię uszczęśliwić. Ty nie mogłaś uszczęśliwić mnie. I nic, co naprawdę ważne, nie miało sensu.

– A seks?

Roześmiał się lekko.

– Okej, masz co do tego rację. Ale seks, nawet dobry, nie może być początkiem, końcem oraz wszystkim pośrodku.

– Rozmyślałam o tym po moim pierwszym rozwodzie, ale nie wyciągnęłam wniosków. A po drugim... Nigdy nie chciałam być kobietą z dwoma rozwodami na koncie. – Odwróciła się i wpatrywała w szerokie okno.

– Ale nią jestem.

– Może powinnaś myśleć o sobie jako podwójnej mężatce. Uważam, że ludzie, którzy więcej niż raz próbują małżeństwa, są optymistami.

– Optymistami? – Z półuśmiechem odsunęła filiżankę z kawą. – To lepiej brzmi niż przegranymi.

– Nie jesteś przegrana, Sylbie.

– Spotykam się z Groverem, w pewnym sensie.

– Ty... och! – Brooks podniósł kawę i wypił potężny łyk. – No cóż.

– Wiem. To nie jest typ, w którym zazwyczaj gustuję. Nie jest przystojny i ma trochę brzucha. Ale jest w nim pewien urok. W tobie też, ale ja go nie doceniałam. Doceniam to u niego. Jeszcze się ze sobą nie przespaliśmy, ale dobrze mi w jego towarzystwie. Czuję się dowartościowana. Chyba jesteśmy takimi przyjaciółmi, jakimi ja i ty nigdy nie byliśmy.

– To dobrze.



– On mnie uszczęśliwia, a tego już się nie spodziewałam. Może dowiem się, czy mogę pozostać szczęśliwa.

– Mam nadzieję, że możesz.

– Ja też. – Wysunęła się z boksu. – Chyba nie jestem jeszcze gotowa życzyć ci szczęścia z Abigail Lowery, ale prawie.

– To dobry początek.

– Do zobaczenia.

Wyszła, zalotnie poruszając biodrami. Roland stwierdził, że ma jeszcze wiele do przemyślenia, ale skoro skończył ciasto, musiał sobie znaleźć jakieś inne miejsce do dumania. A zresztą Gleason też wychodził, zostawiwszy na stole pieniądze za kawę.

Jeśli pojedzie w stronę domu Abigail Lowery, przynajmniej zorientuje się w terenie.

Abigail zrobiła sobie przerwę w pracy i zaczęła przeglądać przepisy w internecie. To odwracało jej uwagę od niespokojnych myśli. Prawie się udawało. Wiedziała, że Brooks od razu po przyjeździe będzie chciał rozmawiać o tym, co się wydarzyło. Miała mnóstwo obaw co do jego najbliższych zamierzeń.

A więc pracowała, zrobiła pranie, pracowała, pielę ogród, pracowała, przeglądała przepisy. Trudno jej było się uspokoić, do końca skupić na jednym zadaniu.

To do niej nie pasowało.

Chciała, żeby przyjechał.

Chciała być sama.

Dobrze by było wiedzieć, czego naprawdę chce. Nienawidziła tego niezdecydowania i dręczącego ją lęku. Nie przynosiły korzyści.

Gdy zabrzączał alarm, obróciła się na krześle, pewna, że opowiedzenie

Brooksowi – opowiedzenie komukolwiek – tej historii, przywiodło Wołkówów pod jej drzwi.

Nielogiczne. Właściwie śmieszne, przyznała, ale puls jej walił jak szalony, gdy na monitorze obserwowała mężczyznę w bejsbolówce.

Dobry aparat, zauważyła w myśli. Facet miał nieco znoszone buty. Plecak.

Zabłąkany wędrowiec albo turysta, który nie zważając na tablice ostrzegawcze, wtargnął na jej teren. Najprawdopodobniej.

Gdy wyjął lornetkę i skierował ją na dom, jej niepokój wzrósł.

Kim jest? Co tu robi?

Podchodzi bliżej. Coraz bliżej.

Znów się zatrzymał, przyglądał się uważnie przez lornetkę, obracając się powoli, aż Abigail wydało się, że patrzy prosto na jedną z kamer.

Zdjął czapkę, podrapał się po włosach, po czym wyjął butelkę i napił się wody. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął kompas, zrobił krok i potknął się. Niezdarnie obchodząc się z kompasem, upuścił go. Zobaczyła, że porusza ustami, pochylając się i podnosząc go z ziemi.

Potrząsnął nim, popatrzył w niebo, po czym usiadł na trawie i opuścił głowę na kolana.

Przez kilka chwil pozostawał w tej pozycji, po czym wstał. Wytarł twarz i ruszył w stronę jej domu.

Abigail sprawdziła broń, wzięła ze sobą psa i obeszała dom naokoło.

Słyszała, jak mężczyzna podchodzi. Nie robił tego ukradkiem. Mruczał coś pod nosem, oddychając szybko i ciężko. Stojąc przy szklarni, obserwowała go i usłyszała, jak bardzo głośno mówi: „Dzięki Bogu”, i kieruje się prosto ku jej tylnym drzwiom.

Zapukał, wytarł pot z twarzy, czekał. Zapukał ponownie, tym razem

mocniej.

– Halo! Jest tu kto? Proszę, niechże ktoś będzie.

Zrobił kilka kroków wzdłuż ganku, przyłożył rękę do okna.

Wtedy wyłoniła się zza rogu z psem.

– O co chodzi?

Podskoczył jak przestraszony królik i odwrócił się na pięcie.

– Jezu, ale mnie pani wystraszyła. – Na widok broni oczy mu się rozszerzyły i natychmiast podniósł ręce w górę. – Jezu, niech pani nie strzela. Zgubiłem się. Zgubiłem się. Szukam tylko powrotnej drogi do mojego samochodu.

– Co robisz w lesie na moim terenie? Jest wyraźnie oznakowany.

– Przykro mi. Przepraszam. Robiłem zdjęcia. Jestem fotografem. Chciałem zrobić kilka fotek, wczuć się w okolicę, a potem tak się zatraciłem, że poszedłem dalej, niż zamierzałem. Przepraszam. Nie powinienem zignorować znaków zakazu wstępu. Może pani zadzwonić na policję. Ale proszę nie strzelać. Jestem... nazywam się Roland Babbett. Zatrzymałem się w Zajeździe Ozark. Można sprawdzić.

– Zdejmij plecak, połóż na ziemi i odsuń się.

– Okej, oczywiście.

Nie miał broni – widziała go z każdej strony, na pewno by ją zauważyła. Ale mógł ją mieć w plecaku.

– Możesz zatrzymać plecak – powiedział, kładąc go. – Jest tam mój portfel. Możesz wziąć pieniądze.

– Nie chcę twoich pieniędzy.

– Chwileczkę, posłuchaj... Zgubiłem się. Upuściłem kompas i się stłukł. Zobaczyłem ten dom przez lornetkę, gdy się rozglądałem. Przyszedłem po pomoc. Proszę zadzwonić na policję.

– Gdzie zostawiłeś samochód?

– Gdybym wiedział, nie mówiłbym, że się zgubiłem. Nie jestem żadnym cwaniakiem – dodał pospiesznie. – Wyjechałem z Bickford na południe jakieś dwa kilometry, a potem się zatrzymałem. Światło było naprawdę dobre, i te światłocienie... Chciałem strzelić kilka fotek. To znaczy zrobić fotografii – dodał, omiatając znów nieufnym spojrzeniem broń.

– Trzeba respektować prywatną własność.

– Oczywiście, racja. Naprawdę przepraszam.

Wskazała palcem kierunek.

– Idąc w tę stronę, dojdiesz do drogi. Potem trzeba skrócić w lewo. Paręset metrów dalej powinien stać samochód.

– W porządku, dziękuję. Ja tylko...

– Proszę, plecak – powiedziała, gdy zaczął schodzić z ganku bez niego.

– Okej. – Podniósł go, przesuwając wzrok z jej twarzy na pistolet, potem na psa i z powrotem. – Dziękuję.

– Proszę bardzo.

Przyglądała się, jak pospiesznie odchodzi, aż całkiem zniknął z pola widzenia. Z wnętrza domu nadal obserwowała na monitorze, jak truchta w kierunku głównej drogi, co kilka minut zerkając za siebie.

Przestraszyła go, pomyślała. Ale on też mnie przestraszył. Jesteśmy kwita.

Roland dokładnie wiedział, gdzie zaparkował samochód.

Nie spodziewał się broni. Nie spodziewał się również kamer. Powiedziano mu, że ta kobieta ma zainstalowany alarm i kamery wokół domu. Ale nikt nie wspomniał, że rozmieściła je również w lesie.

Gdyby przypadkiem nie zauważył jednej z nich, spaliłby całą robotę.

Kupiła bajeczkę o przestraszonym, zagubionym wędrowcu. Dlaczego

by nie? Przestraszył się. Sposób, w jaki trzymała glocka, świadczył, że potrafi z niego skorzystać. I że z niego skorzysta.

Teraz, gdy nie miała go już na muszce, musiał to przyznać z podziwem.

No i ten pies. Wiedział o psie, ale – do diabła – bydlę wyglądało naprawdę groźnie.

I te zamki w drzwiach. Gorzej być nie mogło, przemknęło mu przez myśl, gdy rzucał plecak na tylne siedzenie. Nieźle posługiwał się wytrychem, ale z tymi zamkami nie dałby sobie rady. Zresztą nieważne, i tak nie mógłby przejść obok kamer z taką ilością dodatkowego sprzętu.

Tak rozbudowany system bezpieczeństwa? Przesada.

Sprawa robiła się coraz ciekawsza. Ktoś, kto ma takie zabezpieczenia, wielkiego psa, glocka i podejrzliwe nastawienie... musi mieć coś do ukrycia.

Uwielbiał odkrywać ludzkie sekrety.

## 24

Brooks wszedł do kuchni z pękiem białych stokrotek o żółtych środkach oraz z surową kością dla Berta.

– Znów kupiłeś mi kwiaty.

– Mój tata przynosi mamie kwiaty raz czy dwa w tygodniu. Już wiem dlaczego. Ona uśmiecha się tak samo, jak teraz ty.

– Martwiłam się, że po tym wszystkim, co ci powiedziałam, będziemy się dziś czuć niezręcznie. A ty przynosisz mi kwiaty.

– A więc przestań się martwić.

Wyjęła wazon, żałując, że nie ma ładnego małego dzbanka. Kupi sobie taki podczas następnej wyprawy do miasta.

– Za każdym razem, gdy przyjeżdżam, coś tu, oprócz ciebie, bardzo

ładnie pachnie.

– Rozmaryn – wyjaśniła, układając kwiaty. – Ma bardzo przyjemny zapach. Wypróbuję nowy przepis na kurczaka.

– Mam szczęście być twoim degustatorem.

– Powinien pasować do *pouilly – fume*.

– Jeśli tak twierdzisz. – Odsunął jej włosy do tyłu, a potem pozwolił sobie potrzeć nosem o jej szyję. – Jak ci minął dzień?

– Byłam niespokojna i zdekoncentrowana, ale skończyłam pewną pracę. Trochę przeszkodził mi zagubiony turysta — fotograf. Nie rozumiem, dlaczego ludzie nie respektują linii granicznych. Tutaj jest tyle otwartego terenu, że nie ma potrzeby wchodzić na prywatną posiadłość.

– Trawa jest zawsze bardziej zielona u sąsiada, Czy podchodził do domu?

– Tak. Włączył się alarm i zobaczyłam go na monitorze. Upuścił i stłukł kompas, a potem dokładnie obejrzał dom przez lornetkę.

Brooks przerwał nalewanie wina.

– Przez lornetkę?

Sprawdziła kurczaka.

– Tak. Zastanawiałam się, czy widział przez nią kamery, ale on wyraźnie szukał drogi powrotnej albo pomocy. Wyszłam na zewnątrz i okrążyłam szklarnię, a więc mogłam zaskoczyć go od tyłu.

– Wyszłaś na dwór, gdy jakiś dziwny facet podchodził do domu?

– Potrafię o siebie zadbać. Robię to od dłuższego czasu, pamiętasz? Był sam. Miałam pistolet i Berta. On pukał, wołał. Był zdezorientowany, gdy pojawiłam się z bronią.

Brooks rozlał wino i wypił głęboki łyk.

– No tak, domyślam się.

– Nastraszyłam go, ale dobrze mu tak. Nie powinien wchodzić na oznakowaną posiadłość. Wypytałam, kto zacz, a potem pokierowałam do miejsca, w którym – jeśli wyraził się dokładnie – zaparkował samochód. Szybko się ulotnił.

– Uzbrojona kobieta z dużym psem? Byłby idiotą, zwlekając. Co on tu robił?

– Zdjęcia. Powiedział, że nazywa się Roland Babbett i że zatrzymał się w hotelu Conroyów.

– Łatwo sprawdzić. – Brooks sięgnął po telefon. – Jak wyglądał?

– Między trzydziestką a czterdziestką. Prawie metr osiemdziesiąt i osiemdziesiąt kilo wagi. Średnia karnacja, jasnobrązowe włosy, brązowe oczy, wystający podbródek. Miał czapkę z logo Greenpeace, czarną koszulkę z nadrukiem zespołu R. E. M, szorty khaki do kolan i traperskie buty. Poza tym granatowy plecak i aparat Nikon zawieszony na pasku w kolorowe pacyfy.

– Taak, byłby z ciebie dobry glina – odparł Brooks. – Widziałem go wcześniej w knajpie. Wiśniowe ciasto z lodami.

– Co to znaczy?

– Nic. Po prostu dziwne. O której przyszedł?

– Alarm zabrzączał o czwartej osiemnaście.

– A to ciekawe. Widzę go w lokalu w mieście tuż przed czwartą. A mniej niż pół godziny później jest już tutaj.

Zacisnęła dłoń wokół kieliszka.

– Myślisz, że mnie odnaleźli?

– Skarbie, czy on wyglądał jak rosyjski mafioso? I czy w ich stylu jest wysyłanie faceta na przeszpiegi do lasu?

– Nie. – Rozluźniła ramiona. – Nie był uzbrojony. A przynajmniej nie

nosił broni. Wołkowowie nie wysłaliby pojedynczego, nieuzbrojonego człowieka.

– Sądzę, że unikają ryzyka. – Ale zamierzał to sprawdzić i wybrał numer w telefonie. – Hej, Darla, co słysząc? Aha... Tak, te wiosenne przeziębienia potrafią być dokuczliwe. Odpocznij trochę. Taak, to prawda, taka pora roku. Posłuchaj, macie u siebie gościa, który się nazywa Roland Babbett? Żaden problem. Aha... Tak, są różni ludzie, nieprawdaż? Aha... – Przewrócił oczami do Abigail. – Tak, Roland Babbett. Który pokój zajmuje? Posłuchaj, Darla, nie jestem pierwszym lepszym ciekawskim, tylko szefem policji. I coś sprawdzam. Wiesz, że mogę zadzwonić do Russa i spytać. Aha... Ach tak? Nie, żaden problem, zwykła rutyna. Zajmij się tym przeziębieniem, i to szybko, słyszysz? Cześć.

Znów podniósł kieliszek.

– Darla lubi odbiegać od tematu. Mieszka tam, faktycznie. Zażądał pokoju na tym samym korytarzu co reprezentacyjny apartament.

– Ten zdewastowany przez Justina Blake'a?

– Ten sam. Posłuchaj, czy to nie dziwne, że widzę tego Babbetta w mieście, po czym on przyjeżdża tutaj, z aparatem i lornetką, a potem okazuje się, że mieszka akurat obok tego szczególnego apartamentu?

– Może być przypadek, ale raczej wygląda, że to jest zaplanowane.

– Zaplanowane, otóż to. Zaplanowane przez Blake'a. – Opierając się biodrem o blat, podniósł kieliszek z winem. – Założę się, że jeśli trochę pogrzebię, odkryję, że Roland Babbett jest słono opłacanym prywatnym detektywem.

– Myślę, że wygrałbyś zakład. Zauważył kamerę i błyskawicznie wpadł na pomysł udawania, że się zgubił. – Nabrał mnie, pomyślała z widocznym poirytowaniem. – Ale nie wiem, co zyskał tą wizytą.



– Mały spacer. Sprawdzenie miejsca, poznanie okolicy. Dopisało mu dziś szczęście, ponieważ zauważył jedną z twoich kamer i wykorzystał ją do nawiązania z tobą kontaktu. Bez wątpienia konfrontacji z tobą nie będzie mile wspominał, ale w sumie wyciągnął z tego spotkania korzyści. Porozmawiał z tobą, przypatrzył się domowi. Wcześniej też mu się poszczęściło, gdy wpadłem na kawę akurat wtedy, gdy on był w knajpie. Siedział sobie, jadł ciasto i dokładnie się rozglądał... jasny gwint!

– Co się stało?

– Założę się, że ma również wytrenowany słuch. Na pewno usłyszał każde słowo z mojej rozmowy z Sylbie. O której nie zamierzałem ci wspominać – dodał, gdy Abigail milczała. – A teraz przyszło mi do głowy, że źle się stało, ponieważ, jak przypuszczam, była to ważna rozmowa. A ty byłaś jej częścią.

– Rozmawiałeś z nią o mnie?

– Ten twój ton, to spojrzenie, właśnie dlatego nie miałem zamiaru o tym wspominać.

– Nie wiem, co masz na myśli. – Odwróciła się, żeby wrzucić do garnka obraną już zieloną fasolkę, którą kupiła w tym tygodniu. – Nie mówię żadnym tonem.

– Jest ostry jak brzytwa. Ale to mi nie przeszkadza. – Nie kryjąc radosnego uśmiechu, poklepał ją przyjacielsko po pośladku. – Nawet w pewnym sensie mi pochlebia.

– Dziwię ci się. Nie podoba mi się, że rozmawiasz o mnie z kobietą, z którą byłeś związany.

– Związek to coś, czego ja i Sylbie nigdy naprawdę nie stworzyliśmy. Weszła, gdy piłem kawę, i przysiadła się do mnie. Po części po to, żeby przeprosić za tamten, powiedzmy, niefortunny incydent w marcu. Poza tym

chciała zadać mi pytanie. Pragnęła się dowiedzieć, dlaczego ty, a nie ona.

Abigail zdjęła kurczaka z kuchenki.

– Z jej punktu widzenia to uzasadnione pytanie. Możesz tak uważać. Ale dla mnie niezręczne, a zarazem irytujące. Kobieta o takiej prezencji jak ona przywykła zdobywać każdego faceta, którego zechce, a we mnie, co zrozumiałe, nie widzi konkurencji. Choć to być może prawda, niemniej dla mnie bardzo irytująca. Tobie to pochlebia, ale mnie tylko denerwuje.

– A więc zanim całkiem się zdenerwujesz, może zechcesz posłuchać, co jej powiedziałem?

– To twoja osobista sprawa, nie moja. – Wyjęła talerze i z impetem postawiła je na stole. – Ale tak, chcę wiedzieć.

– Powiedziałem jej, że kiedy jestem z tobą, czuję, że to jest właściwe. Że tak powinno być. Wszystko ma sens. Powiedziałem, że nie wiem, dlaczego jedna osoba zakochuje się w drugiej, ale tak się po prostu stało.

Odwróciła się i wbiła w niego wzrok.

– Powiedziałeś jej, że mnie kochasz?

– Tak, ponieważ to prawda.

– Już jestem mniej zirytowana.

– Dobrze. Zmierzamy w dobrym kierunku. Nie chciałem z nią rozmawiać, ale gdy już porozmawialiśmy, zdałem sobie sprawę, że dobrze się stało. Myślę, że zrozumieliśmy się lepiej niż kiedykolwiek i dzięki temu obojgu nam ulżyło.

– Mnie by ulżyło, gdyby ona nie była tak szczerze obdarowana przez naturę. A to jest małostkowe. Nie chcę być małostkowa i płytką.

– Ponieważ dorastałem z dwiema siostrami, ośmielę się powiedzieć, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ona myśli to samo o tobie. Ale mnie chodzi o to, że Roland Babbett wszystko podsłuchał.

– Jeśli nawet Roland Babbett jest prywatnym detektywem zatrudnionym przez ojca Justina, to przecież twoja rozmowa nie miała nic wspólnego z zarzutami przeciwko młodemu Blake'owi.

– Nie, ale daje mu punkt zaczepienia. Tak samo zresztą jak to, że nosisz broń i masz wysokiej klasy alarm. Potrafisz udowodnić, że działasz w dobrej wierze?

– Moje dokumenty oraz dostępny życiorys wytrzymają rutynowe policyjne sprawdzanie. Nie ma powodu, by je kwestionować.

– Prywatny detektyw to nie glina – zauważył Brooks.

– Wierzę, że moje dossier wytrzyma nawet drobiazgową kontrolę. Nigdy nie miałam żadnych kłopotów.

– Byłaś kiedyś aresztowana, wezwana na przesłuchanie?

– Nie, ale przed zawarciem kontraktu jestem rutynowo sprawdzana przez klientów. Ze względu na delikatny charakter mojej pracy i gażę klienci dokładnie kontrolują moje dokumenty oraz referencje.

– Świetnie. – Z satysfakcją skinął głową. – Dobrze to wiedzieć. Szkopuł w tym, że ten Babbett nie pracuje dla klienta, który chce cię zatrudnić, ale dla kogoś, kto szuka brudów, czegoś, co można wykorzystać, by cię zdyskredytować lub zastraszyć.

– Musiałby być niezwykle zręczny i bardzo zdeterminowany.

– Może należy podjąć jakieś środki ostrożności?

– Zawsze możesz napędzić mu stracha. Masz władzę i jej instrumenty. Możesz doprowadzić do konfrontacji, postraszyć go i zmusić do wyjazdu.

– Może i tak, ale tylko bardziej by się zaciekawił. Chyba że bym coś na niego znalazł.

– Nie chcę stąd uciekać.

– Nie dopuścimy do tego.

Nienawidziła tego nowego stresu, dodatkowej komplikacji, która nie miała nic a nic wspólnego z Wołkowami.

– Gdybym została w domu, nie otworzyła drzwi albo po prostu udzieliła mu informacji...

– Nie sądzę, żeby to zrobiło dużą różnicę. On wykonuje swoją pracę. Zrobimy tak – a raczej ty zrobisz, ponieważ jesteś lepsza i szybsza ode mnie – dowiesz się o nim wszystkiego, co można. Sprawdzisz, z kim mamy do czynienia. A na razie... zabiorę niektóre twoje kamery.

– Po co?

– To środki ostrożności. Czy wydział policji w Bickford może na dzień lub dwa wypożyczyć trochę twojego sprzętu?

– Oczywiście. – Wyjęła z kieszeni klucze na kółku. – Weź sobie, co chcesz.

– Dzięki. Przyślę po nie Asha lub Boyda, jeśli można. Ja muszę wykonać dwa telefony, żeby je zamontować tam, gdzie trzeba.

– Dobrze. A teraz zajmę się kuchnią. – Może to uspokoi jej nerwy. – Nie chcę rozgotować warzyw.

Musiała czymś się zająć, cały czas coś robić, żeby uniknąć paniki. Jeśli skupi się na codziennych prozaicznych czynnościach – doda świeży tymianek i masło do zielonej fasolki, pokropi kurczaka sosem z wina, położy obok upieczone kartofle – może utrzyma iluzję normalności.

Przygotowała i podała posiłek bardzo sprawnie i elegancko, ale ledwie mogła się zmusić do przełknięcia kilku kęsów.

Miała plan awaryjny. Od zawsze. Wszystkie dokumenty potrzebne do następnej metamorfozy znajdowały się zamknięte w tajemnym pokoju. Czekały.

Nie chciała ich jednak użyć, nie chciała znów stawać się kimś innym. A

to oznaczało, że będzie musiała stoczyć walkę, żeby uchronić osobę, którą teraz była. I to, co teraz miała.

– Nawet jeśli ten detektyw okaże się bardzo sprytny i zdeterminowany, mimo wszystko sporo wody upłynie, nim uda mu się podważyć wiarygodność moich dokumentów i życiorysu – podjęła. – A ja potrzebuję czasu, aby zaplanować i zorganizować kontakt z agentką specjalną Garrison.

– Ona jest z Chicago?

– Tak. Szukałam kogoś w Chicago, bo tam znajduje się baza Wołkowów. Uznałam, że będzie miała większą motywację i łatwiejszy dostęp. Zareaguje szybciej, gdy przekona się, że można ufać moim informacjom.

– Słusznie.

– Ale chyba muszę wymyślić jakąś alternatywę, ponieważ jeśli skontaktuję się z nią bezpośrednio, będzie zobowiązana mnie zatrzymać. A jeśli tak się stanie, nie wierzę, żebym zdążyła oczyścić się z zarzutów, zanim mnie zlikwidują.

Wyciągnął ręce i ujął jej obie dłonie.

– Nie zostaniesz zatrzymana ani zlikwidowana. Masz to jak w banku. Spójrz na mnie. Nawet jeśli miałbym poświęcić wszystko. Rozmyślałem już o alternatywie i innych metodach.

– Zastanawiałam się nad wysłaniem agentce Garrison maila na jej prywatny adres. Mogę napisać, kim jestem, zrelacjonować całą historię, podać wszystkie szczegóły. Mogę przesłać go taką samą drogą jak dane, które jej przekazuję. Nie będzie mogła mnie wysledzić. Ale obawiam się przecieku. Jeśli te informacje dostaną się w niepowołane ręce, Wołkowowie dowiedzą się, że nie tylko żyję...

– Ilia Wołkow cię widział. Wiedzą, że żyjesz.

– Pięć lat temu w Nowym Jorku wiedzieli, że żyję. Mogłam mieć wypadek albo umrzeć na jakąś nieuleczalną chorobę.

– Okej, dość cienkie, ale rozumiem, o co ci chodzi.

– Dowiedzą się również, że włamałam się do ich kont, do poczty oraz że przekazywałam informacje FBI. Oczywiście podejmą kroki, aby zablokować mi dostęp; zabierze mi dużo czasu i wysiłku pokonanie ich nowych zabezpieczeń. Będą również o wiele bardziej uważać, co piszą w sieci. Ale co więcej, to bardzo ich rozzłości i wzmogą wysiłki, żeby mnie zlokalizować i wyeliminować. Mają bardzo rozwiniętą technikę komputerową. Część ich dochodów pochodzi z oszustw w sieci, przekrętów, kradzieży tożsamości.

– Górujesz nam nimi umiejętnościami.

– Tak, ale miałam sporo czasu na studiowanie i programowanie, na złamanie ich zabezpieczeń, na ucieczkę w wypadku alarmu. Ponowne włamanie się do ich systemu zajmie dużo czasu, zwłaszcza przy nowszych, mocniejszych programach zabezpieczających. Na ich miejscu zastawiłabym pułapki. Jeśli popełnię błąd, mogą mnie wyśledzić. I znów ważną rolę odgrywa czas. Gdy skontaktuję się z FBI, procedura zatrzymania Keegana i Cosgrove’a, identyfikacja innych wtyczek, aresztowanie Korotkija i Ilii – to wszystko musi nastąpić błyskawicznie.

– Jak przewracające się kostki domina – zasugerował.

– Tak, właśnie tak. A biurokracja, ogólnie mówiąc, nie działa zbyt szybko. Zanim proces się rozpocznie, agentka i jej zwierzchnicy muszą mi uwierzyć.

– Uwierzą.

– Świadectwo uciekinierki, podejrzanej przez niektórych, jeśli nie o zabójstwo, to przynajmniej o spowodowanie śmierci dwóch agentów US

Marshals, przeciwko słowu dwóch innych agentów, w tym jednego odznaczanego i awansowanego.

Przykrył jej niespokojną dłoń swoją dłonią.

– Świadekto kobiety, która w wieku szesnastu lat podała im głównego zabójcę mafii na cholernej tacy. To oni schrzaniłi sprawę.

– Jesteś stronniczy, ponieważ mnie kochasz.

– Kocham cię, ale również mam instynkt. Myślisz, że FBI, US Marshals, Departament Policji w Chicago nie ruszą palcem, żeby skrócić kark organizacji Wołkowów? Zajmą się tobą, Abigail.

Pozostawienie dłoni na miejscu przychodziło jej z trudem.

– Czy prosisz mnie, żebym uwierzyła, że mnie ochronią?

– Nie. Proszę cię, żebyś uwierzyła sobie i mnie, że nam się uda.

– Myślę, że mogę to zrobić.

– A więc potrzebujemy pośrednika.

– Nie rozumiem.

– Kogoś, kto wystąpi w twoim imieniu, skontaktuje się z kim trzeba i otworzy drzwi do negocjacji.

– Ty nie możesz...

– Nie – przyznał jej rację, zanim skończyła. – Ja nie mogę. Jesteśmy zbyt blisko, emocjonalnie i geograficznie. Sprawdzą pośrednika. Ale nie będą mieli powodu, aby połączyć mnie... ani ciebie... z moim byłym szefem z policji w Little Rock.

– Nie znam go.

– Ale ja go znam. Posłuchaj mnie. Kapitan Joseph Anson. Możesz go sprawdzić. To solidny glina, odznaczony, od dwudziestu pięciu lat na służbie. Ma żonę – pierwszą i jedyną – i dwoje dzieci. Jest dobrym szefem, bystrym policjantem. Trzyma się regulaminu, ale potrafi od niego odstąpić, gdy

wymaga tego sytuacja. Ufają mu i szanują go w całym wydziale, ponieważ jest godny zaufania i szacunku. I ma jaja.

Wstała i w zamyśleniu podeszła do okna. Ten pomysł wyglądał sensownie; pośrednik stworzyłby rozsądny bufor. Ale...

– Dlaczego on miałby mi uwierzyć?

– Uwierzy ci.

– A nawet gdyby, dlaczego miałaby jemu uwierzyć agentka specjalna Garrison?

– Na podstawie jego dokonań, przebiegu służby i uczciwości. Ponieważ nie ma powodu, by kłamał. Jest po pięćdziesiątce, ale daleko mu jeszcze do emerytury. Dlaczego miałby okłamywać federalnych?

Skinęła głową, dostrzegając w tym pewną logikę.

– Ale dlaczego miałby ryzykować, angażując się w to wszystko?

– Ponieważ jest porządnym człowiekiem i dobrym gliną. – Brooks wstał i podszedł do niej. – Ponieważ wychował dwie córki i jeśli nie wyobraża sobie ich na twoim miejscu, to dzięki mnie sobie wyobrazi.

– Prosisz mnie, żebym zaufała człowiekowi, którego nie znam, którego nie widziałam na oczy.

– Zdaję sobie z tego sprawę i nawet przez chwilę nie myśl, że nie wiem, o co proszę. Jeśli nie możesz tego zrobić, znajdziemy inny sposób.

Znów odwróciła się do okna. Ogród wyglądał wspaniale. Przez ostatni rok jej życie toczyło się tak gładko. A jednak nic naprawdę nie urosło, zanim nie otworzyła Brooksowi drzwi.

– Zaufałbyś mu, gdyby w grę wchodziło twoje życie?

– Tak. Teraz ty jesteś moim życiem.

– Och, Boże, gdy tak mówisz, czuję, że chybabym umarła, gdybym straciła to, co przy tobie odnalazłam. Z twojego powodu rzucam na szalę mój



spokój, Brooks, a myślałam, że spokój to wszystko, na czym mi naprawdę zależy.

– Nie możesz ciągle uciekać, Abigail. – Wziął ją za ramiona i obrócił twarzą do siebie. – Nie możesz ciągle się zamykać, ciągle ukrywać.

– Myślałam, że mogę, ale nie... nie mogę. Nie teraz. Jak to zrobisz?

– Trzeba pojechać do Little Rock. Nie możemy ryzykować telefonu czy maila. To musi być bezpośrednie spotkanie, nie tylko dlatego, że zostawilibyśmy ślad, ale ponieważ z Ansonem najlepiej rozmawia się osobiście. Możemy tam dotrzeć w niespełna dwie godziny, rozpocząć tę akcję i wrócić przed świtem.

– Dziś w nocy?

– Jaki jest sens to odkładać? Gwarantuję ci, że ten prywatny detektyw szpera teraz w necie, starając się dociec, o co tu chodzi. Mamy przewagę, a więc dlaczego jej nie wykorzystać? – Wstał. – Weź swój laptop albo iPada. Po drodze sprawdzisz sobie mojego kapitana. Jeśli nie będziesz usatysfakcjonowana, zawrócimy.

– Chcesz, żebym z tobą pojechała?

– Zawsze. Ale w tym przypadku chcę, żeby cię zobaczył i wysłuchał. Opowiesz mu wszystko, tak jak mnie. Boisz się. Trudno ci się dziwić. Chcesz mieć więcej czasu na analizę, kalkulację, opracowanie szczegółów. Ale nie zwlekałaś, uciekając z tego bezpiecznego domu. Nie zwlekałaś w Nowym Jorku, gdy cię ścigali. Kierowałaś się instynktem i przechytrzyłaś ich.

– Wezmę zapasowe dokumenty identyfikacyjne oraz gotówkę. I torbę podróżną. Jeśli coś pójdzie źle, nie mogę już tu wrócić.

– Jeśli pójdzie źle, pojedę z tobą.

– Wiem, że naprawdę tak myślisz teraz...

– Bo jesteśmy tu i teraz. Weź wszystko, co potrzebne.

– Muszę zabrać Bertę.

Teraz on się uśmiechnął.

– Też bym tak zrobił.

Pojechali jej samochodem. Sąsiedzi nie zwróciliby uwagi na SUV – a na podjeździe Ansona, ale pamiętaliby wóz policyjny z Bickford, jeśli za jakiś czas ktoś by o to spytał.

Podczas jazdy Bert robił to, co psy zwykle robią w samochodzie – z głupawym uśmieszkiem wystawił pysk przez tylne okno – a Abigail otworzyła laptop i pracowała.

– Twój kapitan Anson ma znakomite notowania.

– To dobry policjant.

Zaleta czy wprost przeciwnie? – zastanawiała się Abigail.

– Jeśli zgodzi się pomóc, uwierzysz w jego szczerość?

– Tak. Zaufaj mi.

– Ufam. – Zerknęła przez boczne okno na przesuający się krajobraz. – Bardziej niż komukolwiek od dwunastu lat. Jeśli to się uda i inni mi uwierzą, będą aresztowania, procesy, moje zeznania. I mogą być reperkusje. Musisz mieć tego świadomość.

– Możemy żyć tak dalej, pozostawić wszystko w spokoju. Ale obydwójce, myślę, że obydwójce, nie będziemy czuć się do końca w porządku. Bezpieczniej, ale nie do końca w porządku.

– Od dłuższego czasu wystarczało mi poczucie bezpieczeństwa. – Spojrzała na niego, nadal dziwiąc się, jak jeden człowiek mógł tak wszystko zmienić. – Ale to ciągle za mało, żeby zaszkodzić organizacji Wołkówów, rozbić ją. A musimy ją zniszczyć, żeby poczuć się w porządku i bezpiecznie.

– Pracuję nad tym.

– Mam pewne pomysły. Ale nie wszystkie są całkiem legalne.

Patrzyła, jak jego usta rozciągają się w szerokim uśmiechu.

– To mnie nie zaskakuje. Co masz na myśli?

– Pracuję nad pewnym programem, ale muszę go jeszcze udoskonalić.

Technicznie.

Zerknął na nią, a potem na laptop.

– Robota hakerska.

– No właśnie. Jeśli zrobimy, co zamierzamy, będę musiała poświęcać więcej czasu i wysiłku na programy, które rozwijam. Ale wracając do rzeczy, jeśli twój kapitan się zgodzi, musisz się zdecydować, jak chcesz się z nim komunikować. Gdy on skontaktuje się w tej sprawie z FBI, wyśledzą jego informatorów.

– Zatrzymamy się po drodze i kupimy komórki na kartę. Na jakiś czas powinno wystarczyć.

– Powinno.

Wyciągnął rękę i na moment przykrył jej dłoń.

– Znajdziemy jakiś sposób.

Wierzyła mu. To nie miało sensu, kłóciło się ze zdrowym rozsądkiem, a jednak mu uwierzyła.

Jej zdenerwowanie wzrosło, gdy Brooks wjechał w spokojną uliczkę w ładnej dzielnicy. Stare drzewa liściaste, zielone trawniki, światła w oknach.

Kapitan Anson może chcieć od razu ją zaarrestować. Może nalegać na natychmiastowe skontaktowanie się z federalnymi.

Może go nie być w domu, co byłoby ogromnie rozczarowujące i w pewnym sensie bardziej stresujące.

Może...

– Wyluzuj – powiedział Brooks, zatrzymując się przed zadbanym piętrowym domem z garażem i pięknym czerwonym klonem na frontowym

trawniku.

– To jest niewykonalne.

Obrócił się, by spojrzeć jej prosto w oczy.

– Wchodzimy czy nie, Abigail? Twój wybór.

– Wchodzimy, ale nie mogę się wyluzować.

Gdyby musiała uciekać, nie pozwoliłaby mu uciec ze sobą. Nie pozwoliłaby, żeby porzucił swoje życie, rodzinę, swój świat. W torebce miała zapasowe kluczyki. Jeśli to będzie konieczne, wybiegnie i odjedzie. Jeśli...

– Cokolwiek się stanie, chcę, żebyś wiedział, że ostatnie tygodnie były najlepszym czasem w moim życiu. Twoja obecność mnie odmieniła. Nic już nie będzie takie samo, i to mnie cieszy.

– Ruszamy do boju i wygramy.

– W porządku. – Nakazała Bertowi zostać w samochodzie i wysiadła.

Brooks okrążył maskę i wziął ją za rękę. Zrobiła, co w swojej mocy, aby skoncentrować się na kontakcie fizycznym, zwłaszcza że serce podchodziło jej do gardła.

Światło w oknach paliło się i czuła zapach wiosny oraz nadchodzącego lata – trawy, heliotropów, goździków i wczesnych róż. Z narastającym niepokojem, przytłoczona ciężarem w klatce piersiowej, przymknęła oczy w chwili, gdy Brooks zapukał.

Mężczyzna, który otworzył drzwi, miał szerokie ramiona i mocno przyprószone siwizną ciemne włosy, przerzedzone na skroniach. Był ubrany w spodnie koloru khaki i niebieską koszulkę polo, a w kieszonce na piersiach miał zatknięte okulary.

Był boso, a gdzieś zza jego pleców dochodził głos komentatora meczu piłkarskiego.

Twarde niebieskie oczy miały nieugięty wyraz, dopóki jego twarzy nie

rozjaśnił nagły uśmiech.

– A niech mnie diabli, komendant Gleason w moich progach!

– Miło cię widzieć, kapitanie.

– A niech mnie! – powtórzył Anson, po czym uściśnął Brooksa jednym ramieniem, jednocześnie mierząc wzrokiem Abigail. – Masz zamiar przedstawić mi tę damę?

– Abigail Lowery, kapitan Joe Anson.

– Miło cię poznać, Abigail. Stary, Nadine będzie żałować, że jej nie zastałeś. Zabrała swoją mamę na damską wycieczkę, do spa, w prezencie urodzinowym. Wróci dopiero w niedzielę. No, wejdźcie.

Salon sprawiał miłe wrażenie, pomyślała Abigail. Wyglądał na wygodny i najwyraźniej stanowił serce domu; na półce na ścianie stały oprawione w ramki rodzinne fotografie, a na parapetach dekoracyjne doniczki z kwiatami.

– Oglądałem mecz w pokoju telewizyjnym. Zaraz go wyłączę.

– Przepraszamy, że przeszkodziliśmy, wpadając tak znienacka.

– Nie ma za co. To mój drugi wieczór słomianego wdowca. Nudzę się niemiłosiernie. – Wszedł do wnęki za salonem. Chwilę później dźwięk telewizora umilkł i za Ansonem wyłonił się stary żółty labrador.

– Nie jest groźny – zwrócił się Anson do Abigail.

– Lubię psy. On ma bardzo inteligentny pysk.

– Huck zawsze był bystry. Teraz jest prawie ślepy i głuchy, ale nie stracił rozumu. Może usiądziemy w jadalni? Jak się ma twój ojciec, Brooks?

– Dobrze. Naprawdę dobrze.

– Miło to słyszeć. A praca?

– Lubię ją, kapitanie. Podoba mi się tam, gdzie jestem i kim tam jestem.

– On jest dobrym policjantem – rzekł Anson do Abigail. – Żałuję, że go

straciłem. Napijemy się piwa?

– Nie odmówię.

– A ja tak – powiedziała Abigail, a potem, zdając sobie sprawę, że ta prosta prawda zabrzmiała niegrzecznie, dodała: – To znaczy, napiłabym się wody.

– Oczywiście. Mam też lemoniadę. Nie najgorszą.

– Chętnie, dziękuję.

Anson wskazał im miejsca w części wypoczynkowej, połączonej z otwartą, dużą kuchnią. Szerokie szklane drzwi z tyłu prowadziły na patio, gdzie pod czarnym nakryciem zobaczyła coś, co jak podejrzewała, było ogromnym grillem, oraz kilka ogrodowych krzeseł i stolików.

Gdy Anson wyjmował napoje, stary pies przyczłapał do niej, obwąchał ją i położył głowę na jej kolanie.

Pogłaskała go po głowie, podrapała za uszami.

– Jeśli będzie ci przeszkadzał, powiedz mu, żeby usiadł.

– On mi nie przeszkadza.

– Abigail też ma psa. Wspaniałego psa. Bert jest w samochodzie.

– Dlaczego, u diabła, tam go zostawiliście? Idźcie i przyprowadźcie go.

Wypuścimy je do ogródka z tyłu, żeby się poznali i zaprzyjaźnili.

– Bert będzie zachwycony. Jeśli naprawdę można, pójdę po niego.

Kazałam mu zostać, więc nie wyjdzie z samochodu z Brooksem.

– Idź i przyprowadź go do ogrodu. Boczna furтка jest z lewej strony.

– Dziękuję.

Gdy wyszła, Anson podał Brooksowi piwo i ruchem ręki wskazał rozsuwane drzwi.

– Co się dzieje, Brooks? – spytał, gdy wyszli na patio.

– Mnóstwo.

– Twoja pani dobrze się maskuje, ale widać w niej takie napięcie, że mogłaby oświetlić całe Little Rock.

– Ma ku temu powody. Namówiłem ją na przyjazd do ciebie, ponieważ potrzebuje pomocy. I ponieważ jestem w niej zakochany.

Anson głęboko zaczerpnął powietrza, potem pociągnął duży łyk piwa.

– W jakie kłopoty się wpakowała?

– Chcę, żeby sama ci opowiedziała, i chcę, żebyś jej wysłuchał. Od początku do końca. Liczę na ciebie, kapitanie.

– Ona nie pochodzi stąd ani z twojej okolicy.

– Nie, ale Bickford jest teraz jej domem. Obydwoje chcemy, żeby tak zostało.

Usłyszeli skrzyp otwieranej i zamykanej furtki. Huck podniósł głowę – Anson wiedział, że nie z powodu dźwięku, ale zapachu.

Anson uniósł brwi, gdy Abigail wyłoniła się zza rogu domu z Bertem.

– Wielki i przystojny z niego łobuziak.

– Jest bardzo dobrze wychowany – zapewniła go Abigail. – *Ami* – powiedziała, gdy Huck, drżąc, podszedł, aby powąchać przybysza. – *Ami Jouer*.

Psy obwąchiwały się nawzajem, a ich ogony radośnie przecinały powietrze. Potem Huck podszedł do ogrodzenia i podniósł nogę. Bert poszedł w jego ślady. Następnie zaczęły się ze sobą mocować.

– Huck ma jeszcze trochę ikry. – Anson podał Abigail lemoniadę i gestem zaprosił, by usiadła. – Brooks wspomniał, że chcesz mi opowiedzieć jakąś historię, Abigail.

– Tak. Powinnam zacząć od tego, że nie nazywam się Abigail Lowery. Formalnie jestem Elizabeth Fitch. Gdy miałam szesnaście lat, byłam świadkiem, jak pewien mężczyzna, Jakow Korotkij, który jest porucznikiem

w przestępczej organizacji Wolkowo w, zamordował swojego kuzyna Aleksieja Gurewicza oraz moją przyjaciółkę Julie Masters.

Anson wyprostował się. Po chwili zerknął na Brooksa.

– Powiedziałeś „mnóstwo”. Rzeczywiście mnóstwo.

Następnie zwrócił swoje stalowe oczy z powrotem na Abigail.

– Możesz mi o tym opowiedzieć?

## 25

Wcale nie była pewna, czy on jej wierzy. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, żadnego zaskoczenia, wątpliwości czy zrozumienia. Podobnie jak Brooks, kapitan kilka razy przerywał jej relację, a potem kiwnięciem głowy zachęcał, by kontynuowała.

Zanim skończyła, psy wróciły po pieszczoty, a gdy w końcu umilkła, obydwa, zmęczone zabawą, leżały rozciągnięte na ziemi.

– Pamiętam trochę z tego, co mi opowiadasz – zaczął Anson. – W swoim czasie to była gorąca sprawa, zwłaszcza dla organów ścigania. Dwóch agentów US Marshals zabitych, jeden ranny, a świadek powiązanego z mafią podwójnego zabójstwa przepadł jak kamień w wodę. Przez kilka tygodni twoje nazwisko i twarz pojawiały się we wszystkich mediach i rozesłano mnóstwo pilnych komunikatów na twój temat.

– Tak, wiem.

– Wydano nakaz zatrzymania cię za ucieczkę z miejsca przestępstwa. Znalazłaś się na liście osób poszukiwanych przez policję. Chcieli cię przesłuchać w sprawie śmierci tych agentów oraz eksplozji w bezpiecznym domu.

Mocno, aż do bólu, splotła palce na kolanach.



– Z korespondencji pomiędzy organami ścigania wynika, że zeznania Keegana i Cosgrove’a uznano za wiarygodne. Poszukiwanie mnie w celu przesłuchania było zwykłym podstępem, żeby mnie oskarżyć o morderstwo lub współudział w morderstwie.

– Skąd znasz naszą wewnętrzną korespondencję?

Brooks w milczeniu sięgnął po jej rękę, rozplótł jej palce i trzymał w swojej dłoni.

– Jestem specjalistką od komputerów, zwłaszcza od systemów zabezpieczeń. Poza tym zajmuję się hakerstwem.

– Chcesz mi powiedzieć, że potrafisz włamać się na tajne konta US Marshals Service i FBI?

– Tak. Mogę bardzo dużo, a to było moim priorytetem. Obydwaj, Keegan i Cosgrove, oświadczyli, że gdy weszli do środka, znaleźli Terry na podłodze w kuchni, jej broń zaś zaginęła. Gdy próbowali to zgłosić, zostali ostrzelani przez nieznaną osobę i Cosgrove został ranny. Gdy Keegan zaczął strzelać, zgasły światła. Udało mu się wyprowadzić Cosgrove’a na zewnątrz i zgłosić zajście. Ale zanim zdążył wrócić po Terry albo znaleźć mnie lub Johna, dom wyleciał w powietrze. Jak twierdził, wydawało mu się, że widział jakiegoś uciekiniera.

– To mniej więcej pamiętam – zgodził się z nią Anson.

– Jedna z rozpowszechnianych hipotez głosiła, że spanikowałam albo znudziło mi się siedzenie w zamknięciu, więc skontaktowałam się z Wołkowami i zawarłam z nimi układ. Odnaleźli mnie w bezpiecznym domu i to ja obezwładniłam Terry, próbując uciec. Albo według drugiej wersji ktoś powiązany z Wołkowami zastrzelił Johna, otworzył ogień do Keegana i Cosgrove’a, a ja podczas tego całego zamieszania albo uciekłam, albo mnie porwali. Potem mordercy wysadzili dom, żeby zatrzeć ślady, albo sama to

zrobiłam.

– Szesnastoletnia dziewczyna pokonuje dwójkę agentów i wysadza dom. – Brooks pokręcił głową. – Nie kupiłbym tego.

– Niezwykle inteligentna dziewczyna, którą jeden z agentów osobiście uczył posługiwania się bronią, która zażądała i otrzymała pięć tysięcy dolarów w gotówce ze swego funduszu powierniczego, która sfałszowała dokumenty tożsamości i gdy machina wymiaru sprawiedliwości powoli się obracała, spędziła całe lato, rozważając, co z nią będzie, gdy już złoży zeznanie. – Logika takiego rozumowania była przekonująca dla Abigail. – Rozsądek pozwala uwierzyć, że dziewczyna pękła i próbowała się z tego wszystkiego wyplątać.

– Logiczny wywód – skomentował Anson – jeśli zeznania i następstwo wydarzeń nie stoją w sprzeczności na przykład z odmienną relacją naocznego świadka.

– Nie wierzę, żeby hipoteza, iż to ja zamordowałam Johna i Terry albo że miałam w tym udział, utrzymała się – powiedziała Abigail. – Ale uważam, że jeśli zostanę aresztowana, to nie będzie miało znaczenia. W przeciągu dwudziestu czterech godzin będę martwa. Mogą zainscenizować samobójstwo, ale stawiam na bezpośrednią eliminację.

– Jesteś bardzo rzeczowa – zauważył Anson.

– Miałam wiele lat na rozmyślanie, co by ze mną zrobili, gdyby mogli.

– Dlaczego teraz z tym przysłaś?

Popatrzyła na Brooksa.

– Jeśli tego nie zrobię, dalej będę w takiej samej sytuacji. A ostatnio wiele się w moim życiu zmieniło... Brooks przekonał mnie, żebym mu zaufała, a potem żebym zaufała panu. No więc staram się.

– Ona przesyłała anonimowo pewnej agentce FBI z Chicago donosy na

temat organizacji Wołkowów.

– A zdobywasz te donosy, włamując się do ich sieci? – Anson wydał policzki i wyprostował się. – Musisz być cholernie dobrą hakerką.

– To prawda. Wołkowowie są zadufani na punkcie swojego systemu zabezpieczeń. Uważają, że jest najlepszy na świecie i że są świetnie chronieni. Zresztą wykorzystują doskonale technologie. Ale ja jestem od nich lepsza – dodała. – Poza tym Ili zachowuje się nieostrożnie na tym polu. To wynika z jego arogancji. Rutynowo wykorzystuje pocztę elektroniczną oraz SMS – y zarówno do prywatnej, jak i biznesowej korespondencji.

– Na podstawie donosów Abigail dokonano wielu aresztowań, kapitanie – wtrącił Brooks.

– Kim jest ten kontakt w FBI?

Abigail zerknęła na Brooksa, czekając, aż skinie głową.

– Agentka specjalna Elyse Garrison.

– Dlaczego nie zwróciłaś się do niej z tą historią?

– Jeśli to by wyciekło, a wiem, że Wołkowowie mają co najmniej jednego kreta w biurze śledczym w Chicago, mogliby ją porwać, torturować, a potem zabić. Albo zabiliby ją od razu. Mogliby ją wykorzystać, żeby mnie zwabić. Dotychczas nie zdołali jej namierzyć. Gdy to zrobią, jej życie i moje znajdą się w poważnym niebezpieczeństwie.

– A więc chcesz, żeby ktoś skontaktował się z nią w twoim imieniu, ktoś, kto nie jest, co łatwo sprawdzić, w żaden sposób powiązany z Elizabeth Fitch.

– Ktoś – ciągnął Brooks – o nieposzlakowanej opinii w policji, z pozycją, autorytetem i wiarygodnością. Ktoś, komu agentka Garrison może uwierzyć.

– Jeśli się w to zaangażuję, pojedę do Chicago i nawiążę kontakt, co

wtedy?

– To nam otworzy drzwi do umówienia spotkania z Abigail w miejscu, które wybierzemy.

– Przez cały czas będę monitorować rozmowy i wiadomości krążące w organach ścigania. Dowiem się, czy nie usiłują zastawić pułapki lub czy ktokolwiek, kogo podejrzewam o współpracę z Wołkowami, nie dowiedział się o tym kontakcie.

– Przekraczasz tu wiele granic. – Przeniósł chłodne, twarde spojrzenie na Brooksa. – Obydwoje przekraczacie.

– A jak myślisz, kapitanie, jeśli postąpiłaby zgodnie z prawem, jakie ma szanse przeżyć i zeznawać przy tych wtyczkach, które mają tam Wołkowowie?

– Wierzę w system, Brooks. Wierzę, że by ją uchronili. Ale nie mogę jej obwiniać, że ona nie daje temu wiary. Gdyby chodziło o kogoś, kogo kocham, nie jestem pewien, czy też bym wierzył.

Westchnął głęboko.

W ciszy ogródka, przy akompaniamencie rytmicznego pochrapywania psów i plusku małej fontanny, nerwy Abigail były tak napięte, że zastanawiała się, dlaczego nie skrzypią jak paznokcie pocierane o tablicę.

– Może uda nam się zrobić to na twój sposób, wykurzyć Keegana i Cosgrove'a oraz im podobnych – zaczął Anson. – Może zdołamy dokonać jakichś kluczowych aresztowań, zrobić poważny wylom w mafii Wołkówów. Ale co potem? Zechcesz poddać się programowi ochrony świadków? – zapytał Brooksa. – Zrezygnować z miejsca, gdzie dobrze ci się żyje, i pracy, którą lubisz?

– Tak.

– Nie! – wtrąciła spontanicznie Abigail. – Nie. Nie zgodziłabym się tu

przyjechać, gdybym wiedziała, że taki będzie rezultat. To Elizabeth Fitch spotka się z agentką specjalną Garrison i będzie zeznawać. Tylko trzy osoby będą wiedzieć, że Elizabeth Fitch i Abigail Lowery to ta sama osoba, i tak ma pozostać. Jeśli w jakiś sposób zostaną one ze sobą powiązane, zniknę. Potrafię to zrobić.

– Abigail...

– Nie – powtórzyła cicho, ale stanowczo do Brooksa. – Musisz robić to, co słuszne, i musisz mnie chronić. Możesz zrobić i jedno, i drugie. Wierzę, że tak będzie. Zaufaj mi. Na pewien czas stanę się znów Elizabeth, a potem ona odejdzie. Zniknie, a Abigail będzie mogła żyć swoim życiem. Wiem, jak rzucić Wołkowów na kolana i to tak, żeby nigdy się nie podnieśli. Nie za pomocą noży i krwi. Klikaniem w klawiaturę.

– Masz zamiar pokonać ich komputerem? – spytał Anson.

Jej spokojne, zielone oczy napotkały jego spojrzenie.

– Dokładnie tak. Jeśli będę mogła zrobić to, co teoretycznie wymyśliłam, a władze posłuchają i będą działać zgodnie z moim planem, wszystko się pomyślnie skończy. Powierzam swoje życie w pańskie ręce, kapitanie Anson, ponieważ Brooks szanuje pana i ufa panu bezwarunkowo.

– Wejźmy do środka, napijmy się kawy – rzekł Anson po chwili. – Omówimy szczegóły.

Nalegała, by pozwolił jej prowadzić z powrotem. W ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin Brooks prawie nie spał, a do domu mieli daleko. Odchylił więc fotel i zapadł w krótką drzemkę.

Miała czas, żeby jeszcze raz wszystko przemyśleć.

Joseph Anson pojedzie do Chicago, nawiąże kontakt. Nie użyje ani nie ujawni nazwiska Abigail Lowery, powie natomiast agentce Garrison, że przybyła do niego Elizabeth Fitch, opowiedziała mu swoją historię i podała

mu jej nazwisko. Aby to uwiarygodnić, przekaże tę samą informację, którą Abigail uprzednio dostarczy Garrison.

Jeśli Garrison postąpi według tego samego wzorca, złoży raport tylko bezpośrednio przełożonemu. Następnie rozpocznie się cała procedura.

Tak wiele spraw może pójść źle.

Ale jeśli pójdą dobrze...

Może być z mężczyzną, który śpi teraz obok niej. Nauczy się, co robić na przyjęciach w ogrodzie. Naprawdę stanie się Abigail i wszystko, co się odtąd zdarzy, będzie autentyczne.

W końcu nadejdzie taki dzień, kiedy zajmie miejsce dla świadka na sali rozpraw i wpatrując się w oczy Korotkija, Siergieja Wołkowa oraz Ilii, powie prawdę. Jako Elizabeth.

Nie, jako Liz – poprawiła się. Przynajmniej w myślach będzie Liz – dla Julie, Johna i Terry.

Wykorzysta wszystko, czego dowiedziała się w ciągu ostatnich dwunastu lat, aby obedrzeć Wołkówów żywcem ze skóry.

Poruszył się, gdy skreśliła w stronę swojego domu.

– Rozmyślałem – powiedział.

– Sądziłam, że śpisz.

– Pół na pół. – Podniósł oparcie i potarł twarz dłońmi. – Doszedłem do wniosku, że powinnaś mnie poprosić, żebym się do ciebie przeprowadził. Praktycznie i tak tu teraz mieszkam – dodał, gdy nie odpowiedziała. – Ale może mogłabyś zrobić to formalnie?

– Chcesz zamieszkać ze mną, żeby mnie chronić?

– To byłaby dodatkowa korzyść. A poza tym miałbym swoje rzeczy pod ręką, trochę miejsca w szafie i szufladach oraz łatwy dostęp do seksu. To oczywiste plusy, ale głównym powodem, dla którego chcę tu mieszkać, jest

to, że cię Kocham i chcę z tobą być.

Siedziała przez chwilę nieruchomo, patrząc na dom. Mój dom, pomyślała. Dom, ogród, szklarnia, mały strumyk, las. Jej własność. Czowała tę przynależność. Po raz pierwszy pomyślała o tym miejscu jako o swoim domu.

Jej domu.

– Jeśli się wprowadzisz, będziesz musiał poznać kody do alarmu i mieć klucze.

– Na pewno by się przydało

– Chciałabym to przemyśleć, jeśli mogę.

– Oczywiście.

To jedno słowo, swoboda, z jaką wysiadł z samochodu i otworzył klapy, żeby wypuścić Bertę, świadczyła o jego dużej pewności siebie; był przeświadczony, że pokona jej obiekcje i ostatecznie postawi na swoim.

Powinno ją to zirytować, pomyślała. A nawet obrazić. A jednak nic z tych rzeczy. To tylko przypomniało jej, kim dla niej jest.

My... Smakowała to słowo, zastanawiała się nad nim, gdy czekali, aż Bertę załatwi się po podróży.

My wśród pięknej, usianej gwiazdami nocy, wśród jaśniejących kwiatów, przy szmerze strumienia i cichym wietrze poruszającym liśćmi, szepczącym w odpowiedzi.

Ich dom, ich ogród, ich szklarnia i strumyk, i las.

Jej dom był bezpieczniejszy. Spokojniejszy.

Ich – pełen kompromisów i wyzwania.

I obietnicy.

Otworzyła drzwi, wyłączyła alarm.

– Chciałbyś się do mnie wprowadzić?

– Cóż, to poważny krok. Muszę się zastanowić.

– Powiedziałaś przecież przed chwilą... – Zobaczyła jego szeroki uśmiech i gdy odwróciła się, żeby zamknąć drzwi, poczuła, jak jej usta same rozciągają się w uśmiechu. – Żartujesz.

– Przyłapałaś mnie. – Położył ręce na jej ramionach i obrócił ją do siebie, by znów na niego spojrziała. – Ale to dla ciebie poważny krok, wiem o tym.

– A dla ciebie naturalny bieg wypadków. Wychowałeś się w tradycyjnej rodzinie z obojgiem rodziców.

– O rany, moja matka byłaby wkurzona za taką etykietkę. – Otoczył ją ramieniem, prowadząc na górę. – Zachowamy to dla siebie.

– Nigdy nawet nie pomyślałam, że mogłabym dzielić z kimś dom. Zresztą dopiero co zaczęłam wierzyć, że mogę tu zostać na stałe, mieć swoje miejsce na ziemi.

– A więc uwierz i wierz nadal. Nie ma sensu posyłać we wszechświat negatywnych myśli.

– Ani optymistyczne, ani pesymistyczne myśli nie wpływają na bieg wypadków.

– Skąd wiesz? – Żartobliwym gestem potargał jej włosy. – Nie możesz wiedzieć, co inni ludzie myślą, czego pragną, w co wierzą, dopóki ci sami tego nie powiedzą. A co z przeświadczeniem, że wiara przenosi góry?

– Nigdy nie widziałam przesuwającej się góry, tym bardziej za sprawą wiary.

– Prozaiczny umysł. – Postukał ją w czoło. – A wulkany? Wulkany poruszają górami.

– Sugestia, że pęknięcia skorupy ziemskiej, rozchodzenie się i schodzenie płyt tektonicznych, wypływ lawy, gazu i popiołów mogą być spowodowane wiarą lub jej brakiem, jest niedorzeczna.



– Czy ja coś sugeruję? Nie wiem, co we mnie wstąpiło. – Zobaczył, że idąc do łazienki, przewraca oczami. – W szóstej klasie zrobiłem makietę wulkanu. Była bardzo udana.

Po raz pierwszy nie zamknęła drzwi, ale rozmawiała z nim podczas wieczornej toalety.

– Ciekawe zadanie dla ucznia.

– Wulkan wypadł bardzo fajnie. – Wszedł i wziął szczoteczkę do zębów, podczas gdy ona myła twarz. – Chciałem go nazwać „pierdnięcie diabła”, ale ojciec przekonał mnie, że może to negatywnie zaważyć na ocenie.

– Rozsądnie.

– Ale nazwałem go tak w myślach, a dzięki temu doskonale pamiętam, jak ze stożkowatej butelki oblepionej masą solną wybuchała kolorowa lawa powstała z sody oczyszczonej, barwnika do żywności i octu. Założę się, że ty byłaś niezrównana w projektach z nauk ścisłych.

– Dobrze mi szło. – Czowała się dziwnie, ale interesująco, dzieląc z nim umywalkę. – Zbudowałam podwodny wulkan na kontakcie płyt tektonicznych, żeby zademonstrować, jak powstały wyspy.

Opuścił szczoteczkę i popatrzył na nią w lustrze zmrużonymi oczami.

– Podwodny wulkan?

– Tak. Gorąca woda zawsze wydostaje się na powierzchnię i dryfuje. Posługując się wypalonym w piecu modelem z gliny...

– Wypalonym w piecu!

– Tak, oraz zdalnie sterowanymi modelami płyt tektonicznych udało mi się zademonstrować w bardzo spektakularny sposób erupcję.

– Ile miałaś wtedy lat?

– Dziewięć.

– Popisywałaś się.

– Lubiałam się dobrze uczyć. Rozmawiasz ze mną o projektach z nauk ścisłych, żebym się odprężyła i lepiej spała?

– To pracuje na moją korzyść.

Leżąc obok niego w ciemności, na granicy snu okryła, że to również jej przyniosło korzyści.

Pierwszym posunięciem Brooksa następnego rana było zatrzymanie Rolanda Babbetta. Czuł cholerną satysfakcję, pukając o siódmą do jego drzwi. A jeszcze większą, gdy zaspany Babbett mu je otworzył.

– Roland Babbett?

– Tak. Jakiś problem?

– Pański problem. Komendant Gleason z policji Bickford, a to mój zastępca Boyd Fitzwater. Mam nakaz aresztowania.

– Że co?

– Oraz kolejny przeszukania pańskiego pokoju, rzeczy i samochodu. Musi się pan ubrać i pójść z nami.

– O co chodzi? Aresztowany? To jakieś szaleństwo.

– Nie sądzę, skoro posiada pan złodziejskie akcesoria i posłużył się nimi o drugiej piętnaście rano, aby włamać się do hotelowego apartamentu, który był zamknięty i zaplombowany.

Roland już przytomnymi oczami świdrował twarz Brooksa.

– Chcę zadzwonić.

– Nie ma problemu. Zadzwoni pan już na posterunku. Dam panu szansę się ubrać, chyba że woli pan zostać zabrany w hotelowym szlafroku. To ładny szlafrok.

– Chciałbym się ubrać.

– W porządku. Boyd przeczytaj panu Babbettowi jego prawa, gdy będzie wkładał spodnie. – Brooks pokazał nakaz przeszukania, zanim wszedł

do pokoju. – Ładny widok. Trzeba przyznać, że Conroy potrafi zarządzać tym interesem. Jadł pan kolację w hotelowej restauracji?

– Zamówiłem do pokoju. – Roland wciągnął spodnie i wyłożył na wierzch koszulkę. – Zjadłem stek.

– No i jak?

– Krwisty i wyśmienity.

– Tak, potrafią go przyrządzić. – Otworzył granatowy plecak, przejrzał zawartość, a potem schował komplet wytrychów do torebki na dowody. – Przyjechał tu pan jako turysta?

Mimo okoliczności, Roland parsknął śmiechem.

– Każdy o to pyta. Teraz już wiecie, że przyjechałem w sprawie zawodowej.

– Stuben – Pryce z Little Rock. – Głos Brooksa pozostawał gładki i miękki jak ciepła śmietanka, gdy wkładał miniaturowy magnetofon do torebki na dowody. – Pracowałem tam. Zapewne już pan o tym wie. Luksusowa firma z luksusowymi cenami, panie Babbett.

– Dobrze wykonujemy swoją robotę.

– Nie wątpię. – Rzucił Rolandowi przyjacielski uśmiech. – Szkoda, że w doborze klientów nie wykazujecie się większym smakiem.

– To nie moja sprawa. Czy nie przeszkadza panu, że umyję zęby i opróżnię pęcherz?

– Przeszkadzałoby mi, gdyby pan tego nie zrobił.

Podczas gdy Babbett stał w otwartych drzwiach łazienki, Brooks kontynuował przeszukiwanie pokoju.

– To spokojne miasteczko – powiedział obojętnym tonem. – Och, od czasu do czasu robi się gorąco, szczególnie o tej porze roku oraz latem. Mnóstwo przyjezdnych, dużo, że tak powiem, konfliktowych osobowości,

duszających się w tym upale.

Ale nieczęsto przytrafia nam się prywatny detektyw z ekskluzywnej firmy z dużego miasta, dokonujący włamania w naszym flagowym hotelu.

– Dostanę za to kopa w dupę. – Gestem podkreślającym swoje słowa, Roland wypluł pastę do umywalki. – Stracę premię. A miałem nadzieję, że przyjedziemy tu sami z żoną bez dzieciaków, gdy już urodzi.

– Kiedy ma rodzić?

– Piętnastego sierpnia.

– Październik jest bardzo przyjemny w Ozark – zauważył Brooks, gdy Roland wyszedł z łazienki. – Będziemy szczęśliwi gościć tu pana jako turystę. Boyd, możesz sam zakończyć przeszukanie. Zabiorę pana Babbetta na posterunek.

– Nie zamierza pan założyć mi kajdanków?

Brooks znów uśmiechnął się przyjacielsko.

– A życzy pan sobie?

– Nie. Doceniam pański gest.

– Nie przypuszczam, żeby pan uciekał, a jeśli nawet, to dokąd?

Nie uciekał. Brooks dał mu filiżankę przyzwoitej kawy, telefon i kilka minut prywatności – przy biurku zamiast w celi.

Po rozmowie telefonicznej Roland siedział i rozmyślał.

– Skończył pan? – spytał go Brooks.

– Taak. Skończyłem.

– Może porozmawiamy w moim gabinecie? Jeff? – zwrócił się Brooks do swojego współpracownika. – Nie przeszkadzaj i nie łącz żadnych telefonów, zgoda? Chyba że byłoby coś bardzo ważnego.

– Tak jest, szefie.

– Proszę usiąść. – Brooks zamknął drzwi gabinetu, podszedł do biurka i

oparł się o nie biodrami. – Powiem to wprost. Wpakowałeś się w kłopoty, Rolandzie.

– Mój prawnik jest już w drodze.

– Luksusowy prawnik z luksusowej firmy, spodziewam się. Jednak przyłapaliśmy cię, jak się włamywałeś i wszedłeś do apartamentu hotelowego. Kamera uwieczniła cię w holu przy drzwiach, a potem inne kamery, gdy przeszukujesz wnętrze pokoju. Mamy twoje wytrychy. – Brooks westchnął i z udawanym współczuciem pokręcił głową. – Nawet wyśmienity prawnik będzie potrzebował czasu, żeby to odkręcić, nie sądzisz? A to może oznaczać konieczność krótkiego pobytu w więzieniu i rysę na licencji detektywa. A twoja żona jest w ciąży i lepiej, żeby w tym stanie nie musiała odwiedzać cię w więzieniu.

– Więzienie jest wątpliwe, ale niebezpieczeństwo utraty licencji... Do diabła! – Roland przycisnął palce do oczu. – Może się tak stać. To pierwsza wpadka na moim koncie.

Brooks wzruszył ramionami.

– Możliwe.

– Zazwyczaj nie odstawiam fuszerki. Pomyślałem, że trochę się rozejrzę. Nie zauważyłem kamer.

– Nie obwiniaj się za bardzo. Nie było ich tam, dopóki nie odwiedziłeś Abigail.

– Aha. – Teraz Roland porozumiewawczo spojrzął Brooksowi w oczy.

– Ona, jej pies i jej glock śmiertelnie mnie wystraszyli.

– To ty ją wystraszyłeś. Ona mimo wszystko jest dziewczyną z miasta – kłamał raźnie Brooks. – Mieszka sama na odludziu, nie ma bliskich sąsiadów. Trzeba też pamiętać, jak zarabia na życie. Zresztą pewnie już wiesz. Zajmuje się systemami bezpieczeństwa, zawsze sprawdza, jak ludzie sobie z nimi

radzą. Poza tym jest trochę strachliwa.

– Na pewno, skoro umieściła kamery na drzewach.

– Och, ona ciągle eksperymentuje, wymyślając nowe programy i nowe, jak je nazywa, scenariusze. Przypadkiem stałeś się bohaterem jednego z nich. Była tak wstrząśnięta, że siedziała zamknięta w domu, dopóki się nie pojawiłem. No wiesz, na wypadek gdybyś był mordercą z siekierą, a nie roztargnionym fotografem.

– Nie wyglądała na wstrząśniętą – mruknął Roland.

– Cóż, Abigail potrafi się maskować, a pies dodaje jej pewności siebie. Powiedziała mi o nieoczekiwanym spotkaniu z tobą, a ja się nad tym zastanowiłem. Podałeś jej prawdziwe nazwisko.

– Miałem dokumenty w plecaku. Ona miała broń. Na wypadek, gdyby sprawdziła plecak, wołałem jej nie rozzłościć jakimś kłamstwem. Ale nie przyszło mi do głowy, że ona albo ty możecie mnie tak załatwić.

– Gliny. Z natury jesteśmy cyniczni i podejrzliwi. A więc, Rolandzie, widzisz, jak jest. Wiem, kto wynajął prywatnego detektywa z drogiej firmy, żeby poszperał wokół Abigail, mnie, Conroyów oraz w hotelu.

– Nie mogę tego potwierdzić ani zaprzeczyć bez porady prawnej.

– Wcale cię o to nie proszę, chcę ci tylko coś powiedzieć. Lincoln Blake posunie się do wszystkiego, żeby wyciągnąć swojego syna z pudła, włącznie z nakłonieniem kogoś do fałszywych zeznań.

Roland, który dotąd siedział zgarbiony, z nadąsaną miną, nagle się wyprostował.

– Posłuchaj. Nigdy się do tego nie posuwam, dla żadnego klienta i za żadną cenę. Firma również. W przeciwnym razie nie cieszylibyśmy się taką reputacją.

– Założmy, że w to uwierzę. Ale oczywiście poza protokołem... –

Brooks nonszalancko wzruszył ramionami.

– Czyżbyśmy mogli się dogadać?

– Może. Russ Conroy jest moim najstarszym i najlepszym przyjacielem. Jego rodzice są dla mnie jak rodzina, a jego mama załamała się i rozplakała, gdy zobaczyła, co ten skurwysyn i jego kolesie zrobili z tego apartamentu. Teraz wygląda już znacznie lepiej, ale...

Brooks podniósł teczkę i podał Rolandowi.

– Oto, co zostawili po sobie Justin Blake i jego popaprani kumple.

– Jezu! – wymamrotał Roland, uważnie oglądając zdjęcia.

– Sam widzisz. Nie wygląda to na lekkomyślność, głupotę czy dziecięcy wybryk. To nikczemność od początku do końca. Taki właśnie jest Justin Blake. – Brooks wyciągnął rękę i zabrał teczkę. – I gdy temu skurwysynowi udaje się wyjść za kaucją, przychodzi w środku nocy, naćpany i uzbrojony, pod dom kobiety, w której jestem zakochany. Był na tyle głupi, że zamierzył się na mnie nożem, którym przebił mi oponę. Zdenerwował moją kobietę i mnie wkurzył. Teraz może zrozumiesz, dlaczego tak zareagowała, gdy przyszedłeś myszkować wokół jej domu.

– No, może. Taak.

– Justin dokonał dewastacji w hotelu na kwotę powyżej stu tysięcy, przebił mi oponę, próbował mnie ugodzić i wystraszył moją damę. Poza tym miałem już z nim nieraz na pieńku, odkąd objąłem to stanowisko. On pójdzie do więzienia za to, co zrobił, Rolandzie. Dopilnowanie tego jest moją życiową misją. Zasłużył na to, i jeśli cokolwiek by mnie obchodził los tego debila, powiedziałbym, że wyjdzie mu to na dobre. On jest jakiś pokręcony, jest w nim coś, co obydwaj widzieliśmy u takich, którzy albo sami przedwcześnie giną, albo popełniają morderstwo.

– Chciałbym coś powiedzieć nieoficjalnie.

– W porządku. Tylko między nami.

– Nie podoba mi się praca dla Blake’a. To skurwysyn. Zgadzam się ze wszystkim, co powiedziałaś o jego synu. Przyjmę naganę w tej sprawie, przełknę ją, ale nienawidzę myśli, że oberwę za tych dwóch kutasów.

– Ani trochę cię za to nie obwiniam. A więc zawrzyjmy umowę, zanim dotrze tu twój prawnik. Wycofaj się, Rolandzie. Nie chodzi mi tylko o to, żebyś wyjechał z miasta. Oczywiście, gdy wrócisz tu kiedyś z żoną, chętnie cię powitamy. Chodzi mi o to, żebyś wycofał się z całej sprawy. Denerwujesz tylko moich przyjaciół, moją kobietę. I tracisz czas, ponieważ Justin Blake się z tego nie wyślizga. Nie obwiniam nikogo, że wykonuje zadanie, do którego został zatrudniony, oczywiście nie łamiąc prawa. Ale ta sprawa może niepotrzebnie cię obciążyć i jednocześnie uderzyć w twoją firmę. Może niezbyt mocno, biorąc pod uwagę okoliczności, ale mimo wszystko nie sądzę, by chcieli narazić się na złą prasę.

– Muszę złożyć raporty.

– Rób, jak uważasz. Nie znajdziesz niczego na mnie, na Abigail czy Conroyów, ponieważ nie ma nic do znalezienia. Ale jeśli nadal będziesz szperał, dowiem się o tym, i wtedy inaczej pogadamy. Na pewno już się zorientowałeś, że komputery to dla Abigail dziecinna igraszka.

– Wyczuwam w tym ukrytą groźbę.

– Niczego nie ukrywam. Podaję ci fakty, tak jak je widzę. Mogę ci odpuścić. Zachowasz czystą kartotekę, przedstawisz swoje raporty i wrócisz do domu do żony. Twój prawnik nie wysmażyłby lepszej ugody.

– Dlaczego to robisz?

– Z powodu, który przed chwilą ci podałem, i jeszcze jednego. Nie mam szczególnej ochoty cię zamykać, Rolandzie, to kolejny fakt. Gdybym odniósł wrażenie, że rajcuje cię praca dla takich ludzi jak Blake i że posuniesz



się dalej niż przekroczenie granicy czyjejś posiadłości albo włamanie do zamkniętego pokoju, żeby się rozejrzeć, już siedziałbyś w mamrze. A ja popracowałbym, żeby cię tam zatrzymać.

– Chciałbym zadzwonić do mojego szefa i przedstawić mu sytuację.

– Bardzo proszę. – Brooks wstał zza biurka.

– Poznałem twoją matkę.

Brooks znów przysiadł.

– Doprawdy?

– Przechadzałem się tu i tam... Chciałem się zorientować, tak jak powiedziałeś. Ten dom jest zachwycający.

– Mamy do niego sentyment. A teraz dzwoń – rzucił Brooks i wymaszerował z pokoju.

## 26

Abigail odłożyła inne prace na bok i całkowicie skupiła się na tworzeniu nowego wirusa. Podejmowała liczne próby przyklejenia go do robaka sieciowego, którego już skonstruowała, ale rezultaty jej nie satysfakcjonowały.

Mogła dokonać znacznych spustoszeń za pomocą robaka, ale podczas gdy on powoli wgryzał się w sieć Wołkówów, rozprzestrzeniający się razem z nim wirus mógłby ją kompletnie zniszczyć. Aby osiągnąć maksimum, musiała być bardzo szybka, bardzo sprawna i niczym nie wzbudzić podejrzeń.

Zawsze uważała tę pracę za rodzaj hobby, mając nadzieję, że pewnego dnia się przyda.

Teraz stała się jej misją.

Gdyby miała czas na skompletowanie większej ilości sprzętu albo

mogła sobie pozwolić na luksus zatrudnienia wykwalifikowanego pracownika, a nawet dwóch... Ale nie mogła, a więc wszelkie spekulacje były bezużyteczne. Musiała wszystko zrobić sama.

W każdym razie przez ten czas stworzyła własny język programowania, który skutecznie mógł pokrzyżować plany każdego, kto próbowałby włamać się do jej systemu. Gdyby nawet kogoś zatrudniła, musiałaby go najpierw nauczyć tego języka i całej techniki.

Szybciej i efektywniej było dalej pracować w pojedynkę.

Przeprowadziła następny test i obserwowała na ekranie kolejne fragmenty kodu. Nie, nie, nie – pomyślała. To nadal było niezręczne, mało płynne i trwało za długo.

Wyprostowała się, zwinęła włosy w węzeł na karku i zabezpieczyła go ołówkiem. Wpatrując się w ekran, popijała mrożoną zieloną herbatę, wpływającą na jasność myślenia.

Wyglądało na to, że nie pomaga ani herbata, ani dwie przerwy na jogę, do których się zmusiła, ani absolutna cisza.

Gdy zabręczał alarm i Bert przybrał czujną postawę, sprawdziła monitor. Zobaczyła cruisera Brooksa. Nie spodziewała się go tak wcześnie; zerknęła na zegarek.

Pracowała przez całe przedpołudnie oraz połowę popołudnia.

Sześć godzin bez zadowalających postępów, pomyślała.

Może ją to jednak przerastało.

Zaczęła wstawać, żeby otworzyć drzwi, a potem przypomniała sobie, że dała Brookswi klucze i kody bezpieczeństwa. Cóż, nie była to łatwa decyzja, ale miała swoje zalety – nie musiała przerywać pracy, żeby go wpuścić.

Ktoś jednak będzie się kręcił po domu, w jej przestrzeni. Czy uda jej się skoncentrować na czymś tak złożonym, tak delikatnym, jeśli nie będzie

sama?

Ta myśl niweczyła również fantazje o supernowoczesnym laboratorium komputerowym i zespole wysoko wykwalifikowanych informatyków. No ale to było jedynie fantazjowanie, a teraz...

– Hej! – Brooks wszedł i postawił torbę na blacie. – Jak leci?

– Nie tak dobrze, jak bym chciała. Muszę wypróbować inną sekwencję, zrobić kolejny test.

– Jak długo nad tym ślęczysz?

– Nieważne jak długo. Nie jest zrobione.

– Okej. Nie będę ci przeszkadzał, tylko zaniosę torbę. Przywiozłem trochę swoich rzeczy, ulokuję je na górze. Jeśli nie skończysz, gdy zejdem, znajdę sobie jakieś zajęcie.

– Mmm. – To była jej jedyna odpowiedź. Starła się nie dekoncentrować na dźwięk lodówki czy otwieranych i zamykanych szafek. Gdy powróciła cisza, wydała z siebie westchnienie ulgi i znów zatopiła się w pracy.

Zapomniała o jego obecności. Przez następne dwie godziny zatraciła się w kodach i sekwencjach. Gdy ból głowy i zmęczone oczy w końcu zmusiły ją do przerwania, wstała na medytację po dobroczynne fluidy.

Wtedy sobie o nim przypomniała.

Poszła na górę. Panowała tak absolutna cisza, pomyślała więc, że musiał się zdrzemnąć. Ale nie znalazła go w sypialni. Zaciekawiona otworzyła szafę.

Były tam jego rzeczy, wisiały obok jej ubrań. Koszule, spodnie. Garnitur.

Nigdy nie widziała go w garniturze. Przyglądając się pantoflom i butom, musnęła palcami rękaw marynarki.

Dzielili jedną szafę, pomyślała. W pewien sposób było to bardziej

intymne i znaczące niż dzielenie łóżka. Podeszła do komody i wysunęła szuflady. Miała zamiar uporządkować swoje rzeczy, żeby zrobić mu miejsce, ale w nawale pracy o tym zapomniała.

Zrobił to za nią. Będzie musiała to i owo przełożyć, ale to drobnostka.

Zamknęła szuflady, cofnęła się i przebiegła wzrokiem po sypialni. Czy powinna kupić drugą komodę?

Czy będzie im potrzebna?

Czy on zostanie?

Jakiś ruch za oknem przykuł jej uwagę. Podeszła bliżej i zobaczyła Brooksa okopującego motyką warzywnik. Okopał też jej kartofle, co chciała dzisiaj zrobić sama.

Koszulkę miał wilgotną, pot błyszczał na jego ramionach, a daszek czapki ocieniał mu twarz.

Och, jakże wzruszający widok. Przeszył ją niespodziewany, szokujący dreszcz. Jego ubrania wisiały obok jej ubrań, a ona stała przy oknie w sypialni i obserwowała, jak on pracuje w ogrodzie pod niebem w kolorze spranego dżinsu.

Odwróciła się na pięcie, objęła rękami za ramiona, a potem zbiegła na dół.

W kuchni znalazła w lodówce jedzenie, które przywiózł, i tuzin cytryn kupionych kilka dni temu.

Zrobiła świeżą lemoniadę i do dwóch szklanek wsypała pokruszony lód. Nalała lemoniadę do dzbanka i na tacy wyniosła wszystko na zewnątrz.

– Za gorąco na kopanie – zawołała. – Odwodnisz się.

– Prawie skończyłem.

Podeszła do niego ze szklankami, akurat gdy kończył ostatni rząd.

– Świeża lemoniada, dopiero co zrobiona.

Pot kroplami ściekał mu po skroniach, gdy jednym haustem opróżnił pół szklanki.

– Dzięki.

– Wykonałeś kawał roboty.

Oparty na motyce, bacznie przyglądał się ogrodowi.

– Mam nadzieję, że przy najbliższych zbiorach spróbuję tej masłowej fasoli. Bardzo ją lubię.

– Ten gatunek nazywa się lima.

– Jesteś na Południu, kochanie. – Wzruszył ramionami i dopił lemoniadę. – Nie pracowałem w ogródku od wyjazdu do Little Rock. Nie wiedziałem, jak bardzo mi tego brakuje.

– Ale dziś jest upał i duchota. – Dotknęła jego ręki, żeby na nią spojrzeć.

– Nie przyjąłem cię zbyt serdecznie.

– Od czasu do czasu praca daje nam się we znaki. Przynajmniej moja już taka jest i będzie.

– Moja obecna jest frustrująca. A już myślałam, że zbliżam się do końca.

– Nie mogę ci w tym pomóc. Niewiele rozumiem z tego, co robisz. Ale mogę popracować w ogrodzie, wrzucić na grill steki, które przywiozłem, żebyś miała więcej czasu. – Przechylił głowę i przyglądał jej się uważnie. – Ale powiedziałbym, że już czas na fajrant. A ja na pewno muszę wskoczyć pod prysznic.

– Jesteś bardzo spocony – przyznała i wzięła od niego motykę, żeby ją zanieść do małej komórki na narzędzia. – Mogę zerwać sałatę i coś do niej, będzie gotowa, gdy skończysz.

– Myślałem, że zrobimy to razem.

– Wykonałeś już mnóstwo pracy w ogrodzie.

– Nie chodzi o ogród. – Wziął ją za rękę i pociągnął w stronę domu. – Ale o prysznic.

– Naprawdę powinnam...

– Zamocz się ze mną. – Przystanął, żeby zdjąć brudne kalosze i prze poczone skarpetki. – Czy kiedykolwiek ci opowiadałem o takim miejscu do pływania, do którego często jeździliśmy?

– Nie.

– To niedaleko stąd, trochę wyżej na wzgórzach. Raczej zakole rzeki niż basen, ale doskonale się nadaje. – Wyjął jej z ręki szklankę i odstawił na blat. – Chłodna woda. Powiedziałbym, że ma kolor tytoniu, ale jest czysta. Russ, ja i inni jeździliśmy tam na rowerach podczas długich dni w wakacje, rozbieraliśmy się i wskakiwaliśmy do wody, żeby się ochłodzić. Tam po raz pierwszy w życiu pływałem nago z dziewczyną. My, miejscowi, nazywamy to miejsce Jeziorem Paproci, ponieważ mnóstwo ich tam rośnie. Zabiorę cię tam kiedyś.

– Naprawdę brzmi zachęcająco, ale teraz...

Gdy udało mu się zaciągnąć ją do sypialni, zaczął popychać ją w stronę łazienki.

– Musisz się rozebrać i zmoczyć. Pozwól, że ci w tym pomogę.

– Wyglądasz na bardzo zdeterminowanego – zauważyła, gdy ściągnął jej koszulkę przez głowę.

– Och, jestem. Jestem. – Rozpiął jej stanik.

– Chyba nie ma sensu się opierać.

– Na pewno. – Sięgnął za jej plecy, odkręcił prysznic i zaczął rozpinąć guzik od jej spodni.

– A więc powinnam współpracować.

– To byłoby rozsądne.

– Wolę postępować rozsądnie. – Zdjęła z niego koszulę i odrzuciła ją.

– Alleluja! – Ale zaczął ją powstrzymywać, gdy wyciągnęła do niego ramiona. – Pozwól, że najpierw trochę się umyję.

– Pot mi nie przeszkadza. Jest pierwotny, naturalny i... – Przycisnęła usta do jego szyi. – I słony.

– Zabijasz mnie, Abigail. To najszczerza prawda.

Chciała tego, chciała, żeby jej pragnął i pożądał, i dygotał tak jak ona. Rozkoszowała się jego piżmowym zapachem, świeżym potem po pracy fizycznej, gdy zdejmowali sobie nawzajem ubrania.

Woda chłodziła jej głowę i ciało.

– Jak dobrze – wymamrotała.

Jak dobrze było, gdy zawładnął jej ustami, gdy jego ręce zagarnęły jej ciało. Kiedy poczuła jego pożądanie, jego nagłą potrzebę.

Wyobrażała sobie, jak na zakolu rzeki, gdzie rośnie gąszcz zielonych paproci, zanurzają się w chłodnej wodzie koloru tytoniu, a refleksy księżycowej poświaty drżą między koronami drzew.

– Chcę pojechać nad twoje jezioro.

– Pojedziemy.

– W księżycową noc – szepnęła, odchylając głowę, gdy przesunął usta po jej szyi. – Nigdy nie byłam romantyczką, jestem dopiero przy tobie. To ty sprawiłeś, że pragnę światła księżyca, dzikich kwiatów i szeptów w ciemności.

– Dam ci to wszystko i jeszcze więcej. – Odgarnął do tyłu jej mokre włosy i ujął w dłonie twarz, aby ją unieść ku sobie. – Dużo więcej.

– Obietnice i sekrety, i te wszystkie sprawy, których nigdy nie rozumiałam. Chcę dzielić je z tobą. Tak bardzo cię kocham. Kocham cię. Już mam więcej, niż kiedykolwiek miałam.

– A będziesz miała jeszcze więcej. – Wśród szumu płynącej wody całował ją długo, powoli, namiętnie. Gdyby mógł, podarowałby jej księżyc i ocean dzikich kwiatów.

Obietnice. Mógł jej je złożyć. Obietnice, że będzie ją kochał, że pomoże jej odnaleźć spokój ducha i bezpieczną przystań.

Obiecać takie chwile jak ta, gdy mogli troszczyć się tylko o siebie, dawać sobie przyjemność. Zamknąć się przed światem ze wszystkimi jego kłopotami, presją i wymogami.

Umyli się nawzajem – kawałek po kawałku. Podniecając się, niespiesznie, jakby z ociąganiem delikatnymi pieszczotami gładkich, śliskich dłoni, dotykiem namydlonych ciał wśród narastającego zapachu miodu i migdałów, wśród rwących się oddechów i długich, głębokich westchnień.

A gdy ją mocno objął i wypełnił, było światło księżycy i dzikie kwiaty, były szepty i obietnice. I dużo, dużo więcej.

Było w tym wszystko, pomyślała, ulegając.

Uczucie zadowolenia towarzyszyło jej, gdy stała w kuchni, zastanawiając się nad jakimś interesującym przyrządzeniem kartofli. Brooks lubił kartofle, które pasowały do steku i sałaty. Nalewając wino do kieliszków, z lekkim poczuciem winy zerknęła na komputer.

– Powinam znów spróbować, teraz gdy już zrobiliśmy sobie przerwę.

– Daj mózgowi trochę odpocząć. Usiądźmy na chwilę. Mam dla ciebie dwie nowiny.

– Nowiny? Dlaczego od razu mi nie powiedziałaś?

– Byłaś zajęta, gdy przyszedłem do domu – przypomniał. – A potem moją uwagę odwrócił seks pod prysznicem.

Przysiadł na blacie i wziął drugą szklanekę lemoniady, którą mu nałała.

– Powiem ci po kolei. Odbyłem rozmowę z Rolandem Babbettem.



Kamery, które od ciebie pożyczyłem, zrobiły swoje, złapały go, gdy korzystając z wytrychów, włamywał się do apartamentu w hotelu.

– Aresztowałeś go?

– Poniekąd. Muszę przyznać, że polubiłem faceta, gdy już nieco wyprostowaliśmy sprawy.

Opowiedział jej wszystko ze szczegółami, podczas gdy ona cały czas zajmowała się obieraniem, a potem krojeniem na ćwiartki małych czerwonych kartofli.

– Powiedziałeś mu, że mnie wystraszył?

– Może odmalowałem twoją reakcję trochę niezgodnie z prawdą, ale mam nadzieję, że twoja duma to zniesie.

– Aha... kręciłeś, żeby poczuł dla mnie trochę współczucia i odpuścił zainteresowanie kamerami, bronią i tak dalej.

– Podoba mi się słówko „kręciłeś”. Brzmi szlachetniej niż „kłamałeś”.

– Uwierzyłeś mu, uwierzyłeś, że po prostu wyjedzie i nie będzie kontynuował śledztwa?

– Tak. On ma rodzinę i to mnie przekonuje, Abigail. Jego żona oczekuje trzeciego dziecka. Nie zamierza zachwiać podstawami swojej egzystencji ani też narażać się na zdenerwowanie i naciski związane z procesem. A jego firma będzie chciała uniknąć antyreklamy, jaką możemy jej zrobić, zwłaszcza że jeden z jej detektywów widział zdjęcia zniszczeń dokonanych w hotelu. A poza tym Blake i jego syn nie przypadli mu do gustu.

– Ale dla nich pracuje.

– Pośrednio tak. Ja też jako urzędnik publiczny pośrednio pracuję dla nich. Ale to nie oznacza, że ich lubię.

– Oczywiście masz rację.

– Zawarłem z nim układ, który zadowala obie strony. Może złożyć

swoje raporty, wypełnić kontrakt z klientem i skończyć sprawę.

– Jeśli z tej strony nie grozi już żadne niebezpieczeństwo, twój racjonalny wywód o konieczności natychmiastowego skontaktowania się z władzami i złożenia zeznań nie trzyma się kupy.

Sięgnął po jej rękę, żeby na chwilę przestała kroić i spojrzała mu w oczy.

– Ależ tak, zważywszy, że za jakiś czas coś takiego może się powtórzyć. Dopóki tego nie zakończysz, nigdy nie będziesz czuła się tu zakorzeniona, tak jak obydwójce byśmy tego chcieli.

– To prawda, ale może moglibyśmy to opóźnić, poświęcić więcej czasu na... – Głos uwiązł jej w gardle, gdy Brooks przypatrywał jej się bacznie, nic nie mówiąc. – Zwłoka jest zawsze unikiem, który bierze się ze strachu, nie z odwagi.

– Nigdy nie będę kwestionował twojej odwagi ani nie będę krytykował sposobu, w jaki dawałaś sobie radę.

– To wiele dla mnie znaczy. Chcę mieć to już za sobą, Brooks. Naprawdę. Podjęcie kroków zmierzających do końca przyprawia o strach, ale również wywołuje ulgę.

– A więc mam nadzieję, że z ulgą przyjmiesz wiadomość, że kapitan Anson jest w Chicago. Dziś wieczorem skontaktuje się z agentką Garrison.

– Dzwonił do ciebie?

– Późnym popołudniem na telefon na kartę.

– Jestem mu wdzięczna. – Zaczęła siekać czosnek, skupiając wzrok na dłoniach, na nożu, podczas gdy napięcie rosło w jej piersi. – Mam nadzieję, że ona mu uwierzy.

– Wybrałaś inteligentną, uzdolnioną i uczciwą kobietę.

– Tak, wybierałam bardzo starannie.

– Anson jest inteligentnym, zdolnym i uczciwym policjantem. Nie mogliśmy trafić lepiej.

– Obydwoje dokonaliśmy racjonalnych wyborów. Dobrze, że to się dzieje tak szybko. Zwłoka nie jest rozsądna, gdy już podjęliśmy decyzję. Najlepiej od razu ruszyć do przodu.

Nalała do miski oliwę i roztrzepała z łyżeczką musztardy. Po chwili zastanowienia dodała kroplę octu balsamicznego.

– Tylko moja część zadania nie jest gotowa.

– Dojdiesz do celu.

– Na razie nie jestem tego taka pewna.

– Ale ja jestem, więc niech ci się udzieli trochę mojej pewności. – Przyglądał się, jak dodaje kroplę sosu Worcester, a potem odrobinę włoskiego dressingu, którego używała głównie do marynat. Dorzuciła czosnek, pieprz i drobno posiekaną bazylię.

– Co robisz, Abigail?

– Zamierzam obtoczyć w tej zalewie kartofle i je upiec. Właśnie wymyślam tę kombinację – dodała, zaczynając mieszać sos. – To nauka, a dzięki niej stoję mocno na ziemi. Eksperymentowanie przynosi satysfakcję, gdy rezultaty są zadowalające. A jeśli nawet nie, sam proces eksperymentowania jest pouczający.

Nie mógł oderwać od niej oczu.

Mieszała, wahała, mrużyła oczy, dodawała kolejne składniki.

Śliczna jak obrazek, pomyślał, patrząc na jej nadal wilgotne włosy ściągnięte do tyłu w krótki, lśniący brązowy ogonek. Ubrała się w jasnoszarą koszulkę bez rękawów i dzinsy, które podwinęła powyżej kolan.

Jeden z pistoletów leżał w niewielkiej odległości od blatu przy tylnych drzwiach.

Na jej twarzy, w szeroko rozstawionych zielonych oczach malowała się powaga i skupienie, gdy wrzucała kartofle do dużej miski. Poląła je swoją eksperymentalną miksturą i sięgnęła po drewnianą łyżkę.

– Wyjdź za mnie, Abigail.

Upuściła łyżkę. Bert przydreptał i ostrożnie zaczął ją obwąchiwać.

– Tak mi się tylko wymknęło – usprawiedliwił się, gdy wpatrywała się w niego zaskoczona.

– Żartowałeś. – Podniosła łyżkę, włożyła do zlewu i wyjęła kolejną z pojemnika. – Teraz przecież gotuję i jesteśmy w kuchni.

– Nie żartuję. Wyobrażałem sobie, że scena oświadczyn wypadnie o wiele lepiej. Poświata księżycy, której pragniesz, kwiaty, może szampan. Myślałem o pikniku. Piknik w świetle księżycy w tym miejscu widokowym, które tak lubisz. Ale gdy tak tu siedziałem i patrzyłem na ciebie, po prostu samo mi się wyrwało.

Przeszedł naokoło blatu, wyjął jej z ręki łyżkę i odłożył, żeby móc ująć jej obie dłonie.

– A więc wyjdź za mnie, Abigail.

– Nie myślisz jasno. Nie możemy tego brać pod uwagę ani o tym rozmawiać teraz, gdy moja sytuacja pozostaje niepewna.

– Wiele jest w życiu niepewnych rzeczy. Lecz nie ta – dodał. – Przysięgam ci, że tę sprawę definitywnie zakończymy. Ale zawsze będzie coś. Uważam, że właśnie teraz, zanim wszystko się skończy i wyjaśni, jest doskonały moment, ponieważ przysięgniemy sobie w trudnych okolicznościach.

– A jeśli coś pójdzie źle...

– No to pójdzie źle. Ale to nie będzie dotyczyć naszego związku.

– Małżeństwo... – Wyswobodziła ręce i zaczęła obtaczać kartofle w

marynacie. – To cywilny kontrakt, co najmniej w połowie przypadków zastąpiony później dokumentem rozwodowym. Ludzie przysięgają sobie na wieczność, podczas gdy w rzeczywistości'..

– Ja przysięgam ci na zawsze.

– Nie możesz tego naprawdę wiedzieć.

– Wierzę.

– Ale... dopiero się tu wprowadziłeś. Dopiero powiesiłeś ubrania w szafie.

– Zauważyłaś, prawda?

– Tak. Znamy się od niespełna trzech miesięcy. – Wyjęła naczynie żaroodporne i wsypała do niego obtoczone kartofle. – Musimy zmierzyć się z bardzo trudną sytuacją. Jeśli nadal będziesz obstawał przy swoim, chętnie przedyskutuję tę sprawę w bardziej stosownym czasie.

– Zwłoka jest unikiem.

Zamaszyście wsunęła naczynie do piekarnika, po czym odwróciła się do Brooksa.

– Uważasz, że to sprytne odpowiadać moimi słowami.

– Uważam, że to stosowne określenie.

– Dlaczego wyprowadzasz mnie z równowagi? Nie lubię takiego stanu.

Dlaczego sam przy tym się nie denerwujesz?

– Ani myślę się denerwować. – Wzruszył ramionami i znów sięgnął po szklankę z lemoniadą. – I teraz nie jestem zdenerwowany. Jestem raczej zainteresowany, dlaczego wijesz się jak piskorz, słysząc, że cię Kocham i chcę się z tobą ożenić.

– Wcale się nie wiję. Bardzo wyraźnie przedstawiłam ci swoją opinię w kwestii małżeństwa i...

– Nie, bardzo wyraźnie przedstawiłaś mi opinię swojej matki.

Wzięła ścierkę i z namaszczeniem wytarła ręce.

– To chwyt poniżej pasa.

– Nie powiedziałem tego, żeby ci dokuczyć. Zasłaniasz się chłodną logiką i statystyką. Tak jak twoja matka.

– Mam naukowy umysł.

– To prawda. Ale jesteś również troskliwą, czułą kobietą. Kobieta, która pragnie poświęcić księżycy i polnych kwiatów. Powiedz mi, co ta część ciebie pragnie, co czuje, a nie to, co twoja matka nie wiadomo jak długo wbijała ci do głowy.

– Jak to może być dla ciebie takie proste?

– Ponieważ ty jesteś tą jedyną. Ponieważ nigdy do nikogo nie czułem tego, co czuję do ciebie. Chcę spędzić z tobą życie, Abigail. Chcę stworzyć z tobą dom, rodzinę. Chcę mieć z tobą dzieci i je wychować. A jeśli ty tego naprawdę nie chcesz, będę robił wszystko, co w mojej mocy, i mam nadzieję, że zmienisz zdanie. Powiedz mi tylko, że tego nie chcesz.

– Chcę tego! Ale ja...

– Ale?

– Nie wiem! Jak można rozsądnie myśleć, gdy się pęka od nadmiaru uczuć?

– Ty to potrafisz. Masz wielki mózg tak samo jak wielkie serce. Wyjdź za mnie, Abigail.

Oczywiście miał rację. Potrafiła myśleć. Wiedziała, jak wyglądało jej życie bez niego, i jakie będzie, jeśli powodowana chłodną logiką odrzuci jego uczucia.

– Nie mogłabym podpisać aktu ślubu swoim prawdziwym nazwiskiem.

Uniósł brwi.

– No tak, w takim razie zapomnij o tym.

Roześmiała się.

– Nie chcę o tym zapomnieć. Chcę powiedzieć „tak”.

– A więc powiedz „tak”.

– Tak. – Zamknęła oczy, czując zawrót głowy z radości. – Tak. – I objęła go.

– Tak jest dobrze – wymamrotał, przykładając usta do jej wilgotnego policzka. – Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. – Pocałował ją w usta i drugi policzek. – Moja matka mówi, że kobiety płaczą, gdy są szczęśliwe, ponieważ są tak przepełnione tym uczuciem, że chcą je z siebie wylać, żeby się nim podzielić. Łzy rozsiewają szczęście.

– To brzmi przekonująco. Mam nadzieję, że kartofle okażą się smaczne.

Śmiejąc się, przyłożył czoło do jej czoła.

– Myślisz o kartoflach? Teraz?

– Ponieważ poprosiłeś mnie, żebym za ciebie wyszła, kiedy tworzyłam przepis. Jeśli się uda, będzie miał dla nas specjalne znaczenie. Opowiemy tę historię naszym dzieciom.

– Jeśli okażą się do chrzanu, też możemy opowiedzieć im tę historię.

– Ale nie zjemy ich ze smakiem.

– Jezu, naprawdę cię kocham. – Ścisnął ją, aż z trudem łapała powietrze.

– Nigdy nie wierzyłam, że będę tego doświadczać, choćby w najmniejszym stopniu, a teraz mam tak wiele. Będziemy razem iść przez życie, stworzymy rodzinę. Jesteśmy parą. – Zbliżyła się i wzięła go za rękę. – A nawet więcej. Zamierzamy połączyć nasze życia. To zadziwiające, co się z ludźmi dzieje. A przecież pozostają odrębnymi osobami, ze swoim dziedzictwem genetycznym ciągle funkcjonują jako samodzielne jednostki.

Twoje, moje, ale przede wszystkim – nasze.

– To dobre słowo: „nasze”. Trzeba jak najczęściej go używać.

– Powinnam wyjść i zerwać naszą sałatę, żebyśmy mogli zjeść nasz obiad.

– „My” to kolejne dobre słowo. Razem wyjdziemy do ogródka.

– To bardziej mi się podoba. – Skierowała się ku drzwiom, a potem przystanąła, zbierając myśli. – Połączeni w parę...

– Jeśli chcesz, żebyśmy znów się połączyli, lepiej wyłącz kartofle.

– Nie stanowimy dla siebie ciężaru, nie jesteśmy do siebie przyklejeni ani przywiązani. Jedyne zintegrowani. Połączeni. Oddzielne jednostki, indywidualne kody genetyczne, ale stopione w jedność!

– Chyba już nie mówisz o nas.

– To jest to! Zmasowany atak różnymi złośliwymi narzędziami, tak. Próbowałam tego, ale potrzeba czegoś więcej, czegoś innego niż stworzenie kombinacji. To musi być zintegrowane, dopasowane. Dlaczego wcześniej na to nie wpadłam? Potrafię to zrobić. Wierzę, że potrafię. Muszę coś jeszcze przetestować...

– No to ruszaj. Ja zajmę się obiadem. Nie wiem tylko, kiedy wyjąć kartofle.

– Och. – Spojrzała na zegarek, obliczając. – Za kwadrans odwróć je na drugą stronę. Zostaw jeszcze na trzydzieści minut, powinny być gotowe.

W ciągu godziny ponownie dokonała obliczeń, napisała od początku kody i na nowo stworzyła algorytm. Przeprowadziła wstępny test, wynotowała miejsca, które wymagały poprawy i usprawnienia.

Gdy oderwała się od pracy, nie miała pojęcia, gdzie się podział Bert i Brooks, zauważyła jedynie, że Brooks zostawił piekarnik włączony na minimum.



Znalazła ich obydwu na tylnym ganku. Brooksa z książką, a Berta z kością.

– Przeze mnie czekałeś na obiad.

– Wystarczy wrzucić na ogień steki. Jak poszło?

– Jeszcze daleko do doskonałości i trzeba ciągle nad tym pracować.

Nawet gdy to wykończę, muszę jeszcze wprowadzić Romulanów.

– Co takiego zrobić?

– Och, to termin, którego używam w moim języku programowania.

Romulanie to fikcyjna rasa obcych. Ze *Star Trek*. Lubię ten serial.

– Każdy maniak komputerowy pasjonujący się grami go lubi.

Czułość, z jaką wypowiadał słowo „maniak”, zawsze skłaniała ją do uśmiechu.

– Nie wiem, czy to prawda, ale ja w każdym razie lubię te filmy.

Romulanie mieli urządzenie maskujące, dzięki któremu ich gwiazdny statek był niewidzialny.

– A więc musisz się postarać, żeby twój wirus był niewidzialny.

Zromulanizować go.

– Właśnie. Zamaskować go jako coś życzliwego, jak konia trojańskiego na przykład. Jest taka możliwość, ale lepiej go ukryć. I to jest właściwy sposób. To zadziała!

– Mamy więc co świętować.

Był zachód słońca i kolacja, którą Abigail traktowała jak zaręczynową.

Gdy wszedł księżyc, w kieszeni Brooksa zadzwonił telefon.

– To kapitan.

Abigail położyła ręce na kolanach, splótła palce i mocno je zacisnęła. Zmusiła się, aby powoli oddychać, słuchając rozmowy Brooksa i odtwarzając w myślach słowa Ansona.

- Skontaktował się – powiedziała, gdy Brooks zakończył rozmowę.
- Tak. Ona była sceptyczna, podejrzliwa. Gdyby było inaczej, miałbym o niej gorsze zdanie. Sprawdziła jego referencje, zadała wiele pytań. W zasadzie go przesłuchała. Zna twoją sprawę. Podejrzewam, że zna ją każdy agent FBI i Marshals Service w Chicago. Nie daje głowy, czy mu uwierzyła, że nie zna miejsca twojego pobytu, jednak niewiele z tym może zrobić, ponieważ między wami nie ma związku ani się nie komunikujecie.
- Ale moja obecność będzie konieczna. Będą chcieli mnie przesłuchać, przeprowadzić wywiad z Elizabeth Fitch osobiście.
- Kontrolujesz to. – Patrząc jej prosto w oczy, położył rękę na jej zaciśniętych dłoniach. – Pojedziesz tam, gdy będziesz gotowa. Rozmawiali ponad dwie godziny i jutro też umówili się na spotkanie. Wtedy będziemy wiedzieć więcej.
- Do tej pory ona już skontaktowała się ze zwierzchnikiem.
- Dziesięć minut po rozstaniu z Ansonem wyszła i wsiadła do samochodu. Anson znów nie może przysiąc, czy zorientowała się, że ma ogon, ale jechał za nią do domu jej dyrektora. Anson powiadomił nas dokładnie, gdy weszła do środka. On teraz jest w drodze. Doszedł do wniosku, że obserwowanie domu będzie niezręczne.
- Teraz wiedzą, że żyję. Wiedzą, że „twoj drug” to ja.
- Z ich punktu widzenia te dwie sprawy działają na twoją korzyść.
- To logiczne. – Oddychała głęboko. – Nie ma już odwrotu.
- Dla nikogo z nas.
- Chcę popracować jeszcze przynajmniej godzinę lub dwie.
- Okej, ale nie przemęczaj się. Jutro idziemy na grilla.
- Och, ale...
- Zobaczysz, to będzie łatwe i przyjemne. Taka rozrywka przyda się

nam obojgu. Dwie godziny z dala od tego bałaganu. – Pogłaskał ją po włosach. – Będzie dobrze, Abigail. Zaufaj mi.

I mamy dla nich wiadomość. Jesteśmy zaręczeni.

– Och, Boże.

Śmiejąc się, pociągnął ją za włosy, które przed chwilą głaskał.

– Spodziewam się, że moja rodzina będzie z radości wywijać koziołki.

Muszę ci kupić pierścionek – dodał.

– Może powinieneś wstrzymać się z tą wiadomością? Jeśli coś pójdzie źle...

– Dopilnujemy, żeby tak się nie stało. – Przelotnie ją pocałował. – Nie pracuj do późna.

Praca, pomyślała, gdy zostawił ją samą. Przynajmniej na tym polu wiedziała, co robi, z kim walczy... Nie ma odwrotu, przypomniała sobie, siadając przed komputerem. Dla nikogo z nich.

Mając przed sobą perspektywę walki z rosyjską mafią i przyjęcie w ogrodzie, nadal czuła się bardziej pewnie w tej pierwszej sytuacji.

## 27

Z głębokiego snu obudził ją w ciemnościach nagły huk.

Zdała sobie sprawę, że to nie strzały, ale grzmot. Nie eksplozja, lecz piorun. To tylko burza, pomyślała. Tylko wiatr i deszcz.

– Zły sen? – wymamrotał Brooks i w ciemności sięgnął po jej rękę.

– Burza mnie obudziła. – Ale niespokojna i wybita ze snu, wyślizgnęła się z łóżka i podeszła do okna. Otworzyła je szeroko i pozwoliła, aby powiew chłodnego powietrza omiatał jej skórę i włosy. – Coś mi się przyśniło. – Przyglądała się, jak wiatr kołysze i tarnosi drzewami, gdy niebo rozjaśnił

następny zygzak błyskawicy. – Pytałeś kiedyś, czy miewam koszmary albo retrospekcje. Właściwie ci nie odpowiedziałam. Rzadko, nie tak często jak kiedyś, i sny to raczej powtórki, a nie koszmary.

– Czy to nie to samo?

– W zasadzie tak.

Stała przy oknie, wystawiona na porywy chłodnego wiatru, pod niebem przypominającym czarne jajo poprzecinane smugami błyskawic.

Wiedziała, że Brooks czeka na jej dalsze słowa. Miał w sobie pokłady cierpliwości, ale w przeciwieństwie do jej matki brała się ona z dobroci.

– Jestem w swojej sypialni w bezpiecznym domu. To moje urodziny. Przepelnia mnie szczęście. Właśnie założyłam kolczyki i sweterek, które dostałam w prezencie od Johna i Terry. We śnie myślę, tak jak wtedy, że są takie ładne. I że nastrajają mnie pozytywnie, dodają siły, więc włożę je w dniu procesu. Potem słyszę strzały.

Zostawiła szeroko otwarte okno i odwróciła się, by spojrzeć na Brooksa. Siedział na łóżku i obserwował ją.

Dobroć, pomyślała znów. Miała nadzieję, że nigdy nie potraktuje jego dobroci jako rzeczy oczywistej.

– We śnie wszystko dzieje się bardzo wolno, chociaż w rzeczywistości odbyło się błyskawicznie. Pamiętam każdy szczegół, każdy dźwięk i ruch. Gdybym miała zdolności, mogłabym narysować scenę po scenie i powtórzyć je jak w filmie animowanym.

– W tym wypadku nadzwyczajna pamięć musi być dla ciebie ciężarem.

– Chyba tak... – Nie zastanawiała się nad tym. – Była burza, tak jak dziś. Pioruny, błyskawice, wiatr, deszcz. Pierwszy strzał mnie przestraszył. Puls mi przyspieszył, ale nie uwierzyłam, że to strzał. Potem nastąpiły kolejne i już nie mogłam się mylić. Byłam przerażona, niepewna, wybiegłam z

pokoju, żeby znaleźć Johna. Ale w dzisiejszym śnie to nie John, słaniając się, wepchnął mnie z powrotem do sypialni. To nie John umierał, brocząc krwią, która przesiąkała przez jego koszulę, gdy uciskałam ranę. To nie był John. To byłeś ty.

– Nietrudno się tego domyślić. – W świetle błyskawicy zobaczyła, że utkwione w niej oczy są poważne i spokojne. – Nietrudno znaleźć przyczynę.

– Tak, to prawda. Stres, emocje, moje ciągłe odgrywanie w myślach tych wydarzeń. To, co czułam do Johna i Terry, ale szczególnie do Johna, było swego rodzaju miłością. Teraz, gdy lepiej rozumiem to uczucie, wiem, że byłam w nim zakochana. Niewinnie, bez seksualnego podtekstu, ale w pewnym sensie było to głębokie uczucie. Przysiągł, że będzie mnie chronił, i zaufałam mu. Miał odznakę, broń, był na służbie, tak jak ty.

Podeszła do łóżka, ale nie usiadła.

– Ludzie mówią do kogoś, kogo kochają: oddałbym za ciebie życie. Oczywiście, nie planują, nie zakładają takiej sytuacji. Może w to wierzą albo rzeczywiście tak uważają, a może po prostu jest to świadectwo oddania. Dopiero teraz wiem, co to znaczy, rozumiem tę bezgraniczną głębię uczucia. Wiem, że umarłbyś dla mnie. Naraziłbyś swoje życie, żeby mnie chronić. I to właśnie mnie przeraża.

Patrząc jej prosto w oczy, wziął ją za rękę.

– On nie dostał żadnego ostrzeżenia. Nie znał przeciwnika. My go znamy. Nie wpadniemy w zasadzkę, Abigail. Sami ją zastawimy.

– Tak. – Dość, pomyślała. Dość. – Chcę, żebyś wiedział, że jeśli zostaniesz ranny podczas tej zasadzki, będę bardzo zawiedziona.

Zaskoczony wybuchnął śmiechem.

– A jeśli będzie to tylko powierzchowna rana? – Złapał jej dłoń i pociągnął na łóżko.

– Bardzo zawiedziona. – Odwróciła się do niego i przytknęła oczy. – I nie będę ci współczuć.

– Twarda i bezkompromisowa z ciebie dziewczyna. Postaram się uniknąć powierzchownych ran.

– Tak będzie najlepiej.

Odprężyla się przy nim, wsłuchując się w odgłosy nawałnicy przetaczającej się na zachód.

Rano, gdy niebo było czyste i niebieskie, a temperatura rosła, pracowała przez kolejną godzinę.

– Musisz trochę odpocząć – poradził jej Brooks.

– Tak. Jeszcze tylko drobne poprawki. Jest już prawie dobrze, ale jeszcze nie doskonale. Nie chcę ruszyć dalej, dopóki nie rozważę kilku opcji. Sprawdzam coś jeszcze. Coś innego.

– Rozmawiałem z Ansonem. Za półtorej godziny spotyka się z agentką Garrison i dyrektorem Cabotem.

– Oceniam, że będę potrzebowała jeszcze jednego dnia na dokończenie programu. – Na moment zerknęła do tyłu. – Nie mogę ujawnić władzom tego, co zamierzam zrobić. To nielegalne.

– Rozumiem. Ale dlaczego nie ujawnisz mnie?

– Wolalabym poczekać, aż skończę i nabiorę pewności, że to zadziałała. – Chciała powiedzieć coś więcej, ale pokręciła głową. – To może poczekać. Zastanawiam się, jaki strój będzie odpowiedni na dzisiejsze popołudnie albo... – Urwała i przerażona gwałtownie okręciła się na krześle. – Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Czego? – Na widok jej nagłego i niespodziewanego strapienia gwałtownie poruszył ręką, rozsypując płatki, które właśnie nakładał do miseczki. – Czego ci nie powiedziałem?

– Powinam zanieść twojej matce jakieś danie. Dobrze wiesz, że nie znam zasad. Powinieneś mi powiedzieć.

– Nie ma żadnych zasad. To zwykle...

– Tu jest tak napisane. – Wycelowała palcem w ekran. – Goście zwykle przynoszą jakieś danie, jakąś własną specjalność.

– Gdzie to jest napisane?

– Na tej stronie. Sprawdzam zasady etykiety obowiązujące na przyjęciach.

– Jezu Chryste! – Rozdarty pomiędzy rozbawieniem a zdziwieniem, zalał płatki mlekiem. – To zwyczajne spotkanie towarzyskie, bez żadnej formalnej etykiety. Zaniesiemy piwo. Weźmiemy też butelkę wina.

– Muszę coś przyrządzić, i to zaraz. – Pomknęła do kuchni i zaczęła przeszukiwać lodówkę i szafki.

Obserwował ją, jedząc płatki.

– Abigail, uspokój się. Nie musisz nic robić. Tam będzie mnóstwo jedzenia.

– Nie o to chodzi! Orzo. Mam wszystko, czego potrzeba, żeby zrobić orzo.

– Okej, ale po co?

– Przynoszenie jedzenia własnego wyrobu jest uprzejmym gestem i wyrazem uznania dla gospodarzy. Gdybym nie sprawdziła, nie miałabym o tym pojęcia, ponieważ ty mi nie powiedziałeś. – Postawiła na kuchence garnek z wodą i dodała sól.

– Zasłużyłem na karę chłosty.

– Uważasz, że to zabawne. – Wyjęła suszone pomidory, oliwę, czarne oliwki. – Być może nie potrafię jeszcze poruszać się w takich sprawach, ale doskonale rozumiem, jak ważna będzie opinia o mnie twojej rodziny.

– Moja matka i siostry już cię lubią.

– Niewykluczone, że się ku temu skłaniają, dopóki nie pokażę się na przyjęciu z pustymi rękami. Przynieś mi główkę sałaty radicchio.

– Z ochotą, ale nie wiem, jak ona wygląda.

Rzuciła mu piorunujące spojrzenie, po czym sama wybiegła do ogródka.

Przynajmniej na chwilę oderwała myśli od skomplikowanych wirusów komputerowych i zbliżającego się spotkania z federalnymi, pomyślał Brooks. A ponieważ wpadła w amok, uznał, że mądrzej zrobi, schodząc jej z oczu na jakiś czas. Gdy zjawiała się z powrotem, mimochodem zanotował w myślach, że radicchio to purpurowa liściasta główka.

– Muszę na dwie godziny pojechać na posterunek – oznajmił.

– W porządku, jedź.

– Potrzebujesz czegoś? Mogę coś kupić w drodze powrotnej.

– Mam wszystko.

– No to do zobaczenia później. – Wychodząc, Brooks mrugnął do Berta, jakby chciał powiedzieć: „Trzymaj się, stary”.

Ledwie przekroczył próg, zadzwonił telefon.

– Gleason.

– Hej, szefie. Mała sprzeczka przed kościołem Baptistów przy Hillside – zakomunikował Ash.

– Nie zajmuję się sprzeczkami w swój wolny dzień.

– Ale to Blake kłóci się z Conroyami, pomyślałem więc, że może chciałbyś wiedzieć.

– Niech to szlag! Już jadę. – Wskoczył do samochodu i cofał się z telefonem przy uchu. – Bardzo gorąco?

– Głośne oskarżenia i publiczne wyzwiska z dużym prawdo-



podobieństwem eskalacji. Też tam zmierzam.

– Jeśli dotrzesz przede mną, postaraj się do tego nie dopuścić.

Jasny gwint! Włączył syrenę i mocno wcisnął gaz, wjeżdżając na główną drogę.

Niedługo potem zatrzymał się prawie równocześnie z Ashem, który nadjechał z przeciwnego kierunku.

– Zgoliłeś swoją... – Właściwie trudno to było nazwać brodą. – Włosy na twarzy.

– Owszem, zrobiło się za gorąco.

– Aha.

Według oceny Brooksa sprzeczka przerodziła się już w awanturę, a awanturę od bijatyki dzieliło zaledwie szturchnięcie palcem. Postanowił zażartować z meszku, którego Ash pozbył się z twarzy, żeby nieco rozładować sytuację.

Lincoln Blake i Mick Conroy stali na świeżo skoszonym zielonym zboczu przed ceglany kościołem, a otaczał ich tłumek ludzi w odświętnych ubraniach, którzy zdążyli już podzielić się na przeciwników i zwolenników każdej ze stron.

Nawet twarz wielebnego Goode'a, nadal trzymającego w ręku Biblię, przybrała kolor purpury, który kontrastował z jego białymi jak śnieg włosami.

– Uspokójcie się! – krzyknął Brooks.

Niektóre głosy ucichły; kilku zaciętrzewionych gapiów cofnęło się nieznacznie, by zrobić Brooksowi przejście.

Blake był w towarzystwie swojego asystenta o kamiennej twarzy, który – nie ulegało wątpliwości – miał przy sobie broń. W Arkansas od niepamiętnych czasów prawo zabraniało noszenia broni do kościoła, ale było wielce prawdopodobne, że nawet połowa ze zgromadzonych na zielonym

zboczu oprócz krawata i wypastowanych butów miała broń.

A gdy broń pod ręką, pomyślał Brooks, mała awantura łatwo przeradza się w bijatykę, a ta w mgnieniu oka w krwawą łaźnię.

– Stoicie przed kościołem – zaczął z dezaprobatą z lekką nutą zawodu.

– Zapewne większość z was uczestniczyła w porannej mszy. Usłyszałem tu uwagi, które nie pasują do tego miejsca i czasu. Proszę więc wszystkich o zachowywanie się z godnością.

– To Lincoln zaczął! – Jill Harris skrzyżowała ramiona. – Ledwie Mick wyszedł za drzwi, Lincoln go zaatakował.

– Człowiek ma prawo wypowiedzieć swoje zdanie – odparowała starszej kobiecie Mojean Parsins, matka Doyle'a. – A ty nie powinnaś wtykać nosa w nie swoje sprawy.

– I bym tego nie robiła, gdybyś nie wychowała syna na chuligana.

– Moje panie! – Ze świadomością, że ryzykuje życiem, bo kobiety były w stanie kopać i gryźć, a podobnie jak mężczyźni, mogły również mieć przy sobie broń – Brooks wszedł pomiędzy nie. – Najlepiej rozejdźcie się do domów.

– Wciągnęliście naszego chłopaka w zasadzkę, ty i ta cała Lowery. Lincoln dokładnie mi opowiedział, co zrobiliście. A Conroyowie próbują zrobić z igły widły.

Hilly Conroy odepchnęła na bok swego męża. Brooks zauważył, że teraz naprawdę jest wściekła.

– Mojean Parsins, wiesz, że to kłamstwo. Znam cię od urodzenia i po twojej twarzy poznaję, że dobrze o tym wiesz.

– Nie mów mi, że kłamię! Twój syn doprowadził ten hotel do ruiny, a teraz ty próbujesz zmusić mojego, żeby za to zapłacił.

– Nie porównuj swojego syna z moim, Mojean. Pożałujesz, jeśli nadal

będziesz rozpowszechniać te kłamstwa!

– Idź do diabła!

– Wystarczy! – Podszedł do nich mąż Mojean, Clint. – Wystarczy, Mojean. Wracamy do domu.

– Powinieneś bronić swojego syna!

– A to dlaczego? To ty wspierałaś go przez całe życie. Przepraszam, Hilly, Mick, przepraszam za swój udział w tym żalnym wychowaniu Doyle'a. Mojean, idę do samochodu i jadę do domu. Możesz jechać ze mną lub zostać, to już twoja sprawa. Ale jeśli zostaniesz, nie będzie mnie w domu, gdy wrócisz.

– Nie mów tak do mnie...

Ale mężczyzna zrobił w tył zwrot i odszedł.

– Clint! – Rozejrzała się wokół i w końcu pobiegła za nim.

– Jestem wykończona – skomentowała Jill. – Idę do domu.

– Może panią odwieziemy, pani Harris? – Mick podszedł i wziął ją pod ramię. – Przepraszam za to zamieszanie, Brooks.

– Wystarczy, że podrzucisz panią Harris do domu.

– To jeszcze nie koniec, Conroy.

Mick posłał Blake'owi lodowate spojrzenie, nie kryjąc lekkiego znużenia.

– Po raz ostatni ci powtarzam: nie chcę mieć z tobą do czynienia. Trzymaj się z dala ode mnie, mojej rodziny i mojej własności!

– Jeśli myślisz, że ci się uda wycisnąć ze mnie więcej pieniędzy, to się grubo mylisz. Złożyłem ci przyzwoitą ofertę.

– Wracaj do domu – rzekł Brooks do Micka, a potem odwrócił się do Blake'a.

Nie trudził się okazywaniem mu dezaprobaty czy zawodu. Blake budził

w nim czystą odrazę i Brooks dał to po sobie poznać.

– Chciałbym porozmawiać z państwem Conroyami.

– Żeby przygotowali swoje historyjki.

– Porozmawiam również z wielebnym i z panią Goode. Czy insynuujesz, że twój pastor i jego żona są również kłamcami? To fakt, że ja i moi współpracownicy będziemy rozmawiać ze wszystkimi, którzy byli świadkami albo wzięli udział w dzisiejszym zamieszaniu. A jeśli dowiem się o jakichkolwiek próbach nękania z twojej strony, doradzę Conroyom złożenie wniosku o sądowy zakaz zbliżania się dla ciebie lub kogokolwiek innego, kto ich prześladował. Nie przypadnie ci to do gustu. A jeszcze mniej ci się spodoba, gdy zostanie wydany, a ty go naruszysz.

– Nie uda ci się mnie zastraszyć!

– Nikt nie jest takim specjalistą od zastraszania jak ty, dobrze więc wiesz, że tego nie robię. Tylko przedstawiam ci w zarysach sytuację. Może zechcesz omówić ją ze swoimi prawnikami, zanim zrobisz coś, czego będziesz żałował. A na razie radzę ci, żebyś odjechał. Twoja żona wygląda na zdenerwowaną i zażenowaną.

– Nie zajmuj się moją żoną.

– W porządku. Ale kolejną awanturą, którą wywołasz, zajmę się na pewno.

– Lincoln. – Wielebny Goode, którego twarz odzyskała już normalny kolor, odezwał się spokojnym głosem. – Rozumiem, że jesteś zdenerwowany. Jeśli zechcesz zrzucić z siebie ciężar, zawsze jestem do dyspozycji. Ale teraz proszę cię, zabierz Genny do domu. Wygląda na chorą. Muszę cię też poprosić, żebyś nie przychodził do domu bożego w niechrześcijańskich zamiarach. Wracaj do siebie, Lincoln, i zajmij się żoną. Będę się modlił za ciebie i twoją rodzinę.

– Wypchaj się swoimi modlitwami! – Blake odmaszerował wielkimi krokami, pozostawiając asystenta, aby pomógł Genny zejść na dół do czekającego samochodu.

– Oj, przydadzą się żarliwe modlitwy, pastorze.

Goode westchnął.

– Zrobimy, co w naszej mocy.

Trzy razy się przebierała. Nigdy nie przejmowała się wyglądem, chyba że chciała podkreślić swoją nową tożsamość albo bardziej się wtopić w otoczenie. Z jej obserwacji wynikało, że wobec braku szczególnych ustaleń, strój powinien być niezobowiązujący. Czyli sukienka albo spódnica, których obecnie nie miała.

Poczuła potrzebę sprawienia sobie takiego stroju.

Jeśli im się uda, nie, kiedy im się uda, poprawiła się, stosując pozytywne myślenie Brooksa, przyda jej się elegantsza i bardziej urozmaicona garderoba.

Na razie została przy granatowych rybaczkach, czerwonej bluzce i sandałkach, kupionych w chwili słabości i rzadko noszonych. Poświęciła trochę czasu na makijaż, który również nieczęsto robiła, odkąd przeobraziła się w Abigail, ponieważ nie chciała rzucać się w oczy. Ale trzeba przyznać, że do malowania się miała talent.

Wykorzysta go, jeśli... kiedy przemieni się znów w Elizabeth, żeby współpracować z władzami i złożyć zeznania przeciwko Wołkowom.

Widząc na monitorze, że Brooks wraca do domu, założyła kolczyki od Johna, które nosiła wtedy, gdy brakowało jej pewności siebie.

Na dole zastała go w kuchni, gdzie z rozzłoszczoną miną wpatrywał się w puszkę coli.

– Coś się stało?

– Bez związku. – Otworzył puszkę i wypił colę jednym haustem. – Przed kościołem Baptistów przy Hillside miała miejsce kłótnia, która mogła się źle skończyć.

– Zorganizowane formy religii mają duży udział w podsycaniu przemocy.

Potał czoło zimną puszką.

– Nie chodziło o religię. Blake dokucza Conroyom i dziś rano zrobił to przed kościołem. Publicznie robi z siebie idiotę, czyli przestał się kontrolować. Ani myśli odpuścić. A ja chcę porozmawiać z Conroyami o powzięciu legalnych kroków, żeby...

Wreszcie spojrzął na nią.

– Naprawdę dobrze wyglądasz.

– Umalowałam się. Pomyślałam, że tak należy.

– Naprawdę dobrze. – Gdy się uśmiechnął, złość i stres malujące się w jego oczach zniknęły.

– Jak ty to robisz? Tak szybko potrafisz się wyluzować.

– Zabieram piękną kobietę na przyjęcie, a to zdecydowanie poprawia mi humor. Gdzie ta potrawa, którą przyrządziłaś?

Wyjęła swoje danie z lodówki oraz sześciopak piwa.

– Jeśli uważasz, że teraz powinieneś zająć się tym problemem, jestem pewna, że twoja rodzina to zrozumie.

– Tak łatwo się nie wymigasz. Ale kolory – zauważył, biorąc salaterkę. – Gotowa?

– Chyba tak. – Wzięła Berta na smycz. – Mógłbyś opowiedzieć coś o ludziach, którzy tam będą. To by mi pomogło w prowadzeniu rozmów.

– Uwierz mi, rozmowy nie będą problemem. – Wychodząc, chwycił piwo. – Gdy ogłosimy, że zamierzamy się pobrać, wszystkie kobiety zechcą

poznać nasze ślubne plany.

– Nie mamy żadnych planów.

– Zareczam ci, kochanie, że będziesz je miała, nim dzień dobiegnie końca.

Rozmyślała o tym, jadąc z salaterką na kolanach, podczas gdy pies obwąchiwał zakamarki w tyle cruisera.

– Mogą być niezadowoleni.

– A to dlaczego? Że ja i ty? – Rzucił jej przelotne spojrzenie. – Będą zachwyceni.

– Nie sędzę, żeby byli, gdyby znali całą sytuację.

– Chciałbym móc im powiedzieć prawdę, żeby ci udowodnić, jak bardzo się mylisz, ale lepiej tego nie róbmy.

– Wydajesz się taki spokojny. Nauczyłam się trzymać nerwy na wodzy w obliczu zawirowań losu, ale teraz to co innego. Trudno mi zachować spokój, czekając na telefon od kapitana An – sona i zastanawiając się, co powiedzą lub zrobią władze. Gdy pomyślę o zeznaniach i o tym, że jestem o krok od stworzenia programu...

– Cokolwiek się stanie, jesteśmy razem. Świadomość tego pomaga mi wziąć się w garść.

Ale Abigail to się nie udawało. Żołądek jej podskakiwał, serce łomotało i z każdym przejechanym kilometrem coraz trudniej jej było ukryć zdenerwowanie. Starła się przekonać samą siebie, że to tylko kolejna rola, pierwszy występ z nową tożsamością. Za każdym razem miała tremę, ale potrafiła ją ukryć i gładko wtopić się w otoczenie. Każdy, kto na nią spojrzał, widział tylko to, co chciała pokazać.

Przez dwanaście lat się udawało. Aż poznała Brooksa. On dostrzegł coś innego, coś więcej, ale teraz myślała o tym jak o błogosławieństwie. Gdyby

nie to, nie miałyby szansy na autentyczne życie.

A w autentycznym życiu zdarzają się przyjęcia w ogrodzie.

Gdy zaparkował, doszła do wniosku, że całkiem dobrze się trzyma.

– Odpreż się – powiedział.

– Wyglądam na spiętą?

– Nie wyglądasz, ale jesteś. Ja to wezmę, ty prowadź Berta.

Wsunął salaterkę pod ramię i chwycił sześciopak, a ona prowadziła spokojnie psa na smyczy. Poszli w stronę domu. W stronę muzyki i gwaru, w stronę zapachu pieczonego mięsa.

Znała tu tylko trzy kobiety – matkę Brooksa i jego dwie siostry, ale nikogo więcej, żadnej innej kobiety, mężczyzny czy dziecka. Na widok tylu obcych ludzi zaschło jej w gardle, a serce jeszcze przyspieszyło.

Zanim zorientowała się w sytuacji, Sunny odstawiła półmisek i pospieszyła im na spotkanie.

– Nareszcie!

– Musiałem coś załatwić – usprawiedliwił się Brooks.

– Słyszałam. – Nie dopuszczając Abigail do głosu, Sunny szybko i mocno ją uścisnęła, po czym swobodnie poklepała Brooksa. – Bardzo ładnie wyglądasz? A co to jest?

– Orzo – wykrztusiła Abigail. – Mam nadzieję, że będzie pasować do twojego menu.

– Skoro na menu składa się to i owo, doskonale pasuje. I pięknie się prezentuje. Brooks, postaw orzo na stole i zrób Abigail drinka. Blender z margaritą pracuje już pełną parą.

– Przyniosę ci – powiedział do Abigail. – Zaraz wrócę.

– Moja dziewczynka Mya – poznałaś Myę i Sybill – przyrządza znakomitą margaritę. Może spuścisz Berta ze smyczy, żeby pobawił się z



Platonem?

Abigail przykucnęła, podczas gdy psy obwąchiwały się i machały do siebie ogonami.

– *Ils sont amis. Amis, Bert. C'est tout.*

– Nie denerwują go biegające dzieci? – upewniła się Sunny.

– Nie. On jest bardzo delikatny i cierpliwy. Nie zaatakuję, chyba że wydam mu taką komendę. Albo gdy ktoś jego zaatakuję.

– Tutaj nikt mu nic nie zrobi. Chodź, poznasz Micka i Hilly Conroyów. To starzy przyjaciele, a to ich syn Russ, najlepszy przyjaciel Brooksa, jego żona Seline i ich córeczka CeeCee. Ostatnio mieli pewne kłopoty – dodała wyjaśniająco Sunny. – Mam nadzieję, że trochę poprawię im nastrój.

– To fatalna sprawa. Brooks jest bardzo przejęty.

– Jak my wszyscy. To jest Abigail – oznajmiła Sunny, gdy podeszły do grupki osób.

– Nareszcie. – Młodsza z kobiet miała gładką, oliwkową skórę, podkreślającą jasnozielony kolor jej oczu, którymi teraz oceniała Abigail. – Zaczynałam już podejrzewać, że Brooks cię wymyślił.

– Nie, nie wymyślił. – Sama to zrobiłam, pomyślała Abigail.

– To jest Seline i jej CeeCee, i nasz Russ. Rodzice Russa, nasi przyjaciele Mick i Hilly.

– Widziałam cię w mieście raz czy dwa – powiedziała Hilly. – Cieszę się, że wreszcie mogę cię poznać.

– Dziękuję. Przykro mi z powodu waszego hotelu. To piękny dom.

– Miło, że to mówisz. – Hilly, jakby szukając pocieszenia, oparła głowę na ramieniu męża. – Wyremontujemy ten apartament, i będzie jeszcze piękniejszy niż kiedykolwiek. Prawda, Mick?

– Mam taką nadzieję. Słyszałem, że synalek Blake'a także tobie zalazł

za skórę.

– Chciał Brooksowi przysporzyć kłopotów, ale mu się nie udało. Wygląda na złego i bardzo głupiego chłopaka ze skłonnościami do przemocy. Powinien ponieść konsekwencje.

– Wypijmy za to! – wtrąciła Mya, podchodząc z dwiema margaritami w rękę. – Tata porwał na chwilę Brooksa, a więc ja dostarczam ci drinka.

– Och, dziękuję. Wygląda tak... pieniście. – Spróbowała mały łyk, odkrywając pod pianką mocny, aksamitnie gładki smak tequili. – Świetny.

– Daje niezłego kopa, no nie? – Sunny objęła ramieniem Abigail. – Miałaś rację, jeśli chodzi o Berta.

Podążając za jej wzrokiem, Abigail zobaczyła Berta, który grzecznie siedział, podczas gdy szczeniak tańczył wokół niego, jakaś długonoga dziewczynka ścisnęła go za szyję, a chłopczyk o jasnoblond włosach głaskał go po karku.

– On jest bardzo dobrze wychowany – zapewniła ją Abigail. – Poza tym myślę, że cieszy go to zainteresowanie.

– Jest wielki jak koń – zauważyła Seline.

Abigail miała ochotę zaprotestować. Przeciętny koń był przecież znacznie większy. Ale szybko przypomniała sobie, że nie należy być zbyt dosłowną.

– Jego wielkość ma wystraszyć intruzów.

– I przeraża ich śmiertelnie – skomentował Russ. – Teraz, gdy oczekujemy drugiego dziecka, namawiam Seline na labradora.

– Pudła.

– Suczkę.

– My też jesteśmy dziewczynkami. – Pocałowała córkę w policzek. – Mamy przewagę liczebną.

– Ale ten dzidzius może wszystko wyrównać. – Russ stuknął palcem w jej brzuch. – Facet potrzebuje mieć psa, a nie jakąś francuską zabawkę.

– Pudle są bystre.

– To wysoce inteligentna rasa – przyznała Abigail. – Uważa się, że tylko border collie przewyższają je inteligencją. Pudle są bardzo czujne, a jeśli odpowiednio je wytresować, mogą być niezwykle uzdolnione i posłuszne.

– Słyszysz?

– Przyznaj, że labrador to jest prawdziwy pies – Russ błagalnym tonem zwrócił się do Abigail.

– Tak, oczywiście. To najpopularniejsza rasa w naszym kraju oraz w Wielkiej Brytanii. Doskonałe psy do towarzystwa. Lojalne, lubiące zabawę. Przyjazne w kontaktach z małymi dziećmi.

– Małe dzieci. – Złapał CeeCee i podrzucił ją góry; dziewczynka się zaśmiała. – Mamy jedno, następne w drodze.

– Pudle też dobrze sprawdzają się przy dzieciach.

Gdy Seline odwróciła się do Abigail, Sunny wybuchnęła śmiechem.

– No i zobacz, na co ci przyszło. Tych dwoje zrobi z ciebie sędziego w ich batalii. Ale ja cię ocaleję. Chodź, pokażę ci ogród. Jedzenie będzie gotowe za kilka minut.

– Może powinni zastanowić się nad labrapudlem – mruknęła Abigail, gdy Sunny pociągnęła ją za sobą.

To wcale nie okazało się trudne. Przez dwadzieścia minut spacerowały i dzieliły się uwagami o ogrodach, a potem Abigail rozmawiała z rodziną Brooksa i przyjaciółmi, jak również opowiadała podekscytowanym dzieciom o przymiotach Berta.

Zanim goście zebrali się wokół stołów piknikowych, czuła się już

całkiem swobodnie. A jeszcze bardziej się odprężyła, gdy towarzystwo skoncentrowało się na jedzeniu, odwracając uwagę od niej.

Przyjęcia w ogrodzie naprawdę mają swoje dobre strony, pomyślała. Luźna oprawa i towarzyska atmosfera, oraz urozmaicone jedzenie autorstwa wielu osób. Doszła do wniosku, że mają w sobie coś z rytuału, jakiś pierwotny plemienny charakter, gdy dorośli opiekują się i karmią własne i cudze dzieci, a obok biegają psy, którym – choć tego nie pochwaliała – rzuca się kawałki jedzenia.

I piła margaritę z pianką.

– Dobrze się bawisz? – spytał ją w pewnej chwili Brooks.

– Tak. Miałeś rację.

– Trzymaj tak dalej. – Pochylił się, żeby ją pocałować, a potem sięgnął po swoje piwo. – Myślę, że was to zainteresuje – zaczął, nie podnosząc specjalnie głosu ponad rozmowy krzyżujące się nad stołem. – Abigail i ja pobieramy się.

Rozmowy w jednej chwili umilkły.

– Co powiedziałaś? – spytała Mya.

– Ważne, co ona powiedziała. – Wziął Abigail za rękę. – A ona powiedziała „tak”.

– Och, mój Boże, Brooks! – Twarz Myi rozpromieniła się w uśmiechu. Chwyła dłoń męża, ścisnęła ją, a następnie wstała, obiegła stół dookoła i uścisnęła Brooksa od tyłu. – Och, mój Boże.

Potem zdawało się, że wszyscy mówią jednocześnie, do Brooksa, do niej, jeden do drugiego. Nie wiedziała, komu odpowiadać ani co powiedzieć. Serce znów zaczęło jej bić szybciej, gdy siedzący obok niej Brooks skrzyżował spojrzenie z matką.

– Mamo – powiedział.

Sunny skinęła głową, westchnęła głęboko, a potem wstała. On również wstał, a ona wyciągnęła ramiona i go objęła.

– Moje dziecko – wymamrotała, a potem zamknęła oczy. Gdy znów je otworzyła, spojrzała prosto na Abigail i przywołała ją ręką.

Abigail wstała niepewnie.

– Pani...

Sunny tylko pokręciła głową, chwyciła Abigail za rękę i pociągnęła ją w swoje objęcia.

– Będę płakać, ale tylko przez pół minuty – wyznała. – Mam do tego prawo. – A potem pójdę do domu i przyniosę tę butelkę szampana, która została po sylwestrze, żebyśmy mogli wznieść należyty toast.

Ścisła ich mocno, mocno, potem powoli rozluźniła uścisk, żeby pocałować Brooksa w oba policzki. Ku zdziwieniu Abigail Sunny również ujęła jej twarz w dłonie i pocałowała ją.

– Cieszę się z tego. Idę po szampana.

– Potrzebuje chwili samotności. – Loren wstał i podszedł do syna. – Jest szczęśliwa, ale potrzebuje tej chwili.

Objął syna, a potem Abigail.

– Witaj w naszej rodzinie! – Roześmiał się, po czym uściskał ją, unosząc do góry, aż stanęła na palcach.

Znów wszyscy mówili, jeden przez drugiego. Abigail znalazła się w wirze uścisków, w lawinie chaotycznych pytań i odpowiedzi na temat sukni, miejsca i terminu.

Wśród tego gwaru usłyszała wystrzał otwieranego szampana, śmiech i gratulacje. Przytuliła się do Brooksa, podniosła wzrok i popatrzyła mu w oczy.

Rodzina, pomyślała.

Mogła mieć rodzinę. A teraz, gdy miała ją na wyciągnięcie ręki, zrozumiała, że zrobiłaby wszystko, absolutnie wszystko, żeby ją zachować.

## 28

Plany ślubne. Objawiły się Abigail niczym spadająca z góry mała, lśniąca śniegowa kula. Kula rosła, rosła i rosła, nabierając wagi, prędkości, masy, aż powstała ogromna, niekształtna, ogłuszająca lawina.

Ta lawina przetoczyła się po niej w słoneczne popołudnie w ogrodzie Gleasonów.

– A więc myślicie o przyszłej wiośnie? – dopytywała się Mya.

– Wiośnie? Ja...

– Nie. – Brooks poklepał pod stołem Abigail po udzie. – Nie zamierzam czekać tak długo.

– Mówisz jak mężczyzna, który nie ma pojęcia, co to znaczy ślub i wesele. My mieliśmy dziesięć miesięcy na przygotowania dla Sybill i Jake’a i harowaliśmy jak woły, żeby zdążyć ze wszystkim na czas.

– Ale jak było pięknie – przypomniała jej Sybill.

– Przypuszczałam, że po prostu pójdziemy do budynku sądu – zaczęła Abigail, ale w odpowiedzi usłyszała jednoczesne głębokie westchnienia kobiet.

– Ugryź się w język, zanim powiesz coś, czego naprawdę nie chciałyś powiedzieć. – Mya wycelowała w nią palec.

Sybill dała siostrze sójkę w bok.

– Chcesz, żeby to była skromna ceremonia?

– Tak. Bardzo skromna. – Popatrzyła na Brooksa.

– Skromna, oczywiście. Założę się, że między wizytą w urzędzie a

pompą brylantowych godów, o których myśli Mya, jest jeszcze wiele miejsca. Myślałem o jesieni... To sporo czasu na małe zamieszanie, ale nie dość na wynajęcie namiotu cyrkowego.

– To mniej niż sześć miesięcy! Mniej niż pół roku na znalezienie wspaniałej sukni i odpowiedniego miejsca na wesele, na przegląd firm cateringowych, fotografów...

– Fotografów? – wtrąciła Abigail.

– Oczywiście. Nie wystarczą zdjęcia zrobione przez twojego wujka Andy’ego.

– Nie mam wujka Andy’ego. – Zawsze unikała fotografii. Ili rozpoznał ją na ulicy w Nowym Jorku w kilka sekund. Jeśli jej fotografie w jakiś sposób trafią do sieci albo do prasy, bardzo prawdopodobne, że doprowadzi to do jej zdemaskowania i katastrofy.

– I wreszcie lista gości. Jeśli chodzi o naszą stronę, mogę ci pomóc. Mam listę z mojego ślubu i ze ślubu Syb. Ilu osób ze swojej strony się spodziewasz?

– Nikogo.

– Och, ale... – Mya nie potrzebowała ani kuksańca w żebra, ani ostrzegawczego spojrzenia Brooksa, żeby zamilknąć. Kontynuowała, jakby „nikogo” było całkiem normalną odpowiedzią. – To na pewno będzie skromna ceremonia. Musimy umówić się na spotkanie, może na damski lunch... No bo ty nie masz tu nic do roboty – zwróciła się z szerokim uśmiechem do Brooksa. – Śluby są domeną panny młodej.

– Mnie to pasuje.

– Znam wspaniały ślubny butik w Little Rock – ciągnęła Mya.

– Biały Ślub – potwierdziła Seline. – Rzeczywiście, cudowny. Znalazłam w nim moją suknię.

– Musimy zrobić sobie wolny dzień i wszystkie tam pojechać, obejrzeć, co trzeba, zrobić burzę mózgów. Sprawdzę swój kalendarz. – Mya wyciągnęła telefon i zaczęła przesuwając ekran. – Może w przyszłym tygodniu?

– Przyszły tydzień... – wykrztusiła Abigail.

– Zawsze byłaś apodyktyczna. – Sunny wyprostowała się, sącąc margaritę. – Za to właśnie ją kochamy, Abigail, ale do tego trzeba trochę przywyknąć. Może dasz jej kilka dni, Mya? Musi przyzwycząć się do swoich zaręczyn.

– Jestem apodyktyczna, to fakt. – Mya roześmiała się i odrzuciła włosy do tyłu, podczas gdy jej mąż prychnął nad piwem. – A dla sióstr jestem jeszcze gorsza.

– To prawda – rzekła Sybill.

Abigail usłyszała cichą wibrację telefonu w kieszeni Brooksa. Wyjął go i rzucił okiem na wyświetlacz.

– Przepraszam, muszę odebrać. – Wstając, popatrzył jej w oczy i odszedł na stronę.

Czysty surrealizm. Mya nie przestawała mówić o ślubnych butikach, kwiatach, daniach i bufecie, a przez ten cały czas Brooks rozmawiał z Ansonem o decyzjach, od których zależało jej życie.

Pomyślała znów o śniegowej kuli, która toczy się, toczy, nabiera wagi i masy, aż pochłonie całą górę.

Nie mogła już powstrzymać tego żywiołu. Musiała pchać ten wózek naprzód.

– Dobrze się czujesz? – spytała ją Sybill.

– Dobrze. Jestem tylko trochę przytłoczona.

– Dopiero się zaczyna.



– To prawda. – Abigail zerknęła na Brooksa. – Zaczęło się.

Brooks podszedł i położył dłoń na jej ramieniu.

– Przepraszam, muszę załatwić pewną sprawę.

– Jedź, glino, pełnić swoją powinność – powiedziała Mya. –  
Podrzucimy Abigail po drodze do domu.

– Och. – Abigail miała całkowitą pustkę w głowie. – Dziękuję, ale  
naprawdę powinnam wracać do siebie, czeka na mnie praca, którą zostawiłam  
do poprawy.

– Zadzwoń do ciebie jutro albo napiszę maila. Tak, raczej napiszę.  
Przyślę ci kilka linków. Podaj mi swój...

– Mya! – Sunny uniosła brwi. – A co z kilkoma dniami na  
przystosowanie?

– Dobrze, dobrze. Co zrobię, jeśli urodziłam się po to, aby planować i  
organizować przyjęcia. Przyślij mi maila, gdy już ochłoniesz. – Chwyła  
papierową serwetkę i napisała swój adres elektroniczny.

Abigail miała przecucie, że przystosowanie zabierze jej więcej niż  
kilka dni.

– Zgoda. Dziękuję za miłe popołudnie.

– Abigail, nie martw się. – Sunny podeszła do niej i mocno ją uściskała.

– Przez tydzień lub dwa Mya nie będzie się wtrącać, moja w tym głowa.

Wyjście zabrało im trochę czasu. Widocznie na ogrodowym przyjęciu  
nie wystarczało tak po prostu powiedzieć do widzenia. Ściskali ją, przedłużali  
rozmowę, robili plany na przyszłość, bawili się z psem. Nawet gdy byli przy  
samochodzie, jeszcze do nich wołano i machano.

– Zanim dowiem się, czego dokonał kapitan Anson, chcę ci  
powiedzieć, że twoja rodzina jest...

– Głośna i natarczywa?

– Nie. To znaczy tak, ale nie to chciałam powiedzieć. Uczuciowa. Naturalna. Domyślałam się, że spędziwszy z nimi popołudnie, czujesz się lepiej. Twoja matka... Nie współczuj mi. Nie podoba mi się to.

– Okej.

– Twoja matka objęła mnie. Tak po prostu, spontanicznie. Wątpię, czy się nad tym zastanowiła, zwłaszcza że robiła to nieskończenie wiele razy w stosunku do innych. Ale gdy mnie objęła, poczułam... pomyślałam... że tak właśnie zachowuje się matka. Dotyka, przytula, tylko dlatego, że jest matką. Bez żadnego ważnego powodu. Pomyślałam wtedy, że jeśli będę miała dzieci, chcę być taką matką, która potrafi dotknąć, przytulić spontanicznie i bez ważnej przyczyny. Mam nadzieję, że dostanę szansę.

– Dostaniesz.

– Anson rozmawiał z FBI?

– Prawie cały dzień. Uważa, że początkowo mieli nadzieję, że przyprą go do muru i dotrą do ciebie. On był jednak na to przygotowany i nie dał się podejść. Nie wyjawili mu swoich planów, ale jest absolutnie pewien, że zajmą się inwigilacją Cosgrove'a i Keegana.

– Czy on sądzi, że uwierzyli w moją historię?

– Wyłożyłaś wszystko logicznie, krok po kroku, aż do ostatnich słów Johna. Przez minione dwa lata byłaś dla nich niezwykle wartościowym źródłem informacji. Dlaczego miałabyś kłamać na temat Cosgrove'a i Keegana?

– To byłoby nielogiczne.

– No właśnie. Chcą porozmawiać z tobą osobiście. Chcą, żebyś przyjechała. Obiecują ci ochronę.

– Chcą mnie przesłuchać, żeby się upewnić, że nie jestem współwinna śmierci Johna i Terry. A gdy nabiorą tej pewności, zaczną mnie namawiać na

zeznania przeciwko Korotkijowi.

– Tak, i będą chcieli więcej. Masz od środka dostęp do Wołkowów, do informacji, dzięki którym prawdopodobnie uda się wsadzić sporą część członków organizacji do więzienia i złamać pozostałych.

– Dopóki dane pochodzą z anonimowego źródła, władze mogą z nich skorzystać. Ale jeżeli wiadomo, że zostały pozyskane nielegalnie, stają się bezużyteczne.

– To fakt. Ale może znajdą jakąś furtkę.

Zastanowiła się nad tym wszystkim.

– Nie udostępnię im mojego oprogramowania, nawet jeśli zapewnią mi bezkarność za hakerstwo. Najpierw muszę zniszczyć sieć Wołkowów. FBI nie może tego zrobić ani pod względem technicznym, ani legalnie. A ja będę stale w niebezpieczeństwie, jeśli nie uda mi się rozwalić im sieci i oskubać ich ze wszystkich pieniędzy.

– Oskubać... Masz dostęp do ich pieniędzy?

– Mogę mieć, do większości. Zastanawiałam się, gdzie je przelać, gdy już je wyłuskam z rozmaitych kont. Myślałam o anonimowych darowiznach na rzecz wybranych instytucji charytatywnych.

Oderwał wzrok od drogi i spojrzał na Abigail.

– Zamierzasz puścić ich z torbami?

– Tak. Chyba to rozumiesz. Jeśli mają jakieś sto pięćdziesiąt milionów na kontach i mogą z nich czerpać, z łatwością odbudują swoją potęgę. Poza tym są jeszcze nieruchomości, ale mam pewne pomysły, jak nimi rozporządzić.

– Rozporządzić?

– Trudności podatkowe, przeniesienie własności. Niektóre z tych nieruchomości władze mogą po prostu skonfiskować, ponieważ były

używane do nielegalnych celów. Inne są sprytnie ukryte. Ale przestaną być, gdy dojdę do końca. Moje zeznania to za mało, Brooks – powiedziała, gdy zatrzymał się przed jej domem. – Nie wystarczy wsadzić Korotkija, być może Ilię czy nawet Siergieja do więzienia. Z ich możliwościami, z taką fortuną zdołają się przegrupować i odbudować. Na dokładkę będą wiedzieli, kto wpędził ich w kłopoty. Nie zamierzam dopuścić, by się dowiedzieli, w jaki sposób dobrano się do ich sieci. I ani myślę mówić o tym władzom. Nie mogą usankcjonować moich planów.

Wysiadła z samochodu i popatrzyła na Brooksa ponad dachem.

– Nie pójdę znów do bezpiecznego domu. Nie dopuszczę do tego, żeby dowiedzieli się, gdzie mieszkam, nawet jeśli zgodzę się zeznawać. Nie ufam ich ochronie. Ufam sobie i tobie.

– Okej. – Otworzył drzwi psu, a potem wyciągnął do niej rękę. – Gdy nadejdzie odpowiedni moment, znajdziemy jakieś miejsce w Chicago. Ty i ja. Tylko my będziemy o nim wiedzieć. Zatrzymamy się tam. Ty wybierzesz miejsce spotkania. Myślę, że w jakimś hotelu w Wirginii lub Marylandzie, ale powiadomisz ich o tym dopiero wtedy, gdy się tam znajdziesz.

– Dobry plan. Ale ty nie możesz w nim uczestniczyć.

– Mogą. Tak długo, jak o mnie nie wiedzą.

Nic by nie ruszyło z miejsca, absolutnie nic, gdyby z nią nie był.

– Możesz zainstalować kamerę i podsłuch w pokoju hotelowym, żebym mógł śledzić sytuację i żebyśmy mieli nagranie, jeśli byłoby kiedykolwiek potrzebne.

– Nie pomyślałam o tym. A powinnam, bo to świetny pomysł.

– Ty myślisz, ja myślę i o to właśnie chodzi.

Odwróciła się i wtuliła w niego.

– Gdy cała akcja ruszy, musi działać się szybko. Szybko i we właściwym

porządku.

Ale jeśli pójdzie źle, nie oderwie go od rodziny. Tego również nauczyła się na przyjęciu w ogrodzie.

– Muszę dokończyć swoje złośliwe oprogramowanie. Bez tego cały plan nie wypali.

– No to pracuj nad nim, a ja zajmę się czym innym. Poszukam dobrego miejsca na spotkanie.

– Wirginia – powiedziała. – Hrabstwo Fairfax. Odpowiednio daleko od Waszyngtonu i mniej niż godzina drogi od małego regionalnego lotniska w Marylandzie. Wyczarteruję samolot.

– Czarter? Nie żartuj.

– Chyba zapomniałeś, że masz bogatą dziewczynę.

Roześmiał się.

– Nie wiem, jak to uszło mojej uwadze.

– Jeśli zechcą mnie śledzić, zdołamy ich zgubić na tamtejszych drogach, a zresztą pewnie obstawią lotnisko Dulles albo Reagan National w Waszyngtonie.

– To dopiero plan! – Pocałował ją. – Idź się bawić ze swoimi robakami.

Przez większość czasu trzymał się od niej z dala. Ale, Jezu, w niedzielny wieczór, po paru godzinach spędzonych przed komputerem, ma się ochotę na małe piwo. I chipsy, które musiał wnieść ukradkiem, ponieważ nie tolerowała w domu żadnego śmieciowego jedzenia.

Gdy wszedł do kuchni, siedziała wpatrzona w ekran, z rękoma na kolanach. Otworzył lodówkę, wyjął piwo, zerknął w jej stronę, po czym uchylił szafkę, gdzie ukrył chipsy. Cebulowo – śmie – tankowe.

Odwróciła się do niego.

– Już sobie idę.

– Skończyłam.

Przyglądając się jej twarzy, odstawił piwo.

– Skończyłaś program?

– Tak. Działa. Teoretycznie. Przetestowałam go kilkakrotnie. Jednak mogę go wprowadzić do sieci dopiero wtedy, gdy nadejdzie pora, a więc nie czas jeszcze na ogłaszanie sukcesu. Ale jestem pewna. Jestem pewna, że zadziała.

Uśmiechnął się od ucha do ucha, podszedł do niej i podniósł za łokcie do góry, żeby ją pocałować.

– Jesteś genialna.

– Tak.

– A więc dlaczego nie wyglądasz na szczęśliwą?

– Chyba... jestem trochę odretwiała, tak myślę. Miałam nadzieję, że mi się uda, ale dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że w gruncie rzeczy nie wierzyłam, że mogę to zrobić. – Przycisnęła palec do lewej skroni, ponieważ odczuwała w tym miejscu lekki ból. – To, co mówię, chyba nie ma sensu.

– Owszem, ma.

– Brooks, wyobraź sobie, mogę zniszczyć ich sieć, uszkodzić każdy plik, każdy program. Mogę uniemożliwić im porozumiewanie się, niezależnie od tego, jakiego systemu operacyjnego używają i jakim posługują się komputerem. Mogę wyssać im z kont pieniądze i całkowicie ich zrujnować. Będą bankrutami! – Przycisnęła rękę do serca. – A zanim to zrobię, mogę dostarczyć władzom dość informacji, żeby zdołali zatrzymać całą tę przestępczą maszynę i oskarżyć innych poruczników i żołnierzy, aż bratwa Wołkówów rozsypie się na drobne kawałki, z których nigdy się nie podniesie.

– Jak Humpty Dumpty.

Roześmiała się bezgłośnie.

– Tak. Tak. Ale naprawdę nie wierzyłam, że mogę to zrobić - dodała. –  
W przeciwnym razie zrobiłabym to, zanim zgodziłam się zeznawać.

Na twarzy Brooksa malował się nieodgadniony wyraz.

– Chcesz się z tego wycofać?

– Ty byś mi pozwolił. – Tak jak często to robiła, ujęła jego twarz w dłonie. – Tak bardzo cię kocham. Ty byś pozwolił mi się wycofać, mimo że to jest wbrew twoim zawodowym zasadom. Ale nie, nie wycofam się. Nie mogę. To jest część całości, część tej osoby, którą chcę być. Kimś, kogo po mnie oczekujesz.

– Oczekuję tylko, że będziesz sobą.

– Ala ja oczekuję teraz więcej. Więcej po Elizabeth i po Abigail. Chcę, żebyś i ty po mnie teraz więcej oczekiwał. Moich zeznań, moich informacji, hakowania, superwirusa. Wszystkiego razem. Gdy to się skończy, Elizabeth będzie mieć czyste sumienie. – Zamknęła oczy, potem je otworzyła i uśmiechnęła się do niego. – A Abigail może cię bez problemu poślubić. Tak bardzo tego pragnę. Może nawet odwiedzę ten ślubny butik.

– Och.

– Trochę się tego obawiam, ale może.

– Wreszcie wyglądasz na szczęśliwą.

– Bo jestem. Jestem bardzo szczęśliwa. Gdy tylko znajdziemy hotel, załatwię transport. Poproś kapitana o umówienie spotkania. Możemy zacząć następny etap.

– Wybrałem już hotel. W Tysons Comer w Wirginii. Średniej klasy, tuż przy zjeździe z autostrady.

– Chciałabym obejrzeć jego stronę i mapę okolicy.

– Tego się domyślałem. Wrzuciłem ją w zakładki na moim laptopie.

– Zarezerwujemy pokój, a na jutro lub pojutrze umówimy spotkanie.

Władze będą miały mniej czasu na jakiś podstęp.

– Pojutrze. Muszę przestawić grafik, żeby mnie ktoś zastąpił.

– To nawet lepiej. Bo ja muszę zorganizować coś dla Berta.

– Moja matka się nim zajmie.

– Och. Ale... – Zawahała się i popatrzyła na psa. – Myślałam o hotelu dla psów.

– Zamierzasz wsadzić go do więzienia?

– Hotel dla psów nie jest więzieniem. – Patrzyły na nią teraz dwie pary orzechowych oczu. – Dziś po południu dobrze się bawił, ale nie można żądać od twoich rodziców zbyt wiele.

– Będą zachwyceni. A poza tym tak się robi w rodzinie. Musisz się przyzwyczaić. Idź i sprawdź ten hotel. Zadzwoń do mamy.

– Zgoda.

Gdy Abigail wyszła z kuchni, Brooks wyciągnął telefon.

– Masz u mnie dług – zwrócił się do Berta.

Wszystko gotowe, pomyślała Abigail. Stała w swoim tajemnym pokoju, wybierając niezbędne rzeczy na ten następny krok.

Zarezerwowała pokoje w hotelu na dwa różne nazwiska, w innym czasie i z dwóch niezależnych komputerów. Brooks zamelduje się jako Lucas Boman – było to nazwisko jego pierwszego trenera z Małej Ligi. Jutro stworzy dla niego dokument tożsamości. Ona sama skorzysta z istniejącego już w jej zasobach, wystawionego na nazwisko Catherine Kingston, które, gdy już się zameldują i rozgoszczą, zamierzała podać Ansonowi, żeby przekazał je federalnym.

Przeglądała kolekcję różnokolorowych peruk.

– Chcesz być ruda? – skomentował Brooks, gdy założyła tę o krótkich, obciętych na boba włosach w złotoczerwonym kolorze.



– Moje naturalne włosy mają rudawy odcień. Ale nie mam peruki w takim kolorze.

– Poczekaj... – Przechylił głowę i uważnie jej się przyglądał. – Masz rude włosy?

– Dokładniej mówiąc, brązowe z rudawym odcieniem.

– Chcę zauważyć, że widziałem twoje inne owłosione rejony i nie jest to brązowy kolor z rudawym odcieniem.

– Jestem bardzo drobiazgowa, gdy zmieniam wygląd.

– Interesujące. Naprawdę interesujące. Może powinnaś starać się o posadę w CIA.

– Nie jestem tym na razie zainteresowana. Myślę, że spodziewają się po mnie pewnej zmiany wyglądu na spotkaniu. To powinno wystarczyć. Jeszcze tylko drobne zmiany w makijażu i poduszcзки tu i ówdzie. Może trochę większy biust...

– Większy biust na pewno się przyda.

– Uważam, że mój naturalny biust jest całkowicie wystarczający.

– Sprawdźmy. – Ujął jej piersi w dłonie i ważył przez chwilę. – No, rzeczywiście.

– Obsesja na temat biustu jest równie głupia jak ta dotycząca rozmiaru penisa.

– Uważam, że mój naturalny penis całkowicie wystarczy.

Roześmiała się i odwróciła do lustra.

– Chyba nie zamierzasz sprawdzać, żeby się upewnić?

– Może później.

Szybkimi i zręcznymi ruchami założyła perukę, zdradzając się, że robiła to często.

– Już jesteś odmieniona.

Pomyślał, że woli ją w dłuższych włosach i bardziej naturalną.

– Tak. Jeszcze nad tym popracuję. Będę musiała kupić perukę z dłuższymi włosami i zbliżoną kolorem do moich naturalnych, żeby móc różnie je czesać. Chciałabym przypominać Elizabeth ze zdjęć, które mają, mimo że są nieaktualne. Mogę założyć szkła kontaktowe, zmienić kolor oczu, tylko o ton, delikatnie. Pełniejsze biodra, większe piersi. Skóra o kilka odcieni ciemniejsza za pomocą samoopalacza. Tak, mogę nad tym popracować – powtórzyła. Zdjęła perukę i odłożyła na stojak. – Agenci tajnych służb CIA muszą kłamać i oszukiwać. Wyobrażam sobie, że to konieczne do wykonania zadań. Przez dwanaście lat dużo się nakłamałam i naoszukiwałam. Chciałabym prowadzić takie życie, gdzie kłamstwo i oszustwo nie są codziennością. Na razie nie mogę przestać kłamać, ale... – Odwróciła twarz do Brooksa. – Mam jedną osobę, która zna prawdę, wie o mnie wszystko, której nigdy nie okłamię. To prawdziwy dar. Ty nim jesteś.

– A ja mam kogoś, kto ufa mi na tyle, żeby powiedzieć mi prawdę, całkowicie mi zawierzyć. To również jest dar.

– Obydwoje zatem mamy dużo szczęścia. – Podeszła do niego i wzięła go za rękę. – Myślę, że powinniśmy pójść do łóżka. Muszę przeprowadzić kilka testów, aby sprawdzić, czy twój penis jest zadowalający.

– Szczęśliwie się składa, że zawsze dobrze wypadałem w testach.

Komórka Brooksa zadzwoniła kwadrans po drugiej w nocy. Przekreślił się na bok i sięgnął po nią.

– Komendant Gleason.

– Cześć Brooks, tu Lindy.

– Jakiś problem, Lindy?

– No właśnie o tym chcę pogadać. Jest tu ze mną Tybal.

– Co znowu za syf?

– Taak, syf, ale nie taki, jak podejrzewasz. Będziesz chciał posłuchać tego, co Ty ma do powiedzenia.

Brooks podciągnął się do góry i usiadł.

– Gdzie jesteście?

– W moim pikapie niedaleko domu Lowery. Ponieważ w mieście nie ma twojego samochodu, domyśliłem się, że jesteś u niej.

– Zupełnie jakbyś pracował w policji, Lindy. Dlaczego nie możemy się spotkać u ciebie?

– Raczej tego nie róbmy, zważywszy na sprawę, o której rozmawiamy. Najlepiej będzie, jeśli pojedziemy do ciebie i porozmawiamy sobie na osobności. W mieście ludzie wszystko zauważą, nawet o takiej porze. Zwłaszcza o takiej porze.

– Prawda. Zaczekaj. – Zasłonił dłonią telefon. – To Lindy, ten z knajpy.

– Tak, wiem, kim jest.

– Mówi, że jest z Tybalem Crew i muszą osobiście ze mną porozmawiać.

– Tutaj?

– Gdyby to nie było ważne i nie musiało być na osobności, Lindy nie dzwoniłby o drugiej nad ranem.

– Zaraz się ubiorę.

– Przyjmę ich na dole, nie musisz schodzić.

– Jeśli ktoś przyjeżdża po nocy, żeby z tobą porozmawiać, powinnam to usłyszeć.

– W porządku. – Przyłożył telefon do ucha. – Czy Ty jest trzeźwy?

– Teraz tak albo prawie.

– Przyjeżdżajcie.

Brooks przesunął ręką po włosach i odłożył telefon.

– Przepraszam cię za to.

– Jeszcze kilka dni temu nikogo bym tu nie wpuściła. Ale teraz nie jestem zdenerwowana, ani trochę. Czuję raczej ciekawość. Zaparzyć kawę?

– Nie obraziłbym się.

Zrobiła to z przyjemnością, myśląc o swojej przyszłości z Brooksem, gdy późne telefony i robienie kawy dla ludzi w kłopotach staną się częścią jej codzienności.

Miała nadzieję, że będzie dobrą żoną gliniarza.

Jednak była zadowolona, że Bert, któremu nakazała spokój, leży w kącie w kuchni. A w ramach środków ostrożności wygasila ekrany komputera.

Niosąc kawę do salonu, nie była pewna, jak ma się zwracać do dwóch mężczyzn, których Brooks właśnie wpuszczał do jej domu frontowymi drzwiami.

Lindy w koszulce z kolorowym hipisowskim nadrukiem i długim siwym warkoczem na plecach wszedł pierwszy.

– Proszę pani... – Skłonił głowę. – Naprawdę przepraszam, że przeszkadzamy o nocnej porze. – Następnie stuknął pięścią Tybala w brzuch.

– Tak, proszę pani – odpowiedział Tybal. – Przepraszam za najście.

– Jestem pewna, że macie uzasadnione powody.

– A nawet lepsze – wymamrotał Brooks. – Jezu, Ty, pocisz się rebel yell.

– Przepraszam. – Koniuszki jego uszu zaróżowiły się, gdy pochylał głowę. – Ale są okoliczności łagodzące. Przez sześćdziesiąt dni byłem trzeźwy, nie tknąłem alkoholu, no ale teraz muszę zaczynać od początku.

– Miewamy chwile słabości, Ty – pocieszył go Lindy. – Twój pierwszy dzień zaczyna się teraz.

– Chodziłem na terapię... – Ty zaszurał nogami i popatrzył na Abigail jak nieporadny, skruszony niedźwiedź. – Lindy jest moim opiekunem. Zadzwoń do niego. Wiem, że powinienem zadzwonić, zanim się napiłem, ale jednak zadzwoniłem.

– W porządku, usiądźcie – nakazał Brooks. – I powiedzcie mi, co u diabła robicie tu o drugiej nad ranem?

– Chodzi o to, Brooks, że mam cię zabić. – Ty wykręcał swe olbrzymie dłonie. – Ale nie mam zamiaru tego zrobić.

– Oddycham z ulgą. Siadaj, do diabła.

– Nie wiedziałem, co robić... – Ty usiadł na kanapie i zwiesił głowę. – Gdy już trochę wytrzeźwiałem, nadal nie wiedziałem. Zadzwoń więc do Lindy'ego. On mnie jeszcze trochę otrzeźwił i omówiliśmy dokładnie sytuację. Doszedł do wniosku, że musimy przyjechać i wszystko ci opowiedzieć. Może Lindy coś powie. Ja nie wiem, od czego zacząć.

– Napij się kawy, Ty, a ja zacznę za ciebie. Wygląda na to, że żona Blake'a go zostawiła.

– Kiedy? – Brooks zmarszczył brwi i podniósł swoją filiżankę. – Widziałem ją zaledwie dziś rano.

– W kościele, tak. Słyszałem o tym, chyba wszyscy o tym słyszeli. Po mojemu to właśnie przeważało szalę. Podobno gdy dotarli do domu, ona po prostu spakowała dwie walizki i wyszła. Pan Harris, dziadek Carly, który akurat był na dworze, widząc, że ładuje bagaż do samochodu, zapytał, czy wybiera się w podróż. Pani Blake ze stoickim spokojem odparła, że porzuca swego męża i nigdy już tu nie wróci. Po czym wsiadła do samochodu i odjechała. A Blake, jak się zdaje, na resztę dnia zaszył się w swoim gabinecie.

– To nie mogło się dobrze skończyć – skomentował Brooks. – Duma Blake'a została dziś rano potężnie nadszarpnięta.

– Zasłużył na to, czyż nie? W każdym razie Birdie Spitzer, która u nich pracuje i naprawdę nie jest plotkarą – Bóg raczy wiedzieć, dlaczego trzyma się tej roboty – sama mi to powiedziała. Przypuszczam, że ostatnia kropla przepełniła czarę. Birdie powiedziała, że było trochę krzyku, ale w tym domu to normalka, w każdym razie ze strony Blake’a. A potem jego żona wyszła, a on się zamknął w gabinecie. Jakiś czas później Birdie zapukała do drzwi, pytając, czy podać kolację, a on ryknął na nią, żeby wynosiła się do diabła i nigdy nie wracała.

– Blake wyrzucił Birdie? – Brooks ze zdziwieniem uniósł brwi. – Pracuje u nich od dwudziestu lat.

– Będzie dwadzieścia cztery, tak powiedziała, w sierpniu. Wydaje mi się, że to kolejny powód, dlaczego przyszła z tą opowieścią do knajpy. Nie wie, czy ma pracę, czy nie, czy chce dalej tam pracować, czy Blake mimo wszystko spodziewa się, że ona wróci.

– Teraz został sam – powiedziała cicho Abigail. – Przepraszam. Nie powinnam się wtrącać.

– Nie ma sprawy i dobrze to pani ujęła. Jego syn siedzi za kratkami, żona odeszła, a on jest sam w tym wielkim domu. Podejrzewam, że po namyśle doszedł do wniosku, że za tę sytuację odpowiada Brooks.

– Nietrafny wniosek, oparty na błędnych przesłankach – zaczęła. – Chodzi mi oczywiście o wniosek Blake’a, nie twój.

– Tak, proszę pani. – Lindy uśmiechnął się szeroko. – To bardzo delikatnie powiedziane, że on ma popieprzone w głowie, jeśli mogę być dosadny.

– Nie przeszkadza mi to. Tak, on ma popieprzone w głowie.

Brooks wypił łyk kawy i zwrócił się do Tya.

– Ile ci zapłacił, żebyś mnie zabił, Ty?

– Och, Boże! – wykrztusiła Abigail i wstała.

– Uspokój się, kochanie, Ty nie zrobi nikomu krzywdy. Prawda, Ty?

– Nie, komendancie. Nie, proszę pani. Przyszedłem, żeby ci powiedzieć. Lindy stwierdził, że tak będzie najlepiej, a więc jestem.

– Powiedz mi wszystko po kolei.

– No więc tak. Wezwał mnie do siebie, do domu. Nigdy tam nie byłem i ta chałupa naprawdę robi wrażenie. Jak z filmu. Pomyślałem, że może ma dla mnie jakąś robotę, a przecież by mi się przydała. Zaprosił mnie do gabinetu i powiedział, żebym usiadł na dużym skórzanym fotelu. Zaproponował drinka. Odpowiedziałem: nie, dziękuję. Ale on nalał drinka i postawił obok. Mój ulubiony gatunek. Wiesz, Brooks, że mam do niego słabość.

– Wiem.

– Ale odkąd mnie aresztowałeś, nie pociągnąłem ani kropli. Aż do dziś, klnę się na Boga. Byłem trochę zdenerwowany, siedząc tam, w tym eleganckim domu. On ciągle powtarzał, że jeden drink mi nie zaszkodzi. Jestem przecież mężczyzną, czy nie? Ale nie ruszyłem szklanki.

– W porządku, Ty.

– Jednak on ciągle powtarzał, że ma dla mnie jakąś robotę, ale że nie zatrudnia mięczaków i... jakie były te inne określenia, które ci powtarzałem, Lindy?

– Eunuchów. Dupków. Raz jeszcze przepraszam, że wyrażam się dosadnie.

– Zgadzam się z tą opinią – powiedziała do niego Abigail, a potem popatrzyła na Tya. – On zagrał na pana słabości, na pana poczuciu męskości oraz wykorzystał pana pragnienie znalezienia pracy. Posłużył się podłą manipulacją.

– To mnie rozwścieczyło, gdy mówił, jak próbowałeś mnie upokorzyć jako mężczyznę, Brooks, jak mnie poniżyłeś i wykastrowałeś. Powiedział, że mnie wykastrowałeś! Naprawdę poczułem się źle. Byłem wściekły. A szklanka z rebel yell stała tuż obok. Chciałem tylko wypić jedną, udowodnić, że dam radę. Ale potem wypilem następną i pewnie jeszcze kolejną.

Oczy Tya wypełniły się łzami, ramiona mu się trzęsły, zwiesił głowę.

Abigail wstała i wyszła z pokoju.

– Po prostu piłem i piłem, ponieważ szklanka tam stała i wydawało się, że nigdy nie jest pusta. Jestem alkoholikiem i wiem, że nie mogę wypić jednego drinka, żeby zaraz nie sięgnąć po następnego.

Abigail wróciła z paterą pełną ciasteczek. Postawiła ją na stole.

Patrząc, jak bierze ciasteczko i podaje je płaczącemu Tybalowi, Brooks pomyślał, że kocha ją nad życie.

– To było wobec pana okrutne – powiedziała. – Powinien się wstydzić za to, co panu zrobił.

– Ciągle piłem, a złość we mnie rosła. On nadal mówił, jaką krzywdę wyrządził mi Brooks, że w oczach własnej żony wyszedłem na mięczaka i tchórza i że on próbuje rzucić na kolana całe nasze miasto. Wystarczy spojrzeć, jak wrobił jego syna. No i że coś z tym trzeba zrobić. Mówił i mówił, a ja piłem. Powiedział, że potrzebuje kogoś odważnego i z jajami. Spytał, czy jestem zdecydowany, czy jestem odważny. Do diabła, jestem, tak właśnie mu odpowiedziałem. Zaproponowałem, że skopię ci tyłek, Brooks. – Ty pokręcił głową i znów ją zwiesił. – Chodziłem na mityngi i terapię. Zaczynam rozumieć, że gdy piję, mam ochotę komuś solidnie dołożyć. Dlatego obrywało się Missy. I to, co mówił, oraz alkohol nieźle mnie nakręciły. Gdy powiedział, że skopanie tyłka nie wystarczy, wydało mi się to słuszne. Chodziło o coś więcej. Powiedział, że zabiłeś moją męskość, że to



właśnie zrobiłeś. I że jedynym sposobem na jej odzyskanie jest zabicie ciebie. A w dowód wdzięczności da mi pięć tysięcy dolarów. W nagrodę, jak powiedział. Połowę teraz, a drugą potem.

– Dał ci pieniądze? – spytał go Brooks.

– I wziąłem je. Wstyd się przyznać, ale to była gotówka i ją wziąłem. Ale jej nie zatrzymałem. Lindy ją ma. Blake powiedział, że mam iść do domu po broń. Potem usiąść gdzieś w pobliżu, przy drodze, i poczekać, aż zrobi się ciemno. Potem powinienem do ciebie zadzwonić i powiedzieć, że jest jakaś rozróżba. A gdy wyjedziesz, po prostu cię zastrzelić. Poszedłem do domu po broń. Missy nie było, poszła do siostry. Wyjąłem karabin, naładowałem go i zacząłem się zastanawiać, dlaczego u diabła Missy nie ma w domu. Pomyślałem, że zasłużyła, żeby ją ze dwa razy trzepnąć. Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale usłyszałem swoje myśli i zrobiło mi się niedobrze. Zadzwoniłem do Lindy'ego i on przyjechał.

– Postąpiłeś słusznie, Ty.

– Nieprawda. Napilem się. Wziąłem pieniądze.

– I zadzwoniłeś do Lindy'ego.

– Jest pan chory, panie Crew – powiedziała Abigail. – On wykorzystał pańską chorobę, posłużył się nią przeciw panu.

– Lindy powiedział to samo, dziękuję pani. Wstydę się powiedzieć to Missy. Ona nadal jest na ciebie trochę wkurzona, ale cieszy się, że nie piję. Pomiędzy nami lepiej się układa i ona o tym wie. Byłaby na ciebie bardziej wkurzona, gdybyś wsadził mnie do więzienia. Choć Lindy twierdzi, że tego nie zrobisz.

– Lindy ma rację. Będę potrzebował tych pieniędzy, Lindy.

– Mam je w samochodzie.

– Będziesz musiał przyjść na posterunek i złożyć oficjalne zeznanie,

Ty.

– Missy się wścieknie.

– Myślę, że może być trochę wkurzona, że się upiłeś, ale gdy usłyszysz resztę, od początku do końca, mam wrażenie, że będzie z ciebie dumna.

– Tak uważasz?

– Tak. Ja jestem z ciebie dumny. Cieszę się, że nie próbowałeś mnie zabić.

– Ja też. Co masz zamiar zrobić, Brooks?

– Zamierzam złożyć do kupy wszystkie dowody, bardzo starannie i dokładnie, a potem zaaresztuję Blake'a za podżeganie do zabicia oficera policji.

## 29

Następny krok, pomyślała Abigail po powrocie od Sunny, gdzie zostawiła Bertę. Uświadomiła sobie, że wchodząc do domu bez Bertę, czuje się dziwnie i jest jej trochę smutno. To tylko na krótko, przypomniała sobie. Krótka podróż – która wszystko zmieni.

Gdy Brooks wróci, pojedą na lotnisko, polecą prywatnym samolotem do Wirginii, zameldują się w dwóch oddzielnych pokojach. Będą mieli mnóstwo czasu na zainstalowanie kamer i sprzętu wideo.

Mnóstwo czasu na udękę, nerwy i przemyślenia, jeśli by sobie na to pozwoliła.

A więc sobie nie pozwoli. Skupiła się na najbliższym zadaniu i rozpoczęła metamorfozę w Catherine Kingston.

– Gdzie się podziewa moja kobieta? – zawołał Brooks, gdy przyjechał, na co ona uśmiechnęła się pod nosem.

Była czyjaś kobieta.

– Jestem na górze. Wszystko w porządku?

– W jak najlepszym. Jego prawnicy uwijają się jak w ukropie i spodziewam się rychłej ugody. Być może się nawet z tego wyślizga, dzięki uznaniu Tya za częściowo niepoczytalnego, ale tak czy inaczej, jest w tym mieście skończony. Spodziewam się... – Urwał nagle, gdy stanął w drzwiach i zobaczył Abigail.

– Powtarzam: Gdzie się podziała moja kobieta?

– Dobra robota – stwierdziła, oceniając swe odbicie w lustrze.

Fryzura i precyzyjny makijaż wyostrzyły rysy jej twarzy. Szkła kontaktowe przyciemniły zielone oczy. Starannie dopasowane poduszki zmieniły smukłą figurę w zaokrągloną.

– Gdy dowiedzą się, w jakim hotelu się zatrzymaliśmy, prawdopodobnie poproszą o zapisy z kamer. Będziemy już wtedy w środku, ale przejrzą je, żeby sprawdzić, kiedy się zameldowałam i czy przyjechałam sama. Dlatego pojedziemy z lotniska dwiema taksówkami i dotrzemy do hotelu o różnym czasie.

– Wyglądasz na wyższą. – Przyglądając jej się uważnie, podszedł i pocałował ją. – Zdecydowanie wyższą.

– Mam wkładki w butach. Zaledwie półtora centymetra, ale tworzy iluzję. Liczę, że nie zdołają mnie zidentyfikować, gdyby materiał z kamer wyciekł do którejś z wtyczek Wołkowów. Abigail nie ma w systemie, trudno więc powiązać z nią Catherine Kingston lub Elizabeth Fitch. No, jestem gotowa.

– Wezmę bagaże.

Nigdy nie leciał prywatnym samolotem, ale łatwo by się do tego przyzwyczaił. Żadnych kolejek, opóźnień, tłoku, a sam lot przebiegł gładko i

spokojnie.

Podobały mu się szerokie skórzane fotele umieszczone naprzeciwko siebie, tak że mógł patrzeć na Abigail – a może raczej na Catherine – i widział grę światła na jej twarzy, gdy lecieli na północ.

– Założyli nowe kartoteki Cosgrove’owi i Keeganowi – odezwała się Abigail, stukając w klawiaturę laptopa. – Wystąpili o nakaz monitorowania ich telefonów i poczty. Może coś znajdą. Szczególnie Cosgrove bywa nieostrożny. Uprawia hazard – dodała. – Online i w kasynach.

– Jak mu idzie?

– Przegrywa więcej, niż wygrywa, jak wynika z jego finansów, i to właśnie ten nałogowy hazard, bo to jest nałóg, oraz straty, jakie ponosi, pozwoliły Wołkowom mieć go w garści, gdy byłam chronionym świadkiem.

– Ma problem z hazardem – rozważał Brooks – i ulega naciskom. Jak by zareagował, gdyby z jakiegoś anonimowego źródła dotarła do niego informacja o jego związkach z Wołkowami?

Podniosła wzrok, zsuwając w dół duże okulary słoneczne, które założyła dla lepszego kamuflażu.

– Interesujące pytanie.

– Jeśli ugina się pod presją, zagrożony szantażem może popełnić błąd.

– Nie jest tak bystry jak Keegan i dlatego tak gładko nie awansował, zarówno w Marshals Service, jak i u Wołkówów. Uważałam nawet, że Wołkowowie już powinni się go pozbyć, ale jak widać, jeszcze przedstawia dla nich jakąś wartość.

– Czy kiedykolwiek łowiłaś ryby?

– Nie. Wydaje mi się, że to okropnie nudne zajęcie lub sposób spędzania czasu. Nie rozumiem, co łowienie ryb ma wspólnego z Cosgrove’em lub Keeganem?

Wycelował w nią palec.

– Po pierwsze, zamierzam kiedyś zabrać cię na ryby i wtedy poznasz różnicę pomiędzy uspokajającym a nudnym zajęciem. Po drugie, czasem złapanie małej rybki może zapoczątkować znacznie większy połów.

– Nie sądzę... Aha. To metafora. Cosgrove to mała rybka.

– Właśnie. Złapanie go na haczyk może być warte zachodu.

– Tak, być może. Chciwość reaguje na chciwość, a jego podstawową motywacją są pieniądze. Groźba, jakaś informacja, wiarygodnie pokazująca, że się ma dowody. A jeśli on użyje swojej poczty lub telefonów, żeby się skomunikować, będą mieli wystarczający powód, żeby go przesłuchać.

– Co może doprowadzić do grubszej ryby. I przydać wagi twojemu zeznaniu. – Podsunął jej otwartą torebkę precli, ale pokręciła głową. – Co proponujesz na przynętę?

– Bo żeby złapać na haczyk nawet małą rybkę, potrzebna jest przynęta, czy tak?

Skinął głową i ugryzł kawałek precla.

– Przekonasz się, gdy zarzucisz swojego pierwszego robaka.

– Nawet nie chcę o tym słyszeć. Chociaż w programie ochrony świadków była pewna kobieta, która zeznawała przeciwko byłemu chłopakowi, pomniejszemu gangsterowi powiązanemu z seksualnym biznesem Wołkowów w Chicago. Trzy miesiące po skazaniu gangstera znaleziono ją zgwałconą i pobitą na śmierć w Akron w stanie Ohio.

– Czy to Cosgrove się nią zajmował?

– Nie był do niej przydzielony, ale według moich ustaleń wszystko wskazuje, że to on przekazał informacje swemu kontaktowi u Wołkowów. Dysponuję wystarczającymi danymi, żeby ułożyć wiarygodną wiadomość, która nim wstrząśnie.

– Kolejny kamyk w rzece.

– Jakiej rzece? Tej z rybami?

Śmiejąc się, szturchnął stopą jej stopę.

– Może być, ale jeśli mamy się trzymać tej metafory, nie zechcesz wrzucać żadnych kamyków. Mogą wystraszyć ryby.

– No to już nic nie rozumiem.

– Do tej metaforycznej rzeki wrzucamy kamyki, ponieważ chcemy zrobić większy zamęt.

– Aha. A więc kamyk... – Zastanowiła się przez chwilę, a potem zaczęła pisać.

*Anya Rinki zeznaje przeciwko Dimitrijowi Bardowowi. 8 czerwca 2008. Objęta programem ochrony świadków. Nowe nazwisko: Sasha Simka. Przeniesiona do Akron, Ohio; zatrudniona jako ekspedientka w butiku Monika.*

*Sprawa przydzielona agentowi US Marshals Robynowi Treacherowi. Akta sprawy udostępnione Williamowi Cosgrove'owi*

*12 i 14 października 2008 – bez logowania się lub oficjalnej prośby o pozwolenie.*

*W załączeniu kopia maila z prywatnej poczty Williama Cosgrove'a do Igora Bardowa, brata Dimitrija, wysłanego 15 października 2008.*

*16 października 2008 – 15 000 dolarów przelane na konto Williama Dwyera, znanego również jako William Cosgrove.*

*19 października 2008 – Anya Rinki, znana jako Sasha Simki, znaleziona zgwałcona i zamordowana.*

*Te informacje zostaną w ciągu 48 godzin przesłane mailem do szefa agencji Wayne 'a Powella, chyba że zapłacisz 50 000 dolarów. Szczegóły wpłaty zostaną podane w następnej wiadomości.*

– Sądzę, że to ładnie uformowany kamyk – powiedziała, odwracając ekran, żeby Brooks mógł przeczytać.

Zanim oderwał wzrok od tekstu, uśmiech rozlał się na jego twarzy.

– Dobrze skonstruowany i wyważony. Miałaś w głowie wszystkie te daty?

– Są dokładne.

– Jaka jest treść maila, który zamierzasz dołączyć?

– Napiszę: Sasha Simka, Akron, 539 Eastwood, mieszkanie 3 – B.

Uśmiech zgasł na twarzy Brooksa.

– A więc Cosgrove zabił ją za piętnaście tysięcy dolarów?

– Tak, oczywiście nie on osobiście zakatował ją na śmierć, ale to nie czyni go mniej odpowiedzialnym. Uważam, że zgodzi się zapłacić. A gdy tylko się dowiem, że inwigilacja została wdrożona, wyślę to gdzie trzeba.

– Ile zapłacili mu za ciebie?

Twardy i zimny ton jego głosu sprawił, że zamknięcie laptopa zajęło jej dłuższą chwilę.

– Miał hazardowe długi wysokości pięćdziesięciu tysięcy. Ilia je wykupił – nazywają je rewersami – on kupił te rewersy Cosgrove’a, a potem go nimi szantażował.

– A gdy nie zostałam... zlikwidowana?

– Opuścili mu połowę i wymogli, żeby resztę odpracował. Honorarium, mimo że żyłam, było znacznie wyższe niż za Anyę Rinki. Należy z tego wnioskować, że Korotkij jest dla Siergieja Wolkowa wart o wiele więcej niż Dimitrij Bardow.

Teraz Brooks przemówił z absolutną pewnością.

– Oni zapłacą, Abigail, zapłacą za to, co zrobili tobie, za Anyę Rinki i za innych. Przysięgam ci.

– Nie chcę, żebyś składał przysięgi, których może nie będziesz w stanie dotrzymać.

Ani na chwilę nie spuszczał z niej wzroku.

– Bez względu na to, ile to będzie wymagać wysiłku i ile potrwa.

Wzruszona i trochę przestraszona, wyjrzała przez okno.

– Zaczynamy schodzić do lądowania.

– Zdenerwowana?

– Nie. – Potrzebowała chwili, żeby się upewnić. – Nie, nie jestem zdenerwowana tym, co się wydarzy. Naprawdę zadziwiające, że jeszcze tak niedawno byłam pewna, że nigdy tego nie zdołam zrobić. A teraz jestem wręcz przekonana, że mogę i muszę. Różnica polega na tym, że... – Ujęła jego rękę, spłotła z nim palce. – Właśnie na tym.

– A to – zacisnął uścisk – jest cholernie ważne.

Zameldowała się na dobre pół godziny przed Brooksem, a więc zanim zapukał do drzwi, zainstalowała kamery i mikrofony w saloniku reprezentacyjnego apartamentu. W jego pokoju po przeciwnej stronie korytarza, dwoje drzwi dalej, ustawiła monitory, zainstalowała sprzęt.

Wystarczyła jej godzina na montaż i próby.

– Gdy nawiążemy kontakt, federalni na pewno umieszczą swoich ludzi w hotelu – stwierdził Brooks.

– Wiem. Ale im szybciej, tym lepiej. Nie ma nic więcej do zrobienia – stwierdziła. – Żadnych dalszych środków ostrożności. Dzwońmy.

Musiała czekać sama, ale świadomość, że on obserwuje ją na monitorze, dodawała jej otuchy. A więc czekając, pracowała, i gdy uzyskała potwierdzenie o zgodzie na podsłuch i dostęp do poczty Keegana i Cosgrove'a, zaprogramowała dwugodzinne opóźnienie – wystarczająco długie, aby zdążono wdrożyć inwigilację – na wysłanie maila z ofertą



szantażu.

Kamyk w rzece, pomyślała, patrząc prosto w kamerę, i uśmiechnęła się.

Ponieważ monitorowała sytuację, dokładnie wiedziała, kiedy samolot, na którego pokładzie znajdowali się dyrektor Gregory Cabot i agentka specjalna Elyse Garrison, wystartował, kierując się na lotnisko Dulles.

– Są w drodze – powiedziała głośno. – Powinni wylądować za jakąś godzinę i czterdzieści minut. – Sprawdziła zegarek i obliczyła. – Oceniam, że przyjadą do hotelu o dziesiątej. Być może będą woleli obserwować i czekać do rana, ale myślę, że pojawią się u mnie wieczorem, ponieważ w ten sposób zachowają kontrolę w swoich rękach, a przynajmniej będą w to wierzyć.

Wstała, żałując, że nie może odsunąć zasłon. Przy odpowiednim spręcie, właściwym kącie obserwacji mogli ją podglądać z okien sąsiedniego budynku.

– Zamówię jakiś posiłek. Stworzę im sposobność wprowadzenia tu tajnego agenta przebranego za kelnera. Będzie mógł mi się przyjrzeć i zerknąć na pokój. Potwierdzenie, że jestem sama, może im się przydać.

Zamówiła sałatkę, dużą butelkę wody, czajniczek herbaty. Przypuszczając, że tak robią inni samotni goście hotelowi, nastawiła cicho telewizor i kontynuowała jednostronną rozmowę z Brooksem, znajdując w tym dziwną intymność.

Sprawdziła makijaż i perukę – chociaż najchętniej by się pozbyła wszelkich rekwizytów – i po namyśle poruszyła pościel na łóżku, żeby wyglądało, że leżała przed telewizorem.

Gdy przyszedł kelner, otworzyła szeroko drzwi i wskazała gestem stolik.

Kelner był mocno zbudowanym mężczyzną, miał ciemne włosy i, jak zauważyła, wyostrzone spojrzenie.

– Przyjechała tu pani w interesach?

– Tak.

– Mam nadzieję, że znajdzie pani trochę czasu na rozrywkę. Smacznego – dodał, gdy podpisywała rachunek. – Jeśli jeszcze będzie czegoś potrzeba, proszę zadzwonić.

– Oczywiście. Dziękuję. Właściwie... gdy dyrektor i agentka specjalna Garrison się pojawią, mógłby pan przynieść wodę albo kawę, jeśli wolą.

– Słucham?

– Pańskie buty, pańskie oczy i broń pod kelnerską marynarką. Mam nadzieję, że przekaże pan dyrektorowi i agentce specjalnej, że jestem gotowa rozmawiać z nimi dziś wieczorem, jeśli im to odpowiada.

Wyraźny przekaz, że kontrola pozostawała jednak w jej gestii.

– Jeśli wolą trzymać mnie dłużej pod obserwacją, mogę poczekać do jutra, ale nigdzie się nie wybieram. Rozmowa już dziś wieczorem oszczędzi nam czas. Dziękuję za przyniesienie posiłku. Sałatka wygląda naprawdę apetycznie.

Popatrzył na nią długo i wymownie.

– Do usług, proszę pani – powiedział i zostawił ją samą.

– To nie był ani impuls, ani popisywanie się. Absolutnie. Czułam, że jeśli oni rozumieją, że ja też się na tym znam, będziemy mogli sprawniej przejść całą procedurę. Rozmowa z kelnerem z FBI to kolejny kamyk wrzucony do rzeki – dodała. – No, a teraz coś zjem. Ta sałatka naprawdę wygląda apetycznie.

Brooks, który siedział w swoim pokoju, pogryzając orzeszki z minibaru, pokręcił głową.

Co za kobieta!

Gdy skończyła, wystawiła tacę na zewnątrz. Mnóstwo odcisków

palców, jak również dostateczna ilość materiału DNA. Mogą sprawdzić jej odciski i zaoszczędzić jeszcze więcej czasu.

Usiadła i popijała herbatę, sprawdzając, czy w komputerze nie ma jakichś sygnałów alarmowych. Jakżeby chciała być już z powrotem w domu, w ogrodzie, z Brooksem i psem. Wreszcie wiedziała, naprawdę wiedziała, co oznacza tęsknota za domem.

Gdy rozległo się pukanie, wyłączyła laptop, wstała, podeszła do drzwi i popatrzyła przez judasz na drobnego mężczyznę oraz atletycznie zbudowaną kobietę.

– Słucham?

– Elizabeth Fitch?

– Możecie pokazać identyfikatory, tak żebym je wyraźnie zobaczyła. – Oczywiście znała ich twarze, ale rezygnacja z tego kroku byłaby nieostrożnością. Otworzyła drzwi. – Proszę, wejdźcie.

– Dyrektor Cabot – mężczyzna przedstawił się, wyciągając rękę.

– Dziękuję, że przyszliście. Agentko Garrison, miło mi poznać panią osobiście.

– Wzajemnie, panno Fitch.

– Elizabeth, proszę, a najlepiej Liz. Usiądźmy. Może kawę?

– Powiedziano nam, że już pani zamówiła. – Cabot lekko się uśmiechnął. – Jest w drodze. Koledzy nabijają się z tego agenta.

– Przepraszam. Spodziewałam się, że kogoś przyślecie na przeszeptę, jeśli nadarzy się sposobność.

– Długo udawało się pani unikać radaru.

– Chciałam pozostać wśród żywych.

– A teraz?

– Chcę żyć. Zaczęłam rozumieć różnicę.

Cabot skinął głową.

– Chcemy nagrać to spotkanie.

– Ja też wolę, żebyście nagrali.

– Agentko Garrison, proszę włączyć sprzęt, ja otworzę – powiedział, słysząc pukanie do drzwi.

Garrison wyjęła laptop z torby.

– Chciałabym spytać, dlaczego wybrałaś właśnie mnie na swój kontakt?

– Oczywiście. Masz wzorcową przeszłość. Pochodzisz z przyzwoitej rodziny, wyróżniałaś się w szkole, znajdowałaś czas na ponadprogramowe zajęcia, jak również nawiązałaś głębokie przyjaźnie. Doszłam do wniosku, że jesteś zorganizowana, inteligentna i masz silnie wykształcone poczucie dobra i zła. Szukałam właśnie kogoś takiego. Dodatkowo, śledząc przebieg twoich studiów w Quantico, a potem w Chicago, doszłam do wniosku, że jesteś ambitna i chcesz osiągnąć sukces oraz awans dzięki własnym zasługom. Masz zdrowy szacunek dla autorytetów i hierarchii służbowej. Potrafisz naginać zasady, ale cenisz je jako podstawę systemu, a sam system jako drogę do sprawiedliwości.

– Wow!

– Przepraszam, że moja inwigilacja naruszyła twoją prywatność. Usprawiedliwiałam to pragnieniem służenia jako źródło w sprawie mafii Wołkówów. Cel uświęca środki. Często jest to wymówka do czynienia zła, ale w tym wypadku, w tamtym czasie, byłam przekonana, że to moja jedyna opcja.

– Nalać kawę, panie dyrektorze?

– Już mam.

Abigail milczała chwilę, dokonując samooceny. Nerwy, tak, przyznała.

Jej puls bił gwałtownie, ale daleko jej było do paniki.

– Przypuszczam, że na podstawie odcisków z naczyń sprawdziliście moją tożsamość.

Na twarzy Cabota znów pojawił się nikły uśmiezek.

– Prawidłowo pani przypuszcza. Agentko?

– Tak, szefie. Jesteśmy gotowi.

– Proszę potwierdzić swoje imię i nazwisko.

– Elizabeth Fitch.

– Panno Fitch, skontaktowała się pani z FBI poprzez pośrednika, wyrażając chęć złożenia zeznań dotyczących wypadków, które wydarzyły się latem i jesienią dwutysięcznego roku.

– To prawda.

– Mamy pani pisemne oświadczenie, niemniej jednak dla potrzeb tego nagrania, proszę opowiedzieć o tych wypadkach raz jeszcze własnymi słowami.

– Dobrze. Trzeciego czerwca dwutysięcznego roku pokłóciłam się ze swoją matką. To ważne, ponieważ przedtem nigdy się z nią nie kłóciłam. Moja matka miała i jak podejrzewam, ma nadal dominującą osobowość. Ale tego dnia przeciwstawiłam się jej żądaniom oraz rozkazom, a to zapoczątkowało cały łańcuch wydarzeń.

Gdy Brooks ponownie słuchał jej relacji, serce rozrywało mu współczucie dla tej młodej, zdesperowanej dziewczyny. Starannie dobierała słowa, ale teraz już ją znał. Znał te krótkie pauzy, gdy walczyła o opanowanie, subtelne zmiany w modulacji głosu, w rytmie oddechu.

Ileż razy jeszcze będzie musiała to powtarzać? – zastanawiał się. Przed prokuratorem, sędzią i ławą przysięgłych. Ile razy będzie musiała to przeżywać?

Ile razy będzie rozpoczynała i przerywała, rozpoczynała i przerywała, gdy słuchacz zada jej pytania, domagając się wyjaśnień.

Ale nie wahała się.

– Agenci Cosgrove i Keegan oświadczyli zgodnie, i większość dowodów to potwierdza, że gdy weszli do bezpiecznego domu, aby objąć swoją zmianę, agentka Norton leżała na podłodze, a oni zostali ostrzelani i odpowiedzieli ogniem w kierunku nieznanej osoby lub osób. Nie byli wówczas w stanie wejść na pierwsze piętro. Ponieważ Cosgrove został ranny, Keegan wyniósł go na zewnątrz. Gdy zadzwonił po pomoc, zauważył, że ktoś ucieka z miejsca zdarzenia. Ze względu na burzę i ograniczoną widoczność nie mógł rozpoznać tej osoby. W tym momencie bezpieczny dom eksplodował z powodu, jak to stwierdzono później, celowego uszkodzenia instalacji gazowej.

– Tak. – Z nadzieją, że wygląda na spokojną, Abigail skinęła głową do Cabota. – To dokładne streszczenie ich zeznań. Kłamali.

– Twierdzi pani, że dwóch agentów US Marshals złożyło fałszywe raporty?

– Oświadczam pod przysięgą, że tych dwóch mężczyzn, działając w zмовie z organizacją Wołkowów zabiło agentów Theresę Norton i Johna Barrowa.

– Panno Fitch...

– Chciałabym dokończyć. William Cosgrove i Steven Keegan zgodnie z wytycznymi bratwy Wołkowów zamierzali mnie zabić, abym nie zdążyła zeznać przeciwko Jakowowi Korotkijowi i pozostałym. Spowodowali wybuch, żeby zatrzeć ślady zbrodni. Przysięgam również, że obydwaj nadal pozostają na liście płac Wołkowów. John Barrow umarł na moich rękach, starając się mnie chronić. Oddał za mnie życie. Ocalił mnie, rozkazując mi,

żebym uciekała. Gdyby tego nie zrobił, zginęłabym w tym domu. – Podniosła się, podeszła do leżącej na łóżku otwartej walizki i wyjęła zapieczętowaną torbę. – Tu jest sweterek i bluzeczka. Tego wieczora Terry podarowała mi je na urodziny. Przed przyjazdem Cosgrove’a i Keegana poszłam na górę, żeby je włożyć. Miałam je na sobie, gdy podtrzymałam Johna, krwawiącego z wielu ran postrzałowych. Oto jego krew. To krew Johna.

Głos jej się załamał, a potem ucichł zupełnie. Podała torbę Garrison.

– John i Terry zasługują na sprawiedliwość – ciągnęła – a ich rodziny na poznanie prawdy. Dużo czasu zajęło mi znalezienie w sobie odwagi, żeby ją wyjawić.

– Nie ma żadnego konkretnego dowodu na to, kto tamtego dnia rozpoczął strzelaninę, ale powtarzam, są dowody, które można zinterpretować tak, że młoda dziewczyna przeżyła załamanie nerwowe i starając się wyplątać z tej sytuacji, zabiła swoich opiekunów.

Abigail znów usiadła i splotła ręce na kolanach.

– Pan w to nie wierzy. Nie wierzy pan, że mogłam zaatakować i zabić dwoje doświadczonych agentów, zranić kolejnego, wysadzić dom, a potem uciec. Na pewno jest to możliwe, ale kompletnie nielogiczne.

– John Barrow nauczył panią obchodzenia się z bronią i strzelania z pistoletu – zauważył Cabot.

– Tak, i zrobił to bardzo dobrze, zważywszy, jak niewiele mieliśmy czasu. Poza tym otrzymałam z mojego funduszu pięć tysięcy dolarów, o które poprosiłam – dodała, uprzedzając słowa Garrison. – Chciałam mieć poczucie bezpieczeństwa oraz iluzję niezależności. Wiem, że wybuch zniszczył część dowodów, ale mogliście zrekonstruować wypadki. Wiecie, że Terry zginęła w kuchni, a John na piętrze. Na podstawie ich raportów oraz oświadczeń przedstawicielki urzędu do spraw dzieci, którą mi przydzielono, wiecie, że

nie wykazywałam oznak takiego rodzaju stresu.

Znów przerwała, by po chwili kontynuować.

– Jeśli przyjrze się bliżej mojej rodzinie, mojemu życiu przed tamtym czerwcem, powinniście również wiedzieć, że w rzeczywistości byłam wówczas szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu.

– Jeśli Cosgrove i Keegan są odpowiedzialni za śmierć agentów Norton i Barrowa, zostaną postawieni przed sądem. Pani zeznanie w sprawie morderców Aleksieja Gurewicza i Julie Masters oraz śmierci agentów US Marshals jest niezmiernie ważne dla tego śledztwa. Będziemy musieli umieścić panią w bezpiecznym miejscu i przewieźć z powrotem do Chicago.

– Nie.

– Panno Fitch, jest pani istotnym świadkiem i podejrzaną.

– Dalsze podejrzewanie mnie zakrawa na niebezpieczną naiwność, i wszyscy o tym wiemy. Jeśli obejmiecie mnie programem ochrony świadków, skażecie mnie na śmierć. Niezależnie od podjętych środków ostrożności, oni mnie dopadną.

– Elizabeth, Liz – odezwała się Garrison, pochylając się do przodu. – Zaufałaś mi, przekazując zasadnicze informacje, które doprowadziły do aresztowań i wyroków skazujących. Zaufaj mi teraz. Osobiście zajmę się twoją ochroną.

– Nie chcę być odpowiedzialna za twoją śmierć ani za ból twoich rodziców. Zaręczam, że jeśli pozostanę przy życiu, znów ucieknę. A potrafię się ukrywać. Nigdy nie doczekacie się moich zeznań.

– Musisz uwierzyć, że nie pozwolimy, żeby coś ci się stało.

– Nie uwierzę. Komu moglibyście powierzyć moje życie? Agentowi Pickto?

Garrison wyprostowała się.



– O co chodzi z Pickto?

– Agent specjalny Anthony Pickto, trzydzieści sześć lat, przydzielony do biura w Chicago. Rozwiedziony, bezdzietny. Jego słabością są kobiety. Podniecają go tym bardziej, im bardziej mu się opierają. Dostarczał informacji na temat śledztw w zamian za dostęp do kobiet, które Wołkowowie sprowadzają do Stanów z Rosji, a potem zmuszają do prostytucji. Również mu płacą, ale to drugorzędna sprawa. Teraz usiłuje się dokopać do kontaktów FBI, do twoich kontaktów, agentko Garrison. Jest coraz bliżej. Jeśli dowie się, kto otrzymuje informacje prowadzące do tych aresztowań i policyjnych nalotów, dopadną cię. Będą cię przepytawać, torturować, gwałcić. Będą grozić torturowaniem i śmiercią wszystkich, których kochasz, i być może wybiorą jedną osobę, żeby ci zademonstrować, że to nie żarty. A gdy przestaniesz im być potrzebna, zabiją cię. Agent Pickto panu składa raporty, dyrektorze.

– Tak – potwierdził Cabot. – To prawda. Wnosi pani bardzo poważne oskarżenia przeciwko agentowi cieszącemu się dobrą opinią.

– To nie są oskarżenia, tylko fakty. Między innymi dlatego nie oddam mojego życia w wasze ręce. Pomogę wam wyeliminować szpiegów, pomogę rozbić organizację Wołkówów, ale nie zdradzę swojego adresu. Nie znając go, nie będziecie mogli go wyjawić pod przymusem. – Sięgnęła do kieszeni i wyjęła pendrive'a. – Proszę sprawdzić informacje, które powiązałam z Pickto, a potem zadać sobie pytanie, czy przed ich przeczytaniem i sprawdzeniem nie powierzyłby pan przypadkiem temu właśnie człowiekowi mojego życia, życia tej agentki i innych pozostających pod waszą komendą, jak również tych z Marshals Service?

Nigdy byście mnie nie znaleźli, gdybym do was nie przyszła – ciągnęła.

– Dam wam wszystko, czego potrzebujecie, a proszę tylko o jedno: pozwólcie

mi żyć. Pozwólcie żyć Elizabeth Fitch, żeby pomogła uzyskać sprawiedliwość dla Julie, Terry i Johna. A gdy to zrobi, pozwólcie jej umrzeć.

– Nie mogę obiecać, że postąpimy tak, jak pani chce. Są ludzie, którym podlegam.

Ogarnęło ją zniecierpliwienie.

– Myślicie, że przyszedłabym do was, gdybym nie sprawdziła, że możecie zatwierdzić dokładnie taki plan, o jaki proszę? Ma pan władzę, panie dyrektorze, dowody i znaczące wpływy. Zastosujemy mój plan i Wołkowowie będą skończeni w Chicago, Nowym Jorku, New Jersey i Miami. Pozbędziecie się agentów, policjantów i urzędników sądowych, którzy dla nich pracują, czy to z wyboru, czy ze strachu.

Nie mogąc dłużej usiedzieć na miejscu i udawać spokoju, którego nie czuła, Abigail poderwała się z miejsca.

– Miałam szesnaście lat i nie potrafiłam ocenić sytuacji. Byłam lekkomyślna. Podczas jednej nocy w życiu złamałam zasady. Ale nie zasługuję, żeby z tego powodu zginąć, tak samo jak Julie na to nie zasługiwała. Jeśli zabierzecie mnie wbrew mojej woli, sprawa przedostanie się do prasy. Wszyscy będą pisać o młodej dziewczynie, która po dwunastu latach ukrywania się sama zaproponowała pomoc, wiele przy tym ryzykując.

– Czy to groźba?

– Tak, groźba. Zła prasa nie ucieszy pańskich przełożonych, zwłaszcza w czasie, gdy pracują nad rozbiciem bratwy Wołkówów, a zaufani agenci, tacy jak Pickto, wydają się być z nią powiązani. Być może posłużenie się tym argumentem przed swoimi szefami zwiększy pańską siłę przekonywania.

– Proszę przerwać nagranie, agentko Garrison.

– Tak, szefie.

– Muszę zadzwonić. – Powiedziawszy to, wyszedł z pokoju.

Abigail znów usiadła, złożyła ręce na kolanach i odchrząknęła.

– Może jeszcze zamówić kawę?

– Nie, ja dziękuję. Ostro grasz, Liz.

– Gram o życie.

– Taak. Pickto. Jesteś pewna?

– Nie wystawiałabym bezzasadnie na szwank czyjegoś nazwiska, reputacji i kariery.

– W porządku. On zadawał pewne pytania. Nic nadzwyczajnego, nic, co by mnie zaniepokoiło, ale słyszałam, że pytał o ostatnie dwa naloty na Wołkowów. I gdy pomyślę o tych pytaniach w tym kontekście, to zaczyna mnie mocno niepokoić. – A po chwili przyznała: – Ufałam mu.

– Oczywiście.

– Wiesz, jeśli nakażą cię sprowadzić, Cabot ukryje cię bardzo starannie. Chcę, żebyś wiedziała, że jeśli do tego dojdzie, ja będę cię chronić.

– Jeśli mnie zatrzyma, ucieknę, nawet jeśli zamknie mnie na cztery spusty. Znajdę sposób. Nigdy więcej mnie nie zobaczycie. Nigdy się już do was nie odezwę.

– Wierzę ci – powiedziała Garrison.

– Potrafię być bardzo pomysłowa.

Cabot wrócił dopiero po dwudziestu minutach.

– Sądzę, że możemy wypracować kompromis – rzekł, siadając.

– Doprawdy?

– Zdaniem dwóch wysoko postawionych urzędników, znanych tylko mnie, należy cię chronić w miejscu, które tylko ja będę znał.

– A gdy oni się dowiedzą, a dowiedzą się na pewno, że pan ma tę informację, i porwą pańską żonę albo jedno z dzieci, gdy przyślą panu rękę albo ucho, kogo pan ocali?

Cabot zacisnął pięści.

– Masz kiepską opinię o naszym systemie ochrony świadków.

– Mam pański adres, wiem, do której szkoły chodzą pańskie dzieci, gdzie pracuje żona, gdzie lubi robić zakupy. Nie sądzi pan, że gdy poczują zagrożenie, pozyskają te same informacje, używając wszelkich możliwych sposobów dostępu? Będę współpracować – ciągnęła. – Będę rozmawiać z prokuratorami, z pańskimi przełożonymi. Złożę zeznania w sądzie. Ale nie zgadzam się na pobyt w bezpiecznym domu i gdy to się skończy, nie będę objęta programem ochrony świadków. Oto moja cena, bardzo niska w porównaniu z tym, co oferuję.

– A jeśli zgodzimy się na to i będziemy dalej dociskać Wołkowów, a pani znów ucieknie?

Sięgnęła za siebie i podniosła torbę, w której trzymała zakrwawiony sweter.

– Sweter od Terry, krew Johna. Trzymałam go przez dwanaście lat. Gdziekolwiek pojechałam, kimkolwiek byłam, miałam go ze sobą. Muszę się z nim rozstać i przynajmniej z częścią bólu, żalu i poczucia winy. A nie mogę, dopóki nie zrobię tego, co należy, dla Julie, dla Johna i Terry. Będę utrzymywała z wami codzienny kontakt przez internet. Gdy ukaże się komunikat, że zostałam odnaleziona i będę zeznawać, staną na głowie, żeby namierzyć tego, kto wie, gdzie jestem, i kto mnie chroni. Ale niczego nie znajdą. A w dniu, gdy wejdę na salę sądową, to będzie ich koniec – dodała. – I koniec dla nas wszystkich. Taki proponuję układ.

Gdy w końcu wyszli, położyła się na łóżku.

– Czy on dotrzyma słowa? – Zamknęła oczy, wyobrażając sobie, że Brooks jest z nią, a nie tylko patrzy na monitor. – Dotrzyma? Jestem taka zmęczona. Cieszę się, że tu jesteś. Dokładnie tu – powiedziała, zaciskając

dłoń w pięść i kładąc ją na sercu.

Brooks przyglądał się, jak zasypia, i pomyślał, że jeśli Cabot nie dotrzyma słowa, to będzie piekielnie drogo kosztowało. I on wyegzekwuje zapłatę.

Ale tymczasem stał i przyglądał się śpiącej Abigail.

## 30

Brooks zauważył agentów FBI, ledwie zasiadł do śniadania w hotelowym bufecie. Zerknął na Abigail, która siedziała sama przy pojedynczym stoliku, czytając gazetę. Obojętnie rozejrzał się po sali i, jak przystało na zajętego człowieka w podróży, udawał, że dzwoni i odpowiada na telefony. Z telefonem przy uchu, skierował się z torbą podróżną na zewnątrz.

Po drodze nacisnął alarm przeciwpożarowy.

Przystanął, tak jak zrobiłby każdy – zaskoczony, lekko zniecierpliwiony – i obserwował, jak ludzie w bufecie podrywają się od stolików, słyszał narastający gwar, gdy wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

Była w tym naprawdę dobra, zauważył Brooks. Abigail wtopiła się w podniecony tłum. Gdy wmieszał się pomiędzy nią i śledzących ją agentów, dołączając do grupy podekscytowanych ludzi, skrzyła nagle w bok i zniknęła w łazience. Gdyby jej nie obserwował, gdyby nie znał planu, niczego by nie zauważył.

Na moment zwolnił kroku.

– Alarm przeciwpożarowy – powiedział do telefonu. – Nie, nie spóźnię się – dodał, jako że znalazł się za plecami agentów. Włożył telefon do kieszeni i wyciągnął z torby czapkę z daszkiem. Ciągłe posuwając się do

przodu, założył okulary słoneczne, schował do torby marynarkę, którą miał na sobie w bufecie, wyciągnął pasek torby, a potem zarzucił ją na ramię.

Szukali jej, zauważył Brooks; jeden z agentów cofnął się i lustrował wzrokiem tłum, skupiając się na holu i głównym wyjściu.

Nie minęły dwie minuty, jak wyslizgnęła się z toalety i dołączyła do niego. Na długie blond włosy uczesane w koński ogon nasadziła taką samą jak on czapkę. Miała na sobie różową bluzę z kapturem, na nogach klapki, i pozbyła się dobrych pięciu kilogramów.

Wyszli razem, trzymając się za ręce, a potem oddzielili się od tłumu i wsiedli do taksówki.

– Lotnisko Dulles – rzucił Brooks do kierowcy. – American Airlines.

– Myślisz, że to prawdziwy pożar? – spytała Abigail z lekkim akcentem nowojorskim.

– Nie wiem, kochanie, ale to już za nami.

Na Dulles wysiedli przed krajowym terminalem, weszli do środka, pokręcili się trochę, po czym następną taksówką odjechali na terminal, z którego odlatywały prywatne czartery.

– Trudno obwiniać federalnych, że chcieli cię śledzić – skomentował Brooks, gdy już usadowili się na pokładzie.

– Na pewno.

– A poza tym seksowna z ciebie blondynka.

Uśmiechnęła się lekko, a potem otworzyła laptop.

– Cosgrove odpowiedział.

– Już? – Brooks pochylił głowę.

*Nie wiem, kim jesteś, ale chyba zdajesz sobie sprawę, że próbujesz szantażować agenta federalnego. W tej sprawie zostanie wszczęte natychmiastowe śledztwo.*

– Standardowy blef w pierwszym rozdaniu?

– Tak – zgodziła się Abigail. – Można to tak określić. – Podniosła wzrok. – Bardzo dobrze gram w pokera i to doprawdy ironia, że właśnie on mnie nauczył.

Brooks patrzył na tekst, pojawiający się na ekranie.

– Uczeń przerósł mistrza.

*Rudolf Jankiwicz był w tamtym czasie twoim kontaktem z Wołkowami. Obecnie odsiaduje dziesięć do piętnastu lat w Joliet. Twego dowódcę na pewno zainteresuje ta informacja. Cena wzrosła już do 75 000 i będzie rosła o 25 000 po każdej kupie gówna, którą jeszcze napiszesz. Zostało ci tylko trzydzieści siedem godzin.*

– Kupa gówna?

– Tak, uważam, że ostry język jak najbardziej tu pasuje.

– Bardzo cię kocham.

Uśmiechnęła się.

– Umiem to powiedzieć w kilku językach. Nauczę cię.

– Czekam z niecierpliwością.

Wysłała maila i westchnęła.

– Nie mogę się doczekać, aż odbiorę Berta i wrócimy do domu.

Oby tak było zawsze – tak będzie – poprawiła się, siedząc na tylnym ganku z kieliszkiem wina i psem u stóp.

Spokojnie, cicho, ale już nie samotnie, ponieważ Brooks siedział na drugim fotelu ogrodowym, który kupił po drodze do domu.

– Myślisz, że się do tego przyzwyczaję? Do poczucia bezpieczeństwa? Do bycia jedną osobą, do twojej codziennej obecności?

– Mam nadzieję, że tak, aż w końcu uznasz to wszystko za oczywiste.

– Nie mogę sobie tego wyobrazić. – Sięgnęła po jego rękę. – Teraz to

już pójdzie szybko.

– Będziemy gotowi.

Siedziała jeszcze przez chwilę, z dłonią w jego dłoni, patrząc na kwitnący ogród i cichy las. Zwykły ciepły wieczór, pomyślała, gdy wiosna przechodzi w lato.

– Zaraz zrobię kolację.

– Nie musisz się trudzić. Możemy przegryźć byle co.

– Mam ochotę coś ugotować. Lubię rutynę. Codziennosc.

Gdy na nią spojrział, zobaczyła w jego oczach zrozumienie.

– Codziennosc brzmi zachęcająco.

Jej zdaniem tylko ktoś nieprzywykły do codzienności mógł w pełni docenić jej wartość.

Wyjęła potrzebne produkty, zadowolona, że wszedł do kuchni i usiadł przy blacie, żeby jej towarzyszyć. Pokroiła pomidory i bazylię, rozgniotła czosnek, porwała na kawałki mozzarellę, dodała świeżo zmielony pieprz i polała wszystko oliwą, żeby się zamarynowało. Z upodobaniem zaczęła przygotowywać tacę z dekoracyjnymi przystawkami.

– Pomyślałam, że możemy wziąć drugiego psa, szczeniaka, żeby Bert miał towarzystwo. Możesz wymyślić mu imię, ponieważ ja nazwałam Berta.

– Dwa psy, jak najbardziej. – Zastanowił się. – To musi być Emie.

– Dlaczego?

Podkradł ostrą papryczkę z tacy.

– Bert i Emie. Muppety. *Ulica Sezamkowa*.

– Aha. To ten program dla dzieci. Bert i Emie są przyjaciółmi?

– Może nawet czymś więcej, ale ponieważ to program dla dzieci, uznajmy, że się tylko przyjaźnią.

– Nazwałam Berta na cześć Alberta Einsteina.



- Powiniennem się domyślić.
- On jest bardzo inteligentny.

Jej komputer wydał dźwięk.

– Przyszedł mail – powiedziała i natychmiast oderwała się od codzienności. Podeszła do komputera, pochyliła się nad ekranem. – Od Cosgrove’a.

- Złapał przynętę.

*Szantażowanie mnie oznacza szantażowanie Wołkowów. Nie pożyczysz tak długo, żeby wydać te pieniądze. Wycofaj się więc, żeby żyć.*

– Ta odpowiedź łączy go z Wołkowami. Oczywiście to jeszcze nie dowód, ale zawsze jakiś początek.

- Pozwól, że ja odpiszę – poprosił Brooks i usiadł przy klawiaturze.

– Och... – Po chwili niepewności Abigail skinęła z aprobatą. – Bardzo dobre.

*Jeśli powiesz Wołkowom, że cię szantażują, staniesz się dla nich ciężarem. Oni likwidują tych, którzy są niepotrzebni. Zapłać teraz, żeby żyć. Zapłata wynosi już 100 000 dolarów. Masz dwadzieścia dziewięć godzin.*

- Ja to prześlę.

Ustał jej miejsca; stojąc za nią, masował jej ramiona, podczas gdy ona wyprawiała jakieś dziwne cuda na klawiaturze.

- Teraz on może uznać to za blef. Może przeczekać ostateczny termin.

- Nie zrobi tego. – Brooks pochylił się i pocałował ją w czubek głowy.

– Posłużył się Wołkowami jako ostatecznym argumentem. On już się poci. W następnej odpowiedzi będzie się domagał gwarancji. Skąd może być pewien, że nie zażądamy więcej?

– To irracjonalne. – Po wysłaniu maila obróciła się na krześle i popatrzyła na Brooksa. – To wszystko jest nieuczciwe, to naciskanie. Żądanie

gwarancji jest nielogiczne i będzie go kosztowało kolejne dwadzieścia pięć tysięcy. Nie pozostaje mu nic innego, jak zgodzić się na zapłatę albo zignorować dalsze wiadomości.

– Założmy się o dodatkowe dziesięć dolarów.

– Słucham?

– Stawiam dziesięć dolarów, że wróci, skomląc o gwarancję.

Ściągnęła brwi.

– Chcesz zakładać się o jego odpowiedź? To niezbyt stosowne.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Boisz się poprzeć swoje słowa czynem.

– Co za dziwaczne wyrażenie, ale nie, nie boję się. A więc stawiam dziesięć dolarów.

Pociągnął ją do góry, wziął w ramiona i zaczął kołysać w tańcu.

– Co robisz?

– Sprawdzam, czy będziemy ładnie wyglądać, tańcząc na weselu.

– Jestem bardzo dobrą tancerką.

– Owszem, jesteś.

Położyła głowę na jego ramieniu i przymknęła oczy.

– Powinnam czuć się dziwnie, tańcząc bez muzyki i robiąc zakłady, podczas gdy aranżujemy coś tak ważnego.

– Tak uważasz?

– Nie, właściwie nie. – Gdy komputer zasygnalizował przyście maila, zaskoczona otworzyła oczy. – Jak szybko.

– Jest na krawędzi. Musi ściąć piłkę.

– Nie rozumiem...

– Bejsbol. Wyjaśnię ci później. Zobaczmy, co ma nam do powiedzenia.

*Skąd mam wiedzieć, że nie wrócisz po więcej? Jaką mam gwarancję?*

*Zawrzyjmy układ.*

– Głupia odpowiedź – uznała Abigail rozczarowana.

– Kosztuje cię dziesięć dolarów. Odpowiedz zwięźle. Napisz: Nie masz żadnej. Żadnych układów. Stawka wzrosła do stu dwudziestu tysięcy, zegar tyka.

Przez chwilę badawczo mu się przyglądała: lekko garbaty nos, orzechowe oczy – teraz w odcieniu bardziej zielonkawym niż bursztynowym – zmierzwione czarne włosy, domagające się strzyżenia.

– Myślę, że jesteś mistrzem w wywieraniu nacisku.

– Dzięki, kochanie.

– Nastawię makaron, gdy on się będzie zastanawiał. Myślisz, że teraz to robi? Zastanawia się?

– Poci się, nalewa sobie drinka, próbuje zgadywać, kto go wrabia. – Och tak, doskonale to sobie wyobrażał. – Prawdopodobnie myśli o ucieczce. Nie ma dość czasu na opracowanie planów, a więc zapłaci i dopiero potem zacznie coś kombinować.

Włożył do ust oliwkę z półmiska stojącego na blacie, a potem rozlał wino do kieliszków. A gdy Abigail odwróciła się do niego plecami, rzucił plasterk salami Bertowi.

Zanim ugotowała i odcedziła makaron, zadzwieczał kolejny sygnał.

*Jednorazowa zapłata. Zgłoś się po więcej, a zaryzykuję z Wołkowami. Wydawaj szybko, ponieważ cię dopadnę.*

– Czczą gadanina.

– Doskonale go rozpracowałeś – zauważyła Abigail.

– Część mojej pracy. Trzeba rozumieć złych facetów, żeby ich łąpać.

Gdzie ma przelać pieniądze?

– Założyłam specjalne konto. Gdy już zrobi przelew, przekażę

pieniądze na rzecz dzieci poległych policjantów.

– To godne pochwały i nie lubię odmawiać dzieciom, ale...

– Masz na myśli innego odbiorcę?

– Keegana. Czy możesz przelać pieniądze Cosgrove’a na konto Keegana?

– Och! – Twarz jej pojaśniała jak kobiecie obdarowanej rubinami. – Och, genialne!

– Miewam dobre pomysły.

– Ten jest więcej niż dobry. Obciąża ich obu. FBI będzie mieć powód, żeby ich przesłuchać.

– Kochanie, polegną z kretesem.

– Rzeczywiście. No więc, tak. Mogę to zrobić. Zajmie mi zaledwie kilka minut.

– Nie spiesz się. Pójdę z Bertem na spacer, a ty popracujesz.

Po drodze złapał jeszcze dwa plasterki pepperoni – jeden dla siebie, drugi dla psa. Ładny wieczór na małą przechadzkę, pomyślał. Sprawdzi postępy w ogrodzie i zastanowi się, co może zrobić, gdy będzie miał następny wolny dzień.

– Nasz dom – powiedział do psa. – To przeznaczenie, że tutaj przyjechała, i przeznaczenie, że ją spotkałem. Wiem, co by na to powiedziała. – Położył dłoń na głowie Berta i lekko go pogłaskał. – Ale nie ma racji.

Gdy Bert oparł się o jego nogę, tak jak to często robił przy Abigail, Brooks uśmiechnął się.

– Taak, my wiemy swoje, prawda?

Gdy przeszli naokoło, zobaczył, że Abigail z uśmiechem podchodzi do drzwi.

– Zrobione. Kolacja gotowa.

Stoi oto z bronią u pasa, z uśmiechem na twarzy, a makaron na stole, pomyślał, patrząc na nią z podziwem.

O tak, wiedział swoje.

– Chodź, Bert. Pójdziemy coś przekąsić.

Brooks spędził przed południem sporo czasu – jego zdaniem zbyt dużo – na rozmowie z oskarżycielem w sprawach Blake’ów.

– Młody Blake chce ugody – Wielki John Simpson, mający aspiracje do kariery politycznej i ugrzecznony jak zwykle, rozsiadł się w gabinecie Brooksa. Może nawet za bardzo rozgościł.

– I pan się na to zgadza?

– Oszczędność pieniędzy podatników. Przyzna się do napaści na oficera policji, stawiania oporu, naruszenia cudzej własności. Zamkniemy go za wandalizm w hotelu, za tamtą awanturę. Wszystko, co na niego mamy, to zakup niebezpiecznej broni. Nie zdołamy mu udowodnić usiłowania morderstwa. Dostanie od pięciu do siedmiu lat z obowiązkową resocjalizacją.

– Z czego odsiedzi dwa i pół, może trzy.

Wielki John skrzyżował nogi w kostkach, demonstrując swe lśniące jak lustro buty.

– Jeśli będzie się dobrze sprawował, sprostą wymaganiom. Zgoda?

– A mam inne wyjście?

Wielki John podniósł do ust filiżankę z kawą.

– Tylko pytam.

To fakt, że nie udowodnią mu usiłowania morderstwa, przyznał Brooks w duchu. Liczył, że dwa lata za kratkami dokonają jednej z dwóch rzeczy: albo Justin Blake znajdzie się w połowie drogi do zostania przyzwoitym człowiekiem, albo dopełni się jego upadek.

Jakkolwiek by było, na dwa lata Bickford się od niego uwolni.

– Mogę z tym żyć. A co ze starym?

– Prawnicy z wielkiego miasta potężnie zamają, ale w tym wypadku możemy im się przeciwstawić. Mamy billing telefonu, z którego wynika, że Blake dzwonił do Tybala Crewa. I trzech niezależnych świadków, którzy w tym dniu widzieli pikapa Crewa przed jego domem. Mamy zwróconą gotówkę, z odciskami palców Blake'a na wielu banknotach. – Przerwał na moment i przełożył skrzyżowane nogi. – On twierdzi, że wynajął Tya do jakiejś roboty wokół domu i zapłacił mu z góry, ponieważ Ty potrzebował pieniędzy.

– *Kosseh sher.*

– Co pan mówi?

– Gównno prawda w farsi.

– Jestem pod wrażeniem. – Wielki John zachichotał. – Taak, to gównno prawda w każdym języku. Możemy sprowadzić dwa tuziny świadków, którzy przysięgną, że Blake nigdy nie płaci z góry, nie używa gotówki i zawsze żąda pokwitowania. To prawda, że Ty był na koniec totalnie zalany, ale ani trochę nie zmienił swojej opowieści. A więc... – Wzruszył ramionami i wypił więcej kawy. – Jeśli Lincoln Blake chce mieć proces, nie mam nic przeciwko temu. Będzie niezłe widowisko. Jest oskarżony o nakłanianie do zamordowania oficera policji. Jego prawnicy zapragną ugody, zanim proces się skończy. Tak czy owak, to pewne, że pójdzie siedzieć.

– Z tym też mogę żyć.

– No to świetnie. – Wyprostował swoją prawie dwumetrową postać. – Zawrę ugodę z adwokatem chłopaka. Aresztując ich, wykonał pan dobrą, czystą robotę.

– To powinna być dobra, czysta robota.

– Byt a powinność, to nie zawsze to samo. Odezwę się.

To prawda, pomyślał Brooks. Wolałby już wrócić do tej zwykłej, czystej roboty. Po prostu. Całą resztę, niezależnie od tego, jak chwilami bywała intrygująca, chciałby już mieć z głowy.

Codziennosc, tak mawiała Abigail. Zaskoczyło go, jak bardzo nauczył się cenić codzienność.

Wyszedł z gabinetu. Alma siedziała w dyżurce, ołówek miała wsunięty za ucho, a obok jej łokcia stała szklanka ze słodką herbatą. Ash tkwił za biurkiem i ze ściągniętymi brwiami stukał w klawiaturę. Z radia dochodził głos Boyda; składał raport o niegroźnym wypadku drogowym przed Rabbit Run przy Mills Head.

Tym właśnie będzie się zajmował w przyszłości. Na co dzień.

Weszła Abigail.

Poznał, że jest spięta, mimo że jej twarz na pierwszy rzut oka wydawała się pozbawiona wyrazu.

Alma powitała ją pierwsza.

– Cześć. Doszły mnie dobre wieści. Abigail, życzę ci wszystkiego najlepszego. Należysz teraz do rodziny. Brooks to naprawdę dobry człowiek.

– Dziękuję. Tak. Bardzo dobry. Witam, oficerze Hyderman.

– Och, po prostu Ash, proszę pani. Miło panią widzieć.

– Abigail. Teraz już Abigail. Przepraszam, że przeszkadzam, ale masz chwilę? – spytała Brooks.

– Nawet dwie. Wejdz.

Wziął ją za rękę i trzymał ją nadal za zamkniętymi drzwiami gabinetu.

– Co się stało?

– Wydarzyło się coś dobrego. – Zabrakło jej tchu. – Skontaktowała się ze mną Garrison. Jej raport jest bardzo zwięzły, zważywszy na okoliczności, ale treściwy.

– Abigail, wyduś to wreszcie.

– Och... Zatrzymali Cosgrove’a i Keegana. Są przesłuchiwani, co może potrwać jakiś czas. Nie wspomniała o szantażu, ale powiedzmy, że przejrzałam trochę ich wewnętrzną korespondencję. Naturalnie wierzą, że to Keegan szantażował Cosgrove’a, i będą naciskać ich obu. Ale co ważniejsze, aresztowali Korotki – ja i Ilię Wołkova. Korotkija za morderstwo Julie i Aleksieja, a Ilię za współudział.

– Usiądź, kochanie.

– Nie mogę. To się naprawdę dzieje! Poprosili mnie na spotkanie z prokuratorem federalnym i jego zespołem w celu przygotowania mnie do zeznań.

– Kiedy?

– Natychmiast. Mam pewien plan. – Ujęła jego obie dłonie i mocno ścisnęła. – Musisz mi zaufać.

– Opowiedz.

W jasny czerwcowy poranek, dwanaście lat i miesiąc od dnia, gdy była świadkiem morderstw, Elizabeth Fitch weszła na salę rozpraw. Ubrana w czarny kostium i białą bluzkę, bardzo delikatnie umalowana, miała tylko jedną ozdobę – parę ładnych kolczyków.

Zajęła miejsce dla świadków, złożyła przysięgę. I spojrzała prosto w oczy Ilii Wołkova.

W gruncie rzeczy niewiele się zmienił, pomyślała. Miał trochę bardziej zaokrągloną twarz i więcej ciała, a włosy modniej ostrzyżone. Nadal robił dobre wrażenie. Nadal był bardzo przystojny.

A pod spodem zimny. Teraz widziała to, czego nie dostrzegła jako młoda dziewczyna. Lód pod powierzchnią.

Uśmiechnął się do niej, a wtedy czas się cofnął, jakby stanął w miejscu,



jakby nie upłynęło tyle lat.

Na pewno uważał, że tym uśmiechem ją wystraszy. Ale zamiast tego przypomniała sobie wszystko bardzo dokładnie i wreszcie mogła wybaczyć sobie swoje zaślepienie, pod wpływem którego tamtej nocy całowała się z człowiekiem współwinnym morderstwa jej przyjaciółki.

– Proszę podać swoje imię i nazwisko.

– Nazywam się Elizabeth Fitch.

Opowiedziała historię, którą relacjonowała już nieskończoną liczbę razy. Nie pominęła żadnego szczegółu i, tak jak ją poinstruowano, nie okazywała żadnych emocji.

– Te wydarzenia miały miejsce dwanaście lat temu – przypomniał prokurator federalny. – Dlaczego tak długo czekała pani ze złożeniem zeznań?

– Złożyłam zeznania tamtej nocy. Rozmawiałam z detektywami Brendą Griffith oraz z Seanem Rileyem z Departamentu Policji w Chicago.

Oni również byli obecni na sali sądowej. Gdy na nich spojrzała, zauważyła, że dla potwierdzenia lekko skinęli głowami.

– Zostałam zabrana do bezpiecznego domu, a potem przekazana pod opiekę agentów z US Marshals Service, którzy przewieźli mnie w inne miejsce, gdzie przez trzy miesiące z powodu opóźniania procesu pozostawałam pod opieką Johna Barrowa, Theresy Norton, Williama Cosgrove'a i Lyndy Peski. Aż do wieczora w dniu swoich siedemnastych urodzin.

– Co się wtedy wydarzyło?

– Agenci Barrow i Norton zginęli, chroniąc mnie, podczas gdy agent Cosgrove i agent Keegan, który załatwił sobie zastępstwo za agentkę Peski, próbowali mnie zabić.

Tylko mocniej zacisnęła ręce, gdy rozległy się głosy sprzeciwu i drwiny.

Potem opowiedziała o sweterku i parze kolczyków, które dostała w prezencie. I o torcie urodzinowym. O krzykach i strzałach, o ostatnich chwilach z Johnem Barrowem oraz jego pożegnalnych słowach.

– On miał żonę i dwóch synów, których bardzo kochał. Był dobrym człowiekiem, miłym i odważnym. Oddał swoje życie, żeby mnie uratować. Wiedząc, że umiera, że nie może mnie ochronić, nakazał mi uciekać, ponieważ dwaj ludzie, którym ufał, dwaj ludzie, którzy złożyli taką samą jak on przysięgę, zdradzili. Nie mógł wiedzieć, czy byli jeszcze inni zdrajcy ani komu mogę zaufać prócz siebie. W ostatnich chwilach życia robił wszystko, aby mnie uchronić. A więc uciekłam.

– I przez dwanaście lat żyła pani pod fałszywym nazwiskiem i ukrywała się przed władzami?

– Tak i przed Wołkowami oraz przed tymi przedstawicielami władz, którzy z nimi współpracują.

– Co się zmieniło, pani Fitch? Dlaczego teraz pani zeznaje?

– Przez cały czas mojego ukrywania się ci dwaj, z powodu których zginęli John i Terry, żyli sobie bezpiecznie. Dopóki uciekałam, nie mogła ich osiągnąć sprawiedliwość ani nie mogłam zadośćuczynić pamięci Julie Masters. I życie, które ocalałam, było tylko połowicznym życiem. Chcę, żeby ludzie dowiedzieli się, co się stało naprawdę, i żeby moje życie było coś warte. Skończyłam z ukrywaniem się.

Nie zawahała się podczas krzyżowego ognia pytań. Przypuszczała, że ją zaboli, gdy zarzucą jej kłamstwo i tchórzostwo, gdy spróbują podważyć jej wiarygodność i motywy działania.

Ale tak się nie stało. Tym bardziej zdeterminowana, mówiła jeszcze

dosadniej, z większym przekonaniem. Ani na chwilę nie spuściła wzroku, a jej głos brzmiał mocno.

Po zakończeniu zeznań wyprowadzono ją pod eskortą do pokoju konferencyjnego.

– Wspaniale wypadłaś – powiedziała Garrison.

– Mam nadzieję.

– Byłaś twarda, dawałaś jasne odpowiedzi. Ława przysięgłych ci uwierzyła. Zobaczyli cię taką, jaka byłaś w wieku szesnastu, siedemnastu lat, tak samo wyraźnie, jak widzą cię teraz. Zmusiłaś ich, żeby cię taką zobaczyli.

– W takim razie ich skazą. Muszę w to wierzyć.

– Na pewno wpakowałaś ich do więzienia. Gotowa do wyjścia?

– Tak mi się wydaje.

Garrison wzięła ją pod ramię, mówiąc cicho:

– Bądź pewna. Wyprowadzimy cię bezpiecznie. Potrafimy cię ochronić.

– Dziękuję. – Wyciągnęła rękę do agentki. – Za wszystko. Jestem gotowa.

Garrison skinęła głową i odwróciła się, aby dać sygnał, że wychodzą. Włożyła do kieszeni pendrive'a, który wcisnęła jej do ręki Abigail, zastanawiając się, co na nim jeszcze znajdzie.

W otoczeniu ochroniarzy Abigail pospiesznie zmierzała do tylnego wyjścia, gdzie czekał samochód. Podjęto wszelkie środki ostrożności. Tylko wybrani agenci wiedzieli, którędy i kiedy opuści gmach sądu.

Kolana jej się trochę trzęsły i ktoś ją podtrzymał, gdy się potknęła.

– Spokojnie, panienko. Panujemy nad sytuacją.

Odwróciła głowę.

– Dziękuję, agent Pickto, nieprawdaż?

– Tak. – Pokrzepiająco ścisnął jej ramię. – Ochronimy panią.

Wyszła na zewnątrz i skręciła w stronę czekającego samochodu.

Brooks, pomyślała.

Strzał zabrzmiał jak uderzenie młota o kamień. Jej ciałem wstrząsnęło, krew zabarwiła białą bluzkę. Przez chwilę patrzyła, jak plama się powiększa. Czerwona na białym. Czerwona na białym.

Osunęła się u stóp osłaniającej ją Garrison, słyszała krzyki, zgiełk, czuła, jak ją podnoszą, jak coś gniecie ją w piersiach.

Brooks, zdążyła znów pomyśleć, a potem wszystko ucichło.

Na tylnym siedzeniu Garrison ochraniała swym ciałem Abigail.

– Jedź! Jedź! Jedź! – krzyczała do kierowcy. – Jazda stąd. Nie czuję pulsu, nie czuję pulsu. Trzymaj się, Liz. Jezu Chryste!

Brooks, pomyślała znów. Brooks. Bert... Jej piękny motyli ogród i to miejsce, gdzie świat otwierał się na wzgórza.

Jej życie.

Zamknęła oczy i odpłynęła.

O piętnastej szesnaste ogłoszono, że Elizabeth Fitch poniosła śmierć na miejscu.

Dokładnie o siedemnastej Abigail Lowery wsiadła na pokład prywatnego odrzutowca, lecącego do Little Rock.

– Boże! Boże... – Brooks obejmował jej twarz i całował ją. – Jesteś tu, jesteś.

– Powtarzaj to.

Przycisnął twarz do jej twarzy i ścisnął ją tak mocno, że ledwie mogła oddychać.

– Jesteś – powtórzył. – Mogę to powtarzać przez resztę życia.

– To był dobry plan. Mówiłam ci, że to świetny plan.

– Ale to nie ty pociągnęłaś za spust.

– Komu innemu mogłabym zaufać, żeby mnie zabił... żeby zabił Elizabeth?

– Strzelałem ślepym nabojem, a ręce nadal mi się trzęsą.

– Ledwie poczułam uderzenie przez kamizelkę.

Nadal ten moment przyprawiał ją o szok. Czerwona plama na białym tle, pomyślała znów. Nawet ze świadomością, że własnoręcznie uwolniła krew z kapsulek, ta rozprzestrzeniająca się plama szokowała.

– Garrison doskonale odegrała swą rolę, dyrektor również. Jechał jak szaleniec. – Roześmiała się, trochę lekkomyślnie. – Dzięki temu, że Pickto był na miejscu i złożył raport Wołkowom o śmierci Elizabeth, nie będą mieli powodu, aby w nią wątpić.

– A ponieważ trafiłaś na wiadomość o nagrodzie za swoją głowę, na pewno ktoś przypisze sobie tę zasługę. A nawet jeśli nie, najważniejsze, że wydano oficjalny komunikat. Elizabeth Fitch po złożeniu zeznań w sądzie federalnym została postrzelona i zmarła.

– Prokurator federalny był bardzo życzliwie nastawiony do Elizabeth. – Teraz Elizabeth odeszła, pomyślała. Pozwoliła jej odejść. – Przykro mi, że o mnie nie wie.

– Dzięki temu będzie jeszcze intensywniej pracował, żeby uzyskać wyroki skazujące.

– Oprócz ciebie tylko kapitan Anson, Garrison, dyrektor i lekarz z FBI, który stwierdził zgon Elizabeth, wiedzą, jak się sprawy mają. Wystarczająco dużo osób. Więcej niż tych, którym zaufałam w całym moim życiu.

Ponieważ miał ustawiczną potrzebą dotykania jej, podniósł jej rękę do ust.

– Żałujesz, że odeszła?

– Nie. Zrobiła, co należało, i mogła odejść usatysfakcjonowana. Teraz muszę w jej imieniu zrobić jeszcze jedną rzecz, ostatnią.

Abigail otworzyła laptop.

– Dałam Garrison pendrive’a z całym materiałem na Wołkowów. Ich finanse, kontakty, adresy, nazwiska, operacje. A teraz dla Elizabeth, dla Julie, dla Terry, dla Johna zamierzam im to wszystko zniszczyć.

Korzystając z adresu jego obecnej kochanki, wysłała krótkiego maila do Ili z seksowną treścią, podobną do tych, do których kiedyś uzyskała dostęp.

Załącznik nie pozostawi śladu. A to tylko część jego urody, pomyślała z dumą.

– Kiedy wirus zacznie działać?

– W momencie, gdy otworzy maila. Spodziewam się, że po siedemdziesięciu dwóch godzinach cały system ulegnie zniszczeniu, ale proces zacznie się od razu. – Westchnęła. – Wiesz, na co mam ochotę? Chciałabym po powrocie do domu otworzyć butelkę szampana. Mam jedną i wydaje się, że to odpowiednia okazja.

– Oczywiście. A ja mam jeszcze coś na dokładkę.

– Mianowicie?

– Niespodziankę.

– Jaka?

– Niespodzianka to niespodzianka.

– Nie wiem, czy lubię niespodzianki. Wolałabym... Och, popatrz! Już otworzył. – Z satysfakcją zamknęła laptop. – A więc niespodzianka.

## ***EPILOG***

Chciał zabrać szampana na jej ulubione miejsce z widokiem na wzgórze.

– Masz ochotę na piknik? Powinnam zapakować jedzenie?

– Wystarczy szampan. Chodź, Bert.

– On cię słucha, chodzi za tobą. Myślę, że cię lubi, bo podkradasz dla niego kaski ze stołu, gdy wydaje ci się, że nie widzę.

– Przyłapałaś mnie.

Roześmiała się i wzięła go za rękę.

– Lubię trzymać cię za rękę, gdy spacerujemy. Lubię tak wiele rzeczy. Lubię być wolna. Jestem wolna dzięki tobie.

– Nie, nie dzięki mnie.

– Masz rację, nie wyraziłam się precyzyjnie. Jestem wolna dzięki nam.

Tak lepiej.

– Nadalnosisz broń.

– Odzwyczajenie się może zabrać trochę czasu.

– Mnie też może trochę zabrać, zanim znów w kogoś wyceluję.

– Brooks!

– Było, minęło, więc mogę ci powiedzieć, że wzięcie ciebie na muszkę było najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłem. Chociaż wiedziałem, jak i dlaczego, o mało nie umarłem.

– Wykonałeś takie trudne zadanie, ponieważ mnie kochasz.

– Tak. – Znów podniósł jej rękę do ust. – Musisz wiedzieć, że kochałbym cię jako Elizabeth, jako Liz, kimkolwiek byś była.

– Wiem. To najwspanialsza rzecz, jaką wiem, a wiem niemało.

– Mądrała!

Roześmiała się, zdając sobie nagle sprawę, że potrafi śmiać się godzinami. – Tak sobie pomyślałam...

– Mądrale mają takie skłonności.

– Global Network zostanie zamknięta. Szefowa firmy zamierza żyć w odosobnieniu. Chcę zacząć od początku.

– I co robić?

– Chcę wrócić do programowania. I gier. To naprawdę sprawiało mi przyjemność. Nie chcę, żeby teraz cały mój świat kręcił się wokół bezpieczeństwa i ochrony. – Uśmiechnęła się i tym razem to ona przyłożyła jego rękę do ust. – Od tego mam ciebie.

– Słusznie. Jestem szefem policji.

– A może pewnego dnia Departament Policji w Bickford będzie potrzebował wydziału do walki z cyberprzestępstwami. Jestem doskonale wykwalifikowana i potrafię sfałszować wszystkie dokumenty i dyplomy. Z tym ostatnim żartowałam – dodała, gdy popatrzył na nią badawczo.

– Żadnych więcej fałszerstw.

– Żadnych.

– Żadnego hakerstwa.

Jej oczy rozszerzyły się.

– Wcale? Nigdy? Mogę to uściślić? Muszę wiedzieć, jak przez najbliższe dwa dni działa wirus, a potem... żadnego włamywania się, chyba że to omówimy i uzgodnimy.

– Możemy o tym porozmawiać.

– Oto kompromis. Pary dyskutują i dochodzą do kompromisu. Chcę porozmawiać z tobą o zaproszeniu twoich przyjaciół i rodziny na kolację, o naszych ślubnych planach i nauczyć się, jak... – Przerwała i przystanęła. – Ławka! – wykrzyknęła. – Piękna ławka, dokładnie taka, jaką chciałam!

– To moja niespodzianka, Abigail.

W jej oczach zamigotały łzy, gdy podeszła bliżej i przesunęła dłońmi po



gładkiej powierzchni oparcia i poręczy. Ławka wyglądała jak kłoda, wydrążona w środku i wypolerowana, aż lśniła, a pośrodku oparcia widniało wyrzeźbione serce oraz inicjały A. L. i B. G.

– Och, Brooks!

– To trochę staromodne, wiem, ale...

– Nie, to nieprawda! To głupie słowo. Wolę powiedzieć – romantyczne.

– Przychylam się.

– Co za wspaniała niespodzianka. Dziękuję. Dziękuję! – Zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Nie ma za co. Ale usiądź, proszę.

Usiadła i pociągnęła go za sobą.

– Tylko popatrz na te wzgórza, takie zielone, gdy zachodzi słońce, a niebo zaczyna zabarwiać się na purpurowo i złoto. Och, kocham to miejsce. Możemy tutaj wziąć ślub? Dokładnie tu?

– Nie potrafię wymyślić nic lepszego. A skoro nie potrafię... – Wyjął z kieszeni pudełeczko. – Zróbmy to tutaj formalnie.

– Kupiłeś mi pierścionek!

– Oczywiście, że tak. – Otworzył wieczko. – Podoba ci się?

Pomyślała, że w łagodniejącym świetle błyszczy jak życie, jak prawdziwe i rzeczywiste święto.

– Bardzo mi się podoba. – Podniosła na Brooksa oczy pełne łez. – Czekaleś do dziś, żeby mi go dać, ponieważ wiedziałeś, że będzie znaczyć więcej. Nikt nigdy nie rozumiał mnie tak jak ty. Nie wierzę w los ani w przeznaczenie. Ale wierzę w ciebie.

– A ja wierzę w los i przeznaczenie. I wierzę w ciebie. – Wsunął pierścionek na jej palec.

Pocałował ją, aby to przypieczętować, a potem szybko i zrecznie

otworzył szampana.

Wzięła plastikowy kubek i poczekała, aż napełnił drugi. Potem zmarszczyła brwi, gdy wlał odrobinę do trzeciego pojemnika i postawił na ziemi przed nosem psa.

– On nie może tego pić. Nie możesz dawać szampana psu.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ... – Wpatrywała się w Berta, który pochylając 460 głowę, przyglądał się jej swymi pięknymi, orzechowymi oczami. – Zgoda, ale tylko ten jeden raz.

Stuknęła się kubkiem z Brooksem.

– Niebawem na resztę życia stanę się Abigail Gleason.

Podczas gdy pies uszczęśliwiony chleptał swojego szampana, Abigail oparła głowę na ramieniu Brooksa i patrzyła, jak słońce zachodzi ponad wzgórzami. Ponad ich domem.